

A. J. Kazinski

Ostatni Dobry Człowiek

Den sidste gode mand

Przekład

Elżbieta Frączak-Nowotny



Przypowieść o „sprawiedliwych ludziach Boga”,
do której nawiązuje powieść, pochodzi z Talmudu,
zbioru pism religijnych spisanych w Izraelu i Babilonie.
Według Żydów są one bezpośrednim przekazem tego,
co Bóg powiedział Mojżeszowi.
A miał mu między innymi powiedzieć, że na świecie
zawsze będzie trzydziestu sześciu sprawiedliwych.
To oni będą nas wszystkich chronić.
Bez nich ludzkość zginęłaby.
Oni jednak nie wiedzą, że zostali wybrani.

Jedenastego września 2008 roku
w siedzibie głównej ONZ-etu w Nowym Jorku
odbył się największy na świecie międzynarodowy
kongres, poświęcony przeżyciom z pogranicza śmierci.

Przewodniczył mu doktor Sam Parnia.

Podczas kongresu omawiano coraz liczniejsze
na całym świecie przypadki takich doświadczeń.

Przywróceniu do życia ludzie
opisują niezwykle przeżycia, których doświadczali.

Zjawisk tych nauka nie potrafi wyjaśnić.

CZEŚĆ I

KSIĘGA UMARŁYCH

*O ziemi, nie zakrywajże mojej krwi!
I niech nie ustanie moja skarga!*

Księga Hioba, 16

Ludzie umierają cały czas. Najczęściej w szpitalach. Dlatego plan był genialny. Prosty, niemal banalny:

Wszystkie znane lekarzom przeżycia z pogranicza śmierci miały zostać zweryfikowane. Jak? Oczywiście na szpitalnym oddziale ratunkowym, bo wszystkie przekazy ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną, których oddech się zatrzymał, których serce przestało bić, układały się w pewien określony wzór. Unosili się do góry i, zawieszeni gdzieś pod sufitem, spoglądali w dół na swoje ciała. Często byli w stanie opisać szczegóły, których ich mózg nie mógł sobie wymyślić w chwili śmierci. Opisywali, jak jakiś lekarz przewrócił wazon, co lekarz czy lekarka mówili do pielęgniarki, kto wchodził do sali bądź z niej wychodził i kiedy. Niektórzy potrafili nawet opowiedzieć, co się działo w sali obok. Ale nie było to naukowo dowiedzione.

I to właśnie miało się teraz zmienić.

W tym celu, w ramach międzynarodowego badania, na oddziałach ratunkowych i na OIOM-ach, gdzie najczęściej reanimowano ludzi, postanowiono zamontować niewielkie półeczki. Tuż pod sufitem. Na tych półeczkach położono zdjęcia, ilustracje odwrócone zadrukowaną stroną do góry. Można było je zobaczyć, tylko wisząc pod sufitem.

Agnes Davidsen była członkiem duńskiej grupy badawczej. Lekarze śmiali się z ich planów, ale nie protestowali. Wymogli jedynie, żeby badacze sami opłacili montaż półeczek. Agnes była obecna przy instalowaniu półeczki w Szpitalu Krajowym, Rigshospitalet, w Kopenhadze. Nawet osobiście trzymała drabinę, na którą wszedł dozorca z zapieczętowaną kopertą ze zdjęciem w ręku. Sama też zgasła światło, kiedy złamano pieczęć i umieszczono zdjęcie na półce. Tylko ludzie z głównej siedziby organizacji wiedzieli, co jest na zdjęciu bądź na rysunku. Poza tym nikt. Gdzieś w tle słychać było włączony telewizor. W Kopenhadze miało się odbyć europejskie spotkanie na szczycie w sprawie klimatu. Francuski prezydent, Nicolas Sarkozy, powiedział, że Europa nie zaakceptuje wzrostu temperatury wynoszącego więcej niż dwa procent. Agnes, która właśnie pomagała dozorczy złożyć drabinę, pokręciła głową. Brzmiało to dość nedorzecznie. Nie zaakceptuje. Jakby człowiek mógł dowolnie obniżyć bądź zwiększać temperaturę na Ziemi, jakby wystarczyło przekręcić termostat.

Podziękowała dozorczy i jeszcze raz spojrzała na półkę pod sufitem. Teraz pozostawało tylko czekać na telefon ze szpitala z wiadomością, że w sali właśnie ktoś umarł.

I powrócił.

1

Świątynia Yonghegong, Pekin, Chiny

Obudziły go wstrząsy, ale to nie ziemia drżała. Do takich wstrząsów przywykł. Pod świątynią Yonghegong prowadziła linia metra, będąca stałym zagrożeniem dla mającego trzysta pięćdziesiąt lat kompleksu świątyń w centrum chińskiej stolicy. Obudził się, bo gdy spał, ktoś się nad nim nachylił. Ktoś mu się przyglądał. Był tego pewien.

Mnich Ling usiadł na łóżku i rozejrzał się dookoła. Słońce dopiero zaczynało zachodzić, ból sprawił, że położył się wcześniej spać.

- Ktoś tu jest? - spytał.

Wszystko mu dokuczało, nie potrafił powiedzieć, czy bolą go plecy, żołądek, czy płuca. Słyszał, jak młodzi mnisi rozmawiają na dziedzińcu; ostatni zachodni turyści opuszczali świątynię.

Pokonał ból i wstał. Cały czas miał wrażenie, że w pomieszczeniu jeszcze ktoś jest. Ale nikogo nie widział. Nie mógł znaleźć swoich sandałów, ruszył więc boso po kamiennej posadzce. Było zimno. Może to zawał, pomyślał. Oddychał z trudem. Czuł, że ma spuchnięty język, zachwiał się. Już myślał, że upadnie, ale wiedział, że musi się utrzymać na nogach. Jeśli teraz upadnie, już nigdy się nie podniesie. Wziął głęboki wdech i poczuł silne pieczenie w tchawicy i płucach.

- Ratunku! - próbował wołać, ale jego głos był za słaby i nikt go nie słyszał. -
Ratunku!

Ling wyszedł na wąski wilgotny korytarz i wszedł do pomieszczenia obok. Pomarańczowe słońce wdzierało się ostrożnie przez wysokie okno. Zaczął oglądać swoje ciało. Niczego nie dostrzegł. Ani na rękach, ani na brzuchu, ani na piersiach. Nagle zakręciło mu się w głowie. Na chwilę zamknął oczy. Przestał walczyć i zniknął w ciemnej otchłani bezgranicznego cierpienia. Chwila uspokojenia. Ból przychodził falami, za każdym razem silniejszy. Teraz miał chwilę wytchnienia.

Ręce mu drżały, kiedy otworzył szufladę i zaczął ją przeszukiwać błędnymi ruchami. W końcu znalazł to, czego szukał: niewielkie porysowane lusterko. Przejrzał się w nim. Twarz pełna strachu. Ling odciągnął nieco płócienną opaskę na biodrach i ustawił lusterko

tak, żeby mógł obejrzeć dół swoich pleców. Wstrzymał oddech.

- Boże - wyszeptał. - Co to jest?

W odpowiedzi usłyszał, jak lustro rozbija się o podłogę.

*

Zamontowany na ścianie stary automat telefoniczny na monety nie przypominał z daleka niosącego zbawienie anioła, ale to była jego jedyna szansa. Doczołgał się do niego. Kolejna fala bólu sprawiła, że musiał się na chwilę zatrzymać. Chwila ta wydała mu się wiecznością. Otworzył oczy i znów spojrzał na automat telefoniczny, któremu kiedyś był tak przeciwny. Władze zmusiły mnichów do zamontowania go ze względu na odwiedzających świątynię turystów. Jeśli komuś coś by się stało, musiała być możliwość wezwania pomocy. Z tego samego powodu na ścianie wypisany był wielkimi cyframi numer alarmowy, obok stała doniczka z monetami. Ling wyciągnął rękę, próbując jej dosięgnąć. Chwytał za jej brzeg, ale stracił równowagę i musiał ją puścić, żeby wesprzeć się ręką o ścianę. Doniczka upadła, rozbijała się, monety wysypały się na podłogę. Ling się zawahał. Nie wierzył, że zdoła się schylić. Poza tym miał się schylać po błyszczące monety, którymi gardził przez większą część swojego życia? Czy naprawdę to miała być jedna z jego ostatnich czynności tu na ziemi? Ale przecież nie chciał jeszcze umierać. Podniósł więc drżącymi dłońmi monetę, włożył ją do automatu i wykręcił trzy cyfry, wypisane na ścianie. Czekał.

- Odezwij się, odezwij się - powtarzał jak zakłęcie.

W końcu usłyszał głos kobiety.

- Centrum alarmowe.

- Musicie mi pomóc.

- Co się stało? Skąd pan dzwoni?

Głos w słuchawce był spokojny, opanowany. Niemal mechaniczny.

- Płonę. Ja...

Ling zamilknął i się odwrócił. Ktoś był w pobliżu. Był tego pewien. Ktoś cały czas go obserwował. Przetarł oczy, ale na darmo, nadal nikogo nie widział. Kto chciał go skrzywdzić?

- Muszę wiedzieć, gdzie pan jest - powiedziała kobieta.

- Proszę mi pomóc...

Przy każdym słowie przesywał go ból, czuł go w plecach, na szyi, w ustach i na spuchniętym języku.

- Pana nazwisko - przerwała mu kobieta, grzecznie, ale stanowczo.

- Ling, Ling Cedong. Ja... Proszę mi pomóc! Moja skóra... płonie!

- Panie Cedong... - przerwała mu znów kobieta, tym razem już wyraźnie

zniecierpliwiona. - Gdzie pan się obecnie znajduje?

- Pomóżcie mi!

Nagle się zatrzymał. Coś w nim się załamało. Jakby świat wokół niego cofnął się o krok, zostawiając go w dziwnej nierzeczywistości. Dźwięki zniknęły. I dochodzące z dziedzińca śmiechy. I głos w słuchawce. Czas stanął w miejscu. Znalazł się w innym świecie. Czy raczej na progu do innego świata. Z nosa poleciała mu krew.

- Co się dzieje? - wyszeptał. - Tak tu cicho.

Puścił słuchawkę.

- Halo? - dał się słyszeć mechaniczny głos w słuchawce, która teraz kołysała się na kablu. - Halo?

Ale Ling już tego nie słyszał. Zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę okna. Spojrzał na stojące na parapecie trzy szklanki. W jednej była woda. Może powinien się napić? Sięgnął po szklankę, ale nie był w stanie dobrze jej chwycić. Trącił ją tylko, wyleciała przez okno i rozbiła się na kamiennym dziedzińcu.

Zebrani na dole mnisi spojrzeli w górę. Ling próbował dać im jakiś znak. Widział, jak ich wargi się poruszają, ale nie słyszał ich głosów.

Czuł w ustach smak krwi. Nos mu krwawił.

- Dobry Boże - jęknął. - Co się ze mną dzieje?

Przez moment miał wrażenie, że zaraz przestanie istnieć. Że zostanie zredukowany do pionka we śnie innego człowieka; człowieka, który właśnie się budził. I nie mógł niczego zrobić. Dźwięki wokół niego zniknęły. Upadł. Wylądował na plecach, spojrzął do góry. Wokół niego panowała całkowita cisza. Uśmiechnął się i unióś rękę. W miejscu, gdzie przed chwilą był sufit, widział teraz pierwsze blade jeszcze gwiazdy na wieczornym niebie.

- Jest tak cicho - wymamrotał. - Wenus. I Droga Mleczna.

*

Mnisi wbiegli do izby i pochylili się nad nim. Ale Ling ich nie widział. Jego wyciągnięta ręka była wiotka. Na ustach widniał uśmiech.

- Próbował dzwonić - powiedział jeden z mnichów, sięgając po słuchawkę. - Do centrum alarmowego.

- Ling!

Najmłodszy z mnichów, niemal jeszcze chłopiec, próbował z nim rozmawiać.

- Ling? Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi. Młody mnich spojrzął na pozostałych.

- Nie żyje - powiedział.

Wszyscy milczeli. Po chwili schylili głowy. Niektórzy mieli łzy w oczach. W końcu najstarszy z nich przerwał milczenie.

- Idźcie po kapłana. Nie mamy dużo czasu.

Któryś z mnichów chciał posłać po niego chłopca, ale najstarszy z nich go powstrzymał.

- Nie. Ty idź po niego. On nigdy jeszcze tego nie doświadczył. Oszczędźmy mu tego.

Mnich wybiegł. Chłopiec spojrzał na najstarszego z nich.

- Co teraz się stanie? - spytał przestraszony.

- Przyjdzie Phowa. Musimy posłać duszę... Zaraz tu będzie...

- Phowa?

- Pomoże duszy wyruszyć w drogę. Opuścić ciało przez głowę. Mamy zaledwie kilka minut.

- A jeśli nie zdążymy?

- Zdążymy. Phowa działa szybko. Chodź, pomóż mi. Nie może tak tu leżeć.

Nikt nie zareagował.

- Chwyćcie go.

Chłopiec i dwaj inni mnisi chwycili Linga za nogi. Podnieśli go i przenieśli na łóżko. Położyli na boku. Kiedy najstarszy z mnichów zaczął odwracać go na plecy, nagle znieruchomiał.

- Co to takiego? - spytał.

Pozostali mnisi podeszli bliżej.

- Tu, na jego plecach.

Wszyscy nachylili się teraz nad zmarłym mnichem.

- Co to jest? - spytał chłopiec.

Nikt nie odpowiedział. Stali w milczeniu, przyglądając się dziwnemu znakowi, który pojawił się na plecach Linga. Sięgał od łopatki do łopatki i w dół, do połowy pleców. Jakby tatuaż albo ślad po oparzeniu.

Jakby coś wypaliło mu plecy.

Trzy dni temu Giuseppe Locatelli dostał mejl z prośbą o pomoc w zlokalizowaniu ciała niedawno zmarłego hinduskiego ekonomisty. Giuseppe nie palił się do tego, ale chętnie opuściłby Indie, i pomyślał, że jeśli dobrze wypełni powierzone mu zadanie, być może zasłuży sobie na lepsze stanowisko we włoskiej ambasadzie w innym miejscu świata. Może w Stanach. To było jego marzenie. Waszyngton. Albo w konsulacie w Nowym Jorku, który także obsługiwał ONZ. Wszystko było lepsze od tych cuchnących ulic. Dlatego zgodził się bez wahania.

*

Mimo wczesnej pory podróż była długa i męcząca. Taksówka sunęła powoli przez dzielnicę slumsów. Już podczas pierwszego tygodnia pobytu w Indiach Giuseppe zrozumiał, że nie wolno mu patrzeć na biedaków. Jeśli ulegnie, zaraz będzie miał za sobą długi ogon zebrzących dzieciaków. Jeśli natomiast uda mu się zachować obojętne spojrzenie i patrzeć prosto przed siebie, wtedy zostawią go w spokoju. Idąc ulicą w Indiach, należy wypierać biedę ze swojej świadomości; płakać można dopiero, gdy zostanie się samemu. Inaczej ryzykuje się rozerwanie na kawałki.

Taksówka się zatrzymała.

- Szpital Suvarna, sir.

Giuseppe zapłacił kierowcy i wyskoczył z taksówki. Przed szpitalem stała kolejka ludzi. W tym kraju wszędzie są kolejki, pomyślał. Na plaży, na policji, przed każdą najmniejszą kliniką, choćby dysponowała tylko plastrem i gazą. Giuseppe przepchnął się przez tłum ludzi, nie patrząc im w oczy. Starał się w ogóle niczego nie widzieć.

Podszedł do recepcjonisty, zwracając się do niego po angielsku.

- Giuseppe Locatelli - przedstawił się. - Z włoskiej ambasady. Jestem umówiony z doktorem Kaheyem.

*

Doktor Kahey zdawał się nie poddawać nawałowi pracy. Wyszedł do niego spokojny, opanowany. Kiedy schodzili schodami do kostnicy, opowiadał mu o Włoszech, o Sardynii, gdzie Giuseppe zresztą nigdy nie był. Był za to pełen podziwu dla zapracowanego lekarza.

- Ci wszyscy ludzie, czekający tam na zewnątrz. Jak sobie radzicie?

- Oni nie przyszli tu po poradę medyczną. - Doktor Kahey roześmiał się pobłażliwie. - Proszę się nie martwić.

- A po co?

- Żeby okazać mu szacunek.

- Komu?

Doktor spojrział zdziwiony na swojego rozmówcę.

- Człowiekowi, którego przyjechał pan obejrzeć. To Raj Bairoliya. Nie zauważył pan, że mają ze sobą kwiaty?

Giuseppe się zaczerwienił. Niczego nie zauważył. Szedł, patrząc prosto przed siebie, bojąc się spojrzeć komukolwiek w oczy, żeby nie paść ofiarą żebraków.

Kahey mówił dalej po angielsku ze swoim śpiewnym hinduskim akcentem.

- Bairoliya należał do najbliższych doradców pana Muhammada Yunusa, wynalazcy mikropożyczek. Zna pan pana Yunusa?

Giuseppe pokręcił głową przecząco. Nie znał Yunusa, ale słyszał o mikropożyczkach, które sprawiły, że tysiące ludzi mogło założyć własne niewielkie firmy.

- W 2006 roku Yunus otrzymał Nagrodę Nobla - poinformował go doktor Kahey, wyciągając z chłodni ciało zmarłego ekonomisty. - Chociaż tak naprawdę powinien ją dostać Bairoliya - dodał.

Giuseppe pokiwał głową. Lekarz odkrył ciało. Zmarły ekonomista wyglądał pogodnie. Tylko twarz miał szarą jak popiół. Giuseppe pomyślał, że taki sam odcień szarości miała po śmierci twarz jego babci, którą wystawiono na *lit de parade*. Odchrząknął i zaczął tłumaczyć lekarzowi, że musi teraz zadzwonić do włoskich władz policyjnych, które go tu wysłały.

- *Sure, sure* - zgodził się doktor.

Giuseppe zadzwonił i natychmiast otrzymał połączenie.

- Tommaso Di Barbara?

- *Si.*

- *Giuseppe Locatelli. Chiamo dall'ambasciata a Mumbai.*

- *Si. Si!*

- Zgodnie z pana prośbą stoję teraz bok ciała Raja Bairoliya.

Głos w telefonie był schrypnięty, ale podniecony.

- Jego plecy. Widzi pan jego plecy?

Giuseppe zwrócił się do lekarza, który odszedł na bok zapalić papierosa.

- Włoskie władze interesują jego plecy.

- Rozumiem, chce pan zobaczyć znak.

Doktor wzruszył ramionami i położył żarzącego się papierosa na parapecie.

- Może pan mi powie, co to jest? - spytał, patrząc wyzywająco na Giuseppego. - Musi mi pan pomóc.

Mężczyzna stał ze słuchawką w ręku i nie bardzo wiedział, czego doktor od niego oczekuje.

- Musimy go odwrócić.

- Niech pan oddzwoni - usłyszał Giuseppe w słuchawce po włosku i połączenie zostało przerwane.

- Proszę go chwycić. Proszę się nie bać. On nikomu nic nie zrobi. Na trzy. Gotowy?

Doktor Kahey uśmiechał się, kiedy Giuseppe chwycił zwłoki.

- Raz, dwa, trzy!

Odwrócili zwłoki na bok, ręka lekko osunęła się poza krawędź. Giuseppe Locatelli patrzył zdumiony na plecy zmarłego. Od łopatki do łopatki ciągnął się znak.

- Co to jest?

3

Polizia di Stato, Wenecja, Włochy

Tommaso Di Barbara cały dzień czekał na ten telefon. Siedział, wpatrując się w aparat i cierpiąc z powodu rozwijającej się u niego grypy. W końcu telefon zadzwonił, cholernie nie w porę. Patrzył na aparat telefoniczny, podczas gdy jego szef zerkał na niego oskarżycielsko.

- Nic ci o tym nie wiadomo? - spytał inkwizytorskim tonem. - Paczka przesłana pocztą dyplomatyczną na adres naszego komisariatu? Z Chin?

Tommaso nie odpowiadał. Zastanawiał się, co jego szef, Commissario Morante, robi o tej porze w komisariacie. Zwykle pokazywał się tu jedynie z okazji ważnych wizyt. Nagle poczuł się dziwnie nieswojo. Odniósł wrażenie, że jego dni w tym miejscu są policzone.

- Na pewno nic nie wiesz? - powtórzył szef. - Ktoś wykorzystał oficjalne kanały, żeby skłonić chińskie władze, by przesłały nam paczkę z nagraniem. Przez Interpol. Bez mojej wiedzy.

W oddechu szefa dawało się wyczuć chianti i czosnek.

- Zaraz zaczynam zmianę - powiedział Tommaso wymijająco.

Wstał i uciekł w deszcz.

*

Most, prowadzący z komisariatu do policyjnych łodzi, był pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy wszystkim prominentnym gościom przybywającym do Wenecji. Po przybyciu ze stałego lądu przyjmowani byli przez Commissaria Morantego, który następnie

prowadził ich przez stary budynek komisariatu, gdzie kiedyś mieszkali mnisi, wzdłuż policyjnego mostu do Canal Grande. Dzisiaj jednak nie było żadnych gości. Był tylko deszcz. Tommaso wskoczył do łodzi, wyjął komórkę i wybrał „ostatnie odebrane połączenie”.

- Halo?

- Ponownie Di Barbara. Nadal pan tam jest?

- Tak, tak.

Giuseppe Locatelli sprawiał wrażenie wzburzonego.

Tommaso zaklął w duchu. Ten cholerny deszcz. Niemal nic nie słyszał. Zakrył dłonią drugie ucho. Słuchał.

- Nadal jestem w kostnicy.

- Odwróciliście go?

- Tak. Ma...

- Proszę mówić głośniej! - krzyczał Tommaso. - Nie słyszę pana.

- Ma znak. Wygląda niesamowicie. Jak... - zaczął i zamilkł.

- Jak tatuaż? - przerwał milczenie Tommaso.

- Tak.

Flavio i nowy policjant z Puglia biegli przez deszcz. Mieli nocną zmianę razem z Tommasem.

- Może pan zrobić zdjęcie komórką?

- Tak, ale mam też aparat fotograficzny. Prosił mnie pan o to w mejlu.

Tommaso zaczął się szybko zastanawiać. Jeśli dobrze odczytywał nastrój szefa, niewykluczone, że jego czas w komisariacie zbliża się do końca. Nie miał czasu czekać na zdjęcia z Indii.

- Niech pan zrobi kilka zdjęć komórką. Słyszysz mnie pan? Sprawa jest pilna. Proszę zrobić zdjęcie całych pleców i zbliżenie. Proszę podejść najbliżej, jak pan może, ale proszę pamiętać, że zdjęcie ma być ostre.

Flavio i drugi policjant otworzyli drzwi i weszli do kabiny łodzi. Pozdrowili go, Tommaso skinął im głową.

- Zrozumiał mnie pan? - upewnił się.

- Tak - odpowiedział Giuseppe.

- Proszę wysłać mi MMS.

Przerwał rozmowę. Znalazł w kieszeni słoiczek z tabletkami i połknął dwie, niczym nie popijając. Zaczął się zastanawiać, kto mógł go zarazić? Może ktoś w hospicjum? Któraś z pielęgniarek albo sióstr, które opiekowały się jego matką? Myśl o umierającej matce

przyprawiła go o wyrzuty sumienia.

Dworzec Santa Lucia, Wenecja

Paszport zdradzał, że przybywał z Gwatemali. Był to najmniejszy paszport, jaki Tommaso kiedykolwiek miał okazję oglądać: złożony na pół maleńki kawałek tektury. Bez miejsca na pieczętki czy wizy, tylko zniszczona fotografia właściciela, który z wyglądu przypominał Indianina, i jakieś podejrzane pieczętki równie podejrzanej instytucji po drugiej stronie Atlantyku.

- *Poco, poco* - odpowiedział jego właściciel na pytanie Tommaso, czy mówi po włosku.

- Po francusku? Też nie.

Mężczyzna mówił jedynie trochę po angielsku, który to język nie był silną stroną Tommasa. Co zresztą we Włoszech było dość powszechne. Nawet jego nauczyciel angielskiego nie władał tym językiem. Natomiast włączano im do głów francuski. Tommaso chętnie podciągnąłby swój angielski, ale uznał, że teraz jest już na to za późno. Kiedy skończy się dwadzieścia pięć lat, jest już za późno na naukę czegoś nowego, tego nauczył go ojciec. A kiedy skończy się trzydziestkę, pora zacząć być swoim lekarzem. Ojciec Tommasa, który nigdy nie opuścił Cannaregio w Wenecji, zmarł, ponieważ odmówił pójścia do lekarza, kiedy zaczął mieć problemy z płucami. Tommaso był pewien jednego: ojcowie powinni mniej mówić. Wiedział jednak również, że pod wieloma względami był wierną kopią swojego ojca.

Wyprostował się i spojrzał na swoje odbicie w szybie przedziału. Zwykle widział wtedy twarz o ostrych rysach, gładko ogolonej brodzie, przenikliwych oczach, włosach przyprószonych siwizną i z wyraźnie zaznaczoną szczęką. Dzisiaj jednak jego twarz zdradzała wyraźnie, że powinien teraz leżeć w domu pod pierzyną. Tommaso pierwszy przyznawał, że to jego przystojny wygląd stawał na drodze jakiegokolwiek trwałego związku. Po prostu miał za dużo pokus. Chociaż ostatnio było ich już jakby mniej. Odkąd skończył czterdziestkę. Nie żeby jego wygląd znacząco się zmienił. Zmienił się ludzie dookoła niego. Pobrali się i czerpali teraz radość z bliskości z drugą osobą. Niemal codziennie tłumaczył sobie, że powinien znaleźć sobie żonę. Dzisiaj wieczorem raczej mu się to nie uda, stwierdził, gdy znów spojrzał na swoje odbicie w szybie.

- *Grazie* - powiedział, skinął głową do Indianina z Gwatemali i wysiadł z wagonu na peron.

Natychmiast sprawdził swoją komórkę. Żadnych nowych wiadomości. Żadnych zdjęć.

Zerknął na zegar na stacji. Wtorek, piętnasty grudnia 2009 roku, pierwsza osiemnaście. Wiedział, że zanim wiadomość dotrze, mija czasem kilka minut, niekiedy nawet godzin, tym bardziej że jest to wiadomość z Azji. Także służby często opóźniały przekaz, by móc zapoznać się z jego treścią. Rozmowy obywateli były dokładnie kontrolowane.

- Flavio! - zawołał Tommaso do swojego kolegi. - Flavio!

Na zmianie, która zaczęła się siedemnaście minut temu w deszczu, było jedynie trzech funkcjonariuszy. Główna siedziba policji mieściła się w budynku naprzeciwko dworca. Wiedzieli, że w pociągu z Triestu, który przyjeżdża o w pół do drugiej, często są nielegalni imigranci ze wschodniej Europy, skłonni próbować szczęścia na Zachodzie, pracując za kiepskie pieniądze w kuchni jakiejś nędznej knajpy.

Flavio schował się przed deszczem pod stalowym daszkiem na peronie. Przekrzykując hałas, zawołał do Tommasa:

- Puszczamy ich!

- Dlaczego?

- Samobójstwo na Murano.

- Samobójstwo?

- Albo morderstwo. Na tych wyspach nigdy nie wiadomo.

Flavio wytarł nos, trzy mocne dmuchnięcia, i schował chusteczkę z powrotem do kieszeni.

*

Tommaso znów zerknął na telefon komórkowy. Nadal żadnych wiadomości z Indii. Czyżbym obawiał się odpowiedzi? - zastanawiał się w drodze do policyjnej łodzi. Niemal we wszystkich pozostałych przypadkach miał rację. Kilka miesięcy temu coś podobnego zdarzyło się w Hanoi. Znalezione ciało. Śmierć nastąpiła w taki sam sposób jak zawsze. Ten sam znak. Ofiarą był znany dobroczyńca.

Zanim Flavio zdążył zawrócić łódź na kanale, Tommaso zauważył światło w gabinecie szefa. Wiedział, że może to oznaczać tylko jedno: Commissario Morante poruszył niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się, kto sprawił, że chińskie władze przesłały paczkę z nagraniem. I zapewne wkrótce się dowie, ponieważ Commissario był człowiekiem dociekliwym. Niedługo więc się dowie, że Tommaso wykorzystał Interpol, by ostrzec policję w kilku europejskich stolicach. Między innymi w Kopenhadze.

Lodowato zimne godziny w Nordvest.

Deszcz uderzał z dużą siłą o dach radiowozu, spokojnie, wręcz monotennie. Krople stawały się coraz cięższe. Wkrótce deszcz nad Kopenhagą zamieni się w miękki śnieg, pomyślał Niels Bentzon, kiedy drżącymi palcami próbował wyciągnąć z paczki przedostatniego papierosa.

Przez zaparowane szyby świat wokół niego wydawał się nieprzeniknionym woalem wody, ciemności i migoczących świateł mijających go samochodów. Odchylił się do tyłu. Wpatrywał się w nicość. Bolała go głowa; dziękował Bogu, że szef patrolu poprosił, żeby zaczekał na niego w wozie. Dortheavej. Miał problem z tą ulicą. Może dlatego, że okolica zdawała się przyciągać nieszczęścia. Nie zdziwiłby się nawet, gdyby w pozostałej części Kopenhagi tej nocy nie padało.

Próbował sobie przypomnieć, kto pierwszy założył tu swoją siedzibę: Wspólnota Islamska czy Ungdomshuset, Dom Młodzieżowy. Działalność obu organizacji była zaproszeniem dla kłopotów. Wszyscy policjanci to wiedzieli. Prośba o posiłki na Dortheavej w Nordvest znaczyła albo zagrożenie wybuchem bomby, albo demonstrację, podłożenie ognia czy generalnie przemoc.

Niels uczestniczył w ewakuacji starego Domu Młodzieżowego, kiedy to wezwano do pomocy niemal wszystkich policjantów z całego kraju. Paskudna sprawa. Nie lubił do niej wracać. Pamiętał, jak w pewnym momencie znalazł się w bocznej uliczce, próbując spacyfikować dwóch młodych chłopaków uzbrojonych w ogromne pałki. Trafili go w lewą rękę i dolne żebra. Młodzi ludzie ziali nienawiścią, a ofiarą ich frustracji padł Niels. Kiedy w końcu udało mu się rzucić jednego z nich na asfalt i zakuć w kajdanki, chłopak obrzucił go bluzgiem przekleństw. Rozpoznał akcent, młody mężczyzna pochodził niewątpliwie z północnej Zelandii, z okolic Rungsted, matecznika bogatych.

Tej nocy problemem nie była jednak ani rozwścieczona młodzież, ani islamiści, tylko były żołnierz, który postanowił przeznaczyć nadmiar amunicji na swoją rodzinę.

- Niels!

Niels udał, że nie słyszy pukania w szybę. Zostało mu jeszcze trzy czwarte papierosa.

- Niels. Wychodź natychmiast!

Dwa pociągnięcia i wyszedł na deszcz.

Młody funkcjonariusz spojrział na niego.

- Ale pogoda!

- Co wiemy? - spytał Niels.

Rzucił niedopałek i skierował się w stronę ogrodzenia.

- Oddał trzy, może cztery strzały, wziął zakładnika.

- Wiemy coś o zakładniku?

- Nic.

- Są tam dzieci?

- Niczego nie wiemy, Niels. Na klatce jest Leon.

Funkcjonariusz wskazał dłonią w stronę budynku.

Wtorek, piętnasty grudnia 2009

Fuck you! - napisała jakaś szczerą duszą na ścianie tuż nad listą z nazwiskami mieszkańców. Klatka schodowa była ruiną, świadectwem podejmowanych w ostatnich latach decyzji politycznych. „Zachować Christinię”, „Pieprzyć Izrael”, „Śmierć psom” zdążył przeczytać, zanim zatrzęsnęły się za nim zardzewiałe drzwi wejściowe. Był przemoknięty do suchej nitki.

- Pada?

Nie potrafił powiedzieć, który z trójki funkcjonariuszy próbował być zabawny.

- Drugie piętro?

- Yes, sir.

Pewnie teraz śmieją się za moimi plecami, pomyślał, idąc na górę.

Po drodze minął kolejną parę młodych policjantów w kuloodpornych kamizelkach i z bronią automatyczną w ręku. Od czasu kiedy Niels dwadzieścia lat temu został przyjęty do szkoły policyjnej, świat nie stał się lepszy. Przeciwnie. Widział to po oczach tych młodych policjantów. Zimnych, surowych, nieprzyjaznych.

- Spokojnie, chłopcy, wszyscy wrócimy do domu żywi - wyszeptał, mijając ich na schodach.

- Leon! - zawołał jeden z funkcjonariuszy. - Idzie negocjator!

Niels dobrze znał Leona. Gdyby kazać mu wybrać motto przyświecające jego działaniom, byłoby to: „Operacja się udała, pacjent umarł”.

- Czy to mój przyjaciel Damsbo? - zawołał Leon z podestu, jeszcze zanim zobaczył Nielsa.

- Nie wiedziałem, że masz przyjaciół.

Leon zbiegł dwa stopnie i zaskoczył Nielsa, stając przed nim z niewielkim pistoletem maszynowym, marki Heckler & Koch, w ręku.

- Bentzon? Skąd, do diabła, cię wygrzebali?

Niels spojrzał mu w oczy: martwe i szare, jak pogoda w listopadzie.

*

Niels dawno nie widział Leona. Sześć miesięcy był na zwolnieniu. W tym czasie broda Leona posiwiała, włosy jakby nieco się cofnęły, zostawiając wolne miejsce dla zmarszczek.

- Myślałem, że przyjdzie Damsbo.

- Jest chory. A Munkholm ma urlop - powiedział Niels, odsuwając od siebie lufę broni.

- Dasz radę, Bentzon? Trochę czasu minęło, prawda? Nadal jesteś na lekach?

Na ustach Leona pojawił się pogardliwy uśmiech.

- Podobno ostatnio zajmujesz się głównie wypisywaniem mandatów za przekroczenie prędkości - ciągnął.

Niels pokręcił głową przecząco, starając się nie pokazać po sobie, że się zadyszał. Wziął kilka głębokich oddechów, udając, że próbuje się skupić.

- Jest bardzo źle? - spytał.

- Peter Jansson, dwadzieścia siedem lat. Uzbrojony. Weteran z Iraku. Chyba nawet dostał medal. Grozi, że zastrzeli całą rodzinę. Jego kolega jest w drodze. Może przekona go, żeby przynajmniej puścił dzieci, zanim strzeli sobie w łeb.

- Może uda nam się przekonać go, że nie musi strzelać sobie w łeb? Jak myślisz, Leon?

- Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że są typki, którym naprawdę nie warto poświęcać czasu? Uratujesz go, pójdzie do więzienia, potem na rentę i kto wie, co jeszcze. Będzie kosztował podatników niezły szmal.

Niels już go nie słuchał, postanowił nie ulegać cynizmowi kolegi.

- Jeszcze coś? Co wiemy o samym mieszkaniu?

- Dwa duże pokoje. Do pierwszego wchodzi się bezpośrednio z korytarza, nie ma holu. Podejrzewamy, że facet jest właśnie tam, po lewej stronie. Albo w sypialni. Słyszeliśmy strzały, wiemy, że w mieszkaniu jest dwójka dzieci i żona, to znaczy jego była żona.

Niewykluczone też, że tylko jedno z dzieci jest naprawdę jego.

Niels spojrzał pytająco na Leona.

- Cóż, różni sąsiedzi różnie mówią. Wchodzisz?

Niels skinął głową.

- Niestety nie jest kompletnym kretynem.

- Co to znaczy?

- Wie, że jest tylko jeden sposób, który zagwarantuje mu, że negocjator nie ma broni ani nadajnika.

- Chcesz powiedzieć, że zażądał, żebym się rozebrał?

Głęboki wdech. I współczujące spojrzenie.

- Zrozumiem, jeśli odmówisz. Wtedy przypuścimy szturm.

- Nie, w porządku. To nie pierwszy raz - powiedział Niels i zaczął odpinać pasek.

*

Za rok, latem, minie piętnaście lat, kiedy Niels Bentzon zaczął pracować w wydziale zabójstw. Ostatnich dziesięć lat przepracował jako negocjator. Wzywano go w sytuacjach, kiedy bandyta brał zakładników albo gdy ktoś odgrażał się, że popełni samobójstwo. Zawsze byli to mężczyźni. Kiedy ceny akcji leciały na łeb, na szyję, a ekonomiści zaczęli mówić o kryzysie finansowym, wtedy niektórzy wyjmowali broń i kładli ją przed sobą na stole. Niels nie przestawał się dziwić, ile broni ludzie trzymali w domach. Pistolety z okresu II wojny światowej. Broń myśliwska i sztucery, bez pozwolenia.

- Nazywam się Niels Bentzon, jestem policjantem. Tak jak prosiłeś, nie mam na sobie ubrania. Nie mam też broni ani nadajnika - powiedział Niels i ostrożnie uchylił drzwi. - Słyszysz mnie? Mam na imię Niels. Jestem policjantem i jestem nieuzbrojony. Wiem, że jesteś żołnierzem, Peter. Wiem też, że nie jest łatwo odebrać komuś życie. Chcę tylko porozmawiać.

Stał w niewielkim korytarzyku i nasłuchiwał. Żadnej odpowiedzi, tylko woń strachu i życia, które się nie udało. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

Gdzieś w oddali czekał jakiś miejscowy kundel. Niels poczuł pod nogą łuski. Podniósł jedną. Była jeszcze ciepła. Odczytał wygrawerowany na niej napis: 9 milimetrów. Kaliber był mu znany. Trzy lata temu miał nawet zaszczyt zostać trafiony takim nabojem niemieckiej produkcji w udo. Kiedy chirurg mu go dał, schował go do górnej szuflady komody Kathrine. Parabellum 9 milimetrów. Najczęściej używany kaliber na świecie. Nazwa Parabellum pochodziła z łaciny Wpisał ją w Google, sprawdził: *Si vis pacem, para bellum*. „Pragniesz pokoju, szykuj się do wojny”. Tak brzmiało motto niemieckiej fabryki Deutsche

Waffen und Munitionfabriken. Tej samej, która zaopatrywała w amunicję armię niemiecką podczas dwóch wojen światowych. Rzeczywiście można było mówić o pokoju.

Niels położył łuskę na podłodze, tam gdzie ją znalazł. Stał chwilę i próbował wziąć się w garść. Zanim zacznie, musi pozbyć się przykrych myśli. Inaczej pokona go strach. Najmniejsze drżenie jego głosu zdenerwuje mężczyznę.

Kathrine. Myślał o Kathrine. Nie powinien tego robić. Nie będzie w stanie działać.

- Wszystko w porządku, Bentzon? - wyszeptał Leon gdzieś za nim.

- Zamknij drzwi - odpowiedział Niels twardo.

Leon posłuchał go. Jadące ulicą samochody oświetlały okna. Niels zobaczył swoje odbicie w szybie. Błady, wystraszony, nagi i bezbronny. Marzył.

- Stoję w twoim pokoju, Peter. Mam na imię Niels. Czekam, żebyś się do mnie odezwał.

Był spokojny. Całkowicie spokojny. Wiedział, że negocjacje potrafią czasem trwać całą noc. Zwykle jednak nie potrzebował aż tyle czasu. Najważniejsze w takich sytuacjach było dowiedzieć się jak najwięcej o tym drugim w jak najkrótszym czasie. Należało poznać człowieka, który zagrażał innym. Dopiero kiedy zobaczyło się człowieka, pojawiała się nadzieja. Leon był kretynem. Widział tylko groźbę. Dlatego zawsze strzelał.

Niels szukał w mieszkaniu Petera śladów człowieka. Tych decydujących drobiazgów. Spojrzał na zdjęcia na lodówce. Peter z żoną i dwójką dzieci. Zdjęcia dzieci były podpisane: Clara i Sofie. Literki zostały zrobione z magnesów. Obok było zdjęcie Petera i Alexandry. Clara, najstarsza, była już dużą dziewczynką. Nosila aparat na zębach, miała wypryski na twarzy. Między dziewczynkami była spora różnica wieku. Sofie była jeszcze mała. Delikatnej budowy, jasne włoski. Podobna do Petera. Clara natomiast nie była podobna ani do matki, ani do ojca. Może była dzieckiem z poprzedniego małżeństwa? Niels zaczerpnął powietrza i wszedł do pokoju.

- Peter? Czy Clara i Sofie są z tobą? A Alexandra?

- Spieprzaj stąd - doszedł go stanowczy głos gdzieś z tyłu mieszkania.

Niels poczuł chłód, zaczął lekko drżeć. Peter nie był zdesperowany. Był zdeterminowany. Desperacja poddawała się negocjacjom, z determinacją było gorzej. Kolejny głęboki wdech. Bitwa nie była jeszcze przegrana. Dowiedz się, czego chce. To było teraz najważniejsze. Jeśli niczego nie chce, zastanów się, czego mógłby chcieć. Wymyśl coś, cokolwiek. Skłonił jego mózg do myślenia o przyszłości. Sądząc po stanowczym głosie Petera, jego mózg skłaniał się ku końcowi, to mogły być ostatnie minuty.

- Mówiłeś coś? - spytał Niels, chcąc zyskać na czasie.

Żadnej odpowiedzi.

Znów zaczął się rozglądać. Wciąż brakowało mu tego drobiazgu, który mógłby nieco rozluźnić sytuację. Tapeta w słoneczniki, ogromne słoneczniki od podłogi po sufit. Zapach wilgoci i psich szczywn, i czegoś jeszcze. Świeżej krwi. Jego wzrok padł na jej źródło, na ciało, zwinięte w kącie w sposób, który wydawał się niemożliwy.

Alexandra dostała dwie kulki w serce. Tylko w filmach bohater badał puls ofiary. W rzeczywistości wystarczyło spojrzeć na ziejącą dziurę w sercu. Kobieta patrzyła na Nielsa szeroko otwartymi oczami, słyszał cichy płacz dzieci.

- Peter? Wciąż tu jestem. Mam na imię Niels...

Przerwał mu jakiś głos.

- Masz na imię Niels i jesteś policjantem. Słyszałem! Powiedziałem, że masz stąd spieprzać!

Niski, stanowczy głos. Skąd dochodził? Z łazienki? Czemu Leon, do diabła, nie zadbał o plan mieszkania?

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Tak, do cholery!

- Niestety, to niemożliwe. To moja praca. Wyjdę dopiero, kiedy skończymy, jakiegokolwiek to zakończenie będzie. Wiem, że mnie rozumiesz. Bo i twoja, i moja praca polega na tym, że jesteśmy do końca, nawet jeśli jest to trudne.

Nasłuchiwał chwilę. Nadal siedział obok zwłok Alexandry. W rękę kobiety była kartka. Mięśnie nie zdążyły jeszcze zeszywnieć, wyjął ją bez trudu. Wstał, podszedł do okna, przez które padało światło z latarni na Dorteavej. Było to pismo z resortu obrony. Wypowiedzenie. Za dużo słów, trzy bite strony. Przejrzał je szybko: problemy osobiste... niestabilny... nieszczęśliwy zbieg okoliczności... propozycja pomocy... przeszkolenie... Niels miał przez moment wrażenie, jakby znalazł się w kieszeni czasu. Jakby wślizgnął się w ostatnie rodzinne zdjęcie. Widział przed sobą całą sytuację:

Alexandra znajduje list. Peter został zwolniony z wojska. Rodzina zostaje pozbawiona jedyne go dochodu. Zwolnili go, kiedy jeszcze nie zdążył przetrwać tego, co robił i widział, służąc ojczyźnie. Niels jest pewien, że nigdy o tym nie rozmawiali. Żołnierze z Iraku i Afganistanu. Nie chcieli odpowiadać na najbardziej oczywiste pytania: „Strzelałeś?”, „Pozbawiłeś kogoś życia?” Stosowali uniki. Bo strzały, które oddawali, rozrywały na strzępy organa ich wrogów, ale w nie mniejszym stopniu także raniły dusze tych, którzy strzelali.

Peter został zwolniony ze służby. Pojechał na wojnę jako prawdziwy mężczyzna, wrócił jako wrak. Alexandra nie potrafiła sobie z tym poradzić. Myślała przede wszystkim o

dzieciach, była przecież matką. Żołnierz strzela, matka myśli o swoich dzieciach. Może krzyczała na niego? Że się do niczego nie nadaje, że zawiódł. I wtedy Peter zrobił to, czego go uczono. Jeśli konfliktu nie można rozwiązać w sposób pokojowy, wtedy strzela się do wroga. Alexandra była wrogiem.

Nareszcie.

Nareszcie znalazł coś, co mógł wykorzystać. Postanowił rozmawiać z Peterem jak z żołnierzem. Przemówi do jego honoru, do jego męskości.

5

Murano, Wenecja

Wczesna zima, szczyt sezonu na samobójstwa na europejskim kontynencie. Ale to nie było samobójstwo. To była zemsta. Bo przecież nie użyłby stalowej linki, żeby się powiesić. Na pewno nie miałby problemu ze znalezieniem sznurka na wyspie, gdzie było tylu skutników.

Flavio wymiotował do kanału, wdowa po zmarłym szklarzu już dawno zniknęła. Poszła szukać pocieszenia u sąsiadów mieszkających nieco dalej przy tej samej ulicy. Tommaso słyszał od czasu do czasu jej krzyki. Przed domem zebrała się reprezentatywna grupa mieszkańców wyspy. Mąż zaufania z huty szkła, mnich z klasztoru Świętego Łazarza, sąsiad i kupiec. Tommaso zastanawiał się, czego ten ostatni tu szuka. Może miał nadzieję zainkasować jakiś niezapłacony rachunek? Niewiarygodne, co kryzys robi z ludźmi. Mieszkańcy wyspy byli szczególnie narażeni: izolacja, zamknięta społeczność, ściśle wyznaczone role. Nic dziwnego, że Wenecja powoli, niemal niezauważalnie zaczynała przodować, jeśli chodzi o liczbę samobójstw we Włoszech.

Dom był wilgotny, niski, kiepsko oświetlony. Tommaso wyrzął przez okno i zobaczył twarz kobiety. Jadła kanapkę. Spojrzała na niego z poczuciem winy, uśmiechnęła się i wrzuciła ramionami. Mogła być głodna mimo śmierci szklarza. Tommaso słyszał rozmawiających na zewnątrz ludzi. Głównie męża zaufania. Opowiadał o tanim szkłe importowanym z Azji i sprzedawanym turystom. W ten sposób odbierano pracę miejscowym. Tym, którzy uczynili dmuchanie szkła swoim rzemiosłem. To skandal!

Tommaso znów zerknął na komórkę. Gdzie, do licha, są te zdjęcia? Ciało szklarza

zakołysało się lekko. Jak długo wytrzyma stalowa linka? Jeśli krąg szyjny został złamany, metalowa linka wkrótce przetnie szyję.

- Flavio! - zawołał Tommaso.

Policjant stanął w drzwiach.

- Napiszesz raport.

- Nie mogę.

- Przestań! Podyktuję ci. Usiądź do niego plecami.

Flavio wziął krzesło, odwrócił je w stronę wilgotnej ściany i usiadł. Pachniało sadzą. Jakby ktoś wiadrem wody zgasił ogień w kominku.

- Gotowy?

Flavio siedział z notesem, wpatrując się w ścianę.

Tommaso zaczął od części oficjalnej:

- Dotarliśmy na miejsce nieco przed godziną drugą. Otrzymaliśmy telefon od wdowy szklarza. Nazywa się Antonella Bucati. Piszesz?

- Tak.

Syrena. Nareszcie. Tommaso zaczął nasłuchiwać. Karetka wyłączyła syrenę, gdy wjechała na prom płynący zapuszczonym kanałem z laguny. Rzężący silnik i jednostajne uderzenia fal o na wpół przegniłą burtę oznajmiły przybycie karetki na kilka sekund, zanim ratownicy medyczni wyskoczyli na brzeg. Niebieskie światło rozświetliło pokój, przypominając Tommasowi, jak ciemną porą roku jest zima w Wenecji. Jakby wilgoć kradła wszelkie resztki światła padającego przez okna nielicznych domów, w których nadal mieszkali ludzie. Reszta Wenecji pogrążona była w ciemnościach. Większość miasta należała do Amerykanów i Saudyjczyków, którzy odwiedzali miasto najwyżej dwa razy w roku.

Tommaso spojrzął na wisielca i w tym momencie zapiszczała komórka. Jego wzrok przykuła biała warstwa na czarnych obcasach butów szklarza. Poskrobał podeszwę, biała warstwa natychmiast odpadła.

- Możemy go już zabrać? - spytał Lorenzo.

Lorenzo był kierowcą karetki i kolegą Tommasa ze szkoły. Kiedyś doszło między nimi do bójki; Lorenzo wygrał.

- Jeszcze nie.

- Próbujesz mi wmówić, że to morderstwo? - powiedział Lorenzo, szykując się do odcięcia wisielca.

- Flavio! - zawołał Tommaso. - Jeśli dotknie ciała, masz zakuć go w kajdanki.

Lorenzo tupnął nogą z wściekłości.

- Latarka - zażądał Tommaso, wyciągając rękę.

Flavio przyłożył dłoń do ust, spuścił wzrok i podał mu latarkę.

Na podłodze nie było żadnych śladów. Chociaż... W kuchni zostało zamieciono, właśnie w miejscu, gdzie z belki pod sufitem zwisało ciało szklarza. Podłoga w pokoju była brudna. Telefon ponownie zapiszczał. Tommaso otworzył drzwi kuchenne. Ogródek za domem był zarośnięty chwastami. Wino pięło się ku górze. Kiedyś, dawno temu, ktoś próbował puścić je wokół tarasu, ale poddał się i pozwolił winorośli podążyć za słońcem. Teraz wino sięgało już dachu. W warsztacie paliło się światło. Tommaso przeszedł kilka kroków przez ogródek i otworzył drzwi. W przeciwieństwie do reszty domu panował tu porządek. Pedantyczny porządek.

Kolejna wiadomość na wyświetlaczu. Przychodziły teraz falami. Nie miał odwagi na nie spojrzeć.

Podłoga w warsztacie była wylana z białego betonu. Tommaso schylił się i poskrobał powierzchnię, była porowata, jakby z kredy. Biała warstwa na obcasach szklarza. Usiadł na krześle. Flavio wołał go, ale udał, że go nie słyszy. Jego pierwsze wrażenie było słuszne. To nie było samobójstwo. To była zemsta. Zemsta żony. Szklarz został zabity w warsztacie, a potem jego ciało przeciągnięto do kuchni, stąd biała warstwa na obcasach jego butów.

- Co ty tu robisz?

Tommaso spojrział na stojącego w drzwiach Flavia.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz na chorego.

Tommaso zignorował jego diagnozę.

- Potrzebny będzie lekarz sądowy. I technicy z Veneto.

- Dlaczego?

Tommaso przeciągnął palcem po podłodze i uniósł go do góry w demonstracyjnym geście, żeby Flavio zobaczył, że jest biały.

- To właśnie szklarz ma na butach. Możesz sprawdzić.

Minęło kilka sekund, zanim do Flavia dotarło, co Tommaso powiedział.

- Aresztujemy wdowę? - spytał.

- To byłby dobry początek.

Flavio pokręcił głową, wyglądał na zmartwionego. Tommaso doskonale wiedział, co w tej chwili przeżywa. Przygnębienie. Przez najbliższe godziny przyjdzie mu wysłuchiwać opowieści wdowy o biedzie, pijaństwie, utraconych miejscach pracy, domowej przemocy, kłamstwach. Może wdowa po prostu miała już dosyć? Flavio zadzwonił do komisariatu i zaczął się szykować do dokonania koniecznych zatrzymań. Tommaso zaczerpnął powietrza.

Dzisiaj w nocy nastąpi koniec świata, pomyślał. Niemal bał się odczytać wiadomości w komórce. Cztery MMS-y od Giuseppego Locatello w Indiach. Wyjął okulary do czytania i zaczął się przyglądać pierwszemu zdjęciu: znak na plecach zmarłego mężczyzny. Dokładnie taki sam jak u innych. Obejrzał zbliżenia.

- Trzydziesty czwarty - powiedział do siebie. - Zostało jeszcze dwóch.

6

Dortheavej, Kopenhaga

Maniakalno-depresyjny. Niels słyszał, jak Leon szepcze coś do policjantów po drugiej stronie drzwi. Wiedział, że tak o nim mówią. Wiedział też, co to oznaczało w ich języku: facet ma coś nie tak z głową. Ale Niels nie był maniakalno-depresyjny. Tylko zdarzało mu się niekiedy tracić nad sobą panowanie. Czasem bywał też w dołku. Ostatni trwał kilka miesięcy.

Stał na środku pokoju i przyglądał się swoim gołym nogom. Nadal drżały. Zimno sprawiało, że nie był w stanie się opanować. Przez moment zastanawiał się, czy nie uciec. Zwiąć stąd. Niech Leon załatwi to po swojemu. Sam nigdy nie oddał żadnego strzału ze swojej broni. I nigdy tego nie zrobi. Był tego pewien. Nie byłby w stanie. Może to tłumaczyło fakt, że został negocjatorem? Jedyne funkcjonariusz, który nigdy nie nosi broni.

Odchrząknął.

- Myślisz, że nie wiem, jakie to uczucie? Mieć taką pracę, jaką my mamy, ty i ja.

Wiedział, że Peter go słucha. Słyszał jak oddycha. Teraz musi zdobyć jego zaufanie i doprowadzić do tego, żeby wypuścił dzieci.

- Ludzie nie wiedzą, jak to jest kogoś zabić. Wtedy człowiek ma wrażenie, że zabija też i siebie.

Niels pozwalał zdaniom zawisnąć na kilka sekund w powietrzu.

- Odezwij się do mnie, Peter! - zawołał.

Jego słowa zabrzmiały niczym rozkaz. Sam był zaskoczony ostrym tonem. Ale Peter był żołnierzem. Przywykł do rozkazów.

- Powiedziałem: Odezwijcie się, żołnierzu!

- Czego chcesz? - zawołał Peter z sypialni. - Czego, do cholery, ode mnie chcesz? - powtórzył.

- Nie ja. Tylko czego ty chcesz, Peter. Czego chcesz? Odejść? Rozumiem cię. Świat jest okrutny.

Żadnej odpowiedzi.

- Idę do ciebie. Jestem nieuzbrojony, i - tak jak prosiłeś - nie mam na sobie ubrania. Pchnę powoli drzwi, żebyś mógł mnie zobaczyć.

Zrobił trzy kroki w stronę drzwi.

- Teraz otworzę drzwi.

Odczekał kilka sekund. Musiał uspokoić oddech. Nie wolno mu było okazać nerwowości. Na sekundę zamknął oczy. Otworzył je i pchnął drzwi. Stał na progu. Na łóżku leżała dziewczynka. Clara, starsza z córek. Ciało zdawało się bezwładne. Na pościeli była krew. Peter siedział w kącie sypialni i patrzył zdziwiony na nagiego mężczyznę, który nagle pojawił się w drzwiach. Żołnierz miał na sobie mundur. Rozglądał się niespokojnie. Był jak ranne zwierzę. Trzymał w ręku myśliwski sztucer i mierzył nim w Nielsa. Między nogami miał butelkę, w której był jakiś płyn.

- Nie możesz mi rozkazywać - wyszeptał Peter, ale nie brzmiał już równie pewnie.

- Gdzie jest Sofie?

Peter nie odpowiedział, ale spod łóżka doszły ich ciche dźwięki. Żołnierz opuścił broń i wskazał lufą na małą Sofie, która skuliła się w kłębek pod łóżkiem.

- Odejdziemy stąd - powiedział żołnierz i po raz pierwszy spojrzał Nielsowi w oczy.

Niels wytrzymał jego spojrzenie.

- Tak, my odejdziemy. Ale nie Sofie.

- Cała rodzina.

- Teraz usiądę.

Niels usiadł. Z łóżka, na którym leżało ciało martwej dziewczynki, kapłała krew. Kropla trafiła w gołą stopę Nielsa. W powietrzu unosił się zaduch zatęchłej pościeli i alkoholu. Niels pozwolił, by minęło kilka sekund. Czuł, że Peter nie jest jeszcze gotów, by strzelić do córeczki. Były różne sposoby negocjacji, dużo różnych technik. Tak dużo, że kiedy dwaj koledzy Nielsa wrócili z kursu ze Stanów organizowanego przez FBI, Niels poczuł wyraźnie, że pozostał w tyle. Pierwotnie też miał z nimi jechać, ale jego lęk przed podróżowaniem zatrzymał go w domu. Już sama myśl, że miałyby wejść do ważącej wiele ton kupy żelastwa i lecieć nad Atlantykiem, na wysokości czterdziestu tysięcy stóp, była nie do przyjęcia. Rezultat był do przewidzenia. Szefowie coraz rzadziej korzystali z jego usług. Chyba że ktoś miał urlop albo był chory, jak dzisiaj wieczorem.

Zgodnie z podręcznikiem powinien teraz rozpocząć negocjacje. Spowodować, żeby

Peter sformułował jakieś żądania, życzenia, cokolwiek. Żeby zyskać na czasie i zakłócić jego skupienie. To mogło być coś zwykłego, banalnego. Mógł zażyczyć sobie whisky albo papierosa. Ale Niels już dawno zarzucił podręcznik.

- Sofie! - zawołał. - Sofie! - zawołał ponownie.

- Tak? - doszło go spod łóżka.

- Chcę chwilę porozmawiać z twoim tatusiem. Na takie dorosłe tematy. Dlatego chcemy zostać sami!

Mówił ostrym tonem, nie odrywając nawet na sekundę wzroku od Petera. Sofie nie odpowiedziała. Niels był teraz oficerem, przełożonym Petera, ale i jego sojusznikiem.

- Masz zrobić to, o co tatuś i ja cię prosimy! Wyjdź z pokoju! Na klatkę!

W końcu usłyszał ruch pod łóżkiem.

- Nie patrz na nas, tylko wyjdź! - polecił głośno.

Usłyszał tupot małych nóżek, po chwili otwieranie drzwi, które niemal natychmiast znów się zamknęły. W sypialni zostali teraz on, Peter i martwa dziewczynka.

Przyglądał się bacznie żołnierzowi. Peter Jansson, dwadzieścia siedem lat. Były żołnierz. Prawdziwy duński bohater. Peter odwrócił broń i oparł teraz brodę o lufę. Zamknął oczy.

Niels słyszał, jak Leon szepcze coś na klatce.

- Pozwól mu to zrobić, Niels. Niech kretyn palnie sobie w łeb.

- Gdzie chcesz zostać pochowany?

Niels był całkowicie spokojny. Rozmawiał z żołnierzem, jakby byli dobrymi znajomymi.

Peter otworzył oczy. Nie spojrzął na Nielsa, tylko uniósł wzrok do góry. Może był wierzący? Niels wiedział, że wielu wysłanych na misję żołnierzy korzystało z usług księdza częściej, niż się do tego przyznawali.

- Wolisz kremację?

Żołnierz chwycił mocniej broń.

- Chcesz, żebym coś komuś przekazał? Pewnie jestem ostatnią osobą, z którą rozmawiasz.

Żadnej reakcji. Peter oddychał ciężko. Widać odebranie sobie życia wymagało więcej odwagi niż odebranie życia żonie i córce.

- Peter, czy chcesz, żebym się z kimś zobaczył? Chcesz komuś przekazać jakąś wiadomość?

Rozmawiał z Peterem, jakby tamten był już jedną nogą w zaświatach.

- To, czego doświadczyłeś w Iraku, tego żaden człowiek nie powinien doświadczać.

- To prawda.

- A teraz chcesz pójść dalej.

- Tak.

- Rozumiem cię. Jak chcesz, żeby cię zapamiętano? Co dobrego zrobiłeś?

Peter się zastanawiał. Niels czuł, że coś w nim poruszył. Mężczyzna po raz pierwszy zdawał się zajęty czymś innym niż myśleniem o tym, jak zabić siebie i swoją rodzinę i zniszczyć cały ten pochrzaniony świat. Postanowił nie odpuszczać.

- Odpowiedz mi! Peter! Co dobrego zrobiłeś? Co?

- To była rodzina... Wioska niedaleko Basry, znalazła się pod ostrzałem... - zaczął, ale Niels widział, że Peter nie ma siły, żeby dalej mówić.

- To była iracka rodzina? Uratowałeś ich?

- Tak.

- Uratowałeś komuś życie. Nie tylko odbierałeś życie. To zostanie ci zapamiętane.

Peter opuścił broń. Na chwilę stracił swoją czujność, jak powalony na deski bokser.

Niels zareagował natychmiast. W ciągu sekundy był przy nim i chwycił za lufę. Peter spojrzał na niego zdziwiony, ale nie zamierzał puścić broni. Niewiele myśląc, Niels zdzielił go ręką w głowę.

- Puszczaj! - zawołał.

Usłyszał jęk i w pierwszej chwili pomyślał, że to Peter tak zawodzi. Ale Peter siedział spokojnie, najwyraźniej się poddał. Niels się odwrócił. Dziewczynka na łóżku się poruszyła.

- Leon! - zawołał.

Do pokoju wpadli policjanci. Leon pierwszy. Zawsze był pierwszy. Rzucili się na żołnierza, mimo że nie stawiał oporu. Po schodach biegli już sanitariusze.

- Ona żyje! - rzucił Niels.

Wyszedł z sypialni, ktoś okrył go kocem. Zatrzymał się w drzwiach, odwrócił i spojrzał za siebie. Peter płakał. Był bliski załamania. Płacz dobrze mu robi. Niels to wiedział. Płacz niósł nadzieję. Sanitariusze położyli dziewczynkę na noszach i szykowali się do wyjścia.

Niels schował się w kuchni okryty kocem, pachnącym policyjnymi psami. Niech inni zajmą się resztą. Zauważył, że na obiad były kotlety mielone z sosem berneńskim. Z proszku.

Na zewnątrz nadal padało. A może spadł już pierwszy śnieg? Szyba zaparowała.

- Bentzon.

Leon wszedł do kuchni. Podeszedł do niego.

- Jest jedna rzecz, o którą chciałbym cię spytać.

Niels czekał. Czuł na sobie nieprzyjemny oddech Leona.

- O czym wtedy myślisz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

Niels nabrał powietrza do płuc. Leon zaczął jeść mielone kotleciki. Maczał je w sosie i wkładał do ust.

- Myślę o czymś, co kiedyś usłyszałem w radiu. O Abrahamie i Izaaku.

- Bałem się, że coś takiego powiesz.

- Ty spytałeś.

- A co z nimi? Nie jestem dobry w te klocki - przyznał Leon, przeżuując kotleciki.

- Jakiś ksiądz powiedział kiedyś w radiu, że tej historii nie należy rozgłaszać.

Pamiętasz ją? Bóg mówi do Abrahama, że ma poświęcić syna, by dowieść swojej wiary.

- Ksiądz miał rację. To chore. Jestem za tym, żeby zabronić to głosić.

- Czy my właśnie tak nie postępujemy? Wysyłamy młodych mężczyzn na wojnę na pustyni, oczekując, że się poświęcą za nasze przekonania.

Leon przyglądał się chwilę Nielsowi. Uśmiech, nieco teatralny gest głową i już go nie było.

7

Lotnisko Charleroi, Bruksela, Belgia

Moja zemsta będzie odkupieniem.

Myśl pojawiła się w głowie Abdula Hadiego, jasna i klarowna, gdy patrzył z pogardą na funkcjonariusza ochrony. Jeśli naprawdę chciałbym uprowadzić samolot, wasza żalosna kontrola nie powstrzymałaby mnie.

Ale to nie było takie proste. Nie zamierzał uprowadzać samolotu, nie zamierzał uderzyć nim w siedzibę Unii Europejskiej. W telewizji czy w gazetach nie pojawią się zdjęcia zrozpaczonych rodzin przed listą ofiar wywieszoną przez towarzystwo lotnicze. Jego zemsta będzie inna, będzie sprawiedliwa.

Funkcjonariusz spojrział na niego poirytowany. Abdul Hadi zrozumiał oczywiście jego pytanie już za pierwszym razem, ale chciał, żeby mężczyzna powtórzył swoje absurdałne

żądanie.

- Czy może pan zdjąć buty, sir? - powiedział funkcjonariusz podniesionym głosem.

Abdul Hadi spojrzał na innych pasażerów, Europejczyków, którzy przed chwilą przeszli przez lotniskową bramkę, nie zdejmując butów. Pokręcił głową i zawrócił. Podeszedł do dziwnej framugi, która piszczy, jeśli ma się monety w kieszeni. Zdjął buty, spokojnie i powoli, i włożył je do plastikowego pojemnika. Może podejrzewają, że mam w bucie nóż, jak Mohamed Atta, pomyślał, przechodząc przez urządzenie. Po chwili wezwał go do siebie kolejny pracownik ochrony. Tym razem chodziło o bagaż podręczny, który też najwyraźniej miał zostać potraktowany inaczej niż bagaż podręczny pozostałych pasażerów. Z większą podejrzliwością. Rozglądał się dookoła, gdy funkcjonariusze przeszukiwali jego kosmetyczkę. Tintin i nadziewane pralinki. Jego wiedza o Belgii była niewielka, wiedział jednak, że kraj ten słynie właśnie z tych dwóch rzeczy. Przypomniał sobie też, że w ubiegłym roku dwie Belgijki w średnim wieku zostały zamordowane w Wadi Dawan. Bojownicy Allacha zaatakowali zachodni konwój i dwie kobiety zginęły. Pokręcił głową. Sam nigdy nie odważyłby się jechać przez Wadi Dawan bez ochrony.

Nad sklepem wolnocłowym wisiała duża mapa świata. Przyglądał się jej, podczas gdy strażnicy otworzyli kolejną kieszeń jego kosmetyczki i zaczęli wyjmować baterie z jego maszynki do golenia. Terroryzm stworzył całkiem nową mapę świata, pomyślał. Nowy Jork był jego stolicą. Bombaj też otrzymał nowe znaczenie, podobnie jak Madryt i londyńskie metro. Szarm asz-Szajch. Tel Awiw i Jerozolima. Jego lud sięgnął po szeroki pędzel i malował świat na czerwono, tworząc nową mapę świata, w którym Madryt już nie będzie się kojarzył z kastanietami, a Nowy Jork ze Statuą Wolności. Tylko ze strachem.

Do dwóch pochylonych nad jego kosmetyczką pracowników ochrony dołączył teraz trzeci. Może ich przełożony? Nie podnosząc wzroku, spytał go po angielsku:

- Sam pan pakował walizkę?
- Oczywiście, to moja walizka.
- Dokąd pan leci?
- Do Sztokholmu.
- Pracuje pan tam?
- Nie, odwiedzam rodzinę. Mam wizę. Jest jakiś problem?
- Skąd pan pochodzi?
- Z Jemenu. To jakiś problem?

Funkcjonariusz oddał mu walizkę bez słowa przepraszam.

Abdul Hadi stanął na środku hali odlotów: sklepy, reklamy filmów, reklamy stylu życia. Czuł pogardę. Zachodni świat dziwnie podchodził do spraw bezpieczeństwa. To czysta fikcja, pomyślał. Podobnie jak wiara w cudowną moc reklamowanych produktów. Pasażerowie są teraz przekonani, że są bezpieczni. Ale nie są! Abdul Hadi bynajmniej nie zamierzał zabierać swojej broni na lotnisko. Po co dodatkowo wszystko komplikować? Wszystko miało na niego czekać, kiedy dotrze do celu. Wiedział, dokąd zmierza. Wiedział, kogo chce zabić, i wiedział, jak to zrobić.

Sztokholm, lot opóźniony

Zobaczył napis na tablicy odlotów. Nie przejął się tym, miał czas. Wylądował w Sztokholmie z dużym zapasem. Ktoś będzie tam już na niego czekać, zawiezie go na dworzec kolejowy i pomoże wsiąść do właściwego pociągu jadącego do Kopenhagi.

Spojrzał na stojących wokół niego pasażerów i pomyślał: „Nie łudźcie się, nie jesteście bezpieczni”. Ta myśl cieszyła go. Możecie przeszukiwać moje walizki, kazać mi zdejmować buty, nawet ubranie, jak podczas poprzedniego międzylądowania. I tak to was nie uratuje.

Wrócił myślami do upokarzającego potraktowania go w Bombaju. Tylko jego jednego poproszono o przejście na bok. Posłusznie zszedł do piwnicy. Przed nim szło dwóch funkcjonariuszy ochrony, za nim dwóch hinduskich policjantów. Pomieszczenie, do którego go zaprowadzono, nie miało okien. Żadnych krzesel, żadnego stolika. Kazano mu położyć ubranie na podłodze. Poprosił o krzesło, podłoga była brudna. Spytano go, czy chce zdążyć na samolot, czy też zamierza się awanturować? Zaczął się zastanawiać, czy może jednak powinien walczyć o swoje prawa? Ludzi z Zachodu tak nie traktowano, nawet jeśli komuś wydali się podejrzeni. Postanowił skupić się na swoim celu. Na zemście.

Myśli nie dawały mu spokoju. Nigdy nie zostaniemy zaakceptowani w waszym świecie. Co najwyżej będziecie nas tolerować. Ale nigdy nas nie zaakceptujecie. Nie na równi z innymi. Przed wyjazdem rozmawiał o tym ze swoim najmłodszym bratem. Jeśli nie będzie mu dane wrócić, jego brat zostanie głową rodziny. Dlatego wrócił z Arabii Saudyjskiej, gdzie dotychczas pracował. Saudyjczycy byli chyba jeszcze gorsi od ludzi Zachodu. Byli dekadency. Żałośni. Kłamliwi. Wszyscy wiedzieli, że ich zakryte kobiety to szopka. W piątek wieczór wsiadali do wyczarterowanych odrzutowców i lecieli do Bejrutu. Kobiety przebierały się na pokładzie. Zrzucały swoje burki, mężczyźni wkładali garnitury Hugo Bossa. Przed wybuchem wojny domowej Abdul Hadi studiował na amerykańskim

uniwersytecie w Bejrucie. Widział, jak w każdy piątkowy wieczór pojawiali się w mieście Saudyjczycy i jak byli ubrani. Kobiety opalały się na plaży w bikini, mężczyźni pili i grali w kasynie. Nie wiedział, kogo ma bardziej nienawidzić: Saudyjczyków, którzy w weekendy udawali ludzi Zachodu w jedynym na świecie mieście, gdzie to było możliwe, czy ludzi Zachodu, którzy ich do tego prowokowali. Kusząc obietnicą wolności. Pozwalając im robić rzeczy, które sami robili. Ale to było niemożliwe. Abdul Hadi wiedział to z własnego gorzkiego doświadczenia. Mimo że był przystojnym mężczyzną, a już na pewno w tamtym okresie, kiedy jeszcze nie zaczął siwieć, nie miał żadnych szans u młodych Amerykanek studiujących na uniwersytecie.

Tylko jedna przyjęła kiedyś jego zaproszenie. Caroline. Pochodziła z Chicago. Chciała zostać reżyserem filmowym. Wybrali się razem do kina na „Szczęki”. Przestała się nim interesować, kiedy się okazało, że nie jest Libańczykiem. Szukała miejscowego kolorytu, kogoś, kto zaprowadziłby ją do namiotu Beduina, pokazał jej prawdziwy Liban, zanim wróci do domu.

Sztokholm, lot opóźniony

Od tamtego dnia Caroline udawała, że go nie poznaje, kiedy spotykała go na terenie kampusu, a on obiecał sobie, że już nigdy nie zada się z żadną Amerykanką. Mieszkał z bratem w wynajętym pokoju na tyłach hotelu Commodore. Na dachu domu znajdował się basen, w którym jednak nigdy nie było wody. Po drugiej stronie podwórza była prywatna klinika, z której każdego popołudnia wnoszono wielkie worki z odpadami po operacjach plastycznych. Saudyjskie kobiety przyjeżdżały tu odsysać sobie tłuszcz i prostować krzywe nosy, by upodobnić się do kobiet takich jak Caroline. Ale to nigdy nie będzie możliwe. Dopóki Arabowie tego nie zrozumieją, dopóty nie zazną prawdziwej wolności. Tkwić w marzeniu, które nie może się spełnić, to jakby siedzieć w więzieniu. Dlatego dobrze, że ktoś w końcu zaczął zmieniać mapę świata.

- Boardingcard, please.

Abdul podał szwedzkiej stewardesie swoją kartę pokładową, a ona uśmiechnęła się do niego. Dawno nikt tak się do niego nie uśmiechał.

- Lotnisko w Sztokholmie jest zamknięte z powodu opadów śniegu, sir - powiedziała.

„Sir” w jej ustach zabrzmiało z należytym szacunkiem, inaczej niż gdy używali go funkcjonariusze ochrony, jako wstępu do swoich poniżających procedur: *Open your bag, sir, Take off your clothes, sir.*

- Wystartujemy, jak tylko lotnisko zostanie otwarte.

Stewardesa nadal się do niego uśmiechała, poczuł lekkie gorąco. Nie, nic z tego, pomyślał. Za mało czasu, za późno.

8

Silos Carlsberga, Kopenhaga

Drzwi windy zamknęły się z lekkim westchnieniem, czekając na decyzję Nielsa. A on, jak zwykle, włożył klucz, przekręcił i wcisnął guzik z napisem „20. piętro”. Gdy winda rozpoczęła swoje przekomarzania z siłą ciężenia, poczuł lekkie ssanie w żołądku. I nagle pomyślał o seksie. Tyle czasu minęło.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i Niels wszedł prosto do swojego mieszkania. Albo miał nieproszonych gości, albo zapomniał zgasić światło. Uznał, że pewnie to ostatnie, i wszedł do dużego pokoju. Był równie pusty jak wtedy, gdy go opuszczał. A jednak. Ktoś tu był. Poczul lekki zapach, czego...? Będzie musiał spytać jutro Nataszę z piętra niżej. Miała klucze do jego mieszkania i wpuszczała tu czasem robotników. Biorąc pod uwagę, że budynek kilka lat temu przeszedł generalny remont, było zaskakująco dużo problemów: z wentylacją, instalacją elektryczną, gazem.

*

Pierwotnie browar Carlsberg zbudował osiemdziesięciopięciometrowy silos do przechowywania słodu. Kiedy jednak zakład połączył się z innymi dużymi browarami, magazyn okazał się zbędny. Niels w ostatnich latach rzadko pijał piwo. Jak wielu innych w jego wieku i o podobnym dochodzie, przerzucił się na cabernet-sauvignon. Wypijał pół butelki dziennie? Butelkę? Żeby coś uczcić czy dlatego, że był przygnębiony? Żeby uczcić, że kogoś dało się uratować, albo gdy był przygnębiony, bo ktoś zginął. A niech tam, *fuck*. Otworzył butelkę, nadal nie do końca wiedząc, z jakiego powodu to robi.

Zbliżała się druga w nocy, ale on wciąż nie czuł zmęczenia. Deszcz uderzał o duże panoramiczne okna. Nastawił krążek Beatlesów tak głośno, żeby w łazience słyszeć *Blackbird*. Spłukał z nóg krew dziewczynki, zanim usiadł do komputera. To stało się już rutyną. Zawsze siadał do niego po powrocie do domu. I rano, zaraz po wstaniu. Zawahał się chwilę, zanim włączył. Brakowało mu Kathrine. Brakowało mu jej w mieszkaniu. Czuł się

obco, kiedy jej tu nie było.

*

Kathrine była partnerką w firmie architektonicznej, która odpowiadała za przekształcenie silosu w luksusowy apartamentowiec. To ona postanowiła, że kupią najpiękniejszy z nich. Zakochała się nim, tak twierdziła. Niels nie miał nic przeciwko temu. Nęciło go najwyższe piętro. Najlepszy widok w mieście. Tyle że gdy w browarze rozpalono pod kotłami, nad całą okolicą unosiła się specyficzna woń. Potem produkcja piwa została przeniesiona. Dokąd? Tego Niels nie wiedział. Może do Azji, jak wiele innych. Był zadowolony, że smród sfermentowanego owsa nie budził go już co rano. Wcześniej miał wrażenie, jakby cały czas czuł na twarzy oddech starego pijaka.

Rozejrzył się dookoła. Dwie designerskie kanapy naprzeciwko siebie. Między nim solidny kwadratowy stolik. W blacie z czerwonego granitu było zagłębienie, w którym można było rozpaść nawet niewielkie ognisko. Bioetanol. Całkowicie bezwonny, tłumaczyła Kathrine sceptycznemu Nielsowi. Chociaż musiał przyznać, że ogień na stole wyglądał ładnie. Nigdy nie zaprosił tu nikogo z komendy. Mimo zachęceń ze strony Kathrine.

- Zaproś kolegów z pracy - powtarzała mu często.

Ale Niels nie był w stanie i nie bardzo potrafił powiedzieć jej dlaczego. Bo on po prostu się wstydził. Nie tego, że wspaniały widok został opłacony jej pieniędzmi, do tego zdążył się już przyzwyczaić, tylko tego, że żadnego z jego kolegów nigdy nie będzie stać na pełną panoramę trzysta sześćdziesiąt stopni. Kiedy leżał wieczorem w wannie, tylko przy zapalonych świecach, białe plamki na włoskim marmurze skrzyły się i migotały, zlewając się ze światłami miasta i gwiazdami na niebie.

Włączył komputer. Ciekawe, czy Kathrine jeszcze nie śpi? Która godzina była teraz w Kapsztadzie? Trzecia w nocy. Zauważył, że jest w sieci, ale wiedział też, że niemal nigdy nie wyłącza swojego maca, więc to, że jest dostępna, nie musiało znaczyć, że nie śpi.

Dokąd wybierze się tej nocy, zastanawiał się Niels, przyglądając się liście swoich online'owych przyjaciół. Amanda z Buenos Aires była dostępna. I Ronaldo z Meksyku. W Europie była noc, niemal wszyscy spali. Z wyjątkiem Louisa z Malagi. On, cholera, zawsze był na czacie. Ciekawe, czy w ogóle miał jakieś życie poza monitorem komputera. Kiedy Niels nawiązał swoje pierwsze wirtualne kontakty, od razu poczuł się lepiej, i trochę mniej dziwakiem. Wszyscy jego znajomi w sieci byli ludźmi, którzy nie byli w stanie podróżować. Właściwie nigdy nie opuszczali swojego kraju. Fobia miała najwyraźniej wiele odmian. Nielsowi zdarzało się czatować z ludźmi, którzy nie opuszczali nawet swojego miasta. W takich przypadkach czuł się niemal normalnym człowiekiem. On przynajmniej mieszkał i w

Malmö, i w Hamburgu. Był też w podróży poślubnej, w Lubece. Naprawdę fizycznie źle zaczynał się czuć dopiero w okolicach Berlina. Raz udało się Kathrine zmusić go, żeby tam pojechali; cały weekend był chory, trząsł się.

- To przejdzie, na pewno przejdzie - powtarzała Kathrine, kiedy szli Unter den Linden.

Ale nie przeszło. Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Nikt, z wyjątkiem tych kilkuset osób, które znalazł w sieci. Być może inni jedynie udawali, że nie rozumieją. Ten rodzaj fobii nie był bowiem wcale taki rzadki. Lęk przed lataniem samolotem i podróżowaniem. Niels wiele czytał na ten temat. Niektóre badania dowodziły, że cierpi na nią co dziesiąty człowiek na świecie, w mniejszym lub większym stopniu, oczywiście. Próbował wytłumaczyć to Kathrine. Mówił, że wystarczy, że oddali się kilkaset kilometrów od domu, a jego organizm odmawia posłuszeństwa. Pierwszy buntuje się system trawienny. Przystawał wydalac. Dlatego w grę wchodziły jedynie krótkie weekendowe wyjazdy. Następnie zaczynał mieć problemy z oddychaniem. Gdzieś w okolicach Berlina zaczynały protestować jego mięśnie. W sieci wymieniali się takimi informacjami. Niels wiedział już, że był to też jeden z powodów jego depresji. Czasami po prostu zamierał w bezruchu. Czuł, jakby miał przywiązany do pasa wielki betonowy blok. A potem nagły przyływ energii. Wtedy widział pozytywne strony życia, a ludzie myśleli, że jest maniakalno-depresyjny.

- „Hi, Niels! Co słysząc w Kopenhadze?”

To odezwała się Amanda z Argentyny. Miała dwadzieścia dwa lata. Studiowała na Akademii Sztuk Pięknych i od piętnastu lat nawet na chwilę nie opuściła Buenos Aires. Jej matka zginęła w wypadku samolotowym, kiedy ona miała siedem lat, jej fobia miała więc zapewne podłoże psychologiczne. Ale wiele osób nie potrafiło znaleźć przyczyn swojej fobii. On też nie. Próbował wszystkiego. Terapii. Hipnozy. Nie było żadnego wytłumaczenia. Po prostu nie był w stanie podróżować.

- „Witaj, piękna. Na pewno jest zimniej niż u ciebie”.

Żałował, że napisał „piękna”, brzmiało to nieco staroświecko. Ale Amanda była piękna. Spojrzał na zdjęcie w jej profilu. Oczy w kształcie migdałów, gęste czarne włosy, pełne usta. Pamiętała, żeby przeciągnąć je czerwoną szminką, kiedy robiła zdjęcie.

Odpowiedź Amandy pojawiła się w dole ekranu.

- „Chciałabym móc cię ogrzać”.

Uśmiechnął się. Na forum często ze sobą flirtowali. Boże drogi. Kilkaset osób, które nigdy się nie spotykają, a których łączyło wspólne pragnienie. Przesyłali sobie zdjęcia swoich miast, osobiste komentarze, przepisy kulinarne. Niels wrzucił przepis na tradycyjny duński pasztet, do wykorzystania. Przepis okazał się hitem. Sam natomiast zrobił *paellę* według

przepisu matki Louisa, słuchając nagrania dwunastostrunowej hiszpańskiej gitary, także dostarczonego przez Louisa. Można było odnieść wrażenie, że niemal jest się tam. To była zaleta ich forum. Nie rozmawiali o tym, że nie mogą podróżować, latać, jeździć pociągiem czy samochodem. Nie rozmawiali o chorobie, tylko o tym, co robią; opowiadali o sobie, o swoich krajach, o kulturze. I w ten sposób poznawali świat.

Niels wymienił kilka obojętnych uwag z Amandą, która zaraz musiała wychodzić na zajęcia. Obiecała przesłać zdjęcie uczelni i rzeźby, nad którą pracowała.

- „Cześć, Niels. Przystojniaku” - napisała i zniknęła, zanim zdążył jej odpowiedzieć.

Już miał wyłączyć komputer, kiedy nagle na ekranie pojawiła się Kathrine.

- Niels?

Obraz zadrżał lekko, jakby jego monitor potrzebował chwili, żeby zsynchronizować się ze swoim partnerem, gdzieś w Afryce.

- Nie śpisz? - spytała nieco schrypniętym głosem.

- Właśnie wróciłem do domu.

Zapaliła papierosa i uśmiechnęła się do niego. Papierosy były tym, co ich łączyło. Skoro nie mogli mieć dzieci...

Niels zauważył, że Kathrine jest lekko pijana.

- Widać, że piłam?

- Nie, nie widać. Byłaś gdzieś?

- Wyłącz Beatlesów. Prawie cię nie słyszę.

Wyłączył, poprawił obraz, przyglądał się jej.

- Coś się stało? - spytała.

- Nie, nic.

Uśmiechnęła się. Niels najwyraźniej nie chciał opowiedzieć jej o swoim wieczorze. Po co dzielić się czymś, co jest przykre, mówił zawsze. Nie znosił, kiedy ludzie opowiadali okropne historie o chorych dzieciach albo o śmierci dzieci. Utonięcia, wypadki samochodowe, katastrofy. Po co o tym opowiadać?

Kathrine poprawiła ustawienie kamery. Siedziała w swoim pokoju hotelowym. W tle coś lekko migotało. Czyżby światła miasta? Księżycowa poświata na Górze Stołowej? A może Przylądek Dobrej Nadziei? Może te małe świecące plamki to statki przemierzające Ocean Indyjski?

- Opowiadałam ci o Chrisie i Marylou? Parze amerykańskich architektów, którzy niedawno tu przyjechali? Są znakomici. Pracowali z Danielem Libeskindem. Zorganizowali parapetówkę, zresztą poznasz ich za kilka dni. Zaprosili nas do siebie, w sobotę.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Cieszę się - powiedział.

- Bierzesz tabletki?

- Tak. Oczywiście.

- Mogę zobaczyć?

Niels wstał i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, zobaczył, że Kathrine zrzuciła swoją białą bluzkę i siedziała teraz w samym staniku. Domyślał się, do czego zmierza.

- Ciepło tam u ciebie? - spytał, drocząc się z nią.

- Tu jest cudownie, Niels. Nigdzie na świecie nie ma lepszego klimatu. No i pokochasz ich czerwone wino. Pokaż mi tabletki.

Przysunął niewielkie opakowanie do kamery.

- Blżej.

Przysunął bliżej, Kathrine zaczęła czytać:

- Apozepam, pięć miligramów, działanie odprężające, stosuje się w przypadku lęku przed lataniem.

- Allan ma przyjaciela, który ich używał. Z dobrym skutkiem.

- Allan?

- Z naszego zespołu.

- Myślałam, że jesteś jedynym policjantem, który nie może latać.

- Latać mogę; nie mogę podróżować.

- Jest jakaś różnica? Weź je. Dwie, teraz, kiedy na ciebie patrzę.

Niels roześmiał się i pokręcił głową. Położył na języku dwie małe tabletki.

- Zdrowie.

- Połknij je, skarbie.

Zrobił to, popijając kieliszkiem wina. Nagle nastrój Kathrine się zmienił, dokładnie jak się tego spodziewał.

- Zabawimy się?

- A chcesz?

- Dobrze wiesz, że tak. Nie drażnij się ze mną. Rozbierz się.

*

Kathrine pojechała do Kapsztadu pół roku temu. Początkowo nie chciała jechać. Czy raczej udawała, że nie chce. Niels szybko ją przejrzał. Od początku miał wrażenie, że jej sceptycyzm wynika raczej z obawy o jego reakcję. Zastanawiała się, co on powie.

Kiedy decyzja została już podjęta, Niels zareagował ulgą. Nie dlatego, żeby się

cieszył, że przez rok będzie się musiał bez niej obyć, tylko dlatego, że skończyła się niepewność. Zdarzały się nawet momenty - o czym nigdy jej nie powiedział - że wręcz się cieszył, że zostaje sam. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, bo przecież z drugiej strony wiedział, że tęsknota i samotność będą dla niego ciężką próbą. Ostatniego wieczoru, zanim kochali się na kanapie, pokłócili się. Kathrine płakała i twierdziła, że nie potrafi bez niego żyć; chciała zadzwonić do swojego szefa i odwołać wyjazd. Oczywiście skończyło się tylko na gadaniu.

Pewnego ranka pożegnali się przy samochodzie. W powietrzu wisiał deszcz. Niels czuł w sobie pustkę. Miał mroczki przed oczami. Kathrine nachyliła się i go pocałowała, jej usta były miękkie, przywykłe do pocałunków; wyszeptala mu coś do ucha, czego jednak nie usłyszał. Potem, przez cały następny dzień, zastanawiał się, co właściwie mu powiedziała. „Gdybyśmy mieli się więcej nie zobaczyć...” Uznał, że może dobrze, że nie usłyszał zakończenia.

*

- Stań tak, żebym mogła cię widzieć - poleciła Kathrine.

Kiedy Niels znów spojrział na ekran, okazało się, że go uprzedziła. Siedziała naga na krześle, odsunęła się nieco od stolika, żeby mógł zobaczyć wszystko to, za czym tak bardzo tęsknił.

- Powoli, kochanie. Jesteś taki przystojny. Chcę się tobą napawać.

Kiedy chodziło o seks, Kathrine była jak z innej planety. Z planety, gdzie seks nie kojarzył się ze wstydem, nie powodował zażenowania. Kochał to w niej. Nawet jeśli czasem było to wyzwaniem również dla niego. Kathrine sprawiła, że polubił własne ciało, nie żeby było z nim coś nie w porządku. Przeciwnie. Niels był taki jak trzeba: wysoki, ale nie tyczkowaty, dobrze zbudowany, ale nie przypominał buldoga. Włosy na piersi mu posiwiały, Kathrine była tym zachwycona, od początku bacznie śledziła ten proces. Zanim ją spotkał, jego ciało było jedynie tułowiem dokręconym do głowy, słuchało poleceń mózgu. Kathrine nauczyła go, że ciało ma własną wolę - i zmysły. Jeśli chodzi o seks, to ono dawało głowie polecenia, mówiło, czego pragnie. Tak właśnie było, tylko trzeba było się odważyć.

- Odwróć się, chcę widzieć twoje pośladki, kiedy zdejmujesz spodnie - rozkazała mu.

Niels stanął plecami do kamery i pozwolił powoli opaść dzinsom. Wiedział, że sprawia jej to przyjemność. Spojrział w dół.

- Hm... - zdziwił się.

Nie spodziewał się, że po takiej nocy, zobaczy tam w dole życie. Chociaż dlaczego nie. Seks i śmierć. Pożądanie i strach.

- Pokaż mi się, skarbie - szeptała Kathrine w Kapsztadzie.

9

Przestrzeń powietrzna nad Europą

Znowu ona. Stewardesa. Szła wąskim przejściem i częstowała kawą albo herbatą, sokiem i orzeszkami ziemnymi. Abdul Hadi uśmiechnął się do siebie. Orzeszki, kawa, herbata. Najważniejsze towary na arabskich bazarach. To po nie europejscy kupcy pielgrzymowali przez wieki do Arabii, skąd wieźli je dalej, na jałową Północ. Teraz rozdawano pasażerom arabskie smakołyki w małych plastikowych opakowaniach, na których byli narysowani młodzi ludzie z jasnymi włosami. Za natrętnymi zachodnimi reklamami arabskich produktów kryło się coś, czego nie dostrzegł żaden Amerykanin czy Europejczyk. Nie dostrzegali, że Zachód sprzedawał przede wszystkim swój wizerunek. Reklama została wynaleziona, by Zachód mógł sprzedawać siebie ludziom Zachodu.

- *Coffee or tea?*

Abdul Hadi uniósł głowę. To była ona. Uśmiech, próba nawiązania kontaktu wzrokowego. Mimo wielu godzin oczekiwania na lotnisku wyglądała, jakby zaledwie przed chwilą wstała z łóżka.

- *Orange juice.*

- *Peanuts?*

- *Please.*

Stawiając przed nim sok, musnęła ręką jego dłoń. Przeszła go fala ciepła. Dawno tak się nie czuł. Stewardesa położyła na jego stoliku paczkę orzeszków. Zanim poszła dalej, odwróciła się i położyła mu jeszcze jedną.

- *Enjoy your flight, sir* - powiedziała powoli, bez pośpiechu.

Abdul Hadi rozejrzył się po kabinie. Na ile mógł zauważyć, tylko on jeden dostał dwa opakowania orzeszków. Czy za tym coś się kryło? Spojrzył za nią. Nie powinien tego robić, bo w tym momencie ona też się odwróciła. Poczł jej ciepło. Krew odpłynęła mu z głowy i wypełniła inny jego organ. Wyobraził sobie stewardesę i siebie w pokoju hotelowym. Widział, jak siada na brzegu łóżka. Chciał dotknąć jej włosów. Nigdy jeszcze nie dotykał takich jasnych włosów. Dotykał włosów Caroline, ale one nie były tak jasne. Ciekawe, jakie

to było uczucie? Czy były bardziej miękkie? Anielskie włosy. Chciał łagodnie gładzić jej dłoń, a wtedy ona nachyliła się nad nim i zaczęła odpinać mu pasek od spodni. W swoich fantazjach on stał, a ona siedziała na łóżku i delikatnie obejmowała dłoń jego członka. Miała polakierowane paznokcie. Dyskretna czerwień. Czy sobie to wyobraził, czy też rzeczywiście tak było? Odwrócił się i spróbował zerknąć na jej paznokcie. Ale jej już nie było, szła dalej wąskim przejściem wśród pasażerów; gdzieś za nim zaczęło płakać dziecko. Próbował wybić ją sobie z głowy. Zaczął myśleć o czymś innym. O Zachodzie i jego zakłamanym własnym wizerunku. Już nie Chińczycy wymyślili proch, tylko Amerykanie, żeby świętować czwartego lipca. System liczbowy nie był wymysłem Arabów, powstał w Europie. Kto na Zachodzie zdawał sobie sprawę z tego, że to Półwysep Arabski był kolebką światowej kultury? Tu narodziły się historia, matematyka, nauka, wszystko, co Zachód uważał za swoje. To wszystko jest nasze, pomyślał Abdul Hadi. Pochodzi od nas.

Pochłonął dwa opakowania orzeszków i zaczęło mu burczeć w brzuchu. Dawno nie jadł porządnego posiłku. Obiecał sobie, że zje coś, kiedy w końcu wylądują. Pewnie dlatego było mu tak trudno się skupić. Chociaż teraz było już nieco lepiej, znów myślał trzeźwo, pomijając oczywiście fantazje o stewardesie. Najpierw wszystko nam ukradliście, zawłaszczyciście, a potem zakazaliście innym dostępu. Tak właśnie było. Zachód jest zbudowany na złodziejstwie i na ucisku. Ale w pewnym momencie w ludziach narasta bunt i wtedy przychodzi reakcja. To jest sprawiedliwe.

Dziecko za nim nadal płakało. Odwieczny problem z niewinnymi. Gdybym teraz poszedł do kokpitu i kazał pilotowi spowodować katastrofę, uderzyć w jakiś budynek albo pikować w dół i spaść do morza, wszyscy mówiliby, że zginęli niewinni ludzie, pomyślał Abdul Hadi. Ale to kiepski argument. Bo to wasze pieniądze umożliwiają gnębienie moich braci. Chowacie się za swoimi dziećmi. Jeśli zamierzacie użyć ich jako tarczy, to sami stawiacie je na linii ognia.

Jednym haustem wypił małą szklankę soku i pomyślał o swojej siostrze. Gdyby żyła, byłaby pewnie teraz w wieku tej pięknej jasnowłosej stewardesy. Przez wiele lat nie myślał o tym, jak zginęła, ale ostatnio wspomnienia wróciły. Jakby pamięć próbowała przyjść mu z pomocą. Pomóc mu zrozumieć prawdziwy mechanizm zemsty i pojęcie ostatecznej sprawiedliwości. Abdul Hadi zamknął oczy i przywołał w myślach swoje najważniejsze wspomnienie. Razem z braćmi siedział na tylnym siedzeniu, kiedy samochód trafił chłopca. Niczego nie widział, nic nie słyszał, droga przez pustynię była nierówna, co chwila słychać było głucho uderzenia, kiedy kamień trafił w podwozie albo rura wydechowa uderzyła o ziemię. Ojciec wybiegł z samochodu, matka zaczęła krzyczeć. Byli z daleka od domu, na

pustyni Wadi Dawan, gdzie wiele lat później dwóm Belgijkom także przyszło pożegnać się z życiem.

„Co się dzieje? Co się dzieje?”, krzyczał jego brat, kiedy ojciec wyskoczył z samochodu.

Ojciec trafił chłopca tak nieszczęśliwie, że ten zginął na miejscu. Okropny krzyk ściągnął uwagę całej wioski i wkrótce samochód został okrążony. Ojciec Abdula usiłował się tłumaczyć.

- Nie widziałem go - mówił. - Wyskoczył mi przed maskę. Był kurz, jakbym jechał we mgle.

Placz przybrał na siłę, inne matki dołączyły do rodziny. To było straszne. Chór żalów wznoszonych do nieba. Abdul nie pamiętał, czy starszyzna wioski i ojciec zabitego chłopca byli tam cały czas. Pamiętał tylko, jak dorośli mężczyźni otworzyli drzwi i wyciągnęli go z samochodu. Jego, bo to on siedział z boku. Ojciec rzucił się go ratować, ale mężczyźni go przytrzymali. Ktoś musiał zginąć. Zemsta. Sprawiedliwość. Spojrzał na swoje rodzeństwo w samochodzie.

- Nie widziałem go. - Ojciec płakał.

Mężczyźni wyjęli z kieszeni ojca jakieś papiery. Odczytali na głos jego nazwisko.

- Hadi. Hadi - powtarzali kilka razy, jakby nazwisko mogło wytłumaczyć, jak mogło dojść do czegoś tak straszego.

- Puśćcie mojego synka! - wołał ojciec. - On nie ma z tym nic wspólnego.

Kobiety krzyczały w złości. Martwy chłopiec został podniesiony do góry, ojciec zaś próbował przebłagać ludzi. Gdy mu się to nie udało, zaczął im grozić. Wykrzykiwał nazwiska znajomych w stołecznej policji, ale miejskie nazwiska nie miały żadnego znaczenia tu, na pustyni. Ludzie zmusili ojca, by padł na kolana. Nadal krzyczał, aż w końcu jeden z mężczyzn nachylił się i wsypał mu garść piachu do ust. Rzygowiny, krzyki i śmierć. Martwy chłopiec został znów położony na ziemi, w środku ludzkiego kręgu.

- Twój syn za mojego syna - krzyczał mężczyzna, a jego dłoń na szyi Abdula zaciskała się coraz mocniej.

Ojciec patrzył na to wszystko bezradny, przerażony, plując piaskiem wymieszanym z krwią.

Abdul pamiętał, jak nagle ucisk dłoni na jego szyi zelżał. Nagle mężczyzna chwycił go ręką za ramię, drugą ręką chwycił jego siostrę.

- Możesz wybrać - zawołał ojciec martwego chłopca do jego ojca. - Chłopiec czy dziewczynka?

Abdul przypomniał sobie, że matka dopiero wtedy też zaczęła krzyczeć. Czy płakałaby i szlochała, gdy tylko on stanął u wrót śmierci? Pewnie tak, tylko ja tego nie słyszałem, tłumaczył sobie za każdym razem. Tyle osób wtedy krzyczało.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- To był wypadek... Błagam...

- Twój syn czy twoja córka?

Wtedy pojawił się nóż. Na ostrzu była zaschnięta krew. By wymóc na ojcu decyzję, przytknięto mu do grdyki ostrze noża.

- Kogo wybierasz?

Gdy ojciec Abdula odpowiedział, patrzył jedynie na syna.

- Dziewczynkę. Weźcie dziewczynkę.

10

Środa, szesnasty grudnia

Niels Bentzon obudził się za późno. I bynajmniej nie czuł się wypoczęty. Właściwie powinien zadzwonić i powiedzieć, że jest chory. Poza tym po takiej nocy miał prawo do wolnego dnia. A jednak kwadrans później siedział w samochodzie z mokrymi włosami, kubkiem kawy w ręku i krawatem zawiązanym tak, że chłopiec idący do konfirmacji lepiej by sobie poradził.

Komenda policji, Kopenhaga

Budynek komendy był ledwie widoczny zza ściany zielonych policyjnych autobusów. Z całego kraju sprowadzono posiłki w związku z odbywającym się w stolicy szczytem klimatycznym. Za kilka godzin Air Force One miał wylądować na duńskiej ziemi. Matka Nielsa już wcześniej pytała syna, czy spotka Jego. Czy będzie Jego ochraniał. Niestety Niels musiał ją zawieść. Obama miał ze sobą cały sztab ludzi, własnych ochroniarzy, własną limuzynę, własne jedzenie, fryzjera i małą walizeczkę z kodami do atomowego arsenału Ameryki. Przyziemna prawda była taka, że Niels spotka jedynie wściekłych demonstrantów przed kopenhaskim Bella Centeret. Matka na pewno będzie zawiedziona.

Przedzierał się przez tłum policjantów z całej Danii. Wyglądali trochę, jakby przyjechali na wycieczkę szkolną do Kopenhagi. Śmiali się, wyraźnie zadowoleni z przerwy w codziennej rutynie. Dzisiaj nie będą wypisywać mandatów za przekroczenie prędkości czy rozdzielać rybaków bijących się w Domu Gminnym w Thyborøn. Wkrótce staną twarzą w twarz z międzynarodowymi antyglobalistami, działaczami na rzecz ochrony środowiska i klimatu, nieciekawą mieszkanką inteligentnych lewicowców i zaniedbanych dzieci, które wściekle walczyły o swoją autonomię, jak to określały.

- Witaj, Bentzon!

Zanim Niels zdążył się odwrócić, poczuł solidne męskie klepięcie w plecy.

- Leon. Wypałeś się?

- Spałem jak kamień - powiedział Leon, przyglądając się uważnie Nielsowi. - Ty za to nie wyglądasz najlepiej.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby emocje opadły.

- Ja nie. - Leon się uśmiechnął.

Nie lubię faceta, pomyślał Niels. To była prawda. Nie potrafił zrozumieć, jak można wrócić do domu po nocy spędzonej w towarzystwie trupów i rannych dzieci i spać jak niemowlę. Jego rozmyślania przerwała Anni.

- Sommersted cię szuka.

- Sommersted? - powtórzył Niels.

Sekretarka przytaknęła. Niels miał wrażenie, że widzi w jej oczach cień współczucia.

*

Mało który policjant miał zaszczyt spotkać się osobiście z inspektorem policji W. H. Sommerstedem w jego gabinecie. Wieść niosła, że w karierze policjanta było miejsce jedynie na trzy takie spotkania. Pierwsze, kiedy dostawało się pierwsze ostrzeżenie, drugie przy drugim ostrzeżeniu i trzecie, kiedy inspektor dawał delikwentowi dwadzieścia minut na spakowanie swoich rzeczy. Niels był tam już dwukrotnie. Miał na swoim koncie dwa ostrzeżenia.

- Jak najszybciej - dodała Anni i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Leona.

Niels pociągnął ją w stronę ekspresu do kawy.

- Tylko o mnie pytał?

- Dzwoniła jego sekretarka. Prosiła, żebym przekazała ci wiadomość, jak tylko cię zobaczę. Czemu pytasz? Coś się stało?

*

„W. H. Sommersted” było napisane wielkimi literami na przeszklonych drzwiach do

sekretariatu. Co oznaczało H., tego nikt nie wiedział. Może po prostu tak lepiej brzmiało? Inspektor rozmawiał przez telefon, ale nawet kiedy mówił, jego szeroka szczeka pozostawała nieruchoma. Niels pomyślał, że byłby idealnym brzuchomówcą.

- Natychmiast mi to przefaksujcie - rzucił Sommersted.

Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W przelocie posłał Nielsowi szybkie spojrzenie, które jednak niczego nie zdradzało, nawet tego, czy w ogóle go rozpoznał. Niels próbował się odprężyć, co jednak okazało się nie takie proste. Jeśli mnie zwolni, chrzanię to, pomyślał. Starał się wyobrazić sobie, co będzie robił, jeśli nagle okaże się, że ma mnóstwo wolnego czasu. Zobaczył siebie leżącego na kanapie w szlafroku. Odda się depresji. Będzie się nią napawać. Zejdzie na samo dno.

- Bentzon!

Sommersted zakończył rozmowę i wyciągnął do niego dłoń, uśmiechając się jowialnie.

- Siadaj. Jak leci?

- Dobrze, dziękuję.

- Mamy tu prawdziwe piekło.

- Widzę.

- Za chwilę wyląduje Air Force One. Kopenhaga pęka w szwach. Same grube ryby. A służby wszędzie widzą terrorystów. Osobiście uważam, że przesadzają. Wszystko jest pod kontrolą.

Sommersted prychnął. Wziął głęboki wdech i nagle jakby przypomniał sobie, po co wezwał tu Nielsa.

- Cieszę się, że wróciłeś, Bentzon - powiedział, kładąc na stole okulary. - Słyszałem, że musiałeś zrzucić ciuchy. Nasi przeciwnicy są coraz sprytniejsi.

- Przeżyje?

- Dziewczynka? Tak, przeżyje.

Inspektor pokiwał głową. Jego twarz była zawzięta, zmarszczył brwi, zdawał się szczerze zmartwiony. Wyglądało to nawet dość wiarygodnie, ale Niels nie dał się zwieść. Sommersted też był negocjatorem, i to niezłym.

Pięć lat temu przeszedł specjalny kurs mediacji, ten, na który Niels nie pojechał. Szef policji w dzisiejszych czasach musiał mieć cechy gospodarza studia, polityka i kadrowego.

- Potrafisz rozmawiać z ludźmi, Niels. Jesteś dobry.

- Tak? - odpowiedział Niels z lekkim wahaniem, przeczuwając, że inspektor zastawił na niego pułapkę.

- Naprawdę.

- Dziękuję.

I wtedy pułapka się zatrzasnęła.

- Może nieco zbyt dobry? - dodał Sommersted, patrząc na niego swoimi przenikliwymi oczami.

- To pytanie?

- Miroslav Stanic, nasz serbski przyjaciel. Pamiętasz go?

Niels poruszył się nerwowo na krześle. I natychmiast tego pożałował. Wiedział, że inspektor to zauważył.

- Słyszałem, że odwiedziłeś go w więzieniu. To był tylko jeden raz?

- Dlatego zostałem tu wezwany?

- To psychopata.

Głęboki wdech. Niels wyjrzał przez okno. Cisza nie krępowała go. Mógł milczeć, ale Sommersted najwyraźniej czegoś od niego oczekiwał. Miroslav Stanic.

Siedem, osiem lat temu Serb miał zostać wydany Hadze. Był podejrzany o zbrodnię wojenne w Bośni. Wylądował w Danii i z przyczyn, których później już nikt nie był w stanie dociec, otrzymał pozwolenie na pobyt ze względów humanitarnych. Duńskie władze szybko odkryły swój błąd. Stanic bynajmniej nie był biednym, prześladowanym Serbem, tylko byłym obozowym strażnikiem w osławionym obozie w Omarska, a teraz otrzymywał trzy pożywne posiłki dziennie, fundowane przez restaurację Dania. Tuż przed deportacją nagle coś mu odbiło. W obozie dla uciekinierów w Sandholmie wziął dwóch zakładników. Kiedy Niels przybył tam, Stanic zażądał transportu przez granicę. Jeśli go nie dostanie, poderżnie gardło jednej z zakładniczek. Najwyraźniej nie żartował, bo niemal udało mu się zabić młodą Albankę. Lekarze z kopenhaskiego Szpitala Krajowego cudem uratowali jej życie. Potem pojawiły się oskarżenia wobec Nielsa. Prym wiódł Leon. Dlaczego Niels po prostu nie palnął psychopacie w łeb? Niels spędził pół dnia na negocjacjach z Serbem. Stanic nie wyraził żadnej skruchy, nie żałował niczego. Sommersted miał rację, facet był psychopata. Czarującym psychopata. Raz nawet sprawił, że Niels się roześmiał. Miroslav Stanic bał się więzienia. Samotności. Wiedział jednak, że gra się skończyła, że następnych dwadzieścia lat spędzi za kratkami. Chciał, żeby Niels mu pomógł.

Sommersted nadal czekał.

- Dałem mu obietnicę, Sommersted, a ponieważ odsiaduje karę w Danii, mogę ją spełnić.

- Dałeś mu obietnicę? Obiecałeś odwiedzać go w więzieniu?

- Inaczej nie uwolniłby zakładników.

- Cofnij ją, Bentzon. Zakładnicy odzyskali wolność, Stanic został skazany. Wiesz, co ludzie o tobie mówią?

Niels miał nadzieję, że pytanie szefa było pytaniem retorycznym.

- Wiesz? - powtórzył inspektor.

W. H. Sommersted wyglądał przez chwilę jak lekarz, który ma przekazać umierającemu pacjentowi smutną i nieuniknioną wiadomość.

- Że jestem maniakalno-depresyjny? Mam nie po kolei w głowie?

- To ostatnie niewątpliwie. Chłopcy nie wiedzą, gdzie jesteś. Nagle znikasz, idziesz na zwolnienie. Po chwili znów jesteś na nogach i biegasz odwiedzać psychopatów.

Niels już chciał zaprotestować, ale Sommersted powstrzymał go gestem ręki.

- Niewątpliwie jesteś zdolny. Masz talent, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Że potrafię rozmawiać z ludźmi?

- Że jesteś dobrym negocjatorem. Niemal zawsze udaje ci się ich powstrzymać.

Chciałbym tylko, żebyś...

- Żebym co?

- Żebyś nie był takim dziwakiem. Lęk przed podróżowaniem. Przyjaźnie z psychopatami.

- Z jednym psychopatą. Można by pomyśleć, że...

Sommersted znów mu przerwał.

- Nie mógłbyś chociaż raz mnie posłuchać? Podporządkować się.

Niels spuścił wzrok. Podporządkować się? Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, szef już mówił dalej.

- Podobno wybierasz się na urlop?

- Na tydzień.

- Dobrze. Posłuchaj: doceniam to, co wczoraj zrobiłeś. Proponuję, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. Co ty na to?

- W porządku.

- Jest pewna sprawa. Nic wielkiego. Chcę, żebyś skontaktował się z paroma osobami.

Porozmawiał z nimi.

- W czym podobno jestem dobry, jak twierdzisz - wtrącił Niels sarkastycznie.

Sommersted spojrzał na niego poirytowany.

- Z kim mam porozmawiać?

- Z dobrymi ludźmi.

Inspektor zaczął szukać czegoś w niewielkiej kupce leżących na biurku papierów; pokręcił głową i poirytowany skomentował nieprzerwany strumień pilnych notatek, napływających z Interpolu. *Red notice*, czerwony alarm.

- Pamiętasz dźwięk faksu w dawnych czasach?

Owszem. Niels doskonale pamiętał stary teleks, który przyjmował informacje i ostrzeżenia napływające z kwatery głównej Interpolu w Lyonie. Teraz jego funkcję przejęły komputery czy raczej tysiąc komputerów. Dawniej teleks pracował bez przerwy. Monotonny, mechaniczny dźwięk drukarki nie pozwalał nawet na chwilę zapomnieć, że świat stawał się coraz bardziej zwariowanym miejscem do życia. Jeśli ktoś chciał się o tym przekonać, wystarczyło spędzić dwadzieścia minut przed szumiącą maszyną: seryjni mordercy, przemyt narkotyków, kobiety sprzedawane do burdeli, porwania dzieci, nielegalni imigranci, przemyt wzbogaconego uranu. To z ważniejszych spraw, bo były też pomniejsze, takie jak handel zagrożonymi gatunkami zwierząt, lwami, lampartami, rzadkimi okazami papug, handlowano nawet delfinami. No i oczywiście dziełami sztuki. Usiłowano przemycić skrzypce Stradivariusa, klejnoty należące do rosyjskiego cara. Nigdy nie udało się odnaleźć nawet jednej tysięcznej przedmiotów zrabowanych przez nazistowskie Niemcy w okupowanych krajach. W niemieckich domach i piwnicach nadal ukrywano brylanty, cenne bursztyny i złotą biżuterię, obrazy Degasa i sztabki złota odebrane żydowskim rodzinom. Poszukiwania trwały. Stojąc przed faksem, można było dostać zawrotu głowy. Człowiek miał ochotę krzyknąć, uciec gdzieś daleko, wskoczyć do morza, żałując, że czasy dinozaurów już minęły.

Teraz baza danych Interpolu była wspólna dla wszystkich krajów, będących jego członkami. 1-24/7, tak w swojej prostocie nazywał się system. I podobnie jak sieć sklepów 7-Eleven nigdy nie spał. Wraz z nową, bardziej zaawansowaną technologią także ranga gróźb się zmieniła. Pojawili się zamachowcy samobójcy, bioterror, hakerzy, oszustwa kartami kredytowymi, dziecięca pornografia, nielegalny handel kwotami emisji dwutlenku węgla, oszustwa podatkowe, pranie brudnych pieniędzy, o korupcji w krajach unijnych nie wspominając. Interpol dostał do ręki nową broń, ale przestępcy też mieli dostęp do nowych technologii, i na pewno nie mniejszy. Siły zdawały się równo rozłożone. Niels zastanawiał się często, czy policja naprawdę miała jakąkolwiek przewagę. Może lepiej było w czasach, kiedy pracowały tylko teleksy, a ostry dźwięk drukarki przecinał powietrze, przypominając bez przerwy o podłości tego świata?

- *Red notice* - odezwał się Sommersted, znajdując w końcu w stercie papierów to, czego szukał. - Wychodzi na to, że mordują tych dobrych.

- Mordują dobrych?

- Sytuacja jest następująca: w różnych miejscach na świecie, w Chinach, Indiach, Rosji, Stanach Zjednoczonych doszło do licznych morderstw. Ofiary to dobrzy ludzie, czyli lekarze, ratownicy, osoby zaangażowane w pomoc dla krajów rozwijających się.

Niels wziął kartkę i przeczytał: „*Red notice*”. Tekst był napisany po angielsku, lakoniczne zdania, niemal staccato, charakterystyczny styl Interpolu: Zabójstwa mogą mieć charakter sekciarski. Pierwsze zgłoszenie: oficer policji Tommaso Di Barbara”.

Niels zaczął się zastanawiać, czy w siedzibie Interpolu w Lyonie też używano takiego języka, języka robotów.

- Kiedyś nie marnowalibyśmy czasu na takie rzeczy, ale teraz, po opublikowaniu rysunków Mahometa... Na tym zdaje się polega globalizacja.

- Co łączy te wszystkie morderstwa?

- Znak na plecach ofiary, o ile dobrze zrozumiałem. Może to rzeczywiście zabójstwa o podłożu sekciarskim? Niedługo za każdym rogiem będzie czyhał wariat z szablą albo dynamitem przytroczonym do pasa.

- Podejrzewasz motyw religijny?

- Nie wykluczałbym tego. Ale nie my prowadzimy dochodzenie. Na szczęście. Święte morderstwa. Młyny będą miały co mleć. Trzeba będzie sięgnąć do starych zakurzonych ksiąg. Co stało się z chciwością, z zazdrością? To przynajmniej były zrozumiałe motywy.

Sommersted przerwał i dłuższą chwilę wyglądał przez okno. Niels odniósł wrażenie, że słowo „zazdrość” tak go poruszyło. Widywał żonę inspektora przy różnych okazjach. Panią z dobrego domu, blondynka, o nieco już wyblakłej urodzie, kobieta, która zapewne niewiele wiedziała o ciemnej stronie życia. Ale może bycie panią domu też nie było takie proste? Nie dawało okazji do drobnych zwycięstw, a te przecież każdemu są potrzebne. Dusza też miała swoje potrzeby. Człowiek potrzebuje potwierdzenia. Może żona inspektora znajdowała je w spojrzeniach innych mężczyzn? Niels zauważył to już, kiedy po raz pierwszy byli razem na przyjęciu. Stała wówczas u boku męża, trzymała go za rękę, ale jej spojrzenie cały czas wędrowało po salonie.

- Poświęć może dzień na skontaktowanie się z tymi... dobrymi ludźmi w Kopenhadze, to pewnie osiem, może dziewięć osób. Wypytaj, czy nie zauważyli ostatnio czegoś podejrzanego. Zadzwoń do szefa Czerwonego Krzyża, do organizacji działających na rzecz praw człowieka i lokalnych środowisk. Niech ludzie się zastanowią. A my będziemy kryci.

- A wszyscy ci, którzy przyjechali tu na konferencję?

- Nie - powiedział Sommersted, uśmiechając się nieco sztucznie. - Im nic nie grozi,

mają swoją ochronę. Poza tym za cztery dni ich tu już nie będzie, a mam wrażenie, że ta groźba ma bardziej długofalowy charakter.

Niels przerzucił kolejne kartki, chociaż czuł, że Sommersted chce, żeby jak najszybciej opuścił jego gabinet.

- Są jacyś podejrzani?

- Bentzon, podejmujemy działania profilaktyczne, nic więcej.

- Ale dlaczego zwracają się z tym do nas?

- Posłuchaj, to naprawdę nic poważnego, drobiazg. Właściwie możesz to potraktować jako wolny dzień w zamian za wczorajszą noc. Gdybyśmy traktowali serio tego rodzaju mało konkretne groźby, nie mielibyśmy czasu na nic innego. A sam wiesz, że jest co robić. Wystarczy, że popełnimy najmniejszy błąd, a jutro znajdziemy się na pierwszych stronach trzech porannych dzienników i natychmiast stu siedemdziesięciu dziewięciu członków parlamentu zażąda wyjaśnień i specjalnego dochodzenia. A ja, chociaż najchętniej posłałbym ich do diabła, będę musiał się uśmiechać i potakiwać jak na grzecznego chłopca przystało.

Sommersted westchnął nieco teatralnie i odchylił się na krześle.

- To jest moja rzeczywistość, Bentzon, muszę współdziałać z ministrem i prokuratorem. Wysyłać mejle, informując, dlaczego nie przybyliśmy na miejsce zdarzenia dwie minuty wcześniej, odpowiadać na pytania dziennikarzy i tłumaczyć, dlaczego tak fatalnie pracujemy. Bo oni tam tak nas postrzegają - powiedział, wskazując palcem za okno. - Traktujcie nas jak tarczę ochronną. Zajmiemy się buldogami w rządzie i redakcjami. A wy róbcie to, co zawsze robicie: łapcie złodziei, wsadzajcie ich za kratki i wyrzućcie klucz.

Niels się uśmiechnął. Sommersted nie był jednak całkiem pozbawiony poczucia humoru.

- Działaj profilaktycznie, Bentzon. Potraktuj to jako test naszego wzajemnego zaufania. No i przyjemnych wakacji, kiedy ten moment już nastąpi.

11

Archiwum policji, Kopenhaga

- Dobrzy ludzie?

W głosie Caspera nie było sarkazmu, jedynie autentyczna ciekawość.

- Szukasz dobrych ludzi?

- Właśnie.

Niels usiadł na krawędzi stołu i rozejrzył się po surowym pokoju komputerowym.

- Mamy znaleźć tych dobrych. Pomożesz mi?

Casper zdążył już zająć miejsce za komputerem. Nie zaproponował Nielsowi, żeby usiadł, taki był tu obyczaj. Pokój wyglądał jak wszystkie inne pokoje biurowe, może jedynie był nieco większy, ale mimo to Niels miał wrażenie, jakby wdarł się do mieszkania kogoś obcego. Żadnej kawy, propozycji, żeby usiadł. Żadnych grzecznościowych frazesów. Zastanawiał się, czy archiwista nie lubi jego, czy ludzi w ogóle? Może lata spędzone w zakurczonym archiwum wśród katalogowych fiszek pozbawiły go potrzeb towarzyskich i zastąpiły je strachem, lękiem przed obcym, który zakłóci rutynę i pedantyczny porządek? Bo każdy, kto wchodził przez ciężkie, na czarno pomalowane drzwi, wnosił ze sobą chaos.

Casper wpisał w Google „dobry człowiek”.

- Sztuka bycia dobrym człowiekiem - odczytał po chwili. - Pierwszy wynik: Jezus - dodał.

- A więc to mamy już ustalone - powiedział Niels.

Casper spojrzał na niego znad monitora zadowolony z komplementu.

Niels pomyślał, że to nie jest właściwe miejsce na ironię. Ironia może prowadzić do nieporozumień, a nieporozumienia mogą skutkować błędami przy wprowadzaniu danych. W ten sposób w jednej sekundzie jakiś ważny tom czy teczka z dokumentacją mogą zniknąć raz na zawsze.

W katalogach archiwum było ponad trzysta tysięcy zarejestrowanych spraw. Niels nigdy tu jeszcze nie był. Nikt nieupoważniony nie miał tu wstępu, jednak ci nieliczni, którzy dostąpili tego zaszczytu, opisywali to miejsce jako policyjny skarbiec historii. Przechowywano tu informacje o sprawach nawet z XII wieku. Materiały wielu niewyjaśnionych morderstw, zbyt wielu. Od czasu zakończenia wojny uzbierała się ich ponad setka. Sprawcy wielu z nich pewnie już dawno leżeli w grobach, w końcu dosięgła ich zasłużona kara. Jednak ze statystycznego punktu widzenia około czterdziestu morderców nadal przebywało na wolności, nie wspominając już o zaginionych obywatelach. Niektórzy po prostu dali nogę, ciała innych zostały tak dobrze ukryte, że nie trafili nawet do statystyk niewyjaśnionych morderstw.

Po przejściu na emeryturę niektórzy koledzy Nielsa starali się o pozwolenie na dostęp do archiwum. Było w tym coś ironicznego, mimo że, jak Niels wcześniej zauważył, ironia w tym miejscu nie była mile widziana. Funkcjonariusze dopiero po przejściu na emeryturę mieli

czas, żeby zająć się tym, co powinni byli robić wcześniej. Na co dzień zdecydowanie za dużo czasu poświęcali papierkom. Pisali raporty, których nikt nie czytał. Sporządzali dokumentację, którą nikt się nie interesował. Niedługo nie będzie można pójść do kibla bez odnotowania tego w jakimś dokumencie Excela. W ciągu ostatnich ośmiu, dziesięciu latach sytuacja pod tym względem bardzo się pogorszyła. Rząd co prawda zapowiadał, że rozprawi się z niepotrzebną biurokracją, ale rzeczywistość wyglądała inaczej. Problemów nie brakowało, na ulicach rockersi i gangi toczyli ze sobą bitwy, dochodziło do aktów przemocy i wandalizmu, co widać było wyraźnie podczas likwidacji Domu Młodzieży w Kopenhadze, narastały konflikty, mnożyły się kradzieże z udziałem wykolejonych młodych imigrantów, którzy z równą łatwością kradli komuś portfel z kieszeni jak samochód sąsiada. Na ulicach było można spotkać drobnych gangsterów z Europy Wschodniej i z krajów arabskich, prostytutki z Afryki i psychicznie chorych nieszczęśników, dla których nie wystarczyło miejsc w zakładach, bo padły ofiarą kolejnych cięć, i tak dalej. Nic dziwnego, że wielu funkcjonariuszy odchodziło ze służby zaraz po osiągnięciu wieku emerytalnego. Wśród szefostwa szeptano, pół żartem, pół serio, że rząd powinien, wzorem niektórych krajów Bliskiego Wschodu, stworzyć gwardię obywatelską. Niewielką, ale skorą do wypełniania poleceń rządu. Mogłaby na przykład zająć się opróżnianiem Chrystianii albo walczyć z demonstrantami. A policja zyskałaby potrzebny jej oddech i mogłaby zająć się tym, do czego została powołana: *To protect and to serve*. Chronić ludzi i służyć im, ścigać przestępców.

Casper patrzył na Nielsa wyczekująco.

- Jezus ci się przyda? - spytał w końcu.

- Szukamy żywych dobrych ludzi.

- Duńczyków?

- Tak, dobrych, sprawiedliwych ludzi. Przydałaby się jakaś lista.

- Sędziowie Sądu Najwyższego i tak dalej?

- Nie udawaj głupiego, proszę.

- Dasz mi jakiś przykład?

- Czerwony Krzyż - rzucił Niels.

- Rozumiem. Chodzi ci o działalność dobroczynną.

- Nie tylko. Ale także.

Casper znów odwrócił się do monitora. Ile mógł mieć lat? - zastanawiał się Niels. Na pewno nie więcej niż dwadzieścia dwa. Młodzi dzisiaj wiele potrafili. Niektórzy zdążyli już trzy razy okrążyć Ziemię, zdobyć wykształcenie, nauczyć się wszystkich języków świata i napisać własny program komputerowy. Kiedy Niels miał dwadzieścia dwa lata, potrafił

załatać dziurawą dętkę w rowerze i policzyć do dziesięciu po niemiecku.

- Ilu potrzebujesz? Czerwony Krzyż, Amnesty International, Pomoc Kościoła dla Potrzebujących, duński oddział Unicefu, Akademia Pokoju...

- Co to jest Akademia Pokoju? - spytała Susanne, najstarsza z zatrudnionych tu pracowników.

Casper wzruszył ramionami i wszedł na stronę organizacji. Susanne spojrzała niezadowolona na niego i na Nielsa.

- A Ratuj Dzieci? Wpłacam pieniądze na ich konto.

- Nie szukam organizacji. Szukam ludzi. Dobrych ludzi.

- A ta kobieta, która prowadzi tę organizację? - nie poddawała się Susanne.

Niels wziął głęboki wdech i postanowił zacząć jeszcze raz, od początku.

- Chodzi o to, że w różnych miejscach świata morduje się dobrych ludzi. Ludzi, którzy walczą o życie innych ludzi, o ich prawa i godne warunki do życia.

- Już wiem, załatwimy to inaczej - przerwał mu Casper. - Będziemy szukać według słów.

- Słów?

- Tak. To na pewno ludzie, o których mówi się w mediach. Jeśli więc jakiś międzynarodowy terrorysta jeździ po świecie i ich morduje, to na pewno też korzysta z jakiegoś źródła informacji. A takim źródłem może być sieć.

- Na pewno.

- Dlatego my - i terroryści - zaczniemy nasze poszukiwania od słów, które kojarzą nam się z dobrem. Takie jak środowisko czy Trzeci Świat.

Susanne zaczęła się zastanawiać, czy to dobry pomysł. Niels był za.

- Działania pomocowe, AIDS, leki... - zaczął wyliczać.

Casper skinął głową.

- Klimat. Szczepionki. Nowotwory. Dwutlenek węgla... - ciągnął.

- Ale co to znaczy: dobry człowiek? - przerwała mu Susanne.

- Nieważne. Chodzi o to, co ludzie postrzegają jako dobro.

- Badania naukowe. Czysta woda. Nie, czysta woda pitna - sypał Niels jak z rękawa.

- Dobrze. Co jeszcze?

Casper zaczął wpisywać słowa. W końcu nawet Susanne porzuciła swój sceptycyzm.

- Umieralność dzieci. Malaria. Zdrowie - dorzuciła kolejne propozycje.

- Dobrze!

- Analfabetyzm. Prostytycja.

- Walka z nałogami - wtrącił Niels.

- Mikropożyczki. Praca na rzecz krajów Trzeciego Świata, dobrowolna, oczywiście - powiedział Casper.

- Lasy deszczowe - dodała na koniec Susanne, lekko oburzona, mimo że to nie Casper i nie Niels osobiście ścinali drzewa, zamieniając je na zapalki.

Dłoń Caspera zawisała nad klawiaturą, jakby to były klawisze Steinwaya, a on przed chwilą skończył grać ostatnie akordy *Trzeciej Symfonii* Rachmaninowa.

- Dajcie mi dziesięć minut.

*

Niels spędził czas oczekiwania przy ekspresie do kawy. Mokka była kiepska. Nie mogła się równać z kawą z ekspresu, który Kathrine w zeszłym roku przytargała ze sobą z Paryża.

Czuł się tu wyjątkowo dziwnie. Może była to wina miejsca? Te wszystkie niewyjaśnione sprawy, morderstwa. Nigdy nie potrafił się pogodzić z niesprawiedliwością. Niewyjaśnione przestępstwo - morderstwo, gwałt, napad - powodowało u niego bezsenność, oburzenie i złość, jakby zła energia go napędzała. Natomiast kiedy przestępca stawał przed sądem i zostawał skazany, odczuwał dziwną pustkę.

- No dobrze, ile nazwisk potrzebujesz? - spytał Casper.

Niels spojrział na zegarek. Kilka minut po dziesiątej. Najpóźniej o szóstej powinien wrócić do domu i zacząć się pakować. Poza tym musiał jeszcze połknąć kilka tabletek. Osiem godzin. Godzina na jedną rozmowę. Ze wszystkimi zamierzał spotkać się osobiście. Uznał, że ostrzeżenie o potencjalnym zagrożeniu morderstwem, nawet jeśli wydawało się mało prawdopodobne, nie mogło zostać przekazane telefonicznie.

- Podaj mi osiem pierwszych.

- Wydrukować ci je?

- Poproszę.

Drukarka szumiała. Niels zerknął na listę. Sama śmietanka. Najlepsi z najlepszych. Gdyby spytać ludzi na ulicy, każdy wymieniłby właśnie te nazwiska.

- Sprawdzimy ich w naszej bazie danych? - spytał Casper i spojrział na Nielsa z grymasem na ustach, który chyba miał być uśmiechem.

Propozycja była kusząca. Oto lista najczęściej wymienianych w kontekście czynienia dobra ludzi, o których głośno było w mediach, dlatego że pomagali słabym i bezradnym. Jakie informacje na ich temat zawierała policyjna baza danych?

- Co ty na to? Zajmie nam to dwie minuty.

- Nie, nie ma potrzeby. Ważne jest, jak są postrzegani przez innych.

Susanne zerknęła Nielsowi przez ramię.

- Widzicie, ta kobieta z Ratuj Dzieci też tu jest.

- Jak Mærsk tu trafił? - spytał Casper, przyglądając się uzyskanym wynikom.

- Jest zaangażowany w wiele projektów w Danii i na świecie, nic więc dziwnego, że jego nazwisko też się tu pojawiło. Ze swoich podatków opłaca zapewne funkcjonowanie wielu szkół. Ale jestem pewien, że na liście najbardziej nienawidzonych Duńczyków też by się znalazł. Mam go usunąć?

- Tak, nie sądzę, żeby był pierwszy do odstrzału.

- Kim jest ten pierwszy na liście? - dopytywała się Susanne.

- Thorvaldsen? Jest sekretarzem generalnym Czerwonego Krzyża - odpowiedział Niels zdziwiony jej niewiedzą.

Drukarka wypuła nową listę. Szóste miejsce Mærska na liście zajął jeden z goszczących ostatnio często w mediach duchownych.

- Sami starzy znajomi - stwierdził Niels. - Z wyjątkiem numeru osiem. Jego nie znam.

- Gustav Lund. Jedenaście tysięcy dwieście trzydzieści siedem wyników dla słów „ratować” i „świat”. Zaraz go sprawdzimy - powiedział Casper i wrzucił nazwisko w Google. Po chwili na monitorze pokazała się wyrazista sylwetka profesora, mężczyzny dobrze już po pięćdziesiątce.

- Przystojny facet - zauważyła Susanne.

- Gustav Lund. Profesor matematyki. No proszę: laureat Nagrody Nobla, otrzymał ją w 2003 roku do spółki z dwoma Kanadyjczykami i trzema Amerykanami. Hm... Jego syn popełnił samobójstwo, miał zaledwie dwanaście lat.

- Z tego powodu człowiek chyba nie staje się gorszy.

Niels i Casper zdawali się nie podzielać tej opinii.

- Czym sobie zasłużył, żeby znaleźć się na liście?

- Dobre pytanie - skwitował Casper i zerknął na ekran. - Już wiem. Dziękując za nagrodę, powiedział, że to „matematyk uratuje świat”. Wielokrotnie go potem cytowano. Mam go usunąć? Dziewiąty jest klimatolog z...

- Nie, w porządku - wszedł mu w słowo Niels. - Zostawmy trochę miejsca na niespodzianki.

Opuszczając pokład samolotu, Abdul Hadi, zamiast spojrzeć stewardesie w oczy, spuścił wzrok. Nie potrafił się przemóc. Ona należała do Zachodu, była ich. Nie miał co do tego żadnych złudzeń. No i za bardzo przypominała mu jego siostrę. Chociaż wcale nie była do niej podobna. Może tylko wiekiem. Jego siostra miałaby dzisiaj trzydzieści osiem lat. Dożyła ośmiu.

Do kontroli paszportowej ustawił się w kolejce dla obywateli innych narodowości. Mieszkańcy krajów Unii przechodzili przez swoją uprzywilejowaną bramkę. To byli ci, którym można było ufać. Kolejka, w której tkwił Abdul Hadi, stała w miejscu. Przywykł do tego. Pewien Arab nazwał ją kiedyś „Orient Ekspresem”. Stojąca przed nim Somalijka, kobieta z trojgiem dzieci, prowadziła beznadziejną rozmowę z funkcjonariuszem za szybą. Na pewno nie zostanie wpuszczona. Był tego pewien. Wielokrotnie był świadkiem podobnych sytuacji. Takich jak oni odsyłano z powrotem. Problemy z wizą, imię dziecka napisane inaczej w paszporcie niż na bilecie lotniczym. Brak biletu powrotnego, stare zdjęcie paszportowe. Najmniejszy drobiazg wystarczył, żeby odesłać człowieka. Europa była warownym zamkiem, zaś kontrola paszportowa była jak zwodzony most - jeśli nie potrafiłeś podać właściwego hasła, byłeś zawracany.

Somalijka zaczęła płakać. Dzieci były głodne, skóra i kości, jak u starców. Samo patrzenie na nie sprawiało mu ból. Kobieta musiała odejść na bok, przepuścić innych. Funkcjonariusz zza szyby przyglądał się dokładnie twarzy Abdula. Porównywał zdjęcie paszportowe z rzeczywistością. Abdul zaczął liczyć, ilu Europejczyków w tym czasie przeszło dalej w kolejce obok. Pięciu. Funkcjonariusz przepuścił jego paszport przez jakieś urządzenie. Dwunastu.

- Sprawy służbowe?
- Odwiedzam rodzinę.
- Ma pan bilet powrotny?
- Tak.
- Proszę pokazać.

Abdul znów zerknął na sąsiednią kolejkę. Kolejnych pięć osób. Razem

siedemnaścioro. Funkcjonariusz studiował dokładnie bilet. Bez ważnego biletu powrotnego nie wpuszczano nikogo. Bilet powrotny miał bowiem gwarantować, że człowiek wróci. Dwudziestu pięciu. Abdul Hadi zdążył doliczyć się trzydziestu osób, zanim zwrócono mu paszport i bilet powrotny. Bez słowa.

- Następny!

*

Był jedynym samotnym Arabem, który czekał przy wyjściu. On i Abdul Hadi spojrzeli na siebie. Ruszyli w swoją stronę.

- Abdul?

- Tak.

- Witaj. Jestem Mohammed. Twój kuzyn.

Dopiero teraz dostrzegł rodzinne podobieństwo. Podłużna twarz, rzadkie włosy, którymi mężczyznom w ich rodzinie nie było dane długo się cieszyć. Wiele lat minęło, kiedy ostatnio widział brata swojej matki. Niemal dwadzieścia lat temu wuj otrzymał azyl w Szwecji. Tutaj urodziły się jego dzieci. Jedno z nich stało teraz przed nim. Mężczyzna wyglądał na dobrze odżywionego. I odprężonego.

- Dobrze cię tu karmią.

- Jestem gruby. Wiem. Mój ojciec też narzeka.

- Przekaż mu pozdrowienia i wyrazy szacunku.

- Oczywiście. Pozwól mi wziąć walizkę.

Ruszyli w stronę wyjścia.

- Dlaczego twój ojciec po mnie nie przyjechał?

Mohammed szukał słów.

- Jest chory?

- Nie.

- Bał się?

- Tak.

Abdul pokręcił głową.

- Jest nas wielu, cała armia. Jesteśmy uśpioną armią.

- To prawda. Uśpiona armia. Nie jest łatwo ją dobudzić - powiedział młody kuzyn Abdula korzystający z dobrobytu Zachodu.

*

Na tylnym siedzeniu samochodu leżała paczka. Abdul skarcił Mohammeda za brak ostrożności. Nie dość, że uśpiona armia miała nadwagę, to jeszcze do tego była nieudolna.

- W paczce są zdjęcia - bronił się Mohammed. - Materiały wybuchowe mam w bagażniku.

Abdul zaczął studiować zdjęcia kościoła. Nie potrafił go rozpoznać.

- Jesteś pewien, że to ten?

- Oczywiście. To jeden z najbardziej znanych kościołów w Kopenhadze.

Teraz rozpoznał fotografie, które wcześniej widział jedynie w Internecie. Jezus na drewnianym krzyżu. Żałował, że wybuch go zniszczy. Ale przecież to nie był naprawdę Jezus, tylko drewniana figura. Nic więcej. Ta nieznośna mania Zachodu do zamieniania świętych postaci w rzeźby, robienia z nich lalek, przedstawiania na rysunkach. Rzeźbienie w drewnie motywów z Biblii. Jasełka. Można by wyliczać w nieskończoność. Jakby ludzie Zachodu obrazkami próbowali przekonywać samych siebie. Zawsze to robili; i dawniej, i teraz. Tyle że teraz była to reklama ich stylu życia. Hadi i jego lud nosili świętość w sobie. Dlatego nie musieli patrzeć na święte obrazki. Znów spojrzął na figurę Jezusa. Dziecinna fascynacja, pomyślał.

- Poluzowaliśmy śrubki - powiedział Mohammed, wskazując na okno piwniczne kościoła. - Zajęło nam to trzy wieczory. Ale nikt niczego nie zauważył. Na pewno. Poluzowaliśmy wszystkie, wystarczy pchnąć.

Abdulowi zaburczało w żołądku. Jego ostatnim posiłkiem były orzeszki, które podała mu stewardesa na pokładzie samolotu. Znów pojawiła się w jego myślach. Widział jej jasne włosy, jej dłoń, która musnęła jego rękę. I nagle przed oczami stanęła mu jego zmarła siostra. I chłopiec, którego jego ojciec przejechał. Dwa życia. Dwa życia, które były ceną za to, że teraz tu siedział. Sprawiedliwość wymagała, żeby spłacił swój dług. Nie chciał już myśleć o stewardesie. Żałował tylko, że się do niego uśmiechnęła. Właśnie w ten sposób.

13

Polizia di Stato, Wenecja

Paczka stała na stole. Być może było to jedyne istniejące nagranie tego, co się działo w chwili morderstwa. Było trudne do zdobycia, ale w końcu mu się udało.

Tommaso Di Barbara przetarł oczy, stał i przyglądał się małej, starannie opakowanej przesyłce, leżącej na stole w sali konferencyjnej. Znał ofiary, nadal jednak nie wiedział, gdzie

szukać ich mordercy.

Commissario Morante nie był sam. Tommaso słyszał wcześniej kroki na korytarzu. Oficjalne kroki, ich charakterystyczny rytm. W muzyce rytm jest czymś przyjemnym, ale to się zmienia, kiedy wybijają go maszerujący ludzie, bo kiedy ludzie maszerują, to znaczy, że zadanie, przed którym stają, jest zbyt brutalne, by mogli wykonać je sami.

Otworzył drzwi.

Komisarz zdążył już usiąść i nalać wody sobie, szefowi kadr i jakiemuś człowiekowi, który przybył tu ze stałego lądu, a którego Tommaso nie znał. Mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał na Tommasa, który, na ile to było możliwe, starał się nie dać po sobie poznać, że jest przeziębiony, chociaż bolała go głowa i miał podwyższoną temperaturę.

- Co za noc. Mam na myśli wdowę szklarza - zaczął komisarz.

- Przyznała się? - spytał Tommaso.

- Tak, nad ranem. W obecności księdza i Flavia.

- Chodziło o ubezpieczenie?

- Nie było ubezpieczenia - odpowiedział komisarz; odchrząknął i zmienił temat. -

Tommaso - zaczął - pytam cię po raz ostatni.

- Tak - powiedział Tommaso szybko.

- Tak?

- Tak, to ja skontaktowałem się z władzami chińskimi. To ja poprosiłem, żeby przesłali nam to nagranie. Niewykluczone, że zawiera ono cenne informacje.

- Bez stosownego pozwolenia wykorzystałeś oficjalne kanały, żeby wysłać ostrzeżenia do Kijowa, Kopenhagi i jeszcze do kilku innych miast.

Tommaso go nie słuchał. Był zdziwiony. Jak komisarz się tego wszystkiego dowiedział? Ktoś musiał się wygadać. Albo też komisarz śledził go dłużej, niż myślał. Zapadło milczenie, po chwili Tommaso znów zaczął się tłumaczyć.

- Jak już mówiłem, te morderstwa są popełniane według pewnego wzoru. Jestem pewien, że to nie było ostatnie.

Milczenie. Ktoś odchrząknął.

- Skontaktowałeś się z naszą ambasadą w Delhi, kazałeś im wysłać człowieka do Bombaju, szukać śladów.

- Nie śladów. Zamordowano tam znanego hinduskiego ekonomistę.

Komisarz mówił dalej, nie zwracając uwagi na Tommasa.

- Poprosiłeś władze chińskie o wydanie materiałów. Kontaktowałeś się z Interpolem.

- Ponieważ zajmowali się dokładnie taką samą sprawą jak ta w Bombaju! Proszę

spojrzeć na te materiały i posłuchać tego, co mam do powiedzenia. Kiedy zobaczyłem pierwsze zdjęcie rozesłane przez Interpol, też nie wiedziałem, co o nim sądzić. To było już wiele miesięcy temu. Ciało z dużym tatuażem. Przyjrzałem się mu z bliska. Poprosiłem Interpol o oryginały zdjęć.

- Poprosiłeś ich o przysłanie materiałów?

Komisarz pokręcił głową jakby z niedowierzaniem.

Tommaso uznał, że go nie przekona, i spojrzał na siedzącego po prawej stronie komisarza nieznanego sobie mężczyznę. Pewnie jakiś wyższy rangą funkcjonariusz ze stałego lądu, pomyślał.

- Najpierw było jedno morderstwo. Potem popełniono drugie. Na ciałach obu ofiar, na ich plecach, był znak. Obie ofiary wyróżniało to, że były zaangażowane w niesienie pomocy innym.

Obcy mężczyzna skinął głową zainteresowany.

- Zwróciłem się do Interpolu. Odpowiedzieli, że sprawa jest zbyt błaha, żeby się nią zajęli. Więc zająłem się nią sam.

- Sam? - powtórzył komisarz i znów pokręcił głową.

- Tak. Sam. W wolnym czasie. Wypełniałem wszystkie swoje obowiązki. Nie opuściłem ani jednego dyżuru. Wszystko robiłem w wolnym czasie.

- W wolnym czasie! Myślisz, że to tylko o to chodzi? Poza tym inni poświęcali swój czas, spełniając twoje życzenia, na przykład urzędnik ambasady w Delhi.

- Cięży na nas pewna odpowiedzialność.

Nie zwracając uwagi na słowa Tommasa, komisarz ciągnął.

- Jutro spodziewamy się ważnych gości. Ministra sprawiedliwości w towarzystwie sędziów i polityków. Jak to będzie wyglądać?

Tommaso zaklął w duchu. To było jedyne, co naprawdę interesowało komisarza. Podejmowanie gości. Ważnych gości, którzy odwiedzali miasto niemal co drugi tydzień. Bo oczywiście wszyscy chcieli organizować konferencje w Wenecji. Być może komisarz wiedział, że Tommaso go przejrzał, że dostrzegł jego próżność. W każdym razie najwyraźniej postanowił zmienić taktykę.

- A pomyślałeś o ludziach, do których trafiają twoje informacje? *Red notice* w nagłówku znaczy, że sprawa jest pilna, że trzeba się nią zająć. Dołożyłeś zajęcia wielu ludziom. Ankara. Sligo.

- I Kopenhaga. To wszystko tworzy pewien wzór.

Komisarz rzucił porozumiewawcze spojrzenie obcemu mężczyźnie. Robił to za

każdym razem, kiedy Tommaso wspominał o „pewnym wzorze”. Mężczyzna odchrząknął, przeciągnął dłońmi przez włosy.

- Pewien wzór, co do którego nie mam ostatecznej pewności - kontynuował Tommaso.

- Niektóre miejsca zbrodni są oddalone od siebie o mniej więcej trzy tysiące kilometrów. Uznałem, że należy ostrzec władze w bezpośrednio zagrożonych strefach.

Znów zapadło milczenie. Komisarz po raz kolejny spojrzał na obcego mężczyznę, który wyprostował się i w końcu się odezwał.

- Signor Di Barbara - zaczął, pozwalając, by słowa na chwilę zawisły w powietrzu. - Wiemy, że pańska matka jest poważnie chora.

Tommaso zmarszczył brwi.

- Tak? - powiedział, zastanawiając się, co choroba jego matki może mieć z tym wspólnego.

- Jest w hospicjum?

- Tak, zajmują się nią siostry franciszkanki.

- To przykra sytuacja. Umierająca matka. Sam straciłem matkę rok temu.

Tommaso patrzył na niego zdziwiony.

- Sytuacje, w których jesteśmy bezradni, często odbieramy jako traumę. Wtedy rzucamy się na nowe zadania, jako rodzaj mentalnej kompensacji. Sublimacji. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Przepraszam, ale kim pan jest?

- Jestem doktor Macetti.

- Doktor? Doktor czego?

- Psychiatrii - odpowiedział mężczyzna i spojrzał mu w oczy, żeby po chwili ciągnąć swój wywód. - To całkowicie naturalne zachowanie. Mózg produkuje fale dodatkowej energii. Dla naszego zdrowia jest to korzystniejsze niż popadanie w bierność.

- Myślicie, że zwariowałem?

Mężczyźni uśmiechnęli się zażenowani.

- Ależ skądże - zapewnił go psychiatra. To całkowicie normalna reakcja.

Tommaso ponownie skupił uwagę na stojącej na stole paczce. Była nieotwarta.

- Może byłoby lepiej, gdy poświęcił pan teraz czas matce? I odwiedzał mnie od czasu do czasu w Veneto.

- Nie chcę używać słowa „zawieszenie”. To brzmi tak dramatycznie - stwierdził komisarz. - Niemniej jestem zmuszony prosić cię o uprzątnięcie swoich rzeczy i zdanie broni i legitymacji.

Młoda sekretarka, która przyjęła Nielsa w siedzibie Czerwonego Krzyża, była zdenerwowana, chociaż ukrywała to zrećnie pod maską uprzejmości i pewności siebie. Niels jednak nie miał wątpliwości.

- Policja kopenhaska?

- Niels Bentzon.

Na szyi kobiety pojawiła się wysypka, niemal niewidoczna, ale Niels natychmiast ją zauważył; lata doświadczeń.

Policijni negocjatorzy byli funkcjonariuszami szkolonymi przez psychologów i psychiatrów do rozwiązywania konfliktów bez użycia przemocy. Już pierwszy kurs, poświęcony ludzkiej mimice, otworzył przed Nielsem nowy świat. Uczono ich zwracać uwagę na każdy, nawet najmniejszy grymas, na ruchy, których sami nie kontrolujemy. Na źrenice, na żyły biegnące wzdłuż szyi. Pokazywano im filmy bez dźwięku, uczono studiować twarze, nie słuchając słów.

- Thorvaldsen przyjmie pana za pięć minut.

- Dobrze - odpowiedział Niels, sięgając po folder prezentujący projekt Czerwonego Krzyża w Mozambiku.

Z pierwszej strony patrzyła na niego śmiertelnie poważna twarz Thorvaldsena. Wydał mu się młodszy, niż kiedy kilka dni temu widział go w telewizji.

„Malaria, wojna domowa, brak czystej wody pitnej to najpoważniejsze zagrożenia dla zdrowia ludzi w Mozambiku”, czytał Niels.

Odłożył broszurkę. Mozambik był daleko.

Thorvaldsen siedział po drugiej stronie szklanej ściany. Śmiał się z czegoś. Niels otworzył teczkę z dokumentami, przesłanymi mu przez Interpol, i wyjął z niej niewielką kartkę, żeby nie siedzieć i nie patrzeć w powietrze. Spojrzał na zapisany na niej numer telefonu włoskiego funkcjonariusza, który powiadomił ich o sprawie. Wenecja. Wyglądało na to, że we Włoszech nie zamordowano żadnego dobrego człowieka. Dziwne, pomyślał Niels. Była natomiast jedna ofiara w Rosji. W Moskwie. Władymir Żyrkow, dziennikarz krytyczny wobec władz. Zmarł w więzieniu, napisano. Niels pokręcił głową. W Rosji najwyraźniej

pewne rzeczy załatwiano na swój sposób. Tam dobrzy ludzie siedzieli w więzieniach, a przestępcy chodzili po ulicach. Według rosyjskich władz przyczyną śmierci był zator. Dlaczego śmierć Władymira trafiła na listę Włocha? - zastanawiał się Niels. Odpowiedź znalazł niżej na stronie. Na jego ciele znajdował się tatuaż. Wykonany według specjalnego wzoru. *A pattemed tattoo*. Sommersted wspominał mu o tym? Nie przypominał sobie. Żadnych innych informacji nie znalazł, zresztą było mu wszystko jedno. Sprawa nie bardzo go obchodziła. Brak entuzjazmu Sommersteda okazał się zaraźliwy. Boże drogi, gdzieś na świecie popełniono jakieś morderstwo, i co z tego? Rocznie w wypadkach drogowych ginęło w Danii trzy, cztery tysiące ludzi. W tym wiele dzieci. Czy ktoś się tym przejmował? Czy jakiś policjant po drugiej stronie kuli ziemskiej siedział teraz i o nich myślał? Wątpliwe. Jedyne, co w tej chwili zajmowało Nielsa, to czekająca go podróż. Musi pamiętać, by wziąć kolejną tabletkę uspokajającą. Niedługo będzie mógł się rozkoszować słońcem. Nie zmierzał się przejmować tym, że hotel, otoczony drutem kolczastym i pilnowany przez uzbrojonych strażników, sprawiał, zdaniem Kathrine, wrażenie warownej twierdzy. Zamierzał sobie dogadzać, raczyć się fantastycznym jedzeniem przygotowywanym przez filipiński personel za marne grosze. Kochać się z Kathrine. Napawać się tym, że była na wyciągnięcie ręki. Zapomnieć o Sommerstedzie i...

- Halo?

Niels trzymał w ręku komórkę i nawet nie zauważył, kiedy wybrał numer. Jakby jego palce zrobiły to mimowolnie. Jedno z nazwisk na kartce było wzięte w kółko. Tommaso Di Barbara i numer telefonu. Sam je zakreślił? - zastanawiał się.

- Halo? - rozległo się po raz drugi.

- Tommaso Di Barbara? - spytał Niels głośno.

Pewnie coś źle wymawiam, pomyślał.

- *Si*.

Głos w słuchawce wydał mu się zmęczony.

- *Niels Bentzon, calling you from Copenhagen Homicide...* - zaczął Niels po angielsku.

Powiedział, że jest z działu zabójstw i że znalazł jego nazwisko zapisane na kartce...

- *Excuse. Parla italiano?*

- *No*.

- *French?*

Niels zawahał się, spojrzał na sekretarkę.

- Mówi pani przypadkiem po włosku? A może po francusku?

- Nie - odpowiedziała kobieta i uśmiechnęła się promiennie.

Niels uznał, że chyba nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak się cieszył z powodu nieznamości obcego języka. A może uśmiech kobiety wynikał z powodu nieoczekiwanego zamieszania? W tym momencie Thorvaldsen wyszedł ze swojego gabinetu.

- *Monsieur? Hallo?*

- *Fil call you later, mister Barbara, okay?* - przerwał Niels i wstał.

Thorvaldsen stał w drzwiach, zegnał się ze swoimi gośćmi.

- Uważajcie, co mówicie, nie chciałbym, żeby prasa coś zwietrzyła - zwrócił się do jednego z mężczyzn, kładąc rękę na jego ramieniu. - Rozumiemy się?

- Pan z policji prosił o krótkie spotkanie - odezwała się sekretarka cicho, wyraźnie zdenerwowana.

- Z policji? - powtórzył Thorvaldsen i odwrócił się do Nielsa. - Coś się stało?

- Nie, nie - uspokoił go Niels.

Podszedł bliżej i podał mu rękę.

- Niels Bentzon, policja kopenhaska.

Uścisk dłoni Thorvaldsena był silny, jego wzrok stanowczy. Oto mężczyzna, który do wszystkiego podchodzi poważnie, pomyślał Niels.

- Z policji? - powtórzył Thorvaldsen po raz kolejny.

Niels skinął głową.

- Zajmę panu tylko chwilę.

15

Polizia di Stato, Wenecja

Tommaso zapisał numer komórki duńskiego policjanta. Był podniecony, mimo że przed chwilą został zawieszony w służbie, jak to się oficjalnie nazywało. Po raz pierwszy, od kiedy zaczął się zajmować sprawą, ktoś w ogóle zareagował. Zamknął drzwi do swojego pokoju. Komisarz dał mu cały dzień na sporządzenie raportu w sprawie wdowy szklarza. Przynajmniej ta sprawa była prosta. Kobieta się przyznała, podobno miała już dosyć drania.

Okna jego pokoju służbowego wychodziły na kanał i dworzec kolejowy. W pokoju były biurko, krzesło i kanapa obita imitacją zielonej skóry. Była też niewielka szafa, w której

Tommaso bynajmniej nie trzymał ubrań. Był przekonany, że komisarz nie miał o tym pojęcia, inaczej z pewnością kazałby mu ją opróżnić. Wszystkie jej ściany bowiem wyklejono wycinkami dotyczącymi sprawy. Znalazły się tam również zdjęcia ofiar. Mapy miejsc, gdzie popełniono zbrodnie. Cytaty z Biblii i notatki Tommaso z jego uwagami i przemyśleniami. Usłyszał kroki i szybko zamknął drzwi. Wiedział, że mają go na oku.

Marina, jego sekretarka, stała przed drzwiami. Była wyraźnie zmieszana, z nią też już rozmawiali. Zapukała.

- Wejść, proszę - odpowiedział Tommaso.

Marina wsadziła głowę do środka, starając się nie wchodzić dalej.

- Dzwonili ze szpitala. Twoja matka całą noc o ciebie pytała.

- Wejść na chwilę.

Weszła posłusznie, zamknęła za sobą drzwi.

- Powiedziałaś im, co robię.

- A co miałam zrobić? Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie komisarz i poprosił, żebym przysłała na komisariat. Była dziesiąta.

Marina miała łzy w oczach.

- Spokojnie. O nic cię nie oskarżam.

- Oszukałeś mnie.

- Ja?

- Byłam przekonana, że wszystko, co robimy, jest legalne. Te wszystkie tłumaczenia, które dla ciebie robiłam... - powiedziała, wskazując ręką na szafę. - Wiesz, ile godzin pracy na nie poświęciłam, tłumacząc to wszystko na włoski i na angielski?

- Jestem ci bardzo wdzięczny. Rozumiem, że o tym nikomu nie wspomniałaś... - dodał, zerkając na szafę.

- Nie pytali.

- Dobrze.

- To prawda, co oni mówią? Że zwariowałaś?

- A jak sądzisz?

Marina wzięła się w garść, próbując ocenić stan psychiczny Tommaso. Mężczyzna się uśmiechnął. Potrzebował jej pomocy, żeby przejąć przesyłkę z Chin.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział.

- Twierdzą, że to z powodu twojej matki.

- Komu bardziej wierzysz? Mnie czy komisarzowi?

Marina się zamyśliła. Była rozsądną kobietą, sam ją wybrał i zatrudnił. Miała trójkę

dzieci, sylwetkę jak beczka, ale serce ze złota i co najważniejsze: znała angielski, co w Wenecji było na wagę złota. Tu mało kto znał angielski, a ci, którzy go znali, słono żądali za swoje umiejętności.

Tusz do rzęs płynął po policzkach Mariny. Tommaso podał jej chusteczkę. Uznał, że pewnie nie doczeka się odpowiedzi.

- Znajdź mi jakiś karton. Zabieram sprawę do domu. I mam do ciebie jeszcze jedną, ostatnią już prośbę.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nie.

- To bardzo ważne. Ważniejsze od nas obojga. Kiedy komisarz da ci paczkę z Chin i poprosi, żebyś odesłała ją z powrotem, nie zrobisz tego.

Kobieta patrzyła na niego posłusznie. To lubił.

- Prześlesz ją właścicielowi telefonu komórkowego o tym numerze.

Podał jej serwetkę, na której był zapisany numer telefonu.

- Czyj to numer?

- Pewnego policjanta w Kopenhadze. Który również interesuje się sprawą. Teraz, kiedy zostałem zwolniony, został tylko on.

- Jak mam do niego dotrzeć?

- Zadzwoń do niego i dowiedz się wszystkiego. Albo wyślij mu SMS i poproś, żeby przysłał ci swoje dane. Wtedy wyślesz mu paczkę. Poczta dyplomatyczną. Tak będzie najszybciej.

16

Duński Czerwony Krzyż, Kopenhaga

- Dobrzy ludzie, mówi pan?

Niels nie potrafił powiedzieć, czy Thorvaldsen czuje się zaszczycony, czy raczej przestraszony.

- Wszystkie ofiary to dobrzy ludzie?

- Tak, ludzie czyniący dobro: pediatrzy, obrońcy praw człowieka, pracownicy organizacji pomocowych, z pańskiej branży.

- Zajmujący się dobroczynnością. To słowo jest tutaj dozwolone.

Niels rozejrzał się po robiącym wrażenie gabinecie. Duńskie meble designerskie. Wagner. Børge Mogensen. Prawdziwe dywany. Panoramiczne okno. Na ścianie duże zdjęcie Thorvaldsena w towarzystwie Nelsona Mandeli i Bono, zapewne z Robben Island.

- Kto jeszcze jest na liście?

- Słucham?

- Na tej pańskiej liście. Kogo jeszcze zamierza pan ostrzec?

- To poufne informacje.

Thorvaldsen odchylił się do tyłu i niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Policyjna lista dobrych ludzi królestwa. Mam czuć się zaszczycony?

Niels nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Skąd wiadomo, że te wszystkie morderstwa mają ze sobą coś wspólnego? - ciągnął Thorvaldsen. - Może to zbieg okoliczności?

- Niewykluczone. Nie my prowadzimy sprawę.

- Więc czemu się w to tak angażujecie? - Thorvaldsen się uśmiechnął, żeby pokryć swój sceptycyzm. O chwilę za późno.

- Proszę potraktować to jako delikatne ostrzeżenie. Jeśli wydarzy się coś nadzwyczajnego: włamanie, napaść, cokolwiek, proszę do mnie zadzwonić. Rozumiem, że w ostatnim okresie nie otrzymywał pan żadnych gróźb?

- Ależ cały czas je otrzymuję. Adwokaci mojej byłej żony bez przerwy mi grożą.

Rozległo się pukanie do drzwi, po chwili weszła sekretarka, niosąc kawę.

- To chyba zbyt ciche - syknął Thorvaldsen, posyłając jej niezadowolone spojrzenie. - Za chwilę kończymy.

Niels zauważył, że jest zdenerwowana. Znów popełniła błąd. Szef był z niej niezadowolony. Postanowił przyjść jej na ratunek.

- Chętnie się napiję - ucieszył się. - Odbiorę sobie w naturze, za pieniądze, które zawsze wrzucam do waszych puszek.

Sekretarka podała mu kawę. Ręka lekko jej drżała.

- Dziękuję - powiedział Niels, spoglądając na dziewczynę.

Thorvaldsen ciągnął dalej.

- Dacie mi ochronę? - kontynuował.

Już nie czuł się zaszczycony, zaczął się bać.

- Niebezpieczeństwo jest niewielkie. Oceniałbym, że gdzieś w dolnej części skali zagrożenia - zapewnił go Niels.

Uśmiechnął się do niego uspokajająco, wiedząc, że takie zdanie odniesie wręcz przeciwny skutek. W świadomości mężczyzny pozostanie „skala zagrożenia”. Jeśli boimy się na przykład jakiejś choroby, nie uspokoimy się, kiedy o niej przeczytamy, nawet jeśli jest to rzadka choroba. Nasz strach nie zmaleje, a wręcz wzrośnie. Niels poczuł nagle niewytłumaczalną ochotę ukarania Thorvaldsena. Niech ma o czym myśleć przez kilka następnych nocy.

- To prawda, że morderstwa zostały dokładnie zaplanowane, jednak na obecnym etapie nie mamy powodów podejrzewać, że w najbliższym czasie dojdzie do nich tu, w Danii - powiedział i uśmiechnął się do sekretarki, zanim wyszła z pokoju.

- Więc czemu pan tu jest?

- Na wszelki wypadek.

- Jeśli podejrzewacie, że coś mi zagraża, to powinniście zapewnić mi bezpieczeństwo.

- Nie w obecnej sytuacji. Jeśli stopień zagrożenia wzrośnie, natychmiast podejmiemy odpowiednie kroki. Na razie jednak proszę się...

- Nie denerwować - wszedł mu w słowo Thorvaldsen.

- Zgadza się - potwierdził Niels.

Wyjrzał przez okno, które wychodziło na zielone tereny Fælledparken. Szron ściał trawę i pokrył cienką warstwą gałęzie drzew. Wyglądały jak na starym obrazie, który z czasem nieco już wyblakł.

Zapadło milczenie. Niezadowolenie mężczyzny było niemal fizycznie wyczuwalne. Niels nie zdziwił się, gdy po chwili Thorvaldsen powrócił do swojego wywodu.

- Proszę posłuchać. Kiedy nie śpię, to każdą godzinę mojego życia poświęcam na ratowanie ludzi w potrzebie. Szacuje się, że tylko dzięki projektowi wodnemu dla Afryki udało nam się w zeszłym roku uratować tysiąc ludzkich istnień. Nie wspominając już o naszym wkładzie w pomoc, udzieloną po...

Mężczyzna urwał. Pewnie wyczuł, że Niels go nie słucha.

- W takiej sytuacji spodziewałbym się jednak pomocy ze strony władz - zakończył.

- Zostawię panu mój numer telefonu. W razie potrzeby proszę dzwonić w każdej chwili.

- Dziękuję, znam numer na policję!

Milczenie powróciło. Niels wstał.

- Tak jak powiedziałem, proszę dzwonić. I bacznie obserwować, co się wokół pana dzieje.

- Oczywiście. Proszę pozdrowić Amundsena z Amnesty. Domyślam się, że pewnie

jest następny na pańskiej liście. Niech pan go spyta, czy mamy się ukryć w jego letnim domku, czy w moim?

Niels skinął głową i opuścił gabinet.

Spokojnie, Thorvaldsen, pomyślał w duchu w drodze do windy. Nic ci nie grozi. Wyjął listę dobrych ludzi królestwa, jak nazwał ją jego rozmówca.

Starannie wykreślił z niej nazwisko Thorvaldsena.

17

Kongens Lyngby

Po co komu tyle miejsca, zastanawiał się Niels, skręcając w willową uliczkę. Na ulicy nie było żywego ducha. Na podjazdach przed domami stały mniejsze samochody żon. Kiedy wieczorem wrócą te większe, zaparkują obok nich.

*

Na mosiężnej tabliczce, umieszczonej na drzwiach w kolorze bornholmskiej czerwieni, widniało tylko samo nazwisko: Amundsen. Numer dwa na liście. Z wewnątrz dochodziły jakieś dźwięki. Ktoś chodził po schodach, najpierw wchodził, potem schodził. Niepewne kroki. Niels zadzwonił, dotknął ręką starych drewnianych drzwi. Na środku widniał ślad, jakby ktoś kiedyś próbował je sforsować. Zastukał zniecierpliwiony.

- Otwórz - szepnął.

Odwrócił się i spojrzał na ulicę. Żadnych świadków. Włożył palec do szpary na listy, uniósł wieczko i zobaczył nagie kobiece łydki, ktoś znów wbiegał na górę. Niels usłyszał szepty, wstał w momencie, kiedy drzwi w końcu się otworzyły. Stojący przed nim mężczyzna miał młodzieńczy wygląd i długie, sięgające ramion włosy. Jasne niebieskie oczy.

- Mogę panu w czymś pomóc?

- Christian Amundsen?

- Tak?

- Niels Bentzon z kopenhaskiej policji. Szukałem pana w biurze, ale powiedziano mi, że jest pan chory.

Mężczyzna spojrzał na niego zmieszany.

- Chory jak chory. Każdy czasem potrzebuje wziąć sobie wolny dzień. To coś z

samochodem?

- Próbowałem dzwonić. Poświęci mi pan dziesięć minut?

- A o co chodzi?

*

Niels przyglądał się wiszącym na ścianie fotografiom oprawionym w ramki. Amundsen w Afryce, obejmujący wypuszczonych na wolność więźniów w Azji, przed więzieniem z uśmiechniętymi ludźmi.

- To z Myanmar - objaśnił Amundsen.

- Birma?

- Więźniowie polityczni. Trzy lata walczyłem, żeby zwolniono ich z więzienia Insein, jednego z najcięższych na świecie.

- To musiał być wielki dzień.

- Myśli pan, że udało mi się załatwić dla nich azyl w Danii?

- Z pańskiego pytania wnioskuję, że nie.

- W końcu przyjął ich rząd Australii. Uległ naszej presji.

Dziewczyna, której nogi widział Niels, weszła do pokoju, niosąc na tacy herbatę. Miała na sobie dzinsy. Bardzo obcisłe. Czerwona szminka dobrze harmonizowała z jej gładkimi czarnymi włosami. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Między nią a mężczyzną wyraźnie coś było. Niels miał wrażenie, że znalazł się w ich sypialni.

- To Pinoy. Pracuje u nas jako *aupair*.

- Dzień dobry - odezwała się dziewczyna. - Herbaty?

Miły głos, uprzejmy, ale pewny siebie.

- Poproszę.

- Pinoy też była prześladowana. Dwukrotnie siedziała w więzieniu, ale i tak nie udało nam się załatwić jej statusu uciekiniera. Musieliśmy zatrudnić ją jako *aupair*. To było znacznie łatwiejsze. I całkowicie legalne. Ludzie bogaci muszą przecież mieć dostęp do taniej siły roboczej.

- Wracając do sprawy... - zaczął Niels, ale Amundsen znów mu przerwał.

- Niedługo tylko w ten sposób będzie można załatwić ludziom prawo pobytu. Staramy się pomagać jak największej liczbie osób.

Niels milczał, pozwalając Amundsenowi mówić i nieco ochłonąć.

- Jak już mówiłem, nie ma powodu do niepokoju. Proszę dzwonić, jeśli zdarzy się coś szczególnego: włamanie, napad, próba wyważenia drzwi. Albo jeśli zacznie pan dostawać tajemnicze telefony.

- Nigdy dotąd mi się to jeszcze nie zdarzyło. To wszystko brzmi dość niewiarygodnie. Dlaczego ktoś miałby mordować dobrych ludzi?

Zza okna doszedł ich dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu.

- To dzieciaki. Przepraszę pana na chwilę, dobrze?

Zanim Niels zdążył odpowiedzieć, Amundsen wyszedł z pokoju. Niels wyrzął przez okno i zobaczył wysiadającą z samochodu ciężarną żonę Amundsena i dwójkę małych dzieci. Spojrzał w stronę korytarza, zobaczył Amundsena i stojącą obok niego młodą Azjatkę; była wyraźnie zła. Mężczyzna coś do niej szeptął, zaraz potem otworzyły się drzwi. Rozradowane dzieci, uśmiechy, uściski. Niels wrócił do oglądania zdjęć, świadectw kolejnych zwycięstw Amundsena. Obok nich wisiał też oprawiony w ramkę artykuł: „Amnesty ratuje Jemeńczyków przed odesłaniem do domu”.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział Amundsen, stając w drzwiach z dzieckiem na ręku.

Nieszczęsny człowiek, próbujący okiełznać swoje żądze, kompensujący swoje zachowanie czynieniem dobra. Niels uśmiechnął się do dziecka.

- Proszę nie przepraszać - zwrócił się do mężczyzny. - I zadzwonić, gdyby wydarzyło się coś niezwykłego. Ale jeszcze raz powtarzam, że nie ma powodu do niepokoju.

- Ja się nie niepokoję - powiedział Amundsen, biorąc do ręki wizytówkę Nielsa. - Chce pan wiedzieć, co o tym wszystkim sędzę?

- Słucham.

- Że szuka pan w niewłaściwym miejscu.

- Dlaczego?

- W tej branży nie znajdzie pan dobrych ludzi. Dla wielu najważniejsze jest własne ego, poza tym media robią za dużo szumu.

- Moim zadaniem jest jedynie ostrzec tych, których jakiś szaleniec mógłby ewentualnie uznać za dobrych.

Amundsen się zawahał.

- Jest pan tego pewien? - spytał, patrząc Nielsowi w oczy.

*

Amundsen został sam w gabinecie. Policjant poszedł. Wizyta nie była przyjemna. Miał wrażenie, że funkcjonariusz go przejrzał i wiedział, że kłamie. Dlaczego nie powiedział mu o tajemniczych telefonach? Dzwoniono do niego nawet w nocy. Dlaczego nie powiedział mu, że kiedyś ktoś rzucił butelką w jego drzwi? Dźwięk rozbijanego szkła wciąż dźwięczał mu w uszach. Butelka rozbiła się na tysiąc kawałków, na drzwiach został ślad. Wśród

kawałków szkła znalazł potem banderolę. Amarula cream. Znał nazwę, afrykański likier o kremowej konsystencji, sama słodycz, na etykiecie był słon. Kiedyś w Sierra Leone upił się właśnie tym likierem. Może było to w Liberii? Czyżby incydent z butelką miał z tym coś wspólnego? Sierra Leone, przedsionek piekła: okrutne zbrodnie, bieda, głód, korupcja, szaleni dyktatorzy i nieistniejący system prawny, który utrudniał pracę organizacji. Działając w takich warunkach, nie można było uniknąć błędów. A błędy przysparzały wrogów.

Szczególnie jedno zdarzenie utkwilo mu w pamięci. Kilka lat temu Amundsen razem z szefami organizacji z innych krajów pojechał do Sierra Leone. Powstawało tam centrum kryzysowe dla dzieci-żołnierzy. Amundsen poznał przy tej okazji dwóch chłopców skazanych na karę śmierci za masakrę, jakiej się dopuścili w swojej wiosce. Jeden z chłopców zastrzelił swojego młodszego brata. Miał wtedy dwanaście lat, brat - dziesięć. Reszta rodziny zażądała, żeby chłopiec został stracony. Amundsen nigdy nie spotkał bardziej samotnego człowieka. Kraj, armia, która porwała go z domu, rodzina, wszyscy życzyli mu śmierci. Zostawili go, żeby umarł. Amnesty zebrała ponad sto tysięcy podpisów, które Amundsen osobiście wręczył prezesowi Sądu Najwyższego. Proces był farszą. Sala sądowa została urządzona w dawnej knajpie opuszczonego hotelu. Bóg jeden wiedział, skąd czarnoskóry sędzia wytrzasnął swoją żalostną białą perukę. Bóg zresztą dawno już opuścił zachodnią Afrykę, zostawiając sprzątanie piekła takim organizacjom jak Amnesty, Czerwony Krzyż czy Lekarze bez Granic. Kropla w morzu potrzeb.

Drugi z chłopców miał przynajmniej wsparcie własnej rodziny. Został wcielony do wojska, kiedy miał osiem lat. Kiedy Amundsen go poznał, miał dziesięć. Został przeszkolony do zabijania. W ciągu dwóch miesięcy stał się maszynką do zabijania. Ćwiczone na dzieciach. Dzieci strzelały do dzieci. Jeśli któreś się opierało i nie chciało pociągnąć za spust, dostawało kulkę od sierżanta. Mike, jak nazwano chłopca, szybko poznał dobrodziejstwo narkotyków. Bez nich oszalałby, pewnie strzeliłby sobie w łeb. Amundsen nigdy nie zapomni swojego pierwszego spotkania z chłopcem. Wiedział, że będzie trudne, ale rzeczywistość przeszła wszystko. Zobaczył chłopca, który ćpał, żeby przeżyć piekło. Siedział w swojej celi, trząsał się, drżał, myślał i mówił tylko o jednym, o kolejnej działce. Amundsen pozostawał w bliskim kontakcie z jego rodziną. Może dał jej zbyt dużo nadziei? Obaj chłopcy zostali rozstrzelani na brudnym więziennym dziedzińcu. Oczywiście. Bo wszystkie historie z Sierra Leone kończyły się śmiercią.

Matka oskarżyła Amnesty, jego osobiście, że nie dość się starał. Nadal pamiętał słowa, które wtedy wykrzyczała: „Śmierć mojego syna stanie się twoją zapłatą!”

Często wracał w myślach do tych słów. Robiły wrażenie. Niefortunna zbitka,

tłumaczył sobie. Przecież on walczył o nich. Jego praca polegała na dawaniu ludziom nadziei. Tego jednak matka nie rozumiała. Jej słowa ciągle do niego wracały.

Śmierć mojego syna stanie się twoją zapłatą.

18

Centrum miasta, Kopenhaga

Niels ponownie sięgnął po listę. Severin Rosenberg, przeczytał. Przedostatni na liście. Ostatni był Gustav Lund, matematyk, laureat Nagrody Nobla z dziedziny matematyki. Dżoker, czarny koń listy. Profesor nie był ulubieńcem mediów, co według Nielsa dowodziło, że opracowując listę, rzeczywiście starał się znaleźć ludzi, których działalność nie ograniczała się jedynie do uczestnictwa w demonstracjach i odbywających się na placu Ratuszowym pochodach z pochodniami, tylko takich, którzy naprawdę starali się pomagać innym.

Severina Rosenberga znał głównie z artykułów prasowych. Wiedział, że pastor wielokrotnie ukrywał imigrantów, którym odmówiono azylu. Media ochrzciły go nawet Pastorem Azylantów. Prawicowy politycy nienawidzili go, podobnie jak duża część społeczeństwa. Ale Severin Rosenberg nie przejmował się krytyką. Obstawał przy swoim, powtarzając, że miłość bliźniego oznacza miłość do każdego bliźniego, nie tylko do bliźnich o jasnych włosach i niebieskich oczach. I że wszyscy mamy obowiązek pomagać tym, którzy tej pomocy potrzebują. Oglądając wystąpienia pastora w telewizji, Niels odniósł wrażenie, że jest on człowiekiem inteligentnym, chociaż nieco oderwanym od rzeczywistości. Idealista gotowy pójść w ogień za swoją wiarę. Dwa tysiące lat temu rzucono by go na pożarcie lwom w Koloseum. Niewątpliwie był nieco naiwny, pomyślał Niels z sympatią.

Natomiast kościoły jako takie nudziły Nielsa. Zawsze twierdził, że jeśli widziało się jeden, widziało się wszystkie. Zupełnie inaczej niż Kathrine, która miała wyraźną słabość do tych świętych miejsc. Kiedyś, podczas kopenhaskiej Nocy Sztuki, zaciągnęła go do Helligandskirken, kościoła pod wezwaniem Ducha Świętego. Chór śpiewał łacińskie hymny, jakiś pisarz z długą brodą opowiadał historię kościoła. Jedyne, co Niels zapamiętał, to że kiedyś w tym miejscu był przyklasztorny szpital. Kiedy w średniowieczu Kopenhaga stała się europejską metropolią, do miasta zaczęli przybywać liczni podróżni: rycerze, kupcy. Oznaczało to wzrost liczby prostytutek i nieślubnych dzieci, które często zabijano zaraz po

urodzeniu. Wtedy właśnie rozbudowano kościół i zamieniono go na przyklasztorny szpital, w którym matki mogły zostawić swoje niechciane dzieci.

Niels zaparkował samochód na chodniku, przyglądał się kościołowi. Sześćset lat później mieszkańcy Kopenhagi nadal oddają tu swoje dzieci, pomyślał. Dawny klasztor zamienił się bowiem w żłobek.

Został chwilę w samochodzie, patrząc na niebo, na którym słońce z trudem przebijało się przez cienką warstwę szarobiałych chmur. Przyglądał się ludziom na ulicy. Młoda matka pchała przed sobą dziecięcy wózek, para starszych ludzi szła, trzymając się za rękę, jakby dopiero co się w sobie zakochali. Ładny zimowy dzień. Kopenhaga. Czy Kopenhaga, jak miasto zostało nazwane w związku z odbywającym się tu właśnie szczytem klimatycznym.

*

Przeszedł przez plac i natychmiast zauważył zaparkowany na chodniku radiowóz. Jakiś mężczyzna głośno wyzywał policjantów. Schrypnięty głos dowodził, że wiele lat nałogu mocno nadwerżyło jego struny głosowe. Funkcjonariusze przytrzymali narkomana za obie ręce.

- Ja tego nie zrobiłem, kretynie! - krzyczał ćpun.

Niels znał go. Raz, dawno temu, chyba nawet go aresztował. Jeden z wielu kopenhaskich nieszczęśników. Chwast, na którego widok wszyscy odwracali głowy z bezsilną mieszaniną współczucia i odrazy. Nagle ćpun wyrwał się policjantom i zaczął uciekać, zataczając się komicznie na chudych nogach. Zrobił kilka kroków i wpadł prosto na Nielsa. Najwyraźniej nie był to jego szczęśliwy dzień.

- Hej, spokojnie.

- Puść mnie, do cholery!

Niels chwycił nieszczęśnika za ramiona. Począł, aż policjanci podejść bliżej. Mężczyzna był wychudzony, skóra i kości. Niels miał wrażenie, że w każdej chwili może się złamać w pół. Niewiele życia mu zostało, już czuć od niego śmierć, pomyślał.

- Uważajcie na niego - rzucił do policjantów.

Pokazał swoją policyjną legitymację i przekazał zatrzymanego mężczyznę w ręce kolegów. Jeden z nich najwyraźniej zamierzał rzucić ćpuna na bruk i założyć mu kajdanki.

- To konieczne? - spytał Niels. - Co facet zrobił?

- Próbował włamać się do piwnicy pod kościołem.

- To nie byłem ja! - krzyczał ćpun. - Dlaczego mi nie wierzycie? Chciałem tylko dać sobie w żyłę.

Niels spojrzął na zegarek. Był spóźniony; nie miał czasu dochodzić, co naprawdę się

wydarzyło. Do szóstej musi skontaktować się ze wszystkimi osobami na liście.

Ale ćpun się nie poddawał.

- Dokąd mnie zabieracie, do cholery? A dokąd mam iść, żeby dać sobie w żyłę, co?

Kajdanki zatrzasnęły się z niewinnym stuknięciem na chudych nadgarstkach mężczyzny. Niels zauważył jego tatuaż: czerwony wąż i fioletowy smok, wokół nich znaki, których nie był w stanie odczytać. Tatuaż wydawał się świeży, kolory były wyraźne. Na pewno nie został wykonany w więzieniu. To było prawdziwe dzieło sztuki, zrobione przez profesjonalistę.

Małe piwniczne okienko rzeczywiście było wyjęte, obok leżała zużyta strzykawka. Niels wrzucił ją do śmietnika. W szczelinie między kostkami bruku zauważył niewielką śrubkę. Wyłowił ją i sprawdził, czy pasuje do zawiasów. Pasowała.

- Zrobiliście mu rewizję? - spytał stojącego obok młodego policjanta.

- Tak.

- Znaleźliście śrubokręt?

- Nie.

Niels pokazał funkcjonariuszowi śrubkę.

- Nie poradziłby sobie z tym. Tu trzeba siły - stwierdził.

Policjant wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno.

- Jeśli nie macie innych pytań, to go zabieramy.

Niels go nie słuchał. Zaintrygował go tatuaż zatrzymanego mężczyzny. Dlaczego ćpun, który ledwie jest w stanie wskrobać tysiąc koron na dzienną działkę, wydaje dziesięć tysięcy na tatuaż?

Piwnica pod kościołem, Kopenhaga

Rosenberg wyglądał dokładnie tak, jak Niels zapamiętał go z telewizji. Wysoki korpulentny mężczyzna, rzadkie włosy, nieco zgarbiony. Jego okrągła twarz przypominała uśmiechnięte słońce na dziecięcych rysunkach, ale oczy, ukryte za grubymi szklami, były poważne.

- To się zdarza, nawet kilka razy do roku - powiedział.

Pastor i Niels stali w piwnicy pod kancelarią kościoła. Pomieszczenie było właściwie puste. Kilka krzeseł, jakieś zakurzone kartony, półka, a na niej stos broszur. I to wszystko.

- Zdarza się, że jakiś narkoman albo bezdomny biedak ubzdura sobie, że kościelna kasa jest pełna pieniędzy. Chociaż dotychczas zawsze włamywali się w nocy, nigdy w biały

dzień. Cóż, najwyraźniej stają się coraz bardziej bezczelni.

- Nie zauważył pastor niczego podejrzanego? Nikt tu się nie kręcił?

- Nie. Pracowałem w kancelarii. Odpowiadałem na mejle, studiowałem sprawozdanie z ostatniego zebrania rady parafialnej. Oszczędzę panu szczegółów.

Niels spojrzął na pastora, uśmiechnął się. Ludzie często sami z siebie mówili policji więcej, niż zamierzali.

- Nic nie zginęło?

Pastor powiódł wzrokiem po ziemskim dobytku kościoła: składane krzesła, kartony, zwykły bałagan.

- Co jest za tymi drzwiami? - spytał Niels.

Rozejrzał się i, nie czekając na odpowiedź, podszedł i je otworzył. Jego oczom ukazało się niewielkie, ciemne pomieszczenie. Po chwili zapaliło się światło. Składane krzesła, jakieś stoły. I sterta materaców w kącie.

- Tutaj mieszkali? - spytał Niels.

Pastor podszedł do niego.

- Zamierza mnie pan aresztować?

W jego tonie dawało się wyczuć lekką krytykę działań policji.

Wilgotne ściany piwnicy pastor zamienił w galerię czarno-białych zdjęć. Dokument czasów, kiedy przebywali tu nielegalni uciekinierzy. Niels przyglądał się ich twarzom. Był w nich strach. I nadzieja. Nadzieja, którą dał im pastor Rosenberg.

- Ilu ich było?

- W pewnym momencie dwunastu. Nie jest to hotel D'Angleterre, ale jakoś sobie radziliśmy.

- Palestyńczycy?

- I Somalijscy, Jemeńczycy, Sudańczycy i nawet jakiś Albańczyk. Oczywiście, o ile nie kłamali. Nie wszyscy byli skorzy do wynurzeń. Pewnie mieli swoje powody.

Niels przyglądał się swojemu rozmówcy. Stali zaledwie kilka centymetrów od siebie, ale miał wrażenie, że odległość między nimi jest większa. Jakby rozdzielał ich niewidzialny mur. Sfera prywatności pastora zdawała się większa niż u innych ludzi. Odtąd dotąd i ani kroku dalej. Niels właściwie nie był zaskoczony. Często miewał podobne odczucia w kontaktach z ludźmi, którzy zawodowo pomagali innym: psychologami, psychiatrami, politykami. Pewnie był to rodzaj mechanizmu obronnego.

- Teraz prowadzę tu zajęcia dla konfirmantów. To bardzo dobra lekcja człowieczeństwa, choć pewnie mało przyjemna.

Pastor zgasił światło. Niels stał teraz w całkowitej ciemności.

- Opowiadam młodzieży o tej nocy, kiedy zjawiała się tu policja. O tym, jak ludzie się obejmowali, niektórzy nawet płakali. Wszyscy doskonale wiedzieli, co ich czeka, ale byli odważni. Opowiadam im o tej nocy, kiedy przyszli tu pańscy koledzy. Wylamali drzwi do kościoła, słyszeliśmy ich ciężkie kroki, kiedy szli przez kościół.

- Ale tutaj nie zeszli?

- Nie, tutaj nie zeszliście. Zrezygnowaliście.

Niels wiedział, że to nie policja zrezygnowała, tylko politycy ulegli społecznej presji. Kiedy pastor po chwili zapalił światło, spojrzął ponownie na otaczające go zdjęcia, próbując sobie wyobrazić, jak tu wtedy wyglądało.

- Na tym zdjęciu jest chyba więcej osób niż dwanaście - powiedział Niels, gdy rzucił na nie okiem.

Na zdjęciu było zdecydowanie więcej osób niż na fotografiach, które widział w piwnicznym korytarzu.

Pastor stał w drzwiach; widać było, że chce, by Niels jak najszybciej stąd wyszedł.

- Rzeczywiście. Kilka osób zniknęło - przyznał niechętnie w końcu.

- Zniknęło? - powtórzył Niels.

Na twarzy pastora pojawiła się niepewność.

- Tak. Kilku Jemeńczyków uciekło.

- Jak?

- Nie wiem. Pewnie postanowili radzić sobie sami.

Niels nie miał żadnych wątpliwości.

Pastor Rosenberg kłamał.

*

Kościół był pusty. Ta znaczy prawie pusty. Gdzieś w kącie ćwiczył organista, powtarzając na okrągło ten sam kawałek. Pastor nie przejął się zbytnio informacjami, które Niels mu przekazał.

- Dobrzy ludzie, mówi pan. Jacy dobrzy ludzie?

- Walczący o prawa człowieka, niosący pomoc krajom rozwijającym się.

- Na jakim świecie my żyjemy? Ktoś morduje dobrych ludzi?

- Proszę uważać, kogo pastor tu wpuszcza. Trochę ostrożności nie zawadzi.

Pastor dał Nielsowi kilka śpiewników.

- Nie boję się. Mnie to nie dotyczy - powiedział i się uśmiechnął. - Nie jestem zagrożony, nie jestem dobrym człowiekiem - dodał. - Zapewniam pana, że jestem

grzesznikiem.

- Też nie sądzimy, żeby panu coś groziło, ale tak na wszelki wypadek.

- Kiedyś do Lutra, do starego Lutra, przyszedł pewien mężczyzna.

- Do tego Lutra, który zrobił z nas protestantów?

- Tak. - Pastor się uśmiechnął, patrząc pobłaźliwie na Nielsa, jakby ten był dzieckiem.

- Tak więc mężczyzna ten przyszedł do Lutra - ciągnął pastor. - Powiedział, że wszystko przemyślał, i doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie zgrzeszył. Luter przyglądał mu się chwilę i wie pan, co odpowiedział?

Niels poczuł się, jakby znów znalazł się na zajęciach dla konfirmantów. Nie było to miłe wspomnienie.

- Że ma szczęście?

Pastor Rosenberg pokręcił triumfująco głową.

- Nie. Że ma zacząć grzeszyć. Że zadaniem Boga jest ratować grzeszników, a nie tych, którzy już zostali zbawieni.

Organista przestał grać. Do kościoła weszli turyści i zaczęli się rozglądać, okazując obowiązkową ciekawość. Pastor wyraźnie zamierzał powiedzieć coś więcej, ale chciał pewnie odczekać, aż ostatnie dźwięki organów ulecą pod sufit.

- Żydzi mają przypowieść o dobrych ludziach. Zna ją pan?

- Nigdy specjalnie nie interesowałem się religią - powiedział Niels i zaraz dodał przepraszająco: - Pewnie nie powinienem mówić takich rzeczy pastorowi.

Rosenberg udał, że go nie słyszy, i kontynuował. Jakby wygłaszał swoje niedzielne kazanie.

- Jest to przypowieść o trzydziestu sześciu dobrych ludziach, dzięki którym ludzkość przetrwa.

- Dlaczego akurat trzydziestu sześciu?

- Każda litera żydowskiego alfabetu ma przypisaną sobie wartość liczbową. Litery w słowie „życie” sumują się do osiemnastu. Dlatego osiemnastka uchodzi za liczbę świętą.

- Osiemnaście plus osiemnaście równa się trzydzieści sześć. Czy to znaczy, że ta liczba jest podwójnie święta?

- Jak na kogoś niezainteresowanego religią świetnie pan sobie radzi.

Niels poczuł się dumny. Jak dziecko, pomyślał i się uśmiechnął.

- Skąd to wiadomo? - spytał.

- Skąd wiadomo co?

- Że Bóg zesłał nam trzydziestu sześciu dobrych ludzi.

Niels próbował ukryć swoje niedowierzanie, ale po oczach pastora widział, że nie uszło ono jego uwagi.

- Bóg powiedział to Mojżeszowi.

Niels powiódł wzrokiem po wiszących na ścianach kościoła obrazach. Anioły i demony. Martwi wypełzający z grobów. Syn Boży przybity gwoździami do krzyża.

W czasie swojej dwudziestoletniej służby Niels dużo widział. Nawet za dużo. Przemierzył Kopenhagę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu dowodów i motywów zbrodni. Poznał najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy, widział rzeczy, na których wspomnienie jeszcze po latach robiło mu się niedobrze. Nigdy jednak nie znalazł nawet cienia dowodów na to, by istniało jakieś życie po życiu.

- Góra Synaj - odezwał się znów pastor. - Mojżesz wszedł na nią i odebrał instrukcje. Te, według których nadal funkcjonujemy, na których zbudowaliśmy nasze prawo. Nie zabijaj.

- Co jeszcze nikogo przed tym nie powstrzymało.

Rosenberg wzruszył ramionami i mówił dalej.

- Kochaj bliźniego swego. Nie kradnij. Dziesięć przykazań. Na pewno pan je zna.

- Owszem.

- Prawdę mówiąc, pana praca polega właśnie na dbaniu o to, żeby ludzie ich przestrzegali. W pewnym sensie pan też działa zgodnie z religią - powiedział pastor, uśmiechając się do Nielsa.

Niels odwzajemnił jego uśmiech. Pastor był inteligentny. I doświadczony. Lata pracy nad niedowiarkami zrobiły swoje.

- Może rzeczywiście - zgodził się. - Co Bóg mu powiedział?

- Powiedział, że każde pokolenie będzie miało swoich trzydziestu sześciu sprawiedliwych, i to właśnie dzięki nim ludzkość przetrwa.

- Mają chodzić i głosić słowo Boże?

- Nie. Oni sami nie wiedzą, że zostali wybrani.

- Dobrzy ludzie nie wiedzą, że są dobrzy?

- Tak. Tylko Bóg zna ich tożsamość. Ale strzegą nas - powiedział i zamilkł na chwilę.

- Dla Żydów ta przypowieść jest bardzo ważna. Jeśli chce pan porozmawiać z ekspertem, powinien pan się zgłosić do synagogi na Krystalgade.

Niels spojrzął na zegarek, pomyślał o Kathrine, o swoich pigułkach i o jutrzejszym locie.

- Naprawdę tak trudno w to uwierzyć? - dociekał pastor. - Przecież nikt nie wątpi, że na świecie istnieje zło. I źli ludzie. Hitler. Stalin. Dlaczego więc nie mogą istnieć dobrzy?

Trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy usiłują przeważać szalę. Ile kropel dobroci potrzeba, by utrzymać zło w ryzach? Może trzydzieści sześć wystarczy?

Zapadła cisza. Pastor wziął od Nielsa śpiewniki i postawił je na półce przy wyjściu. Niels podał pastorowi rękę. Po raz pierwszy poczuł taką potrzebę wobec kogoś z listy. Może świątynia mimo wszystko ma na nas jakiś wpływ, pomyślał.

- Tak jak mówiłem, proszę po prostu być ostrożnym.

Pastor otworzył drzwi. Ludzki gwar, kolędy, dźwięk dzwonek, hałas, pędzący do przodu, chaotyczny świat. Niels spojrzał pastorowi w oczy, zastanawiając się, dlaczego mężczyzna skłamał i co takiego nie chciał mu powiedzieć.

- Henry Kissinger w swojej mowie na pogrzebie Geralda Forda uznał zmarłego prezydenta za jednego z dobrych ludzi. Ktoś określił tak również Schindlera. No i może jeszcze Ghandi. Churchill?

- Churchill? - zdziwił się Niels. - Można posyłać ludzi na wojnę i nadal być dobrym człowiekiem?

Pastor zastanawiał się chwilę.

- Bywają sytuacje, w których wręcz należy postąpić niewłaściwie. Tyle że wtedy przestaje się być dobrym. Na tym zresztą polega chrześcijaństwo: dopiero gdy zaakceptujemy grzech, będziemy w stanie żyć wśród ludzi.

Niels spuścił wzrok, przyglądał się posadzce kościoła.

- Mam wrażenie, że nieźle pana nastraszyłem. My, duchowni, jesteśmy w tym dobrzy - powiedział pastor i roześmiał się dobrotliwie.

- Zapisałem w komórce pański numer telefonu. Jeśli pan zadzwoni, będę wiedział, że to pan. Proszę mi obiecać, że da pan mi znać, jeśli coś pana zaniepokoi.

*

Niels ruszył z powrotem do samochodu. Zatrzymał się na chwilę przy piwnicznym okienku. Coś tu się nie zgadza, pomyślał. Okno w piwnicy. Narkoman, tatuaż, kłamstwa Rosenberga. Ale czy wszystko zawsze musi się zgadzać? Logika czasem kuleje, pomyślał. To właśnie jest przekleństwem policji. Ludzie kłamią. Chodzi o to, żeby znaleźć kłamstwo, które nie tylko ukrywa grzech, ale także przestępstwo.

Zakonnica pochodziła z Filipin. Siostra Magdalena z zakonu Świętego Serca. Tommaso lubił ją. Miła, uśmiechnięta twarz. Pomagała nieuleczalnie chorym przejść na drugą stronę. Niedawno odnowione hospicjum było położone na północnych obrzeżach dawnej żydowskiej dzielnicy. Tommaso docierał do getta w ciągu dziesięciu minut. Mimo że samo słowo dawno już zmieniło swoje pierwotne znaczenie, tę część miasta nadal tak nazywano. Getto. Stąd zresztą pochodziła ta nazwa. Po włosku „getto” oznaczało kuźnię. Kilka wieków temu w tym miejscu mieściła się właśnie kuźnia. Mieszkał tu także kat. I Żydzi, którzy w pewnym momencie zostali tu zamknięci. Zatrzaśnięto im bramy przed nosem, odgradzając od reszty Wenecji. Powstało getto, które dało nazwę podobnym miejscom, tworzonym z czasem w innych miastach i innych zakątkach świata; miejscom, które wyróżniały się tym, że mieszkający tam ludzie nie mogli ich opuszczać.

Kiedy Tommaso wszedł do hospicjum, siostra natychmiast przywołała go do siebie.

- Panie Tommaso - zaczęła szeptem.

Było to szczególne miejsce, zawsze panował tu spokój, nikt nigdy nie podnosił tu głosu. Jakby chciano przygotować nieuleczalnie chorych ludzi do wiecznego milczenia, które wkrótce miało stać się ich udziałem.

- W nocy pańska matka bardzo cierpiała.

Kobieta patrzyła na niego pięknymi oczami, a on się zastanawiał, co sprawiło, że została zakonnica.

- Siostra ma dobre serce. Moja matka ma szczęście, że ma panią u swojego boku.

- Ma szczęście, że ma takiego syna.

Tommaso nie miał wątpliwości, że kobieta mówi to szczerze, ale i tak poczuł wyrzuty sumienia.

- Teraz będę miał więcej czasu - powiedział i się zawahał. - Zostałem zawieszony - dodał po chwili.

Kobieta wzięła go za rękę.

- Może to dar - stwierdziła.

Dar? - pomyślał Tommaso, tłumiąc uśmiech.

- Matka wzywała pana.

- Przykro mi, ale miałem dyżur.

- Odniosłam wrażenie, że się o pana martwi. Ciągłe powtarzała, że ma pan nie płacić.

- Mam nie płacić?

- Chodzi o jakieś pieniądze. Niech pan ich nie daje. To podobno niebezpieczne.
- Moja matka tak powiedziała? - spytał Tommaso zdziwiony.
- Tak. Potarzała to kilka razy. „Nie płac Tommaso, to niebezpieczne”, mówiła.

*

Siostra Magdalena patrzyła, jak Tommaso Di Barbara idzie korytarzem z torbą z zakupami w jednej ręce i dużym kartonem w drugiej. Czuje się zagubiony, pomyślała, patrząc, jak mijają kolejne drzwi ośmiu pokoi jedynego hospicjum w Wenecji.

Matka Tommasa leżała w ostatnim pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec budynku. Poza samotną palmą, - wszystkie pozostałe drzewa na podwórzu były nagie, natomiast na korytarzu wisiały już dekoracje bożonarodzeniowe. Girlandy i łańcuchy światełek okalały portret Marii i nowo narodzonego Zbawiciela.

Siostra Magdalena zawsze bardzo uważnie wysłuchiwała ostatnich słów umierających. Z doświadczenia wiedziała, że czasem ludzie, którzy jedną nogą byli już po tamtej, drugiej stronie, doświadczali łaski spojrzenia w przyszłość. Na ogół umierający mówili od rzeczy, ale nie zawsze. Siostra Magdalena opiekowała się umierającymi już piętnaście lat, od chwili gdy wstąpiła do zakonu Świętego Serca. Wiele widziała i wiele słyszała. Dlatego wiedziała, że nie wszystko należało uznać za słowa bez znaczenia.

W swoim poprzednim życiu, w myślach często do niego wracała, siostra Magdalena była prostytutką. Ale Bóg ją uratował. Co do tego nie tylko nie miała żadnych wątpliwości, ale wręcz miała na to dowód. Pokwitowanie za oddanie roweru do naprawy.

Jej stałym klientem w Manili był amerykański pilot. Osiadł na Filipinach i całą swoją emeryturę wydawał na alkohol i kobiety. Brał udział w wojnie w Wietnamie, do dzisiaj miał blizny na brzuchu i na nogach. I na duszy. Teraz był umierający. Ale nie umierał godnie, bo do samego końca nie był w stanie okiełznać swoich żądz. Tak więc Magdalena odwiedzała go codziennie i wtedy mu stawał. Oczywiście płacił jej. Tyle że z czasem, jak rak coraz bardziej się w niego wżerał, coraz trudniej było mu osiągnąć wytrysk.

To wszystko działo się w czasie, kiedy jeszcze nie nazywała się Magdalena, kiedy była innym człowiekiem, w innym świecie. Był pilot miał kiedyś bar, pewnie żeby zyskać alibi dla swojego alkoholizmu. Magdalena poznała go właśnie w tym barze. A teraz był chory, umierał, sam.

I wtedy wydarzyło się coś, co zmieniło całe jej życie. Kiedy przyszła do niego ostatni raz, bredził. Chwycił jej dłoń i mówił, żeby tam nie szła. „Nie idź tam!”, powtarzał. Ona uspokajała go, mówiła, że wszystko będzie dobrze i żeby się nie martwił. On jednak nadal upierał się przy swoim. „Nie wolno ci tam iść”, powiedział i opisał jej dom naprzeciwko

Shaw Boulevard Station, tuż za rogiem ulicy, przy której ona wynajmowała pokój. Na parterze był warsztat, w którym naprawiano rowery. Okna miały zielone okiennice, fasada była niebieska, ale spod płatów schodzącej farby widać było, że dom był kiedyś w jaśniejszym, pastelowym kolorze.

Następnego dnia mężczyzna zmarł. A tydzień później dom przy Shaw Boulevard Station, gdzie Magdalena oddała do naprawy swój rower, ale nigdy nie poszła go odebrać, zawalił się. Pod gruzami zginęło dziewiętnaście osób.

Wstąpiła do zakonu Świętego Serca. Zmieniła imię na Magdalena. Tak nazywała się dziewczka, którą Jezus uratował przed ukamienowaniem.

Sześć dni w tygodniu spędzała przy łózkach umierających. Przez tydzień pracowała w nocy, przez następny w dzień. Potem miała dzień wolny. Wtedy spała i oglądała *Przyjaciół* w telewizji.

O swoim przeżyciu opowiedziała ordynatorowi hospicjum, pomijając niektóre intymne szczegóły. Lekarz uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. Czyż nie jest to wystarczający dowód, pomyślała. Stary pilot nigdy nie widział domu, w którym znajdował się warsztat. Cudzoziemcy nie zapuszczali się w te rejony miasta. A jednak opisał wszystko bardzo dokładnie. Należy słuchać umierających, nawet jeśli za życia grzeszyli. Pilot brał udział w wojnie, zabijał, pił i kupował dziewczyny, z którymi uprawiał seks, bił je. A jednak Bóg wybrał właśnie jego, żeby ją ostrzec. Należy słuchać umierających.

Siostra Magdalena miała nadzieję, że Tommaso Di Barbara wysłucha swojej umierającej matki.

*

Matka Tommasa spała. Miała otwarte usta. Chrapała cicho. Tommaso postawił torbę z zakupami na niewielkiej kuchence, karton z aktami zostawił na podłodze. Początkowo schował wszystkie dokumenty do szafy w swoim pokoju na komendzie, potem Marina przemyciła je w kartonie na zewnątrz. Jakby nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego, jakby nikt nigdy nie miał o nich usłyszeć.

Tommaso kupił dobrze przyprawione salami, pomidory i czosnek. Matka co prawda nie już nie jadła, ale nadal lubiła zapach jedzenia. Tommaso to rozumiał. Zapach potraw zabijał wszechobecny tu odór śmierci i środków czyszczących. Na szczęście nie było to trudne, bo chociaż wszystkie pokoje zostały niedawno odnowione i wyposażone w kuchenki i łóżka dla rodziny, nie zadbano o właściwą wentylację. Zapach jedzenia rozchodził się więc bez większego trudu. Na szczęście.

- Mamo?

Tommaso usiadł obok matki i wziął ją za rękę. Kości obciążnięte skórą.

O tylu rzeczach nie zdążyli porozmawiać. Tak niewiele wiedział o jej życiu. O okresie wojny. Ojciec Tommasa siedział wtedy kilka miesięcy w więzieniu. Opowiedział się po niewłaściwej stronie. Co prawda sam tak nie uważał, nawet w późniejszym okresie. Do końca swoich dni pozostał wiernym faszystą. Na szczęście wcześniej umarł. „Nareszcie będziemy mieli spokój”, powiedziała matka po pogrzebie. Został skremowany. Urna stała się częścią niezwyklej mozaiki, składającej się z urn ustawionych jedna na drugiej. W ten sposób powstał cały labirynt. Kiedy Tommaso był tam pierwszy raz, niewiele brakowało, a byłby zabłądził. Problem polegał na tym, że cmentarz na wyspie nie mógł być już większy, dlatego rozbudowywano go w górę. Urny pięły się ku górze, powstawały całe korytarze, zbudowane z małych, podłużnych urn. Tommaso wątpił jednak, czy jego matka chciałaby, żeby jej prochy zostały złożone w zarezerwowanym dla niej miejscu. Uznał że nadszedł czas, żeby zadać jej to pytanie.

- Mamo?

Matka się obudziła. Patrzyła na niego bez słowa, jakby go nie poznając.

- To ja - powiedział Tommaso.

- Przecież widzę. Myślałeś, że ośleplam?

Uśmiechnął się. Matka była twarda. Potrafiła dać w twarz, ale i pocieszyć. Zacerpnął powietrza. Uznał, że nie może dłużej zwlekać.

- Mamo, wiesz, że tam, gdzie są prochy ojca... - zaczął.

Żadnej odpowiedzi. Matka leżała wpatrzona w sufit.

- Kiedy nadejdzie pora... Czy chcesz spocząć obok niego?

- Zrobiłeś zakupy?

- Mamo.

- Przygotuj coś do jedzenia, synku. Żebym poczuła zapach.

Tommaso pokręcił głową. Matka poklepała go po dłoni.

- Wszystko, co musisz wiedzieć, przekazałam siostrze Magdalenie. Wszystko ci powie. Potem. Wysłuchaj jej uważnie.

Tommaso chciał wstać, matka uściśnęła jego dłoń zadziwiająco mocno.

- Słyszysz mnie? Wszystko powiedziałam siostrze Magdalenie. Zrób, co ci każe.

Tommaso się zawahał. Przypomniał sobie jakieś bzdury o pieniądzach, których nie wolno mu wydać. Uśmiechnął się do matki.

- Tak, mamo, obiecuję - przytaknął, pragnąc ją uspokoić.

Godzina drogi i nagle otworzył się przed nim nowy świat.

Człowiek widzi miasto, dopiero kiedy wyjedzie na wieś, pomyślał. Hałas, tłok, ruch uliczny, życie w ciągłym rozedrganiu. Zastanawiał się, czy w drugą stronę też to działa, czy dopiero po powrocie do miasta zaczynamy dostrzegać prawdziwą wieś.

Tak dużo nieba. Z półmroku wylaniał się płaski, rozległy letni krajobraz. Pola, ścieżki, polanki zlewały się w jedno. Zza kępki ciemnych drzew widać było wodę.

Nagle zahamował. Zerknął na drogowskaz i zaczął się cofać. Żwir trzeszczał pod kołami. Przejechał kilkaset metrów i zatrzymał się przed jedynym domem przy drodze, niemal na samym jej końcu. Przez okno widać było słabe światło. Na skrzynce na listy było napisane „Lund”.

Zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył.

Stał i nasłuchiwał. Obok jego twarzy bzyczał komar. Odgonił go ręką zdziwiony. W grudniu chyba nie powinno być komarów? Znów zapukał, tym razem mocniej. Nadał żadnej reakcji. Obszedł dom dookoła. Wszędzie panowała idealna cisza. Powietrze było łagodne, chociaż chłodne. Wszedł na niewielką werandę zwróconą ku morzu. W dole widać było wodę. Już chciał zapukać do drzwi tarasu, kiedy od strony wody doszedł go lekki plusk. Odwrócił się. Na pomoście ktoś stał. Kobieta. Niels dostrzegł zarys jej sylwetki i ruszył w jej stronę.

- Przepraszam - powiedział, mając wyrzuty sumienia, że zakłóca tę niezwykłą ciszę. - Szukam Gustava Lunda - dodał.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na niego. W ręce trzymała wędkę.

- Gustava?

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Jest w Vancouver. A kto o niego pyta?

- Niels Bentzon, z kopenhaskiej policji.

Żadnej reakcji. Dość niezwykle. Zazwyczaj, kiedy mówił, że jest z policji, reakcja była natychmiastowa: strach, panika, pogarda, opór, ulga. Natomiast kobieta stała i po prostu na niego patrzyła. W końcu się odezwała.

- Hannah Lund - przedstawiła się. - Gustav nie wróci. Teraz mieszkam tu sama.

*

Meble nie pasowały do letniego domku.

Były za eleganckie. Za drogie. Niels nie interesował się takimi rzeczami, ale pamiętał okresy, kiedy Kathrine nie mówiła o niczym innym tylko właśnie o meblach, tak mu się przynajmniej zdawało. Dlatego znał nazwiska słynnych dizajnerów. Wegener. Mogensen. Klint. Jacobsen. Jeśli meble w domku nie były podróbkami, były warte majątek.

Świeące kocie oczy przyglądały się Nielsowi zaciekawione, kiedy zaczął się rozglądać po domu. W salonie panował wielki bałagan. Na stolikach stały brudne talerze i brudne filiżanki po kawie. Na podłodze porozrzucane były kocie zabawki, buty i stare pisma. Na drewnianej belce wisiało pranie. Pod jedną z krótszych ścian stało duże pianino. Druga ściana był cała zakryta książkami. Bałagan kontrastował z drogimi meblami, ale nadawał wnętrzu jakiś szczególny charakter: Widać było, że drogie designerskie meble rzeczywiście komuś służą, że ktoś ich używa. Kiedy czasem z Kathrine szli w gości do jej znajomych architektów - co zdarzało się rzadko, bo Niels raczej unikał takich spotkań - zawsze czuł się nieswojo. Tkwił w jakimś modnie urządzonej mieszkaniu na Østerbro, sącząc corton charlemagne za sześćset koron butelka. Wokół niego były dzieła najbardziej znanych europejskich dizajnerów, bał się usiąść na kanapie. Kathrine śmiała się z niego.

*

- Gustav miałby być dobrym człowiekiem?

Hannah stłumiła uśmiech i podała mu filiżankę kawy.

- Na pewno się pan nie pomylił?

- Wszyscy tak reagują. Z wyjątkiem prezesa Czerwonego Krzyża - powiedział Niels.

Mieszał kawę i przyglądał się oprawionej w ramki fotografii przedstawiającej Hannah i chudego, wysokiego chłopca. Kobieta obejmowała go ramieniem. Zdjęcie zostało zrobione przed wahadłem Foucaulta w Panteonie w Paryżu.

- Dlaczego właśnie Gustav?

- Komputer go wybrał. Chodzi o to, co powiedział, kiedy odbierał nagrodę.

- „W końcu to matematyka uratuje świat”.

- Tak.

- I wtedy na monitorze pojawiło się nazwisko Gustava.

- To pani były mąż?

Niels przyglądał się kobiecie, która usiłowała mu wytłumaczyć swoje zawile relacje małżeńskie. Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? Czterdzieści pięć? Miała w sobie jakiś

niepokój, który współgrał z domem: nieco ponurym i bałaganiarskim, ale ciekawym, z pewnością nie banalnym. Kobieta miała ciemne, poważne oczy. Jej sięgające do ramion brązowe włosy były zmierzwione, jakby przed chwilą wstała z łóżka. Podłoga była chłodna, ale ona była boso. Dżinsy, biała koszula, jasna, delikatna cera. Szczupła. Nie była ładna. Gdyby Niels był wolny, być może zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego wydała mu się taka atrakcyjna. Wytlumaczenie było pewnie banalne, pomyślał. Nie miała na sobie stanika, a materiał koszuli był prześwitujący, pewnie bardziej niż sądziła.

- Zaczęło się od tego, że byłem jego studentką.

Niels próbował się skupić. Kobieta usiadła na kanapie, okryła szczupłe ramiona szarym kocem, pełnym kociej sierści.

- Moja specjalność to astrofizyka, prowadziliśmy długie rozmowy o matematyce. Gustav jest jednym z najwybitniejszych matematyków w Europie.

- Pani zajmuje się astrofizyką?

- Raczej zajmowałam - poprawiła go Hannah i wróciła do swojej opowieści. - Po jakimś czasie zaczęliśmy się spotykać prywatnie. Czulałam się zaszczycona, że podrywa mnie taki geniusz jak Gustav. Nie miałam żadnych wątpliwości, że naprawdę jest genialny. No i zakochałam się. Urodził się Johannes...

Nagle zamilkła. W jej oczach pojawił się... smutek? Tak, właśnie smutek. W tym momencie przyszło mu do głowy, że Hannah Lund zapewne straciła swojego syna. Johannes nie żyje. Popęnił samobójstwo.

Zapadło milczenie, ale cisza nie była krępująca: Żadne z nich nie czuło potrzeby przerwania jej jakąś obojętną uwagą, czymkolwiek. Jakby Hannah wiedziała, że on wie.

- Mieszka tu pani na stałe?

- Tak.

- Nie czuje się pani samotna?

- Chyba nie o tym mamy rozmawiać.

Nagły chłód w jej głosie miał przykryć smutek. Chciała zatrzymać go dla siebie. Widział to po niej. Radzenie sobie z żałobą to podstawowa umiejętność każdego negocjatora. Temu poświęcano najwięcej czasu na szkoleniach. Gdy ludzie nie radzili sobie z własnym smutkiem, wtedy wszystko mogło się zdarzyć. Niels wielokrotnie bywał w sytuacji, kiedy musiał przekazać rodzicom straszną wiadomość o śmierci ich dziecka. Znał wszystkie kolejne etapy żałoby. Kiedy jej syn mógł popełnić samobójstwo? - zastanawiał się. Uznał, że Hannah zapewne jest na etapie, kiedy człowiek powoli zaczyna wracać do świata. Gdy znów zaczyna kierować swoje myśli ku przyszłości, ma krótkie przebłyski nadziei. Kiedy następuje

ostateczne pożegnanie. To zawsze jest najtrudniejsze. Jakbyśmy odbywali podróż w głąb siebie. Nie każdy jest w stanie jej podolać. Niektórzy rezygnują, przegrywają walkę. Pogrążają się w depresji. Niekiedy kończą jako pacjenci psychiatryczni. Albo na krawędzi mostu czy na ostatnim piętrze wieżowca. Wtedy właśnie wzywano Nielsa.

- Przepraszam - powiedział, zbierając się do wyjścia. - To właściwie nic poważnego. Proszę się nie martwić.

- Ależ ja się nie martwię. Niech go zastrzelą, proszę bardzo - rzuciła i spojrzała mu w oczy, jakby chciała podkreślić wagę swoich słów.

Stała nieco za blisko niego, ale pewnie tylko on to zauważał. Jej język ciała wydał mu się dziwny. Zauważył to już na pomoście, ale może naukowcy właśnie tacy są, pomyślał. Rozbudowana inteligencja zastępuje zwykle społeczne umiejętności.

Cofnął się nieco, chociaż jej oddech wcale nie był przykry, przeciwnie. Nagle gdzieś zadzwonił telefon. Minęła chwila, zanim dotarło do niego, że to dzwoni komórka w jego kieszeni. Numer na wyświetlaczu wskazywał na połączenie zagraniczne.

Przeprosił kobietę.

- Halo?

Nasłuchiwał. Na początku dobiegły go jedynie trzaski na linii.

- Halo? Z kim rozmawiam?

W końcu dotarł do niego jakiś głos: Tommaso Di Barbara. Mężczyzna, do którego wcześniej dzwonił. Mówił po włosku, powoli, jakby to coś zmieniało.

- *Do you speak English?*

Tommaso przeprosił, tyle Niels był w stanie zrozumieć. I zaproponował przejście na francuski.

- *No, wait* - powstrzymał go Niels, zerkając na Hannah.

- Mówi pani po włosku? Albo po francusku?

Kobieta skinęła głową z lekkim wahaniem i chyba natychmiast tego pożałowała.

- Po francusku. Trochę - oznajmiła.

- *Just a minute. You can talk to my assistant.*

Niels podał jej telefon.

- Policjant z Wenecji. Proszę jedynie słuchać, co on mówi.

- Asystentka? - spytała. - Nie rozumiem.

Nie wzięła telefonu do ręki.

- Proszę go tylko wysłuchać. To wszystko.

- Nie - powiedziała, ale jednak wzięła telefon. - *Oui?*

Niels przyglądał się jej. Nie był w stanie ocenić jej zasobu słów, ale słyszał, że mówi szybko i swobodnie.

- Pyta o morderstwa z liczbami - powiedziała, patrząc na Nielsa.

- Z liczbami? To oni mają wytatuowane na plecach liczby? Na pewno? Proszę poprosić, żeby powiedział coś więcej.

- Nazywa się pan Bentzon? Pyta, jak pan się nazywa?

- Tak, Bentzon. - Niels westchnął. - Proszę spytać, czy mają jakichś podejrzanych? Czy są jakieś szczególne...

Kobieta zakryła jedno ucho ręką i odeszła na bok.

Niels śledził ją wzrokiem.

Kątem oka widział, jak kot powoli zaczyna się do niego zbliżać. Usiadł i pozwolił mu obwąchać dłoń. Znów spojrział na fotografię Hannah z synem. Potem na album ze zdjęciami, który otwarty leżał na półce obok. Sześć zdjęć, które mówiły wszystko. Hannah, pewnie sprzed dziesięciu lat, trzymająca w rękach jakąś nagrodę. Szeroki uśmiech. Była młoda, piękna, pełna życia i ambitna. Świat leżał u jej stóp. A ona o tym wiedziała i napawała się tym. Kilka zdjęć jej i Gustava. Niezwykle przystojny mężczyzna koło pięćdziesiątki. Czarne włosy, zaczesane do tyłu. Ciemne oczy. Wysoki, szeroki w ramionach. Nie było wątpliwości, że mógł wybierać i przebierać: kuszące spojrzenia. Zdjęcie Hannah, kiedy była w ciąży. Na moście w Brooklynie stoi i obejmuje Gustava. Niels przyjrzał się zdjęciu dokładniej. Zachowywał się jak policjant, czasem sam miał tego dosyć. Nie mógł jednak nie zauważyć, że podczas gdy Hannah patrzyła prosto w obiektyw, wzrok Gustava był skierowany gdzie indziej. Na kogo patrzył? Na piękną kobietę, która akurat przechodziła obok?

Ostatnie zdjęcia przedstawiały Hannah z synem. Gdzie wtedy był Gustav? Na konferencji? Robił międzynarodową karierę, podczas gdy żona z synem siedzieli w domu? Ostatnie zdjęcie było z urodzin syna. Na torcie paliło się dziesięć świeczek i napis „Johannes”, zrobiony z bitej śmietany. Chłopiec szykował się do zdmuchnięcia świeczek, obok niego stali Hannah i jeszcze jacyś dorośli. Było to tego typu zdjęcie, na którym najbardziej rzucała się w oczy nieobecność pewnej osoby, w tym przypadku Gustava.

- Mówił coś o jakiej starej przypowieści - usłyszał nagle za sobą głos kobiety.

Oddała mu telefon.

Zauważyła, że przygląda się jej zdjęciom?

Odwrócił się do niej.

- Przypowieści? Jakiej przypowieści?

- O trzydziestu sześciu dobrych ludziach. To chyba coś z Biblii. Nie wszystko

zrozumiałam. Ale opowiadał fascynujące rzeczy. Podobno odległość między miejscami, gdzie popełniono morderstwa, wynosi zawsze mniej więcej trzy tysiące kilometrów. Dlatego się z wami skontaktował. Tyle jest między ostatnim miejscem zbrodni a...

- Kopenhagą - przerwał jej Niels.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

*

Hannah obserwowała z okna, jak Niels cofa samochód na podjeździe. W rękę trzymała jego wizytówkę. Oślepiły ją światła reflektorów. Spojrzała na tablicę rejestracyjną. II 12 041. Sięgnęła po długopis w szufladzie. Niels zdążył już kawałek odjechać, ale tablica rejestracyjna wciąż była widoczna. Może coś źle zapamiętała? Na parapecie w pokoju stała lornetka. Wzięła ją i pobiegła do kuchni, nastawiła ostrość. Nie, jednak dobrze zapamiętała. II 12 041. Zapisała numery na odwrocie wizytówki Nielsa i poczuła napływające do oczu łzy.

21

Cannaregio, getto, Wenecja

Bentzon...

Tommaso Di Barbara położył telefon na poręczy balkonu i powiódł wzrokiem po ciemnym mieście. Spróbował wymówić pełne imię i nazwisko.

- Niels Bentzon. Kim jesteś? - zastanawiał się szeptem.

Z nadejściem zmroku Wenecja zamierała. Personel restauracji spieszył na ostatni pociąg na stały ląd. Natomiast w getcie nadal toczyło się życie. Większość mieszkańców Wenecji mieszkała właśnie tutaj, w okolicach starej żydowskiej dzielnicy. Tommaso stał na balkonie. Słyszał wycie syren. Za pół godziny podniesie się poziom wody. Był zmęczony. Nie miał siły zejść na ulicę. Większość sąsiadów była już na dole, zajęta umieszczaniem małych drewnianych listewek między gumowymi listwami drzwi.

- Tommaso! - zawołał sąsiad z parteru, właściciel niewielkiego zakładu fryzjerskiego.

Tommaso pomachał mu ręką.

- Nie słyszałeś syreny?

- Już schodzę.

Sąsiad spojrzał na niego zaniepokojony. Może wiedział już o jego zawieszeniu? Na pewno wiedział. Ale było mu wszystko jedno. W Wenecji wszyscy wiedzieli o sobie

wszystko. Pod tym względem miasto przypominało wioskę. Wszyscy wiedzieli, że jego matka jest umierająca. Sąsiedzi na pewno. Matka była właścicielką domu. Wkrótce dom będzie należał do niego. Może martwili się, że sprzeda go jakiemuś bogatemu Amerykaninowi?

- Zrobię to za ciebie - zawołał z dołu sąsiad. - Gdzie masz listwy?
- Pod schodami.

Tommaso zgasił papierosa w doniczce i wszedł do mieszkania, w którym paliła się tylko jedna lampa. Postanowił się położyć. Jego głowa domagała się odpoczynku. Idąc przez pokój, zatrzymał się i spojrzął na ścianę. Tę od południa. Rozwiesił na niej zdjęcia. Zdjęcia ofiar. Mężczyzn, kobiet. Spojrzenia. Twarze. I mapa świata, gdzie strzałkami zaznaczał kolejne miejsca zbrodni. I daty. Szczegółowe informacje o wszystkim, co mogło mieć cokolwiek wspólnego ze sprawą. Przyglądał się ścianie. Zafascynowany, oczarowany. Przede wszystkim jednak przerażony.

Wydrukował ostatnie zdjęcia, które przysłano mu z Indii. Zdjęcia pleców ekonomisty. Raj Bairoliya. Rodzinne fotografie matki musiały ustąpić miejsca innym zmarłym. Bardzo ważnym zmarłym. Ich śmierć musiała mieć jakieś znaczenie. Tommaso był tego pewien. To nie był przypadek. Ofiary coś łączyło. Tylko nie wiedział co. Nie był też w stanie zainteresować innych sprawą. Nikt go nie rozumiał. Kilka miesięcy temu zadzwonił do Interpolu. Przełączano go ze sto razy, aż w końcu telefon odebrała jakaś roztargniona kobieta. Wysłuchała go i poprosiła o przesłanie materiałów. Trzy tygodnie później dostał odpowiedź. Sprawa otrzymała swój numer. W odpowiednim czasie ktoś się nią zajmie. Za jakieś półtora roku, napisano mu.

Półtora roku. Nie mógł tak długo czekać. Obok zmarłego Hindusa Tommaso powiesił zdjęcie zmarłego prawnika ze Stanów. Russel Young. Numer trzydzieści trzy. Raj Bairoliya był trzydziesty czwarty.

22

Komenda policji, Kopenhaga

Noc. Najlepsza pora. Pusto, jedynie sprzątaczkę poruszały się bezszelestnie, opróżniały śmietniki i ścierały kurze z parapetów. Ale nie ze stołów, na których zawsze leżały

sterty papierów.

Niels wysłał raport na drukarkę. Napisał w nim, z kim się kontaktował, odnotował, że wszyscy zostali poinformowani i ostrzeżeni. Podjęto konieczne działania profilaktyczne. To było najważniejsze.

W drukarce zabrakło papieru. Znalazł kilka czystych kartek. Kolejnych dwadzieścia minut zastanawiał się, gdzie ma je włożyć. Próbował myśleć o Kathrine, ale cały czas miał przed oczami obraz Hannah.

Gabinet Sommersteda był równie porządnym jak on sam. Niels postanowił położyć papiery bezpośrednio na biurku szefa. Zamiast na biurku sekretarki, jak to zwykle robiono. Chciał, żeby szef zwrócił na niego uwagę. I uznał, że przeszedł próbę, której go poddał.

Zatrzymał się chwilę przy biurku. Zdjęcie Sommersteda z żoną. Coś było nie tak. Widać było, że oboje starają się dobrze wypaść, ale to były jedynie pozory.

Na biurku leżała tylko jedna teczka. Na pierwszej stronie był napis „Poufne”, a obok „Ważne”. Niels miał ochotę położyć na niej swój raport. Inaczej Sommersted pewnie nigdy go nie przeczyta. Zastanawiał się, czy teczka naprawdę była ważna. Otworzył ją. Nie z ciekawości, tylko żeby się zorientować, czy może na niej położyć swój raport. „Podejrzany o terroryzm. Wylądował wczoraj w Sztokholmie. Jemeńczyk. Międzylądowanie w Indiach. Powiązany z zeszłorocznymi aktami terroru. Być może jest w drodze do Danii”. Przerzucał kolejne kartki. Kiepskie zdjęcie terrorysty z kamery z monitoringu, sprzed amerykańskiej ambasady w Kairze. Islamskie Bractwo Muzułmańskie.

Położył raport obok teczki. Nie na niej. Zgasił światło.

- Do widzenia. Dobrych wakacji - wymamrotał.

23

Południowa Szwecja

Mieszane wrażenia. Najpierw stewardesa. Teraz znów śnieg za oknem. Wiele lat minęło od czasu, kiedy Abdul Hadi ostatnio widział śnieg. Kiedy razem z bratem jeździł na nartach w Libanie, pierwszy i ostatni raz. Wydali wtedy połowę swoich oszczędności na bilet na pociąg i opłatę za wypożyczenie nart. Już podczas pierwszego zjazdu ze zbrocza upadli. Bardziej poszkodowany był jego brat. Nie mógł ruszać ręką. Przez kilka następnych dni

Abdul pomagał mu w najbardziej intymnych czynnościach. Pomagał mu nawet zdjąć spodnie. Nie stać ich było na pójście do lekarza. Dostawali pieniądze od rodziny w Jemenie. Mieli się kształcić, żeby w swoim czasie móc utrzymać rodzinę.

Poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu.

Zobaczył mężczyznę w mundurze, zdenerwował się. Niemal wpadał w panikę. Spojrzał na innych pasażerów. Kobieta obok niego wyjęła bilet, wtedy zrozumiał, czego mężczyzna od niego chciał.

- *Sorry* - wymamrotał.

Konduktor przeciął mu bilet, poszedł dalej korytarzem, ale dwa razy jeszcze się odwrócił. I dwa razy dostrzegł jego zdenerwowane spojrzenie.

Abdul wstał, wziął teczkę i poszedł do toalety. Takie drobiazgi mogły wszystko zniszczyć.

Chwycił za klamkę. Zajęte. Może jednak powinien zostać na swoim miejscu? Może właśnie w ten sposób zwrócił na siebie uwagę? Konduktor wrócił. Minął Abdula, z całkowitą obojętnością. Dopiero kiedy dotarł do końca wagonu, spojrzał na niego w przelocie, rozmawiając z kolegą. Kolega odwrócił się i zaczął mu się przyglądać. Abdul wiedział, że został odkryty. Nie miał złudzeń. Nie wiedział tylko, jak do tego doszło. Do diabła! Pewnie dlatego, że dał się zaskoczyć, kiedy w przedziale konduktor chwycił go za ramię. No i był Arabem. Dlatego konduktor zadzwonił na policję. Był tego pewien. Sam zresztą też tak by postąpił.

Pociąg zwolnił. Jakiś głos oznajmił, że zbliżają się do Linköpingu. Jedyne przystanek w drodze do Malmö, przypomniał sobie Abdul Hadi. Żółte światła dworca przypominały mu bazar w Damaszku. Ale to jedyne, co mogło mu się kojarzyć z hałaśliwymi handlowymi ulicami Wschodu. Na stacji było czysto i zimno, prawie nie było ludzi. Mnóstwo różnych znaków wskazywało podróżnym drogę. Próbował dojrzeć konduktora. Musiał szybko podjąć decyzję. Do pociągu wsiadło kilku pasażerów. Jeśli zostanie w pociągu i nagle zjawi się policja, będzie bez szans.

Musi wysiąść.

Wyskoczył z pociągu, ściskając w ręku teczkę. Cholera! Plecak, w którym były zdjęcia kościoła i materiał wybuchowy, został pod jego fotelem w przedziale. Już miał ponownie wsiąść do pociągu, kiedy zobaczył rozmawiającego przez telefon konduktora. Wyraźnie szukał go wzrokiem. Przez moment stali i przyglądali się sobie. On i bezmyślny przedstawiciel władzy w odległości może dwóch metrów od siebie. Mundur. Konduktorska czapka. Mężczyzna pewnie nawet nie miał pojęcia, jak naprawdę funkcjonuje społeczeństwo,

dla którego wypruwał sobie żyły. Społeczeństwo zbudowane na grabieży, uprzedzeniach rasowych i nienawiści.

Abdul Hadi zaczął biec. Konduktor patrzył za nim i coś wołał. Abdul przyspieszył. Zbiegł po schodach, prowadzących pod perony, wyszedł na plac przed budynkiem dworca. Pociąg jeszcze nie odjechał. Musiał wrócić. Zdjęcia kościoła. Materiał wybuchowy. Odkryją jego plan.

Ruszył z powrotem. Może uda mu się wskoczyć do ostatniego wagonu? Chwyci plecak, pociągnie za hamulec bezpieczeństwa i ucieknie.

Za późno. Dotarł na peron w chwili, kiedy pociąg właśnie odjeżdżał.

*

Ciężkie minuty. Każda sekunda mu ciążyła. Wstyd. Zniweczył wszystko. Popęłnił błąd. Otworzył teczkę i zaczął szukać notesu z numerem telefonu do kuzyna. Jednocześnie szedł szybkim krokiem przez miasto. Spodziewał się, że będą go szukać. W teczce miał bałagan. Wyjął jakieś papiery. Zdjęcia kościoła. Nie pamiętał, kiedy przełożył je do teczki. Nagle uświadomił sobie, że jednak nie wszystko jest stracone. Stracił materiał wybuchowy, ale miał zdjęcia. Nie wiedzieli, co zamierza, nie poznają jego planu.

24

Silos Carlsberga, Kopenhaga

Kiedy Niels nie mógł zasnąć, zwykle siadał i zaczynał czytać. Jakąś nudną książkę albo wczorajszą gazetę. Wino też pomagało, ale alkohol sprawiał, że serce zaczynało mu mocniej bić. Koniak, który dostał od Anni na swoje czterdzieste urodziny, stał niemal nietknięty.

Tej nocy postanowił zostać w łóżku. Sen jednak nie przychodził. Leżał więc, wpatrując się w ciemność. Walizka była spakowana, czekała gotowa. Paszport i bilet lotniczy leżały na stole. Wyprasował koszulę i powiesił ją na wieszaku. Wszystko miał przygotowane. Pozostawało mu tylko wpatrywać się w gładki betonowy sufit i czekać, aż zrobi się szóstka i będzie mógł wstać. Zamknął oczy, próbując przywołać twarz Kathrine. Jej oczy. Pełne zachwyty, kiedy opowiadała o swojej pracy. I nieco dziecinne dołeczki w policzkach, które zawsze starała się ukryć. Często śmiała się, zasłaniając ręką twarz. Wyraźnie zarysowane

kości policzkowe. Delikatny nos. Próbował przypomnieć sobie to wszystko i nie potrafił. Nie potrafił złożyć poszczególnych części w jedną całość. Widział jedynie pojedyncze fragmenty, które nachodziły na siebie i zasłaniały całość.

Dzwonek telefonu okazał się wybawieniem.

- Witaj, skarbie, właśnie o tobie myślałem.
- Wzięłeś tabletki?

Kathrine mówiła szybko. Spięta, zestresowana, zdenerwowana.

- Nie wszystkie. Za chwilę wezmę.
- Włącz komputer - poprosiła.
- Chcesz sprawdzić, czy naprawdę to zrobię?
- Tak.
- Zaraz się przekonasz.

Włączył komputer. Minęło kilka sekund. Żadne z nich się nie odezwało.

- Cześć - powiedział, kiedy w końcu zobaczył ją na ekranie.

Siedziała na swoim stałym miejscu. Niekiedy miał wrażenie, że zna jej pokój, oddalony o osiem tysięcy kilometrów, lepiej niż jakikolwiek inny pokój w ich mieszkaniu.

Połknął dwie tabletki. Może za dużo? Nie przestudiował dokładnie ulotki.

- Zadowolona? - spytał.
- Sam w to nie wierzysz - odpowiedziała ostro. Słowa padały z jej ust jak strzały.
- Co takiego?
- Do diabła, Niels. Przecież widzę! Sam w to nie wierzysz. To naprawdę takie trudne?

Wielu ludzi cierpi na najróżniejsze fobie. Ale wystarczy połknąć kilka tabletek i wszystko wraca do normy!

- Właśnie to robię. Łykam tabletki.
- Ale czy rzeczywiście się starasz?

Milczenie. Zawahał się. Czyżby wyczuwał groźbę w jej głosie? Coś w stylu: „Daję ci ostatnią szansę”. Miał takie wrażenie.

- Uprzedzałem cię o tym na samym początku naszej znajomości. Mam problem z lataniem.

- To było sto lat temu!

- Pamiętasz, co mi odpowiedziałas? Że to nie ma znaczenia, bo jestem dla ciebie całym światem.

- Tysiąc lat temu!
- To twoje słowa.

- Nie mamy dzieci i nigdy nie byliśmy razem dalej niż w Berlinie.

Puścił jej słowa mimo uszu. Nie lubił się kłócić. A już szczególnie z Kathrine.

- Spójrz na mnie, Niels - powiedziała.

Uniosła bluzkę, obnażając piersi.

- Pomyśl o mnie. Brakuje mi twojej bliskości. Biologia ma swoje prawa. Mam wrażenie, że usycham.

- Kathrine...

Nie wiedział, co powiedzieć. Czasem wystarczał odpowiedni ton, ale nie tym razem.

- Jutro już tu będziesz, Niels. Ale... - Urwała. Głos jej się załamał. - Ale jeśli tak się nie stanie...

- To co?

- Niedługo nie będę mogła ci już niczego obiecać.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz.

- Nie, nie wiem, do diabła!

- Słyszałaś, co powiedziałam. Albo będziesz tu jutro, albo niczego ci nie obiecuję!

Dobranoc, Niels.

Patrzyli na siebie. Kathrine była bliska płaczu. Chociaż starała się to ukryć.

Wyłączyła komputer.

- Niech to szlag!

Miał ochotę oblać monitor winem, ale opanował się. Jak zawsze.

Poczuł się samotny. Jakby nagle w pokoju zabrakło tlenu, jakby w jego płucach zabrakło tlenu. Zadzwonił telefon. Niech dzwoni, pomyślał. Telefon nie przestawał dzwonić. W końcu wziął się w garść. Zacerpnął powietrza. Chciał, żeby jego głos zabrzmiał radośnie.

- Cześć, skarbie!

- Dawno już nikt mnie tak nie nazywał.

Minęło kilka sekund, zanim Niels rozpoznał jej głos. Hannah Lund. Astrofizyczka.

- Przepraszam, myślałem, że to moja żona.

- Nie powinnam dzwonić o tej porze. Złe przyzwyczajenie z czasów, kiedy pracowałam naukowo. Wtedy dzień i noc zlewają się w jedno. Zna pan to uczucie?

- Może.

Słyszał zmęczenie w swoim głosie.

- Nie mogę spać przez te pana morderstwa.

- Moje morderstwa?

- Ciągle o nich myślę. Możemy się spotkać?

Niels zerknął na zegarek. Było nieco po drugiej. Za cztery godziny zadzwoni budzik.

- Jestem w drodze na urlop. Do Republiki Południowej Afryki. Rano wylatuję.

- Jeśli to jest jakiś system... - zaczęła Hannah. - Jeśli te liczby i te odległości są ze sobą jakoś powiązane, jeśli jest jakiś wzór...

Niels postanowił jej przerwać.

- To nie jest nasza sprawa.

- Zastanawiał się pan nad tym?

- Nad czym?

- Nad całym tym systemem. Wszystko da się wyliczyć.

Niels podszedł do okna. Ciemne ulice.

- Sądzi pani, że możemy zapobiec kolejnemu morderstwu?

- Będę oczywiście potrzebować wszystkich danych. Na pewno ma pan jakieś bliższe informacje, prawda?

Niels zaczął się zastanawiać. Pomyślał o Kathrine.

- Jak już mówiłem...

- Nie wy wyjaśniamie tę sprawę. Rozumiem. Przepraszam, że zakłóciłam panu spokój.

- Nic nie szkodzi. Dobranoc.

- Dobranoc, skarbie.

Rozłączyła się.

25

Lotnisko Kastrup, Kopenhaga, czwartek, siedemnasty grudnia

Jedno z najstarszych cywilnych lotnisk na świecie, zbudowane na łące pod Kopenhagą. Jedno z najlepiej zachowanych w Europie po II wojnie światowej. Podczas gdy większość europejskich lotnisk padła ofiarą bombardowań, to ktoś chronił niewidzialną ręką. Jakaś siła wyższa? Przypadek? Polityka?

- Odloty?

- Tak. Trzeci terminal. Jestem trochę spóźniony.

Ostre zimowe słońce nigdy nie wschodziło wysoko, ale i tak zaglądało kierowcom

prosto w oczy. Niels musiał sięgnąć po okulary słoneczne. Właściwie kupił je z myślą o Afryce. Spojrzał w niebo: było jasne, niebieskie, piękne. Zauważył startującego airbusa, stłumił odruch wymiotny. Każdego roku ponad dwieście sześćdziesiąt tysięcy samolotów startowało i lądowało z tego kopenhaskiego lotniska. Miliony pasażerów. Niels znał dane, wiedział, że nie powinien się denerwować. Wsiadając z taksówki, powinien wręcz odetchnąć z ulgą, bo najniebezpieczniejszą część podróży miał już za sobą. Jednak jego wiedza nie miała żadnych skutków terapeutycznych. Wręcz przeciwnie.

- Będzie miał pan szczęście, jeśli samolot nie będzie spóźniony - rzucił mu taksówkarz na pożegnanie. - Kuzyn miał wczoraj lecieć do Ankary. Do tej pory koczuje na lotnisku.

Niels pokiwał głową, przyglądając się wznoszącemu się przed nim budynkowi ze szkła i aluminium, przypominającemu nieco skrzydło.

Klimatyczne spotkanie na szczycie było powodem licznych opóźnień, lotnisko okazało się istnym węzłem gordyjskim. O ile jednak mógł się wcześniej zorientować, jego lot nie miał opóźnienia. Większość głów państwa była już na miejscu. Niektórzy zdążyli już nawet wyjechać.

*

Już w hali odlotów zaczął się pocić. Poszedł do toalety. Połknął kolejną tabletkę, opryskał twarz zimną wodą. Spojrzał na siebie w lustrze. Był chorobliwie blady. Powiększone źrenice, rozedrgany wzrok, cierpienie wymalowane na twarzy.

- *Are you okay, mister?*

Niels spojrzał na mężczyznę w lustrze. Niski, otyły południowy Europejczyk o przyjaznej twarzy.

- *I'm fine, thank you.*

Mężczyzna nie odszedł. Stał jeszcze chwilę, wystarczająco długo, by Niels poczuł się skrępowany. W końcu jednak odwrócił się i wyszedł z toalety.

Niels ponownie opryskał się wodą. Po chwili znów usłyszał głos, tym razem przez głośnik.

- Pasażer Niels Bentzon, podróżujący do Paryża, jest proszony o zgłoszenie się do bramki numer jedenaście.

Międzyładowanie w Paryżu nie ułatwiało sprawy. Dwukrotnie będzie musiał przechodzić przez to samo piekło.

Zamknął oczy. Postanowił zmienić taktykę.

Do tej pory próbował udawać, że nic się nie dzieje, zapomnieć, że jest na lotnisku. Wszystko na nic. Postanowił to zmienić. Musi się skupić, poważnie podejść do sprawy.

Zwalczyć strach rozsądkiem. Tysiące ludzi jest w tym momencie w powietrzu. Zaraz do nich dołączy. Wejdzie na pokład, samolot wystartuje, a on wypije filiżankę kawy, obejrzy film, może chwilę się zdrzemnie. Pogodzi się z myślą, że przecież wszyscy umrzemy. I znów wszystko na darmo. Bo przecież on nie bał się ani samolotu, ani śmierci. Przeraziła go myśl, że musi się przemieścić z jednego miejsca na drugie. To było takie straszne.

Wytrzeł twarz serwetką. Zaczerpnął powietrza i spróbował wziąć się w garść. Wyszedł z toalety i ruszył w stronę swojej bramki. Idąc przez niemal pustą salę odlotów, miał w głowie obraz skazańca kroczącego w stronę szubienicy. Pomyślał, że wolałby zostać ścięty, niż wsiąść do samolotu.

*

- Dziękuję. Miłej podróży.

Stewardesa uśmiechnęła się pocieszająco i wpuściła go do samolotu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Żadnych oskarżających spojrzeń. Ludzie byli zajęci swoimi sprawami. Niels znalazł swoje miejsce, usiadł. Siedział niemal nieruchomo, wpatrując się w fotel przed nim. Na razie wszystko było dobrze. Oddychał niemal normalnie. Może tabletki w końcu zadziałały?

I wtedy spojrzął na swoje dłonie na kolanach.

Drżały, jakby poraził go prąd. Drgania przybierały na sile, po chwili drżał już cały. Drżały mu ręce, ramiona, nawet w klatce piersiowej czuł drżenie. I w żołądku. Wszelkie dźwięki wokół niego znikły. Rozejrzał się dookoła zagubiony. Mała dziewczynka, może pięcioletnia, przyglądała mu się z dziecięcą fascynacją. Jej usta poruszały się. Nagle dotarły do niego jej słowa:

- Co ten pan robi, mamusiu?

Zauważył, że matka ucisza dziecko. Każe mu udawać, że nic się nie dzieje.

Niels wstał. Musiał wyjść. Natychmiast.

Było mu niedobrze. Znow zaczął się pocić. Szedł między fotelami chwiejnym krokiem, jakby był pijany. Próbował zachować resztki godności w całkowicie niemożliwej sytuacji.

- Nie może pan teraz opuścić pokładu - zwróciła mu uwagę stewardesa. Uśmiech na jej twarzy był nieco wymuszony.

Szedł dalej. Samolot drżał, silniki zostały włączone.

- Nie może pan...

Stewardesa zaczęła się rozglądać bezradnie. Po chwili podbiegł do nich steward.

- Przepraszam, ale nie może pan opuścić samolotu.

- Jestem policjantem - powiedział Niels.

Szedł dalej. Do drzwi brakowało mu już tylko kilku metrów.

- Czy pan mnie słyszy? Proszę wrócić na miejsce.

Steward chwycił Nielsa za rękę. Spokojnie, ale stanowczo. Wykazywał podziwu godną stanowczość. Niels odepchnął go brutalnie, szarpnął za klamkę.

- Proszę pana - odezwał się znów steward, nadal spokojnie.

Niels wyciągnął policyjną legitymację.

- Policja kopenhaska. Proszę mnie wypuścić - powiedział drżącym głosem.

Ktoś szepnął do stewardesy, żeby zawiadomiła kapitana.

- Muszę wyjść! Natychmiast! - zawołał Niels.

Na pokładzie zapanowała cisza. Pozostali pasażerowie przyglądali się mu. Czuł na sobie wzrok stewarda. W jego oczach zobaczył współczucie.

W końcu skinął głową.

*

Jedno z kółek wózka bagażowego było skrzywione, Niels z trudem pchał go przed sobą. Przeklinał w duchu. Wycofanie bagażu z luku trwało wieczność. Spojrzenia personelu nie pozostawiały wątpliwości, że przysporzył im dodatkowej pracy.

W końcu się poddał, zostawił wózek, wziął walizkę do ręki. Usiadł przy stoliku, zamówił piwo.

Nadal czuł się niedobrze. Mdłości nie minęły. Właściwie nie miał ochoty na alkohol. Marzył tylko, żeby koszmar się skończył. Gotów był nawet umrzeć. Dlaczego nie został w samolocie? Chciał zadzwonić do Kathrine, ale było mu wstyd.

Znalazł inne krzesło, wygodniejsze niż poprzednie. Usiadł, nie bardzo wiedząc, co robi. W rękę trzymał komórkę. Wybrał numer Kathrine. „Kochanie, nie poddaję się”.

Musi się zadowolić SMS-em.

Wyjrzał przez ogromne okna. Boeing 737 właśnie wystartował.

*

Minęło pół godziny. Może więcej. Samoloty lądowały, startowały. Ludzie odlatywali, przylatywali. Biznesmeni, turyści, urzędnicy, klimatolodzy, dziennikarze, przedstawiciele najróżniejszych organizacji. Siedział i przyglądał się im. Niektórzy wyglądali na zmęczonych, przygnębionych, inni byli pełni nadziei. Wszyscy byli w ruchu. Przybywali z różnych miejsc, przemieszczali się.

Niels nadal siedział.

Po chwili wstał i ustawił się w kolejce do stanowiska Alitalia. Nie myślał, jego mózg

przestał funkcjonować. Wszystkie myśli związane z podróżą znikły. Wszystkie jego przemyślenia, drobiazgowo przygotowania. Dane. Po co mu one? Jaki miał z nich pożytek?

- *Excuseme, are you Italian?*

Niels wydawał się równie zaskoczony, jak młody mężczyzna, którego zaczepił.

- *Yes.*

Niels spytał go dalej po angielsku, czy może zadzwonić do kogoś w jego imieniu i - nie dając mu czasu na odpowiedź - wybrał numer w swojej komórce i podał ją mężczyźnie.

- Proszę poprosić pana Tommasa Di Barbara i przekazać mu, żeby wszystkie informacje, jakie ma, przefaksował na ten numer - powiedział Niels po angielsku, i wskazał numer na swojej wizytówce.

- *Ale...*

- *Wszystko!*

26

Komenda policji, Kopenhaga

- Niels? Miałeś być na urlopie?

Anni podniosła głowę znad monitora, ale nie wyglądała na zdziwioną.

- Później - rzucił Niels, machając ręką. - Mówiłaś, że już jest.

- Co?

- Faks. Z Wenecji.

Anni skinęła głową i wstała.

- Siedz - próbował powstrzymać ją Niels. - Sam po niego pójde.

Kobieta udała, że go nie słyszy, i podążyła za nim. Niels był zły na siebie. Wścibskość Anni była wręcz legendarna. Wyczuwało się w tym nawet pewien urok, tylko nie w tym momencie.

Komenda była niemal pusta. Otwarta przestrzeń biurowa, ergometryczne krzesła i designerskie biurka z ruchomymi blatami przypominały bardziej agencję reklamową niż komendę policji. Ale czy te dwie instytucje aż tak bardzo się różniły? Niels niekiedy miał wątpliwości. Na zebraniach coraz częściej używano słów takich jak image czy branding. Szefowie zachowywali jak gwiazdy. Dyrektor chętnie pojawiał się w mediach i znakomicie sobie radził. Policja stała się terenem politycznej walki. Badania wykazywały to wyraźnie.

Reforma policji z 2007 roku była komentowana w mediach częściej niż ostatnie reformy podatkowe. Każdy polityk potrafił niemal we śnie wyrecytować jej szczegółowe rozwiązania. Swoją wiedzę o policji czerpał zapewne z kilku odcinków *Miami Vice*, ale spindoktor szepnął mu do ucha, że kwestia jest istotna, więc oczywiście miał swoje zdanie i przy każdej okazji chętnie je prezentował.

- Zaczekaj, aż zobaczysz faks - powiedziała Anni, kiedy otworzył drzwi do pokoju komputerowego. - W życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Pokój komputerowy miał niewiele wspólnego z przeciętną salą komputerową. Prawdę mówiąc, był to jedyny pokój, z wyjątkiem toalety, na terenie komendy, w którym nie było komputera. Śmiali się z tego. W pokoju stały drukarki, kopiarki, fakсы, pachniało odczynnikami chemicznymi, ozonem i tonerami, już po kilku minutach ludzi zaczynała boleć głowa, pojawiały się mdłości.

- Tam. - Wskazała Anni. - Wygląda jak książka telefoniczna!

Niels spojrział w tym kierunku. Nie potrafiłby wprawdzie powiedzieć, czego się spodziewał, ale na pewno nie sterty liczącej kilkaset stron.

- Co to za sprawa? - spytała Anni, siląc się na obojętność.

- Jedna z wielu.

- Nie wierzę - odpowiedziała, lekko się uśmiechając. - Chodzi o to spotkanie na szczycie?

- Tak - przyznał Niels poważnie.

Pomyślał, że obojętnie, czy kopenhaskie spotkanie uratuje naszą planetę, czy nie, on na pewno je zapamięta. Gdyby nie ono, pomyślał Niels, pewnie nigdy nie udałoby mu się zamknąć ust swojej sekretarce.

- Jest tu jakiś karton? - spytał.

Anni wskazała mu karton po papierze do drukarki. Wziął go bez słowa. Miał wyrzuty sumienia, bo Anni niekiedy traktowała go jak matka. Opróżnił karton, włożył do niego faks. Zerknął na kilka leżących na wierzchu zdjęć z obdukcji. Na plecach ofiar zauważył dziwne znaki. Była też lista ofiar. Z Chin i Indii.

- Ale suknia! - skomentowała Anni. - Jutro przyjeżdżają?

Obserwowała uważnie niewielki monitor. Gdzieś na świecie Barack i Michelle Obamowie wysiadali z Air Force One.

- Ma niezły tyłek. Seksowny?

Patrzyła pytająco na Nielsa.

- Może. Co kto lubi.

Michelle Obama pomachała ręką, stojąc w drzwiach samolotu. Do kogo? Do licznie zgromadzonych ochroniarzy? Barack Obama zszedł na pas startowy, podał rękę łysemu mężczyźnie, pewnie ambasadorowi. Niels nie mógł oderwać od niego wzroku. W jego zwykle uśmiechniętej twarzy był smutek. Niels zwrócił na to uwagę, kiedy widział go po raz pierwszy, podczas debaty z Hillary Clinton. Pozostałość czegoś przykrego. Zadra. Miał wrażenie, że prezydent nie wierzy w swój projekt. Nie w swoje siły. Miał wolę, chciał zmienić świat. Tylko czy świat był na to gotów.

*

W pokoju Sommersteda paliło się światło. Niels zauważył to, wychodząc z pokoju komputerowego, i się zdziwił. Postawił karton z faksem na podłodze. Wsunął go nogą pod stół, żeby nikt go nie zobaczył. Indie i Chiny. Tam wydarzyły się dwa ostatnie morderstwa z listy, którą otrzymał z Wenecji. Terrorysta też chyba był w Indiach, przypomniał sobie.

- Uważaj na szefa - rzuciła Anni. - Z nim dzisiaj nie ma żartów.

- Tylko dzisiaj?

Niels zapukał i wszedł do gabinetu. Zauważył, że Sommersted nie zdjął nawet wierzchniego ubrania. Wyglądał, jakby czegoś szukał.

- Tak? - powiedział.

Nawet nie spojrzał na Nielsa.

- Zaraz wychodzę.

W jego głosie pobrzmiwała przestroga. Był zdenerwowany. Pewnie źle spał i miewał koszmary. W jego głowie kłębiły się przerażające scenariusze tego, co może się wydarzyć podczas rozpoczynającego się właśnie spotkania na szczycie.

- Jeśli chodzi o tego poszukiwanego Jemeńczyka...

- Dość! - powstrzymał go gestem dłoni zestresowany Sommersted.

Niels jednak ciągnął.

- Przypadkowo zobaczyłem wczorajszy raport. Chodzi o ostatnie miejsca jego pobytu.

- Co takiego? Nie.

Szef najwyraźniej był myślami gdzie indziej. W Bella Centeret, gdzie w tej chwili przybywały wszystkie ważne osobistości, o których bezpieczeństwo miał dbać.

- To ma związek z tą sprawą z Interpolu.

- Bentzon. - Sommersted westchnął. Bestia, która postanowiła dać swojej ofierze jeszcze jedną szansę. - Sprawa Hadiego ma charakter poufny. Nie zajmuj się nią. Nie siejmy teraz paniki. Nie rozumiesz tego? Terrorysty i światowi przywódcy to mieszanka wybuchowa.

- Przyznaję, że pewności nie mam. Ale są pewne podejrzenia - powiedział Niels.

- Nie! - powstrzymał go ponownie Sommersted, tym razem podnosząc głos. - Zapomnij o tym. Zostaw to innym. Wiesz, ilu światowych przywódców zbierze się za kilka godzin w centrum kongresowym? A ja mam zapewnić im bezpieczeństwo! Brown, Sarkozy! Cała banda. Nawet szaleniec Mugabe ma prawo oczekiwać, że nikt nie palnie mu kulki w łeb podczas pobytu w Wonderful Copenhagen. Ekstremiści, terroryści, psychicznie chorzy. Wszyscy tylko czekają, aż popełnię jakiś błąd.

- Ale... - zaczął Niels, próbując przerwać płynący z ust szefa potok słów. Nie udało mu się.

- Teraz prasa domaga się od nas odpowiedzi, dlaczego pozwoliliśmy, by jakaś banda niedorozwojów siedziała przez kilka godzin na jezdni. Dwoje z nich nabawiło się zapalenia pęcherza. Poważna sprawa, prawda?

Sommersted nie czekał na odpowiedź, wyminął Nielsa w drzwiach i zniknął.

*

Niech to szlag! Niels zawrócił. To nie może być prawda, pomyślał. To po prostu przypadek. Indie. Bombaj, dyskutował sam ze sobą, wracając z gabinetu Sommersteda. Był policjantem. Miał wyjaśniać przestępstwa, a nie dostarczać Sommerstedowi powodów do radości. Światło w gabinecie nadal się paliło. Poczucie odpowiedzialności za globalne ocieplenie najwyraźniej nie dotarło jeszcze do komendy kopenhaskiej policji.

Wszedł do gabinetu. Na stole leżały papiery. Niefrasobliwość szefa nieco go zdziwiła, ale przypisał ją stresowi.

Abdul Hadi.

Znalazł w dokumentach jego profil. I zdjęcie. Dość kiepskie, zrobione gdzieś w Waziristanie, w górzystym terenie na pograniczu Pakistanu i Afganistanu. Niels nie znał się na międzynarodowym terroryzmie. Wiedział jednak, że Waziristan to jedno z głównych skupisk terrorystów. Między innymi islamskiego Bractwa Muzułmańskiego, które kilkakrotnie wymieniano w papierach z poufnej teczki. Hadi kontaktował się z Bractwem. Nie podano, kiedy kontakt nastąpił, ale mężczyzna został zakwalifikowany jako potencjalny terrorysta.

Niels podniósł głowę. Nikogo nie było, wszyscy zostali oddelegowani do pilnowania centrum kongresowego.

Wrócił do przeglądania papierów.

Islamskie Bractwo Muzułmańskie. Przeleciał wzrokiem kartkę. Polityczno-religijna organizacja, założona w Egipcie w 1928 roku. Jej twórcą był Hassan Al-Banna, celem było zbudowanie muzułmańskiego społeczeństwa w Egipcie. Społeczeństwa opartego na surowym

islamskim prawie, podobnym do tego, które obowiązywało na Półwyspie Arabskim. Organizacja odcinała się co prawda od stosowania przemocy, ale w Egipcie była zabroniona. Jeden z jej najważniejszych członków, nieżyjący już Sayyid Qutb, napisał w latach trzydziestych w trakcie któregoś ze swoich pobytów w więzieniu książkę *Kamienie milowe*, która z czasem stała się sztandarowym dziełem islamskich terrorystów. Lekarz, Ajman al-Zawahiri, prawa ręka bin Ladena, także zaczynał swoją działalność w szeregach Bractwa. Niewątpliwie miało ono zasadniczy wpływ nie tylko na Egipt, ale także na dużą część muzułmańskiego świata. Była kojarzona z licznymi aktami terroru, poza tym jawnie wspierała ataki terrorystyczne skierowane przeciwko Izraelowi, którego uważała za swojego głównego wroga. Islamski Hamas w Strefie Gazy wywodził się właśnie z Bractwa. Organizacja zasłynęła współudziałem w zamachu na Anwara as-Sadata, szóstego października 1981 roku. Zamach ten miał być aktem zemsty za to, że as-Sadat podał rękę znienawidzonemu Beginowi, a wcześniej, w 1978 roku, podpisał oficjalny traktat pokojowy z Izraelem.

Niels przerwał czytanie. Zaczął przekładać papiery. W końcu znalazł to, czego szukał. Trasę wędrowki Abdula do momentu wjazdu do Szwecji, dokumentacja najwyraźniej nie była pełna. Ale białych miejsc było właściwie niewiele.

W Szwecji widziano go w pociągu. Czego tam szukał? Czy Szwecja była jego krajem docelowym? Czy może miał jechać dalej? Do Sztokholmu dotarł samolotem z Brukseli, wcześniej prawdopodobnie przebywał w Indiach. Jak to możliwe, żeby ktoś poszukiwany przez międzynarodowe organa ścigania mógł tak swobodnie przemieszczać się po całym świecie? - zastanawiał się Niels. To, że środki bezpieczeństwa pozostawiały wiele do życzenia, nie było żadną tajemnicą. Może nie dla wszystkich, ale politycy doskonale o tym wiedzieli. Mimo podejmowanych kroków i wzmożonej kontroli na większości światowych lotnisk - skanowanie źrenic, odciski palców - można było odnieść wrażenie, że terroryści i tak cały czas wyprzedzają nas o krok. Albo też było ich tak wielu, że nawet jeśli od czasu do czasu niektórzy wpadali, to zawsze innemu udawało się prześliznąć.

Niels zauważył, że mówi sam do siebie.

- Co robiłeś w Indiach? - wymamrotał.

Żadnej odpowiedzi. Hadi patrzył na niego. Niels znał to spojrzenie. Taki wzrok mają ludzie na chwilę przed pociągnięciem za spust.

- Po co przyjeżdżasz do Danii?

Christianshavn, Kopenhaga

Sygnalizacja świetlna na Amagerbrogade nie działała.

Odkrył to, kiedy po wielu minutach stania na czerwonym świetle mężczyzna w samochodzie za nim zaczął agresywnie trąbić. Wyminął go, pokazał mu środkowy palec i zniknął. Niels sięgnął po komórkę, wybrał numer do Hannah, zadzwonił. Czekał. W końcu odebrała wyraźnie zaspana.

- Niels Bentzon - przedstawił się. - Mogę do pani podjechać?

- Teraz?

- Dostałem faks ze wszystkimi potrzebnymi pani informacjami. Ostrzegam, że jest to dość skomplikowane.

- Miał pan wyjechać.

- To jest jeszcze bardziej skomplikowane - powiedział. - Mam wszystkie szczegóły, o które pani prosiła - zmienił temat.

Milczenie.

Miał już zacząć mówić dalej, ale Hannah go uprzedziła.

- Zdążę wziąć kąpiel?

- Będę za godzinę.

Rozłączył się. Wyobraził sobie ją w kąpeli. Czy dlatego mu to powiedziała? Dojechał do placu Christiana Møllersa, którego część była nieprzejezdna z powodu kilkuset demonstrantów manifestujących w związku z odbywającym się w mieście szczytem klimatycznym. Ludzie chodzili między samochodami. „Ratujmy naszą planetę! To nasza ostatnia szansa!”, widniało na jednym z plakatów. „Teraz albo nigdy!”, czytał dalej.

Karton z faksem stał obok niego na przednim siedzeniu. Otworzył go. Gęsto zapisane strony z informacjami o ofiarach i miejscach zbrodni. Zdjęcia ofiar. I dziwnych tatuaży na ich plecach. Niels właściwie nic o nich nie wiedział, ale coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Dlaczego morderca zadawał sobie tyle trudu? Wzory wydawały się skomplikowane. Tommaso twierdził, że są to liczby, ale Niels nie był przekonany. Widział jedynie jakieś wymyślne wzory. Może to abstrakcyjne rysunki?

Nareszcie znalazł lukę w gęstniejącym tłumie. Ruszył dalej, przez Christianshavns

Tory do miasta. Przed oczami wciąż miał tatuaże na plecach ofiar. Jakby jakaś obca armia wtargnęła do jego głowy. I nie chciała stamtąd odejść. Nagle - całkowicie niespodziewanie - zawrócił. Pojechał kawałek przed siebie, a potem skręcił w lewo, w Prinsessegade.

Christiania, Kopenhaga

Zakład artystycznego tatuażu Tattoo Art znajdował się tam gdzie zawsze. Niels nigdy nie był wewnątrz, chociaż dobrze znał Christianię. Jak większości kopenhaskich policjantów nieraz zdarzało mu się aresztować dilerów na Pusher Street, jak powszechnie nazywano jedną z tamtejszych ulic. Zatrzymał się, rozejrzał dookoła. Kilku pijanych Grenlandczyków zataczało się na chwiejnych nogach przed Nemoland. Wałęsające się psy z zaciekawieniem śledziły każdy ruch Nielsa.

Jego stosunek do tego miejsca był ambiwalentny. W zasadzie nawet pozytywny. Pomysł, że grupka kochających pokój hipisów niemal czterdzieści lat temu przejęła dawne tereny wojskowe i zamieniła je w rodzaj społecznego eksperymentu, przemawiał do niego. Wolny skrawek miasta. Wioska w środku Kopenhagi. Inny sposób na życie. Jego najlepsze wspomnienia z okresu, kiedy był młodym, początkującym policjantem, były związane właśnie z tym miejscem. Spotykał się tu z nieoczekiwaną sympatią. W jakim innym miejscu na świecie zaproszono by go w lipcowy poranek na bożonarodzeniową kaszę i piwo o czwartej nad ranem?

Ostatnich dziesięć lat przyniosło jednak duże zmiany. Rockersi i gangi imigrantów wycisnęły piętno na tym miejscu. Niewinne czasy hipisów ustąpiły miejsca brutalnej przestępczości z narkotykami w tle. Ludzie, którzy za to odpowiadali, byli bezwzględni gangsterami, zbijali na tym majątek. Przemoc stała się czymś normalnym, codziennym. Kulminacja nastąpiła w maju 2006 roku, kiedy to grupka ćpunów napadła na dziewiętnastoletniego chłopaka i zatłukła go na śmierć. Niels osobiście nie był zaangażowany w tę sprawę, ale jego koledzy byli wstrząśnięci. Rzadko dochodziło do tak brutalnych czynów. Napastnicy z zimną krwią kijami i łomami roztrzaskali chłopakowi czaszkę. To była egzekucja. Cyniczna egzekucja mająca być ostrzeżeniem dla innych. Wtedy właśnie zmieniło się podejście Nielsa do Christianii. Eksperyment się nie udał.

*

- Jeszcze pięć minut i jestem!

Mężczyzna uprzejmie skinął głową Nielsowi, który Cierpliwie czekał. Podniósł wzrok i spojrzał na mężczyznę. Facet przypominał potwora. Wielkie, kolorowe tatuaże pokrywały

całe jego ciało i większą część twarzy. Napakowane mięśnie groziły rozsądzeniem opiętego T-shirta. W nosie i w dolnej wardze miał po kilka kolczyków.

- Może kawy? - zaproponował.

Kolczyki w dolnej wardze sprawiały, że lekko seplenił.

- Poproszę. Czarną.

Mężczyzna zniknął, zostawiając Nielsa samego.

W pomieszczeniu panował wręcz kliniczny porządek. Niemal jak w lekarskim gabinecie. Na ścianach wisiały zdjęcia wytatuowanych ludzi. Tatuaze w kształcie smoków, węży, kobiet, abstrakcyjne motywy. I japońskie znaki. A może chińskie?

- Podobno Japończycy już dziesięć tysięcy lat temu wykonywali tatuaze. Niesamowite, prawda?

Po chwili mężczyzna wrócił. Podał Nielsowi filiżankę kawy.

- Ainu. Tak się nazywał ten ród. Tatuowali sobie twarze.

Niels spojrzał na niego.

- Znalaziono też chińskie mumie z tatuazami. Co świadczy o tym, że tatuaz nie jest jakimś bardzo współczesnym wymysłem. - Mężczyzna się roześmiał.

- Robiono je taką samą techniką jak obecnie?

- Technika bardzo się rozwinęła. W dawnych kulturach wcierano na przykład popiół w otwarte rany. Wikingowie używali kolców róży. Zabieg na pewno był bolesny, ale czego się nie robi dla urody - stwierdził mężczyzna i znów się roześmiał.

Niels odpowiedział grzecznościowym uśmiechem.

- A jak to się robi dzisiaj? Technicznie.

- Spójrz tutaj. - Mężczyzna wskazał ręką na stojące obok urządzenie. - Tu jest igła, w tej rurce. Kiedy włączę maszynę, igła porusza się w górę i w dół około tysiąca razy w ciągu minuty. Nieźle, prawda?

- Co wstrzykujecie w skórę?

- Niczego nie wstrzykujemy. Używamy atramentu w różnych kolorach, do tego woda, gliceryna i maleńkie kryształki. We wszystkich kolorach tęczy. To jedyne obce ciało.

- To chyba nie służy zdrowiu?

- Strach cię obleciał? - Mężczyzna się uśmiechnął. - Kawa, którą pijesz, też nie służy twojemu zdrowiu.

- Obce ciała, powiedziałaś?

- Niektórzy rzeczywiście mają z tym problemy. Bywa, że ich organizm ich nie toleruje. To może być nieprzyjemne. Rzadko, ale jednak się zdarza, że pigment przedostaje

się do węzłów chłonnych, a stamtąd do krwi. Ale spoko, sam nigdy nie miałem żadnych sensacji. A wiem, co mówię.

Na potwierdzenie swoich słów uniósł koszulkę, pokazując imponującą i przerażającą głowę smoka.

- Chcesz taką samą? Laski na to lecą.

- Nie, dziękuję. To raczej ja chciałem ci coś pokazać.

Mężczyzna spojrział na niego zdziwiony. Niels wyjął właściwe zdjęcie.

- Co to takiego? - spytał mężczyzna, przyglądając się z zainteresowaniem plecom jednej z ofiar. - Taki mam ci zrobić?

- Możesz mi coś o nim powiedzieć?

- Powiedzieć?

- Chodzi mi o motyw. Co to jest? Jak tatuaż został zrobiony? Ile czasu trzeba, żeby coś takiego zrobić?

Mężczyzna nie odpowiedział. Przyglądał się zdjęciu.

- Wejdz - powiedział po chwili.

*

Niels nagle znalazł się w innym świecie. Wszędzie leżały strzykawki, stały popielniczki, na jednym ze stolików zauważył na w pół opróżnioną butelkę whisky. W koszyku w kącie spał szczeniak. Teraz się obudził i zaciekawiony patrzył na Nielsa.

- Chcesz go kupić? Amerykański staffordshire terier. Wygląda łagodnie, ale pozory mylą. Za pół roku będzie w stanie zagryźć konia.

- Zdjęcie - przywołał go do porządku Niels.

Mężczyzna usiadł na krawędzi chwiejącego się stolika i zapalił lampę.

- Ludzie przychodzą do mnie z najdziwniejszymi zdjęciami. Niedawno był tu facet ze zdjęciem cipki swojej dziewczyny. Chciał, żebym wytatuował mu ją tuż nad kutasem, żeby zabawiając się, mógł na nią patrzeć.

Niels odchrząknął. Mężczyzna umilkł, zaczął przyglądać się zdjęciu.

Nie dawał niczego po sobie poznać. Milczał. Zero reakcji.

- Powiesz mi coś? - spytał Niels.

- Skąd je masz? - chciał wiedzieć mężczyzna. Nadal wpatrywał się w leżące przed nim zdjęcie.

- Potrafisz powiedzieć, co przedstawia?

Żadnej odpowiedzi. Niels ponowił pytanie.

- Co to jest?

- Nie mam pojęcia, ale...

- Ale co? - przerwał mu Niels, z trudem tłumiąc poirytowanie. - Ile czasu zajęłoby ci zrobienie czegoś takiego?

Mężczyzna w końcu uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Musiałeś coś źle zrozumieć. To nie jest tatuaż. Jestem tego pewien.

- To nie jest tatuaż?

Mężczyzna pokręcił głową. Wstał.

- Linie są zbyt delikatne. Poza tym tam jest dużo białego koloru, a w tatużach nie używa się bieli.

- Jeśli to nie jest tatuaż, to co to jest?

Mężczyzna wzruszył ramionami. To już nie był jego problem.

28

Helsingør

Zmarznięte pola wydawały się opuszczone i samotne. Mające na horyzoncie drzewa wyglądały jak szkielety. Eksplozja szarości. Piękny widok dla kogoś, kto nosił w sercu melancholię. Dla innych obraz był zapewne po prostu smutny. Trzeba było od niego uciec, jak to zrobiła Kathrine.

Niels był sam na drodze. Jechał szybko. Z szosy skręcił w szutrową alejkę. Tym razem zaparkował pod samym domem, wysiadł z kartonem pod pachą.

Nie zdążył zapukać, kiedy zobaczył ją na pomoście. Stała dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio. Wszedł na pomost. Hannah musiała go słyszeć, ale nie odwróciła się.

- Miałaś wyjechać.

- Przesunąłem wyjazd. Biorą?

- Tu nie ma ryb - powiedziała, odwracając się w jego stronę. - Chociaż ludzie twierdzą co innego.

- Nie biorą?

Kobieta pokręciła głową.

- Pewnie czują zapach - rzuciła, podnosząc do góry rękę z papierosem. - Ale to wszystko to tylko część mojego projektu.

- Projektu?

- Próbuję robić rzeczy, których nie robiłam, kiedy mój syn żył.

W jej głosie nie było rozpacz. Trochę go przerażała. Kiedy człowiek, zwykle opanowany i chłodny, załamywał się, odbywało się to gwałtownie. Zwykle też próbował pociągnąć za sobą innych. Niels wiedział to z własnego doświadczenia.

- Wiem, że jest tu zimno - powiedziała Hannah, zmieniając ustawienie termostatu. - „Musimy zrobić coś z ogrzewaniem”. To ostatnie słowa, które powiedział Gustav przed wyjazdem do Kanady.

Mówiła spokojnie, bez goryczy.

- Przyniosłeś mi jakąś stertę morderstw?

- Tak.

- Za mocna?

- Kawa? Nie.

- Zwykle pijam smołę.

Niels otworzył karton. Ostrożnie wyjął wszystkie kartki i położył je na stole.

- To wszystko przyszło z Wenecji? - spytała Hannah.

- Od policjanta, z którym rozmawiałaś. Tommaso Di Barbara. Przesłał to dzisiaj rano - wyjaśnił Niels i usiadł przy stoliku.

- Czytałeś to?

- Część. Są tu bardzo dokładne informacje o ofiarach. O ich życiu, pracy. I oczywiście opis ich śmierci. Czas, miejsce, okoliczności.

Zaczął przerzucać strony. Zerknął na ostatnią.

- Dwieście dwanaście stron życia i śmierci. Część została przetłumaczona z włoskiego na angielski. Ale nie wszystko.

- Cudownie. - Hannah się uśmiechnęła.

- Najpierw powinnaś zobaczyć to.

Niels znalazł zdjęcie pleców jednej z ofiar i położył je na stoliku.

- Co to jest?

- Plecy Władymira Żyrkowa. Wszystkie ofiary mają znaki na plecach. Być może jest to tatuaż.

- Znak się powtarza?

- Tak mi się wydaje. Tommaso twierdzi, że to liczby, ale nie sądzę.

Hannah zmrużyła oczy. Być może też miała wątpliwości. A może po prostu przyglądała się zdziwiona. Wyciągnęła szufladę, wyjęła okulary do czytania kupione na stacji

Statoil. Na ramce była metka z ceną. Ponownie spojrzała na zdjęcie.

- Jesteś pewien, że wszystkie ofiary je mają?

- Tak. Tu masz kolejny przykład. Maria Saywa z Peru. Zamordowana dwudziestego dziewiątego maja tego roku.

Położył zdjęcie kobiety na stole obok zdjęcia Żyrkowa. Odbitki były ciemne, zamazane, ale znaki było widać wyraźnie.

Hannah wzięła do ręki lupę. Wyjęła ją z tej samej szuflady, w której wcześniej leżały okulary.

Niels przyglądał się jej. Lekko zadarty nos. Króciutkie, niemal niewidoczne włoski na karku. Hannah jakby czuła na sobie jego wzrok. Wolną ręką dotknęła szyi. Mijały sekundy, może minuty. Poruszył się niecierpliwie na krześle. Znad jeziora doszły ich krzyki łabędzi. Klóciły się.

- Widzisz coś?

- To jakieś szaleństwo - powiedziała, nie patrząc na niego. Zapaliła papierosa.

- Co?

- Kto to zrobił? - spytała, wypuszczając dym. - Morderca?

Niels przysunął się bliżej.

- Co to takiego?

Zignorowała jego pytanie. Najwyraźniej trzeba było zasłużyć sobie na odpowiedź. Nagle Niels usłyszał, że Hannah szepcze coś pod nosem: „Hebrajski, arabski, hindi, dewanagari...”

Przyglądał się jej zdziwiony, a ona szeptała: mezopotamski, cyfry celtyckie, Babilonia...”

- Hannah. Co się dzieje?

- Cyfry. Same cyfry.

- Gdzie?

- Miał rację. Ten człowiek, z którym rozmawiałam.

- Tommaso?

- Liczby. Trzydzieści jeden. Władimir Żyrkow.

- Trzydzieści jeden?

- Liczba trzydzieści jeden, zapisana w różnych systemach liczbowych. Małymi cyframi, przypominającymi drobne wylewy podskórne. Jakby naczynka krwionośne utworzyły liczbę trzydzieści jeden.

- To możliwe?

Hannah wzruszyła ramionami.

- Nie jestem dermatologiem. Ale... - zaczęła i urwała. Jakby nagle zmieniła zdanie.

- Ale co? - powtórzył Niels zniecierpliwiony.

- *Endothelium* - powiedziała Hannah. - Cienka warstwa komórek na powierzchni skóry, tak zwane komórki śródbłónka.

- Jest coś, czego nie wiesz? - przerwał jej Niels. - Przepraszam. Mów dalej.

- Tak jak powiedziałam, nie jestem specjalistką, ale o ile wiem, jeśli dojdzie do uszkodzenia śródbłónka, krew miesza się z innymi tkankami i płynami... - Znow urwała. - Mądrzę się, jakbym się na tym znała. Nie wiem, jak ta liczba powstała.

- Ale jesteś pewna, że to liczba. Trzydzieści jeden?

- Jestem pewna. Znam różne systemy liczbowe.

- Wszystkie te znaki oznaczają to samo? Liczbę trzydzieści jeden?

Hannah nie odpowiadała. Patrzyła na zdjęcie.

- Hannah?

W końcu skinęła głową.

- Tak. Trzydzieści jeden.

- A te pozostałe? Znak na plecach kobiety z Peru. Marii.

Hannah pochyliła się nad zdjęciem pleców Marii Saywy.

- To jest szóstka. Szóstka w różnych systemach liczbowych. Systemach, używanych dzisiaj i takich, które już dano poszły w zapomnienie. Zdjęcia są niewyraźne, więc nie wszystko potrafię odszyfrować, ale na przykład on...

Hannah wzięła do ręki kolejne zdjęcie z kartonu.

- To jest liczba szesnaście. Zapisana na różne sposoby. Niektóre są mi znane.

Niels zerknął na zdjęcie i spojrzał w faks.

- Jonathan Miller - przeczytał. - Amerykański naukowiec znaleziony siódmego sierpnia tego roku w bazie McMurdo na Antarktydzie. Ale...

Niels odłożył kartkę i zdjęcie pleców Jonathan Millera.

- Ile jest systemów liczbowych? - spytał.

- Potrzeba liczenia zawsze istniała. We wszystkich okresach historycznych i we wszystkich kulturach. Ludzie zawsze czuli potrzebę usystematyzowania świata. Grecy, Rzymianie, Egipcjanie, Hindusi, Arabowie, Chińczycy. Istniało wiele różnych systemów. Całe morze możliwości. Znalaziono kości z epoki kamienia łupanego z wrytymi na nich kreskami. Te kreski to liczby. Pismo w Mezopotamii powstało dwa tysiące lat przed Chrystusem. Początkowo cyfry były używane jedynie do liczenia, z czasem zrozumiano, że

cyfry to także symbole.

- Były symbolami. Czy raczej uczyniono z nich symbole.

- Odwieczny problem: jajko czy kura - powiedziała Hannah i wzruszyła ramionami. -

To my tworzymy systemy liczbowe, czy może one istnieją od zawsze? Jeśli dwa plus dwa było cztery także, zanim na świecie pojawili się ludzie, to kto stworzył te wszystkie systemy? Dla pitagorejczyków cyfry stanowiły klucz do kosmosu. Symbolizowały boski porządek świata.

- Były ważne.

- Novalis uważał, że Bóg może się objawić w matematyce równie dobrze jak w każdej innej dziedzinie nauki. Arystoteles twierdził, że cyfry nie tylko oznaczają konkretną ilość, mówił o ilościowej strukturze liczb. Liczby nieparzyste były rodzaju męskiego. Parzyste - żeńskiego. Inni Grecy wspominają o liczbach duchowych.

Kot wskoczył na stół, Hannah przegoniła go, nie przerywając swojego wyводу.

- Matematyka jest pełna zagadek. Zagadek, które mogą rozwiązać nasz problem. To właśnie miał na myśli Gustav, wypowiadając zdanie, które cię do mnie sprowadziło.

- Że matematyka ocali świat.

- Pomyśl, co w tej chwili robią ci wszyscy ludzie zebrani w Bella Centeret. Dyskutują o wykresach, liczbach, grafach. Zajmują się liczbami, wyłącznie liczbami. Właściwa interpretacja danych może zadecydować o tym, czy przeżyjemy, czy nie. Życie albo śmierć. Każdy naukowiec to rozumie. Dlatego Tycho Brahe stracił czubek nosa w pojedynku.

- Z powodu liczb?

- Twierdził, że istnieją tak zwane liczby zespolone. Jego przeciwnicy byli odmiennego zdania.

- Kto miał rację?

- Tycho Brahe. Tyle że stracił nos.

Zamilkła, pozwalając Nielsowi przemyśleć to, co mu przed chwilą powiedziała.

- Słyszałeś o Avrahamie Trahtmanie? - spytała.

Nie dała Nielsowi odpowiedzieć, tylko ciągnęła.

- Rosyjski imigrant w Izraelu. Profesor matematyki. Nie mógł znaleźć pracy, więc w końcu zatrudnił się jako wykidajło. Kiedy stał w drzwiach, próbując okiełznać nastroje pijanych nastolatków, rozwiązał jedną z największych matematycznych zagadek naszych czasów. *The Road Coloring Problem*. Mówi ci to coś?

Hannah zadyszała się, zaczerpnęła powietrza.

- Nie bardzo.

- To bardzo proste. Mężczyzna przybywa do miasta, którego nie zna. Ma odwiedzić przyjaciela, ale nie wie, gdzie przyjaciel mieszka. Ulice miasta nie mają nazw. Przyjaciel dzwoni do niego i podejmuje się go poprowadzić, mówiąc mu tylko, czy ma skręcić w lewo, czy w prawo. Myślisz, że idąc za wskazówkami przyjaciela, mężczyzna trafi do jego domu?

- Jeśli będzie miał szczęście.

- Odpowiedź brzmi: tak. Oszczędzę ci dowodu. Znasz Grigorija Perelmana? Rosjanina, który udowodnił tak zwaną hipotezę Poincarego?

- Hannah!

Niels uniósł ręce w błagalnym geście. Jak kowboj, który postanowił się poddać.

Hannah westchnęła.

- Przepraszam.

Przesunęła krzesło i spojrzała na jezioro, na którym pojawiły się motorówki.

Niels wstał. Miał do niej mnóstwo pytań, ale w końcu nie zadał jej żadnego.

Po chwili Hannah przerwała milczenie.

- Dlaczego ofiary mają na plecach liczby?

Przemówił naukowiec.

- I kto to zrobił? - spytał Niels. Policjant.

Hannah westchnęła, spojrzała na zegarek, a potem na stertę papierów. Uśmiechnęła się.

- Jesteś tu już godzinę, a jeszcze nie zaczęliśmy ich studiować - zauważyła.

Sarah Johnsson

Niels po raz pierwszy wyjął z kartonu cały faks. Kiedy położył na stole stertę kartek, wyglądały jak karykatura wielkiej cegły.

- To wszystko informacje dotyczące tych morderstw? - spytała Hannah, zapalając papierosa.

- Tak sądzę. „Sarah Johnsson, czterdzieści dwa lata, Thunder Bay” - przeczytał.

- Pierwsza ofiara?

Niels wzruszył ramionami.

- Niewykluczone. Na pewno jest pierwszą ofiarą wymienioną w fakcie - powiedział. - Tak wyglądała - dodał.

Położył na stole zdjęcie kobiety z grzywką nad czołem i zatroskanym wyrazem twarzy.

- Zmarła trzydziestego pierwszego lipca 2009 roku. A więc nie jest pierwszą ofiarą.
Peruviańczyk został zamordowany w maju.

- Thunder Bay?

Hannah studiowała uważnie leżącą przed nią dużą mapę świata.

- Kanada. Jezioro Górne. Jedno z największych jezior świata.

Zaznaczyła szpilką odpowiednie miejsce na mapie.

- Sarah Johnsson była lekarką w szpitalu. Mieszkała sama. Niezamężna. Bezdzienna.

- Te informacje są po angielsku?

- Nie wszystkie, ale te akurat tak. Część jest też po włosku.

- Dobrze. Następna ofiara - ponagliła Hannah, gotowa wbić kolejną szpilkę.

- Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko.

Niels przeleciał wzrokiem kolejną stronę.

- Jest też nekrolog z miejscowej gazety.

- Włoch go wytropił?

- Najwyraźniej. Skończyła studia medyczne w Toronto, w 1993 roku. Mamy też wycinek z wywiadem.

- Z Sarah Johnsson?

Niels przerzucał kolejne kartki faksu. Hannah zerknęła na zdjęcie.

- Bardzo ładna kobieta. Przypomina Audrey Hepburn - stwierdziła.

- Wywiad jest nie z nią, tylko z Megan Riley, przyjaciółką ze studiów.

- Dlaczego właśnie z nią?

- To jest chyba spisany wywiad radiowy. Megan opowiada w nim o Sarah.

- Dlaczego Włoch ci go przysłał?

- Dobre pytanie. Posłuchaj. Megan Riley określa przyjaciółkę jako osobę raczej nietowarzystką. Nieco dziwną. O skomplikowanym życiu miłosnym. Miła, chociaż pewnie nigdy nie była szczęśliwa.

- Biedna dziewczyna. - Hannah westchnęła współczująco.

Niels przytaknął.

- Spójrz. Mamy nawet jej zdjęcie z młodości.

Hannah spojrzała na fotografię sześciolatniej dziewczynki siedzącej z nieco niepewną miną na huśtawce.

- A to mi wygląda na kartę zdrowia, taką, jakie wypełniają lekarze czy psychiatrzy - powiedział Niels, biorąc do ręki kolejną kartkę.

- Takie rzeczy nie są poufne? Jak Tommaso do tego dotarł? Takich kart nie udostępnia

się każdemu.

- Może ma dar przekonywania.

Niels zaczął studiować lekarskie notatki. Niektóre były ledwie czytelne.

- W 2005 roku z Sarah najwyraźniej zaczęło się coś dziać. Pojawiły się u niej oznaki psychicznej niestabilności. Napady lęku, problemy ze snem, skłonność do paranoi.

- Wiadomo jaka była przyczyna?

Niels pokręcił głową i wrócił do lektury faksu.

- Zaraz, to może być ważne. W 2005 roku została zwolniona z pracy, podobno sprawa trafiła do mediów.

- Jaka sprawa?

- Niczego więcej tu nie ma. Chociaż, zaraz.

Znów zaczął przekładać kartki.

- Mam. To wycinek z gazety.

Niels początkowo zamierzał przeczytać cały fragment po angielsku, uznał jednak, że tekstu jest za dużo.

- Co tam jest napisane? - niecierpliwiła się Hannah.

- Że Sarah Johnsson została zwolniona ze skutkiem natychmiastowym, kiedy się okazało, że cierpiącemu na nieuleczalną chorobę chłopcu podała lek, który formalnie nie został jeszcze dopuszczony do użycia. Chłopiec wyzdrowiał, ale sprawa nabrała rozgłosu. Zachowanie lekarki budziło podobno zasadnicze zastrzeżenia. Dyrekcja szpitala uznała, że należy ją zwolnić.

- Niedopuszczony do użycia lek?

- Tak tu jest napisane. Procedury w takich sprawach mogą czasami trwać nawet piętnaście lat. Widocznie Sarah uznała, że nie może tak długo czekać. Złamała zasady i uratowała dziecku życie.

- To ma coś wspólnego z jej paranoją?

- Gdzie są te raporty lekarskie? - spytał Niels, szukając w stercie kartek. - Nic tu o tym nie ma. Jest tylko napisane, że napady paranoi stawały się coraz częstsze. W 2006 i w 2008 roku przebywała na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym Lakehead w Thunder Bay. Opiekujący się nią psychiatra, Aspeth Lazarus, określa jej stan jako niepokojący. Miała napady paraliżującego strachu. Twierdziła, że ktoś chce pozbawić ją życia.

- Niby kto?

- Nie wiem. Ale może jednak było coś na rzeczy, skoro trzydziestego pierwszego lipca tego roku Sarah została znaleziona martwa w swoim samochodzie na parkingu przed

supermarketem Sobeys. Policja nie wyklucza morderstwa, nigdy jednak nie wniesiono oskarżenia. Poison.

- Poison? Trucizna?

- Tak.

- I to wszystko?

- Sarah Johnsson została pochowana na cmentarzu Riverside w Thunder Bay. W bezimiennym grobie.

- A co ze znakiem na plecach? Jest coś o tym?

Niels czytał dalej.

- Nie. Chociaż, zaraz. Jest wyciąg z obdukcji. „Pęknięta skóra bądź wylew na plecach”.

- Myślisz, że dlatego policja zaczęła podejrzewać morderstwo?

- Pewnie tak, ale sprawa szybko została odłożona ad acta.

Hannah skinęła głową, zgasiła papierosa. Niels wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, dochodził do ściany i zawracał.

- Nic z tego nie rozumiem. Po co on to wszystko zbierał?

- I dlaczego ci to przysłał?

Niels usiadł. Wiklinowy fotel zatrzeszczał pod jego ciężarem. Zapadła cisza.

- Czytamy dalej? - spytał po chwili. - Sądysz, że coś z tego może wyniknąć?

- Zobaczymy, co jeszcze mamy. Otwórz kolejny Zwój Śmierci.

- Dobrze. Morderstwo numer dwa: udajemy się na Bliski Wschód.

Ludvig Goldberg

Niels usiadł na podłodze. Wokół rozłożył materiały dotyczące Ludviga Goldberga. Jakby były częściami układanki. Dwanaście gęsto zapisanych kartek, obraz życia i śmierci człowieka.

- Tak będzie nam łatwiej - powiedział, zerkając na papiery.

- Co mamy? - spytała Hannah.

- Wszystko. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nekrologi, fragmenty pamiętnika. Wywiady. Coś, co przypomina wiersz. Część jest po hebrajsku. Sympatyczny facet - stwierdził, podając Hannah zdjęcie Goldberga. Ciemne zatroskane oczy. Okulary intelektualisty. Pociągła sympatyczna twarz.

- A to co? - spytała Hannah, wskazując na jedną z kartek.

- IDF. Israel Defense Force. Jakiś wojskowy dokument. Najwyraźniej siedział w więzieniu.

- Nie wygląda na żołnierza. Gdzie mam wbić szpilkę?

- Ein Kerem.

- Gdzie to jest?

- To dzielnica Jerozolimy.

Hannah spojrzała na niego zdziwiona. Była pod wrażeniem.

- Dużo podróżujesz?

- W wyobraźni.

Uśmiechnęła się, ale on tego nie zauważył.

- „Ludvig Goldberg - czytał w policyjnym protokole. - Został znaleziony martwy dwudziestego szóstego lipca tego roku. Leżał w...” - przerwał, przeszedł na czworakach do innej kartki faksu. - Proponuję zacząć od nekrologu - powiedział.

- Z gazety?

Niels przyglądał się trzymanej w ręce kartce.

- Nekrolog zamieściło liceum imienia Szewacha Mofeta z Tel Awiwu, gdzie Goldberg był nauczycielem. Bardzo kiepski angielski, ktoś się nie przyłożył.

- Może Włoch sam go przetłumaczył? Albo wrzucił w Google. Czasem wychodzą z tego zabawne rzeczy.

- Niewykluczone. Goldberg urodził się w 1968 roku, wychowywał się w kibucu Lehavot Haviva, w pobliżu Gadery. Rodzina pochodzi z Ukrainy. Matka jest z...

Niels zaczął po kolei wymieniać nazwy miejscowości, z których pochodzili przodkowie Goldberga.

- Sagi rodzinne są bardzo popularne na Bliskim Wschodzie. Najlepszym tego przykładem jest Biblia - przerwała mu Hannah.

Niels wrócił do lektury faksu.

- To dokument z wojska. Podejrzenie o homoseksualizm - powiedział. - Tak jest tu napisane. Bez komentarza. Do więzienia trafił dlatego, że złamał regulamin.

- Co zrobił?

- Nie wiem. Ale spędził rok za kratkami, więc sprawa musiała być dość poważna. Mam tu fragment z „Jerusalem Post” z 1988 roku, w którym Ariel Szaron...

- Ten Ariel Szaron?

- Zakładam, że tak. A więc ten Ariel Szaron mówi o Goldbergu, że reprezentuje wszystko to, czego ten kraj nie potrzebuje.

- Czyli sprawa musiała być głośna.

Niels przytaknął.

- Co piszą o jego śmierci? Mamy raport z obdukcji?

Niels zaczął szukać.

- Nie, ale znalazłem coś innego. Fragment przemówienia wygłoszonego przez Talalę Amara, siódmego stycznia 2004 roku na uniwersytecie Bir Zeit w Ramallah, opublikowanego w „Time Magazine”.

- Talal Amar? Kto to taki?

Niels wzruszył ramionami. Zaczął czytać.

- „Ludzie na Bliskim Wschodzie nigdy nie wiedzą, co przyniesie im przyszłość. Jednak kiedy zobaczyłem, jak rabin i pan Arafat podają sobie dłonie przed Białym Domem, poczułem przypływ optymizmu. Podobnie jak wiele lat temu, gdy w 1988 roku, podczas intifady młody izraelski żołnierz nagle odmówił wykonania rozkazu i zwolnił mnie i mojego brata z izraelskiego obozu, ratując nas w ten sposób przed latami więzienia. Do końca życia nie zapomnę wzroku tego młodego żołnierza. Do tamtego dnia wszyscy Izraelczycy wydawali mi się potworami. Nagle zrozumiałem, że to ludzie, tacy jak ja”.

- Rabin i Arafat - powtórzyła Hannah. - Nawiązuje do traktatu pokojowego. Co Goldberg ma z tym wspólnego?

- Albo co Talal Amar ma z tym wspólnego?

- Zapewne sporo. Inaczej „Time Magazine” nie zamieściłby z nim wywiadu. No i nie stałby przed Białym Domem podczas ceremonii podpisywania traktatu. Podejrzewam, że był jednym z palestyńskich negocjatorów.

- Kolejna informacja o śmierci Goldberga - powiedział Niels, przebiegając wzrokiem tekst. - *Unknown source?* Źródło nieznane. Tak tu jest napisane - powiedział i zaczął tłumaczyć dalszy fragment tekstu.

- „W dniach poprzedzających śmierć Goldberg przebywał w Ein Kerem, gdzie odwiedzał małżeństwo Sami i Leah Lehaimów. Goldberg wyraźnie źle się czuł, narzekał na bóle krzyża, zdawał się też cierpieć na lekką paranoję. Twierdził, że ktoś go śledzi. W pewnym momencie, wieczorem, dwudziestego szóstego czerwca Goldberg wyszedł na papierosa. Ponieważ długo nie wracał, Sami wyszedł go szukać. Znalazł go leżącego na zwirowej ścieżce przed domem. Martwego”.

- Miał znak na plecach?

Niels ponownie zagłębił się w lekturze.

- Nic tu o tym nie ma. Przyczyna śmierci nie została podana. Stwierdzono tylko, że

było to morderstwo.

- Dlaczego?

Niels po raz kolejny wzruszył ramionami.

- Może miał wrogów?

- Pewnie Szaron go zamordował. - Hannah Się uśmiechnęła. - Po tym zdarzeniu z 1988 roku.

- Rok 1988 - powtórzył Niels. - A jeśli młodym izraelskim żołnierzem, który uwolnił Talalą Amara, był...

- Ludvig Goldberg.

Niels przytaknął. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Pewnie dlatego Włoch przesłał ci właśnie ten fragment wystąpienia Amara.

Niels nie odpowiedział.

29

Poręcz werandy była pokryta cienką warstwą szronu. Oddech Nielsa przybierał kształt niewielkich chmurek. Stał i przyglądał się Hannah przez okno. Siedziała pochylona nad stołem. Jej profil wydał mu się atrakcyjny. Była zaledwie kilka metrów od niego, ale w całkowicie innym świecie. Przyglądała się uważnie dwunastu szpilkom wystającym z nad mapy. Dwanaście niewielkich punktów. Każda z nich to inna historia: Sarah Johnsson, Ludvig Goldberg. Czyjeś życie. Radości, smutki, przyjaciele, znajomi. Dwanaście odrębnych historii, każda miała swój początek i zakończenie. Nagłe, brutalne.

Kaczka dotknęła na moment skrzydłami powierzchni morza. Szybko jednak wzniosła się w górę, zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i skierowała się na południe, byle dalej od zimnej Skandynawii. Niels śledził zazdrośnie jej lot. On tak nie potrafił. Siedział tu, uwięziony. Jaki defekt psychiczny stał się jego strażnikiem? Strach? Trauma? Ponownie spojrzał na Hannah. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale miał wrażenie, że powoli zbliża się do rozwiązania zagadki. Widział, jak zapala kolejnego papierosa, właściwie odpaliła go od poprzedniego, nie odrywając wzroku od mapy.

Sztywnymi palcami sięgnął po komórkę. SMS od Anni z zapytaniem, czy Niels dołoży się do prezentu dla Susanne z archiwum. W czwartek kończy pięćdziesiąt lat. Koledzy postanowili się złożyć na przyrząd do ćwiczeń albo na pobyt w spa w Hamburgu.

Niels wcisnął „Moja ukochana”, co oczywiście oznaczało Kathrine. Zadzwoił. „You have called Kathrine, DBB Architects”. Poczta głosowa. Słyszał tę zapowiedź tysiąc razy. Co najmniej. Ale nigdy nie do końca. „I am unable to take the phone now, but I would be very pleased if could leave me a message”. I końcówka po duńsku: „Jeśli to ty mamó, zostaw mi jakąś miłą wiadomość”.

- Kathrine, to ja - zaczął i zaczerpnął powietrza. - Zresztą widzisz, że to ja. Rozumiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Chciałem ci tylko powiedzieć, że sprawa, którą teraz się zajmuję... Wiem, że to pewnie głupio zabrzmiało, ale mam wrażenie, że to naprawdę coś ważnego”.

Przerwał. Rzeczywiście brzmiało to głupio. Idiotycznie. Ale nie bardzo wiedział, jak to inaczej ująć.

Władimir Żyrkow

- Teraz wybierzemy się do Rosji - zapowiedział Niels, siadając na podłodze. - A dokładniej: do Moskwy. Władimir Żyrkow, czterdzieści osiem lat.

- Moskwa. Bardzo proszę - powiedziała Hannah, wbijając kolejną szpilkę w mapę.

- Dziennikarz, krytyczny wobec systemu.

- Sądziłam, że rosyjskiego systemu nie wolno krytykować - wtrąciła Hannah.

- Zmarł dwudziestego listopada tego roku. Według raportu, opracowanego przez rosyjski „Memorial”, siedział w osławionym moskiewskim więzieniu, Butyrki.

- Za co?

Niels się zawahał. Czytał, próbując znaleźć jakąś informację.

- Pewnie zaraz się dowiemy. Znalazł go jego kolega z celi, Igor Dasajew, który zeznał, że Żyrkow po południu i wieczorem skarżył się na bóle. Dasajew wezwał pomoc. Żyrkow miał podobno wołać: „Płonę!” i „Trawi mnie ogień!” Wkrótce potem zmarł. Żadnej obdukcji. Niczego. Koniec.

Niels wstał, pozycja była dość niewygodna, wypił łyk zimnej kawy.

- A to co takiego? - spytała Hannah, wskazując na fragment tekstu zapisany maleńkimi, ściśniętymi literami. - To po angielsku?

Niels przytaknął.

- Niemal nieczytelne. Artykuł z „Moscow Times”, z dwudziestego trzeciego października 2003 roku. Posłuchaj: Dwudziesty trzeci października 2002 roku zostanie zapamiętany jako dzień zamachu... - zaczął i nagle przerwał.

- Co się stało?
- Mam tłumaczyć dalej?
- Możesz czytać po angielsku.
- Trochę mnie to krępuje.

Hannah zaprotestowała. Po chwili Niels wrócił do tekstu artykułu, tłumacząc go od razu na duński.

- Dwudziestego trzeciego października 2002 roku około czterdziestu ceczeńskich terrorystów, pod dowództwem Mowsara Barajewa, przypuściło atak na teatr na Dubrowce położony zaledwie kilka minut spacerem od placu Czerwonego. W sali było około dziewięciuset widzów czekających na rozpoczęcie przedstawienia. Nagle stali się bohaterami tragedii, która odbiła się głośnie echem w całej Rosji. Wśród uzbrojonych napastników było wiele kobiet, większość miała przyczepione do ciała ładunki wybuchowe. Terrorysty zażądali natychmiastowego wycofania rosyjskich żołnierzy z Czeczenii. Barajew oświadczył: „Przysięgam na Allaha, że bardziej pragniemy śmierci niż wy życia”. Duża liczba broni i ładunków wybuchowych dowodziła, że terrorysty nie żartują. Później się okazało, że udało im się wnieść do budynku teatru co najmniej sto dziesięć kilogramów trotylu. Dwadzieścia kilogramów wystarczyłoby, żeby zabić wszystkich przetrzymywanych na widowni zakładników. Rosyjskie władze były zdezorientowane. Putin uważał, że nie należy ulegać, jednocześnie rodziny zakładników domagały się podjęcia szybkich kroków. Młoda kobieta, dwudziestosześcioletnia Olga Romanowa, próbowała przekonać terrorystów, żeby wypuścili dzieci. Zginęła na miejscu. W ciągu kilku następnych dni zwolniono część zakładników. Wiele znanych osób próbowało podjąć się mediacji, między innymi przedstawiciele takich organizacji jak Czerwony Krzyż czy Lekarze bez Granic, a także znana dziennikarka Anna Politkowska. Sytuacja stała się tak dramatyczna, że w końcu, rankiem dwudziestego szóstego października 2002 roku, oddziały rosyjskiego Specnazu wpuściły na salę dużo gazu odurzającego i rozpoczęły szturm. Walka była krótka. Większość ludzi wewnątrz budynku była oszołomiona gazem. Służby nie chciały ryzykować. Wszyscy terrorysty zostali zastrzeleni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Rosja była w szoku. To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak zwycięstwo, okazało się tragedią na niespotykaną skalę. Stu dwudziestu dziewięciu zakładników zginęło. W tym wiele dzieci. Sześćdziesięcioro dziewięcioro dzieci zostało sierotami. Część zakładników zginęła z rąk terrorystów, jednak większość zmarła w wyniku zatrucia gazem i braku fachowej pomocy lekarskiej w pierwszych minutach po opuszczeniu budynku teatru. Brakowało karettek. Ludzie dusili się w przepełnionych autobusach.

Niels wstrzymał oddech, odłożył na bok artykuł.

Miał ich przed oczami. Przerażone dzieci, terroryści, ładunki wybuchowe, załadowana broń. I oczekiwanie. Strach. Na pewno oglądał fragmenty filmu dokumentalnego z zamachu.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Żyrkowem? - przerwała Hannah jego rozmyślenia.

- Dobrze pytanie. Może to on jest autorem artykułu? Był dziennikarzem.

- Włoch mógł załączyć inne jego artykuły.

Niels szukał dalszych informacji o ofierze.

- Dorastał na przedmieściach Moskwy, w dzielnicy Chimki. Matka była pielęgniarką, ojciec popełnił samobójstwo, kiedy Władymir był małym chłopcem. Mam tu wypowiedź trenera miejscowej drużyny hokejowej. „Dwunastoletni Władymir Żyrkow to duży talent, ale jeśli marzy mu się kariera zawodowego hokeisty, będzie musiał popracować nad psychiką. Ma tendencję do zmiennych nastrojów, często sprawia wrażenie przygnębionego”.

Niels zastanawiał się, dlaczego Włoch przetłumaczył akurat ten fragment rozmowy z trenerem.

- Jest jeszcze jeden fragment wywiadu z... Nie podano nazwy gazety. Może to dziennik albo jakieś czasopismo.

- To wywiad z Żyrkowem?

- Niestety nie. Z Aleksiejem Saenko, nauczycielem.

- Kto to taki?

- Wygląda na to, że był jednym z zakładników. Posłuchaj, co mówi: „Najgorsze były noce. Siedzieliśmy w rzędach, jak na przedstawieniu. Niekończący się koszmar. W kanale dla orkiestry leżały trzy trupy. Między innymi młodego mężczyzny, który próbował uciekać. Terroryści strzelili mu w brzuch. Widziałem jego wnętrzości. Wiele godzin leżał i jęczał. Kiedy w końcu umarł, pomyślałem: nareszcie. Jego jęki doprowadzały nas do szaleństwa. Dzieci płakały. Cały czas. Rodzice próbowali je pocieszać. Terroryści chodzili po sali. Na samym środku umieścili dużo ładunków wybuchowych. Ogromne. Siedziałem kilka metrów od nich i byłem przekonany, że nie wyjdziemy stąd żywi. Dowódca terrorystów sprawiał wrażenie niepojętego. Był obładowany granatami, pewnie był też pod działaniem środków pobudzających”.

- Przyjechałem do Moskwy, żeby umrzeć - powiedziała nagle Hannah.

- Co takiego?

- Tak powiedział. Zapamiętałam to zdanie. „Przyjechałem do Moskwy, żeby umrzeć”.

Prasa go cytowała.

Niels czytał dalej.

- „W pewnym momencie doszło do incydentu między jednym z zakładników a terrorystami. Młoda matka załamała się pod wpływem stresu. Siedziała, trzymając na kolanach dwóch małych chłopców. Jeden był jeszcze niemowlakiem, drugi miał może pięć lat. Dziecko trzęsło się ze strachu. Nagle matka podniosła się i zaczęła wykrzykiwać coś do terrorystów. Nazwała ich psychopatami, tchórzliwymi mordercami, którzy tylko potrafią zabijać kobiety i dzieci. Terrorysty wyciągnęli ją i dzieci na środek sali. Dzieci krzyczały. Nikt nie miał wątpliwości, że terrorysty zaraz ich zastrzelą. Wtedy w jednym z rzędów wstał jakiś mężczyzna. Był młody. Siedział gdzieś z tyłu za mną. Powiedział, żeby zastrzelili jego zamiast ją. Pamiętam jego słowa: »Przyjmę jej kulkę«. Zapanowała straszliwa cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Terrorysty zaczęli się wahać. W końcu Barajew skinął głową. Pozwolił kobiecie z dziećmi wrócić na miejsce. Młody mężczyzna wyszedł do przodu. Był spokojny. To właśnie utkwiło mi w pamięci: jego spokojny wzrok. Dowódca terrorystów podszedł do niego. Wówczas nie znałem jeszcze jego nazwiska. Zaczął coś wykrzykiwać. O zbrodniach przeciwko narodowi czeczeńskiemu. O haniebnym wtargnięciu Rosjan do Groznego. Był wściekły. Cała jego rodzina zginęła z rąk Rosjan. Wyjął pistolet, przystawił mu do czoła i... I nic. Po prostu nic. Nie pociągnął za spust. Młody mężczyzna stał i spokojnie patrzył mu w oczy, czekał. Ale nic się nie wydarzyło. Po chwili mężczyzna wrócił na swoje miejsce, a terrorysty stali i spoglądali na siebie zdziwieni. Dlaczego ich dowódca nie strzelił? Co sprawiło, że się zawahał? Na to pytanie do dziś nie potrafię odpowiedzieć. Ale ten młody mężczyzna miał coś w sobie. To było widać w jego spojrzeniu. Jestem przekonany, że tamtego dnia w teatrze na Dubrowce byłem świadkiem prawdziwego cudu”.

- To właśnie ta kobieta i jej dzieci? - zainteresowała się Hannah, wskazując na zdjęcie.

- Pewnie tak. Najwyraźniej zostało zrobione kilka lat później - stwierdził Niels, przypatrując się pięknej kobiecie, matce z dwojgiem synów. Najmłodszy, który wtedy był niemowlakiem, miał już kilka lat.

- Czy myślisz o tym samym, o czym ja myślę? - spytała Hannah. Na jej ustach igrał uśmiech.

- Tak. Tym młodym człowiekiem, który uratował matkę i jej dwoje dzieci, był Żyrkow.

- Dlaczego więc trafił do więzienia? Powinien zostać bohaterem.

Niels zaczął się zastanawiać. Zapadło milczenie. Hannah wstała i podeszła do mapy, gdzie szpilki rozprzestrzeniły się już po całym świecie. Miejsca, w których zostały zatknięte, wydawały się z pozoru całkowicie przypadkowe.

- Może właśnie to doświadczenie sprawiło, że zaczął bardziej krytycznie oceniać system? - powiedział Niels, jakby sam do siebie. - Pewnie dlatego zainteresował się nim „Memoriał”.

- Trafił do więzienia, bo był krytyczny wobec systemu?

- Może.

- Ale kto go zabił?

Niels wziął do ręki kolejną kartkę.

- To jest fragment wywiadu, który ukazał się na stronie internetowej, pewnie „Memoriału”. „Oficjalnie śmierć Władymira Żyrkowa pozostaje nadal zagadką, ale dla mistrza szachowego, Garriego Kasparowa, sprawa jest jasna. To Putin zabił Żyrkowa, twierdzi. Jednak Igor Dasajew, więzień, który znalazł martwego, jest innego zdania: »Widziałem mężczyznę, a raczej cień mężczyzny, stojącego tuż obok śpiącego Żyrkowa. Nie wiem, jak się dostał do celi, nie wiem, co zrobił. Ale jestem niemal pewny, że miał coś wspólnego z jego śmiercią. Przestraszyłem się. Miałem wrażenie, jakbym oglądał koszmar«”.

Niels zamilkł na chwilę.

- Jak mężczyzna dostał się do celi? Więzienie jest wyjątkowo dobrze strzeżone. To brzmi mało wiarygodnie.

- Piszą coś o znaku na plecach?

- Nie zauważyłem.

30

Centrum Kopenhagi

Pastor był w swoim gabinecie. Abdul Hadi widział go wyraźnie. Okna jego pokoju wychodziły na ogród, który był dostępny dla wszystkich. Usiadł na pobliskiej ławce. Tuż obok kościoła znajdowało się przedszkole. W budynku były dzieci i personel. Dlaczego jego gruby kuzyn mu o tym nie wspomniał? Nie żeby to miało wpłynąć na zmianę jego planów. Wszystko zostało przygotowane, zatwierdzone. Żałował tylko, że nie będzie mógł wysadzić kościoła w powietrze. Wiele razy wyobrażał sobie ten widok: front świątyni w ruinach. Zdjęcia rozbitych okien sklepowych w pobliskim pasażu handlowym i zniszczonego kościoła w ciągu kilku minut obiegają cały świat. Kolejne zwycięstwo do zaznaczenia na mapie. Było

ich coraz więcej. I tak powinno być. Zachód zżerała od wewnątrz własna dekadencja. Życie zbudowane na wyzysku innych. Perwersyjne seksualne wykorzystywanie dzieci. Dzieci! To było widać na każdym kroku. Nawet na manekinach w oknach sklepowych. Manekinach z maleńkimi piersiami. Niektóre były nagie, co nikomu zdawało się nie przeszkadzać. Ludzie chodzili ulicami z olbrzymimi pakunkami, ich religijność wyrażała się w zakupach. Podczas największego święta religijnego jedli wieprzowinę, obdarowywali swoje dzieci groteskową liczbą prezentów. I narzekali, że na Bliskim Wschodzie nie ma demokracji. Abdul Hadi nie mógł się pogodzić z myślą, że jego brat przeniósł się właśnie tutaj. Do Europy. Niemniej jego śmierć musi zostać pomszczona.

Włożył rękę do kieszeni. Nóż był na swoim miejscu. Kuzyn miał go ze sobą. Jego gruby kuzyn. Miał mu za złe, że wysiadł z pociągu. Był do tego stopnia wzburzony, że ledwie był w stanie prowadzić samochód, kiedy jechali przez most łączący Szwecję z Danią. Śpiąca armia. Abdul zrobił mu awanturę, kiedy zaczął narzekać, że musiał po niego przyjechać.

Minął go Święty Mikołaj. Za nim biegły dzieci.

Abdul Hadi wstał i ruszył w stronę kościoła.

*

Kościół był pusty. Na ścianie wisiał duży drewniany krzyż z lalką Jezusa. Tutaj zostawi pastora, kiedy już z nim skończy. Także i to zdjęcie trafi na pierwsze strony wszystkich zachodnich dzienników. Ikonografia. To ważne. Ludzie Zachodu byli powierzchowni. Dla nich miały znaczenie takie rzeczy jak ubranie, wygląd, lustra, zdjęcia, telewizja, reklamy. Abdul Hadi recytował wyuczone zdania, przyglądając się wnętrzu świątyni. Ludzie Zachodu nie prowadzili ze sobą wewnętrznego dialogu, żadnych rozmów z Bogiem.

Jakaś kobieta powiedziała coś do niego po duńsku. Zorientowała się, że mężczyzna jej nie rozumie, i powtórzyła swoje słowa po angielsku.

- Kościół jest teraz zamknięty.

Uśmiechnęła się i dodała jeszcze, że w piątek jest msza o północy. Może przyjdzie?

- Czy pan jest zainteresowany? - dodała po angielsku.

- Thank you - odpowiedział.

Wyszedł z kościoła. Światła w przedszkolu zgasły. Ruszył w stronę zakrystii. Tam było okno. Podobno wszystko zostało przygotowane. Planował, że najpierw się pomodli, ale nie miał już czasu. Widział, jak pastor wkłada kurtkę. Musi zrobić to teraz.

Hannah nalala kawę, rozlała trochę na stół. Starła płyn ścierką.

- To wszystko? - spytała.

- Tak. Dwadzieścia jeden spraw.

- Od Antarktydy po Caracas. Kilka przypadków w Afryce i w Azji. Chociaż może ich być więcej.

- To znaczy?

Hannah sięgnęła po kartki. Znalazła Rosjanina.

- Trzydziesty pierwszy - powiedziała.

- Zgadza się.

- Jest też numer trzydziesty trzeci i trzydziesty czwarty. Russel Young z Waszyngtonu i Raj Bairoliya z Bombaju. Może to nie wszyscy? Wcześniej też są dziury - zauważyła, patrząc na mapę. - Chama Kiwete z Oldupai Gorge w Tanzanii to numer jeden. Maria Saywa z Peru to numer sześć, numer siedem to Amanda Guerreiro z Rio de Janeiro. Ludvig Goldberg z Tel Awiwu to numer dziesiąty. A Nancy Muttendango z Nairobi to numer jedenaście. Pełno dziur. Gdzie są pozostałe ofiary?

- Może dopiero będą? - zastanawiał się głośno Niels.

- Wiedziałeś, że wąwóz Oldupai Gorge to miejsce, w który znaleziono pozostałości pierwszego człowieka na ziemi? I to właśnie tam zamordowano pierwszą ofiarę. Chama Kiwetego.

Niels przyglądał się jej zdezorientowany. Pomyślał, że być może nie wszystkie sprawy zostały zgłoszone.

- W krajach, gdzie trwa wojna domowa albo panuje głód, ludzie nie mają głowy zajmować się morderstwami. Niewykluczone, że przypadków rzeczywiście było więcej. Kogo obchodzi, że gdzieś w Botswanie zmarł jakiś lekarz czy pracownik Czerwonego Krzyża? - powiedział, ale nie miał pewności, czy Hannah go słyszy.

- Ten twój Włoch jest bardzo porządny. I wytrwały. Jak on do tego wszystkiego dotarł?

Hannah przyglądała się mapie. Dwadzieścia jeden punktów. Tam doszło do

morderstw. Las różnych losów. Śmierć spowita dymem z jej papierosa.

Była wyraźnie podniecona. Mówiła coś do siebie, jakby odmawiała modlitwę.

- Cuzco, Rio, Tel Awiw, Nairobi, Johannesburg, Chicago, Thunder Bay. McMurdo, Pekin...

- A co z datami? - spytał Niels.

- Morderstwa zostały popełnione w odstępach siedmiodniowych. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Spojrzała ponownie na mapę.

- Tak, zgadza się - potwierdziła.

- Co jeszcze je łączy? Pora dnia?

Zawahała się. Zgasiła papierosa na talerzyku.

- Trudno powiedzieć. Nie we wszystkich przypadkach podano dokładną datę zgonu.

- Może morduje w porządku alfabetycznym?

- Zaczekaj.

- Co?

Minęła minuta. Hannah siedziała nieruchomo. Wygląda jak figura woskowa, pomyślał Niels. W końcu się odezwała.

- O zachodzie słońca. Jestem tego prawie pewna.

Zaczęła przerzucać kolejne strony faksu, wystawiając cierpliwość Nielsa na próbę.

- Morderstwa zostały popełnione w odstępach siedmiodniowych. W piątek, prawdopodobnie w momencie zachodu słońca w danym miejscu.

- Co to może znaczyć?

Żadnej odpowiedzi.

- A co z odległością między miejscami zbrodni? - dopytywał się Niels. - Trzy i pół tysiąca kilometrów między każdym. Zgadza się?

Nadal żadnej odpowiedzi. Niels zdał sobie sprawę, że pewnie jej przeszkadza. Ale mówił dalej.

- Hannah, te trzy tysiące kilometrów... Co one mogą znaczyć?

W końcu podniosła głowę.

- Nie rozumiem, co dobrzy ludzie mają z tym wspólnego. Mamy ofiary, są wśród nich lekarze, ludzie zaangażowani w niesienie pomocy innym, ale jest też nauczyciel liceum, który także był żołnierzem.

Pokręciła głową i najwyraźniej postanowiła zmienić temat.

- Pamiętasz, co Włoch mówił o Biblii?

- Trzydziestu sześciu sprawiedliwych. To żydowska przypowieść.

- Po raz pierwszy żałuję, że nie uważałam na lekcjach religii. Wiesz, o co dokładnie chodzi?

Niels wzruszył ramionami.

- Nie i nie sądzę, żeby to był jakiś godny uwagi trop.

- Godny uwagi? Nie rozumiem.

- Nie widzę w tym żadnej logiki, chodzi mi o ofiary. Bez problemu można wskazać ludzi, którzy znacznie bardziej zasłużyli sobie na miano dobrych.

- Tego nie wiem, ale spójrz na mapę. Z pozoru wszystko wydaje się przypadkowe, a jednak jesteśmy niemal pewni, że te sprawy są ze sobą jakoś powiązane. Pamiętaj, że nie chodzi o to, żeby to miało sens dla nas.

Niels spojrział na mapę. Hannah miała rację. Nie chodzi o to, czy oni widzą w tym sens, tylko czym kieruje się morderca.

Hannah usiadła do komputera.

- Trzydziestu sześciu sprawiedliwych, tak? - spytała.

Zanim Niels zdążył jej odpowiedzieć, już cytowała mu Wikipedię: „*Tzadikim Nistarim*. Ukryci sprawiedliwi, czyli dobrzy wysłannicy Boga na ziemi. Niektórzy wierzą, że jeśli ich zabraknie, świat czeka zagłada”.

- Co chyba jednak nam nie grozi. - Niels się uśmiechnął.

Hannah czytała dalej.

- „Inni twierdzą, że zanim to się stanie, tych trzydziestu sześciu musi zginąć. Masz, tu znajdziesz wszystkie informacje”.

Dużymi, nieco dziecinnymi literami, napisała: http://en.wikipedia.org/wiki/Tzadikim_Nistarim.

- Sprawdzę to. Pamiętasz, jak on ma na imię? Weizman?

- Kogo masz na myśli?

- Rabina, na Krystalgade.

- Otwórz ten link. Tam wszystko znajdziesz.

Niels wstał.

- Wiem, że pół świata czerpie swoją wiedzę z Wikipedii - zaczął i nagle urwał.

Poczuł się, jakby był gorszy, jakby był skodą, którą ktoś postawił obok ferrari.

- Kiedy chodzi o morderstwo, nie wystarczy sięgnąć do Wikipedii - rzucił lekko obrażony.

Zebrał swoje rzeczy do teczki. Długopis, komórkę, kalendarz, notes. Nagle jego wzrok

padał na nazwisko Abdula Hadiego. Zerknął w swoje notatki.

- Morderstwo w Bombaju. Pamiętasz, kiedy do niego doszło?

Hannah zaczęła szukać właściwej kartki.

- Zapisałaś datę na mapie - przypomniał jej.

- Rzeczywiście.

Spojrzała na Indie.

- Raj Baioliya. Dwunasty grudnia. Coś nie tak?

- Nie, to pewnie zbieg okoliczności.

- Zbieg okoliczności? - powtórzyła Hannah.

- Zadzwoń później - rzucił Niels i zniknął.

Mówiła coś do niego, ale już jej nie słyszał. W głowie miał tylko jedną myśl: Abdul Hadi był w Bombaju dwunastego grudnia.

*

Hannah przyglądała się, jak Niels cofa samochód i wyjeżdża na drogę. Spojrzała na tablicę rejestracyjną. II 12 041.

- To nie może być zbieg okoliczności - powiedziała sama do siebie.

32

Ospedale Fatebenefratelli, Wenecja

„Osiemdziesiąt centów”.

Matka Tommaso spała niespokojnie. Za każdym razem, kiedy siostra Magdalena do niej zaglądała, mamrotała coś przez sen. Nagle jednak jakby oprzytomniała.

- Osiemdziesiąt centów - powiedziała wyraźnie.

- Dlaczego pani ciągle to powtarza, pani Di Barbara?

- Nie wolno mu ich zapłacić.

- Kogo pani ma na myśli?

- Mojego syna.

Stara kobieta próbowała wyjąć rękę spod kołdry. Magdalena chwyciła jej dłoń, poczuła, jaka jeszcze jest w niej siła, pomogła jej.

- Powiedz mu to.
- Co? Co mam mu powiedzieć?
- Że nie wolno mu ich zapłacić.
- Dlaczego?
- Bo umrze.
- Gdzie?

Stara kobieta pokręciła przecząco głową.

- Co kosztuje osiemdziesiąt centów? - spytała siostra Magdalena.
- Nie potrafię tego dojrzeć - odpowiedziała kobieta z płaczem w głosie.

Siostra Magdalena pokiwała głową. Takie rzeczy często się zdarzały. Umierając, ludzie jakby przez szparkę zaglądali w przyszłość. Tyle że rzadko widzieli cały obraz, zwykle jedynie fragmenty większej całości.

Kobieta się uspokoiła. Może we śnie zobaczy, czego jej synowi nie wolno kupić, pomyślała siostra Magdalena. Wiele rzeczy kosztowało osiemdziesiąt centów. Makaron. Mleko. Jedno espresso. Wróciła do swojego pokoju, zadzwoniła do Tommasa. Nie odbierał.

33

Synagoga, Kopenhaga

Wygląda jak forteca.

To była pierwsza myśl Nielsa, kiedy wyszedł z samochodu na Krystalgade i zobaczył synagogę za wysokim ogrodzeniem. Kute żelazo. Na końcu ulicy, po obu jej stronach, stali policjanci w cywilu. Przytupywali nogami, żeby nie zmarznąć. Zapewne byli tu na prośbę gminy żydowskiej. Graffiti na murze uzasadniało ich obecność. „Uwolnić Palestynę! Teraz!” i pod spodem! „Ściana płaczu - Palestyńczycy płaczą”. Niels pomyślał, ile można by zaoszczędzić, gdyby nagle rozwikłano wszystkie konflikty. Niedawno słyszał w radiu dyskusję na temat tego, czy plac Izraela w Kopenhadze nie powinien zmienić nazwy na plac Palestyny. Ze wszystkich światowych konfliktów konflikt izraelsko-palestyński zdawał się mieć najwięcej międzynarodowych odniesień.

Niels wcisnął guzik domofonu. Czekał.

- Niels Bentzon. Policja kopenhaska - przedstawił się.

- Chwileczkę.

Czekał. Na tablicy na ścianie przeczytał, że budynek ma ponad sto siedemdziesiąt pięć lat. Dwanaście charakterystycznych kolumn przedstawiało dwanaście plemion Izraela. Daleko zaszły te plemiona, pomyślał w duchu.

Synagoga leżała nieco na uboczu, jakby chciała się wtopić w otoczenie. Żydowska bożnica w samym centrum Kopenhagi budziła w swoim czasie liczne kontrowersje. W tym względzie niewiele się zmieniło. Tyle że teraz punktem zapalnym były muzułmańskie meczety.

W końcu brama się otworzyła z cichym brzęczeniem. Niels wszedł, brama za nim zamknęła się bezszelestnie. Przez moment poczuł się zagubiony, nie wiedział, dokąd ma iść, ale zaraz usłyszał za sobą głos:

- Tędy, proszę.

Uśmiechnięty mężczyzna, koło pięćdziesiątki, siedł w jego stronę przez parking obok synagogi. Niels natychmiast go rozpoznał. Widział rabina kilka razy w telewizji. Jego poprzetykana siwizną broda rzucała się w oczy.

- Niels Bentzon.

- Martin Weizman. Zimno dzisiaj.

Niels skinął głową.

- Był pan kiedyś w synagodze?

- Nigdy.

Rabin nadal trzymał rękę Nielsa.

- To zapraszam. Synagoga w starogreckim znaczy miejsce spotkań. Nie jesteśmy groźni. Proszę za mną.

Obeszli budynek dookoła. Weizman wystukał kod, drzwi się otworzyły.

- Wiem, że przypomina to trochę Fort Knox. Po tym jak w 1985 roku podłożono nam bombę, zastrzyliśmy środki bezpieczeństwa.

Niels pamiętał tę sprawę. Podłożono bombę, która wybuchła i chyba tylko cudem nikt nie zginął. Zniszczenia były jednak znaczne, w domu opieki za synagogą wyleciały wszystkie szyby.

- Proszę ją włożyć - powiedział rabin. - Taki mamy zwyczaj.

Niels spojrział zdziwiony na myckę, ale włożył ją na głowę.

- I jeszcze komórka.

- Mam ją wyłączyć?

- Wystarczy wyłączyć dźwięk. Sam też tak robię. Bóg co prawda nie wspomina nic o

telefonach komórkowych. Ograniczył się do owiec i kóz.

Niels się uśmiechnął i przestawił tryb komórki.

Kolejne drzwi. Weszli do środka.

Niels czuł na sobie wzrok rabina. Chciał wyrazić swój podziw, chociaż pomyślał, że synagoga wygląda jak każda inna świątynia.

- To jedna z najstarszych synagog w Europie - zaczął tłumaczyć mu rabin. - Większość została zniszczona w czasie wojny, duńscy Żydzi i w tym względzie mieli szczęście.

Niels znów pokiwał głową.

- Zbudowanie nowej synagogi w Kopenhadze powierzono pierwotnie budowniczemu miejskiemu, Peterowi Meynowi.

- Nowej synagogi? - przerwał mu Niels. - Była jakaś wcześniejsza?

- Tak. W Lsederstræde. Spłonęła w pożarze w 1795 roku, podobnie jak duża część Kopenhagi. Ale na czym to stanąłem?

- Peter...

- Peter Mejn. Główny budowniczy miejski. Przedstawił swoją propozycję, która jednak nie została przyjęta. Zadanie powierzono więc G. F. Hetschowi, uznanemu profesorowi Akademii Sztuk Pięknych. To właśnie jego dzieło oglądamy. Dobrze wypełnił swoje zadanie, prawda?

- Myślałem, że w synagodze jest ołtarz.

- Ponieważ nie składamy ofiary, ołtarz nie jest nam potrzebny. Ta wysoka platforma to bihma. Albo taba. Tam się modlimy, czytamy Torę. Albo śpiewamy. Trzeba wprawy, żeby wiedzieć, jak co należy intonować. Z samego tekstu to nie wynika. A tam przechowujemy zwoje Tory - powiedział, wskazując ręką. - W specjalnej szafie, zwróconej w stronę Jerozolimy. *Aron Hakkódesh* albo *hekhál* tak brzmi jej właściwa nazwa. Punkt kulminacyjny nabożeństwa następuje, kiedy otwieramy szafę i wyjmujemy zwoje Tory. *Ned tamid* to z kolei wieczne światło, na pamiątkę siedmioramiennego świecznika w świątyni w Jerozolimie.

- Ściana Płaczu.

- Tak. Ściana Płaczu w Jerozolimie to jedyne, co zostało z Drugiej Świątyni. Rzymianie zniszczyli ją w 70 roku. Pierwszą mają na sumieniu Babilończycy. To miało miejsce w 586 roku przed naszą erą. Ale proszę pozwolić mi dokończyć opowiadać o nabożeństwie. Jak pan może już zauważył, nie różni się ono zbytnio od nabożeństwa chrześcijańskiego. Tyle że nie odbywa się w niedzielę, tylko w szabas, w sobotę przed południem.

Rabin zaczerpnął powietrza i spojrzął na Nielsa. Widać było, że przywykł do tego rodzaju wykładów. Klasy szkolne były tu częstymi gośćmi.

- *Tzadikim Nistarim*. Cadyk, mąż sprawiedliwy. Jeśli dobrze pana zrozumiałem, to chyba o tym chciał pan ze mną rozmawiać. O trzydziestu sześciu sprawiedliwych. *Lamed wownik*... - powiedział. - To z Talmudu - dodał po chwili.

- Żydowski mistycyzm? Kabała?

- Nie, to błędny trop. Na szczęście. Gdybyśmy mieli zacząć zgłębiać kabałę, zdążylibyśmy posiwieć, a nie dotarlibyśmy do końca. Zostawmy więc mistycyzm Hollywood.

- Rabin się roześmiał. - Zawsze się przydaje, jeśli scenarzysta nie ma pomysłu na zakończenie filmu.

- Więc Talmud?

- Tak. Ustny przekaz Żydów. To komentarz do Tory, która pierwotnie została spisana nie po hebrajsku, tylko po aramejsku, chociaż oba języki są ze sobą blisko spokrewnione. Powstanie Państwa Izrael spowodowało rozkwit hebrajskiego. Przez lata używany niemal wyłącznie do modlitw i nabożeństw, teraz stał się językiem oficjalnym. Ale oddaliliśmy się od Talmudu - powiedział rabin i znów na chwilę zamilkł. - Talmud składa się z dwóch części, Miszny i Gemary. Miszna to właściwe słowa Boga, które Mojżesz usłyszał od Pana, Gemara zaś to komentarz rabinów do tych słów. Tak naprawdę istnieją dwie wersje Talmudu: palestyńska, Jeruzalami, i babilońska, Bawli. My, Żydzi, bazujemy na tej drugiej wersji. Cały Talmud składa się z dwudziestu jeden tomów, każdy liczący tysiąc stron, które powstały po zniszczeniu Drugiej Świątyni, w 70 roku. Ówczesni rabini obawiali się upadku żydostwa. Dlatego postanowiono spisać wszystkie zasady i prawa stanowiące jego podstawę. Poruszane są tu wszelkie możliwe tematy. Kwestie polityczne, prawne i etyczne. W pewnym sensie jest to rodzaj prawnego kodeksu. Pokazuje, jak w różnych sytuacjach należy się zachowywać. Kto ma rację w toczonych przez nas sporach.

- Na przykład?

Rabin zastanawiał się chwilę. Położył nogę na nodze spokojnym, przemyślanym ruchem.

- To może być coś niezwykle banalnego. Na przykład historia mężczyzny, który zgubił laskę. Proszę pamiętać, że Talmud pochodzi z czasów, kiedy nie było.. - Uśmiechnął się. - No więc powiedzmy, że pewien starzec zostawił swoją laskę na targu i - z jakiegoś powodu - wraca po nią dopiero po trzech miesiącach. Okazuje się jednak, że laskę znalazła pewna stara kobieta i teraz ona jej używa. Czy ma do tego prawo? Czy też ta laska nadal należy do mężczyzny? Co to znaczy, że ktoś coś posiada? Podobne pytanie można zadać

odnośnie do kawałka ziemi.

- Prawo własności?

- Na przykład. Mężczyzna opuszcza swój dom, żeby... Bo ja wiem? Powodów może być wiele. Wojna, głód, cokolwiek. Kiedy po trzech latach wraca, w jego domu mieszka już ktoś inny. Kto więc ma do niego prawo?

- Rozumiem, że odpowiedź na to nie jest prosta.

- No właśnie. Wiele spraw ma charakter zasadniczy. Jeśli rozwiążemy jedną kwestię, będzie ona nam mogła służyć za precedens.

- Brzmi to całkiem wspólnie.

- To prawda. Talmud został napisany jako dysputa między rabinami. To właściwie zbiór przysłów i przypowieści otwarty na różnego rodzaju interpretacje. Każdy tom zaczyna się od rodzaju dowodu. Trochę jak w matematyce. Następnie podążamy drogą, niekiedy dość zawiłą, która ma nas doprowadzić do konkluzji - powiedział i znów się uśmiechnął. - Talmud jest dla ludzi, którzy mają dużo czasu. I okulary o grubych szklach.

- Właśnie tego mi brakuje. To znaczy czasu.

- Oczywiście. Gdyby Talmud był dziełem współczesnym, pewnie trudno byłoby znaleźć dla niego wydawcę. Teraz wszystko musi się dziać szybko. Boimy się, że coś nam umknie. I pewnie dlatego tyle różnych rzeczy właśnie nam umyka. Brzmię jak starzec? Moje dzieci też mi to mówią. - Roześmiał się.

Niels też się uśmiechnął, ale postanowił wrócić do sprawy, z którą tu przyszedł.

- Trzydziestu sześciu dobrych ludzi to z Talmudu?

- Wolałbym pozostać przy określeniu trzydziestu sześciu sprawiedliwych. *Tzadikkim*, czyli cadyk, znaczy sprawiedliwy.

- Dlaczego jest ich trzydziestu sześciu? Osiemnaście to święta liczba. Trzydzieści sześć to dwa razy osiemnaście.

- Widzę, że odrobił pan lekcję - powiedział rabin ze swoim wilczym uśmiechem na ustach. - Osiemnaście to rzeczywiście święta liczba, ale dlaczego sprawiedliwych jest akurat trzydziestu sześciu, tego pewnie nikt nie potrafi powiedzieć. Tu chyba bardziej przydałaby się wiedza astrologiczna. Podobno ma to coś wspólnego z tym, że każdy z nich sprawuje pieczęć nad dziesięcioma stopniami szerokości geograficznej. - Rozłożył ręce i uśmiechnął się. - Nie znam odpowiedzi na pana pytanie. Mogę jedynie powiedzieć, że często mówi się o nich jako o ukrytych świętych. *Lamed wownik*.

- Ale ci dobrzy, przepraszam, ci sprawiedliwi nie wiedzą, że nimi są?

- Słyszę, że dużo pan wie. Tak, sprawiedliwi nie wiedzą, że zostali wybrani. Tylko

Bóg zna ich tożsamość.

- To jak można się dowiedzieć, kim oni są?
- Może wcale nie potrzebujemy tego wiedzieć?
- Zawsze jest ich trzydziestu sześciu?
- Tak chyba należy to rozumieć.
- A jeśli któryś z nich umrze?
- Jeśli wszyscy umrą, wtedy świat przestanie istnieć. Według tak wielbionej przez

Hollywood kabały wtedy umrze i Bóg.

- I w każdym pokoleniu jest ich trzydziestu sześciu?
- Zgadza się. Trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy noszą na swoich barkach wszystkie grzechy ludzkości. Mówiąc w skrócie, oczywiście.
- Mogę spytać, czy pan sam w to wierzy?

Rabin się zamyślił.

- Podoba mi się sama myśl. Proszę się rozejrzeć. Dookoła wojny, terror, bieda, choroby. Weźmy na przykład Bliski Wschód. Ile tam nienawiści, ile frustracji, strachu, że za rogiem czai się zamachowiec, że zasieki i kontrole wrosną na stałe w krajobraz miasta. Kiedy ze swojej duńskiej wieży z kości słoniowej patrzę na świat, podoba mi się pomysł, że gdzieś na tym świecie jest trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy zapewniają nam przynajmniej pewne minimum dobroci i sprawiedliwości.

Znów zapadło milczenie.

- Szuka pan mordercy?

Pytanie rabina zaskoczyło Nielsa. Nie bardzo wiedział co odpowiedzieć.

- Czy może ofiary? - dokończył rabin.

34

Helsingør

Hannah usiłowała trafić pustym opakowaniem po papierosach w kosz na śmieci. Próba się nie powiodła. Opakowanie wylądowało na podłodze. Siedziała i wpatrywała się w mapę i swoje notatki, których miała już kilka stron. Nie potrafiła znaleźć niczego, co łączyłoby poszczególne miejsca zbrodni. Było wiele białych plam. Kilka morderstw

popelniono na Bliskim Wschodzie, w Mekce, w Babilonie, w Tel Awiwie. Przez moment miała ochotę się poddać. Zadzwoń do Nielsa i powie, że jednak nie ma czasu, że coś jej wypadło. Nie miała z tą sprawą nic wspólnego. A jednak dała się wciągnąć. Uznała, iż to pewnie dlatego, że podejrzewała, że za tym wszystkim kryje się jakiś system. Właściwie była tego pewna. Tylko jaki? Musi znaleźć klucz. Takie rzeczy zawsze ją pociągały.

Gdyby tylko miała więcej papierosów. Gdyby tylko...

Nie mają dzieci, pomyślała nagle. Żadna z ofiar nie miała dzieci. Są jeszcze jakieś inne podobieństwa? Zaczęła przeglądać notatki. Religia? Nie, ofiary były różnych wyznań. Chrześcijanie, żydzi, muzułmanie, buddyści, ateści, nawet jeden duchowny baptysta z Chicago. Kolor skóry? Też nie. Wiek? Zawahała się. Może. Nie była pewna, ale postanowiła sprawdzić. Wszystkie ofiary były w wieku od czterdziestu czterech do pięćdziesięciu lat. Przypadek? Może. Tak czy inaczej wart uwagi. Lata pracy naukowej nauczyły ją, że często to, co na pierwszy rzut oka wydaje się przypadkiem, bynajmniej nim nie jest. Dwadzieścia jeden ofiar. Wszystkie w wieku od czterdziestu czterech do pięćdziesięciu lat. Bezdzielni. To musi coś znaczyć, pomyślała.

Zebrała wszystkie papiery, włożyła je do kartonu. Faks, notatki, mapę. Musi pojechać po papierosy. Postanowiła zabrać wszystko ze sobą. Chciała zadzwonić do Nielsa, powiedzieć mu, dokąd jedzie. Nie odbierał.

Wyszła z domu. Poczula zimne powietrze, lekki mróz podziałał na nią orzeźwiająco. Za rzadko wychodziła z domu. Właściwie robiła tylko krótki spacer nad brzeg morza i do sklepu, do Netto. Poza tym spędzała czas w domu i... No właśnie, i co? Nie wiedziała. To chyba było najgorsze. Często zdarzało się, że kiedy wieczorem szła spać, nie potrafiła sobie przypomnieć, co robiła w ciągu dnia. Może dlatego już sam fakt, że wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i wyjechała na szutrową drogę, wydał jej się niemal życiową rewolucją.

35

Synagoga, Kopenhaga

Niels wstał. Poczul się niezręcznie, bo Weizman nadal siedział. W końcu jednak on także się podniósł.

- Jest coś, co wyróżnia tych trzydziestu sześciu sprawiedliwych?

- Tylko poczucie sprawiedliwości. Czy też dobroć, jak pan to określił. To mało?

Niels się zawahał. Trochę mało, pomyślał.

- Może pan powiedzieć, kogo w tym kontekście wymienia się najczęściej?

Weizman wzruszył ramionami.

- Takie rzeczy mówi się zazwyczaj przy okazji pogrzebów. Kiedy wspomina się kogoś, kto zrobił szczególnie dużo dla innych.

- Mógłby pan podać jakieś nazwiska?

- Pan pewnie mógłby zrobić to równie dobrze jak ja. Ponieważ jestem Żydem, zawsze w takich wypadkach wracam do II wojny światowej. Oskar Schindler. Partyzanci w okupowanych krajach. Ludzie, którzy uniemożliwili zagładę Żydów. Ale tak jak powiedziałem, pan zapewne też mógłby wymienić parę nazwisk.

Rabin spojrział na Nielsa. Kilku na czarno ubranych mężczyzn w kapeluszach na głowach weszło do synagogi. Przywitali się z Weizmanem.

- Za chwilę mam spotkanie. Udało mi się panu pomóc?

- Trochę. Dziękuję za rozmowę.

Rabin odprowadził Nielsa do drzwi, podał mu rękę.

- Teraz jest pan zaledwie o dwa uściski dłoni od Hitlera - powiedział.

- Nie rozumiem.

- Podczas konferencji w Niemczech rozmawiałem z oficerem, który pracował dla Hitlera. Kiedy uściśniętem mu dłoń, pomyślałem, że jestem o jeden uścisk dłoni od Hitlera.

Nadal trzymał w swojej dłoni rękę Nielsa.

- Jest pan więc o dwa uściski dłoni od Hitlera, panie Bentzon.

Dłoń Nielsa była nadal w dłoni rabina. Milczenie.

- Może z dobrocią jest podobnie. Zawsze jest gdzieś w pobliżu. To dodaje otuchy. Proszę pomyśleć o Nelsonie Mandeli. Jeden człowiek potrafił zmienić cały kraj. Jak Gandhi. I wasz Jezus. - Rabin się uśmiechnął. - Podobno w Afryce Południowej wszyscy znają kogoś, kto zna Mandelę. Nikt nie jest od niego dalej niż o jeden uścisk dłoni. Może więc pomysł, że trzydziestu sześciu ludzi jest w stanie utrzymać zło w ryzach, wcale nie jest taki niedorzeczny? Nie zapominajmy, że wszystkie duże zmiany, jakie zachodziły na świecie, zawsze zaczynały się od jednego człowieka.

Rabin puścił dłoń Nielsa.

*

Ostre światło. I przejmujące zimno. Niels poczuł, jakby wrócił do własnego świata. Nagle znów nie wiedział, co począć z rękami. Pozostał mu w głowie obraz Hitlera. Włożył

ręce do kieszeni, odchylił głowę i zaczął się przyglądać synagodze. Poczł lekkie drzenie w kieszeni. Dzwoniła jego komórka. Sięgnął po nią i zobaczył, że Rosenberg próbował skontaktować się z nim sześć razy.

- Bentzon, słucham?

- Rosenberg!

Szybki oddech.

- Ktoś się włamał.

- Jest pan w kościele?

- Tak. Zamknąłem się w biurze. Ale drzwi mają szklaną szybę.

- Jest pan pewien, że ktoś jest wewnątrz?

- Drzwi były wyłamane.

- Zadzwoił pan na 112?

Hałas na linii. Može pastor upuścił telefon.

- Rosenberg?

Szept po drugiej stronie.

- Słyszę go.

- Proszę się nie ruszać z miejsca. Będę tam za...

Niels zerknął na ulicę. Korki. Postanowił zadzwonić po posiłki, ale zmienił zdanie.

Liczyła się każda sekunda. Zaczął biec.

- Będę u pana za trzy minuty!

36

Dark Cosmology Centre, uniwersytet kopenhaski

Biorąc pod uwagę, że budynek był ośrodkiem, w którym naukowcy z różnych krajów prowadzili badania nad czarną materią wszechświata, był wyjątkowo dobrze oświetlony na zewnątrz. Hannah wysiadła z samochodu. Lata, które minęły od śmierci Johannaesa, zniknięcie Gustava i koniec jej obiecującej akademickiej kariery nie zostawiły na budynku żadnych śladów. Odkrycie to było nieco przerażające, ale i pocieszające. Wzięła stojący na tylnym siedzeniu karton i weszła do Instytutu. Kilko młodych badaczy czy może studentów minęło

ją na schodach, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Dotarła na drugie piętro, gdzie mieścił się jej dawny gabinet. Korytarz był pusty, przerwa na lunch. Nie spojrzała na tabliczkę na drzwiach, nie zapukała, po prostu weszła.

Minął moment, zanim zauważyła młodego naukowca przy biurku, i natychmiast poczuła, że znów jest na swoim miejscu. Czowała jego specyficzny, nieco zatęchły zapach, charakterystyczne dźwięki. Nawet plakaty na ścianach były te same. Półki wisiały tam, gdzie zawsze.

- Przepraszam? - odezwał się młody człowiek, chociaż nie miał za co przepraszać. - Byliśmy umówieni?

Hannah kontynuowała wzrokową wędrówkę. Zdjęcie dwóch małych dziewczynek. Rysunek nad komputerem. „Dla tatusia od Idy i Luny”, napisane dużym dziecięcym pismem.

- Szuka pani kogoś?

- To mój pokój - wyrwało się jej.

- To jakieś nieporozumienie. Pracuję tu od dwóch lat.

Mężczyzna wstał. Przez chwilę miała wrażenie, że jest zły. Ale on po prostu podszedł do niej i podał jej rękę.

- Thomas Frink - przedstawił się. - Jestem tu doktorantem.

- A ja jestem Hannah. Hannah Lund.

Patrzył na nią, usiłując ją gdzieś umiejscowić.

- Czym pani się zajmuje?

- Czarną materią.

- Ja badam wybuchy kosmiczne.

- Thomas, masz chwilę?

Hannah rozpoznała głos.

W drzwiach stanął starszy mężczyzna, podciągnięte ramiona, zgarbiony, duże, nieco dziecinne oczy.

- Hannah?

Patrzył na nią zdziwiony.

- Myślałem, że...

- Holmstrøm?

Mężczyzna skinął głową, podszedł i objął ją nieco nieporadnie. Czowała, że się nieco zaokrąglił.

Nagle spojrział na nią surowo.

- Zanim mi powiesz, czym teraz się zajmujesz, dobrze się zastanów. Musisz mieć

naprawdę dobre usprawiedliwienie, że nas porzuciłaś.

- To długa historia - stwierdziła, rozkładając ręce. - A co u ciebie?.

- W porządku. Tyle że coraz nas mniej. Pieniądze idą teraz na środowisko. Wystarczy zadzwonić do ministra nauki i szepnąć mu w ucho magiczne słowo „klimat”, i choćby była trzecia w nocy, rano pieniądze będą już czekać. - Roześmiał się. - Tak to wygląda.

- Chodzi o głosy w zbliżających się wyborach - odezwał się Thomas Frink znad komputera.

- Klimat - powtórzyła Hannah, patrząc poważnie na Holmstrøma. - Ludzie wybrali sobie niewłaściwych bogów.

- Jakich bogów?

- Samych siebie. - Uśmiechnęła się.

Do rozmowy na chwilę znów wkradła się cisza.

- To twój karton? - spytał Holmstrøm.

- Tak.

Mężczyzna milczał. Oczekiwał zapewne, że Hannah powie coś o jego zawartości. A ona po prostu spytała:

- Wiesz, czy audytorium w starej części jest wolne?

37

Centrum miasta, Kopenhaga

Niels skręcił w Købmagergade. Kątem oka zdążył jeszcze zobaczyć, jak strażnik miejski wkłada mu mandat za szybę samochodu.

- Hej!

Potrącił ramieniem idącego ulicą mężczyznę. Torby z zakupami upadły na ziemię. Nie miał czasu go przeprosić.

Ulica niemal ugięła się pod ciężarem świątecznych dekoracji, tłumu ludzi, zakupów, stresu. Skręcił przy wydziale teologii, przebiegł przez wąski pasaż i nagle tłum zniknął. Niels zerknął na telefon. Rosenberg znów dzwonił.

- Co się dzieje?

- Gdzie pan jest?

- Nadal w biurze.

Pastor usiłował zachować spokój, ale w jego oddechu Niels słyszał narastającą panikę.

- A on gdzie jest?

- Nie wiem.

- Gdzie pan go widział?

- W kościele. Kiedy może pan tu być?

Niels biegł Skindergade. Trzaski w słuchawce.

- Rosenberg?

Kolejne trzaski. Myśli kłębiły się w jego głowie. Dlaczego właśnie pastor? Było tylu innych. Bardziej znanych.

- Gdzie pan jest?

- Ma nóż w ręku. Boże. To kara.

Niels słyszał, jak ktoś dobija się do drzwi. Próbował przyspieszyć kroku..

- Z drogi! - krzyczał do mijanych po drodze ludzi. - Policja! Z drogi!

Minął kolejny pasaż. Źle wybrał, znów tłum ludzi, znów musiał się przedzierać. Pastor się nie rozłączył. Niels słyszał, jak nadal mamrocze coś o „karze”.

- Jest pan tam? - zawołał.

- Będę za minutę. Niech pan znajdzie coś, czym będzie pan się mógł bronić.

Niels niemal widział, jak pastor bierze do ręki Biblię.

- Jest z nim ktoś?

- Nie sądzę. Jest sam.

- A w kościele jest ktoś oprócz pana?

Pastor milczał. Urywany oddech.

- Słyszysz pan coś? - spytał Niels zdyszany. - Co się dzieje?

- Zaraz wybije szybę. Wchodzi tu.

- Może pan uciec?

- Mogę ukryć się w toalecie. Ale...

- Proszę zamknąć drzwi i czekać na mnie!

Pastor wciąż był na linii.

Nagle przed Nielsem pojawiła się ogromna niebieska ciężarówka i zagroziła mu drogę.

- Cholera! - zaklął i uderzył pięścią w bok wozu.

- Jestem w toalecie - odezwał się pastor.

W jego głosie nie było już żadnej godności, brzmiał, jakby zaraz miał się załamać.

- Zamknąłem drzwi, ale łatwo je wyłamać.

- A okno? Jest zamknięte?

- Gdzie pan jest? Gdzie pan jest?

- Będę u pana za minutę. Góra.

Niels był świadom, że kłamie. Wiedział jednak, że w takich sytuacjach najważniejsza jest nadzieja. Zawsze dawaj zakładnikom nadzieję, tego go uczono. Nieważne, Czy chodziło o żołnierza gdzieś w Zielonej Strefie w prowincji Helmand, bez nóg, podziurawionego kulami jak sito. Najważniejsze, żeby miał nadzieję. Nawet za cenę kłamstwa.

Połączenie się urwało. Lina życia została przerwana.

- Rosenberg?! - niemal krzyczał Niels.

Jakby jego podniesiony głos mógł cokolwiek zmienić.

Widział już kościół. Widok jego pięknej wieży dodał mu sił. Przebiegł przez ulicę. Młoda matka na rowerze zawołała coś za nim, pokazała mu środkowy palec. Rozumiał ją. Przeskakując niski murek, okalający kościół, poczuł, że jego heckler & koch jest na właściwym miejscu. Jednak w głowie miał tylko jedno.

Za późno. Przychodzi za późno.

38

Instytut Nielsa Bohra, Kopenhaga

Hannah, z kartonem pod ręką niemal biegła ulicą Blegdamsvej, aż dotarła do celu: dawnego budynku Instytutu Nielsa Bohra. Włożyła klucz do zamka, nadal pasował. Pomyślała, że jest coś symbolicznego w tym, że odchodząc z instytutu, nie oddała klucza. Czyżby podświadomie zostawiła sobie uchylone drzwi? Zamknęły się za nią niemal bezszelestnie. Weszła, rozejrzała się po holu starego budynku. Słynne zdjęcie Nielsa Bohra i Alberta Einsteina, zawzięcie dyskutujących, spieszących wybrukowanymi uliczkami Brukseli na kongres Solvaya. 1927 rok.

To właśnie Niels Bohr wpadł na pomysł utworzenia Instytutu. Sam go sfinansował i określił jego strukturę. Został otwarty w 1921 roku. Przez kilka następnych dziesięcioleci tu koncentrowały się wszystkie badania w dziedzinie fizyki teoretycznej. Panowała wówczas powszechna opinia, że Niels Bohr, człowiek, i Niels Bohr, Instytut, to właściwie jedno. Bohr

nawet tu zamieszkał ze swoją rodziną. Tu pracował. Tu wykładał, prowadził badania, urządzał konferencje, zapraszając na nie czołowych fizyków świata. Hannah przyglądała się zdjęciom z tamtych czasów i zastanawiała się, ilu Duńczyków tak naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, jak genialny człowiek żył i pracował w tych murach.

Weszła po schodach, minęła dawny gabinet Bohra. Drzwi były uchylone. Zajrzała do środka. Jakby zaglądała do przeszłości. Owalny stół. Popiersie Einsteina. Wzruszyła się. Zdziwiło ją to, bo przecież była tu już wiele razy. Zaczerpnęła powietrza. Jakby z dziecinną nadzieją, że w ten sposób jakaś drobinka geniuszu zostanie w jej płucach. Przydałaby mi się, pomyślała.

*

Przerwa na lunch. Na korytarzach panowała cisza. Weszła do audytorium. Wyglądało dokładnie tak jak za czasów Bohra. Twarde drewniane ławki, charakterystyczna tablica skonstruowana według przemyślnego chińskiego pomysłu, tak że jedna kryła drugą. Audytorium zostało uznane za część duńskiego dziedzictwa narodowego i obecnie było pod ochroną. Na ścianach wisiały zdjęcia, zrobione właśnie w tym miejscu, między innymi słynne zdjęcie Bohra, siedzącego obok sław, takich jak Oskar Klein, Lew Dawidowicz Landau, Wolfgang Pauli, Werner Heisenberg.

Hannah postawiła karton i wyłożyła jego zawartość na blat stołu. Stała teraz i przyglądała się stercie papierów. I mapie, która wyraźnie sobie z niej dworowała. Jakby mówiła do niej: „Naprawdę tego nie widzisz? Musisz dostrzec wzór. Wtedy wszystko stanie się jasne”.

Z zewnątrz dochodził ją cichy szum ulicy. Odłożyła kartki i skupiła się na mapie. Wiedziała, że to właśnie ona jest kluczem do rozwiązania problemu. Patrzyła na łebki szpilek. Z pozoru były rozrzucone przypadkowo. Część na wybrzeżu, inne w głębi łądu. Spojrzała na daty. Może kolejność okaże się jakimś tropem? Może odległość między poszczególnymi miejscami...

Podeszła do okna. Zbierało się na śnieg. Niebo było pokryte szarobiałymi chmurami, kolce na parapetach, mające chronić je przed gołębiami, spowijała cienka warstwa szronu. W dole ludzie szli ulicą. Przy chodniku zatrzymał się autobus, wypuścił ludzi. Jakaś starsza kobieta pośliznęła się i upadła. Natychmiast ktoś podszedł i jej pomógł. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Na szczęście nic jej się nie stało. Hannah miała wrażenie, że wcieliła się w rolę widza. Stała i przypatrywała się... ludziom.

Ludzie. To jest opowieść o ludziach. O trzydziestu sześciu osobach, których zadaniem było troszczyć się o innych. O nas, pomyślała. Ludzie w przeciwieństwie do czego? Do

ziemi? Do wody? Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi, weszła do pustego sekretariatu, otworzyła szufladę biurka, wyjęła nożyczki. Wróciła do audytorium, dotknęła nożyczkami mapy i nagle zmieniła decyzję. Ściągnęła na dół wielką mapę świata, podsunęła pod nią mały regał, weszła na niego. Musi to zrobić. Musi mieć mapę, na której będą widoczne wszystkie kontynenty, żeby móc wbijać w nie swoje szpilki. Kiedy zaczęła ciąć mapę, przeraziła się. Boże, co ja robię? Tnę na kawałki starą mapę Bohra. Podświadomie czuła jednak, że on by temu przyklasnął. Praktyczne szczegóły nie mogą nas powstrzymywać, kiedy dążymy do celu.

39

Helligåndskirken, kościół pod wezwaniem Ducha Świętego, Kopenhaga

Drzwi do kościoła były zamknięte. Niels zaczął walić w małe oprawne w olów szybki.
- Rosenberg!

Szybko doszedł do wniosku, że nie da rady wyłamać drzwi i postanowił znaleźć inne wejście. Nadal nie miał połączenia z pastorem. W głowie dźwięczało mu zdanie, które mężczyzna wypowiedział: „To jest kara!” Za co? - zastanawiał się. Okrążył kościół. Kolejne drzwi. Może do piwnicy? Chwycił za klamkę. Zamknięte. Nagle zobaczył uchylone okno. Niewielkie okienko nad małym podestem. Był grudzień, zimno, nikt o tej porze roku nie zostawiał otwartych okien.

Jak tam się dostanie? Obok drzewa stały rowery. Chwycił jeden z nich, przystawił do ściany. Postawił stopę na siodełku, chwilę łapał równowagę, spróbował się wyprostować. Okienko było jakieś półtora metra nad nim. Sięgał do niego czubkami palców. Chuchnął w dłonie, potarł je o siebie. Może się uda. Musiał przywrzeć do ściany, żeby utrzymać równowagę. Poczul, że krwawi mu kolano. Musiał je gdzieś zadrapać i nawet tego nie poczul. Dwie sekundy przerwy. Teraz! Obiema rękami chwycił się niewielkiego uskoku pod otwartym oknem. Na chwilę zawisł w powietrzu. Może zlecieć na rowery albo na grób jakiegoś biskupa. Zobaczył pod sobą marmurowego anioła. Poczul panikę. Nie był w stanie się podciągnąć. Skupił się, postanowił spróbować jeszcze raz. Dasz radę, powtarzał sobie.

Podciągnął się z całej siły.

Udało się. Włożył do środka rękę. Zauważył, że drży. Jeśli jego przeciwnik

rzeczywiście tędy dostał się do kościoła, był to zły znak.

Niels był w środku. Wysoko sklepiony sufit. To pewnie stary klasztorny korytarz, pomyślał. Z zewnątrz dobiegał go szum ulicy. Gwar tłoczego Strøget. Ale w środku, w kościele, panowała cisza.

- Rosenberg!

Zawołał raz, potem drugi.

- Policja kopenhaska!

Z jednej strony chciał dodać Rosenbergowi otuchy! Może wytrzyma. Z drugiej - ostrzec intruza, że policja jest już na miejscu.

Nie zapalił światła. Ważył wszystkie za i przeciw. Ciemność mogła się okazać jego sprzymierzeńcem, ale też i wrogiem. Wszedł do wąskiego łącznika, skąd prowadziły schody na drugie piętro. Głośny trzask. Potem następny. I kolejny. Ostry, mocny. Drzwi do toalety? Ktoś wylaamywał drzwi.

Przyspieszył, ostatnie stopnie pokonał biegiem. Wszedł do kolejnego korytarza. Zobaczył przed sobą sylwetkę. Jakiś mężczyzna próbował wylaamywać drzwi do toalety. Kopał w nie.

- Stój! - zawołał Niels. - Stop!

W ręce miał pistolet.

Mężczyzna się odwrócił, przez moment stał nieruchomy.

- Rzuć broń! - zawołał Niels.

Mężczyzna zaczął biec. Niels pomyślał, że teraz powinien strzelić. To był jego obowiązek. Zanim jednak podjął decyzję, postać zniknęła.

Drzwi były wylaamane, zawiasy wisiały w powietrzu. Jeszcze dwie sekundy i mężczyzna wszedłby do środka.

- Przyszedł pan.

Rosenberg siedział na kamiennej podłodze. A raczej klęczał. Był przygotowany. Na spotkanie tego, co miał przynieść mu los. Niels był pewien, że gdyby intruz wszedł do łazienki, pastor nie stawiałby oporu.

Pomógł mężczyźnie wstać.

- Nic panu nie jest?

Zobaczył roztrzaskany telefon komórkowy na podłodze.

- Wypadł mi z ręki. Przestraszyłem się... Dokąd pobiegł?

- Proszę tu zostać. Nie, niech pan się zamknie w gabinecie - polecił Niels, zerkając na drugą stronę korytarza.

- Widział pan, dokąd pobiegł?

Niels nie odpowiadał. - Nieco brutalnie wepchnął Rosenberga do pokoju.

- Niech pan zamknie drzwi i zadzwoni pod ten numer - powiedział i podał pastorowi kartkę z zapisanym numerem telefonu. - Proszę powiedzieć: „policjant w potrzebie”. Rozumie mnie pan?

Rosenberg milczał.

Niels miał wrażenie, że pastor jest zawiedziony. Może dlatego, że jego nadzieja na spotkanie, do którego całe życie się przygotowywał, okazała się płonna? Chwyił go mocno za rękę.

- „Policjant w potrzebie”. Słyszysz? Wtedy nadciągnie kawaleria.

- Dobrze.

Niels zniknął.

Mężczyzna mógł pobiec tylko w jednym kierunku. Ruszył przed siebie, skręcił, zobaczył otwarte drzwi. Zatrzymał się. Cisza. Uniósł do góry pistolet i wszedł do pokoju. Nikogo nie było. Śpiewniki. Protokoły. Stary zakurzony komputer.

Wrócił na korytarz. Pobiegł dalej. Potem na górę po schodach. Wąski korytarz, ciągnące się w nieskończoność drzwi, znów schody. Co, do diabła, kryło się za tymi wszystkimi drzwiami? Ciche uderzenie. Rosenberg? Czy może...

Niels zaczerpnął powietrza. Mężczyzna zniknął. Pewnie zrezygnował i się wycofał. Instynktownie uniósł rękę do twarzy i w tym momencie poczuł, jak nóż tnął mu kurtkę. Rzucił się na podłogę. Pistolet wypadł mu z dłoni. Poczul na sobie mężczyznę. Ból. Napastnik uderzył go w szczękę. Niels zazgrzytał zębami, upadł na plecy. Smak krwi. Nie potrafił powiedzieć, czy jest ranny. Napastnik przytrzymał kolanem jego rękę. Niels zamachał się drugą ręką, poczuł pod palcami włosy mężczyzny, jego ucho, pociągnął. Mężczyzna krzyknął i na chwilę stracił oddech. Niels znów uderzył. Tym razem celował w głowę. Trafił mężczyznę w usta. Krew z rozciętej wargi opryskała mu twarz. Napastnik rzucił się na niego z wrzaskiem. Ta chwila okazała się decydująca. Niepotrzebny wysiłek. Niels chwycił go za nadgarstek, przekręcił, żeby złamać mu rękę. Ale mężczyzna był szybszy. Kopnął go i wyswobodził się z jego uchwytu.

Stali teraz naprzeciwko siebie. Zziębnięte oddechy. Niels miał krew na oczach. Podniósł pistolet, ale niewiele widział. Mężczyzna stał i patrzył na niego. Czekał.

Niels chciał krzyknąć, ale głos ugrzązł mu w gardle.

- Rzuć nóż! - wyszeptał.

Żadnej reakcji. Powiniennem strzelić, pomyślał. Uniósł pistolet. Wycelował.

- Proszę, rzuć nóż.

Abdul Hadi rzucił się z krzykiem na Nielsa. Ale Niels nie strzelił. Poczł czubek noża na szyi, lekkie draśnięcie, upadł. Hadi patrzył na niego zdziwiony. Na niego i na pistolet. Pewnie się zastanawia, czy stchórzyłem? A może, czy pistolet jest nabity? - pomyślał Niels.

Pochylił się do przodu, jakby nagle odzyskał siły. Ich twarze były teraz naprzeciwko siebie, mierzyli się wzrokiem. I nagle Niels uderzył mocno głową w twarz przeciwnika. Znow krew. Kapiąca ze zmiażdżonego nosa terrorysty. Rozpaczliwymi ruchami Niels próbował zrzucić go z siebie. Nadal leżąc na ziemi, zaparł się i kopnął go. Miał wrażenie, że trafił go w żołądek, może w podbrzusze. Mężczyzna zgiął się wpół. Niels natychmiast wstał. Pistolet potoczył się po podłodze. Kopnął Hadiego. Dwa razy. Raz w twarz. Mężczyzna jęczał z bólu, Niels szukał nerwowo kajdanków. W Szkole Policyjnej uczono ich zarówno karate, jak i dżiu-dzitsu, ale nie potrafił przypomnieć sobie żadnego chwytu. Rosenberg powinien już dawno wezwać pomoc. „Policjant w potrzebie!” było komunikatem o najwyższym priorytecie. Powinni już tu być. Zauważył, że Hadi próbuje dosięgnąć pistoletu, uprzedził go. Podniósł pistolet, odwrócił się... Hadi zniknął.

*

Niels ruszył za nim. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Kolejne schody. Zobaczył, że Hadi stoi przy drzwiach i usiłuje je otworzyć. Niels dogonił go. Po chwili byli już na zewnątrz. W holu stały jakieś stoliki. Kiedy, do cholery, zjawią się posiłki? - zdążył pomyśleć i wpadł na stelaż z reklamą. Byłby się przewrócił. Wybiegł na Strøget. Tłum ludzi, ale tylko jeden człowiek biegł.

40

Instytut Nielsa Bohra, Kopenhaga

Ludzie, pomyślała Hannah, odcinając dokładnie wszystkie oceany. W końcu wszystkie kontynenty leżały obok siebie. Opowieść o trzydziestu sześciu sprawiedliwych jest opowieścią o ludziach. Nie o wodzie.

Odłożyła więc na bok oceany i skupiła się na kontynentach. Pocięta na kawałki mapa przypominała układankę. Zaczęła głośniej oddychać. Przypomniał jej się Johannes. Dzień, kiedy ona i Gustav po raz pierwszy zrozumieli, że chłopiec jest niezwykle uzdolnionym

dzieckiem. W ciągu godziny ułożył przeznaczoną dla dorosłych układankę. Siedemset kawałków z motywem wieży Eiffla. Miał wtedy cztery latka. Najpierw byli zachwyceni, ale jego geniusz szybko zaczął przysparzać im kłopotów. Synek zdawał się smutny. Bez przerwy szukał wyzwania, których nie znajdował. Hannah próbowała za nim nadążyć. Zachowywała się inaczej niż jej rodzice, którzy robili wszystko, żeby była „normalna”. Mówili, że powinna wolniej odrabiać lekcje, nie starać się być lepsza od innych. Skutek był wręcz przeciwny. Hannah czuła się coraz bardziej wyobcowana, co jeszcze bardziej martwiło rodziców. Chcieli, żeby była tak jak inne dzieci. Normalna.

Kiedy Hannah w wieku siedemnastu lat została przyjęta na studia do Instytutu Nielsa Bohra, nareszcie poczuła się na swoim miejscu. Wciąż pamiętała to uczucie, kiedy pierwszy raz weszła przez bramę Instytutu. To było jej miejsce.

Dlatego robiła wszystko, żeby Johannes, mimo swojego talentu, nie izolował się od rówieśników, od świata. Tyle że Johannes nie był normalny. Był chory. Z każdym dniem coraz bardziej.

Hannah zapaliła papierosa. Właściwie było to zabronione. Nawet gdyby Niels Bohr powrócił ze swojego Olimpu, nie wolno byłoby mu zapalić tu swojej fajki. Ale to było teraz nieważne. Jedyne, co się liczyło, to leżąca przed nią układanka różnych kontynentów.

- Johannes, kochanie - powiedziała cicho sama do siebie. - Tu chodzi o ludzi.

Całe życie zajmowała się liczbami, działaniami matematycznymi. Ale teraz chodziło o ludzi. Ale nie ludzi pogrążonych w chaosie, tylko działających według konkretnego wzoru. To właśnie było w tym takie pociągające.

Poprawiła jeden z kontynentów. Człowiek. Życie. Narodziny życia. Narodziny kontynentów.

Terrorysty zawsze są dobrze przygotowani, pomyślał Niels. Służby wciąż miały z tym problem, wciąż były o krok do tyłu, wciąż popełniały błędy. Nie doceniali przeciwnika. Zapominali, że terroryści zwykle latami przygotowują się do swoich czynów. Mieli przygotowane różne scenariusze. Czyżby uciekający mężczyzna nie brał pod uwagę, że może

zostać odkryty? Oczywiście, że musiał się z tym liczyć. I oczywiście miał przygotowaną jakąś kryjówkę.

Niels biegł dalej.

Al-Kaida siedziała w swoich norach, gdzieś na pograniczu Pakistanu i Afganistanu i studiowała Google Earth. Mieli informatyków w niczym nieustępujących tym z Zachodu. To było powszechnie wiadomo. Za każdym razem, kiedy dochodziło do kolejnego aktu terroru, w Madrycie, Londynie, Bombaju, Moskwie czy Nowym Jorku, służby dziwiły się, zadając sobie pytanie: Jak to było możliwe? A jednak było, bo przeciwnik był inteligentny i dobrze przygotowany. Jedenasty września był wynikiem wieloletnich przygotowań. To było genialne logistyczne zagranie. Zbombardowanie „USS Cole” w 2000 roku i masakra w świątyni Hatszepsut w Luksorze w 1997 roku całkowicie zaskoczyły egipskie władze. Obie akcje były precyzyjnie przygotowane. Niels znał wszystkie przerażające szczegóły. Przyjaciółka Kathrine miała szczęście, była w świątyni dwa dni wcześniej. To była krwawa jatka. Zginęło sześćdziesięciu dwóch turystów. Strzelano im w nogi, żeby nie mogli uciekać, a potem zarzynano długimi nożami, zgodnie z rytualnym obrzędkiem. Terrorysty się nie spieszyli. Turyści leżeli bezradni przed świątynią, czekając na swoją kolej. Rzeź trwała dobre trzy kwadranse. Wśród zamordowanych był pięcioletni angielski chłopiec. Pewnej Szwajcarce terrorysty odcięli głowę. „Nie chcemy turystów w Egipcie”, było napisane na kartce, którą znaleziono w brzuchu starszego Japończyka. Terrorysty wyjęli mu wszystkie wnętrzności.

- Uważaj! - zawołała za nim oburzona kobieta, kiedy Niels potrącił ją, tak że torebka wypadła jej z ręki.

- Co pan wyprawia!

Ludzie nie mają o niczym pojęcia, pomyślał. Poruszają się w swoim bajkowym świecie pod świerkowymi girlandami, zajęci świątecznymi zakupami. W Kopenhadze przed Bożym Narodzeniem nietrudno było zapomnieć o bożym świecie.

Rundetårn, Okrągła Wieża. Niels nie wierzył własnym oczom, kiedy zobaczył, że Abdul Hadi właśnie tam się kieruje. Może chce się schronić w tłumie ludzi? Przyspieszył kroku. Minął kasę, sprzedającą bilety na wieżę, zignorował wołania chłopaka w okienku, biegł dalej. Byle wyżej. Biegąc do góry spiralnym podejściem, z trudem utrzymywał równowagę na śliskim bruku. Potrącał ludzi, patrzyli na niego oburzeni. Z trudem łapał powietrze. Miał wrażenie, że zaraz pękną mu płuca. Kwas mlekowy dał o sobie znać, rozboleły go mięśnie łydek. Był coraz wyżej. Mężczyzna przed nim też biegł, ani razu się nie obejrzał. Jakby niczym się nie przejmował. Za chwilę staną twarzą w twarz. Zjawią się policjanci, pewnie widzą go na ekranie GPS. Wszystkie policyjne komórki były do

wyśledzenia. I wtedy nastąpi koniec.

Krzyki wrzaski. Niels dotarł na platformę widokową wieży. Miał w ręku pistolet. Ludzie wokół niego krzyczeli spanikowani. Niektórzy rzucili się na ziemię.

- Policja kopenhaska! - zawołał tak głośno, jak tylko był w stanie. - Wszyscy mają opuścić wieżę.

Panika! Turyści i rodziny z małymi dziećmi przepychały się do wyjścia. Ktoś się potknął i spadł ze schodów. Płacz, krzyki.

Niels odsunął się od drzwi, nagle Hadi znów gdzieś zniknął. Chwila nieuwagi i stracił go z oczu. Udało mu się minąć go niepostrzeżenie? A może ukrył się gdzieś w tłumie i zszedł na dół? Niels przeklinał swoją nieuwagę. Ludzi na wieży było coraz mniej.

Po chwili został już tylko on sam. Rozejrzał się. Jakby stał na szczycie świata. Otoczony zimową Kopenhagą. Wciąż trzymał w ręku pistolet. Okrążył taras widokowy, tu nie było gdzie się schować. Nagle przyszła mu do głowy szkolna rymowanka: „Doktor z nożem miesza w głowie królowi”. Ludowa wersja inskrypcji na fasadzie wieży, pomyślał. Dlaczego teraz sobie ją przypomniał? Doktor z nożem. Morderca z nożem.

Zobaczył go w ostatnim momencie. Abdul Hadi rzucił się na niego. Nie udało mu się go przewrócić, ale celnym kopnięciem trafił go w splot słoneczny. Raz, zaraz potem drugi. Niels zwymiotował. Hadi zaszedł go od tyłu i złapał za gardło. Zacisnął uchwyt. Niels oddychał z trudem, oczy wyszły mu na wierzch. Nagle terrorysta poluzował chwyt. Niels zaczerpnął powietrza. Zaczął się podnosić, kiedy kolejny cios powalił go na ziemię.

Nie zdążył pomyśleć, co się stało, kiedy poczuł lufę pistoletu przy skroni i znajomy szcęk kajdanków.

- Puście go! - usłyszał. - To nasz człowiek.

Lufa pistoletu została cofnięta.

- Gdzie on jest?

Do Nielsa docierały jedynie pojedyncze słowa, fragmenty zdań. Powoli zaczynał rozumieć, że wokół niego byli funkcjonariusze służb, ale także zwykli policjanci. Jeden z nich przeprosił Nielsa.

- Co on wyprawia, do cholery! - zawołał nagle ktoś.

Niels podniósł głowę.

Abdul Hadi wszedł na balustradę tarasu widokowego i szykował się do skoku.

Spojrzeli sobie w oczy. Pierwszy raz.

Hadi patrzył na niego, potem spojrzał w dół. Przyszedł tu, żeby umrzeć. W jego oczach nie było śladu strachu. Wypowiedział kilka słów w swoim ojczystym języku. W

uszech Nielsa brzmiały jak modlitwa. Potem spojrzął na Nielsa.

- Dlaczego nie strzeliłeś? - spytał po angielsku.

Niels zbliżył się do balustrady.

- Nie potrafiłem - odpowiedział.

Abdul Hadi przesunął się do krawędzi.

42

Ospedale Fatebenefratelli, Wenecja

Siostra Magdalena włożyła rękawiczki i wyjrzała na szpitalny korytarz. Cisza i spokój. Nikt z ciężko chorych ludzi nie jęczał. Mimo to miała wyrzuty sumienia, że wychodzi. Często jej koleżanki musiały wręcz wyrzucać ją za drzwi. Dzisiaj też tak było. Może nawet gorzej. Przed wyjściem z hospicjum postanowiła zajrzeć jeszcze do pani Di Barbara.

Jak tylko weszła do pokoju, matka Tommasa otworzyła oczy.

- Siostra już wychodzi?

Magdalena uśmiechnęła się uspokajająco. Odstawiła torebkę, zdjęła rękawiczki.

- Mam już wolne, ale nigdzie się nie spieszę.

- Boję się.

- Niepotrzebnie. Śmierć jest jedynie końcem naszego życia tu na ziemi.

- Nie boję się śmierci - przerwała jej kobieta poirytowana.

Pani Di Barbara była kobietą, którą trudno było lubić. Magdalena też tego doświadczyła. Ale dzień przerwy w kontaktach zawsze dawał jej trochę wytchnienia.

- Czego pani się boi?

- Że on nie otrzyma mojej wiadomości. Albo o niej zapomni.

- O wiadomość? O tych osiemdziesięciu centach?

- Tak.

- I nadal pani nie wie, co kosztuje osiemdziesiąt centów?

Kobieta nie usłyszała jej pytania.

- Jest tu gdzieś moja torebka?

- Tak. Stoi obok łóżka.

- Niech siostra weźmie mój portfel. I da mi do ręki osiemdziesiąt centów. Żebym

pamiętała mu o tym powiedzieć.

Magdalena wyjęła pieniądze z portfela. Nie znalazła dość drobnych, dołożyła więc kilka monet ze swoich pieniędzy.

- Proszę.

Położyła trzy monety na dłoni starej kobiety. Jej chude palce zamknęły się wokół nich.

- Kiedy mój syn przyjdzie tu wieczorem, będę pamiętała, żeby mu to powiedzieć. Bo on będzie tu wieczorem?

- Nie wiem. Może mieć dyżur.

- Nocny dyżur? Więc przyjdzie dopiero rano. Ale teraz, kiedy mam w dłoni monety, na pewno nie zapomnę.

- Ja też będę pamiętać - zapewniła ją siostra Magdalena. - Obiecuję - dodała i pogładziła kobietę po jej siwych szorstkich włosach.

Na moment twarz kobiety się rozpodziła. Magdalena była przekonana, że starsza pani ma przed sobą jeszcze kilka tygodni życia. Większość chorych przeżywała okres Bożego Narodzenia. Dlaczego? Tego siostra Magdalena nie wiedziała. Może po prostu chcieli spędzić jeszcze jedno święta?

Siostra zgasiła światło. Pani Di Barbara położyła rękę na piersi. W dłoni trzymała osiemdziesiąt centów.

43

Rundetårn, Okrągła Wieża, Kopenhaga

Abdul Hadi stał na krawędzi balustrady tego dziwnego budynku. Jak się tu znalazł? Duńscy policjanci dyskutowali po drugiej stronie poręczy, jeden z nich wskazywał na niego pistoletem.

Szeptali do siebie, nie rozumiał ich. Zebrał się w sobie. A więc to już koniec. Nie dokonał zemsty. Dlaczego Allah go zawiódł? Policjant, który wcześniej go gonił i który miał niejedną okazję, żeby do niego strzelić, przeszedł przez balustradę i podszedł do niego. Był tak samo poraniony jak on. Czyżby się uśmiechał?

- Skoczę - powiedział Abdul po angielsku.

Duński policjant uniósł do góry obie ręce, żeby Abdul zobaczył, że są puste.

- Nie mam broni.

Abdul spojrział w dół, na ulicę. Nagle poczuł, że nie ma ochoty zabierać innych ze sobą do krainy śmierci. Jeszcze chwilę temu było mu wszystko jedno, ale teraz, z góry, wszyscy wyglądali tak niewinnie. Jeśli skoczy na lewą stronę, nikomu nic się stanie.

- Jedno pytanie! - powiedział policjant.

Abdul spojrział na niego.

- Ma pan rodzinę? - spytał policjant.

- Robię to właśnie dla swojej rodziny.

Policjant patrzył na niego, niczego nie rozumiał.

- Chce pan, żebym kogoś zawiadomił? - pytał dalej. - Jestem pewnie ostatnią osobą, z którą pan rozmawia.

Abdul Hadi cofnął się nieco. Pytania policjanta uznał za dziwne.

- Może pan przekazać swoją ostatnią wiadomość.

Ostatnia wiadomość? Abdul Hadi zaczął się zastanawiać. Może: przepraszam. Chciałby przeprosić swoją siostrę. Że nie było jej dane dorosnąć. A jemu tak. Chciałby też przeprosić swojego starszego brata. Za to, że nie zdołał pomścić jego śmierci. Brat pragnął jedynie lepszego życia. Nie zrobił niczego złego. Podobnie jak jego młodsza siostra. Ona też była niewinna. Miał przed oczami jej twarz. Jego brat i siostra stali tam i czekali na niego, gotowi go przyjąć. Był tego pewien. Cieszył się, że wkrótce ich zobaczy.

Policjant znów nieco się do niego zbliżył.

- Słyszysz mnie? - szeptał do Abdula.

Wyciągnął do niego rękę.

- Jestem twoim ostatnim świadkiem.

Teraz Abdul Hadi powinien skoczyć. Właśnie w tym momencie.

Spojrział w górę na swojego Stwórcę, na czekających na niego martwych członków rodziny. I doznał wrażenia, jakby niebo ruszyło mu na spotkanie. Pochłonęło najpierw duńskiego policjanta, potem Abdula i zaczęło opadać niżej, na ulicę. Miliony drobnych kawałków białego nieba wirowało w powietrzu. Ludzie na ulicy podnieśli głowy, dzieci krzyczały radośnie. Abdul Hadi usłyszał ciche stuknięcie, poczuł na rękę chłód kajdanków.

Hannah szła korytarzem, pchając przed sobą największy globus Instytutu. Tak duży, że nawet nie musiała się nad nim specjalnie pochylać, jakby prowadziła przed sobą dziecięcy wózek. Stara drewniana podłoga trzeszczała. Uderzyła globusem o framugę. Dwóch młodych naukowców, którzy właśnie wracali z lunchu, odskoczyło na boki, nie chcąc ryzykować zderzenia.

- Spokojnie! Ma pani prawo jazdy? - zawołał, śmiejąc się, jeden z nich.

- Muszę coś zmierzyć - odpowiedziała Hannah, nie zwalniając tempa.

Usłyszała, jak szepczą coś za jej plecami. Pewnie uznali ją za wariatkę.

- To Hannah Lund. Kiedyś była jedną z najlepszych, ale potem coś się z nią stało.

- Co ona tu robi?

Dalsza część rozmowy utonęła w hałasie wydawanym przez kółka globusa. Hannah skręciła, kierując się w stronę audytorium. Przez moment obawiała się, że globus nie przejdzie przez drzwi i rzeczywiście niewiele brakowało. Wyjęła z kieszeni rolkę folii aluminiowej, którą znalazła w niewielkiej kuchni obok pokoju socjalnego. Zaczęła owijać globus folią. Potem nakleiła na folię wycięte z mapy kontynenty. Tyle że nie umieściła ich tam, gdzie dzisiaj leżą. Zebrała je wokół bieguna południowego i powtykała w nie szpilki. Obraz, który teraz powstał, był inny niż poprzednio. Spojrzała na planetę. Dłuższą chwilę stała i po prostu się w nią wpatrywała.

- Tak świat nie wyglądał od czasu stworzenia - przerwała w końcu własne milczenie.

45

Helligdnåskirken, kościół pod wezwaniem Ducha Świętego, Kopenhaga

- Zasłużył pan sobie na to.

Pastor postawił przed Nielsem kieliszek, sam też sobie nalał.

Niewiele brakowało.

Złocisty trunek palił Nielsa w usta, kiedy go odstawił, zauważył, że jego barwa przybrała różowawy odcień. Krwawił. Na szczęście zęby były całe, nos też.

- Powinien pan pojechać na pogotowie - powiedział Rosenberg, próbując zachować

spokój.

Ludzie często tak reagowali. Człowiek, który nagle znalazł się w sytuacji zagrażającej jego życiu, albo się załamywał, albo próbował ukryć swój niepokój. „Boże drogi, nic się nie stało”, mówili ludzie często. Szczególnie mężczyźni.

Niels zbył milczeniem uwagę pastora. Bolała go szczeka i policzek. Dokuczało mu kolano. Tętno cały czas miał przyspieszone.

Gabinet pastora był czymś pomiędzy salą zebrań a pokojem dziennym i może jeszcze przedszkolem. W kącie stało bowiem duże pudło klocków lego. Półka za plecami pastora ugięła się od oprawionych w skórę książek.

- Dlaczego akurat pan? - zastanawiał się Niels głośno.

Rosenberg wzruszył ramionami.

- Jak wybiera swoje ofiary? Czy raczej: wybierał.

- Może przypadkowo?

Pastor opróżnił kieliszek i natychmiast nalał sobie następny.

- Nie sądzę - odpowiedział Niels.

- Jeszcze trochę?

Niels zakrył dłonią kieliszek. Przyglądał się pastorowi. Wiedział, że duchowny kłamie. Nie wiedział jednak, co przed nim ukrywa.

- Nic nie rozumiem - powiedział.

Mówił zniekształconym głosem, nieco przez nos, co wynikało z jego obrażeń, ale zamierzał doprowadzić sprawę do końca.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jakiś szaleniec podróżuje po świecie i zabija dobrych ludzi.

- Proszę przestać z tymi dobrymi ludźmi - zachnął się Rosenberg. - Ja nie jestem dobrym człowiekiem.

Niels udał, że nie słyszy jego słów, i mówił dalej.

- Jednego jestem jednak pewien. To nie był przypadek. Przeciwnie.

Uchwycił spojrzenie pastora. Przez moment patrzyli sobie w oczy.

- Został pan wybrany. Miał pan dzisiaj umrzeć. Właśnie pan. Podobnie jak ci pozostali. Tylko nie wiem dlaczego - powiedział Niels.

Wstał i podszedł do okna. Gabinet pastora mieścił się na pierwszym piętrze. Biały śnieżny dywan pokrywał ulicę, dachy, samochody i ławki, przynosząc ukojenie. Na zewnątrz stali policjanci. Dwóch z nich zajęło pozycję obok samochodu, w którym na tylnym siedzeniu widać było Abdula Hadiego. Siedział z rękami przytwierdzonymi do łańcucha w podłodze.

Odtąd dotąd i ani milimetra więcej. Niels i Rosenberg zostali już o wszystkim poinformowani. Także o tym, że obowiązuje ich zakaz wypowiedania się. Zgodnie z ustawą o terroryzmie. Trwało dochodzenie, podjęto działania profilaktyczne, żeby nie dopuścić do kolejnych zamachów i tak dalej. O takich rzeczach się nie mówi. Niels wiedział, że sprawa nigdy nie trafi do prasy. Będzie można o niej przeczytać jedynie w tajnych dokumentach, do których nawet premier nie miał dostępu. Niels znał nowe ustawy. Tego typu informacje miały na zawsze pozostać ukryte przed obywatelami. Cenzura. W takich sprawach obowiązywała cenzura.

Kiedy Niels się odwrócił, dostrzegł na twarzy pastora cień. Duchowny siedział z podciągniętymi do góry ramionami. Teraz nastąpi reakcja, pomyślał Niels. Teraz facet się załamie. Dotrze do niego, że niewiele brakowało, a jakiś szalenciec rozplątałby mu brzuch.

- Ma pan kogoś, z kim może pan spędzić dzisiejszy wieczór? - spytał.

Pastor nie odpowiedział.

- Oczywiście dopilnuję, żeby porozmawiał z panem psycholog. To znaczy, jeśli pan sobie tego życzy.

Rosenberg pokiwał tylko głową. Minęła kolejna chwila. Niels widział, że pastor chce mu coś powiedzieć.

- Może pan w każdej chwili zadzwonić. Jeśli coś...

- Macie niewłaściwą osobę.

Niels milczał. Teraz to się stanie, pomyślał.

- Złapaliście niewłaściwego człowieka - powtórzył Rosenberg dziwnie obcym, niskim głosem.

- Co pan ma na myśli?

Milczenie.

- Co to znaczy, że mamy niewłaściwego człowieka? Ten mężczyzna próbował pana zabić.

- To nie on.

- Zna go pan?

Rosenberg zawahał się moment, w końcu skinął głową. Niels usiadł.

Fizyczny ból to dla naukowca to dobry znak. Znak, że człowiek zbyt długo siedzi w tej samej pozycji, za mało je, w ogóle nie pije. Gdy jest się blisko rozwiązania problemu, zapomina się o takich sprawach. Niektórzy badacze nazywali to skurczami porodowymi. Hannah zignorowała ból pleców i burczenie w brzuchu i wpisała w polu szukaj: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Pangea_animation_03.gif.

Zafascynowana wpatrywała się w krótką animację pokazującą wędrówkę kontynentów. Wyglądało, jakby żeglowały. Ameryka Północna i Południowa i Azja, każde w swoim kierunku. Piękne. I szalenie proste, oczywiście.

*

- Hannah? To ty? - spytała sekretarka zdziwiona.

Podniosła głowę znad komputera, kiedy Hannah weszła do pokoju.

- Mogę zadzwonić?

- Co u ciebie? Nie byłeś tu sto lat.

- Zostawiłam komórkę w swoim dawnym pokoju - przerwała Hannah sekretarce.

- Co u ciebie, Hannah?

- Muszę zadzwonić, Solvej. To ważne.

Hannah znalazła wizytówkę Nielsa i podniosła słuchawkę. Solvej pokręciła głową, uśmiechnęła się.

- Niels, cześć. To ja. Oddzwoń, jak tylko będziesz mógł. Odkryłam coś niezwykłego. I bardzo pięknego. Wiem już, gdzie popełniono pozostałe morderstwa... - Urwała, spojrzała na sekretarkę.

- Chodzi o serię morderstw popełnionych w różnych miejscach świata. Skontaktował się ze mną pewien policjant, który... - Znów urwała.

- Który co?

- Usiłuję znaleźć system, według którego to wszystko się dzieje, i chyba mi się udało.

- Nie wątpię.

- U ciebie wszystko w porządku, Solvej? Pamiętam, że twój mąż był chory.

- Miał raka. Ale już jest zdrowy. Oczywiście chodzi na kontrole, ale mamy nadzieję, że pokonał chorobę. A co z tobą?

- Gustav wyjechał.

- Przykro mi. Był tu jakiś rok temu. Spotkał się z Frodinem. Jechali razem do Genewy.

Hannah spojrzała na kobietę. Zawsze ją lubiła. Solvej matkowała całemu Instytutowi. Teraz wstała, podeszła do Hannah i ją objęła.

- Dobrze znów cię tu widzieć. Nigdy nie potrafiłam pojąć, co dzieje się w twojej głowie, ale zawsze bardzo cię lubiłam. Dzwoni, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Hannah skinęła głową i opuściła pokój.

47

Helligåndskirken, kościół pod wezwaniem Ducha Świętego, Kopenhaga

Tym razem Niels nie zasłonił kieliszka dłonią. Pastor dolał im obu i zaczął opowiadać.

- Nazywał się Khaled Hadi. Brat Abdula Hadiego.

Zawahał się. Niels miał wrażenie, że siedzi przed nim zupełnie inny człowiek. Jego oczy już się nie śmiały, nie były już tak dziecięco radosne. Nawet jego głos się zmienił. Stał się niższy. Jakby prawda leżała gdzieś tam niżej.

- Zdjęcia na dole, w piwnicy. Pamięta je pan?

- Zdjęcia imigrantów, których pan tu ukrywał?

- Natychmiast się pan domyślił, że było ich więcej niż dwanaścioro.

Niels skinął głową.

- Miał pan rację. Było ich czternaścioro.

Pastor zamilkł, ale Niels nie poспieszał go. Doświadczenie, wyniesione z wywiadów i przesłuchań, nauczyło go cenić milczenie. To właśnie pauzy w rozmowie pozwalały wybrać właściwe słowa. Kiedy już wyczerpaliśmy wszystkie przygotowane zawczasu frazesy.

Pastor odsunął krzesło do tyłu, zaczerpnął powietrza.

- Jak pan wie, wielokrotnie ukrywałem w kościele azylantów. Ukrywałem nie jest może właściwym słowem. Bo dla nikogo nie było to tajemnicą. Powiedzmy więc, że używałem kościoła jako narzędzia do zyskania czasu, tak by sprawa mogła zostać ponownie rozpatrzona. Co niekiedy rzeczywiście się udawało.

- Przyjęto specjalną ustawę.

- To prawda. Po wielu pismach, wysyłanych przeze mnie do władz, i artykułach w mediach przyjęto ustawę, która pozwoliła mojej dwunastce zostać. Z niektórymi z nich nadal jestem w kontakcie. Jeden jest nawet moim fryzjerem.

Niels spojrzał na rzadkie włosy pastora. Rosenberg się uśmiechnął.

- Życie różnie się im ułożyło. Niektórzy wyjechali do Szwecji. Troje trafiło do więzienia. Jeden, młody Sudańczyk, został zawodowym piłkarzem.

- Było jeszcze dwoje...

- Tak, było jeszcze dwóch mężczyzn - powiedział pastor i znów jakby chwilę się zawahał.

Niels był pewien, że po raz pierwszy opowiada komuś tę historię.

- Jeden z nich uciekł. Palestyńczyk, bezpieczeństwa. Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

- A ten drugi?

- Khaled.

- To właśnie był on? Brat Abdula?

Pastor skinął głową.

- Co się z nim stało?

- Nie żyje.

- Jak zginął?

- Khaled Hadi był potencjalnym terrorystą. Tak było napisane w papierach, które dostałem z policji. Zresztą później też to powtarzali. Potencjalny terrorysta. Podobno miał związek z większością zamachów terrorystycznych, utrzymywał też kontakty z wieloma najbardziej znanymi terrorystami, chociaż sam nigdy aktywnie nie uczestniczył w żadnej akcji. Ale... - Pastor znów urwał, jakby nagle zabrakło mu słów.

Odwrócił się do niego.

- Zna pan historię Daniela Pearla?

- Tego dziennikarza, który został zamordowany?

- Tak. Był amerykańskim dziennikarzem. W 2002 roku Al-Kaida w Karaczi zastawiła na niego pułapkę...

- Został ścięty.

Rosenberg przytaknął.

- Paskudna sprawa. Wiadomość o tym poruszyła cały świat.

- Khaled miał z tym coś wspólnego?

- Tak podejrzewano. Pana koledzy twierdzili, że spotkał się Pearlem krótko przed jego śmiercią. Być może przyczynił się do zwabienia go w pułapkę.

- Co Khaled robił w Danii?

- Proszę mnie o to nie pytać. Pewnie podróżował pod fałszywym nazwiskiem. Niech

pan nie zapomina, że w Danii bywało wielu znanych terrorystów. Grupa odpowiedzialna za zamach na World Trade Center w 1993 roku miała powiązania z Arhus.

Niels przytaknął, pastor kontynuował.

- Służby wywierały na mnie presję. Sprawa nie powinna wyjść na jaw. Znany międzynarodowy terrorysta z wizytą w Danii. Wyobraża pan to sobie? Jednocześnie wiedzieli też, że nie mogą po prostu przyjść tu po niego. Niewykluczone, że część azylantów stanęłaby w jego obronie. Sytuacja mogła łatwo wymknąć się spod kontroli.

- Ale naciskali na pana. Chcieli, żeby pan go wydał?

- Tak. Najgorsi byli pozostali imigranci.

- Słucham?

Pastor wziął głęboki wdech.

- Czułem, że mogę ich uratować. Miałem poparcie dużej części prasy, wielu znaczących polityków i dużej części społeczeństwa. Czas był po mojej stronie i po stronie azylantów. Szala sympatii coraz bardziej przechylała się na naszą stronę. Niestety Khaled Hadi był tykającą bombą. Jak ludzie zareagują, kiedy się dowiedzą, że ukrywam groźnego terrorystę? Sympatia natychmiast by zniknęła, co mogło mieć fatalne skutki dla pozostałych imigrantów.

- Więc ustąpił pan?

Pastor nie odpowiadał. Siedział chwilę w milczeniu. Wstał, podszedł do komody, wyciągnął szufladę. Wziął do ręki kopertę. Usiadł.

- Byłem w kropce. Początkowo nie chciałem o niczym słyszeć. Ścigany człowiek zgłosił się do mnie o pomoc. Uznałem, że moim obowiązkiem jako chrześcijanina jest otworzyć przed nim drzwi.

- Pierwszy kamień.

Rosenberg spojrzał na niego.

- Tak, pierwszy kamień - powtórzył. - O tym wszystkim mówiłem przez lata w swoich kazaniach.

- Ale bał się pan, że sympatia dla azylantów zniknie?

- Powoli, bardzo powoli pewne obrazy zaczęły przybierać coraz bardziej realny kształt w mojej głowie. Oczywiście na podstawie informacji, dostarczanych mi przez służby. Miałem to wszystko przed oczami: bomba na stacji kolejki, na przykład na Nørreport Station. Może w metrze, w godzinach szczytu. Na pokładzie samolotu. Liczne ofiary. Krew. W końcu uznałem, że ryzyko jest zbyt duże. A jeśli Khaled dostanie pozwolenie na pobyt i zapadnie się pod ziemię? A potem któregoś dnia otworzę gazetę i przeczytam o bombie w sercu

Kopenhagi. I o tym, że ukrywałem terrorystę. W kościele. Że mogłem zapobiec tragedii, ale tego nie zrobiłem.

- Więc wydał go pan?

Pastor skinął głową.

- Jak Judasz zwabiłem go kiedyś na górę do mojego gabinetu. Do tego pokoju. Gdzie już czekało na niego trzech funkcjonariuszy.

Rosenberg znów jakby się zawahał. Zaczął szybciej oddychać. Jednak po chwili mówił już dalej.

- Nigdy nie zapomnę jego wzroku. Widziałem w jego oczach zawód, ale były w nich też pogarda, smutek i złość. Zaufałem ci, mówiło jego spojrzenie. Ufałem ci!

- I co się stało?

- Nic. Minęło kilka tygodni. Pozostałym azylantom pozwolono zostać. A potem... Łzy w oczach. Niels pomyślał z sympatią o siedzącym obok niego mężczyźnie.

- A potem pewnego dnia otrzymałem to.

Położył kopertę na stole.

- Co w niej jest?

- Proszę otworzyć.

W kopercie były zdjęcia. Niels wstrzymał oddech. Zmiazdzone dłonie przypięte do stołu. Nagi człowiek powieszony za ręce. Worek na głowie. Mimowolnie pomyślał o Jezusie.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało zakrwawione zwłoki powieszona na czymś, co przypominało rzeźnicki hak. Niels nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Khaled Hadi. Sześć tygodni po tym, jak go wydałem. Potajemnie zrobione zdjęcia w więzieniu w Jemenie.

Niels włożył fotografie z powrotem do koperty.

- Jemen to jeden z najgorszych krajów, jeśli chodzi o tortury. Średniowieczni kaci powinni zazdrościć im pomysowości. Rażenie jądrem prądem. Bicie kablami. Zanurzanie w lodowatej wodzie. Zmuszanie ludzi do picia z rozbitych szklanek. Rozmawiałem o tym wszystkim z... lekarzem.

Niels spojrzał na niego. Pastor rozmawiał o torturach z lekarzem, przeszedł całą drogę do krzyża.

- W jaki sposób Khaled znalazł się z powrotem w Jemenie?

Pastor wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Duńskie władze znakomicie wszystko ukryły. Żaden dziennikarz nie był w stanie niczego się dowiedzieć. Służby tłumaczą, że trafił tam z innego kraju, w którym

był poszukiwany. Duńczycy wydali go państwu, w którym nie stosuje się tortur. Nikt nie chce zdradzić, o jaki kraj chodzi, ale zapewne są to Stany. Z prawnego punktu widzenia władze mają czyste ręce. Ale wątpliwości pozostają. Co z tego, że kraj, do którego Khaled został wydany, nie stosuje tortur, jeśli ten z kolei wydaje go takiemu, gdzie tortury są na porządku dziennym?

Niels skinął głową.

- Kto przysłał te zdjęcia?

- Abdul Hadi. Chciał, żebym wiedział, do czego się przyczyniłem. Żebym wiedział, jaki los zgotowałem jego bratu.

- Abdul Hadi chciał pana zamordować, żeby się zemścić?

- Tak.

I znów milczenie. Pastor zerknął na butelkę whisky. Niels widział, że toczy ze sobą walkę. Miał ochotę na więcej, ale wiedział, że nie powinien. Dobrze znał to uczucie.

- Nie wierzę, że Khaled miał coś wspólnego z morderstwem Daniela Pearla. Nigdy nie był w Afganistanie. Był młodym sympatycznym człowiekiem. Wiedziałem to, a jednak uległem - powiedział, patrząc Nielsowi w oczy.

Pastor przegrał walkę i dolał sobie whisky. Niels zauważył delikatne, popękane naczynka pod oczami. Wcześniej ich nie widział.

Z placu przed kościołem dochodziły ich odgłosy rozmów policjantów. Niels patrzył przed siebie, obrazy zlewały mu się: Abdul Hadi, bieg pasażem handlowym. Niepokojące znaki na plecach ofiar. Dokumenty spraw. Sarah Johnsson, Władimir Żyrkow. Dobrzy ludzie.

Był bezradny. Nie potrafił znaleźć w tym wszystkich jakiegokolwiek sensu.

Głos pastora przerwał jego rozmyślenia. Rosenberg coś od niego chciał.

- Nie jestem jednym z pańskich trzydziestu sześciu dobrych ludzi.

Niels uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Podejrzewam, że Interpol opiera się na innych przesłankach.

- Może niesłusznie?

- Może.

Rosenberg wstał. Zrzucił kamień ze swojego serca.

- Moja praca jest przeciwieństwem pańskiej - stwierdził.

- To znaczy?

- Pan musi przedstawić dowody, żeby ludzie uwierzyli.

- A pan musi sprawić, żeby ludzie uwierzyli bez dowodów. - Niels się uśmiechnął.

Rosenberg przytaknął.

Niels chciał mu coś powiedzieć, pomóc mu.

- Może jednak wywiad miał rację? - zauważył. - Może postąpił pan słusznie?

- Co to znaczy: słusznie? - Rosenberg westchnął. - Rumi, uprawiający poezję sufi, napisał kiedyś wiersz o małym chłopcu, którego w snach prześladowały zły potwór. Matka chłopca pociesza go, mówiąc, że wtedy ma po prostu pomyśleć o niej. Wtedy zły potwór zniknie. Chłopiec milczał chwilę, a potem spytał: „A jeśli ten potwór też ma mamę?”

Rosenberg się uśmiechnął.

- Rozumie pan, do czego zmierzam. Potwory też mają matki. Matki, które ich pocieszają i zapewniają, że robią dobrze. Dla nich to my jesteśmy potworami.

*

Z nieba leciały miękkie płatki śniegu. Ich taniec w zimnym przejrzystym powietrzu miał w sobie coś beztróskiego.

Policjanci szykowali się do odjazdu. Niels spojrzął na pastora.

- Zawsze może pan do mnie zadzwonić.

Pastor skinął głową. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie podszedł do nich jeden z funkcjonariuszy. Podał Nielsowi paczkę.

- Co to takiego?

- Przesyłka z Wenecji. Przyszła rano pocztą dyplomatyczną.

Niels otworzył paczkę. Kasetka, na niej chińskie znaki. Zdziwił się i schował ją do kieszeni.

- Jest też inna możliwość - powiedział nagle Rosenberg.

Niels spojrzął na niego. Pastor wyglądał, jakby marzył.

- Inna możliwość?

- Może to sam Bóg usuwa trzydziestu sześciu sprawiedliwych?

- Bóg byłby mordercą?

- To nie tak. Akceptując Boga, akceptujemy też, że śmierć nie oznacza końca. Tak więc Bóg zabiera ich do domu.

- Wycofuje swoich najlepszych ludzi?

- Tak.

Drzwi radiowozu trzasnęły. Kierowca włączył silnik.

- Dlaczego Bóg miałby to robić?

Pastor wzruszył ramionami.

- Może, żeby nas sprawdzić?

- Sprawdzić?

- Zobaczyć, jak zareagujemy.

Niels cofnął się, żeby samochód mógł odjechać. Spojrzał na Abdula na tylnym siedzeniu radiowozu, przez moment patrzyli sobie w oczy. Mężczyzna wyglądał jak ranne zwierzę. Nie potwór.

- Jeśli w ogóle zareagujemy.

48

Nørrebrogade, Kopenhaga

Sklep ze sprzętem radiowym, wciśnięty między pizzerię a sklep z używanymi rzeczami, nie rzucał się w oczy. Z co najmniej ośmiu telewizorów, ustawionych jeden na drugim, dobiegało posłanie z centrum kongresowego, Bella Centeret: „Ziemię czeka zagłada! To ostatni dzwonek”. Niels położył kasetę z chińskimi znakami na ladzie i próbował nawiązać kontakt wzrokowy z leniwym nastolatkiem.

- Tak? - odezwał się chłopak.

- Szukam magnetofonu, na którym mógłbym odtworzyć tę kasetę. Macie taki?

- Nie wiem.

Niels patrzył na chłopaka. Wyczekująco. Żadnej reakcji. W końcu się poddał.

- Mógłbyś sprawdzić? - spytał.

- Chwila.

Chłopak odwrócił się i zawołał w głąb sklepu.

- Tata!

Najwyraźniej przechodził mutację, głos mu się łamał. Niels pomyślał o dzieciach, których nie miał. Byłyby pewnie w jego wieku, gdyby Kathrine udało się zajść w ciążę, gdy rozpoczęli starania.

Z głębi sklepu wyszedł mężczyzna w średnim wieku z zadziwiająco tłustymi włosami. Zachowywał się, jakby był obrażony.

- Tak? - burknął.

- Magnetofon. Szukam magnetofonu, na którym będę mógł odsłuchać tę kasetę.

Mężczyzna zaczął się przyglądać kasecie, oddychał przez nos. Po chwili zniknął gdzieś w głębi. Niels odszedł na bok, sięgnął po dzwoniącą komórkę. Odebrał.

- Tak?

- Chyba mam.

- Co masz?

- Odkryłam system. To piękne, niewiarygodnie piękne.

- Hannah, zacznij od początku, proszę. Jestem zmęczony.

- Wszystko ci wytłumaczę, Najważniejsze, że wiem, gdzie popełniono morderstwa. Te brakujące.

- Brakujące?

- Tak. Wychodząc z założenia, że łańcuch nie został przerwany, to ostatnio popełnione morderstwo było w trzydziestym czwartym. Mamy informacje o dwudziestu jeden wcześniejszych. Czyli brakuje nam jeszcze trzynastu morderstw. Wiem, gdzie ich szukać. W Santiago, Hanoi, Belem, Kapsztadzie i Nuuk.

- Chwileczkę - przerwał jej Niels. - Nie jestem w stanie tego sprawdzić. Co chcesz, żebym zrobił?

Cisza.

- Powiedziałaś: w Kapsztadzie? - odezwał się w końcu.

- Powiedziałam, to znaczy z systemu wynika, że czternaste morderstwo zostało popełnione dwudziestego czwartego lipca o zachodzie słońca w Khayelitsha, na przedmieściach Kapsztadu. Prześlę ci SMS z dokładną długością i szerokością geograficzną.

- Dobrze - powiedział Niels.

Przerwał rozmowę, bo właściciel sklepu właśnie rzucił mu na ladę stary magnetofon kasetowy.

49

Kapsztad, Republika Południowej Afryki

To mogłoby być piękne tło: Zatoka, Ocean Indyjski. Palmy. Siedząc w swoim biurze na jedenastym piętrze, Kathrine często wracała myślami do zdjęcia, które każdego roku robiono jej i jej dwóch siostrom, kiedy wszystkie trzy były jeszcze dziećmi.

Ze wsi, gdzie mieszkali, jechali wtedy do Roskilde. Już z daleka widać było podwójną wieżę katedry wznoszącą się ostro do nieba, do Boga. Jakby przestrzegająca śmiałków: „Nie

zbliżajcie się”.

Kathrine kochała miasto. Kojarzyło jej się z nowymi ubraniami, z ogromnym marketem, gdzie ona i siostry zawsze się gubiły wśród niekończących się regałów z konserwami po jednej stronie, a przyprawami po drugiej. I ruchome schody. Trochę się ich bała. Ale to właśnie one zawoziły rodzinę do fotografa. Nigdy nie mogli sami wybrać tła, na szczęście fotograf zawsze dawał im kilka różnych do wyboru. Najpierw pokazywał im las. Mamie nawet się podobał, tylko Kathrine go nie lubiła. Porośnięte mchem drzewa głęboko w lesie, gdzie światło słoneczne z trudem przedzierało się przez listowie. Jej młodsza siostra miała okropny gust i zawsze chciała, żeby tło było kolorowe albo różowe. No i był też brzeg morza. Ulubiony motyw Kathrine, o którym z kolei matka w ogóle nie chciała słyszeć. Kathrine do dziś nie potrafiła tego zrozumieć. Zdjęcie było zrobione nieco z góry, jakby ktoś siedział na wydmach i patrzył w dół na morze. Ostateczny wybór był zazwyczaj wynikiem kompromisu. Leśna polanka, drzewa w tle. Bóg jeden wiedział, czym kierowała się jej matka. Co wypierała ze swojej podświadomości? Kathrine zastanawiała się niekiedy, czy fakt, że zdecydowała się na pracę właśnie w tym miejscu, nie wynikał po części również z tego, że widok za oknem przypominał jej ów zabroniony krajobraz? Zawsze lubiła światło, jej matka preferowała półmrok, który - to prawda - lepiej oddawał atmosferę ich domu. Ojciec Kathrine miewał „czarne dziury”, jak nazywała to matka. Obecnie takie stany określa się jako maniako-depresyjne. Nie żeby ojciec popadał w manię, jak to czasem się zdarza. W Internecie czytała o ludziach, którzy miewali doły i wtedy lądowali na samym dnie, gdzieś w piwnicy, albo szybowali do nieba, i wtedy wszystko stawało się możliwe. Wtedy podróżowali, kupowali samochody, przeprowadzali się za granicę. W jej rodzinnym domu jednak tak nie było. Jej ojciec albo zachowywał się względnie normalnie i spokojnie, albo niemal w ogóle się nie odzywał. Tygodniami potrafił siedzieć nieruchomo jak gad.

Klimatyzacja. Dźwiękoszczelne okna. W pokoju obok, gdzie pracowały sekretarki i młodszy architekt, kręcił się Marc. Wyraźniej szukał pretekstu, żeby wejść do niej do pokoju. Zastanawiała się, czy ma pójść z nim do łóżka? Podrywał ją. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Seks z nim wydawał się jej podniecający, kiedy jeszcze miała nadzieję na przyjazd Nielsa. Teraz, kiedy pomysł ten niespodziewanie stał się całkiem realny, nie była wcale pewna, czy tego naprawdę chce. Przez szklaną ścianę Marc próbował złapać jej wzrok. Odwróciła się, wyrzała przez okno. Zakazany krajobraz jej matki. Morze i światło.

- Hej.

Marc stał w drzwiach, podświadomie wypinając lekko do przodu dolną część tułowia.

- Marc?

- Nie jesteś na wakacjach?

Mówił z charakterystycznym akcentem południowoafrykańskich Burów. Niezbyt seksownym.

Odpowiedziała mu po angielsku.

- Muszę jeszcze coś wysłać.

- Twój mąż przyjeżdża?

Doskonale wiedział, że Niels nie przyjechał.

Nie chciała teraz o tym rozmawiać. Czuła, że zbiera się jej na płacz.

- Chciałabym zostać sama. Proszę.

Marc wyglądał, jakby żałował swojego postępowania. Nie chciał się jej narzucać, o czym ona zresztą dobrze wiedziała. Był miły. To nie jego wina, że wyszła za mąż za faceta, który pod wieloma względami przypominał jej ojca. Kathrine nieraz stawiała sobie pytanie, dlaczego tak się stało, i jak dotąd nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi. Pogodziła się z faktem, że to się często zdarza. Że ludzie znajdują sobie partnerów będących wierną kopią ich rodziców, a szczególnie tego rodzica, z którym pozostawali w konflikcie. Tak jak ona ze swoim ojcem.

Ale przecież nie zawsze tak było. Na początku Niels był inny. To prawda, że był spokojny, ale nie wpadał w „czarne dziury”. Dużo się wtedy razem śmiali. Właściwie zawsze. Sprawiał wrażenie bardzo ambitnego. A może tylko jej się tak zdawało? Zastanawiała się, czy ludzie mają jakiś siódmy zmysł, sprawiający, że wybierają partnera, który dopiero z czasem zacznie przypominać im własnego ojca bądź matkę. A może to my sprawiamy, że nasi partnerzy zaczynają się tak zachowywać? Czy to możliwe, że to my narzucamy im tę rolę?

Wyjrzała przez okno. Delikatne białe grzywy przypominały bąbelki szampana. SMS od Marca. „Sorry”. Odwróciła się i zobaczyła go samotnego i bezradnego na tle biurowego krajobrazu. Był przystojny.

W tym momencie odezwała się jej komórka. „Niels calling”, przeczytała na wyświetlaczu.

- Właśnie o tobie myślałam - przywitała go.

- A co o mnie myślałaś?

- Nie chciałbyś wiedzieć.

Uśmiechnęła się do Marca. Teraz nagle znów wydał się jej bardziej pociągający. Ale pomysł, żeby mógł być jej kochankiem, nie podniecał jej.

- Posłuchaj, powód, dla którego do ciebie nie przyjechałem...

- Wiem, nie musisz mi tego tłumaczyć, staruszkę - przerwała mu.

- Nie wiesz. Pracuję nad pewną sprawą. Chodzi o morderstwo. To dość skomplikowane.

Zrobił krótką dramatyczną pauzę. I opowiedział jej o wszystkim. O morderstwach, miejscach, w których zostały popełnione. Znakach na plecach. Słuchała go bez słowa. W pewnym momencie powiedział jej, że jedno z morderstw zostało popełnione w Khayelitsha, na przedmieściach Kapsztadu. Zamilkł. Czekał. O Hannah w ogóle jej nie wspomniał.

- Zmieniłeś wydział? - spytała w końcu.

- Nie. To nie tak. Początkowo wydawało się, że to zwykła rutynowa sprawa. Moim zadaniem było poinformować ewentualne duńskie ofiary o zagrażającym im niebezpieczeństwie. W ten sposób zostałem włączony w sprawę.

- Dlatego nie przyjechałeś?

Niels zaczął się zastanawiać. Ambicja podpowiadała mu, żeby powiedzieć: Tak.

- Tak sądzę.

- Sądzisz?

- Nie potrafię powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale czuję, że to coś ważnego.

I potrzebuję twojej pomocy.

- Chcesz, żebym pojechała do Khayelitsha?

- Tak.

- To jeden z największych slumsów w tym kraju. Nie jest to bezpieczne miejsce dla białej kobiety.

Niels milczał. Namówić Kathrine do czegokolwiek było zawsze trudnym zadaniem. Najpierw ona sama musiała się do tego przekonać. Milczenie nie było przyjemne. Zdziwił się, kiedy Kathrine, nie zgłaszając żadnych dalszych uwag, nagle się zgodziła.

- Okay - powiedziała.

50

Vesterbrogade, Kopenhaga

Mały kawałek Chin wciśnięty między dwa sklepy z odzieżą przy Vesterbrogade.

Restauracja Golden Bamboo. Za elegancką nazwą kryło się kilka plastikowych

stolików, niewielka otwarta kuchnia i lekko skwaszony „smiley” w oknie, ukryty za palmą. Zalecenia: kurs higieny żywienia, napisał na nim przedstawiciel władz sanitarnych wściekle czerwonym długopisem.

Niels starał się chronić kasetę przed padającym śniegiem. Wszedł do środka. Ktoś powiedział mu kiedyś, że Azjaci to wyjątkowo uprzejmi ludzie. Właściciele Golden Bamboo chyba o tym nie wiedzieli. Z kuchni dobiegały go odgłosy prawdziwej wojny. Wściekle polecenia i ostre słowa fruwały w powietrzu. Szef, jedyny ubrany w garnitur, krzyczał na personel.

Niels odkasznął. Żadnej reakcji. Podeszedł do niewielkiego blatu przed kasą, położył na nim kasetę. Czekał. Rozejrzał się dookoła. Na parapetach stały sztuczne kwiaty w doniczkach. Na ścianie wisiała duża mapa Chin. I plakat reklamujący Igrzyska Olimpijskie w Pekinie. Karta dań: makaron, kiełki bambusa, springrolls, wołowina Gong Bao. Gdzieś z głębi dobiegał głos telewizora. Szczyt klimatyczny. Potężny mężczyzna z archipelagu Vanuatu na południowym Pacyfiku stał i ze łzami w oczach grzmiał przeciwko grabieżczej polityce, głównie ze strony Chin. Mało kto zdawał się tym przejmować. Ludzie w pierwszych rzędach rozmawiali. Grupa Finów chichotała. Problemy archipelagu Vanuatu raczej nie spędzały im snu z powiek.

- Atakują nas.

Niels obejrzał się i spojrzał na starszego Chińczyka w nieco za dużym garniturze.

- Zawsze jesteśmy winni. Chiny zawsze są winne. Wszystko to nasza wina.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno do Nielsa.

- Chce pan stolik?

- Policja kopenhaska - powiedział Niels, pokazując mu swoją legitymację.

Próbował wyczytać coś z jego twarzy. Pustka.

- Szukam kogoś, kto mógłby mi to przetłumaczyć - powiedział i natychmiast wcisnął klawisz magnetofonu, nie dając mężczyźnie czasu do namysłu.

- A o co chodzi?

- Może mi pan przetłumaczyć to nagranie?

Zaczęli słuchać. Minęła może minuta. Rozmowa telefoniczna. Jakiś mężczyzna dzwonił do kobiety. Prawdopodobnie prosząc o pomoc. W jego głosie słychać było narastającą panikę.

Nagranie się skończyło.

- Zrozumiał pan coś?

- Mężczyzna cierpi.

- Tyle to i ja słyszę. Ale co on mówi.
- Pyta: „Co się dzieje?” Rozumie pan?
- Nie. To znaczy rozumiem, co pan do mnie mówi, ale nie czego dotyczy rozmowa.
- Proszę puścić to jeszcze raz - przerwał mu Chińczyk.

Niels cofnął taśmę. Szef zawołał kogoś z kuchni. Młody mężczyzna zbliżył się powoli z wyraźnym szacunkiem. Po krótkiej wymianie zdań po chińsku mężczyzna wcisnął klawisz Play.

- Głośniej - zażądał szef.

Niels nastawił głośniej, ale trudno było zagłuszyć dochodzący z kuchni hałas.

- Słyszycie, co mówią?

Młody mężczyzna coś odpowiedział. Stary Chińczyk tłumaczył jego słowa na duński.

- Głos mówi: „Co się dzieje? Jest tak cicho. Boże! Co się ze mną dzieje? Jest tak cicho. Wenus i Droga Mleczna”.

- Wenus i Droga Mleczna?

Niels cofnął taśmę, puścił ją kolejny raz. Na taśmie nie było ciszy. Wręcz przeciwnie. Gdzieś w tle słychać było głośny dźwięk dzwonka, podniesione głosy, ruch uliczny.

- Tam jest hałas. Nie cisza. Na pewno mówi, że jest cicho?

- Na pewno. Pochodzi z Pekinu - powiedział szef, który wyraźnie zaczynał być zmęczony rozmową.

- Mówi o ciszy, kiedy dookoła jest hałas? - spytał Niels, patrząc na młodego mężczyznę.

- Tak powiedział - odezwał się chłopak nieco niepewnym duńskim. - „Co się dzieje? Jest tak cicho! Boże, co się ze mną dzieje? Jest tak cicho. Wenus i Droga Mleczna”.

Dlaczego Tommaso uznał, że to ważne, żebym usłyszał to nagranie? - zastanawiał się Niels.

Jest tak cicho.

51

Między Kapsztadem a Khayelitsha, Republika Południowej Afryki

Dla większości ludzi pobyt w Afryce był doświadczeniem, do którego potem często

wracali. Szczególnie jeśli ktoś wybrał się w głąb kontynentu, dotarł do serca Afryki. Z dala od turystów, od pazerności i europejskich ekip filmowych, które uparły się kręcić filmy o biedzie i nędzy. Wtedy zaczynał rozumieć, że najważniejsze jest, aby człowiek potrafił się pogodzić ze śmiercią. Tutaj, gdzie było serce kontynentu, czuło się obecność pierwotnego człowieka. Bo przecież to właśnie stąd pochodzimy. I to się czuło. Ziemia. Dom. Te słowa nabierały tu nowego znaczenia.

Kiedy Kathrine po raz pierwszy znalazła się na sawannie, rozplakała się. Czuła się jak córka marnotrawna powracająca do domu. Tu była gotowa umrzeć. Z Markiem było inaczej. Ale Marc wychował się w Afryce. I chociaż kochał to miejsce, bynajmniej nie był gotów umierać. Dlatego wynajął ochroniarzy, żeby ich eskortowali. Po południu pojawiło się trzech Zulusów. Śmiali się od ucha do ucha. Cokolwiek Kathrine powiedziała, oni głośno się śmiali.

Mieli ze sobą karabiny maszynowe i sztucery. Bobby, Michael i Andy. Różne imiona na różne okazje, jak artyści w Europie czy w Ameryce. I też nie lubili, kiedy zadawano im za dużo pytań.

- Khayelitsha?

- Yes.

- *Why?* Dlaczego chcecie tam jechać? - spytał jeden z nich. - *Nothing there.* Tam niczego nie ma - powtórzył.

- To naprawdę konieczne? - spytała Kathrine, kiedy Marc włożył pistolet do schowka ich zakurzonego pikapa.

- Cathy - odwrócił się do niej i uśmiechnął.

Nie lubiła, kiedy nazywał ją Cathy.

- To nie jest spokojna Skandynawia. To jest RPA. Tutaj trzeba mieć broń.

Ma najbielsze zęby na świecie, pomyślała.

- Tak tylko... - zaczęła i urwała w pół słowa.

Coś w jego wzroku sprawiło, że zmieniła zdanie. Nie musiał tego mówić. Wiedziała, co myśli. Co rozpieszczona kobieta z duńskiej krainy baśni może o tym wiedzieć?

*

Miejscowi ochroniarze jechali tuż za nimi. Marc pilnował, żeby cały czas widzieć ich w lusterku.

- Chodzi o morderstwo? - spytał.

Kathrine uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Wiem, tutaj popełnia się dużo morderstw - powiedziała i zapaliła papierosa.

Jeszcze jeden plus tego kraju, pomyślała. Tu każdy mógł palić do woli, nikt nie czynił

mu z tego powodu wyrzutów. Tutaj śmierć była częścią życia. Była obecna w całkowicie inny sposób niż w jej kraju, gdzie zwykle przychodziła niespodziewanie. Jakby ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że pewnego dnia bal się skończy.

Wiele istnień ludzkich i wiele śmierci. Taka była Afryka. W Danii było przeciwnie. Ludzie nie żyli naprawdę. A śmierć oficjalnie nie istniała. Jeden dzień przechodził w drugi, niemal niezauważalnie.

Zakasłała. Miejscowe papierosy drażniły jej gardło. Miała za sobą ciężki dzień. Spotkania. Niekończące się rozmowy telefoniczne. Kiedy rano włączyła komputer, okazało się, że ma w skrzynce sto dziewięć nieodpowiedzianych mejli. Jutro będzie podobnie.

- Gdzie w Khayelitsha?

Niski męski głos Marca przerwał jej rozważania. Lubiała jego brzmienie, ale nie znosiła dialektu, mieszaniny holenderskich i angielskich dźwięków.

Podala mu kartkę ze współrzędnymi z GPS i przybliżonym adresem. Musiała stoczyć bitwę z firmowymi informatykami, żeby przełożyli dane Nielsa na konkretny adres.

- Okay - powiedział Marc, zerkając na kartkę.

Uśmiechnął się do Kathrine. Miał wszystko to, czego nie miał Niels. Nie miał żadnych ukrytych stron, wahań nastroju, mentalnych dołów, do których wpadałby od czasu do czasu. Po prostu był sobą. Przystojnym mężczyzną, chociaż nieco irytującym.

Jechali dwunastopasmową autostradą. Czarny jak smoła, świeżo położony asfalt. Marc siorbał swoją kawę na wynos, włączył radio, po chwili jednak zmienił zdanie i wyłączył je. Kathrine się rozejrzała. Uśmiechnięty Andy pomachał jej z drugiego samochodu. Temperatura na zewnątrz nie spadała poniżej trzydziestu stopni. Suche jak papier powietrze, pełne spalin, kurzu i drobinek piasku nawiewało znad sawanny. Wszędzie coś budowano. Wysokie dźwigi unosiły się nad horyzontem, jak gigantyczne żyrafy, które uległy mutacji w wyniku zanieczyszczenia środowiska. Roboty drogowe, gorąca ziemia, betoniarki, pracujące sprężarki, maszyny kładące asfalt, naprawy mostów i dróg.

- Znasz Billa Shankly'ego? - spytał Marc, przejeżdżając na czerwonym świetle.

- Nie.

- Legendarny menedżer piłkarski z Liverpoolu. Kiedyś powiedział: „Niektórym ludziom wydaje się, że piłka nożna to walka na śmierć i życie. To przykre. Zapewniam was, że jest wiele znacznie ważniejszych rzeczy”.

Marc spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- Jeśli spojrzeć na to, co obecnie dzieje się w tym kraju, na siedem miesięcy przed mistrzostwami świata w piłce nożnej, trzeba przyznać, że Bill Shankly miał rację. Z powodu

niewielkiej skórzanej piłki cały kraj się zmienia. W każdym razie na zewnątrz - dodał.

Kathrine wyjrzała przez szybę samochodu.

Nowoczesna zachodnia metropolia powoli, niemal niezauważalnie zmieniała się w typowe afrykańskie wielkie miasto, aż nazbyt dobrze znane z mediów: slumsy, brak nadziei, upał, kurz, śmieci. Trudno było powiedzieć, gdzie zaczynała się Khayelitsha. Być może granica miała charakter bardziej mentalny niż geograficzny. Mijało się niewidzialną linię i nagle trafiało do miejsca, gdzie nie było już żadnej nadziei. Pozostawało jedynie przeżycie dla samego przeżycia. Codzienna walka o jedzenie, o wodę. Łatwo było stać się przypadkową ofiarą zbrodni. W RPA popełniano rocznie pięćdziesiąt tysięcy przestępstw. Co trzydzieści sekund jakaś kobieta padała ofiarą gwałtu.

Khayelitsha, Republika Południowej Afryki

Marc zatrzymał się i odczekał kilka sekund, aż samochód z ochroniarzami podjechał bliżej. Ulice stawały się coraz węższe, domy coraz mniejsze. Chaty, blaszaki, prymitywne lepianki, zakurzone wraki samochodów. I psy, wszędzie psy. Z połamanymi ogonami, utykające, szczekające, spragnione. Tutaj dzieci się nie bawiły. To była jedna z pierwszych rzeczy, które Kathrine zauważyła. Wystawały na ulicach i paliły papierosy. Jakiś chłopiec grał w piłkę we własnej roboty koszulce z napisem „Messi” na plecach. Jakaś kobieta krzyczała na swoje dzieci, które wcale się tym nie przejmowały. Jednak to, na co Kathrine przede wszystkim zwróciła uwagę, to były śmieci. Wszędzie było ich pełno. Butelki po coli. Puszki po konserwach. Foliowe torebki, opony, opakowania. Smród kurzu, uryny i poczucie beznadziejności wdzierał się wszędzie, także do wnętrza wozu.

Marc jechał zgodnie ze wskazówkami GPS. Skręcał w prawo, w lewo. Przednia szyba samochodu szybko pokryła się kurzem, niczym cienką błonką, nadającą wszystkiemu nierzeczywisty charakter.

Kathrine na ogół unikała biednych dzielnic. W RPA nie było to trudne. Pierwsze miesiące po przyjeździe spędzała głównie w biurze, w hotelu i odwiedzając restauracje i bary w dzielnicy finansowej. I właściwie zapomniała, gdzie jest. Równie dobrze mógłby to być Nowy Jork czy Londyn. Po prostu gorące lato.

Marc opowiadał coś o koledze z pracy, który według niego był dupkiem. Kathrine słuchała jednym uchem. Marc zmienił temat i nagle zauważył, że jest nieobecna.

- Cathy?

- Tak?

- Dzisiaj wieczorem?

Zatrzymał samochód, spojrzął na nią.

- Znam bardzo przyjemną hinduską restaurację.

Kathrine patrzyła na niego. Zaprosił ją. Przymierzał się do tego od tygodni. Powinna była się tego spodziewać. Właściwie to w pewnym sensie nawet na to czekała. A mimo to była zaskoczona. Mężczyzna się uśmiechnął. Białe zęby. Uśmiech, który zdradzał, że zaproszenie kryło w sobie coś więcej. Nie miała co do tego wątpliwości. Wiedziała, że jej „tak” oznaczało, że skończą w łóżku. „Tak” oznaczałoby zgodę na wszystko, na cały pakiet: kolacja, drinki, seks. Miała ochotę się zgodzić. Jej ciało było chętne. Poczula przyjemne ciepło w podbrzuszu.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Spodziewała się, że będzie chciał, żeby mu odpowiedziała. Wiedziała, że żadne wymówki nie wchodzi w grę, co, prawdę mówiąc, ją podniecało. Jego rozpięta koszula ukazywała opalony, dobrze umięśniony tors. Poczula lekki zawód, że tak łatwo pogodził się z brakiem jej odpowiedzi.

- Jesteś tutaj - powiedział tylko, wskazując na GPS.

*

Kathrine nie potrafiłaby powiedzieć, czego się spodziewała. Dom niczym się nie wyróżniał. Może jedynie tym, że leżał z dala od innych. Jedyny budynek w promieniu kilkuset metrów. Tam, gdzie zaczynała się przyroda, leżała sterta odpadków.

Jej następna myśl była taka, że Marc źle odczytał współrzędne GPS. Dlaczego Niels miałby kazać jej jechać właśnie do tego domu? Do tej walącej się rudery, jednej z wielu w tym niekończącym się slumsie. Może zaszło jakieś nieporozumienie? Z drugiej strony, jedyne, co o tym domu wiedziała, to to, że w lipcu podobno popełniono tu morderstwo. To wszystko, co Niels jej przekazał. Więc może to rzeczywiście był ten dom?

Marc został w samochodzie. Ochroniarze wysiedli, jeden z nich cały czas trzymał się w odległości kilku metrów za Kathrine.

Przeszła przez drogę, która właściwie była kawałkiem pełnej dziur, wypalanej przez słońce ziemi. Drzwi wejściowe zostały zrobione z drzwi starej szafy i nie pełniły żadnej funkcji. Grupka dzieci kopała przed domem jakiś węzełek.

- *You wanna fuck, white woman?* - krzyknęło któreś z nich.

Andy, jeden z ochroniarzy, zawołał coś do nich, ale nie zdołał ich wystraszyć.

Kathrine zapukała, czekała. Nic się nie wydarzyło. Znów zapukała. Bała się, że uszkodzi drzwi. W końcu się otworzyły. Zobaczyła przed sobą starą bezzębną kobietę, która

patrzyła na Kathrine, jakby ta była powietrzem.

- Dzień dobry - powiedziała Kathrine i nagle zdała sobie sprawę, że nie bardzo wie, co ma powiedzieć.

- Mieszka pani tutaj?

Żadnej odpowiedzi. Kathrine zauważyła, że kobieta prawie nic nie widzi. Zaćma zaciągnęła jej oczy szarą matową błonką. W Afryce wielu ludzi było niewidomych.

- Rozumie pani po angielsku?

Kathrine już miała pójść zawołać Marca, kiedy nagle kobieta się odezwała.

- Mojego syna nie ma w domu.

- Pani syna?

- Pilnuję domu.

- Okay.

Kathrine miała nadzieję, że kobieta zaprosi ją do środka, ale tak się nie stało.

- Przyjechałam tu, żeby... Mam na imię Kathrine. Nie pochodzę z RPA - dodała.

Wiedziała, że takie wyznanie zwykle robi dobre wrażenie na miejscowej ludności. Europejczycy cieszyli się tu sympatią. W każdym razie na pewno większą niż pozostali biali.

Na twarzy kobiety po raz pierwszy pojawił się lekki grymas. Nerwowe drżenie mięśnia pod okiem.

- Amnesty? - spytała podniesionym głosem.

Zanim Kathrine zdążyła odpowiedzieć, kobieta wystawiła głowę przez drzwi.

- Ilu was jest? - spytała.

- Mój kolega czeka w samochodzie. Mamy ze sobą trzech ochraniarzy.

- Nareszcie się zjawiliście.

Kobieta się odwróciła i zniknęła wewnątrz budynku. Gdyby nie była niewidoma, zobaczyłaby, że na landroverze dużymi literami napisane było: DBB Architects.

- *Come in, Amnesty!* - zawołała z wnętrza domu.

*

Kilka zniszczonych drewnianych krzeseł, stół i prymitywne łóżko. Nad łóżkiem plakat ze zdjęciem południowoafrykańskiej drużyny piłki nożnej. „Bafana, Bafana, *God is on our side*”, napisał ktoś na nim.

Kobieta zaproponowała Kathrine herbatę i, nie czekając na odpowiedź, zapewniła ją:

- *Rooibush is good for you. It clears your mind.*

Kathrine zerknęła na mętny napój w filiżance.

- Jak zamierzacie go stamtąd wydestać? - spytała stara kobieta. - On nikogo nie zabił.

Rozumie mnie pani? Co zamierzacie zrobić?

Kathrine przełknęła ślinę. Muszę jej powiedzieć, że nie jestem z Amnesty International, pomyślała. Jednak nie zrobiła tego.

- Może powie mi pani coś więcej o tej sprawie - powiedziała po prostu.

- On jej nie zabił. Tej w fabryce. Jest niewinny. Tak jak zeznał Mathijsen.

- Kto?

- Mathijsen - powtórzyła kobieta i nagle jej twarz złagodniała, zmarszczki na czole się wygładziły. - *He was a good man. He helped us.*

Kobieta mówiła szybko i niewyraźnie. Kathrine z trudem ją rozumiała.

- Mat...

- Mathijsen. Adwokat mojego syna. Joris Mathijsen.

- A co z nim? - spytała Kathrine. - To jego pani syn miał zabić?

- *No! No!*

Kobieta pokręciła głową.

- Mathijsen umarł w tym domu. Chciał nam pomóc.

- Nie rozumiem - przerwała jej Kathrine. - Adwokat umarł w tym domu? Kiedy?

*

Zanim kobieta przystąpiła do opowiadania swojej historii, Kathrine poszła do samochodu po Marca.

- Starsza pani sądzi, że jesteśmy z Amnesty International - wyszeptowała. - Nie pozbawiajmy ją złudzeń.

Marc wysiadł, skinął głową w stronę kobiety. Kiedy się zorientował, że kobieta nie widzi, głośno się z nią przywitał. Starsza pani zaczęła opowiadać, i chociaż zapewne robiła to już wiele razy wcześniej, w jej głosie nadal był żar.

Benny, jej syn, pracował w fabryce obuwia w Durbanville. Kiedy został zwolniony, doszło do awantury, podczas której córka dyrektora fabryki została pchnięta nożem. Całą winą obarczono syna kobiety. Ktoś, Kathrine nie zrozumiała jego nazwiska, twierdził później, że Benny trzymał się od wszystkiego z daleka, cały czas stał kilka metrów dalej. Nie mógł więc popełnić czynu, o który został oskarżony. Jednak sytuacja była beznadziejna. Tym bardziej że Benny'ego nie było stać na wynajęcie adwokata.

- *But then came Joris Mathijsen.*

Marc znał nazwisko mężczyzny. Mathijsen był jednym z mózgow Komisji Prawdy, która w latach 1995-2000 zajmowała się ujawnianiem zbrodni popełnionych w czasach apartheidu. Różniła się tym od innych, że nie zamierzała nikogo karać. Chodziło jedynie o

ustalenie prawdy. Tym, którzy złożą prawdziwe zeznania, proponowano amnestię.

Jak Mathijsen, który już od wielu lat nie udzielał się publicznie, trafił do Benny'ego, pozostawało tajemnicą. Kobieta też nie potrafiła odpowiedzieć im na to pytanie. Wiedziała tylko, że Benny i Mathijsen spotkali się kilka razy w więzieniu. Kontakt z tak wybitnym obrońcą dał jej synowi nową nadzieję. Dwudziestego czwartego lipca Mathijsen przyjechał tu, do Khayelitsha. Wypił z nią herbatę i obiecał, że wyciągnie jej syna z więzienia.

- He promised. Understand?

Kiedy adwokat miał wracać do domu, zobaczył na podwórzu za domem cień. Nie przejął się tym zbytnio, ale postanowił jednak sprawdzić, o co chodzi. Wyszedł na zewnątrz. Kobieta została w domu. Minęło kilka minut. Kobieta bała się wyjść na podwórze. W końcu jednak przemogła się i wyszła. Znalazła Jorisa Mathijse na leżącym na plecach z rękami rozłożonymi na boki. Nie żył. Benny został skazany na dwadzieścia dwa lata więzienia za przemoc ze skutkiem śmiertelnym. Bez możliwości wcześniejszego zwolnienia.

*

Kathrine widziała malujące się na twarzy kobiety poczucie beznadziejności i sama była bliska płaczu. „Kiedy wyjdzie na wolność, dawno już nie będę żyła”, powiedziała w pewnym momencie kobieta. Kathrine obiecała jej pomóc. Jakby niemal uwierzyła, że jednak przyjechała tu z ramienia Amnesty International. Tak czy inaczej, postanowiła, że po powrocie do domu skontaktuje się z organizacją. Obiecała to sobie.

Kobieta siedziała nieruchomo. Po chwili podniosła się z trudem, przeszła kilka metrów do drzwi na tyłach domu, których Kathrine wcześniej nie zauważyła. Pchnęła je i wyszła na niewielkie, brudne, zamknięte ze wszystkich stron podwórko. Przeszła trzydzieści, może czterdzieści metrów i doszła do miejsca, gdzie leżały, spalone przez ostre słońce, kwiaty. Obok nich stało niewielkie zdjęcie adwokata. Urodzony dwudziestego szóstego kwietnia 1962 roku, zmarł dwudziestego czwartego lipca 2009 roku.

wyniki okazywały się błędne. Jakby ludzkie myśli nigdy nie opuszczały tego budynku. Nie zabierano ich ze sobą. Zostawały tutaj.

Hannah zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej tego miejsca. Chodziła po kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kielbasa i salami, pewnie trochę za bardzo wyschnięte. Do tego należało się przyzwyczaić. Fizycy nie byli smakoszami. Na każdym stoliku w stołówce zawsze leżały ołówki i kartka. Na wypadek gdyby komuś w trakcie śniadania przyszedł do głowy genialny pomysł.

Nie słyszała dzwonka komórki. Nowa wiadomość. Sprawdziła pocztę głosową. „Masz nową wiadomość”, poinformował ją głos. Wiadomość była od Nielsa.

„Hannah, rozmawiałem z Kathrine. Miałaś rację z Khayelitshą. Nie mam pojęcia, skąd wiedziałaś. Ale wszystko się zgadza. Miejsce, data. Ofiara to Joris Mathijsen. Znany adwokat. Jestem zmęczony. Miałem pracowite popołudnie. Porozmawiamy jutro. Bystra z ciebie dziewczynka”.

Koniec nagrania. Hannah się uśmiechnęła. Oczywiście, że miała rację. I rzeczywiście była bystra.

53

Silos Carlsberga, Kopenhaga

Ze wszystkich kiepskich pomysłów, które przez lata przychodziły Nielsowi do głowy, ten bił wszystkie rekordy. Co go skłoniło, by wysłać Kathrine do slumsów, i to właśnie wtedy, kiedy powinni być razem? Rozmawiał z nią już trzy razy. Była roztrzęsiona. Nie mogła dojść do siebie. W pewnym momencie miał ochotę krzyknąć na nią. Że to chyba z nią jest coś nie w porządku. Bo przecież świat jest pełen biedy, śmierci. Tylko Kathrine do tej pory nie miała okazji tego zauważyć, bo przebywała w miejscach, gdzie były designerskie meble i klimatyzacja. Jej świat był szalenie powierzchowny. Składał się wyłącznie z powierzchni. Marmur, stal, miedź, aluminium. Błyszczący świat, niezwracający uwagi na to, że wokół wszystko było w rozsypce. Ale tego jej oczywiście nie powiedział. Powiedział natomiast: „Przepraszam, to rzeczywiście straszne”. I jeszcze: „Śpij dobrze”.

Wyimaginowana kłótnia dręczyła go, nie dawała mu spokoju. Myślał o niej, kiedy wszedł do mieszkania, mimo to natychmiast poczuł, że ktoś tu był.

Ktoś. Rozejrzał się po pokoju. Nic nie zwróciło jego uwagi. Duży zwrócony na zachód pokój wyglądał tak, jak kiedy wychodził. Tak jak kiedy Kathrine opuściła ich wspólne życie całe wieki temu. Niels miał dziwne przeczucie, że ich związek właśnie się skończył. A może wyczuwał tu cień Kathrine? Był zmęczony i zaskoczony tym, że Hannah najwyraźniej znalazła klucz do systemu. Zastanawiał się, czy może powinien do niej zadzwonić, ale uznał, że teraz przede wszystkim potrzebuje snu.

Drzwi, wychodzące na drugą klatkę schodową, były uchylone.

Nigdy nie zdarzyło mu się zapomnieć ich zamknąć. Zresztą rzadko ich używał. Sprawdził dokładnie. Nic nie wskazywało, żeby ktoś otwierał je siłą. Skrzydło drzwiowe, framuga, zamki, zawiasy, wszystko wyglądało tak jak zawsze. Ale to go nie uspokoiło. Wręcz stało się kolejnym powodem do niepokoju: Czy ktoś dorobił klucz do ich mieszkania? Zaczął się zastanawiać, kto miał do niego dostęp? Tylko on i Kathrine. I sąsiadka na dole. Gospodarz domu? Może miał klucz uniwersalny? Niels zaczął się zastanawiać, ale uznał, że raczej nie. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, ktoś musiał wziąć klucz jego albo Kathrine i dorobić drugi.

Jedyne miejsce, w którym Nielsowi niekiedy zdarzało się zostawić klucze, to jego pokój w pracy. Czyżby ktoś z komisariatu pożyczył sobie jego klucz, dorobił drugi, a potem odłożył oryginalny klucz na miejsce? Pomysł wydał mu się absurdalny. Kto miałby to zrobić? I w jakim celu?

Wyszedł na klatkę, włączył światło. Nagle usłyszał kroki.

- Kto tam?

Żadnej odpowiedzi.

- Halo?

Lekkie, niemal niesłyszalne kroki. Ktoś schodził po schodach. Trzaśnięcie drzwi. Cień ciemnej postaci. Ktoś uciekał, niemal unosił się w powietrzu. A może to tylko światła z browaru rzucały długie cienie?

Światło na klatce zgasło.

Ranek był lodowato zimny. Odczuwalne zimno, wywołane mroźnym wiatrem, wynosiło około minus dwudziestu stopni. Air Force One wylądował dokładnie o godzinie dziewiątej i już kilka sekund później drzwi prezydenckiej maszyny się otworzyły i ukazał się w nich prezydent Obama. Na jego zwykle stanowczej twarzy malował się niepokój. Lekka konsternacja. Najpotężniejszy mężczyzna świata był tu podejmowany bez żadnej pompy. Szybki uścisk dłoni amerykańskiego ambasadora, Lauriego S. Fultona, i już po chwili prezydent siedział w swojej wygodnej limuzynie, kierując się stronę centrum kongresowego. Był zapracowanym człowiekiem. Z wyraźną misją. Miał przecież zbawić świat.

Piątek, osiemnasty grudnia

Niels obudził się i miał wrażenie, że rozsadza go energia. Uczucie było mu dobrze znane. Wołał je niż równie dobrze znaną mu pustkę. Nie miał depresji, jak twierdziła Kathrine. Tylko czasem miał więcej, a czasem mniej energii.

Nørrebro, Kopenhaga

Zmieniła się. Mimo że po prostu siedziała i patrzyła przed siebie.

Niels zauważył to, jak tylko wszedł do kawiarni i zobaczył Hannah popijającą kawę przy ostatnim stoliku. Zmieniła się nie tylko dlatego, że się umalowała, pociągnęła usta szminką i ułożyła włosy. Jej oczy się zmieniły. Sposób, w jaki patrzyła na otaczających ją ludzi, na to, co się wokół niej działo. W jej spojrzeniu była ciekawość, było życie.

Zobaczyła go i pomachała mu ręką. Dziecinny gest sprawił, że Niels się uśmiechnął. Obok niej stał karton ze wszystkimi dokumentami.

- Musimy to uczcić.

Niels spojrzał na stojącą na stole tacę. Chleb, jajka, croissanty, melon.

- Zamówiłam dla nas obojga - powiedziała.

- Morderstwo w Kapsztadzie. Jak...

- Znalazłam klucz i wszystko dokładnie wyliczyłam. Za punkt wyjścia przyjąłam liczbę trzydzieści sześć. I znaną ci opowieść.

Mówiła szybko, wyraźnie podniecona.

- Daj spokój. Nie jesteś osobą religijną.

- Jesteś tego pewien? - Uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Wiem jednak, że rzekoma sprzeczność między religią a nauką bywa niekiedy mocno przesadzona.

Nie usiądziesz?

Niels zdał sobie sprawę, że nadal stoi. Usiadł.

- Sprzeczność ta jest bowiem oparta na fałszywych przesłankach. Więc tak naprawdę nie istnieje. Przecież nauka powstała z chęci dowiedzenia, że Bóg istnieje. Tak więc religia od samego początku towarzyszy nauce. W różnych okresach bywały mniej lub bardziej zapatrzone w siebie, co jednak nie zmienia istoty rzeczy.

- Ale dlaczego trzydzieści sześć? - spytał Niels, nalewając kawę. - To ma jakiś sens?

- W odniesieniu do całego systemu ma. A właśnie to nas interesuje. Nie wiem, czy wiesz, ale w nauce panuje pogląd, że do tej pory udało nam się poznać jedynie cztery procent całego wszechświata. Cztery procent!

- A pozostałych dziewięćdziesiąt sześć?

- No właśnie. Co z nimi? Astrofizycy nazywają to „ciemną materią” i „ciemną energią”. Może jednak należałoby nazwać rzeczy po imieniu i przyznać, że tych pozostałych dziewięćdziesiąt sześć to nasza niewiedza? Tyle rzeczy nie wiemy. Zdumiewająco dużo. A mimo to zachowujemy się, jakbyśmy byli bogami, którzy wszystko mogą. Jak małe dzieci ogarnięte manią wielkości. Czy właśnie tacy jesteśmy? Próbujemy wmówić sobie, że te cztery procent to cały wszechświat. Że reszta, to, co nieznanne, po prostu nie istnieje. Tak właśnie się zachowujemy. Mimo że wiemy, że ta reszta istnieje, tylko my nie potrafimy jej przeniknąć.

- Ale morderstw było dwadzieścia jeden. Tyle zgłoszono, nie trzydzieści sześć.

- Do tej pory. Pozostałe też się wydarzyły, tylko my o tym nie wiemy.

Niels wahał się, ale w końcu zadał jej to pytanie.

- Morderstwo w Kapsztadzie. Skąd wiedziałaś?

- Wiesz, kim był Ole Rømer?

- Szefem policji w tysiąc siedemset którymś roku...

- I astrofizykiem - weszła mu w słowo. - Podobnie jak ja. On pierwszy stwierdził, że światło ma prędkość. I bardzo precyzyjnie wszystko obliczył.

- Co on ma z tym wspólnego?

- Król poprosił go kiedyś, żeby ustalił, jak duża część Kopenhagi jest zabudowana. Oczywiście można było wszystko pracowicie wymierzyć, ale Rømer przedstawił dokładne wyliczenie zaledwie po dziesięciu minutach. Jak tego dokonał?

Hannah zatrzymała przechodzącą obok stolika kelnerkę.

- Wiem, że to zabrzmiało nieco nedorzecznie, ale mogę prosić nożyczki i całego melona?

Kelnerka spojrzała na nią zdziwiona.

- Chwileczkę - powiedziała i odeszła.

Hannah ciągnęła swoją opowieść.

- Rømer wziął wagę i mapę Kopenhagi i... Bardzo dziękuję - zwróciła się do kelnerki, która przyniosła jej nożyczki i melona. - I pociął ją - dokończyła po chwili.

Hannah wzięła nożyczki i zaczęła ciąć papierowy obrus. Niels zauważył, że siedzący obok młodzi ludzie przyglądają się im ukradkiem.

- Rømer wyciął z mapy zabudowane części Kopenhagi i położył je na jednej szalce, na drugiej położył te niezabudowane.

- A co ty wycięłaś? - Niels się uśmiechnął.

- Nie przypomina ci to Afryki? - spytała, podnosząc do góry kawałek papierowego obrusa.

- Przy odrobinie dobrej woli.

- No cóż. Południe wyszło może nieco za wąskie, ale Australia i obie Ameryki nie pozostawiają chyba żadnych wątpliwości.

Podniosła do góry kolejne kawałki obrusa.

- Wycięłaś kontynenty?

- Nie, usunęłam wodę. Oceany. Tak że zostały tylko kontynenty. Całą resztę wycięłam.

Zaczęła zbierać kawałki papieru, jakby to były części układanki.

- Hannah?

Niels próbował złapać jej wzrok.

- Moja wiedza matematyczna i fizyczna kończy się na poziomie gimnazjum, więc proszę zwolnij nieco tempo. Jeśli dobrze cię zrozumiałem, wzięłaś mapę i wycięłaś z niej kontynenty, tak? A morza wyrzuciłaś?

- Tak.

- Dlaczego? Co ci to dało?

- Nie wspominałam ci o tym przez telefon? Musimy cofnąć się w czasie. I to dużo. Do okresu, kiedy powstawały kontynenty. I organizmy wielokomórkowe.

Niels przyglądał się jej w milczeniu.

- Chodzi o ruchy tektoniczne. Płyty tektoniczne, dna oceanów, granit i bazalt. Ale może rzeczywiście nie wchodzimy w szczegóły. Zacznijmy od czegoś innego.

- Dobry pomysł.

- Ruchy tektoniczne sprawiają, że kontynenty się przemieszczają. Właściwe to one cały czas są w ruchu. Znów oszczędzę ci bardziej szczegółowych wyjaśnień, dlaczego tak się

dzieje.

- Dziękuję.

- Musisz jednak wiedzieć, że kontynenty zbudowane są z granitu. Słyszałeś może o Miniku Rosingu?

Niels pokręcił głową.

- To grenlandzki geolog. Twórca teorii głoszącej, że granit na Ziemi powstał w wyniku utleniania się bazaltu oraz że tlen, potrzebny do tego procesu, pochodził od pierwszych bakterii mających zdolność fotosyntezy. To wszystko odbyło się jakieś trzy miliardy siedemset tysięcy lat temu.

Niels podniósł do góry ręce, jakby chciał się poddać.

- Dobrze, darujemy sobie dalsze tłumaczenia i przejdziemy do konkluzji. A przynajmniej do częściowej konkluzji, która pozwala nam stwierdzić, że kontynenty są konsekwencją życia na Ziemi.

- To nazywasz konkluzją?

- Może raczej punktem wyjścia. Patrz.

Niels przyglądał się jej, kiedy zaczęła układać obok siebie wycięte z mapy kontynenty. Młodzi ludzie przy sąsiednim stoliku też wyraźnie wciągnęli się w jej opowieść.

- Kiedyś wszystkie kontynenty były ze sobą połączone. Gdzieś w okolicach bieguna południowego. Tak to mniej więcej wyglądało. Najlepiej będzie, jak ci to narysuję.

Hannah wyjęła z torebki czarny flamaster i zaczęła rysować połączone ze sobą kontynenty na melonie.

- Tak to wyglądało przy biegunie południowym.

Niels znów na nią spojrział. Zauważył, że nerwowość, która dotychczas była w jej ruchach, nawet w sposobie, w jaki się poruszała, nagle zniknęła.

- Miliard lat temu Ziemia wyglądała mniej więcej tak - powiedziała, podnosząc do góry melon.

- W czasie, kiedy wszystkie kontynenty były ze sobą połączone - upewnił się Niels.

- Tak. Dzisiaj jest to wiedza powszechna, ale pierwszy doszedł do tego pewien niemiecki astronom i to niespełna sto lat temu. Zresztą nie od razu mu uwierzono.

Niels wpatrywał się w melon.

- Spójrzmy na ten całkiem inny świat - zaproponowała Hannah, podniosła głowę i spojrzała na Nielsa. - Proponuję, żebyśmy na chwilę przenieśli się na superkontynent, który nazywa się Rodinia.

Niels zdjął kurtkę. Kawiarnia zaczynała się wypełniać studentami.

- Słowo „rodina” pochodzi z rosyjskiego i znaczy ojczyzna, kraj rodzinny. Bo superkontynent Rodinia był matką wszystkich kontynentów.

- Okay - powiedział Niels i skinął głową.

- Jego rozpad zapoczątkował rozwój życia na Ziemi. Rodinia uformowała się pod koniec mezoproterozoiku. Przetrwała ediakar i kambry, i jeszcze kilka innych okresów, których nazw nie pamiętam, w końcu nie jestem geologiem.

- Dlaczego nagle rozmawiamy o kontynentach...?

- Rodinia.

- Dobrze, ale co to ma wspólnego z morderstwami?

Hannah zawahała się, zaczęła jeść.

- Wiedziałam, że tu chodzi przede wszystkim o ludzi. I o życie. Zgodnie z przekazem trzydziestu sześciu sprawiedliwych ma dbać o ludzi. A ludzie mieszkają na lądzie, nie w wodzie. Dlatego usunęłam oceany. I wtedy, próbując w dość prymitywny sposób odtworzyć pierwotny superkontynent, zauważyłam coś dziwnego - powiedziała Hannah.

Niels znów zwrócił uwagę na siedzącą obok nich parę. Przestali jeść i słuchali, jakby byli na wykładzie.

- Spojrzałam z góry na wcześniej naniesione punkty - ciągnęła Hannah. - I spostrzegłam, że tworzą pewien wzór. Zestawiłam je z datami morderstw. Można powiedzieć, że ponumerowałam poszczególne punkty. Siedemnaste morderstwo zostało popełnione w Pekinie, czternaste w Kapsztadzie.

- W Khayelitsha. Republika Południowej Afryki.

- Zgadza się. Dziewiąte w Mekce, piętnaste w Thunder Bay.

- Sarah Johnsson.

- Tak. Zaraz ci to narysuję.

Odsunęła na bok szklanki i talerzyki. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku wzięła je i przestawiła na swój stolik. Hannah zaczęła rysować.

Najpierw narysowała na obrusie duże koło.

- To jest Ziemia. Kontynenty leżały mniej więcej tak.

Narysowała kontynenty tak, żeby łączyły się przy biegunie południowym.

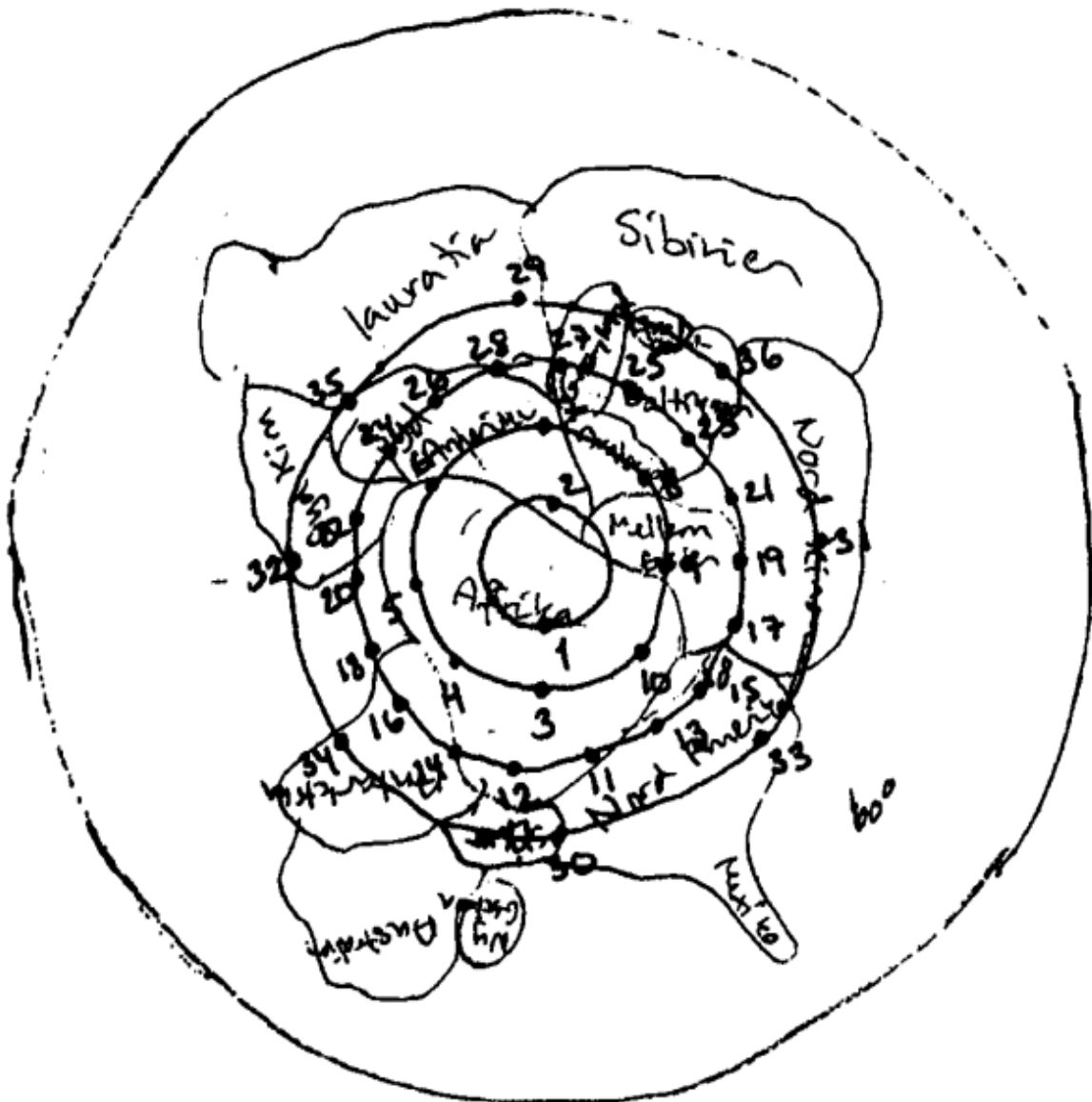
- Teraz widać to wyraźnie. Te punkty to miejsca, w których popełniono morderstwa.

O tutaj, spójrz.

W imponującym tempie zaznaczyła na melonie trzydzieści sześć punktów.

Ponumerowała je.

- Teraz to widzisz?



Niels przyglądał się melonowi.

- Zauważyłeś, że połączone ze sobą punkty tworzą jakby mniejsze kręgi? - spytała Hannah.

- Może.

- Są po obu stronach okręgu.

Niels milczał. Dojrzał paczkę papierosów w jej torebce i pomyślał, że może wyszliby na zewnątrz zapalić.

- Obliczyłam położenie kręgów. Leżą na dwunastym, dwudziestym czwartym, trzydziestym szóstym i czterdziestym ósmym stopniu szerokości geograficznej. Ale w tej chwili nie to jest najważniejsze.

- A co?

- To, co tu widzisz, to właściwie schemat budowy atomu. I to nie pierwszego lepszego, tylko atomu wyjątkowego pierwiastka, oznaczonego w tabeli pierwiastków numerem trzydziestym szóstym.

- Trzydzieści sześć. Jak w...

- Jak w opowieści. Może to przypadek, a może nie. Instytut Nielsa Bohra wniósł duży wkład do usystematyzowania pierwiastków. Więc być może jesteśmy nieco przewrażliwieni na tym punkcie, niewątpliwie jednak system, który jest kluczem do rozwiązania zagadki, jest zbudowany dokładnie jak atom wspomnianego przeze mnie pierwiastka, czyli kryptonu.

- Kryptonu? - Niels się uśmiechnął. - Coś mi to wszystko pachnie Supermanem.

- Niestety Superman nie jest częścią systemu. Krypton jest gazem szlachetnym. Słowo pochodzi z greki i oznacza to, co ukryte. Kryptos.

- Ukryte? Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że krypton to gaz bezbarwny, o pewnej zadziwiającej właściwości. Tworzy linię o widmie atomowym albo, mówiąc prościej, pod wpływem prądu świeci na zielono i pomarańczowo. Długość fali elektromagnetycznej tej linii stanowiła przez pewien czas wzorzec metra. Chodzi tu oczywiście o izotop kryptonu 86.

- Czy jest coś, czego ty nie wiesz? - powiedział Niels, uśmiechając się.

- Krypton jest, jak już mówiłam, gazem szlachetnym. Jest to pierwiastek niemal doskonały. Jest mało reaktywny, co w uproszczeniu oznacza, że w zasadzie nie łączy się z innymi. Można powiedzieć, że jest samowystarczalny. W powietrzu jest go bardzo mało, zaledwie 0,0001 procenta.

Hannah zamilkła na chwilę.

- Opowieść o trzydziestu sześciu sprawiedliwych. Być może dopuszczam się nadinterpretacji, ale mam wrażenie, że te rzeczy łączą się ze sobą.

Samowystarczalny. Ukryty. Doskonały. Samotny.

Hannah mówiła tak szybko, że Niels nie był w stanie nadążyć.

- Niels, przecież już liczba trzydzieści sześć jest niezwykła. Trzy plus sześć równa się dziewięć. Jeśli pomnoży się trzydzieści sześć przez jakąkolwiek inną liczbę, a potem doda do

siebie poszczególne cyfry, to zawsze wyjdzie nam dziewięć. Trzydzieści sześć razy dwanaście równa się czterysta trzydzieści dwa. Cztery plus trzy plus dwa równa się dziewięć. Trzydzieści sześć razy siedem równa się dwieście pięćdziesiąt dwa. Sprawdź. Kiedy dotrzemy do naprawdę dużych liczb, trzeba je jeszcze tylko podzielić przez dwa.

- Hannah, naprawdę bardzo cię przepraszam, ale co usiłujesz mi powiedzieć? Wolałbym, żebyś do razu przeszła do rzeczy.

Spojrzała na niego, jakby się zastanawiała, jak w miarę prostymi słowami wyrazić swoją myśl.

- No dobrze - odezwała się w końcu. - Miejsca, w których popełniono morderstwa, istnieją od miliardów lat. Istniały, jeszcze zanim pojawił się na nich człowiek. Trzymając się tej zasady, doszłam do tego, gdzie w południowej Afryce został zamordowany ten adwokat. To wynika z położenia kontynentów u zarania naszych dziejów.

Hannah znów pokazała na rysunek na obrusie.

- Twierdzą, że jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z określonym systemem, to będziemy w stanie wydedukować, gdzie zostały popełnione poprzednie morderstwa. I przewidzieć, gdzie i kiedy zostaną popełnione ostatnie dwa.

- Tak? - spytał Niels cicho.

Nagle uświadomił sobie, że szepcze.

- Tak? - powtórzył głośniej.

- Wszystko spisałam. Spójrz.

Hannah wyjęła kartkę i podała ją Nielsowi.

1. Wąwóz Oldupai Gorge (Tanzania) - piątek, dwudziesty czwarty kwietnia 2009 roku (CHAMA KIWETE)

2. Santiago (Chile) - piątek, pierwszy maja 2009 roku (VICTOR HUELVA)

3. Bangui (Republika Środkowej Afryki) - piątek, ósmy maja 2009 roku

4. Monrowia (Liberia) - piątek, dziewiętnasty maja 2009 roku

5. Dakar (Senegal) - piątek, dwudziesty drugi maja 2009 roku

6. Cuzco (Peru) - piątek, dwudziesty dziewiąty maja 2009 roku (MARIA SAYWA)

7. Rio de Janeiro (Brazylia) - piątek, piąty czerwca 2009 roku (AMANDA GUERREIRO)

8. Samarkanda (Uzbekistan) - piątek, dwunasty czerwca 2009 roku

9. Mekka (Arabia Saudyjska) - piątek, dziewiętnasty czerwca 2009 roku

10. Tel Awiw (Izrael) - piątek, dwudziesty szósty czerwca 2009 roku (LUDVIG

GOLDBERG)

11. Nairobi (Kenia) - piątek, trzeci lipca 2009 roku (NANCY MUTTENDANGO)

12. Johannesburg (Republika Południowej Afryki) - piątek, dziesiąty lipca 2009 roku
(HELEN LUTULI)

13. Chicago (USA) - piątek, siedemnasty lipca 2009 roku (ANDREW HITCHENS)

14. Kapsztad (RPA) - piątek, dwudziesty czwarty lipca 2009 roku (JORIS
MATHIJSSEN)

15. Thunder Bay (Kanada) - piątek, trzydziesty pierwszy lipca 2009 roku (SARAH
JOHANSSON)

16. McMurdo (Antarktyda) - piątek, siódmy sierpnia 2009 roku (JONATHAN
MILLER)

17. Pekin (Chiny) - piątek, czternasty sierpnia 2009 roku (LING CEDONG)

18. Bangalore (Indie) - piątek, dwudziesty pierwszy sierpnia 2009 roku

19. Babilon (Irak) - piątek, dwudziesty ósmy sierpnia 2009 roku (SAMIA AL-
ASSADI)

20. Madras (Indie) - piątek, czwarty września 2009 roku

21. Katmandu (Nepal) - piątek, jedenasty września 2009 roku

22. Hanoi (Wietnam) - piątek, osiemnasty września 2009 roku (TRUONG THO)

23. Kaliningrad (Rosja) - piątek, dwudziesty piąty września 2009 roku (MASZA
LIONOW)

24. Caracas (Wenezuela) - piątek, drugi października 2009 roku

25. Helsinki (Finlandia) - piątek, dziewiętnasty października 2009 roku

26. Belem (Brazylia) - piątek, szesnasty października 2009 roku (JORGE ALMEIDA)

27. Nuuk (Grenlandia) - piątek, dwudziesty trzeci października 2009 roku

28. Ateny (Grecja) - piątek, trzydziesty października 2009 roku

29. Paryż (Francja) - piątek, szósty listopada 2009 roku (MAURICE DELUZE)

30. Seattle (USA) - piątek, trzynasty listopada 2009 roku (AMY ANISTON)

31. Moskwa (Rosja) - piątek, dwudziesty listopada 2009 roku (WŁADYMYR
ŻYRKOW)

32. Szanghaj (Chiny) - piątek, dwudziesty siódmy listopada 2009 roku

33. Waszyngton (USA) - piątek, czwarty grudnia 2009 roku (RUSSEL YOUNG)

34. Bombaj (Indie) - piątek, jedenasty grudnia 2009 roku (RAJ BAIROLIYA)

35.

36.

Niels patrzył na kartkę. Chłopak przy stole obok wstał i poszedł zapłacić. Dziewczyna wyciągała szyję, żeby dojrzeć, co jest napisane na kartce. Hannah mówiła.

- Wiemy, że zewnętrzna powłoka atomu oznaczonego numerem trzydziestym szóstym jest symetryczna. Dlatego skoro wiemy, gdzie zostały popełnione poprzednie morderstwa, trzydzieste trzecie i trzydzieste czwarte... O, tutaj - pokazała Hannah na melonie. - To wiemy też, gdzie zostaną popełnione dwa następne. Trzydzieste piąte i trzydzieste szóste.

- A mianowicie gdzie?

- To zapewne dostrzegł też nasz przyjaciel z Wenecji. Bo przecież niektóre kontynenty zachowały swój pierwotny kształt, tylko nieco się przemieściły. Dlatego odległość między miejscami, w których popełniono morderstwa, jest mniej więcej zawsze taka sama. Podejrzewam, że on chciał nas ostrzec...

- Hannah, gdzie? - przerwał jej Niels.

Hannah odwróciła kartkę i dopisała brakujące miejsca.

- Tak, teraz wszystko zostało zamknięte.

Niels odczytał na głos:

35. Wenecja albo Kopenhaga - piątek, osiemnasty grudnia 2009 roku

36. Wenecja albo Kopenhaga - piątek, dwudziesty piąty grudnia 2009 roku

Stał, wpatrując się w kartkę. Być może wiedział to od samego początku. Być może przeczuwał takie rozwiązanie. A jednak poczuł, że krew odpływa mu z głowy, a serce przestaje bić.

- Znamy czas i miejsce dwóch ostatnich morderstw. Ale nie znamy kolejności. Twierdzisz, że...

- Że dzisiaj o zachodzie słońca zostanie popełnione morderstwo albo w Wenecji, albo w Kopenhadze.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Czy ja w to wierzę? To nie jest kwestia wiary, Niels. Gdyby tak było, nie mogłabym wiedzieć, że do jednego z morderstw doszło w Republice Południowej Afryki, prawda? Statystyczne prawdopodobieństwo, że...

Niels już jej nie słuchał. Poczul, jak jego ciało robi się coraz cięższe, jakby siła przyciągania nagle podwoiła swoją moc. Spojrzał na Hannah. Jej wąskie usta nadal się poruszały. Przedstawiała kolejne argumenty, kolejne dowody. Zmusił się do słuchania.

- To jest pewien system. I właśnie dlatego możemy być niemal pewni, że kolejne morderstwo zostanie popełnione albo w Wenecji, albo w Kopenhadze.

- Ale gdzie w Kopenhadze?

Hannah oderwała kolejny kawałek z papierowego obrusa i nabazgrała na nim kilka liczb. Młodzi ludzie zaczęli się zbierać do wyjścia. Dziewczyna skinęła głową z uznaniem. Ale Hannah nawet tego nie zauważyła. Podała Nielsowi kawałek obrusa z zapisanymi na nim liczbami.

- Co to jest?

- Współrzędne, długość i szerokość geograficzna, tu w Kopenhadze. Dzisiaj albo w przyszły piątek.

- Jesteś tego pewna?

- Nie zadawaj mi takich pytań. Przedstawiłam ci działanie konkretnego systemu. Matematyka nigdy nie kłamie. Dzisiaj o zachodzie słońca, w Kopenhadze albo w Wenecji.

- Gdzie? - spytał Niels, wskazując na zapisane przez nią liczby.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Wszystko ci napisałam. Szerokość, długość.

- Ale gdzie to jest?

56

Nørrebro, Kopenhaga

Niels wyszedł z kawiarni. Na zewnątrz było równie ponuro jak w środku. Zbliżał się najkrótszy i najciemniejszy dzień roku. Stare uliczne latarnie rzucały słabe światło, żółtawa poświata zawisa leniwie nad asfaltem.

- O tej porze roku słońce zachodzi bardzo wcześnie - powiedziała Hannah. - Zostało nam najwyżej kilka godzin.

Stała za nim i wkładała pieniądze do portmonetki. Karton z dokumentami postawiła obok siebie na ziemi. Niels odwrócił się i spojrzał na nią.

- O której zachodzi słońce? - spytał.

- Kilka minut przed czwartą. Czemu pytasz?

- Jak to: czemu?

Spojrzał na nią zdziwiony. Czyżby cała sprawa była dla niej jedynie teoretycznym rozważaniem? Towarzyską zabawą?

- Powiedziałaś, że morderstwa zostały popełnione o zachodzie słońca, tak?

- Dokładnie w godzinę zachodu słońca.

- To znaczy, że mamy pięć, sześć godzin na znalezienie miejsca. I osoby, która ma paść ofiarą morderstwa.

Hannah spojrzała na niego zdziwiona.

- Przyjechałaś samochodem? - spytał Niels.

- Tak.

- Gdzie zaparkowałaś?

- Tam. To małe audi.

- Masz GPS?

- Tak, stanowi wyposażenie wozu. Nigdy go nie używałam. Nawet nie wiem, jak działa.

Niels wsiadł do samochodu pierwszy. Obok niego usiadła Hannah, trzymając w rękach karton z dokumentami. Nie była przyzwyczajona do tak konkretnych działań. Widział to po niej. Ona zrobiła swoje, dokonała obliczeń, wygłosiła wykład. Dla niej świat to przede wszystkim teoria. Nagle Niels zaczął się zastanawiać, czy może Hannah, tam w kawiarni, próbowała z nim flirtować? Rysując atomy na obrusie, opowiadając o tym, jak miliard lat temu wyglądała Ziemia. Może tak flirtują geniusze? Nagle zrozumiał, że jej życie nie jest łatwe.

- Posłuchaj - zaczął. - Sama powiedziałaś, że być może uda nam się nie dopuścić do kolejnego morderstwa. To ty do mnie zadzwoniłaś.

- Tak.

- No więc jestem gotów.

Wziął od niej karton z papierami i postawił go na tylnym siedzeniu.

- Uruchom GPS. Potrafisz nawigować według długości i szerokości geograficznej?

- Może.

Niels przekręcił kluczyk w stacyjce. Mały samochód ruszył z miejsca, nie wydając żadnego dźwięku. Hannah uruchomiła GPS, spojrzała na Nielsa, oczekując dalszych instrukcji. Czeka nas długa droga, pomyślał Niels, wyjeżdżając na szosę, niemal wprost pod ciężarówkę.

*

Jagtvej. Kolejna ulica, która każdemu kopenhaskiemu policjantowi kojarzy się z awanturami i bijatykami, z młodzieżową rebelią. Kiedyś takie rozruchy potrafiły trwać nawet kilka dni, przyciągając wszystkich niezadowolonych, skorych obalać kolejne rządy i królów. Ale to było dawno. Czas rewolucji się skończył. Gdy obalano władzę absolutną, niecałe

dziesięć tysięcy ludzi ruszyło w spokojnym marszu w stronę królewskiego zamku. I osiągnęło swoje. W obecnych czasach młodzież, demonstrująca przeciwko szczytowi klimatycznemu, nie mogła liczyć na takie efekty swoich działań. Mogła jedynie nabawić się kataru. Niels włączył radio. Dziennikarz informował, że na ulicach Kopenhagi w tym momencie około stu tysięcy ludzi bierze udział w demonstracjach i happeningach.

Niels pokręcił głową. Milion ludzi na ulicach Londynu nie było w stanie wpłynąć na decyzję Tony'ego Blaira o wysłaniu żołnierzy do Iraku. Czy sto tysięcy mogło zrobić cokolwiek, żeby obniżyć temperaturę Ziemi, chociaż o jeden stopień.

- Działa?

Niels obserwował, jak Hannah niewprawnymi ruchami próbuje uruchomić GPS.

- Dasz sobie radę?

- Niels - odezwała się niemal obrażona. - Mając cztery lata, rozwiązywałam równania z dwiema niewiadomymi. Dlatego mój nauczyciel wysłał mnie do Instytutu Nielsa Bohra, gdzie się okazało, że mam IQ 150.

- Tylko spytałem.

Milczenie. Hannah przyglądała się wyświetlaczowi.

- Gotowe. 55 413. Musimy odbić nieco na południe.

- Na południe?

- Na południowy zachód.

Ruch zamarł. Stojące w korku samochody wyglądały jak na fotografii. Jak zawsze na Jagtvej. Kiedyś była to droga, którą król ze swoją świtą jeździli na polowania. Potem została otwarta dla plebsu i stała się niezwykle popularna. W stolicy, gdzie przebieg ulic był łagodnie mówiąc, przypadkowy i dość chaotyczny, Jagtvej miała być wybawieniem. Prowadziła bowiem nieprzerwanym ciągiem z jednego końca miasta na drugi. Z Nordhavn, portu północnego, do terenów browaru Carlsberga. Niels oglądał ją codziennie i szczerze jej nienawidził. Poza tym była też niezdrowa. Na całym jej odcinku ustawiono urządzenia pomiarowe, mierzące stopień zanieczyszczenia, przeciwko któremu właśnie w tej chwili protestowano na ulicach miasta. Gdyby to działo się w Japonii, ludzie na pewno mieliby na twarzach maseczki. Ale to nie było ani Tokio, ani Osaka. To była Kopenhaga, gdzie ludzie nie przywiązywali aż takiej wagi do powietrza, którym oddychali.

Niels zapalił papierosa.

- Mogę palić w samochodzie?

- Najwyraźniej możesz.

- Mogę zgasić.

- Pal. I mnie też daj jednego.

Niels zatrąbił.

- W ogóle się nie ruszamy - stwierdził.

- Rzeczywiście.

Postanowił zawrócić. Jakiś wściekły kretyn w garniturze i wielkim bmw próbował zajechać mu drogę. Niels przyłożył do szyby policyjną legitymację.

- Dureń!

- Czy ta ulica nie jest czasem jednokierunkowa? - spytała Hannah, kiedy facet w beemce w końcu się poddał, a Niels przyspieszył.

- Weź moją komórkę.

- Po co?

- Powiedziałaś, że kolejne morderstwo może zostać popełnione w dwóch miejscach.

- Tu albo w Wenecji.

- Zadzwoń do Tommasa. Nie pamiętam, jak ma na nazwisko.

- Di Barbara.

- Powiedz mu, że... Po prostu podaj mu współrzędne. I powiedz, do czego doszłaś.

Hannah sięgnęła po telefon, nieco niechętnie. Niels zdążył już wcześniej wybrać numer.

- Poczta głosowa.

- Zostaw mu wiadomość.

- Jaką?

Niels spojrzał na nią poirytowany. Kobieta, która przed chwilą w kawiarni skupiała na sobie uwagę całej sali, tryskała pomysłami, przedstawiała obliczenia i dowody, nagle zachowywała się jak amatorka nie potrafiąca sklecić jednego sensownego zdania. Znów była pogrążonym w smutku człowiekiem, który jak najszybciej pragnie wrócić do swojej twierdzy, do swoich teorii i swojej żałoby.

- Powiedz mu, że z twoich obliczeń wynika, że dzisiaj po południu, o zachodzie słońca, w Kopenhadze albo w Wenecji zostanie popełnione kolejne morderstwo.

- *Bonjour*, Di Barbara - powiedziała Hannah do telefonu.

Jej dawno nieużywany francuski brzmiał niepewnie.

Równie niepewnie, jak w tej chwili czuł się Niels, jadąc pod prąd jednokierunkową ulicą. Wyminął w mało elegancki sposób śmieciarkę i rowerzystę, który, nie kryjąc swojego oburzenia, mocno uderzył ręką w dach samochodu. Hannah podskoczyła. W Kopenhadze rowerzyści byli największymi przeciwnikami kierowców samochodów. Jak na ironię,

większość występowała w obu rolach.

- Powiedz mu, że wyślesz mu SMS ze współrzędnymi i żeby odnalazł miejsce na GPS-ie.

Hannah znów przeszła na francuski.

Niels słuchał. Mimo że Hannah od czasu do czasu robiła przerwy między zdaniami, nigdy francuski nie brzmiał piękniej w jego uszach, jak gdy wychodził z jej ust.

57

Wenecja

Odgłos silnika motorówki, prującej przez mętną wodę kanału, zagłuszył dzwonek telefonu. W październiku Tommaso był zmuszony oddać go do naprawy, dopiero niedawno go odebrał. Napawał się więc jego dźwiękiem. Yamaha pracowała bez zastrzeżeń, żadnego dudnienia, żadnych dziwnych odgłosów. Promień słońca musnął powierzchnię laguny, obiecując lepsze czasy. Tommaso zerknął na jamnika, leżącego niespokojnie na zwoju przegnilej liny. Pies należał do jego matki, Tommaso zamierzał właśnie oddać go do pensjonatu dla psów.

- Cierpisz na chorobę morską? - zwrócił się do psa, próbując zdobyć się na uśmiech.

Pies spojrzał na niego nieszczęśliwy, jakby wiedział, co Tommaso zamierza.

Po chwili ukazała się przed nimi wyspa. Santa Maria di Nazareth albo Lazaret, jak niektórzy ją nazywali. Kiedyś przewożono na nią chorych na cholere. Każdy, kto czterysta lat temu, kiedy zaraza dziesiątkowała ludność na kontynencie, przybywał do tego miasta nad Adriatykiem, musiał poddać się czterdziestodniowej kwarantannie na wyspie. *Quaranta*. Po włosku czterdzieści. Stąd właśnie określenie kwarantanna. Tych czterdzieści dni miało dać pewność, że na naszym ciele nie pokażą się nagle wrzody. Czterdzieści dni, podczas których nikt nie miał pewności, czy może właśnie ta wyspa nie okaże się ostatnim miejscem jego pobytu na Ziemi.

Być może także pod wpływem takich właśnie myśli Tommaso uznał, że nękające go przeziębienie ostatnio jakby się nasiliło.

- Pewnie złapałem świńską grypę - wymamrotał pod nosem i zwolnił.

Zauważył, że ma problemy z oddychaniem. Zamknął oczy i chwilę rozkoszował się

słońcem. Gdyby nie został zawieszony, byłoby teraz na dworcu razem z innymi policjantami. Przyjazd do miasta delegacji polityków i ministra sprawiedliwości był dużym wydarzeniem. Commissario Morante wymagał, żeby wszyscy stawili się w komplecie. Tommaso był zadowolony, że jego to już nie dotyczy.

Domy nad laguną były krzywe. Nasiąknięta wodą ziemia podmywała fundamenty, które zaczynały się rozpadać. Rdza z żeliwnych krat okiennych spływała strużkami po murach. Kiedy zaraza minęła, wyspa przez jakiś czas służyła jako więzienie dla umysłowo chorych, teraz urządzono tu psi pensjonat. Zwożono tu także dziczące psy ze stałego ładu. Wiele z nich usypiano, niektóre czekały na nowych właścicieli.

Kilka metrów od przystani Tommaso zwolnił. Dopiero teraz usłyszał dzwonek telefonu. Dziesięć nieodebranych połączeń. Jedno z Danii. Od Nielsa Bentzona. I dziewięć z hospicjum. Nie wróżyło to niczego dobrego.

58

Kopenhaga

Save the planet. Apocalypse if we don't act now. We demand action.

Niels i Hannah siedzieli w samochodzie i przyglądali się demonstrantom. Niektórzy tańczyli, inni byli wściekli, pomstowali na całą niesprawiedliwość tego świata.

- Jak daleko jeszcze?

- To zależy od środka transportu.

- Ile decylów szerokości i długości?

- Decylów? - Hannah się uśmiechnęła. - Stopnie dzielą się na minuty. I na sekundy. Ile jeszcze...

- Hannah, ile zostało nam jeszcze do pokonania? - przerwał jej Niels.

- Mniej więcej dwa i pół kilometra.

Niels wjechał na chodnik, zatrzymał się, zaciągnął ręczny hamulec i sięgnął po GPS.

- Co ty robisz?

- Pójdziemy na piechotę.

*

Z daleka demonstranci prezentowali się niemal estetycznie. Wijący się ludzki tłum,

szczelnie wypełniający ulicę. Dobrze znany obrazek. Ale z bliska wyglądało to inaczej.

Przedzierali się przez zwarty tłum, czuli jego siłę i podniecenie ludzi. Niels chwycił Hannah mocno za rękę. Wokół unosił się odór alkoholu. Niels spojrzął na kobietę z licznymi kolczykami. Wielkie źrenice. Nieobecne spojrzenie. W takim stanie na pewno nie poczułaby nawet uderzenia policyjnej pałki. Właśnie to umykało ludziom obserwującym wydarzenia na swoich plazmowych ekranach. Demonstrująca młodzież często była naćpana. Żeby obezwładnić napranego koleśka, odurzonego mieszanką piwa i prochów, trzeba było czasem siły nawet trzech funkcjonariuszy. Naćpani młodzi nie reagowali na ból.

Gdzie była Hannah? Przed chwilą trzymał ją za rękę, a teraz zniknęła. Zaczął się rozglądać. Ubrany na czarno tłum. Ktoś wybijał rytm na bębnie. Nagle znów ją zobaczył. Widział, że jest przestraszona. Jakiś pijak, o dziesięć lat za stary na tę demonstrację, objął ją ręką i chciał z nią tańczyć. Jakby to był karnawał.

- Niels!

Przedzierając się przez tłum, zaczął się cofać.

- Hej!

Młody chłopak chwycił Nielsa za rękaw.

- Znam cię! Jesteś gliniarzem! Psy! - zawołał.

Zamierzał powtórzyć to głośniejsze, ale Nielsowi udało się go odepchnąć. Chłopak stracił równowagę i upadł na ziemię, lekko jak piórko. Niels zdążył chwycić Hannah, zanim ludzie wokół niego zdążyli się zorientować, o co chodzi.

Trzymał mocno jej dłoń. Mimo chłodu była gorąca.

- Nic ci nie jest?

- Chodźmy stąd.

- Już idziemy - powiedział Niels.

Obejrzał się do tyłu. Młody chłopak zdążył się pozbierać i wstać. Dojrzał go.

- Glina! - zawołał, ale jego głos zagłuszyło bicie bębna.

*

Kopenhaga stała się miastem gniewu. Nawet na żółtym murze, otaczającym cmentarz Assistens Kirkegård ludzie dawali wyraz swoim frustracjom. *Fuck* było najwyraźniej tym słowem, które najlepiej oddawało egzystencjonalny kryzys miasta. „Ziemia nosi twój ślad”, głosił napis nad wejściem na cmentarz. Czerwony neon, ładne lekko pochylone litery. Kolejne przesłanie szczytu klimatycznego? A może prosta prawda grabarza: Dając się pogrzebać, zostawiamy swój ślad na Ziemi.

Weszli przez bramę. Potrzebowali chwili, żeby uspokoić oddech.

- Przejdziemy tędy, dobrze? - zaproponował Niels.

Hannah spoglądała na cmentarz, a potem znów na demonstrantów, jakby się zastanawiała, czy nie powinna tam wrócić.

- To była ucieczka. Coś się stało?

- Nie, oczywiście, że nie.

Miał ochotę znów chwycić ją za rękę. Ich dłonie pasowały do siebie.

- Co mówi nam GPS?

Wyjęła urządzenie z kieszeni.

- Bateria słaba.

- Idziemy.

Niels dotknął dłonią jej łokcia. Drgnęła, jakby chciała, żeby ją objął. Nagle, pewnie nieco za późno, pomyślał, że może właśnie tu leży jej syn.

*

Kilka lat temu Kathrine zaciągnęła go tu kiedyś na nocny spacer. Wszystko było zorganizowane, ludzie mieli pochodnie, dwoje pastorów, mężczyzna i kobieta, opowiadało historię cmentarza. Angielska zaraza. Zapamiętał to dziwne określenie. Chodziło o jakiś wirus, który trzysta lat temu zabił kilka tysięcy mieszkańców Kopenhagi. Tak wielu, że trzeba było wyznaczyć teren pod nowy kościół. Potem zaczęto grzebać tu różnych znanych ludzi.

- Co mówi GPS? - spytał nagle.

- Prosto.

Hannah wyraźniej źle się tu czuła.

Śnieg pokrył cmentarz jednolitą białą warstwą, spod której gdzieniegdzie wystawały ciemne kamienie nagrobne. Cmentarz wyglądał jak szachownica. Czerń i biel. Mniejsze kamienie mogłyby być pionkami. Nagrobki dawno zapomnianych grobów. Wiatr i mech zrobiły swoje, zacierając wszelkie ślady imion na kamieniach. Wysoko nad nimi górowali królowie: Hans Christian Andersen, Søren Kierkegaard i Niels Bohr. Wokół nich gońcy i wieże: nagrobki aktorów i urzędników państwowych, kiedyś znanych, dzisiaj dawno już zapomnianych. Byli też i tacy, którzy swoim odejściem z tego świata zyskali nieśmiertelność. Jak młoda wdowa, która kilkaset lat temu została pochowana tu żywcem. Niels doskonale pamiętał historię, którą podczas wędrówki po cmentarzu opowiedziała im kobieta pastor. W dawnych czasach często się zdarzało, że grabarze, którzy za dnia chowali ludzi, wracali w nocy i okradali groby. Kiedy jeden z grabarzy otworzył trumnę z ciałem młodej kobiety, ona nagle usiadła.

- Zabierzcie mnie z tego straszego miejsca! - zawołała.

Grabarz zdzielił ją łopata w głowę, zabrał jej biżuterię i ponownie zasypał grób ziemią. Wiele lat później, gdy sam już był na łożu śmierci, przyznał się do morderstwa. Kiedy w czasach współczesnych odkopano trumnę, znaleziono w niej kobietę w straszliwie wykręconej pozycji, bez biżuterii, z wyraźnymi obrażeniami na ciele. Jej grób jest obecnie odwiedzany równie często, jak grób Andersena.

*

Kiedy wyszli z cmentarza i znów znaleźli się na ulicy, Hannah odetchnęła z wyraźną ulgą. Przecięli Nørrebrogade i ruszyli przed siebie Møllegade. Minęli Dom Literatury i muzeum mański cmentarz. Śnieg trzeszczał im pod nogami, powietrze było lodowato zimne. Szli w milczeniu. Hannah zerkała na GPS. Nagle się zatrzymała.

- Tutaj!

- Tutaj? - spytał Niels.

Rozejrzał się dookoła. Nie potrafił powiedzieć, czego się spodziewał, ale na pewno nie walącego się domu spółdzielni mieszkaniowej, przed którym stojące obok siebie dwa dziecięce wózki i rower tarasowały cały chodnik.

- Jesteś pewna?

Hannah zerknęła ponownie na GPS, zawahała się.

- Prawie - odpowiedziała. - Bateria jest słaba.

- Ale to tutaj?

- Tak, chociaż do końca pewności nie mam. Tutaj, może kilka metrów dalej.

Niels przeszedł kilka metrów w jedną stronę, potem w drugą. Kiedyś obok budynku spółdzielni mieszkaniowej stały inne domy, ale dawno już zostały zburzone. Pobliski plac zabaw stanowił żalostny widok.

- Sama nie wiem - powiedziała Hannah niepewnie.

- Czego nie wiesz?

- Nie mam do końca pewności. Może nie kilka metrów, tylko kilkaset... Gdybym miała więcej czasu.

- Niemożliwe, żeby to było tutaj.

- A czego się spodziewałaś?

- Nie wiem - wyznał Niels, kręcąc głową. - Może jakiegoś fanatyka religijnego.

Załóżmy jednak, że twoje obliczenia są prawdziwe. Kto mógłby wpaść na taki pomysł?

- Dlaczego nie szukasz ofiary?

Niels wzruszył ramionami.

- Ofiarą może być ktokolwiek. Nawet przypadkowy przechodzień.

Zaczął studiować listę lokatorów.

- Zastanów się, Niels. System opiera się na matematycznej precyzji - przekonywała Hannah i się uśmiechnęła.

- Do czego zmierzasz?

- Powiedziałaabym, że jest to swoisty fenomen.

- Fenomen?

Niels nie podzielał zapału Hannah do teoretyzowania. Postanowił skontaktować się z Casperem.

- Casper? To ja, Niels Bentzon. Mam kilka nazwisk. Mógłbyś je dla mnie sprawdzić?

Hannah przysłuchiwała się zdziwiona, kiedy zaczął odczytywać kolejne nazwiska z listy. Carl Petersen, drugie piętro, Lisa O. Jensen, drugie piętro. Nagle drzwi się otworzyły. Niels zrobił krok do tyłu. Starszy mężczyzna zatrzymał się i podejrzliwie się im przyglądał.

- Co tu robicie?

- Policja kopenhaska - powiedział Niels. Nie miał czasu sięgnąć po legitymację.

Mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Niels nie dopuścił go do głosu.

- Proszę się nie niepokoić.

Starszy mężczyzna wyszedł i zaczął iść ulicą, co chwilę oglądając się do tyłu. Niels słyszał w słuchawce, jak Casper stuka w klawisze.

- Chyba coś mam - powiedział nagle.

- Tak?

- Carl Petersen, drugie piętro.

- Co z nim?

- W 1972 roku zgwałcił i udusił dziewczynkę. Pogrzebał ją przy Damhussøen. Został zwolniony w 1993 roku. Urodzony w 1951 roku.

59

Ospedale Fatebenefratelli, Wenecja

Tommaso przycumował łódź z jamnikiem na pokładzie tuż obok łodzi pogotowia, która kołysała się spokojnie na falach w zadaszonym miejscu na przystani. Podpłynęli pod samą bramę hospicjum. Jamnik merdał ogonem i poszczekiwał radośnie wyraźnie

zadowolony, że psi pensjonat został daleko w tyle. Tommaso wyskoczył na śliskie marmurowe stopnie i zaczął biec. Jakby to mogło cokolwiek zmienić. Matka nie żyła. Dowiedział się tego przez telefon. Tuż po tym, jak dopłynął do Lazaretu. Od wielu miesięcy próbował pogodzić się z tą myślą, ale i tak czuł wyrzuty sumienia. Powinien być przy niej.

Najstarszy z mnichów siedział w jej pokoju, ale nie przy samym łóżku, tylko przy oknie, pochylony nad różańcem. Teraz uniósł głowę i spojrzał na Tommasa. Czyżby czynił mu wyrzuty? Tommaso nie przepadał za nim. Nie był równie serdeczny i wybaczący jak siostra Magdalena.

- Dobrze, że pan przyszedł - powiedział zakonnik.

Tommaso obszedł dookoła łóżko. Matka wyglądała jak zawsze.

- Kiedy to się stało?

- Mniej więcej godzinę temu.

- Była sama?

- Siostra Magdalena była u niej przed wyjściem do domu. Kiedy następnym razem tu zajrzeliśmy...

Zakonnik zamilkł, ale w zasadzie powiedział już wszystko. Pani Di Barbara umarła sama.

Tommaso poczuł w oczach łzy. Zaskoczyło go to. Spodziewał się, że raczej odczuje ulgę. Ale tak się nie stało. Dłuższą chwilę szlochał bezgłośnie, w końcu zaczerpnął łapczywie powietrza i dał upust bólowi. Zakonnik podszedł do niego, położył rękę na jego prawym ramieniu. Tommaso poczuł się nieco lepiej.

- Żałuję, że mnie przy niej nie było - wydukał.

- Po prostu zasnęła. Nie ma lepszej śmierci.

Nie ma lepszej śmierci. Słowa kołatały w głowie Tommasa, próbował zrozumieć ich sens.

- Nie ma lepszej śmierci - powtórzył zakonnik.

- Tak.

Tommaso chwycił rękę matki. Była zimna. Drobne kostki, które całe życie pracowały, były ściśnięte w piąstkę. Nagle z jej dłoni wyleciała moneta. Dziesięć centów. Błyszcząca moneta leżała teraz obok niej na kołdrze. Tommaso spojrzał zdziwiony na mnicha. On też zauważył monetę. Tommaso rozwarł ostrożnie dłoń matki. Były w niej jeszcze dwie monety: pięćdziesięciocentowa i dwudziestocentowa.

- Dlaczego trzyma w dłoni pieniądze?

Zakonnik wzruszył ramionami.

- Zapytam siostrę Magdalenę. Dzwoniliśmy już do niej. Jestem pewien, że wkrótce tu będzie.

Tommaso trzymał w dłoni trzy monety, nie bardzo wiedząc, co ma z nimi zrobić. Nieoczekiwane zdarzenie jakby nieco złagodziło jego żal. Dlaczego matka trzymała w dłoni osiemdziesiąt centów? - zastanawiał się. Włożył pieniądze do kieszeni, chwycił jej rękę, położył na kołdrze obok drugiej dłoni.

60

Nørrebro, Kopenhaga

Zanim Niels zapukał do drzwi, postawił kołnierz Hannah.

- Teraz wyglądam jak policjant? - spytała.

- Pozwól mi mówić. - Uśmiechnął się.

Zapukał. Na drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem. Imię i nazwisko lokatora było napisane tuszem bezpośrednio na drzwiach. Z wewnątrz dochodził ich hałas, ale drzwi pozostały zamknięte. Niels rozpiął kurtkę, żeby mieć łatwiejszy dostęp do broni.

- Policja kopenhaska! Otwierać!

Uderzył ręką w drzwi, tym razem mocno. Hannah sprawiała wrażenie przestraszonej. Nie powinno jej tu być, pomyślał. Zachował się nieprofesjonalnie. Powinien od razu odesłać ją z powrotem do samochodu.

- Carl Petersen?

- Co znów zrobiłem?

Niels pokazał mu legitymację. Mężczyzna przyglądał się jej dokładnie. Zdjęcie Nielsa było sprzed kilku lat.

- Możemy wejść?

Carl zerknął przez ramię. Jakby - zanim wpuści tu kogoś obcego - jeszcze raz chciał rzucić okiem na swój żaloszny dobytek. W końcu wzruszył ramionami, otworzył szeroko drzwi. Sami są sobie winni, pomyślał.

- Wchodźcie szybko, żeby ptaki nie puciekwały.

*

Smród w mieszkaniu był nie do wytrzymania. Woń psującego się jedzenia, smród

uryny, zwierząt, rozkładu. Dwa pokoje i kuchnia. Z jakiegoś powodu w obu niewielkich pomieszczeniach stało duże podwójne łóżko.

- Mieszka pan sam?

- A kto, do diabła, chciałby mieszkać razem ze mną? Przecież jestem mordercą.

Hannah spojrzała zdziwiona na mężczyznę.

- Udajesz zdziwioną? Przecież dlatego tu jesteście. Zawsze przychodzicie, kiedy w okolicy zgwałcono jakąś kobietę, i nie macie żadnych śladów. O kogo tym razem chodzi?

Niels zignorował go i poszedł do kuchni. Z pokoju doszło go pytanie Carla.

- Kogo niby miałbym tym razem zgwałcić? Powiedźcie mi! Odpokutowałem swoje.

Na drzwiach lodówki wisiały wycinki z gazet. Fragmenty artykułów z darmowych lokalnych gazetek, pełne nienawiści do imigrantów. „Dwadzieścia tysięcy polskich rzemieślników pracuje w Danii”, „Dzieci dwujęzyczne radzą sobie w szkole gorzej od dzieci duńskich”, „Co druga muzułmanka pozostaje bez pracy”. Na środku drzwi duże zdjęcie uśmiechniętej Pii Kjærsgaard: „Potrzebujemy twojego głosu”. Niels oderwał wzrok od wystawki na drzwiach lodówki i spojrzał na Carla. Nienawiść jest towarem, pomyślał. Można sprzedać własną nienawiść i dostać coś w zamian. Carl sprzedał swoją nienawiść kobiecie, której zdjęcie wisiało na drzwiach lodówki. Chociaż w jego przypadku była to głównie nienawiść do własnej osoby.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał Carl.

Jego słowa utonęły w ataku kaszlu.

- Bronchit - udało mu się wyszeptać, zanim kolejny atak kaszlu wyżył jego płuca jak ścierkę.

Głęboka miska z błękitnej porcelany służyła mu za spluwaczkę. Może kiedyś trzymał w niej szampana? - zastanawiała się Hannah i zerknęła do środka. Nie powinna była tego robić. Poczula mdłości. Szybko podeszła do okna i już miała je otworzyć, kiedy usłyszała krzyk Carla.

- Nie!

Patrzył na nią przerażony.

- Wypuściłem ptaki - powiedział, wskazując na pustą klatkę.

Dwa kanarki śledziły jego ruchy z wysokiego regału, na którym stało głównie szkło. Dopiero teraz Hannah zauważyła ślady po ptasich odchodach. Niewielkie, okrągłe białe i szare plamki, nie większe od starych monet były niemal wszędzie.

- Powiecie mi w końcu o co, kurna, chodzi?

Hannah próbowała pochwycić wzrok Nielsa. To na pewno nie on. Niemożliwe, żeby

to był on, chciała mu przekazać. W tym momencie zza okna dobiegł ich hałas śmigłowca. Potężny sikorski leciał tuż nad dachami.

- Cholerne śmigłowce. Dzień i noc tu lądują - zdążył wymamrotać Carl, zanim Niels i Hannah niemal jednocześnie wyszli do kuchni, żeby z wychodzącego na południowy zachód okna śledzić śmigłowiec, który właśnie schodził do lądowania. Gdzieś z tyłu słyszeli, jak Carl znów narzeka.

- Od kiedy zbudowali lądowisko na dachu szpitala, nie przespałem ani jednej nocy.

Hannah i Niels spojrzeli na siebie.

- Szpital Krajowy - powiedziała Hannah pierwsza.

61

Ospedale Fatebenefratelli, Wenecja

Tommaso Di Barbara oparł się o mur. Słońce już zniknęło. Stał sam na balkonie hospicjum, ale przed nim było tu wielu innych palaczy. Na białym plastikowym stoliku stały dwie popielniczki z biblijnymi motywami, obie przepełnione. Stanowiły też namacalny dowód na poziom opadów w grudniu w Wenecji. Niedopałki pływały bowiem w wodzie sięgającej brzegu popielniczek.

Tommaso zrobił sobie krótką przerwę. Zakonnik obiecał ponownie skontaktować się z siostrą Magdaleną. Kolejne pół godziny spędzili, siedząc w milczeniu obok siebie. Nagle Tommaso przypomniał sobie o psie. Zakonnik obiecał zajrzeć do niego. Nalegał, ponieważ uważał, że Tommaso potrzebuje chwili samotności.

- Kiedy człowiek spotyka śmierć, potrzebuje spędzić trochę czasu sam ze sobą, zanim znów stawi czoło światu.

Rodzina. Do kogo powinien zadzwonić? Do ciotek, do wujów. Do młodszej siostry matki, która ani razu jej tu nie odwiedziła. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Zauważył, że ma wiadomość, ale nie zdążył jej odsłuchać.

- Przykro mi z powodu pańskiej matki, panie Di Barbara.

Tommaso wzdrygnął się zaskoczony, mimo że głos był cichy i łagodny. Zdawał się docierać do niego gdzieś z oddali, chociaż pan Salvatore stał tuż obok niego. Tommaso dobrze go znał. Mężczyzna był właścicielem kilku straganów z pamiątkami na placu

Świętego Marka. Był młodszy od jego matki, ale nagle okazało się, że jest śmiertelnie chory, podobnie jak ona.

- Pańska matka. Tak mi przykro.

Spod szlafroka wystawała goła noga mężczyzny. Żyłaki, siwe włosy.

- Dziękuję.

- Poczęstuje mnie pan papierosem?

W pierwszej chwili Tommaso uznał to za kiepski pomysł, zaraz jednak pomyślał, że życie pana Salvatore i tak dobiegało już kresu. Poczęstował go papierosem.

- Dziękuję.

Palili w milczeniu. Tommaso postanowił, że zadzwoni do siostry matki i przerzuci na nią swoje wyrzuty sumienia. Przypomnił sobie też, że powinien odsłuchać wiadomość z Danii. Wybrał numer poczty głosowej.

- Rozmawiałem kiedyś z pańską matką, panie Di Barbara.

- Dziękuję.

Tommaso słuchał nagranej wiadomości.

- „Mówi Hannah. Dzwonię w imieniu Nielsa Bentzona. Z duńskiej policji. Chodzi o...”.

Coś po francusku, czego nie potrafił zrozumieć.

- Znałem też pańskiego ojca.

- Chwileczkę.

Tommaso wstał i odszedł nieco na bok.

- „Usunęłam oceany, wszelką wodę. Trudno mi to wszystko wyjaśnić przez telefon, ale mam nadzieję, że pan rozumie”.

- Pański ojciec wcale nie był taki głupi.

Tommaso spojrzał zmieszany na starszego pana. O czym o mówił?

W telefonie Hannah walczyła ze swoim dość ograniczonym francuskim słownictwem, co nieco komplikowało sprawę.

- „Kiedy usunęłam wodę, ułożyłam kontynenty tak, jak leżały kiedyś, u zarania dziejów...”

- Po wojnie takie poglądy nie cieszyły się popularnością.

Tommaso próbował zignorować pana Salvatore. Starał się zrozumieć Hannah.

- „Proszę spojrzeć na mapę świata. Wystarczy odciąć wodę. Wtedy natychmiast wszystko staje się jasne. Trzeba zebrać kontynenty wokół bieguna południowego”.

- Ale dzisiaj znów możemy o tym głośno mówić. Benito też nie był taki głupi... -

Tommaso zastanawiał się chwilę, o kim mężczyzna mówi? Jego ojciec nie miał na imię Benito.

Starszy pan odczekał chwilę i dokończył ze źle skrywaną satysfakcją.

- *Il duce*.

W słuchawce Hannah kończyła swój wywód.

- „To są współrzędne Kopenhagi i Wenecji. Chodzi o następne morderstwo. Prześle dane SMS-em. *Au revoir*”.

*

Tommaso przebiegł obok gabinetu. Wiele pielęgniarek chciało wyrazić mu swoje współczucie.

- Dziękuję. Dziękuję wszystkim za troskę i opiekę - rzucił i pobiegł dalej.

Był pewien, że to gdzieś w pobliżu. Biblioteka. Zajrzał tam, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Trzy miesiące temu. Wkrótce potem przywiózł tu matkę. Podczas pierwszej wizyty siostry oprowadziły go po całym hospicjum, chociaż Tommaso był świadom, że matka nigdy nie opuści swojego łóżka.

Zapach chloru. Nagle znalazł się nad basenem, który służył do rehabilitacji chorych. To nie było to miejsce.

- Przepraszam, gdzie jest biblioteka?

Fizjoterapeuta podniósł głowę, popatrzył na niego. Obiema rękami podtrzymywał chorego, który wpatrywał się w sufit.

- Biblioteka? Ma pan na myśli czytelnię?

- Tak.

- Pierwsze piętro. W drugim skrzydle.

Tommaso znów ruszył biegiem. W uszach dźwięczały mu dziwne słowa Dunki. Próbował doszukać się w nich jakiegoś sensu. Zbiegł po schodach, minął oddział, gdzie wyjątkowo nie unosił się zapach śmierci, a jedynie choroby.

Czytelnia leżała w części hospicjum, która pozostała nietknięta od czasów, gdy budynek funkcjonował wyłącznie jako klasztor. Wewnątrz była tylko jedna osoba. Starsza kobieta, która niczego nie czytała, tylko siedziała, ściskając bojaźliwie swoją torebkę, jakby Tommaso zamierzał jej ją zabrać.

- *Ciao*.

Podszedł do półek. Zakurzone tomy. Beletrystyka. Lektury dla chorych. Dzisiaj zapewne woleli oglądać telewizję. Gdzieś tu musiał też być atlas świata.

Spojrzał na starszą panią.

- Może mi pani pomóc?

Kobieta najpierw wydawała się zaskoczona. Potem jednak jej twarz się rozpromieniła.

- Chętnie.

- Musimy znaleźć atlas. Może pani zacząć szukać od tamtego końca...

Miłe zakłócenie codziennej monotonii. Kobieta odstawiła torebkę i niemal rzuciła się wypełnić powierzone jej zadanie. Tommaso przelatywał wzrokiem tytuły. Dlaczego było tu tak wiele książek kucharskich? W hospicjum nie były chyba zbyt przydatne.

- Mam - powiedziała starsza kobieta.

Stała i trzymała w ręku książkę dla dzieci.

- Dziękuję. I dziękuję za pomoc.

W środku była kolorowa mapa świata. Tommaso spojrzał na kobietę. Szybkim ruchem wydarł z książki środkowe strony i zobaczył, jak nagle uśmiech znika z jej twarzy.

62

Szpital Krajowy, Kopenhaga

Bezpośrednie przełożenie wiedzy teoretycznej na praktyczne działanie było dla Hannah całkowicie nowym doświadczeniem. Była przyzwyczajona latami dyskutować z kolegami na temat różnych teorii. Gdy w końcu dochodzili do konkluzji, zaczynali szukać dowodów, nie mając bynajmniej pewności, że znajdą je za swojego życia. Angielski fizyk, Peter Higgs, mógł uważać się za szczęściarza. W 1964 roku wysunął teorię dotyczącą cząstek podstawowych. Dowodów na jej poparcie poszukiwano teraz gorliwie w specjalnie do tego celu stworzonym dwadzieścia siedem kilometrów długim podziemnym tunelu, gdzieś w Szwajcarii. Higgs miał osiemdziesiąt lat. Jeśli naukowcom uda się znaleźć dowody na istnienie czegoś, co opisał czterdzieści lat temu, będzie to dla niego ogromną satysfakcją. Jego teoria zostanie wsparta konkretnymi dowodami.

Hannah była w podobnej sytuacji.

Przyglądała się ludziom w holu szpitala. Mężczyznom i kobietom w białych fartuchach. Udało jej się odkryć wzór, według którego dokonywano morderstw. Wymagało to niezwyklej geograficznej precyzji. Obliczyła współrzędne, nie mając pojęcia, że określają one położenie największego szpitala w kraju.

Niels obszedł hol i wrócił do niej.

- Oczywiście, oczywiście - powtarzał.

Hannah nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć. Źle się tu czuła. Wyjęła GPS. Może jednak coś błędnie odczytała? Włączyła urządzenie.

- Bateria znów działa?

- To się okaże.

Urządzenie zaczęło pracować. Małeńki komputer odebrał sygnał z satelity krążącego bez chwili wytchnienia wokół naszej planety.

- I co? - dopytywał się Niels zniecierpliwiony.

- Wszystko się zgadza. To tutaj.

Spojrzała na niego bezradnie. Niels pokręcił głową.

- Lekarze. Akuszerki.

- Naukowcy, laboranci, chirurdzy - ciągnęła Hannah dalej. - Wszyscy oni ratują życie.

I pewnie wszyscy zasługują na miano dobrych ludzi.

- Możesz określić to miejsce bardziej dokładnie? - poprosił Niels.

- Nie. A czas ucieka.

Niels zaklął pod nosem i znów zaczął spacerować po holu. Nagle uzmysłowił sobie, że gdyby nie jego przeklęty lęk przed podróżowaniem, pewnie siedziałby teraz nad basenem. Popijałby drinka, może nawet upiłby się, i miałby w nosie wszystkie dziwne sprawy. Zamiast tego stał teraz w szpitalnym holu, zerkając w stronę szpitalnej stołówki. Setki ludzi w białych fartuchach. Biel, symbol dobra. Najbardziej zaufani żołnierze Hitlera preferowali czerni. Lekarze zawsze chodzili w bieli.

Nagle poczuł w swojej dłoni rękę Hannah. Rozumiała go.

- Jest ich tak dużo.

- Tak - zgodził się. - Za dużo.

Recepcja. Szpital Krajowy

Recepcjonista nie podniósł głowy znad komputera. Może uznał pytanie za żart? Ilu ludzi tu pracuje?

- Tego typu ogólne pytania należy kierować do działu prasowego.

- Spytałem, ile osób jest tu zatrudnionych? - powtórzył Niels, pokazując mu swoją legitymację.

- No więc...

- Łącznie. Lekarzy, pielęgniarek, portierów, sprzątaczek.

- Przyszedł pan odwiedzić pacjenta?

- Pacjentów i ich rodziny też należy uwzględnić. Spytam inaczej: Jak pan sądzi, ile osób znajduje się w tej chwili na terenie szpitala?

Recepcjonista patrzył bezradnie na Nielsa. Hannah pociągnęła go za rękaw.

- Niels.

- Ilu z nich jest w wieku od czterdziestu czterech do pięćdziesięciu lat?

- Niels, to bez sensu.

- Dlaczego?

Hannah spojrzała przepaszająco na recepcjonistę, który tylko wzruszył ramionami.

- Niels.

- To na pewno można obliczyć! Dzisiaj wszystko się rejestruje. Co za problem dowiedzieć się, kto z zatrudnionych tu ludzi jest w interesującym nas wieku i właśnie przebywa na terenie szpitala.

- I co dalej?

- Spróbujemy dojść, kto z nich najbardziej zasługuje na miano dobrego i sprawiedliwego. Możemy zapobiec morderstwu. Dlatego do mnie zadzwoniłaś, prawda?

- Sama nie wiem... Chyba jednak przesadzasz.

- Dlaczego? Spójrz na wcześniejsze ofiary. Pediatrzy, księża, prawnicy, nauczyciele. Większość z nich miała kontakt z ludźmi. Pomagała ludziom.

Hannah westchnęła ciężko. Podobnie jak wcześniej Niels, pomyślała, co mogłaby teraz robić. Pójść nad morze. Siedzieć w fotelu. Palić papierosa, popijając kawę. Miała własny świat.

W szklanej gablocie stał model szpitala. Niels oparł się o nią obiema rękami i przyglądał się budynkowi. Pocił się. Jego palce zostawiały ślady na szkle. Hannah podeszła do niego, stanęła obok. W milczeniu przyglądali się miniaturowemu modelowi budynku, w którym się znajdowali. Główny gmach szpitala miał szesnaście pięter. Jego stara część natomiast była rozrzucona po dużym terenie, wystarczająco dużym, żeby pomieścić niewielkie miasteczko.

- Masz rację - powiedział nagle Niels, zerkając na Hannah. - Zrobimy to inaczej.

Lorteøen. Gówniana Wyspa. Niels nie znosił tego określenia. Przy autostradzie stało dwóch demonstrantów z plakatem, na którym nieporęcznym pismem napisane było: „Witamy na Gównianej Wyspie, na której zebrali się wszyscy gówniani przywódcy świata”. Hannah też ich zauważyła, ale się nie odezwała. Jeden z młodych mężczyzn miał zaśnieżoną brodę. Wygląda jak szaleniec i pewnie nim jest, pomyślał Niels. Tego typu zdarzenia łatwo stawały się pożywką dla spiskowych teorii, były impulsem dla paranoików wieszczących apokalipsę. Najwięksi przywódcy świata zebrani w jednym miejscu. Na dodatek w miejscu, w którym mieszkańcy Kopenhagi kiedyś składowali swoje śmieci. Symbolika była aż nadto wyraźna. Później dawne bagno osuszono, pokryto warstwą asfaltu, po czym wzniesiono tu budowle przypominające wizje przyszłości z francuskich filmów science fiction z lat sześćdziesiątych. Jednolite białe bloki i tory automatycznej kolejki. Klinicznie prosta architektura sprzed czterdziestu lat, gdy naprawdę wierzono, że w przyszłości kolektyw zwycięży nad indywidualizmem. Kiedy nikt nie przypuszczał, że za czterdzieści lat świat zamieni się w termostat, którym będzie można regulować temperaturę na Ziemi, podwyższać ją albo obniżać, częściej jednak podwyższać.

Kolejni demonstranci brnęli przez śnieg w stronę centrum kongresowego.

- Wariatkowo otworzyło dzisiaj swoje bramy - wymamrotał Niels pod nosem.

Hannah zaśmiała się nieco wymuszenie.

- Jesteś pewien, że muszę przy tym być?

- Tak. Musisz im to wytłumaczyć.

Hannah wyrzała przez okno. Żałowała, że się na to zgodziła. Wiedziała, że nie jest w stanie nikomu niczego wytłumaczyć.

*

Bella Center. Piękna nazwa dla budynku z szarego betonu, wzniesionego na możliwie najbardziej płaskim terenie w całej Europie. Niels zaparkował samochód kawałek od centrum kongresowego. W trakcie szczytu niedaleko centrum nie obowiązywało duńskie prawo, chwilowo cały teren podlegał ONZ-etowi. Inaczej światowi despoty nie mogliby się tu pojawić. Przywódcy krajów, którzy zgodnie z europejskim prawem powinni odpowiadać za liczne zbrodnie przeciwko ludzkości. A jednak się zjawiali. Mugabe. Ahmadineżad i reszta tej bandy. A wszystko po to, żeby światowy grzejnik wydzieliał o jeden stopień mniej ciepła. Wzruszające.

- Sommersted? - spytał Niels jednego z policjantów.

- Gdzieś tu jest. Ale teraz jest tam istny kocioł. Przyjechał Obama.

Niels uśmiechnął się i poklepał go po plecach. Policjant pokręcił głową.

- Sam już nie wiem, kto tu rządzi, my czy Secret Service. Dają prawdziwy show.

Show, pomyślał Niels. Sam by tego lepiej nie określił.

Trzymetrowej wysokości siatka odgradzała centrum od demonstrantów. Kiedy tak stali po jej drugiej stronie, wyglądali jak ludzie uciekający przed radziecką rewolucją: ubrani na czarno, zmarznięci i całkowicie niegroźni. Na czas pobytu Obamy tych potencjalnie najgroźniejszych na wszelki wypadek wsadzono za kratki. Tych, którzy mogliby chcieć sforsować ogrodzenie.

*

Sommersted stał przed kamerami. Uśmiechnięty i rozluźniony odpowiadał na grad pytań zadawanych mu przez dziennikarzy. Dlaczego demonstranci musieli tak długo siedzieć na asfalcie? Dlaczego policja była tak kiepsko przygotowana? Skoro demonstranci trafili do szpitala, policja zapewne była brutalna.

Patrząc na twarz szefa policji, można było odnieść wrażenie, że im więcej oskarżeń padało, tym szerzej się uśmiechał. W końcu uniósł do góry ręce, jakby chciał zatrzymać rozpędzonego kierowcę.

- Obecnie w izbie przyjęć jest pięciu poszkodowanych funkcjonariuszy. Trzech ma silny wstrząs mózgu. Jeden ma złamany nos i zmiążdżoną szczękę. Otrzymali cios żelaznym prętem. Oczywiście ubolewam, że kilkoro demonstrantów nabawiło się lekkiego zapalenia pęcherza.

Sommersted zawiesił głos. Teatralna pauza.

Nagle dziennikarze zamienili się w dzieci. Jedynym dorosłym okazał się Sommersted, który stał i uśmiechał się do kamer.

- Policja kopenhaska odpowiada za bezpieczeństwo światowych przywódców podczas ich pobytu w centrum kongresowym. Odpowiadamy też za bezpieczeństwo demonstrantów, mimo że jesteśmy przez nich atakowani. Rzucają w nas kamieniami, wszystkim, co wpadnie im w ręce. Mimo to nasze priorytety pozostają takie, jak przed chwilą powiedziałem. Jeszcze jakieś pytania?

Gwar, dziennikarze zostali pokonani. Mało kto radził sobie z prasą tak dobrze jak Sommersted. Kiedy wybrzmiały ostatnie pytania, Niels zaczął się przedzierać przez otaczający go tłum.

- Sommersted?

Szef spojrział na niego zdziwiony.

- Bentzon? Dobra robota. Mam na myśli Abdula Hadiego.

- Dziękuję.

- Nie powinieneś być na urlopie?

- Wiem, że jesteś zajęty. Będę się streszczał - powiedział Niels i przyciągnął do siebie Hannah.

- To jest Hannah Lund. Jest naukowcem w Instytucie Nielsa Bohra.

Sommersted posłał jej krótkie, nieco zdziwione spojrzenie.

- Nielsa Bohra?

- Byłem naukowcem - wymamrotała Hannah.

Niels zaczął mówić.

- Chodzi o te morderstwa. Pamiętasz? Dobrzy ludzie? Okazało się, że wszystko odbywa się według pewnego wzoru, który nawiązuje do dawnego przekazu.

Niels sam słyszał, jak dziwnie brzmi jego opowieść, urwał. Poczł, że ktoś go pcha. Grupa Chińczyków w garniturach. Najwyraźniej rekompensowali sobie niski wzrost liczebnością.

- Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? Zajmę tylko minutę.

Sommersted się rozejrzył. Poświęcił piętnaście sekund nad rozważenie propozycji Nielsa.

- Mów.

- Dziękuję - powiedział Niels. - Hannah?

Hannah odchrząknęła. Przez pierwszych pięć sekund patrzyła Sommerstedowi w oczy.

- Początkowo sądziliśmy, że odległość między poszczególnymi miejscami wynosi trzy tysiące kilometrów. Ale wszystko okazało się bardziej skomplikowane. Mam na myśli cały system. Bo widzi pan, najpierw nie zgadzały się nam liczby. Ale potem usunęłam wodę, wszystkie oceany i połączyłam wszystkie lądy...

- Wokół bieguna południowego - wszedł jej w słowo Niels.

- Bieguna południowego?

- Tak. Żeby wrócić do stanu sprzed miliarda lat. Mam na myśli superkontynent. Rodinia. Trudno to wszystko wytłumaczyć w ciągu trzydziestu sekund, ale jeśli umieścimy te trzydzieści cztery morderstwa na odpowiednich szerokościach geograficznych, wtedy... - Hannah urwała i spojrzała na Nielsa. - Wtedy powstaną kręgi albo... - Znów urwała.

- Krótko mówiąc, zostały dwa miejsca: Kopenhaga i Wenecja - dokończył za nią Niels.

Milczenie. Sekundy mijały.

- Wenecja?

Sommersted spoglądał to na Nielsa, to na Hannah.

- Wenecja? - powtórzył. - Byliśmy w Wenecji w podróży poślubnej.

Hannah nie odczytała jego sarkazmu.

- Dlaczego pan o tym wspomina? - spytała.

Niels znów przejął prowadzenie rozmowy. Odchrząknął, próbując przekrzyczeć odczytywaną właśnie po angielsku informację.

- Dzisiaj wieczorem - zaczął - a raczej po południu, o zachodzie słońca, czyli tuż przed czwartą...

- O piętnastej czterdzieści osiem - weszła mu w słowo Hannah.

- O piętnastej czterdzieści osiem zostanie popełnione morderstwo. Tutaj albo w Wenecji.

Nagle zauważył, że ludzie zaczynają się im przyglądać. Oczywiście Duńczycy, zapewne dziennikarze. Na szyi mieli zawieszane przepustki prasowe.

- W Wenecji słońce zajdzie za pięć godzin. U nas za trzy. Zostało nam niewiele czasu.

64

Ospedale Fatebenefratelli, biblioteka, Wenecja

Tommaso pamiętał wszystkie miejsca, w których doszło do morderstw. Także tych pierwszych. Tanzania, Peru, Brazylia. Zaznaczył je tuszem na mapie; na tej, którą wyrwał z dziecięcego atlasu. Potem usunął skalpelem wodę. Połączył kontynenty. Rzeczywiście, wszystko się zgadzało.

Zamknął drzwi do biblioteki, ale nadal dochodziły go głosy z korytarza. Przyglądał się wycinance. Świat pocięty na kawałki i złożony na nowo. Na zewnątrz rozległo się żalosne wycie syreny. Minęła chwila, zanim pojął, co zwiastuje. Podszedł do niewielkiego kwadratowego okienka i przyglądał się, jak wenecjanie biegną do swoich domów. Za kilka minut miasto zaleje woda. Jej poziom w kanałach zacznie szybko się podnosić. Spojrzał na zniszczoną mapę: wyciął z niej wszystkie morza. Pomyślał, że woda w lagunie postanowiła się na nim zemścić.

Bzdura.

To był szczyt sezonu powodziowego. Kilka razy w tygodniu mieszkańcy Wenecji musieli wkładać kalosze, barykadować drzwi i uszczelniać wszystkie szpary.

Też powinien wracać do domu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do sąsiada z dołu i poprosić, żeby wszystko pozamykał. I wtedy przypomniał sobie wiadomość, którą nagrała mu Dunka. Ponownie spróbował się do niej dodzwonić. Nie odbierała.

*

Matka Tommasa leżała na łóżku w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Była sama. Poczuli, że boli go głowa. Dokuczał mu też ból pleców. Zatrzymał przechodzącą obok pielęgniarkę.

- Przepraszam, może mi pani podać coś przeciwbólowego?

Pielęgniarka spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Zaraz zawołam lekarza.

Zniknęła. W hospicjum było pusto. Został tylko konieczny personel, no i oczywiście pacjenci. Ludzie wracali pospiesznie do domów, poziom wody szybko się podnosił. Niektórzy chcieli zdążyć na łódź, inni spieszyli ratować swój dobytek.

Po chwili pielęgniarka wróciła.

- Nie znalazłam go - oświadczyła. - Ale powiem mu, jak tylko go zobaczę.

- Dziękuję.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- Przed chwilą rozmawiałam z siostrą Magdaleną.

- Siostra poświęcała dużo czasu mojej matce. Jestem jej za to głęboko wdzięczny.

- Siostra zaraz tu będzie. Jest już w drodze. - Pielęgniarka się uśmiechnęła. -

Postanowiła przyjść tu mimo powodzi. Ma dla pana wiadomość. To podobno ważne. Prosiła, żeby pan tu na nią zaczekał. Musi z panem porozmawiać.

Tommaso nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, cóż mogło być tak ważnego i pilnego.

- Czy jakaś rodzina jest już w drodze? - spytała pielęgniarka.

- Nie sędzę.

- Może powinien pan zapalić świeczkę za duszę matki?

- Rzeczywiście.

- Powiem siostrze, że jest pan tu w pobliżu.

Tommaso się uśmiechnął. Jego katolickie sumienie postawiło go na nogi. Oczywiście, że musi zapalić świeczkę za duszę matki, żeby pomogła jej przejść przez czyszciec.

*

Wyszedł przez bramę. Obok marmurowych kolumn, na których wspierał się stary budynek szpitala, siedział wykuty w kamieniu lew. Wyglądał na złego. Plac przed hospicjum znajdował się już pod wodą. Kościół był właściwie tuż obok, ale Tommaso nie był w stanie dotrzeć do niego suchą nogą. Trudno, pomyślał. Musi zapalić świecę, nawet jeśli siostra Magdalena prosiła, żeby nie opuszczał terenu hospicjum, zanim ona z nim nie porozmawia. Na pewno go zrozumie. Czyściec nie będzie czekał z powodu niewielkiej powodzi.

- Panie Di Barbara.

Tommaso miał już wychodzić, kiedy nagle zobaczył przed sobą starego zakonnika.

- Wychodzi pan?

- Idę zapalić świeczkę za duszę matki. A ojciec?

- Nie będzie mnie tylko chwilę. Nasz kardynał przybywa z delegacją razem w ministrem sprawiedliwości - odpowiedział mnich i się rozpromienił.

- Idzie ojciec na dworzec?

- Tak, ale zaraz wracam.

Zakonnik włożył kaptur i wyszedł. Spod habitu wystawały mu kalosze, był dobrze przygotowany.

Tommaso nagle poczuł się wolny. Całkowicie wolny. Nie musiał uczestniczyć w ceremonii powitalnej, stojąc na baczność w galowym mundurze. Nie musiał już też odwiedzać tego miejsca. Hospicjum. Był wolny. Z pieniędzmi ze sprzedaży domu, o ile oczywiście zdecyduje się go sprzedać. Nie, chyba jednak go nie sprzeda, pomyślał. Zresztą za wcześniej na takie decyzje. Teraz musi zapalić świeczkę za duszę matki. Poczucie wolności zastąpiło poczucie winy. Pobiegł w kierunku kościoła.

65

Centrum kongresowe, Bella Centeret, Kopenhaga

- Jesteśmy aresztowani? - spytała Hannah.

Ich pobyt w magazynku, w którym zwykle robotnicy przechowywali swoje narzędzia, przedłużał się.

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją Niels.

Wyjrzał przez niewielki świetlik i zobaczył Sommersteda idącego obok ogrodzenia, za

którym stali demonstranci. Przeciął plac, minął kolejkę dziennikarzy, czekających na załatwienie formalności związanych z akredytacją, i po chwili dotarł do magazynku. Chwytał za klamkę tak mocno, że Hannah się wzdrygnęła. Wszedł, widać było, że jest zdenerwowany.

- Przepraszam, że kazałem wam tyle czekać.

- Rozumiem, że niektórym ta historia może się wydać dość niewiarygodna - powiedział Niels.

Sommersted usiadł naprzeciwko nich. Poprawił kuloodporną kamizelkę, odsłaniając przy okazji siwe włosy na klatce piersiowej przy szyi.

Niels powrócił do przerwane go wątku.

- Tak jak już mówiłem, morderca oparł się na starym przekazie o trzydziestu sześciu sprawiedliwych, dzięki którym świat może przetrwać. Znasz tę przypowieść? Na szczęście udało nam się wszystko dokładnie wyliczyć - ciągnął dalej nieco chaotycznie. - Mamy dokładne współrzędne, z których wynika, że miejscem kolejnej zbrodni będzie Szpital Krajowy.

- Szpital Krajowy?

- Matematyka nie kłamie. Krótko mówiąc, trzeba ewakuować szpital.

W tym momencie w drzwiach stanął Leon.

- Wychodzi - rzucił.

- Skończyli?

- Zrobili sobie przerwę.

- Dzięki.

Leon rzucił krótkie spojrzenie na Nielsa i wyszedł. Drzwi się za nim zamknęły.

- Przydzieliłeś mi pewne zadanie - zwrócił się Niels do szefa.

Wyprostował się na krześle, najwyraźniej postanowił zmienić taktykę.

- Sporządziłem listę dobrych ludzi w Danii. Ostrzegłem ich. W ten sposób trafiłem też do pani Lund. Ta kobieta to prawdziwy geniusz.

Niels spoglądał to na Sommersteda, to na Hannah.

Szef spuścił głowę i patrzył smutno w stół.

- Nie mogę cię dłużej chronić, Niels. W wolnym czasie odwiedzasz zbrodniarzy w więzieniu, a teraz jeszcze ta sprawa.

- Mamy konkretne dane. Znamy czas morderstwa: dzisiaj o piętnastej czterdzieści osiem, o zachodzie słońca. Znamy miejsce: Szpital Krajowy. Mamy też profil ofiary: dobry człowiek, bezdietny, w wieku od czterdziestu czterech do pięćdziesięciu lat. To są fakty.

Sommersted uderzył pięścią w stół.

- Fakty! - zawołał.

Być może właśnie to słowo wywołało w nim taką reakcję.

- Fakty są takie, że dałem ci szansę. Dostałeś do wykonania proste zadanie. Uprzedzałem, że to jest próba. Zaufałem ci.

Nagle Sommersted jakby pożałował swojego wybuchu.

- Nie zaczynamy wszystkiego od początku, Bentzon - powiedział już spokojniejszym głosem. - Mam na głowie ważniejsze sprawy. Za tydzień spotkamy się u mnie w gabinecie.

- Przynajmniej jej wysłuchaj.

- Właśnie przed chwilą sprawdziłem twoją przyjaciółkę, Niels.

Hannah spojrzała zdziwiona na inspektora, potem na Nielsa.

- Też powinieneś był to zrobić, zanim ją tu ściągnąłeś. I to właśnie teraz, kiedy mamy tu Obamę i w ogóle.

- O co ci chodzi?

Sommersted zaczął się zbierać do wyjścia. Niels jednak nie ustępował.

- O czym ty mówisz?

Hannah wstała. Niels patrzył na nich, nic nie rozumiejąc. Jakby jego szef i Hannah nagle znaleźli się w jakimś innym, obcym dla niego świecie.

- O czym ty mówisz? - powtórzył.

Sommersted spojrzał na Hannah. W jego oczach było współczucie.

- To nie ma z tym nic wspólnego! - wybuchła Hannah.

- O czym wy mówicie? - przerwał im Niels.

Hannah zaczerpnęła powietrza. Sommersted oparł się o framugę i przyglądał się jej. Czekał.

- Niech pan mu powie, czego pan się dowiedział - rzuciła Hannah, nie podnosząc głowy.

- Nie chciałem ci tego mówić, ale skoro sam zadałeś mi to pytanie - powiedział Sommersted. Nagle brzmiał jak człowiek.

- Była pani w zakładzie zamkniętym. Wie pani, co to znaczy w moim świecie?

- Straciłam dziecko - broniła się Hannah, z trudem powstrzymując płacz.

- W moim świecie znaczy to, że jest pani nieobliczalna. A ludzie, którzy są nieobliczalni, stanowią zagrożenie.

- Bydlę - wyszeptała Hannah.

- A akurat zagrożeniami nie brakuje. Szczególnie teraz, kiedy mamy pilnować Jedyńki - oświadczył Sommersted.

Wskazał palcem przez okno na Obamę, który właśnie wyszedł z budynku i ruszył przez plac do swojej limuzyny.

- Wariaci są nieobliczalni. Dlatego są groźni.

Hannah miała łzy w oczach.

Obama pomachał demonstrantom. W rzeczywistości sprawiał wrażenie niższego. „Heal the world”, przeczytał Niels na jednym z plakatów.

Sommersted otworzył drzwi.

- Czeka na mnie praca - oznajmił.

Hannah płakała. Inspektor zatrzymał się na moment w drzwiach. Niels patrzył na niego i wiedział, że przegrał. Szef pewnie go zwolni. Wątpił też, czy po całej tej historii w ogóle będzie jeszcze mógł pracować jako policjant.

- W porządku, Sommersted, idź. Do widzenia.

Zabrzmiało to trochę jak rozkaz.

Całą drogę powrotną do Kopenhagi milczeli. Niels prowadził. Hannah wyglądała przez okno. Była taka cicha, że Niels się zaniepokoił.

- Oddychasz? - spytał.

- Oddycham.

- To dobrze.

- Tylko nie wiem po co.

Po co oddychamy? Na to pytanie nie potrafił jej odpowiedzieć. Nie w tej chwili.

- Zatrzymaj się gdzieś, gdzie będzie ci wygodnie. Gdzie zostawiłeś samochód? - spytała.

Spojrzała na niego. Po raz pierwszy.

- Przed kawiarnią.

- No tak.

Kawiarnia. Kto mógł przypuszczać, jak wszystko się rozwinie. Rano Hannah zrobiła staranny makijaż, który teraz spływał jej po twarzy. Rano była pełna zapału i energii. Teraz wyglądała jak przypadek psychiatryczny.

- Niels, powinnam była to przewidzieć. Za daleko się posunęliśmy. Przepraszam.

Rozległ się dzwonek komórki Nielsa.

- To Włoch - stwierdził, podając jej aparat.

- Co mam mu powiedzieć?

- Że następne morderstwo zostanie popełnione albo u nas, albo u niego.

Niels zjechał na pobocze. Komórka przestała dzwonić.

Wyłączył silnik, spojrzał na Hannah.

- Nie wiem, co wtedy się z tobą działo, ale wiem na pewno, że nie jesteś wariatką.

Hannah wzruszyła ramionami, stłumiła uśmiech.

- Nie ma dnia, żebym nie stawała na wadze szaleństwa. Prowadzę dziennik. Za każdym razem, kiedy dostrzegam jakąś zależność zapisuję ją.

- Nie rozumiem.

- Mój mózg wszędzie tropi jakieś powiązania. Zawsze to robił. Nawet kiedy byłam dzieckiem. Pracuje jak komputer. Tyle że w pewnym momencie się rozsypał. To stało się zaraz po porodzie. Wtedy zaczęłam dostrzegać powiązania, których nie było.

- To znaczy?

- Patrzyłam na tablicę rejestracyjną i szukałam możliwych numerycznych odniesień. Nadal to robię. Wszystko zapisuję i pokazuję mojemu psychiatrze. A właśnie... - zaczęła z lekkim wahaniem.

- Mów.

- Twoja tablica rejestracyjna. Zwróciłam na nią uwagę, kiedy cofałeś samochód na podjeździe przed moim domem. Kiedy pierwszy raz mnie odwiedziłeś. II 12 041.

- I co z tego?

- 12 04. Dwunasty kwietnia. Dzień urodzin mojego syna. No i ostatnia jedyńska i podwójne „I”.

- Nadal nie rozumiem.

- „I” jest dziewiątą literą alfabetu. Mamy więc sto dziewięćdziesiąt dziewięć. Wystarczy dodać do tego następną liczbę i wychodzi nam...

- 1991. Rok jego urodzenia?

- Sam widzisz. Wszędzie widzę jakiś system. Cały czas. Rozumiesz mnie? To przekleństwo. Jakbym miała w głowie maszynę, której nie jestem w stanie wyłączyć.

Niels zastanawiał się chwilę.

- Spójrz na drogę - powiedział nagle.

- Dlaczego?

- Po prostu spójrz na drogę i powiedz mi, czy te samochody poruszają się według jakiegoś wzoru?

- Miły jesteś - zachnęła się Hannah i się uśmiechnęła.

- Odpowiedz mi. Potraktuj mnie jak kretyna.

- No więc tak. Widzę tu pewien system.

- I słusznie. Samochody jadą prawą stroną drogi. Tak więc jeśli nawet widzisz

systemy, które nie istnieją, to widzisz także te, który istnieją. O mnie mówią, że jestem typem maniako-depresyjnym. Stres, depresje, psychozy. Gotowe diagnozy na każdą okazję. Każdą zmianę nastroju próbuje się dzisiaj tłumaczyć chorobą.

Hannah się zamyśliła.

- Może masz rację. Muszę wracać do domu.

Niels przyglądał się jej.

- Problem nie w tym, że za dużo widzisz - powiedział, włączając silnik.

- Co masz na myśli?

- Tu chodzi o ludzi, Hannah. Dopóki zajmujesz się systemami, teoriami, dopóki coś dzieje się w twoim mózgu, wtedy świetnie funkcjonujesz. Ale to się zmienia, kiedy zaczynasz mieć kontakt z prawdziwymi ludźmi.

Hannah patrzyła na niego zdziwiona.

- Nie o tym mówiłam.

- Systemy, powiązania, czarne dziury, ciemna materia. To twój świat. W nim czujesz się dobrze. Ale oprócz tego istnieją też prawdziwi ludzie. Ja... Inni ludzie, którzy są wokół ciebie. Kolejna ofiara. Twój syn.

- Ty...

Zamachnęła się ręką i uderzyła go pięścią w głowę.

- Hannah!

Wydała z siebie na wpół zduszony krzyk, który odbił się echem w niewielkim samochodzie. Na Nielsa spadł grad razów.

- Hannah! Uspokój się! - zawołał.

Starał się chronić rękami twarz. Mógłby chwycić ją za dłonie, ale nie chciał tego robić.

- Ty, ty... - powtarzała, jakby nie potrafiła dokończyć zdania.

I dalej go biła. Mocno.

W końcu przestała, równie nagle jak zaczęła. Niels czuł w ustach smak krwi.

Sekundy mijały, zamieniały się w minuty.

- Krwawisz.

- To drobiazg.

Oddychała szybko, dotknęła ręką jego warg. Wytarła małą strużkę krwi. Niels chwycił jej dłoń i pocałował ją. Jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie. Hannah odwróciła się i pochyliła w jego stronę. Teraz ona go pocałowała, a on przyjął jej pocałunek. Język Hannah pieścił delikatnie ranę na jego dolnej wardze, ich języki się spotkały. Siedzieli

tak dłuższą chwilę połączeni pocałunkiem.

W końcu Hannah przerwała milczenie.

- Masz rację - powiedziała.

66

Chiesa dei Santi Geremia e Lucia, Wenecja

Komórka odezwała się w momencie, kiedy syrena przestała wyć. Numer zaczynał się na +45. Dania. W kościele nie wolno było prowadzić rozmów telefonicznych, ale przecież Tommaso zapalił świeczkę za duszę matki, przeżegnał się, był dobrym synem. Zapalił nawet dwie świeczki. Na wszelki wypadek. Dwie małe bożonarodzeniowe świeczki, które wypalały się w mgnieniu oka. Wziął więc do ręki komórkę, odszedł nieco na bok, żeby nikomu nie przeszkadzać. Mówił cicho.

- Tommaso Di Barbara.

Dzwoniła kobieta z Danii. Pytała, czy dostał jej wiadomość.

Qui.

Kobieta mówiła po francusku z duńskim akcentem, ale wyraźnie i zrozumiale.

- System się potwierdza - oświadczyła mu.

- To niewiarygodne.

- O ile słusznie założyłam, że chodzi o liczbę trzydzieści sześć...

Na linii pojawiły się trzaski. Tommaso spojrzął na obraz nad swoją głową przedstawiający Jezusa z rozłożonymi na boki rękami. Niewierny Tomasz dotykał palcem jego rany w miejscu, gdzie ciało Zbawiciela przeszyla rzymska dzida.

- Jest pani tam?

- Tak, przepraszam - odezwała się Hannah. - Chodzi o dwa ostatnie morderstwa.

Dojdzie do nich albo u pana, albo u nas.

- Jest pani tego pewna?

- Tak - odpowiedziała. Bez cienia wahania, pełna wiary we własne słowa.

Tommaso pomyślał, że jej odpowiedź dobrze się wpisuje w klimat miejsca, w którym właśnie się znajdował.

- Ale... - zaczął i urwał.

Nie bardzo wiedział, w jakie słowa ubrać swoje zdziwienie.

W szklanej gablocie przy ołtarzu leżała ubrano na czerwono lalka. Jakiś turysta zrobił zdjęcie. Tommaso odwrócił się do niego plecami.

- Kiedy to nastąpi?

- Wszystkie morderstwa odbywały się o zachodzie słońca.

Tommaso przeleciał w myślach listę ofiar. Dlaczego sam wcześniej tego nie zauważył? Pewnie dlatego, że dokładny czas popełnienia zbrodni był podany tylko w przypadku niektórych morderstw. Ale jednak. Pracował nad tą sprawą pół roku, poświęcał jej wiele czasu, a ta kobieta rozwiązała ją ot tak, po prostu, w ciągu kilku godzin.

- Di Barbara?

- *Qui?*

- Wyślę panu SMS z dokładnymi współrzędnymi miejsc, w których zostały popełnione morderstwa.

- Czego pani ode mnie oczekuje?

Hannah milczała kilka sekund.

- Czego pan oczekiwał od nas, kiedy przesłał nam pan akta tej sprawy?

Tommaso milczał. Rozglądał się dookoła.

- Kiedy w Wenecji zachodzi słońce? - spytała Hannah.

- Zapewne wkrótce.

- Proszę zapoznać się z danymi, które panu prześlę. I spróbować odnaleźć to miejsce. Spróbować zapobiec morderstwu.

- Tak, oczywiście, rozumiem. Tylko moja matka...

Urwał, zastanawiając się, czy ma wprowadzić obcą kobietę w swoją sytuację.

Matka nie żyła. Powinien wrócić do hospicjum. Nie może tak po prostu uciec. Postanowił nic nie mówić.

- GPS bywa czasem nieco niedokładny, granica błędu może wynieść kilka metrów. Muszę już kończyć.

*

Na schodach przed kościołem siedział Luciano. Jeden z wielu weneckich bezdomnych. Z powodu turystów władze miasta patrzyły na nich niechętnie. Tommaso miał wrażenie, że w jego dzieciństwie było więcej żebraków. Teraz został już chyba tylko jeden Luciano. Wszyscy mu pomagali, cała okolica. Jakby był miejscową maskotką.

- Tommaso, daj mi coś.

Tommaso sięgnął do kieszeni.

- Osiemdziesiąt eurocentów?

- E tam...

Luciano wzgardził osiemdziesięcioma centami, westchnął obrażony.

Tommaso znalazł w tylnej kieszeni pięć euro i wcisnął mu w dłoń banknot.

Kiedy biegł przez plac, zauważył, że woda podniosła się o kolejny centymetr. Poza Lucianem na ulicach było pusto.

- Wesołych świąt! - usłyszał, jak woła za nim pijaczyna.

Pobiegł kawałek prosto i skręcił za najbliższym rogiem.

67

Szpital Krajowy, Kopenhaga

Hannah siedziała w holu szpitala. Niels krążył niespokojnie wokół niej. W końcu za szybą pojawił się Casper. Postawił rower obok latarni i wszedł do środka.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem - powiedział zdyszany.

- Powiedziałaś komuś, dokąd jedziesz?

- Nikt mnie nie pytał.

- Dobrze. Poznaj Hannah. Przez najbliższe dwie godziny będziecie razem pracować.

- Nigdy nie pracowałem poza komendą - rzucił Casper podniecony.

Hannah podeszła do nich. Niels przedstawił ją koledze.

- Hannah Lund, pani profesor z Instytutu Nielsa Bohra - dodał.

Hannah nie zaprotestowała. Wszelkie tłumaczenia wydały się w tym momencie zbyt skomplikowane.

Prezentacja Caspera była znacznie prostsza i bliższa prawdy.

- To geniusz komputerowy duńskiej policji - powiedział Niels.

Dział płac, Szpital Krajowy

Zanim neonówki rozbłysły, minęła wieczność. Zimne światło uwidocznilo napis na matowej szybie: Dział Płac Szpitala Krajowego.

- Prawdę mówiąc, właśnie miałem wychodzić - powiedział Thor, mężczyzna w

średnim wieku odpowiadający za obsługę komputerową działu.

Ciekawe, czy jego rodzice nigdy nie żałowali, że dali synowi imię po potężnym Thorze, zastanawiał się Niels, zerkając na wyjątkowo niskiego mężczyznę. A może szybko spostrzegli, że syn nie zapowiada się na olbrzyma, i w ten sposób chcieli mu to wynagrodzić?

- Thor Jensen - przedstawił się mężczyzna.

Miał może półtora metra wzrostu.

- No, dobrze - zaczął Casper. - Co my tu mamy? Jurajski park komputerowy.

Powiódł wzrokiem po starych monitorach. Thor patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Jest piątek. Zwykle w piątek wychodzimy trochę wcześniej.

- Wie pan, jak uruchomić system?

- Oczywiście.

- Mógłby pan to zrobić - poprosił Niels.

Thor westchnął, cofnął się, wcisnął jakiś guzik. Rozległ się znajomy szum elektrycznych urządzeń.

- Powrót do przeszłości. - Casper roześmiał się zachwycony.

- Działa bez zarzutu. Nie ma porównania z poprzednim systemem - powiedział Thor.

- A poprzedni system to, jak rozumiem, były perforowane karty?

Thor wzruszył ramionami, nie miał ochoty na dalszą dyskusję.

- Jeszcze czegoś potrzebujecie? - spytał.

Casper zerknął na Nielsa.

- Może pan wydrukować nam pełną listę wszystkich zatrudnionych? - spytała Hannah.

- Teoretycznie tak.

- I listę pacjentów - dodał Niels.

- Trzy minuty temu skończyłem pracę.

- Kiedy zdradzicie mi, o co tu chodzi? - spytał Casper.

Niels spoglądał na obu mężczyzn. Wiedział, że nie ma wyboru. Musi im to powiedzieć, tak zwięźle i prosto jak to możliwe.

- Musimy znaleźć dobrych ludzi, którzy w tej chwili są tu, w tym szpitalu.

Cisza. Thor zrobił wielkie oczy.

Casper otworzył teczkę, wyjął z niej laptop z policyjnym logo na błyszczącej metalowej pokrywie. Dwa stojące niemal pionowo lwy, a między nimi dłoń, na której leżało dodatkowe oko. Oko policji.

- Działamy według tego samego schematu co poprzednio? - spytał.

- Nie. Tym razem będziemy działać bardziej precyzyjnie. No i tym razem nie szukamy ludzi, o których głośno w mediach.

Casper uniósł głowę znad laptopa.

- A kogo?

- Szukamy ludzi między czterdziestym czwartym a pięćdziesiątym rokiem życia.

- Bezdziwnych - wtrąciła Hannah.

- To mógłbym być ja - odezwał się nagle Thor.

Ich oczy skierowały się na niego.

- Ludzi, którzy mają wiele kontaktów z innymi ludźmi, którzy ratują życie.

- Takich pewno jest tu wiele.

- Dlatego poprosiliśmy cię o pomoc, Casper.

- To znaczy?

- Dokonasz selekcji.

Hannah usiadła przy jednym ze starych komputerów.

- Znajdź potencjalnych kandydatów - zlecił jej Niels.

Thor odchrząknął.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział.

- Tak?

Niels był wyraźnie zniecierpliwiony.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Musimy zapobiec morderstwu, które zostanie popełnione w tym szpitalu dokładnie o piętnastej czterdzieści osiem. Czyli za niecałą godzinę.

- Może jednak znaleźlibyście kogoś innego do pomocy - szepnął Casper zaniepokojony.

Niels chwycił go za rękaw.

- Spokojnie. Usiądź.

Casper stał nadal.

- To może się udać - ciągnął dalej Niels. - Jeśli użyczysz nam swojej wiedzy.

- A jeśli popełnię jakiś błąd?

- Wszyscy popełnimy błąd, jeśli się poddamy. Usiądź, proszę.

Casper w końcu usiadł. Niels zauważył, że lekko drżą mu ręce. Hannah położyła dłoń na jego ramieniu, jakby chciała go uspokoić.

- Tak jak powiedziałem, Hannah znajdzie nam potencjalnych kandydatów. Razem z Thorem.

- Ja mam wolne - próbował się bronić mężczyzna.

Niels zignorował jego protest.

- Thor, próbował pan kiedyś więziennego żarcia? Gulasz z puszki?

Cisza.

Niski mężczyzna rozpiął w końcu kurtkę i usiadł obok pozostałych.

- Szukamy ludzi między czterdziestym czwartym a pięćdziesiątym rokiem życia - powiedziała Hanna.

- Z tym nie powinno być problemów - stwierdził Niels.

Po chwili zwrócił się do Caspera.

- Twoim zadaniem będzie sprawdzić, czy się nadają, czy nie.

Hannah westchnęła.

- Co może ich zdyskwalifikować?

Niels zastanawiał się chwilę.

- Częste kontakty z sądami. Nawet nie podejrzewacie, ile osób ma u nas swoje kartoteki.

Casper przytaknął.

- Pamiętasz tego Rosjanina? - spytała nagle Hannah. - Siedział w więzieniu.

- Za krytykowanie władz. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Wręcz przeciwnie.

- A ten Izraelczyk? Ten, który wypuścił więźniów?

- Dokładnie taka sama sytuacja. Został skazany za dobry uczynek, który był sprzeczny z prawem.

Casper zdążył się już zalogować.

- Od kogo zaczynamy? Od lekarzy? Pielęgniarek?

- A co z salowymi? Też mogą być dobrymi ludźmi?

- Z pewnością, ale zaczniemy od góry.

Hannah pokręciła głową.

- To zbyt chaotyczne działanie. Pamiętaj, że to może też być któryś z pacjentów.

- Thor, jesteś w stanie sprawdzić listę pacjentów?

- Oczywiście.

- Dobrze. Ale zaczniemy od pracowników. Lekarze, położne, naukowcy. Między czterdziestym czwartym a pięćdziesiątym rokiem życia. Bezdzielni.

- To mogę sprawdzić w rejestrze ludności - zaproponował Casper.

- Mamy szczęście - wszedł mu w słowo Niels. - Jest piątkowe popołudnie, tuż przed Bożym Narodzeniem. Dużo osób ma wolne. A wielu z tych, którzy pracują, pewnie wyszło

niedługo wcześniej niż zwykle. Mam rację, Thor?

- Tak.

- Podajcie mi nazwiska i dokładne stanowiska pracy. Skontaktuję się z kandydatami.

- I co? Spytasz, czy są dobrymi ludźmi?

Niels przyglądał się Hannah.

- Tak - powiedział po chwili.

- To niemożliwe.

Zamyślił się, w końcu skinął głową.

- W zasadzie tak. Zwykle szukamy mordercy. Tym razem jest inaczej. Dlatego najbardziej logicznym posunięciem byłaby ewakuacja szpitala. Ale to niemożliwe.

Zamilkł na chwilę.

- Natomiast sporo wiemy o potencjalnej ofierze. Znamy jej wiek. Wiemy, że nie ma dzieci. Że posiada niezwykłą zdolność pojawiania się tam, gdzie ludzie jej potrzebują. Że ma szerokie kontakty. Że działa w ramach pewnej sieci.

Niels spojrzał na Hannah. Uśmiechnął się do niej.

- Niekiedy mam wrażenie, że ci ludzie mają specjalne czułości. Z daleka wyczuwają, kiedy ktoś potrzebuje pomocy - powiedział i znów zamilkł na chwilę.

Pozostała trójka patrzyła na niego; czekali na dalszy ciąg.

- Dwadzieścia lat poświęciłem na szukanie złych ludzi. I nikt nigdy się temu nie dziwił. Dlaczego teraz nie mogę poświęcić godziny na znalezienie kogoś, kto jest dobry? Czy dobroć trudniej dojrzeć niż zło?

Wskazał ręką na chylące się ku zachodowi grudniowe słońce.

- Do zachodu słońca została godzina. Rozumiem, że sprawa może się wydawać beznadziejna. Może nawet śmieszna. Ale może jednak warto poświęcić jej trochę czasu i trudu? Mimo że ze statystycznego punktu widzenia szansa powodzenia na pewno jest nikła.

Wszyscy siedzieli zamyśleni. W pomieszczeniu słychać było jedynie szum komputerów.

Pierwszy odezwał się Thor.

- Dobrze, zgadzam się - stwierdził dość nieoczekiwanie.

- Ja też - zawtórował mu Casper, który odzyskał już wiarę w siebie.

- No to zaczynamy. Sprawdźcie szpitalny rejestr. Najpierw pracowników.

Hannah zalogowała się w komputerze. Niels mówił dalej.

- Potem sprawdźcie w rejestrze ludności, czy wybrane przez was osoby mają dzieci. I dajcie mi znać, kiedy będziecie mieli konkretne nazwiska.

- Ja chyba już coś mam - odezwał się Thor znad komputera. - Tanja Munck. Położna. Ma nocny dyżur. Widzę, że już przyszła.

- PESEL?

Thor przeczytał go na głos. Palce Caspera tańczyły na klawiaturze.

- Tanja Munck ma trójkę dzieci. W 1993 roku rozwiodła się z mężem.

- W porządku - przerwał mu Niels. - Następna osoba.

Kolejnego kandydata zgłosiła Hannah.

- Thomas Jacobsen, czterdzieści osiem lat.

- PESEL? - spytał Niels.

Casper szybko znalazł mężczyznę w rejestrze ludności.

- Nie ma dzieci. Żyje w zarejestrowanym związku z innym mężczyzną.

- Czy to go dyskwalifikuje? - spytała Hannah, uśmiechając się.

- Nie. Sprawdźcie, gdzie teraz jest. I dajcie mi znać.

- Może jest w pracy?

Thor wybrał numer, zadzwonił.

Niels pokrzął na zegarek i szybko wyszedł z pokoju. Zanim zniknął za drzwiami, zdążył jeszcze usłyszeć podniecony głos Thora.

- Dyżurny? Dzwonię z działu płac. Czy Thomas Jacobsen jest w tej chwili na dyżurze?

Białe korytarze, Szpital Krajowy, godzina 14. 48

Za godzinę ktoś umrze.

Ale ludzie ciągle umierają. Szczególnie w takim miejscu jak to. Dziennie średnio dwadzieścia osób. Na szczęście mniej więcej tyle samo przychodziło tu na świat.

Zadzwoniła komórka, Niels odebrał.

- Tak?

Dzwoniła Hannah.

- Thomas Jacobsen odpada.

- Kogo masz następnego?

- Idź korytarzem w stronę sali operacyjnej.

Niels zaczepił przechodzącą obok pielęgniarkę.

- Sala operacyjna?

- Proszę wjechać windą na piąte piętro, a potem skręcić w lewo.

- Dziękuję.

Usłyszał głos Hannah w telefonie.

- Trochę danych statystycznych podczas podróży windą?

- Mów.

- Szpital zatrudnia ponad siedem i pół tysiąca osób. Połowa pracuje tu codziennie.

Tysiąc sto osób to ludzie w interesującym nas przedziale wiekowym.

- Ilu z nich jest obecnie w pracy?

- Mniej więcej połowa.

- Pięćset pięćdziesiąt osób?

W głosie Nielsa słychać było optymizm.

- Nas interesują ci, którzy nie mają dzieci. Podejrzewam, że zostanie około stu osiemdziesięciu osób, jedna trzecia.

- Przypuszczam, że na kolejną jedną trzecią Casper zaraz znajdzie jakiegoś haka.

- Czyli zostanie nam sto dwadzieścia osób. Statystycznie rzecz ujmując.

- Kogo teraz szukam? - spytał Niels.

- Lekarza. Petera Winthera.

*

Na korytarzu panowała cisza. Gdzieś w kącie grał telewizor, bez widowni. Pielęgniarka podniosła głowę znad papierów. Niels pokazał jej swoją legitymację.

- Peter Winther?

- Ma obchód.

- Gdzie?

Pielęgniarka wskazała ręką w głąb korytarza. Niels zobaczył, jak z jednej z sal wychodzi lekarz w towarzystwie personelu.

- Peter Winther! - zawołał.

Ruszył w jego stronę szybkim krokiem, już z daleka pokazując mu swoją policyjną legitymację. Zauważył, że lekarz zbladł.

- Proszę poczekać na mnie w pokoju lekarskim - szepnął do jednej z pielęgniarek.

- Policja kopenhaska - powiedział Niels.

I czekał. Był pewien, że lekarz za chwilę sam mu wszystko powie.

Ale mężczyzna milczał. Miał na szyi czerwone plamy.

- Domyśla się pan, dlaczego tu jestem - spytał w końcu Niels.

Lekarz obejrzał się przez ramię, podszedł bliżej do Nielsa.

- Aresztuje mnie pan?

- Nie, ale chciałbym usłyszeć pańską wersję tej historii. Zanim podejmę jakąś decyzję.

- Moją wersję? - zachnął się lekarz. - Moja wersja jest taka, że ona kompletnie zwariowała.

Niels zauważył, że w kącikach ust zebrała mu się ślina.

- Każdy psychiatra się pod tym podpisze. W sali sądowej nie będzie miała żadnej szansy. Rozumie pan? Poza tym to była samoobrona. Ślady na szyi są tego najlepszym dowodem.

Peter Winther odpiął guzik koszuli i obnażył szyję. Ślady zadrapań biegły od szyi w dół.

- To ja powinienem przyjść z tym do was. Ciekawe, co pan by zrobił, gdyby miał pan żonę, która... - Urwał, zrobił kolejny krok w stronę Nielsa. - To prawda, że dałem jej w twarz. Raz! Jeden jedyny raz ją uderzyłem. Powinienem zrobić to trzy lata temu.

Niels zerknął na telefon komórkowy. Zobaczył, że dostał kolejny SMS: „Ida Hansen, położna”.

- Kto by pomyślał, że pójdzie z tym na policję? Niepojęte. Mam się skontaktować z adwokatem?

Niels pokręcił głową.

- Nie. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Odszedł, zostawiając lekarza na korytarzu, z jego zrujnowanym związkiem i rozpaczą.

- Mów, Hannah - rzucił Niels do telefonu.

Biegł.

- Jest położną, zeszła na obiad. Stołówka jest na parterze.

Niels wcisnął nerwowo przycisk windy.

- Nie moglibyście ich jakoś zebrać?

- Co masz na myśli?

- Biegam z jednego końca na drugi. W ten sposób na pewno nie zdążymy.

Hannah zamilkła. Winda nie nadjeżdżała. Niels wyjrzał przez okno. Słońce szybko zmierzało ku zachodowi, ale nie było jeszcze czerwone. Słyszał w słuchawce, jak Hannah głośno oddycha. Zobaczył na ścianie szyld z napisem: „Porodówka”. Zmęczona młoda mama pchała przed sobą niewielki wózek ze swoim nowo narodzonym synkiem. Jadła czekoladę, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Natomiast dziecko zdawało się obserwować słońce, podobnie jak on. Ciekawe, co takie maleństwo sobie myśli? - zastanawiał się Niels.

Wyjrzał przez okno. Z daleka można było odnieść wrażenie, że buki w parku dźwigają słońce na swoich ramionach. Kondukt żalobny. Umierające słońce odchodziło na zachód.

Głośnym pling, które miało dotrzeć także do niedosłyszących, winda zameldowała

swoje przybycie.

- Jestem w windzie. Zjeżdżam na dół.

- W porządku. Ida Hansen. Czterdzieści osiem lat. Położna. Pospiesz się - powiedziała Hannah.

I się rozłączyła.

68

Cannaregio, Wenecja

Nie było wątpliwości, jakiego koloru są kalosze siostry Magdaleny. Były jaskraworóżowe.

Tommaso uśmiechnął się, kiedy zobaczył ją idącą Madonna Del Porto. Północna część miasta była położona nieco niżej niż reszta Wenecji, dlatego woda tutaj podnosiła się szybciej.

Zawołał ją.

- Sostro! Miała mi siostra coś powiedzieć. Przekazać wiadomość od matki.

Wycie syreny zagłuszyło jego słowa. Siostra Magdalena zniknęła za drzwiami hospicjum, nie obejrzawszy się za siebie. Gdyby Tommaso zdecydował się przejść przez most przy Dell'Orto, ryzykowałby, że woda zmoczy go do kolan. Mógł też zawrócić i dojść do wybrzeża północnego. Tam rzadko dochodziło do podtopień. Zerknął na zegarek. Spacer dookoła Fondamente Nove zajmie mu dobry kwadrans więcej. Do zachodu słońca została godzina, może nawet mniej. Od kobiety z Danii otrzymał współrzędne: 45,26'30 i 12,19'15. GPS pozostawał dla niego w dużej mierze tajemnicą, ale jego komórka też pokazywała mu szerokość i długość geograficzną. Spojrzał na wyświetlacz. 45,25'45 i 12,19'56. Nie miał pojęcia, ile zajmie mu dotarcie na miejsce, gdziekolwiek ono było. Dlatego postanowił wyruszyć jak najszybciej. Powódź będzie trzymać miasto w swoim mokrym uścisku przez jeszcze co najmniej kilka godzin. Nie podejrzewał, żeby siostra Magdalena zamierzała gdzieś wychodzić. Poza tym cóż mogło być takiego ważnego?

Czuł, że już ma mokre skarpetki. Skierował się na południe, zaczął biec wzdłuż Fondamenta del Mori. Rozbryzgiwał butami wodę. Był sam na ulicy. Czyżby to było tutaj? Zatrzymał się przed domem Tintoretta, jednego z jego ulubionych malarzy. Szczególnie lubił

obraz przedstawiający legendarny kondukt pogrzebowy świętego Marka Ewangelisty. Ale lubił go też dlatego, że Tintoretto właściwie nigdy nie opuszczał Wenecji. Raz oddalił się od wód laguny i podobno przez całą podróż źle się czuł. Tommaso też raczej nie oddalał się od laguny.

Nagle usłyszał dojmujące piszczenie GPS. Trudno mu było dokładnie odczytać namiary.

Ruszył dalej w stronę kasyna i Canal Grande, mając nadzieję, że może tam sygnał będzie lepszy. Myśłami nadal był z Tintorettem. A raczej ze świętym Markiem. Może dlatego, że łatwiej było mu myśleć o zmarłym ewangelistcie niż o swojej zmarłej matce. Miał przed oczyma jego ciało. To był pierwszy obraz, który oglądały wszystkie dzieci w Wenecji. W końcu święty Marek był aniołem stróżem tego miasta, to jego imieniem nazwano największy plac w Wenecji. Dwóch weneckich kupców wykradało ciało świętego z Aleksandrii. Z wyjątkiem głowy, jeśli wierzyć mieszkańcom Aleksandrii, którzy twierdzili, że głowa świętego nadal pozostawała w Egipcie.

Pozbawione głowy ciało, wychudzona dłoń matki, kolory śmierci. Obrazy nie dawały mu spokoju. Kiedy Tommaso dotarł do Strada Nova, sygnał GPS ponownie zaniknął. Wenecja nie została zbudowana z myślą o nowoczesnej technice, nie była miastem dla samochodów i nowoczesnych systemów nawigacyjnych. Uznał, że nie poradzi sobie bez komputera.

*

Brama wejściowa stała w wodzie. Czarne buty matki, reklamówki i karma dla psa, wszystko pływało w kałuży wody z kanału. Na powierzchni rozciągała się cienka błonka z oleju napędowego, używanego do silników motorówek. Mieniała się wszystkimi kolorami tęczy. Włączył światło, które natychmiast zgasło. Idąc po schodach, zastanawiał się, czy bateria laptopa się nie wyczerpała. Pokręcił głową. Budynek, w którym się znajdował, przetrzymał czterysta lat comiesięcznych podtopień, a jego laptop miał zaledwie pół roku i już zaczynała siadać mu bateria. Wszedł w Google Earth. Szukał miejsca, w które mógłby wpisać współrzędne, ale bezskutecznie. *Low on battery*. W końcu znalazł lagunę, kliknął i zobaczył przed sobą Wenecję. Powiódł myszą po mieście, minął swój dom, getto, przesunął się dalej na zachód. *Low on battery*. *Save documents now*. Sprawdził współrzędne w komórce, przesunął mysz nieco bardziej na północ. Znalazł właściwe miejsce.

Usiadł, odchylił się do tyłu na krześle i przyglądał się monitorowi. Nagle komputer zgasł.

Dział plac, Szpital Krajowy, godzina 14.56

Hannah rozpoznawała u Caspera dobrze jej znane zachowania. Jego zwoje mózgowe działały na wysokich obrotach, chłonał informacje, przetwarzał je, ważył, selekcionował, wszystko niemal jednocześnie. Thor pracował inaczej. Był w stanie skupić się tylko na jednym.

- Mam jeszcze jedno nazwisko! - wykrzyknął Casper. - Powinna być w pracy.

- Powinna?

- Sprawdzę u dyżurnego.

Hannah usiadła obok Caspera.

- Posłuchaj, pozostałe ofiary...

- Potrzebujemy więcej szczegółów. Inaczej zajmie nam to wiele godzin. Albo dni. A tyle czasu nie mamy - stwierdził Casper.

- To prawda.

- Co jeszcze może ich łączyć? Poza wiekiem i tym, że nie mają dzieci.

- Niemal wszyscy w jakiś sposób zwrócili na siebie uwagę. Jeden siedział w więzieniu, bo krytykował Putina. Inny trafił do izraelskiego więzienia wojskowego. A Kanadyjka podała dziecku lek niedopuszczony do obrotu.

- I co z tego wynika?

- Zwrócili na siebie uwagę.

- Takie rzeczy można znaleźć w necie. Wystarczy wpisać pytanie w Google. Każda najmniejsza notatka prasowa jest tu odnotowana. Jeśli ktoś przepracował choćby godzinę jako wolontariusz dla takiej czy innej organizacji charytatywnej, trafia na ich stronę.

- Też o tym myślałam.

- Więc zacznijmy szukać... - zaczął.

- Bardziej szczegółowo - dokończyła za niego Hannah.

- Żeby kogoś znaleźć przez Google, wystarczy dwie minuty. Zaraz zobaczymy, co o nich wszystkich mamy.

- Na pewno jeszcze nie wyszła - odezwał się Thor, odkładając słuchawkę.

- Podaj mi jakieś nazwisko - niecierpliwiał się Casper.

- Maria Deleuran.

Thor zaczął literować nazwisko. Zanim skończył, Casper już zdążył ją znaleźć.

- Maria Deleuran, pielęgniarka.

Przyglądali się jej zdjęciu na Facebooku. Jasne włosy, ładna blondynka. Delikatne zmarszczki dodawały jej urody. Trochę w typie dziewczyny, dla której Gustav ją rzucił, pomyślała Hannah.

- Mamy coś więcej - powiedział Casper, prostując się na krześle. - Pracuje jako wolontariuszka dla IBIS.

Otworzył link do strony organizacji.

Pomoc dla Afryki i Ameryki Łacińskiej. Zdjęcia Marii Deleuran.

- Rwanda. HIV/AIDS, działania profilaktyczne, uświadamiające - czytał.

- Była tam szefową sekcji - dodała Hannah.

- I to dwukrotnie.

Casper wylogował się i wszedł do policyjnej bazy danych.

- Czysta jak śnieg. Zdała egzamin na prawo jazdy za pierwszym podejściem. To wszystko, co o niej wiemy.

70

Godzina 15.03

Rozmawiała ze starszym mężczyzną, przemawiała do niego łagodnie i cierpliwie. Mężczyzna natomiast był wyraźnie niezadowolony. Burczał coś pod nosem.

- Nie chcę jeszcze wstawać - protestował.

- Obiecał pan doktorowi. Pamięta pan?

- Mam go gdzieś.

Pielęgniarka się roześmiała. Poklepała staruszkę po ramieniu, chwyciła uchwyt wózka i zawróciła.

- Przepraszam - zaczął ją Niels. - Gdzie jest stołówka dla personelu?

- Musi pan się cofnąć. A potem w prawo, obok kaplicy.

- Kaplica - parsknął staruszek.

- Dziękuję - powiedział Niels. - A tak przy okazji, ma pani dzieci?

- Mam - odpowiedziała wyraźnie zdziwiona. - A czemu pan pyta?

Stołówka dla personelu, godzina 15.08

Niels miał przeczucie, że sprawa jest beznadziejna. Tutaj, na niższych piętrach szpitala, nie widać było słońca. Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze czterdzieści minut. Góra. Otworzył drzwi do stołówki. Tłum mężczyzn i kobiet w białych fartuchach. To bez sensu, pomyślał. Chociaż z drugiej strony, co miał do stracenia?

Wszedł do środka. Stał na krześle.

- Policja kopenhaska - powiedział głośno.

Zapanowała cisza. Tylko z kuchni dochodził hałas.

Wzrok wszystkich był skierowany na niego. Widział twarze ludzki przywykłych do złych wiadomości.

- Szukam Idy Hansen.

Nikt się nie odezwał. Po chwili ktoś niepewnie podniósł rękę. Niels zeskoczył z krzesła i ruszył szybko wzdłuż drewnianych stołów z blatami z laminatu, na których królowało danie dnia: kurczak, puree z ziemniaków i zielony groszek.

Ludzie nadal na niego patrzyli. Szczególnie lekarze. Poważne, stanowcze twarze.

- Chciałam tylko powiedzieć, że Ida wyszła. Coś się stało?

- Wyszła? Dokąd?

Zerknął na wyświetlacz telefonu. Hannah dzwoniła do niego już trzy razy.

- Została wezwana do porodu.

- Ile to może potrwać? - spytał, zdając sobie sprawę, że pytanie jest bez sensu. -
Chwileczkę.

Odebrał telefon.

- Hannah?

- Niels, zastosowaliśmy pewien system, zamiast...

Chciała mu coś wytłumaczyć, ale urwała.

- Mówiąc w skrócie, mamy trzech bardzo prawdopodobnych kandydatów. Ale zacznij od Marii Deleuran. Była w Rwandzie.

Niels słyszał głos Caspera gdzieś w tle.

- Pisała artykuły o zbyt małym zaangażowaniu Zachodu w problemy AIDS w Afryce.

- Spróbuję ją znaleźć.

Rozłączył się i ponownie zwrócił się do młodszej koleżanki Idy Hansen.

- Gdzie mogę ją znaleźć?

- Na porodówce.

Zawahał się. Właśnie stamtąd przyszedł. Powrót zajmie mu pięć minut.

- Co może mi pani o niej powiedzieć?

Młoda kobieta spojrzała na niego zdumiona.

- Co mogę powiedzieć o Idzie? - Uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Lubi ją pani? Jest miła?

- Dlaczego pan mnie o to pyta? Nie może pan poczekać, aż...

- Lubi ją pani? - przerwał jej Niels.

- Czy ona coś zrobiła?

- Proszę mi odpowiedzieć! Lubi ją pani? Jest miła? Sympatyczna? Jest dobrym człowiekiem?

Pielęgniarka rozejrzała się, spojrzała na kolegów.

- Nie wiem. Jest w porządku, ale...

- Ale co?

Niels przyglądał się młodej kobiecie. Dookoła była cisza. Kobieta wstała, wzięła tacę z niedojedzonym udkiem kurczaka i resztką groszku i wyszła.

71

Cannaregio, getto, Wenecja

Tommaso znalazł w szafce matki dużo leków przeciwbólowych. Wziął kilka opakowań. Po powrocie do domu, nie czytając ulotek, połknął mieszankę kolorowych tabletek, popijając letnią wodą. Zastanawiał się, czy ma gorączkę. Przypomniawszy sobie, co zawsze mówił mu ojciec. „Jeśli boli cię głowa, kiedy patrzysz do góry, to znaczy, że masz temperaturę”. Tommaso spojrzał do góry. I poczuł ból. Zakręciło mu się głowie. Spróbował przypomnieć sobie poniedziałkowe zebranie w komisariacie. Szef poinformował ich o przejeździe delegacji. Spodziewano się ministra sprawiedliwości. I jeszcze kilku polityków. Nie pamiętał ich nazwisk. Na pewno był wśród nich jakiś sędzia. I jeden z kardynałów. Każdy z nich mógł być ofiarą. To mógł być ktokolwiek. Problem w tym, że on albo ona siedzieli właśnie w pociągu, który za kilka minut miał przybyć na dworzec. Tommaso nie

miał co do tego żadnych wątpliwości. O ile współrzędne były poprawne.

Nie widział słońca, tylko lekką poświatę za domami w Santa Croce. Czasu było niewiele. To znaczy, jeśli kobieta z Danii miała rację i do morderstwa dojdzie rzeczywiście o zachodzie słońca. Na moment stracił wiarę. Spojrzał na listę ofiar. Sprawa stała się przekleństwem jego życia. A może błogosławieństwem? Nie potrafił powiedzieć. Nagle pomyślał o matce. W kieszeni miał nadal jej pieniądze. No i miał też jej psa. Przypomnił sobie jego pełen wyrzutu wzrok. Usiłował wyprzeć go z pamięci. Spieszył się na dworzec.

Schylił się, żeby włożyć kalosze, i poczuł ból pleców. Schodząc ze schodów, potknął się na śliskich schodach i byłby upadł. Usiadł. Musiał chwilę odpocząć. Może po prostu zadzwoni do Flavia? Powie mu, o co chodzi. Wytłumaczy, dlaczego powinni zachować szczególną ostrożność. Nie, na to było już za późno. Musiał wziąć to na siebie.

72

Szpital Krajowy, godzina 15.15

Kolejny korytarz w niekończącym się labiryncie białych korytarzy. Zamknięte drzwi, ludzie w fartuchach.

- Przepraszam, gdzie jest porodówka? - spytał Niels jedną z pielęgniarek.

- Po prawej stronie.

Podziękował i ruszył biegiem.

Klinika dziecięca, godzina 15.18

W pokoju dziennym dzieci siedziały w półkołu. Dwoje leżało na łózkach, zbyt chore, by wstać. Młody mężczyzna w koszuli w czerwoną kratkę siedział na małym krześle i trzymał w ręku książkę. Nad nim wisiał plakat: „Spotkanie z autorem thrillerów dla dzieci”.

- Jak wymyślasz te wszystkie potwory? - rozległ się słaby głos dziecka.

Niels przerwał spotkanie.

- Maria Deleuran? - spytał.

Pielęgniarka, która siedziała z małą, może pięcioletnią dziewczynką na kolanach, spojrzała na niego poirytowana.

- Jest na przerwie. A tu trwa spotkanie z pisarzem.

- To pilne. Jestem z policji.

Uwaga dzieci skupiła się teraz na Nielsie.

- Proszę sprawdzić w pokoju pielęgniarek - powiedziała kobieta, wychyliła się i pokazała ręką w głąb korytarza.

Niels pojrzał na zegarek. Do piętnastej czterdzieści osiem zostało niespełna pół godziny.

*

Zatrzymał się, żeby wytrzeć oczy. Nie potrafił powiedzieć, co się stało. Czy sprawiły to buzie tych dzieci? Takie maluchy nie powinny chorować, pomyślał. Bóg musiał się pomylić. Bo jak inaczej można było to wytłumaczyć? A może jednak uczynił to świadomie? Może właśnie tak miało być? - zastanawiał się Niels.

Pomyślał, że Hannah miała rację. Jego zamiar był niewykonalny.

I nagle kolejna myśl. Może to wszystko rzeczywiście było skutkiem manii? Może naprawdę był maniakalno-depresyjny, jak niektórzy twierdzili.

Oparł się o ścianę, oddychał głęboko.

Może Hannah była szalona, jak twierdził Sommersted.

Z drugiej strony morderstwa naprawdę zostały popełnione. I pozostawały niewytłumaczone.

Drzwi na końcu korytarza się otworzyły. Zobaczył w nich jasnowłosą kobietę, wyszła i niemal natychmiast zniknęła. Widział tylko jej plecy. To była ona? - zastanawiał się.

- Muszę się skupić - wyszeptał sam do siebie.

Gdzieś w oddali śmiały się dzieci. W oknie odbijały się ostatnie promienie słońca. Spontaniczny śmiech dzieci przywrócił mu nadzieję. Ruszył dalej, skręcił w kolejny korytarz. Z pokoju pielęgniarek doszły go głosy kobiet.

- Maria Deleuran? - zawołał.

Żadnej reakcji, trzy kobiety dalej rozmawiały. Niels wyjął legitymację.

- Szukam Marii Deleuran.

Rozmowa natychmiast ustała. Kobiety spojrzały na Nielsa.

- Coś się stało?

- Jest w pracy?

- Tutaj jej nie ma.

Niels spojrzał na kobiety. Najstarsza z pielęgniarek знаła ją najlepiej. W każdym razie ona pierwsza się odezwała.

- Coś się stało?

- Na pewno jej tu nie ma?

Pielęgniarka uciekała od niego wzrokiem. Natychmiast to zauważył.

- Może pani do niej zadzwonić?

- Mogę spróbować.

Kobieta wstała, lekko się ociągając. Jej pośladki zostawiły wgnieciony ślad na obiciu kanapy.

- Może się pani pospieszyć?

Kobieta spojrzała na Nielsa niezadowolona. Matrona. Pozostałe pielęgniarki wyraźnie się jej bały.

- Nie wolno nam podawać numerów telefonów komórkowych.

- Nie proszę o numer jej telefonu. Proszę zadzwonić do niej i powiedzieć, że policja chciałaby z nią rozmawiać.

- Wyszła już do domu.

- Nie podstemplowała karty wyjścia.

- Każdemu czasem zdarza się zapomnieć. A o co chodzi?

- Proszę do niej zadzwonić. Teraz!

Mam nadzieję, że nie masz męża, bo byłby biedny, pomyślał Niels w duchu, kiedy kobieta zaczęła wybierać numer.

Rozglądał się dookoła. Tablica ogłoszeń. Widokówki. Grafiki. Zdjęcia. Krótkie wiadomości. Piękna jasnowłosa dziewczyna otoczona dziećmi gdzieś w Afryce.

- Może ja mogłabym panu pomóc?

Niels zignorował jej pytanie, zdjął z tablicy widokówkę.

- To jest Maria?

Nikt nie odpowiedział. Pielęgniarki spojrzały po sobie.

„Oto moje dzieci. Mam nadzieję, że u was, na zimnej północy, wszystko w porządku. Brakuje mi naszych plotek przy kawie”. I emotikon: uśmiechnięta buźka. I jeszcze podpis: „Serdeczności, Maria”.

- Maria Deleuran?

- Tak.

- Ma dzieci?

- Dlaczego pan pyta?

Znów zapadła trudna do wytłumaczenia cisza.

- Nie - odezwała się w końcu matrona.

- Kiedy wyszła? Na pewno jej tu nie ma? Tam wisi jakaś kurtka.

Niels wskazał na puste krzesło, na którym wisiała kurtka.

- To jej kurtka? - spytał.

Jednak z pielęgniarek wstała. Uśmiechnęła się miło do niego.

- Proszę posłuchać. Maria skończyła dzisiaj o czternastej. Miała poranny dyżur.

Proszę sprawdzić w grafiku - powiedziała i pokazała głową w stronę tablicy.

- Została nieco dłużej, ale teraz na pewno jej tu już nie ma. Mogę przekazać jej wiadomość.

- Nie odbiera komórki - odezwała się nagle matrona.

- Może ma tu jakąś przyjaciółkę? - zaczął się zastanawiać Niels. - Spotyka się czasem z kimś po pracy?

- Ja jestem jej przyjaciółką.

Niels się odwrócił. Wcześniej kobieta się nie odzywała. Spojrzał na jej wizytówkę: Tove Fanø, pielęgniarka.

- Może jeszcze się z kimś przyjaźni? To duży szpital.

- Nie sądzę.

- Ma przyjaciół, chłopaka, może znajomych z organizacji pomocowych?

Tove pomyślała chwilę, w końcu pokręciła głową.

Niels spojrział na matronę. Kobieta wzruszyła ramionami niezadowolona.

- Jest lubiana?

- Słucham?

- Macie dzieci? Czy wszystkie macie dzieci?

Zdziwione spojrzenia.

- Zadałem pytanie.

Kobiety pokiwały głowami. Z wyjątkiem Tove. Przyjaciółki Marii. Miała pewnie około czterdziestki. Niels spojrział na nią. Kobieta uniosła lekko ręce, odsłaniając duży brzuch. Była w ciąży.

Hannah zazwyczaj lubiła godziny tuż przed zachodem słońca. Dla kogoś, któremu czas nagle się zatrzymał, godzinny dzień były wyjątkowo trudne. Wszędzie dookoła byli ludzie, pełni energii, w drodze do pracy, z pracy, do szkoły, do przedszkola. Wszyscy zajęci, podczas gdy jej życie było puste. Nie miała pracy, męża, a co najgorsze nie miała też swojego syna. A potem słońce zachodziło, ludzie znikali. Wtedy było jej łatwiej. Ale nie dzisiaj.

Wstała, podeszła do okna, spojrzała na słońce, które już chowało się za drzewami: błądy płaski krążek, który odmawiał ciepła tej części świata. Ale jeszcze nie zaszedł. Po drugiej stronie korytarza ludzie nadal pracowali. Gdzieś grał telewizor. Podniosła głowę. Na ekranie panował chaos. Coś musiało się wydarzyć w trakcie spotkania na szczycie. Widziała, jak ktoś upada. Mężczyźni w garniturach pochylali się nad biedakiem. Ktoś pobiegł i przyniósł koc, wodę. Hannah miała przed oczami centrum kongresowe. Okropne miejsce. Fatalne wnętrza, duszne, tłum ludzi, wszyscy zabiegani. Każdy mógł zasłabnąć, pomyślała.

- No proszę!

Casper uniósł głowę znad monitora podniecony.

- Mam kolejnego anioła.

Hannah oderwała wzrok od telewizora, podeszła do Caspera i Thora, którzy zgarbieni ślęczeli nad monitorami komputerów.

- Mówcie!

- Profesor Samuel Hviid z Zakładu Parazytologii. Czterdzieści dziewięć lat. Żadnych dzieci. A teraz słuchaj dokładnie: Hviid od piętnastu lat zajmuje się walką z malarią. Jest jednym z czołowych badaczy w tej dziedzinie na świecie. Szacuje się, że dzięki jego pracy udało się już ocalić życie pół miliona ludziom żyjącym wokół równika.

- Jest w pracy?

- Prowadzi badania na uniwersytecie, ale jego wydział ma swoją siedzibę tu, w szpitalu.

- Jeśli nie ma go w budynku, to nic mu nie grozi - stwierdziła Hannah, spoglądając na zdjęcie naukowca. - „Aleksander Wielki zmarł na malarię. Choroba ta to jedno z trzech największych wyzwań ludzkości” - przeczytała tekst pod zdjęciem Samuela Hviida.

Zamyśliła się, nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Zadzwońcie na wydział. Dowiedzcie się, czy Hviid jest w budynku.

- Tak - powiedział Thor, sięgając po słuchawkę.

Casper natomiast szukał dalej.

- Gry Libak. Też ma pewne zasługi.

- Jest w budynku - przerwał mu Thor. - Samuel Hviid. Jego gabinet znajduje się na

odcinku 5222. W tej chwili jest na zebraniu.

Godzina 15.30

Maria Deleuran przebywała na terenie szpitala. Niels był tego pewien. Dlaczego jej przyjaciółki kłamały? Widział, że Hannah dzwoniła, ale nie oddzwonił. Pielęgniarki skończyły pić kawę. Niels czekał, aż skwaszona matrona opuści pokój. Podążył za Tove, przyjaciółką Marii. Kobieta weszła do toalety. Niels gwałtownie szarpnął drzwi.

- Co pan wyprawia? - spojrzała na niego wściekła, kiedy wszedł za nią do środka. - Mam zacząć krzyczeć?

- Ma mi pani powiedzieć, gdzie ona jest.

- O co panu chodzi? Dlaczego to takie ważne? Proszę zaczekać, aż...

- Jej życie może być zagrożone - przerwał jej Niels.

Tove zaczęła się zastanawiać.

- Dlaczego? Maria to prawdziwy anioł. Dlaczego ktoś chciałby ją skrzywdzić? Po prostu w to nie wierzę.

- Proszę mi zaufać.

Tove wyraźnie ważyła swoje słowa. Niels widział to po niej. Wyglądała tak, jak przestępca na kilka minut przed przyznaniem się do winy.

- Nie ma jej tu. Nie wiem, co jeszcze mogę panu powiedzieć.

Tove opuściła toaletę zdecydowanym krokiem.

Zadzwoiła komórka.

- Hannah?

- Samuel Hviid. Przebywa na odcinku 5222. Jest naukowcem. Wszystko się zgadza. W tej chwili uczestniczy w spotkaniu z dyrekcją.

*

Sekretarka patrzyła zdziwiona na legitymację Nielsa. Przywykła do ważnych osobistości, które mijały jej biurko: minister zdrowia, ważni urzędnicy, profesorowie i naukowcy z całej Europy. Wszyscy musieli przejść obok niej, była służą do dyrektorskiego gabinetu.

- Profesor Hviid jest na zebraniu z dyrekcją. To nie może zaczekać?

- Nie.

- Powie mi pan, o co chodzi?

- Muszę porozmawiać z Samuelem Hviidem. Teraz.

Kobieta wstała, powoli, na granicy bezczelności. Nawet nie usiłuje ukryć, że jej przeszkadzam, pomyślał Niels. Natomiast dyrekcja była dla niej niczym wyrocznia w Delfach. Niels widział, jak ostrożnie zapukała do drzwi, a potem weszła, lekko zgarbiona, do środka, przepaszając, że zakłóca zebranie. Na ekranie za sekretarką Niels obserwował dokładnie to samo, co Hannah przed chwilą. Szczyt miał się ku końcowi, kiedy nagle jeden z negocjatorów z ramienia organizacji pozarządowych źle się poczuł. Zbladł, krew odpłynęła mu z głowy, oddychał z trudem, łapał powietrze jak wyciągnięta z wody ryba. Cała światowa prasa oczywiście tam była.

Sekretarka nadal rozmawiała z dyrektorem. Sala konferencyjna miała szklane ściany. Chodziło o transparentność czy przejrzystość, jak kto woli. Należało pokazać, że tutaj nie podejmuje się żadnych podejrzanych decyzji.

Niels przyglądał się siedzącym wokół stołu mężczyznom, a oni jemu. Nie słyszał, co mówią. Ciszę przerywał tylko cichy szum telewizora.

- Nie wiemy, czy jest to jedynie chwilowa niedyspozycja, czy coś poważniejszego. Być może udar. Karetka jest już w drodze.

Sekretarka wróciła.

- Profesor zaraz do pana wyjdzie.

- Dobrze.

Wchodząc do sekretariatu, Samuel Hviid podciągnął spodnie i odchrząknął. Pozostali członkowie dyrekcji usiłowali poskromić ciekawość.

- Samuel Hviid?

- Czym mogę panu służyć?

- Niels Bentzon z policji kopenhaskiej.

Komórka Nielsa zapiszczała. SMS od Hannah.

„Mamy kolejną kandydaturę: Gry Libak”.

- O co chodzi? - spytał profesor, patrząc na Nielsa łagodnymi, inteligentnymi oczami.

Do zachodu słońca zostało kilka minut. Przez duże panoramiczne okna sali konferencyjnej widać było jasnoróżowe niebo.

- Mamy powody sądzić, że pańskie życie może być zagrożone.

Na twarz mężczyzny nie pojawił się żaden, nawet najmniejszy grymas.

- Proszę, żeby opuścił pan budynek szpitala. Na najbliższe pół godziny.

- Miałbym opuścić budynek szpitala? Dlaczego?

- Nic więcej nie mogę teraz panu powiedzieć. Podkreślam tylko, że szpital nie jest dla pana bezpiecznym miejscem.

Hviid pokręcił głową i zerknął do tyłu przez ramię.

- Nie zamierzam się ukrywać. To stara sprawa. Sprzed dwudziestu lat.

Spojrzał na Nielsa. Czyżby w jego oczach był cień smutku?

- Tylko na pół godziny, może nawet mniej.

- A co potem?

- Potem sytuacja zostanie opanowana.

- Nie. To moje życie i muszę nauczyć się z tym żyć. Nie mogę za każdym razem uciekać. Kiedy on uciekł?

Niels zastanawiał się, co powiedzieć.

- Nie wolno mi udzielać takich informacji - rzucił oficjalnie.

- Słucham? Proszę! Jestem lekarzem. Wszyscy popełniamy błędy. Ten człowiek grozi mi od lat, a przecież chodzi o sprawę, na którą naprawdę nie miałem wpływu. To przypadek, że byłem tym lekarzem, który ostatni się kontaktował z jego tragicznie zmarłą żoną. To anestezjolog podał jej leki. Takie rzeczy się zdarzają.

Samuel Hviid spojrzał na dyrekcję. Doszedł daleko i nie pozwoli, żeby teraz ktoś zniszczył jego karierę. Niels widział to po nim. Widział też, że członkowie dyrekcji nic o sprawie nie wiedzą. Jeśli Hviid teraz opuściłby zebranie, zaczęto by zadawać mu pytania.

Kolejny SMS od Hannah.

„Odpuść Hviida. Skoncentruj się na Gry Libak. Dział C. Zostało ci zaledwie kilka minut”.

74

Cannaregio, getto, Wenecja

Siostra Magdalena wstąpiła do zakonu Dobrego Serca, ponieważ wierzyła w Boga.

Dlatego też uznała, że odrobina wody na ulicach nie może powstrzymać jej od przekazania panu Di Barbara wiadomości. Obiecała to umierającej kobiecie, starszej pani, której ta wiadomość została przekazana z zaświatów. Dlatego była taka ważna. Magdalena wiedziała to lepiej niż większość. Gdyby w swoim czasie nie posłuchała podobnej wiadomości, dzisiaj już by nie żyła. Zginęłaby na Shaw Station w Manili, razem z dziewiętnastoma innymi osobami. Ale Bóg ją uratował. W swojej torebce do dziś nosiła kwit

od handlarza rowerami. Stanowił dowód. Konkretny, boski dowód. Przede wszystkim dla niej samej, gdyby kiedyś pamięć zaczęła ją zawodzić.

Zapukała. Drzwi były uchylone. Na klatce stała woda.

- Pan Di Barbara? Tommaso? Mam wiadomość od pańskiej matki.

Cisza. Magdalena weszła do środka. Zawołała ponownie, ale i tym razem nie otrzymała odpowiedzi. Takie napraszanie się nie leżało w jej naturze. Ale czuła, że musi wejść dalej. Sprawa była pilna.

Zaczęła iść po schodach. I nadal wołała. W pokoju zobaczyła tablicę ze zdjęciami wszystkich ofiar. Od podłogi do sufitu. W pierwszej chwili nie zorientowała się, co przed sobą widzi. Potem zrozumiała co prawda, że są to zdjęcia martwych ludzi, nadal jednak nie rozumiała, dlaczego tu wiszą.

Miała uczucie, że zjawiała się tu za późno.

75

Szpital Krajowy, godzina 15.32

Poul Spreckelsen, klinika kardiologiczna - powiedział Casper i uniósł głowę znad komputera. - Może nie dokonał niczego tak spektakularnego jak Samuel Hviid, ale rozwinął...

Hannah nie słuchała go. Patrzyła na telewizyjny ekran, umieszczony z drugiej strony okna. Zdjęcie odjeżdżających spod centrum kongresowego dwóch karetok zrobione ze śmigłowca. Biegający wszędzie lekarze i ratownicy. I pasek na dole ekranu: *Breaking news*. Z ostatniej chwili. Uczestnik spotkania zemdlął.

- Słuchasz mnie?

Hannah nie słuchała. Wyszła z pokoju i weszła do pomieszczenia obok.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała kobieta, przyglądając się jej.

- Może pani zrobić głośniejsze?

Kobieta nie ruszyła się z miejsca.

- To zajmie pani dwie minuty. Bardzo proszę.

Kobieta westchnęła, wzięła do ręki pilota, wzmocniła dźwięk.

- Widzimy, jak ratownicy wynoszą mężczyznę z budynku centrum kongresowego - informował komentator.

Za plecami Hannah pojawił się Casper.

- Czy myślimy o tym samym?

- Być może.

Telewizyjny komentator nadal opisywał to, co widać było na filmie.

- Ratownicy właśnie przechodzą obok łoża prasowej. Widzę dwóch lekarzy. Chory jest podłączony do kroplówki.

- Podajcie jego nazwisko! - niecierpliwiła się Hannah.

Komentator jakby czytał w jej myślach.

- Przedstawiciel organizacji pozarządowych, Yves Devort, zasłabł w kulminacyjnym momencie negocjacji. Został zabrany do Szpitala Krajowego - informował widzów głos ze studia.

Hannah i Casper natychmiast wybiegli z pokoju, siedli do komputera.

Wpisali w Google: *ngo, copenhagen...*

Casper zaczął literować nazwisko.

- y-v-e-s d-e-v-o-r-t.

- Został nam kwadrans. Myślisz, że karetka dotrze tu w ciągu dziesięciu minut? - niepokoila się Hannah.

- Nie sądzę.

Casper znalazł mężczyznę. Yves Devort. Przystojny. I bardzo francuski, jak paryska bagietka, pomyślał.

- Ma pięćdziesiąt lat - powiedział głośno. - Nie wiem, czy ma dzieci. Nie wiem też, co francuska policja o nim wie.

Wrócili do telewizyjnego ekranu. Zamieszanie. Chaos. Ludzie, demonstranci, karetki, ochroniarze i policja.

Zadzwoił Niels. Hannah natychmiast odebrała.

- Zabłądziłem - usłyszała w słuchawce jego zdyszany głos.

- Gdzie jesteś? Przeczytaj jakąś tabliczkę na drzwiach.

- Ortopedia. Odcinek 2162 - czytał Niels. - Chirurgia - dodał.

Hannah spojrzała na Thora.

- Jak najszybciej dotrzeć z 2162 na kardiologię?

- Powiedz mu, żeby znalazł najbliższą windę.

- Słyszałeś, Niels? Jest piętnasta trzydzieści trzy. Masz dokładnie piętnaście minut.

- Hannah.

- Tak?

- Sprawa jest beznadziejna. To nie może się udać. Zawahała się. Spojrzała na ekran telewizora. Yves Devort leżał na noszach. Karetka jeszcze nie wyjechała z centrum kongresowego. Zastanawiała się, czy powiedzieć Nielsowi, że jeden z negocjatorów szczytu zasłabł?

- Niels - zaczęła lekko schrypniętym głosem. - To, co robisz, jest fantastyczne.

W tym momencie, właśnie na słowie „fantastyczne”, jej głos się załamał. Poczula, że ma ściśnięte gardło. Walczyła z płaczem.

- Nie mamy szans, Hannah. Jestem bliski poddania się.

- Nie. Próbujesz znaleźć dobrego człowieka. To wszystko.

- A znajduję tylko błędy, które popełniają. Od samego początku tak jest. Szukam dobra, a znajduję zło.

Słyszała jego oddech w słuchawce. Jednocześnie cały czas śledziła na ekranie telewizora wydarzenia w centrum kongresowym. Sytuacja w jakiś dziwny sposób przypomniła jej zdarzenie sprzed lat, kiedy ona i Gustav jechali gdzieś samochodem i mieli wypadek.

Ona prowadziła. Jak zwykle zresztą. Gustav wołał, kiedy siedziała za kierownicą, a on mógł nią dyrygować. „Nie przekraczaj prędkości, Hannah. Zaraz skręcamy, Hannah”. Tego dnia się pokłócili. Hannah jechała szybko i przy zjeździe z autostrady straciła panowanie nad kierownicą. Samochód zjechał do rowu. Piękne volvo Gustava było całe w błocie. Na chwilę przed wypadkiem, była to dosłownie sekunda, miała podobne uczucie jak teraz: wiedziała, że to się źle skończy.

- Hannah - usłyszała znów głos Nielsa w telefonie.

- Tak?

- Kogo wiozą tu karetką?

- Właśnie go sprawdzamy. Jesteś gotów?

- Tak.

- Musisz się udać na odcinek 2142. Na kardiologię. Poul Spreckelsen.

Niels się rozłączył.

Casper uniósł głowę znad monitora.

- Sprawdzam teraz pacjentów.

Hannah skinęła mu głową. Był nie do powstrzymania.

Śledziła wzrokiem drogę karetki do szpitala. Zjechała z obwodnicy, właśnie skręcała w stronę szpitala. Policja w radiowozach torowała jej drogę.

Dzwonek komórki.

- Niels?

- Musisz mi pomóc. Nie wiem, czy zdążę. Ty jesteś bliżej.

Był zdyszany. Może płakał?

- W porządku, Niels.

- Gry... Mam wrażenie, że to może być ona. Pracuje na dole.

- Dobrze, już tam idę.

- Biegnij.

Rozłączyli się.

- Idę pomóc Nielsowi - rzuciła Hannah od drzwi.

- Mam dać ci znać, jeśli znajdę kogoś ciekawego wśród pacjentów? - spytał Casper.

Hannah wyjrzała przez okno. Tylko brzeg słonecznej tarczy był jeszcze widoczny.

- Nie - powiedziała. - Już nie zdążymy.

76

Santa Croce, Wenecja

Turystyczna Wenecja była sklepem otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez cały rok. Księżniczki, szejkwowie, politycy, ludzie z pierwszych stron gazet zjeżdżali tu o każdej porze roku. Policja przeznacziała prawie wszystkie swoje środki na eskortowanie gości z hotelu na plac Świętego Marka i z powrotem. Tommaso pamiętał, jak kiedyś eskortował jakąś księżniczkę. Płynęli Canal Grande. Turyści na Rialto machali do nich. W takich momentach Wenecja przypominała nieco Disneyland, może w nieco lepszym guście i z nieco lepszym jedzeniem. Na szczęście przypomniał sobie, że wieczorem ma grać w piłkę, o ile oczywiście poczuje się lepiej. Stadion leżał przy Arsenale, obok nowych bloków i stoczni. Tu Disneyland nie sięgał. Tu było błoto, a nad wszystkim unosił się odór zgnilizny znad laguny. Teren oświetlały silne reflektory, zamontowane na murze wokół nowych bloków komunalnych.

Tommaso wiedział, że powinien położyć się do łóżka. Mimo to zmierzał właśnie na dworzec. W kaloszach. Laguna zgotowała ministrowi piękne przyjęcie. Tommaso był jednak pewien, że minister na pewno nie był kolejną ofiarą. Minister sprawiedliwości, Angelino Alfano, był po prostu lokajem Berlusconiego. Były sekretarz skorumpowanego premiera

został ministrem sprawiedliwości, by stworzyć misterną siatkę nieprzejrzystych ustaw i w ten sposób nie dopuścić, by Berlusconi trafił do więzienia.

Tommaso przeszedł przez Ponte delle Guglie. Sprzedawcy dawno już zwinęli swoje stragany, ulice były puste. Turyści siedzieli w hotelach z przemoczonymi nogami, studiując warunki swoich ubezpieczeń, by sprawdzić, czy powódź w Wenecji dawała im prawo do żądania odszkodowania.

W końcu zobaczył budynek dworca Santa Lucia. Zadziwiająco szerokie schody: skrzydła orłów, proste linie, ślady czasów, których zwolennikiem był ojciec Tommasa. Przeszłość, która jakby tylko się przyczaiła, by w pewnym momencie znów zaistnieć w teraźniejszości.

Na schodach stali karabinierzy, wojskowa policja. Jeden z funkcjonariuszy zatrzymał go.

- Jestem z policji - powiedział Tommaso.

- Poproszę legitymację.

Tommaso sięgnął do kieszeni i uprzytomnił sobie, że nie ma czego szukać. Zdał już swoją służbową legitymację.

- Nie mogę jej znaleźć.

- Więc proszę zaczekać. Za dziesięć minut stąd wyjdą.

Cholera! Przekłęci karabinierzy. Zwykli policjanci nie znosili ich, ich eleganckich mundurów, błyszczących butów. Tommaso postanowił wejść na dworzec od innej strony. Drogą obok kościoła można było dojść do działu bagażu, który nie był strzeżony. Zatrzymał się na chwilę. Słyszał odgłos zbliżającego się pociągu. Czasu było coraz mniej. Za chwilę gdzieś na terenie dworca dojdzie do morderstwa. Chyba że uda mu się temu zapobiec.

77

Szpital Krajowy, godzina 15.37

Hannah nie była w stanie biec, mimo że Niels ją o to prosił. Nadal miała przeczucie zbliżającej się czyjejś śmierci.

- Przepraszam - zaczęła salowego. - Gdzie są sale operacyjne?

- Musi pani zejść piętro niżej i przejść na drugą stronę korytarza - odpowiedział

mężczyzna, przytrzymując jej drzwi windy.

- Dziękuję.

Hannah weszła do windy razem z salowym. Obok niej, na łóżku, leżał pacjent. Próbowała się do niego uśmiechnąć, ale tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu. Była pewna, że jej obliczenia są prawidłowe. Możliwość, że popełniła błąd, była jak jeden do kilku milionów. Trzydzieści cztery morderstwa, miejsca wybrane z dużą precyzją. To nie był przypadek.

- Tu pani wychodzi - odezwał się salowy. - A potem proszę iść w przeciwnym kierunku.

- Dziękuję.

Zaczęła biec, czuła, jak jej tętno przyspiesza. Myśli cały czas nie dawały jej spokoju. Trzydzieści cztery morderstwa. Popelnione niemal z boską precyzją. Brakowało jeszcze dwóch. Była tego pewna. Ale wiedziała też, że są bezradni. Nie będą w stanie im zapobiec. Ich walka była daremna. Dwa plus dwa równa się cztery i nikt tego nie zmieni. Tak jak wtedy wiedziała, że samochód Gustava wylądował w rowie, i nie była w stanie temu zapobiec.

Godzina 15. 39

Niels skręcił. Biegł prowadzony dźwiękami *Trzeciej Symfonii* Mahlera. Korytarz z salami operacyjnymi był pusty. Kliniknie czysty. W głowie Nielsa pojawiły się obrazy z ostatnich dwóch dni.

Amundsen z Amnesty International. Uratował wiele ludzkich istnień, a teraz niszczył życie swojej żony. Niels miał przed oczami szczerą, niewinną twarz kobiety, jej wesołe, jasne oczy, kiedy witała się z nim w holu. Nie miała cienia podejrzeń. Ufała swojemu mężowi. Była mu całkowicie oddana.

No i był też Rosenberg. Można poświęcić życie jednego człowieka, żeby uratować życie dwunastu innych? Rosenberg wiedział, że popełnił błąd. Niels czuł, że polubił pastora.

Natomiast nie mógł się przekonać do Thorvaldsena. Mężczyzna był zbyt pewny siebie, zbyt przekonany o własnej doskonałości. Praca z nim musiała być piekłem.

*

Drzwi do sal operacyjnych były zamknięte. Kiedyś, wchodząc do kościoła, miało się poczucie obcowania z jakąś wyższą siłą, z czymś świętym. Teraz rolę świątyni przejęła sala operacyjna. Dlatego piękna muzyka w takim miejscu nie dziwiła. Sala numer 5. Nad wejściem świeciła się czerwona lampka. Wstęp wzbroniony.

Niels uchylił drzwi. Trwała operacja. Zespół lekarzy, pielęgniarek i chirurgów pracował w skupieniu. Jakaś kobieta podeszła do Nielsa.

- Tu nie wolno wchodzić!

- Jestem z policji. Szukam Gry Libak.

- Proszę poczekać do zakończenia operacji!

- Nie, muszę spotkać się z nią teraz.

- Trwa operacja. Co pan sobie wyobraża?

- Jestem z policji.

- Nikt obcy nie ma tu prawa wstępu - przerwała mu kobieta. - Nawet policja. Proszę wyjść!

- Ona tu jest? Może to pani? Gry Libak?

- Gry już wyszła. A jeśli pan zaraz nie zrobi tego samego, to jutro wniesiemy skargę.

- Wyszła? Ale wróci? Czy ma już wolne?

- Zamykam drzwi.

- Ostatnie pytanie - powiedział Niels, wkładając stopę w drzwi.

- Dzwonię po strażników.

- Jej życie jest w niebezpieczeństwie. Inaczej nie przychodziłbym tu.

Lekarze przez cały czas rozmowy nawet na chwilę nie oderwali wzroku od stołu operacyjnego. Teraz jeden z nich zerknął na Nielsa. Dźwięki symfonii Mahlera przerywało jedynie jednostajne pikanie aparatury. Pikanie oznaczało, że pacjent żyje. Miarowy rytm dawał nadzieję, ciągły ton oznaczał śmierć.

- Może uda się panu złapać ją w szatni - dobiegło zza białej maski lekarza. - Pracujemy od dwunastu godzin, pewnie poszła wziąć prysznic.

- Dziękuję. Gdzie jest szatnia.

- 2141 - powiedziała kobieta i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Nagle zobaczył biegnącą w jego stronę Hannah.

- Niels!

- Spreckelsen okazał się niewypałem, ale może Gry...

- Gdzie?

- Szatnia. 2141.

Zerknął na zegarek. Siedem minut.

Damska szatnia. Długie rzędy błyszczących metalowych szafek. Między nimi niewielkie ławeczki. I żywej duszy.

- Gry Libak? - zawołał Niels.

Odpowiedziało mu tylko echo. Desperacja.

- Nazwiska na szafkach są w porządku alfabetycznym - zauważyła Hannah.

Niels zaczął się zastanawiać. Tutaj powinni byli zacząć, pomyślał. Ludzie ukrywają swoje tajemnice i wszystkie swoje grzechy właśnie w pracy, gdzie ich najbliżsi ich nie znajdują.

- Poszukaj jej szafki. Gry Libak.

- I co potem?

- Włamiemy się.

- Niels?

- Znajdź ją!

Zawiasy przy drzwiczkach były raczej symboliczne. Hannah ruszyła wzdłuż rzędu metalowych szafek. Jakobsen Signe. Jensen Puk. Klarlund Bente. Kristoffersen Bolette. Lewis Beth. Libak Gry. Chwyliła za uchwyt. Szafka była zamknięta.

*

Niels szedł z drugiej strony. Fiola, Finsen, Ejersen, Egilsdottir, Deleuran Maria.

Dotknął szafki. Była zamknięta. Odwrócił się, rozglądając się za jakimś narzędziem. Czymś, co mogłoby... Kij od szczotki! Wyciągnął szczotkę ze stojącego obok wózka sprzątaczkowy, włożył kij między drzwi a obudowę szafki. Nacisnął, zamek ustąpił, upadł na podłogę z metalicznym brzdękiem.

- Szafka Gry jest zamknięta. - Usłyszał za sobą głos Hannah. - Nie mogę jej otworzyć.

- Masz. Wyłam zamek.

Hannah wzięła kij od szczotki. Nieco opornie. Nie podobało jej się to.

- Ona tu jest! - zawołał nagle Niels.

- Kto?

- Maria. Nie mogłem jej znaleźć. Jej ubranie jest w szafce.

Płaszcz, szalik, buty. Tak, Maria na pewno była na terenie szpitala.

Na drzwiach szafki od wewnętrznej strony wisały zdjęcia i kilka widokówek. Na półce leżała skórzana portmonetka, afrykańskie rękodzieło. Na jednej z kartek było napisane: *You're an Angel, Maria. God bless you. Rwinkwavu Hospital, Rwanda.* Niels przyglądał się zdjęciu. Ładna blondynka stała na nim odwrócona bokiem.

- Widziałem cię - wyszeptał.

Nagle odwrócił się do Hannah.

- To ona. Wszystko się zgadza.

Nie słuchając protestów Hannah, zaczął biec.

Hannah stała i patrzyła za nim. Co on kiedyś powiedział? Że ludzie twierdzą, że jest typem maniakalno-depresyjnym? Mania wydawała się w tej chwili właściwym określeniem jego zachowania.

78

Dworzec kolejowy Santa Lucia, Wenecja

Tommaso od razu zauważył dużą grupę wiernych. To było pierwsze, co rzuciło mu się w oczy. Dorośli mężczyźni i kobiety ubrani na biało albo na czarno. Zakonnicy i zakonnice z weneckich klasztorów.

- Kto przyjeżdża? - spytał jedną z zakonnice.

Miał schrypnięty głos.

Dworzec został zamknięty dla zwykłych podróżnych, wstrzymano także ruch na pobliskich ulicach, żeby samochody z gośćmi mogły swobodnie przejechać od dworca do Canal Grande.

- Przepraszam, ale na kogo wszyscy czekają?

Zakonnica spojrzała na niego obrażona. Tommaso zauważył, że chwycił ją za rękę.

- Proszę mnie puścić.

- Przepraszam - powiedział i puścił jej rękę.

Jedna z zakonnice zlitowała się nad nim.

- Przyjeżdża nasz kardynał - poinformowała go.

Podziała nawet jego nazwisko, ale jej słowa utonęły w hałasie, bo pociąg właśnie wjechał na peron. Tommaso oparł się o ścianę. Zapewne jest w nim kolejna ofiara, pomyślał. Na pewno. Gdyby tylko mógł skontaktować się z szefem. Ostrzec kogoś. Kogokolwiek. Drzwi pociągu się otworzyły. Pierwszy pokazał się w nich łysiejący minister sprawiedliwości. Pomachał nieco teatralnie do stojących na peronie ludzi. Za nim stał kardynał. Tommaso widział go kiedyś w telewizji. Zaczął się zastanawiać, czy to nie przypadkiem on rozważał możliwość dopuszczenia stosowania niektórych form antykoncepcji w Afryce, co rocznie mogłoby pewnie uratować życie dziesięciu milionom ludzi.

Ktoś zaczął bić brawo. A może to krople deszczu uderzały o dach wagonu.
Tommaso podniósł głowę i dostrzegł szefa policji.

79

Klinika pediatryczna, Szpital Krajowy, godzina 15.43

- Przepraszam!

Niels nie miał czasu, żeby pomóc młodej matce wstać. Wpadł na nią, kiedy skręcił w korytarz prowadzący na oddział pediatrii. Biegł, otwierał drzwi, zaglądał do sal. Przyglądał się twarzom pielęgniarek. Znalazł ją na korytarzu. Tove. Przyjaciółka Marii. Chwytał ją za rękę i pociągnął w stronę szpitalnego schowka.

- Niech mnie pan puści!

Zamknął za nimi drzwi. Jednorazowe rękawiczki, prześcieradła, miski. Szukał zamka, którego nie było.

- Gdzie ona jest?

- Mówiłam już ona...

- Wiem, że Maria tu jest!

Pielęgniarka się zawahała. Podeszedł do niej bliżej.

- Utrudnianie pracy policji jest karalne. Chce pani przyczynić się do jej śmierci?

Kobieta się zamyśliła. Niels wyjął kajdanki.

- Tove Fanø, aresztuję panią za utrudnianie...

- Niech pan zejdzie do piwnicy w części A - odezwała się nagle. - Tam na dole są pokoje wypoczynkowe dla chirurgów. Mało kto z nich korzysta.

- Co jest napisane na drzwiach?

Godzina 15.45

Niels spotkał Hannah, kiedy schodził po schodach.

- Maria jest w budynku. W piwnicy.

Hannah się zatrzymała. Niels sprawiał wrażenie szalonego. Miała ochotę go powstrzymać. Potrząsnąć nim, żeby wrócił na ziemię. Sama pozbyła się już resztek nadziei.

- Ile mamy czasu? - spytał zdyszany.

Hannah spojrzała na zegarek.

- Trzy minuty.

- Idziemy!

- Niels... Zachowujesz się jak maniak.

Spojrzał na nią. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ty też?

- Co?

- Uważasz, że jestem chory. To chciałaś mi powiedzieć?

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą do windy.

- Idź w prawo. Wypatruj na drzwiach tabliczki z napisem „Pokój wypoczynkowy”.

Winda zjechała na dół. Drzwi się otworzyły.

Piwnica, godzina 15.46

- Co zrobię, jeśli znajdę te drzwi?

Niels nie usłyszał pytania Hannah. Był już niemal w połowie korytarza. Odgłos jego zdesperowanych kroków mieszał się z łagodnym szumem wentylatorów.

Hannah wzięła głęboki wdech. Brakowało jej teorii. Myślenia. Swoje obliczenia mogła prowadzić, ruszając się jedynie do pobliskiego kiosku po papierosy.

Na większości drzwi nie było żadnych tabliczek. Za częścią kryły się po prostu magazyny. „Magazyn B2”, „Rentgen”. Żadnego pokoju wypoczynkowego. Hannah pomyślała o Sørenie Kierkegaardzie. Cała życie spacerował po kilku metrach kwadratowych, niekiedy wychodził co prawda na ulicę, ale zawsze pogrążony w myślach. Myślenie o świecie nie wymaga dużo miejsca. Nawet beczka by wystarczyła, uznała Hannah. „Magazyn”. „Schowek/Anestezja”. Nie słyszała już kroków Nielsa, skręciła za róg pogrążona w myślach. Przed oczyma miała beczki pełne filozofów. Diogenes, ojciec cynizmu. Słowo pochodziło z greki i znaczyło „pies”. Diogenes uważał, że ludzie mogą się wiele nauczyć od psów. Psy instynktownie odróżniają przyjaciela od wroga. Ludzie nie. Możemy zamieszkać ze swoim wrogiem i nawet o tym nie wiedzieć. Dlaczego przyszło jej to do głowy właśnie w tym momencie? Czasem jej skojarzenia doprowadzały ją do szaleństwa. Nagle coś jej się przypomniało. Już wiedziała, dlaczego w jej głowie nagle pojawił się Diogenes. Bo on jednak od czasu do czasu opuszczał swoją beczkę i ruszał na ulice Aten w poszukiwaniu prawdziwego człowieka. Dobrego człowieka. Diogenes przyszedł jej z pomocą. Bo ona,

podobnie jak on, opuściła swoją beczkę w poszukiwaniu żywego człowieka.

Skręcili w korytarz niemal jednocześnie, ona i Niels.

- Znalazłeś coś? - spytała. - Słońce już zachodzi. Jest piętnasta czterdzieści osiem.

- To tutaj - wyszeptał. - Pokój wypoczynkowy.

Niels wyjął pistolet, spojrzął na niego i schował ponownie do kabury.

Ciekawe, co tam znajdziemy, zdążyła pomyśleć Hannah, zanim Niels otworzył drzwi i wpadł do środka.

Pokój wypoczynkowy, godzina 15.48

Ciemność. Cichy szum telewizora. Nagle ciszę przeciął przerażony krzyk.

- Maria Deleuran? - zawołał Niels.

Czyżby na łóżku siedziała kobieta? Podeszedł bliżej, szukając ręką włącznika na ścianie.

- Maria?

- Tak.

- Jesteś sama?

- Tak.

Niels zmrużył oczy. Powoli zaczynał dostrzegać zarysy pokoju. Kobieta leżała na łóżku. Podeszedł bliżej i wtedy zobaczył tę drugą osobę. Cień, który ruszył w jego stronę.

- Stój!

- Co się dzieje? - zawołała Maria.

Odbezpieczył pistolet.

- Co się dzieje, do diabła! - zawołała znów kobieta.

Niels nie czekał, wyciągnął rękę i w ciemności chwycił kogoś za kołnierz. Mężczyzna zaczął się szamotać, wyzwolił się z jego uchwytu, uderzył go w twarz.

Maria płakała. Upadając, Niels uderzył ręką o jej nogę. Mężczyzna rzucił się na niego, próbował złapać go za głowę.

- Zapal światło! - krzyknął Niels.

Chwycił dłoń napastnika, wykręcił mu rękę, próbował wstać, ale kolejny cios w głowę powalił go na ziemię.

- Zadzwoń po strażników!

Głos należał do mężczyzny, który trzymał Nielsa mocno za rękę.

- Hannah! Włącz światło.

Nielsowi udało się wyswobodzić z uchwytu mężczyzny. Znalazł kajdanki, złapał napastnika za nadgarstek, wykręcił mu rękę. Krzyk bólu. Niels rzucił mężczyznę na podłogę.

W tym momencie Hannah nareszcie zapaliła światło.

Na w pół nagi mężczyzna próbował odsunąć się nieco od łóżka. Niels chwycił go i przykuł do żelaznej rury.

Dopiero teraz zauważył, że przerażona Maria usiłuje okryć swoje nagie ciało prześcieradłem.

- Co się stało?

Niels oddychał z trudem. Z nosa leciała mu krew, płamiąc mu koszulę. Miał rozbiegane oczy. Spojrzał na Marię, potem na niemal nagiego, dobrze zbudowanego mężczyznę koło czterdziestki. Na krześle wisiał jego fartuch, na wizytówce było wypisane jego imię i nazwisko. „Max Rothstein, ordynator”. Na niskim stoliku obok łóżka stała otwarta butelka białego wina. Po policzkach Marii płynęły łzy.

- Niech pan mi odpowie! Co tu się dzieje?

- To nie ona - wymamrotał Niels. - To nie ona.

- O co chodzi?

Niels pokazał swoją legitymację. Stał i z trudem łapał powietrze. Hannah zrobiła krok do tyłu, cofnęła się na korytarz.

- Która godzina?

- Niels, to jakieś szaleństwo.

- Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, do cholery, co tu się dzieje?

Mężczyzna był zdenerwowany.

Nagle Niels zauważył niewielki telewizor w rogu pokoju. Zdjęcia przedzierającej się przez miasto karetki, robione z góry, ze śmigłowca. I napis: *Live*.

- Zrób głośniej.

Lekarz zamierzał zaprotestować, ale Niels nie dopuścił go do głosu.

- Zrób głośniej!

Nikt nie zareagował. W końcu Niels sam podszedł do telewizora i zaczął manipulować coś przy potencjometrze.

- Jeden z negocjatorów organizacji pozarządowych poczuł się źle w trakcie końcowej fazy rokowań. Być może załamanie jest wynikiem trwającego niemal dwa tygodnie niehumanitarnego stresu, w jakim pracowano, dążąc do zawarcia umowy... Jak widzimy na ekranie karetka z chorym podjeżdża właśnie pod bramę Szpitala Krajowego.

- Boże. - Hannah westchnęła.

Lecący w śmigłowcu operator redakcji wiadomości TV2 pokazał widok zachodzącego nad miastem słońca.

- Która godzina?
- To teraz, Niels. A może...
- Gdzie jest ta karetka?
- Chcę wiedzieć, co tu się dzieje - domagał się lekarz.
- Gdzie ona jest? - spytał.
- Przy izbie przyjęć - odpowiedział Maria. - Trzeba wjechać windą na parter.

Godzina 15.51

Niels szedł, utykając. Hannah próbowała za nim nadążyć, ale dotarła do windy, kiedy on już tam stał. Wcisnął nerwowo guzik, co oczywiście niczego nie przyspieszyło. Hannah podeszła i stanęła obok niego.

*

W windzie nie padło nawet jedno słowo. Niemal bała się na niego spojrzeć. Kiedy wysiedli, przeraziła ją reakcja ludzi. Patrzyli na Nielsa zdziwieni, niemal zszokowani. Niels utykał, w rękę trzymał pistolet, nawet nie próbował zatrzymać lecącej mu z nosa krwi.

- Policja! Gdzie jest izba przyjęć?

Wszystkie ręce wskazały w tym samym kierunku. Niels pokuśtykał dalej. Hannah szła za nim. Zdażyli tuż przed przyjazdem karetki. Obok stali gotowi do działania lekarze. Dwaj policjanci na motorach, którzy torowali drogę karetce przez miasto, odjechali, robiąc miejsce dla personelu medycznego. Szklana szyba oddzielała Nielsa od podjazdu.

- Jak można tam wejść?
- Niels! - próbowała powstrzymać go Hannah.

Wyrwał się jej.

Z karetki wyniesiono nosze z pacjentem, natychmiast nachylili się nad nim lekarze.

- Nie! - zawołał Niels.

Nikt nie słyszał jego krzyku. Uderzył pięścią w szklaną szybę oddzielającą go od podjazdu.

- Gdzie są drzwi?
- Niels!
- Tutaj, na dole - zawołał ktoś.

Niels chciał biec dalej, ale Hannah powstrzymała go.

- Niels!

Spojrzał na nią.

- Czas minął. Słońce zaszło. Już kilka minut temu. Niels spojrzał na mężczyznę na noszach, który usiadł i uśmiechnął się do lekarzy. Widać było, że czuje się lepiej. Niels znał to zjawisko. Na widok lekarza człowiek zwykle czuł się lepiej.

Tuż obok stał Sommersted. Jego wzrok padł na Nielsa. Mógł się tego spodziewać.

80

Dworzec kolejowy Santa Lucia, Wenecja

Karabinierzy zagradzali mu drogę. Goście powolnym krokiem mijali podejmujących ich urzędników i policję.

- Commissario! Kardynał jest w niebezpieczeństwie - próbował wołać Tommaso, ale jego słowa ginęły w ogólnym hałasie.

Dostrzegł Flavia. Zawołał go. Może nareszcie ktoś go usłyszy. Ale Flavio też nie reagował. Stał w szeregu i patrzył, jak minister ściska dłoń szefowi policji, ociera spoconą twarz i przedstawia swoją delegację. Kolejne nerwowe uściski dłoni, pocałunki w policzek, wymiana wyuczonych grzecznościowych formułek. Kardynał stał w środku. Tommaso się rozejrzał. Nie zauważył niczego podejrzanego. Z wyjątkiem mężczyzny, który stał, chowając się za ciemnymi okularami słonecznymi. Na dworcu nie było słońca. Po co mu okulary słoneczne?

- Flavio!

Flavio nareszcie zareagował. Wystąpił z szeregu i podszedł do Tommasa.

- Co ty tu robisz? - spytał.

- Czyjeś życie jest w niebezpieczeństwie.

- Co takiego?

- Musisz mi uwierzyć...

- Okropnie wyglądasz - przerwał mu Flavio. - Jesteś chory. W ogóle nie powinno cię tu być. Powinieneś być u matki.

Tommaso odepchnął go. Mężczyzna w okularach słonecznych zniknął w tłumie. Nie, znów go zobaczył, stał teraz obok kardynała. Trzymał rękę na jakiejś torbie.

- Flavio, patrz! To on! - zawołał.

Tymczasem komisarz zdążył już zauważyć Tommasa.

- Idź już - ponaglał go Flavio. - Sam sobie szkodzisz. Słyszysz?

Orszak gości zaczął opuszczać dworzec. Mężczyzna w okularach słonecznych szedł tuż obok.

81

Piwnica, Szpital Krajowy, Kopenhaga

Pojedyncza kropla krwi skapnęła na podłogę. Sekundę wcześniej spłynęła z nosa Nielsa. Max Rothstein przyglądał się mu, kiedy Niels wyswobadzał go z kajdanków.

- Policja popełnia błędy. Podobnie jak wy - mamrotał Niels, próbując powstrzymać kolejne pytania i ostre oskarżenia, padające z ust Marii Deleuran i jej tajemnego kochanka, doktora Maksa Rothsteina.

- To prawda.

- Bardzo mi przykro.

Maria już dawno się ubrała.

- A co z... - zaczął lekarz, zerkając niepewnie na Marię. - Sporządzi pan protokół z tego zdarzenia?

Niels spojrział na niego zdezorientowany. Zastanawiał się, jaką odpowiedź lekarz wolałby usłyszeć.

- Protokół?

Lekarz odchrząknął.

- Proszę posłuchać. Mam rodzinę. Popełniłem błąd. Jeśli pan to wszystko opisze, zostanę dodatkowo ukarany.

- Nie ma takiej potrzeby. W ogóle o tym nie wspomnę. Ani słowem.

Rothstein próbował złapać wzrok Marii, ale jego słowa o rodzinie wyraźnie ochłodziły ich relacje. Hannah zastanawiała się, czy mając romans z cudzym mężem, nadal było się dobrym człowiekiem?

- A pani kim jest? - zwrócił się nagle lekarz do Hannah.

- Jestem Hannah Lund.

- Żona Gustava.

- Tak - odpowiedziała zdziwiona.

- Mieszkaliśmy kiedyś w tym samym akademiku.

- Rozumiem.

Rothstein zaczął masować swoje nadgarstki. Były czerwone i spuchnięte.

- Pozwoli pan, że spojrzę na pana nos?

Podszedł do Nielsa i obejrzał jego nos. Delikatnym ruchem poruszył jego głowę, do góry i w dół, a potem znów do góry, żeby mógł zajrzeć w kanał nosowy. Rola się odwróciły. Może o to właśnie chodziło Rothsteinowi? Może chciał odzyskać nieco ze swojej utraconej godności?

Maria wzięła kawałek waty, zrobiła z niej tampon i podała Rothsteinowi, który zatamował nim krew kapiącą z nosa Nielsa.

- Rozumiem, że to kończy sprawę? - powiedział i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł z pokoju.

Wcześniej jednak skinął głową Hannah. Jakby w geście cichego porozumienia i uznania jednego naukowca dla drugiego. Pozostawił pielęgniarkę i policjanta samym sobie.

Hol, Szpital Krajowy

Niels uparł się, że będzie siedział i czekał. Może się okaże, że gdzieś, na którymś oddziale szpitalnym, nastąpił jednak niespodziewany zgon. Siedzieli więc, nie odzywając się do siebie. Minęło kolejne pół godziny. Hannah podniosła się i wstała.

82

Dworzec kolejowy Santa Lucia, Wenecja

Słońce niemal już zaszło. Tommaso stał na dworcu, patrząc, jak śmietanka włoskiego systemu sprawiedliwości wsiada po policyjnych łodzi. Nikt nie zmarł. Mężczyzna w okularach słonecznych w końcu je zdjął i zniknął niedaleko getta.

Tommaso źle się czuł. Miał katar. Wytarł nos, zobaczył na chusteczce krew.

Miał problem z utrzymaniem równowagi. Poczował, że musi się czegoś napić, usiąść

gdzieś na chwilę w miejscu, gdzie nikt nie będzie go widział. Zauważył, że Flavio wraca. Nawet mu pomachał. Tommaso przyspieszył kroku. Wpadł na parę, która stała i się całowała.

- Przepraszam - wymamrotał.

Wyminął kolejkę do damskiej toalety. Wszedł do męskiej. Drogę zagradzał mu metalowy pałak.

- To kosztuje - usłyszał czyjś głos.

Poczuł zawrót głowy. Włożył rękę do kieszeni, szukał monet. Mężczyzna za nim zaczął się niecierpliwić. W końcu Tommaso znalazł trzy monety. Pięćdziesiąt centów. Wrzucił je do szpary. Pręt ani drgnął.

- Osiemdziesiąt centów! - wysyczał stojący za nim mężczyzna.

Tommaso wrzucił kolejne dwie monety. „80 centów” ukazało się na wyświetlaczu. Metalowy pręt ustąpił.

83

Kongens Nytorv, Kopenhaga

Choinka na sankach. Ojciec i syn ciągnęli sanki po cienkiej warstwie śniegu. Niels obserwował ich przez zaparowaną przednią szybę samochodu. Teraz powinien być w Afryce. Obchodzić Boże Narodzenie nad basenem. Pojechać oglądać lwy w pierwszy dzień świąt. Pozwolić, by Ocean Indyjski pieścił jego stopy. A on siedział i marzył w samochodzie Hannah.

- Mam poprowadzić? - spytała.

- Nic mi nie jest.

Czerwone, żółte, zielone. Wrzucił jedynekę, puścił sprzęgło, przednie koła zaczęły ślizgać się na śniegu. Na kilka sekund stracił panowanie nad samochodem, ale szybko wyprostował koła i ruszył przed siebie. Poczucie kontroli. Miał wrażenie, że je utracił. Że teraz wszystko może się zdarzyć. Gdyby puścił kierownicę, ręce zaczęłyby mu drżeć. Jeśli w tym momencie Hannah by go dotknęła, pewnie by się rozplakał. Ale Hannah go nie dotknęła, a on nie puścił kierownicy. Jechali więc dalej. Przejechali przez most nad Jeziorami. Potem wzdłuż Kongens Have, dawnego królewskiego ogrodu. Dotarli do Kongens Nytorv. Nadal żadne z nich nie powiedziało ani słowa, nagle jednak niemal jednocześnie oboje obejrzel się za Świętym Mikołajem, który minął ich z ogonem dzieci za sobą.

Na placu zainstalowano stelaże. Rozwieszono na nich zdjęcia stu miejsc na Ziemi, które mogą zniknąć w wyniku zmian klimatycznych. Z zewnątrz przenikał do nich głos mężczyzny przemawiającego do nielicznej publiczności.

- Ponad siedemset tysięcy ludzi w Sri Lance żyje z produkcji herbaty. Susza może zniszczyć plantacje.

Samochody niemal się nie ruszały. Ludzie szli przez plac obładowani prezentami. Mijali zdjęcia Wysp Salomona, gdzie miejscowa ludność żyje z rybołówstwa i plantacji kokosów, na terenach położonych zaledwie dwa metry nad poziomem morza. Mijali je i szli dalej, kierując się w stronę sklepów z antykami na Bredgade. Spoglądali na podświetlone zdjęcia jeziora Czad, które niedługo całe wyparuje, zamieniając kolejny skrawek Afryki w pustynię.

W pewnym momencie samochody nareszcie się poruszyły. Nieco niepewnie, jakby ludzie zaczęli się zastanawiać, czy może powinni jednak wyłączyć silniki, wyrzucić kluczyki i ruszyć na ratunek Wyspom Salomona. Ale po chwili wszyscy znów byli w ruchu. Gdyby nagle zapanowała cisza, może dałoby się usłyszeć odgłos ostatniego kokosa wpadającego do morza, które i tak wcześniej czy później wszystko pochłonie.

Hannah pierwsza przerwała milczenie.

- Dokąd teraz zmierzamy? - spytała, spoglądając przez szybę.

Jakby jej pytanie nie było skierowane do Nielsa, tylko do całej ludzkości.

- Nie wiem.

Spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Cały ten dzień... Przepraszam, Hannah.

- Nie musisz mnie przeproszać.

- Chciałbym cię o coś spytać.

- Tak?

Zawahał się.

- Nie chcę tej nocy być sam.

Odchrząknął. Źle to zabrzmiało. Jak zaproszenie.

- To znaczy... - zaczął. - Nie, nic...

- Rozumiem.

Spojrzał na nią. Rozumiała.

- Nie miałabyś nic przeciwko temu? Mam dodatkową kanapę. Moglibyśmy napić się wina.

Hannah się uśmiechnęła.

- Wiesz, właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że Gustav zawsze mówił: „Nie wiem”, „Przepraszam” i „Nie miałabyś nic przeciwko temu?”

84

Silos Carlsberga, Kopenhaga

- Moja żona jest architektką - powiedział Niels, kiedy drzwi windy się otworzyły i weszli do mieszkania.

Hannah nie skomentowała jego wielkości. Opadła na kanapę, jakby była u siebie w domu. Wszyscy zachwycali się panoramicznym widokiem, ale nie ona. Może widziała już bardziej szalone rzeczy, pomyślał Niels, otwierając butelkę czerwonego wina. Była astronomem, pewnie oglądała niebo spod And, widziała, jak słońca eksplodują w paśmie Oriona. Czym w porównaniu z tym był widok z jego mieszkania? Podał jej kieliszek.

- Możesz zapalić.

Poczuł cień winy. Jakby zdradził Kathrine.

Hannah podeszła do okna.

- Zawsze się zastanawiałam...

- Tak?

Podszedł bliżej.

- Kiedy patrzy się na miasto z góry, jak teraz. Albo kiedy z samolotu obserwuje się Europę nocą i widzi wszystkie te światła... Znasz to uczucie?

- Nie. Ja nie latam.

- Nie? - zdziwiła się.

Spojrzała na niego. Jakby dopiero teraz to do niej dotarło.

- Zaczęłaś coś mówić...

- Światło miast przypomina światło w kosmosie. Jeśli przyjrzymy się galaktykom, to one właśnie tak wyglądają.

Wskazała jakieś odległe punkty na horyzoncie.

- Fantastyczne obszary, niczym niewypełnione. I nagle skupisko światła. Życie. Niemal jak miasto.

Niels nie wiedział, co odpowiedzieć. Napełnił kieliszki.

- Może powinniśmy zadzwonić do Tommasa? Dowiedzieć się, czy coś znalazł? - spytał.

- Czy coś znalazł? Chyba nie mam już siły.

- Zadzwoń do niego. Sprawdź, czy odbierze.

Niels wybrał numer komórki Tommasa. Żadnej odpowiedzi. Spróbował ponownie.

- *Hello? English? Is this Tommaso Di Barbara's phone?*

- Hannah naląła sobie wina. Słyszała Nielsa w sypialni. Co on przed chwilą powiedział? Że nie lata? Nie podróżuje?

Słyszała, jak woła z sypialni.

- *What? Can I talk to him? I don't understand.*

Niels przeszedł z sypialni do łazienki. Zobaczyła jego zdziwione spojrzenie.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, próbują go znaleźć. Nie mam pojęcia, co tam się dzieje?

Hannah podążyła za nim, ale w pewnej odległości. W łazience Niels zdjął koszulę. Przyglądała się mu. Na koszuli była krew. Odwrócił się do niej plecami. Właściwie wiedziała, czego może się spodziewać, ale mimo to przeżyła szok.

- *What? No? Tommaso?*

Niels próbował ciągnąć rozmowę, ale osoba po drugiej stronie dawno już się rozłączyła. Stał w łazience, opierając się rękami o umywalkę. Hannah nie mogła oderwać od niego oczu. W końcu odwrócił się do niej.

- On... On...

- On nie żyje - dokończyła za niego.

- Skąd wiedziałas?

- Powinieneś raczej zapytać, dlaczego wcześniej się tego nie domyśliłam.

- Nie rozumiem?

- Że Tommaso miał być trzydziestą piątą ofiarą.

Podeszła ostrożnie do drzwi łazienki, weszła do środka i chwyciła dłoń Nielsa.

- Co teraz zrobimy?

- Możesz się odwrócić?

Odwróciła go delikatnie w stronę lustra. Wzięła niewielkie lusterko, stojące nad umywalką, i podała mu.

- Spójrz.

Początkowo niczego nie dostrzegł. I nagle zobaczył. Na jego plecach pojawił się jakiś znak. Na razie jeszcze niewyraźny, jakby wysypka. Ale jego kształt nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Upuścił lusterko. Rozbiło się o kamienną posadzkę. Siedem lat nieszczęścia.

Wybiegł z łazienki.

- Niels!

Ale jego już nie było. Zatrzasnął drzwi do sypialni. Wołała za nim.

- Odnależliście siebie. To oczywiste. Tylko wy dwaj zainteresowaliście się tą sprawą.

Nikt nie chciał was słuchać.

Słyszała, jak hałasuje po drugiej stronie drzwi.

- Tylko wy w to wierzyliście - powtórzyła cicho, jakby mówiła sama do siebie.

Niels szarpnął drzwiami. Miał na sobie nową koszulę. W ręku trzymał walizkę. Tę, która od dawna stała spakowana, ale której nie chciał ruszać. Teraz zmienił zdanie.

85

Ospedale dell'Angelo, Wenecja

Commissario Morante stał, trzymając w ręku komórkę Tommasa.

Ciążyła mu. Jak poczucie odpowiedzialności. Za to, co się wydarzyło. Wiedział, że zawiódł. Czuł ciężar w piersi, nie mógł zaczerpnąć powietrza. Ale są przecież różne miary odpowiedzialności, pomyślał nagle.

- Powinienem był go posłuchać - przerwał mu Flavio.

Komisarz spojrział na niego. Flavio siedział na różowym szpitalnym krześle. Czekali na lekarza, mając nadzieję, że będzie potrafił odpowiedzieć na ich pytania. Ciało martwego Tommaso znalazł szwedzki turysta. W męskiej toalecie. Krzyk turysty podobno słyhać było na całym dworcu.

- Ostrzegam, że grozi nam niebezpieczeństwo - powiedział Flavio. - Że ktoś jest w niebezpieczeństwie.

- Kiedy to powiedział? Gdzie?

- Na dworcu. Uznałem, że jest chory. Mówił pan, że został zawieszony.

- Ja tak powiedziałem? Więc to moja wina? To chciałeś powiedzieć?

Flavio spojrział na niego zdziwiony. Nigdy jeszcze nie słyszał, żeby szef tak krzyczał.

Komisarz wyprostował się, starał się opanować. Wiedział, że zostanie wszczęte dochodzenie. Zostanie przesłuchany. Będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego zawiesił Tommasa. Dlaczego nie chciał go słuchać.

Personel karetki próbował reanimować Tommasa. W toalecie. I wtedy zobaczyli jego plecy. Żeby podłączyć go do aparatury, musieli rozciąć mu kurtkę. I właśnie wtedy zobaczyli ten dziwny znak na jego plecach ciągnący się od łopatki do łopatki.

- Skóra była tak gorąca, że aż piekła - relacjonował jeden z ratowników.

Lekarz wsadził głowę w drzwi.

- Proszę do mnie!

Tak nikt w Wenecji nie zwracał się do komisarza. Ale może to jedynie przedsmak tego, co go wkrótce czekało? Degradacja. Poniżenie. Drwiące artykuły w prasie.

Nawet w takiej sytuacji Commissario Morante myślał przede wszystkim o swojej pozycji.

Kostnica

Nad wejściem wisiała girlanda. Także w pomieszczeniach medycyny sądowej obchodzono Boże Narodzenie.

Ciało Tommasa Di Barbara leżało z głową do dołu na lodowato zimnym metalowym stole.

Komisarz podszedł bliżej i zaczął się przyglądać plecom Tommasa.

- Co to takiego?

- Miałem nadzieję, że wy mi to wyjaśnicie - powiedział lekarz.

W jego głosie słychać było lekko oskarżycielski ton. Jakby to szef policji był wszystkim winien.

- A skąd ja miałbym wiedzieć?

Lekarz wzruszył ramionami.

- O tym właśnie mówił Tommaso - odezwał się Flavio matowym głosem.

Spuścił wzrok i ciągnął dalej.

- Mówił o ludziach, którzy umierali z jakimś znakiem na plecach. Bez przerwy do tego wracał. Dostał jakąś przesyłkę z Chin. Zbierał wycinki. Ale my mu nie wierzyliśmy.

W pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Jaka jest przyczyna śmierci? - spytał komisarz.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Dopóki się nie dowiem, co to jest, muszę uznać to za morderstwo.

- Morderstwo?

- Został otruty. Bo cóż innego mogłoby to wywołać?

Głęboki wydech. Flavio cofnął się w głąb kostnicy.

- Flavio!

- Tak, szefie?

- Skontaktuj się z sekretarką Tommasa. Ona dużo wie o tej sprawie. Często tłumaczyła mu różne rzeczy.

- Tak. Zaraz to zrobię.

- Skontaktuj się też z Interpolem.

Komisarz spojrział na lekarza, potem na Flavia.

- Nie mamy czasu do stracenia. Zrób to teraz.

CZEŚĆ II

KSIĘGA SPRAWIEDLIWYCH

*A zbliżywszy się, Abraham rzekł:
Czy rzeczywiście zgładzisz sprawiedliwego
współ z bezbożnymi?
Może jest w tym mieście pięćdziesięciu sprawiedliwych?
I rzekł Pan:
Jeśli znajdę w mieście Sodomie
pięćdziesięciu sprawiedliwych, przebaczę
całemu miejscu ze względu na nich.*

Pierwsza Księga Mojżeszowa

1

Vesterbro, Kopenhaga

Śnieg skrzypiał Nielsowi pod butami, kiedy szybkim krokiem niemal biegł przez parking. Nie słyszał Hannah, ale wiedział, że idzie za nim.

- Niels!

Musiał zrezygnować z pchania walizki przez śnieg, objął ją i uniósł do góry. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa, jak przeskalowana kamizelka kuloodporna.

- Od początku o tym wiedziałeś, Niels!

Hannah szła tuż za nim.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ty jesteś tym człowiekiem.

- Nie słyszysz, jak to śmiesznie brzmi?

- Śmiesznie?

- Tak. To wszystko jest po prostu śmieszne.

Zwolnił nieco.

- Dlatego że chodzi o prawdziwych ludzi? Dlatego jest to śmieszne?

Dogoniła go i chwyciła za rękę.

- To twoje słowa.

Niels nie odpowiadał. Dotarli do samochodu.

- Kiedy ostatnio gdzieś wyjeżdżałeś?

Niels nie patrzył na nią. Nie chciał jej odpowiedzieć. Hannah podniosła głos.

- Odpowiedz mi! Jeśli to takie śmieszne, to dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć?

Zaczął szukać czegoś w kieszeniach.

- Tego szukasz? - spytała, pokazując mu kluczyki.

- Do diabła, to przecież twój samochód.

- Zgadza się. Jedziemy?

Otworzyła drzwi. Niels usiadł za kierownicą, Hannah obok niego, na miejscu pasażera. Zatrzasnęła drzwi, wrzucił walizkę na tylne siedzenie, obok kartonu z dokumentami dotyczącymi morderstw.

- W porządku. Dokąd jedziemy? - spytała.

Patrzyła na niego. Czekala, aż wreszcie coś powie.

W końcu się odezwał.

- Nie jestem lekarzem - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale przecież często słyszy się o reakcjach psychosomatycznych. Zaburzonym odczuwaniu. Dziwnych stanach świadomości. Weźmy na przykład stygmaty.

Mózg Nielsa pracował na najwyższych obrotach. Nagle przypomniał sobie program, który niedawno oglądał w telewizji.

- Franciszek z Asyżu.

- Co z nim?

- W ostatnich latach życia bez przerwy krwawiły mu dłonie i stopy. Sam to sprawił. I jeszcze ten drugi. Jak on się nazywał?

Niels ukrył twarz w dłoniach, w oczach przewijały mu się kadry niedawno oglądanego programu.

- Niski, pulchny włoski mnich. Ojciec Pio! Słyszałaś o nim? To współczesna postać. Wystawiono mu nawet podwodny pomnik. Pięćdziesiąt lat cierpiął na krwawienia dłoni. Nasze ciało ma niezbadane możliwości. To właśnie jest taki przypadek. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

- Po co doszukujesz się w tym sensu?

Niels milczał.

- Kto powiedział, że wszystko musi mieć sens? - ciągnęła Hannah. - Jaki sens ma eliptyczny ruch planet wokół Słońca? Albo...

- Nie jestem człowiekiem wierzącym, Hannah. Dlatego szukam oczywistych wyjaśnień.

- Znaleźliśmy oczywiste wyjaśnienie, tylko go nie rozumiemy. Wszystkie wielkie odkrycia tak się zaczynają.

Niels pokręcił głową.

- Spójrz na to, jak na zjawisko zgodne z prawami natury.

- Z prawami natury?

- Mam na myśli uzasadniony związek między rzeczami fizycznymi. Krótko mówiąc, prawo przyrody to coś, czego nie można zmienić. Możesz krzyczeć, wrzeszczeć, ale i tak niczego nie zmienisz. Spójrz na mnie, Niels.

Posłuchał jej, ale nadal milczał.

- Dlaczego tak trudno ci zaakceptować, że jest to fenomen podlegający pewnym

ustalonym regułom?

- Jak to miałoby być możliwe?

- Tak samo jest w matematyce. Pozornie panuje w niej chaos. Trudno się połączyć. I nagle, kiedy zaczynamy nabierać dystansu do pewnych spraw, kiedy złamiemy szyfr, wtedy zaczynamy dostrzegać system. Z chaosu wyłania się pewien porządek. Okazuje się, że nic nie jest przypadkowe. Rzeczy, liczby nagle układają się w równania. Każdy matematyk zna to uczucie.

- Hannah.

Nie dopuściła go do głosu.

- Początkowo wszystko wydaje się przypadkiem. Okoliczności, w których trafiłeś na tę sprawę. Tommaso. Spotkanie ze mną. Same przypadki. A jednak wszystko jest ze sobą powiązane. Stanowi część większego systemu. To jest prawo natury.

- Przesadzasz - powiedział Niels głośno i pokręcił głową.

- Nikt z was nie podróżował - ciągnęła dalej. - Jesteście jak maszty. Tkwiecie nieruchomo i nagle zaczynacie działać. Ale wasze działania są jedynie częścią większej całości.

- Częścią większej całości?

- Pamiętasz tego żołnierza, który wypuścił więźniów i obudził w nich wiarę w...

- To tylko jeden przykład - przerwał jej Niels. - A co z Rosjaninem?

- Uratował matkę i jej dzieci, tam w teatrze. Kto wie, czego one dokonają? Podobnie jak chłopiec, któremu podano zakazane lekarstwo.

Niels milczał. Hannah mówiła dalej.

- Jesteście jak niewielkie wysepki. Przywiązani do konkretnych miejsc. Ale chronicie cały świat.

- Chronimy świat! - powtórzył Niels, patrząc na nią z drwiącym uśmiechem. - Nikogo nie jestem w stanie ochronić.

- To nieprawda. Sam mi opowiadałeś. To przecież do ciebie dzwonią, kiedy ktoś ma wszystkiego dosyć i chce popełnić samobójstwo. Podobnie było z pozostałymi. Byli lekarzami, walczyli o prawa człowieka. Rosjanin w teatrze chciał przyjąć na siebie kulę przeznaczoną dla młodej matki. Z tobą jest podobnie. Od samego początku potraktowałeś to ostrzeżenie poważnie. Jako jedyny.

Niels zauważył, że Hannah ścisła mocno jego rękę. Poluzowała trochę chwyt, ale nie puściła go.

- Stare przysłowie mówi, że najsprytniejszym posunięciem diabła...

- Jest to, że przekonał ludzi, że nie istnieje - dokończył za nią Niels.

- Największy błąd, jaki możemy popełnić, to uwierzyć, że wszystko już wiemy. Ci, którzy mają najwięcej wątpliwości, najwięcej rozterek, którzy przyznają się do swojej niewiedzy, to zwykle ci najmądrzejsi. Najwięksi geniusze.

Niels znów na nią spojrzał.

- „Bóg nie istnieje. Wszystko zaczęło się od big-bangu. Możemy podkreślić albo skrócić termostat...” - powiedziała, pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego. - Tylko głupcy są pewni wszystkiego. Żeby pojąć, jak mało wiemy, trzeba być bardzo mądrym.

- Dlatego nie wiemy, co się ze mną dzieje.

- To prawda, ale potrafimy dostrzec system. Podobnie jest z siłą ciężenia. Nie mamy pojęcia, dlaczego jest, tak jak jest. Ale wiemy, że jeśli podrzucimy piłkę do góry, to ona spadnie na ziemię. Tak więc obojętne, co zrobisz, Niels, to i tak za sześć dni wylądujesz w Szpitalu Krajowym. W następny piątek.

Niels milczał. Włączył silnik. Poczł ulgę.

- Dokąd jedziemy? - spytała, puszczając jego rękę.

W końcu spojrzał na nią.

- Na wakacje. Przydadzą mi się.

Na zachód

Kiedy wyjeżdżali z Kopenhagi, zaczęła się zadymka. Kierowali się na północ. Bloki zamieniły się w dzielnice domków, domki w wille, a wille w rezydencje, aż w końcu ustąpiły miejsca przyrodzie.

- Nie, pojedziemy jednak na zachód - zdecydował nagle Niels.

Skręcił w stronę Odense. Chciał odjechać jak najdalej od Kopenhagi.

W radiu dziennikarz opowiadał podnieconym głosem o porażce szczytu klimatycznego. Obama wyjechał. Świat czeka zagłada, twierdzili niektórzy. Może nie zasłużyliśmy sobie, żeby tu żyć? My, ludzie, niszczyciele. Słowa fruwały w powietrzu, jak płatki śniegu na zewnątrz.

- Spójrz - powiedziała Hannah cicho, jakby sama do siebie.

Zachwycona wpatrywała się w miliardy wirujących śnieżynki.

- Czy tak czuje się człowiek, szybując w przestworzach?

Światła reflektorów oświetlały mijane pola.

- Posłuchajmy muzyki - zaproponował Niels, sięgając po krążek.

- Patrz przed siebie.

- Nie masz Beatlesów? Albo Dylana? Czegoś sprzed 1975 roku?

- Mam tylko takie nagrania, których nie słuchałam, kiedy żył Johannes.

- Twój projekt...?

- Tak. Uważaj...

Samochód wpadł w poślizg, ale tylko na chwilę. Niels niemal natychmiast odzyskał kontrolę nad kierownicą.

- Prosiłam, żebyś uważał na drogę.

Niels się uśmiechnął. Hannah zapaliła dwa papierosy jednocześnie, dała mu jednego. Otworzyła szybę.

- Dziękuję - powiedział Niels.

Włączył muzykę. Monotonny pop w dziwny sposób pasował do sytuacji.

- Właściwie to chyba wszystko jedno - stwierdził.

- Co?

- Wszystko jedno, czy wpadnę w poślizg. Podobno tak czy inaczej w piątek wieczorem trafię do szpitala. Obojętne, co zrobię.

- Nie ja tak twierdzę, tylko system. Matematyka. Poza tym o mnie tam nic nie ma, a nie wiem, czy jestem gotowa, żeby... - Zawahała się.

Niels spojrzał na nią.

- Ja też nie jestem - powiedział.

*

Jechali przez małe miasteczka, jedno podobne do drugiego. Te same widoki za oknem: latarnie, dworzec kolejowy, sklep spożywczy, pizzeria, kiosk, jakby wszystkie prowincjonalne miejscowości zaprojektował jeden architekt. I to w dodatku w pośpiechu.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Żywej duszy dookoła. Nawet okna były ciemne. Ciemno było też w przychodni i u weterynarza, w aptece i pubie.

- Jest zielone.

Niels nadal stał.

- Niels?

Zjechał na bok.

- Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?

- Gdzieś, w jakimś miejscu.

- Gdzieś, w jakimś miejscu?

- Dobra nazwa dla miasteczka, nie uważasz?

- Co będziemy tu robić?

Spojrzał na nią.

- Próbowali pokonać twoją matematykę.

2

Gdzieś na Zelandii

Kathrine zawsze mawiała, że są dwa typy ludzi. Tacy, na których wizyta u lekarza działa uspokajająco, i tacy, którzy reagują na nią przerażeniem. Niels należał do tej drugiej kategorii. Starał się unikać lekarzy, przychodni, szpitali, klinik. Odkładał takie wizyty, najdłużej jak mógł. Sześć lat temu omal się to nie skończyło tragicznie. Niewinne zapalenie płuc, z którym penicylina poradziłaby sobie w kilka dni, niemal kosztowało go życie. Ponieważ nic nie zrobił, infekcja się rozszerzyła i zaatakowała całe płuca. Kiedy w końcu trafił do szpitala, był tak słaby, że lekarze zaczęli podejrzewać niezwykle agresywny nowotwór płuc.

Kathrine była na niego wściekła. Dlaczego nie zgłosił się do lekarza wcześniej?

- Należę do tej drugiej kategorii - powiedział jej wtedy.

*

Niels uderzył łokciem w szybę. Alarm jakby chwilę się zawahał, zanim zaczął wyć. Przerażająco i nieco żałośnie. Ręka Nielsa krwawiła, podobnie jak alarm zawahał się chwilę, ale zaraz zaczął przeszukiwać szuflady i szafki. W ciemności próbował odczytać etykiety leków. Prednisolon. Buventol. Terbasmin. Pod jaką nazwą sprzedaje się morfinę? Próbował zidentyfikować składniki, przeczytać zalecenia. Leki uspokajające, nasenne, na trawienie, przeciwko alergii. Kolejne opakowania lądowały na podłodze. Interesowały go jedynie te, które miały działanie przeciwbólowe. Ile czasu minęło? Policja powinna się zjawić nie wcześniej niż za dziesięć minut. Tego typu włamania nie miały wysokiego priorytetu. Niels mógł przewidzieć reakcję kolegów, kiedy usłyszeli alarm. „Cholerne ćpuny!”, zaklęli i pewnie postanowili dopić kawę. Po co się spieszyć? Jechać w taką śnieżycę, w nocy, do jakiegoś zdesperowanego narkomana szukającego czegoś, co mogłoby zaspokoić jego głód?

Niels sięgnął po kolejne opakowania. Binyrebark, baclofen, bromhexin. I znów część lądowała na podłodze, część w jego kieszeni. W końcu znalazł to, czego naprawdę szukał:

contalgin, malfin.

- Co ty tu robisz?

Ktoś zapalił światło. Ostre, nieprzyjemnie, oślepiające.

- Spytałem, co ty tu, do cholery, robisz?

Mężczyzna był młodszy od Nielsa, ale potężniej zbudowany i wściekły.

Niels nie wiedział, co powiedzieć. To się często zdarzało, kiedy dochodziło do zatrzymania. Aresztowany milczał. Czasem z powodu szoku, ale niekiedy po prostu nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć.

- Nie ruszaj się stąd. Policja jest już w drodze.

Mężczyzna stał w drzwiach. Niels zaczął się rozglądać. Nie miał innego wyjścia, musiał go wyminąć. Jak najszybciej, teraz! Podszedł bliżej.

- Stój, nie ruszaj się! - krzyknął mężczyzna.

Stał naprzeciwko Nielsa, nagle wyciągnął rękę i chwycił go za kołnier. Niels zareagował instynktownie, odepchnął rękę mężczyzny, co tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Zamachnął się i uderzył Nielsa, lekko, niezbyt celnie. Niels nie chciał się z nim bić, chciał tylko wyminąć go i wyjść na zewnątrz. Mężczyzna znów go chwycił, przez moment obejmowali się jak zapaśnicy. Mężczyzna był silniejszy od Nielsa, ale nie miał jego determinacji. W końcu Nielsowi udało się wyswobodzić z jego uścisku. I wtedy nagle mężczyzna pociągnął go tak, że uderzył o regał.

Hałas upadającego regału zagłuszył na chwilę alarm, a może Nielsowi tylko tak się zdawało? Szybko się pozbierał, stanął na nogi i odepchnął mężczyznę. Kiedy wychodził, zobaczył, że mężczyzna ma rozcięty policzek, tuż pod okiem sterczał kawałek szkła. Krew na twarzy, we włosach.

Nie zatrzymał się. Wyszedł.

Zaczął biec do samochodu. Poślizgnął się. Niemal stracił równowagę. Hannah otworzyła drzwi. Z dala słychać było wycie policyjnej syreny.

- Niels, do diabła!

Włączył silnik.

- Co się stało?

W pośpiechu opuścili miasteczko. Gdzieś, w jakimś miejscu.

Zatrzymali się na poboczu. Śnieg przestał padać, pewnie zwierzał szyki przed kolejnym atakiem. Na całym świecie panowała cisza.

Niels wypatrywał przez przednią szybę. Ciemność. Zegar w samochodzie pokazywał kilka minut po trzeciej. Połowę nocy mieli już za sobą.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie zrobiłem.

- Rób tak dalej, to może ci się uda.

- Nie rozumiem? - spytał, odwracając się do niej.

- Może właśnie takie rzeczy powinieneś robić? Złe rzeczy. Wtedy przestaniesz być dobrym człowiekiem.

Nie odpowiedział. Opróżnił kieszenie, zaczął czytać dołączone do leków ulotki.

- Chyba mam wszystko, co może mi być potrzebne.

- Po co ci to?

- Strzykawki, spirytus. Morfina. Wystarczy, żeby odurzyć słonia.

Potok słów, wyrzucał z siebie słowa. Hannah go nie słuchała, ale on mimo to mówił dalej.

- Mamy tydzień. Niecały tydzień, więc... - Urwał.

- Więc co, Niels?

- Wezmę morfinę, ukryję się na jakiejś łajbie i odpłynę.

- Odpłyniesz?

- Tak.

- Dokąd?

Wzruszył ramionami.

- Dokąd chcesz popłynąć, Niels?

- Może do Argentyny.

- Do Argentyny?

Niels miał wrażenie, że Hannah się uśmiecha.

- To długa podróż.

- Do Buenos Aires.

Hannah nie zareagowała.

- Mam tam znajomą. Opowiadała mi o zielonych jeziorach w Patagonii. Zielonych jak szmaragdy.

- Co to za znajoma?

Niels się zawahał.

- Właściwie to nigdy się z nią nie spotkałem. Odwrócił głowę, spojrzał na Hannah.

Była piękna.

Radosna, przestraszona, smutna. W kąciku oka zauważył łzę.

- Nie, odpłyniemy razem, Hannah.

- Przecież ty nie podróżujesz.

- Jeśli zapadnę w dostatecznie głęboki sen.
 - Niczego nie rozumiesz, Niels. Niczego.
- W jej oku naprawdę była łza. Teraz widział to wyraźnie.
- Prawa natury nie przejmują się tym, czy ty śpisz, czy nie.
- Otarła łzę.

3

Wielki Bełt

Niels doskonale pamiętał, kiedy w 1998 roku otwierano most przez Wielki Bełt łączący Zelandię z Fionią. Kathrine siedziała przyklejona do telewizora, zafascynowana osiemnastokilometrowym ciągnącym się po horyzont monstrualnym wiszącym mostem. Znała na pamięć wszystkie jego parametry: wznosił się siedemdziesiąt metrów ponad powierzchnię morza, odległość między pylonami, każdy o wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów, wynosiła półtora kilometra, każde z dziewiętnastu przęsła ważyło sześć tysięcy ton. Niels nie rozumiał jej zachwytu. Uważał, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Poza tym żał mu było promów. Na promie spotykało się ludzi, można było uciąć sobie pogawędkę z kierowcą tira, z politykiem, z ludźmi z różnych stron kraju.

Kathrine spędzała całe wieczory w necie, studiując mosty. Golden Gate, Ponte Vecchio, Karlsbroen, Akashi Kaikyo i South Congress Bridge w Austin, skąd każdego wieczoru o zmroku wylatywało na żer półtora miliona nietoperzy. Była przekonana, że Niels nie ma racji. Twierdziła, że most nie dzieli ludzi, tylko ich łączy.

Niels spojrzął na samochody przy kasach przy wjeździe na most. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Każdy chciał jak najszybciej przejechać na drugą stronę. Nad cieśniną właśnie wstawało słońce.

Sobota, dziewiętnasty grudnia

Pierwsze promienie słońca rzucały pomarańczową poświatę na wodę. W ciągu ostatnich dziesięciu minut kolejka do kas biletowych nawet nie drgnęła Hannah spała. Niels przyglądał się jej. Spokojna, beztroska twarz. Lekkie, niemal niezauważalne drganie powiek.

Coś jej się śniło.

W końcu dotarli do kasy.

- Dzień dobry - powiedział Niels i podał mężczyźnie kartę kredytową.

- Proszę uważać. Może być ślisko.

- Dobrze. Dziękuję.

Ruszyli w stronę Fionii.

- Niels? - odezwała się Hannah schrypniętym, zaspanym głosem.

- Śpij dalej.

Włączył radio. Świąteczna muzyka. Potem wiadomości. Głównym tematem był nadal szczyt klimatyczny. Rząd oświadczył, że spotkanie było udane, opozycja grzmiąca i mówiła o porażce. Winni byli przede wszystkim Chińczycy. Co do tego wszyscy byli zgodni. Jeden z polityków powiedział, że można było odnieść wrażenie, iż Chińczycy żyją na innej planecie. Kwestie klimatu były im całkowicie obojętne. Potem podano inne informacje: jakiś polityk domagał się reformy systemu podatkowego, inny narzekał na oszustwa w sektorze spożywczym. Na granicy ze Strefą Gazy znów wybuchły walki, przy wybrzeżu Kanady doszło do wycieku ropy. Niels postanowił zmienić stację. I wtedy nagle usłyszał komunikat. Od razu się domyślił, kogo policja poszukuje. „Mężczyzna, prawdopodobnie Duńczyk, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ubrany w dzinsy i ciemną kurtkę. Niebezpieczny”. Szczególnie to ostatnie słowo zrobiło na nim wrażenie. Mówiono o nim różne rzeczy. Że jest naiwny, dyplomatyczny, że unika konfliktów, oderwany od świata, że jest mądry, że jest głupi, maniako-depresyjny. Nikt jednak nigdy nie nazwał go niebezpiecznym.

*

Niebezpieczny. To słowo ciągle powracało. Wjechał na autostradę, przyspieszył. Złapał się na tym, że co chwila zerka w lusterko. Czy ktoś zauważył samochód na parkingu przed przychodnią? Początkowo był pewien, że jedyną osobą, która go widziała, był mężczyzna w aptece. Ale on widział jego, nie samochód. Potem jednak zaczął mieć wątpliwości. Może jednak mężczyzna wstał i podszedł do okna? Może zdążył zapisać numer rejestracyjny? Cała sytuacja była nieprzyjemna. Znów zaczął się zastanawiać, a kiedy po chwili zjechał z głównej drogi, był już pewien, że jednak widział zarys jego sylwetki w oknie. Jeśli rzeczywiście spisał numer rejestracyjny samochodu, wszystko rozegra się szybko. Policja odnajdzie samochód w ciągu kilku godzin, tym bardziej że Niels został określony jako niebezpieczny. Nagle poczuł, że zdrętwiały mu nogi. Postanowił zjechać na pobocze i rozprostować kości. Postanowił coś jeszcze: nie mówić Hannah, że są poszukiwani.

Dojechali nad wodę. Niewielki port. Kerteminde.

- Niels?

Hannah obudziła się, kiedy Niels się zatrzymał.

- Gdzie jesteśmy?

- Dzień dobry. Pomyślałem, że napijemy się kawy. I zastanowimy się, co dalej.

Hannah się przeciągnęła. Wyglądała na szczęśliwą. Dlatego że wspomniał o kawie? Tego nie potrafił powiedzieć.

Niewielki kiosk w porcie. Hannah została na zewnątrz, kiedy Niels wszedł do środka. Dziewczyna za ladą przyglądała mu się podejrzliwie. A może tylko mu się tak wydawało? Wiedział, że informacje o poszukiwanych osobach przekazywane są do wszystkich stacji benzynowych, ale do kiosków? Może jednak dziewczyna miała pod ladą kartkę z jego rysopisem? Albo na laptopie, obok okna. Próbował złapać jej wzrok. Czyżby mu się przyglądała? Próbowała oszacować, ile ma wzrostu. Ile waży? Spróbował się odprężyć. Rozluźnić się, nie napinać mięśni twarzy. Skutek był łatwy do przewidzenia. Wyglądał jak robot na granicy załamania psychicznego. Kiedy wyszedł, oczyma wyobraźni widział, jak dziewczyna biegnie do telefonu i dzwoni na policję. Wyparł myśl i podszedł do Hannah.

- Tak daleko dojechaliśmy? - powiedziała.

Słysząc było, że jest zmęczona.

- Wypałaś się? - spytał, podając jej plastikowy kubek.

- Trochę.

Poruszyła głową, chciała rozruszać sztywne mięśnie karku.

- Zimno ci?

- Nie. Wszystko w porządku.

Patrzyli na wodę. Niedługo na powierzchni utworzą się niewielkie kryształki lodu i zatoka zamrze. Niels włączył komórkę. Żadnych nowych wiadomości.

- Miałam kiedyś w Instytucie kolegę - zaczęła opowiadać Hannah.

Stała i przyglądała się rybakom, którzy szykowali się do wypłynięcia w morze. Jeden z nich pomachał do niej. Hannah mu odmachwała.

- Otóż ten kolega nie potrafił nikomu niczego odmówić. Jakby nie znał słowa „nie”. Zawsze, kiedy ktoś go o coś prosił, odpowiadał: „tak”.

Zamilkła na chwilę.

- To naprawdę był poważny problem. Nie potrafił sobie z tym poradzić. Na wszystko się godził, a potem nie był w stanie się z tego wywiązać. Brał udział we wszystkich konferencjach, w komisjach, zebraniach. W końcu...

Urwała i spojrzała Nielsowi w oczy.

- W końcu ludzie się od niego odwrócili - dokończyła.

- Do czego zmierzasz?

- Dobroć też może być problemem, Niels. Do tego zmierzam. Jego dobroć stała się w pewnym momencie problemem dla całego Instytutu. Wkrótce zaczęliśmy odbywać zebrania bez jego udziału. Żeby go oszczędzić. Rozumiesz?

- Chyba nie.

- Czym jest dobroć?

Niels pokręcił głową i zaczął się wpatrywać w żwir pod nogami.

- Filozofka, Hannah Arendt, pisze o banalności zła. *The Banality of Evil*. Według niej większość ludzi jest w stanie czynić zło. Ta szczególna cecha dochodzi do głosu w odpowiednich okolicznościach, a może raczej w nieodpowiednich. A co z dobrocią? Banalność dobra? Kiedy myślę o moim koledze i o tobie, mam wrażenie, że wy po prostu nie macie własnej woli. Nie macie wyboru. Jesteście dobrzy. Tylko czy dobroć zawsze jest dobra?

- Hannah.

- Zaczekaj chwilę. To ważne. To nie jest twój wybór. Nasze rozumienie „dobroci” i „dobrego uczynku” ma charakter egzystencjonalny. Zakłada, że człowiek ma wybór. Ale ty nie masz wyboru. Jesteś pionkiem w grze, której reguły ustalili inni, czy raczej jakaś inna siła. Paradoks historii o Hiobie polega na tym, że Bóg, odbierając mu wszystko, myślał właśnie przede wszystkim o nim. Z wami jest podobnie. Z tobą też, Niels. Zostałeś pozbawiony wolnej woli, możliwości przemieszczania się.

- Przestań!

- Obecnie twierdzi się, że większość więźniów cierpi na DAMP albo na ADHD. Często są to ludzie autystyczni. To zaburzenia neuropsychologiczne, które dopiero niedawno zaczęliśmy rozumieć. A co jeśli się okaże, że decydujemy o sobie w znacznie mniejszym stopniu, niż nam dotychczas się wydawało? Co, jeśli większość naszych działań jest uwarunkowana biologicznie?

- Hannah! - usiłował przerwać jej Niels.

- Tak?

- Jeśli ciągle będziesz do tego wracać, ja będę ciągle o tym myśleć.

Hannah się uśmiechnęła.

- Jesteśmy na wakacjach, okej?

- Okej.

Znów się uśmiechnęła.

- Ruszajmy dalej.

Wrócili do samochodu, wsiedli do środka. Siedzieli chwilę, napawając się lodowatym wiatrem. Niels miał właśnie włączyć silnik, kiedy Hannah nagle odwróciła głowę.

- Kto to jest? - spytała, patrząc gdzieś poza nim.

- Gdzie?

- Tam za tobą. Idą w naszą stronę.

Niels też się odwrócił. Obok samochodu stało dwóch policjantów. Jeden nachylił się i zapukał w szybę.

4

Nyborg

Miejsce miało potencjał. Początkowo Niels tego nie dostrzegał, ale teraz widział to wyraźnie.

Cela przypominała pokój klubowy. Była tylko może nieco większa. Nie miała w sobie nic z Alcatraz. Żadnych krat, żadnego szczęku kluczy, odgłosów wojskowych butów, sadystycznych strażników. Żadnych psychopatycznych współwięźniów z tatuażami na twarzach, odsiadujących kary za poczwórne morderstwo, którzy tylko czekali, żeby w nocy, kiedy zaśnie, rzucić się na niego, żadnych nerwowych szeptów, gdy korytarzem prowadzono skazanego na śmierć więźnia. Zwyczajny pokój, cuchnący rzygowinami. Niels rozejrzył się po areszcie. Cela była czysta, odór rzygowin nie dawał się łatwo usunąć. Pewnie jakiś miejscowy pijaczyna postanowił zostawić swoją cuchnącą wizytówkę, a może jakiś kawalerski wieczór wymknął się komuś spod kontroli. Areszt był trochę jak hotel. Ludzie przychodzili, zostawiali tu na jakiś czas, a potem go opuszczali. Dzisiejszym gościem był Niels Bentzon.

Znów zaczął się rozglądać. Leżanka, krzesło, stół, szafa, cztery gołe ściany. Na jednej z nich ktoś napisał tuszem: „Policja suks”, nie przejmując się pisownią. Widać było też, że ktoś inny starał się usunąć napis, ale bez większego skutku. Niemniej miejsce miało potencjał. Wystarczyło, że wrzucą mu kilka konserw i zapomną o nim na tydzień. Na przykład ktoś zgubi kluczy...

Gdzie jest Hannah? - zastanawiał się. W jakimś innym miejscu odosobnienia? Może jest przesłuchiwana? A może ją zwolnili? Myśli nie dawały mu spokoju. Zastanawiał się, jak

to możliwe, że tak szybko ich znaleźli? Może dziewczyna w kiosku rzeczywiście zawiadomiła policję? O ile dobrze pamiętał, przeprawy przez mosty nie są nadzorowane. W końcu się poddał. Dawno już nie brał udziału w tego typu akcjach, a ostatnie lata przyniosły ogromny rozwój nowych technologii. Może wytropił nas jakiś satelita, pomyślał jeszcze na koniec.

W celi było zimno. Komenda najwyraźniej oszczędzała na ogrzewaniu. A może było to częścią jakiejś przemyślanej taktyki? Skoro nie można było uprzykrzyć życia więźniom, głodząc ich czy bijąc, to można było przynajmniej przykręcić nieco ogrzewanie. Niels też znał różne sztuczki.

Usłyszał, że drzwi się otworzyły. Do celi weszła kobieta. Lisa Larsson. Tak mogłaby się nazywać gwiazda porno, pomyślał, kiedy kobieta mu się przedstawiła. Albo szwedzka autorka kryminałów. Kobieta się uśmiechnęła. Poprosiła, żeby poszedł z nią. Była uprzejma, ale jej głos nie brzmiał sympatycznie.

*

- Jest pan policjantem?

Lisa Larsson, młoda, ładna kobieta, o chłodnym spojrzeniu, wyglądała na autentycznie zdziwioną. Niels spojrzał na krasnoludki w oknie, świąteczne dekoracje, w końcu zbliżało się Boże Narodzenie.

- Tak. Jestem policyjnym negocjatorem. Negocjuję, kiedy ktoś weźmie zakładników lub grozi popełnieniem samobójstwa.

- Dlaczego nam pan tego nie powiedział? - spytał Hans.

Hans był w średnim wieku i przypominał Nielsowi swojego dawnego nauczyciela, ale to było w jego poprzednim życiu.

Policjant stał i przeglądał papiery, drapiąc się po zadbanej, krótko przystrzyżonej brodzie. Zapuścił ją, mając nadzieję, że przyda mu nieco powagi, skoro natura mu jej poskąpiła.

Niels wzruszył ramionami.

- Jak to się stało, że tak szybko mnie znaleźliście?

Policjant zignorował jego pytanie.

- Pracuje pan w Kopenhadze?

- Tak.

Funkcjonariusz i funkcjonariuszka spojrzeli na siebie. Mijały kolejne krępujące sekundy. Niels nie zdziwiłby się, gdyby teraz go wypuścili. Na pewno zaszło nieporozumienie. Czuł to w powietrzu. Przecież policjanci nie popełniają przestępstw, to było

powszechnie wiadomo. Na pewno czuli się skrępowani, kiedy tak przed nimi siedział. Widział to w ich spojrzeniach. I doskonale ich rozumiał. W końcu był ich kolegą po fachu. Pewnie czuli się trochę jak zdrajcy. Do czego to podobne, żeby koledzy aresztowali kolegów? Nie dość, że już i tak nikt nie lubił policji.

- W Kopenhadze? - powtórzył policjant, poprawiając okulary. - U Sommersteda?

- Tak. Zna go pan?

- Trochę. Nie przyjaźnimy się, ale od czasu do czasu wpadamy na siebie przy różnych okazjach.

- Sommersted raczej nie ma przyjaciół - powiedział Niels i spróbował się uśmiechnąć.

- Co się stało w przychodni? - spytała Lisa.

Pozycja Nielsa najwyraźniej nie zrobiła na niej większego wrażenia.

Spojrzał na nią. Pewnie świeżo po szkole. Przestrzega zasad. Ma je świeżo w pamięci. Postanowił, że podczas rozmowy będzie patrzył tylko na nią. Nie miał nic przeciwko zasadom, natomiast nie miał ochoty rozmawiać z Hansem.

- Co on powiedział? Ten facet, na którego wpadłem.

- Allan...

Lisa przerzucała jakieś notatki. Zdolna, skuteczna. Na pewno chciała awansować. Nie zostanie tu, na Fionii, ryzykując, że za dwadzieścia lat będzie stała pod miejscową knajpą i prosiła podpitych gości o dmuchanie w alkomat.

- Allan powiedział, że mniej więcej o w pół do drugiej w nocy włamał się pan do apteki przy przychodni, pobił go i uciekł. Z tym w kieszeni.

Lisa pokazała ręką na stół, na którym leżała morfina, obok niej strzykawki i kilka opakowań jakichś tabletek. Niezbity dowód, że mają przed sobą narkomana. Niels nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Rzeczywistość była zbyt skomplikowana, jak zwykle zresztą.

Milczenie. Hans wstał.

- Zadzwoń do Sommersteda.

Zniknął w gabinecie obok i niemal natychmiast wrócił.

- Pański szef chce z panem rozmawiać.

Policjant wskazał głową na drzwi do sąsiedniego pokoju.

Niels wziął do ręki słuchawkę. Wiedział, co teraz nastąpi. Sommersted będzie próbował być miły i wyrozumiały, co zawsze kiepsko mu wychodziło. Słyszał w słuchawce jego szybki, urywany oddech.

- Bentzon?

- Tak?

Niels słyszał uległość w swoim głosie.

- Co się dzieje?

- Wiem.

- Co wiesz?

- Że zostałem zatrzymany za włamanie do apteki.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Sommersted łagodnie. Ale zaraz wrzasnął: - Co ty, do cholery, wyprawiasz? I co robisz na Fionii?

Niels nie odpowiadał. Uznał, że milczenie będzie lepsze, niż gdyby miał teraz zacząć mu wszystko tłumaczyć. Zresztą, co miałby mu powiedzieć?

- Czekam, Bentzon - powiedział Sommersted, już nieco bardziej opanowanym głosem.

- Chodzi o te morderstwa, których ofiarą padają dobrzy ludzie.

- Znów?

Teatralne westchnienie.

A potem milczenie, jakby Sommersted zbierał siły. Niels czuł to wyraźnie. I nie pomylił się.

- Więc jednak mają rację.

- Kto?

- Chodziło o lekarstwa. Potrzebowałeś ich dla siebie. Jesteś chory, Niels.

- Nie.

- Mam wrażenie, że jednak tak.

Sommersted wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Niels niemal słyszał to w słuchawce.

- Masz wrócić do Kopenhagi. Rishøj odwiezie cię do mostu, gdzie odbierze cię Leon.

- Rishøj?

Niels spojrział na Hansa, który stał i się uśmiechał. Wszystko stało się jasne.

- Tak. Macie natychmiast wyruszyć. Spotkamy się w komendzie za... Zadzwoń, kiedy będziecie się zbliżać. Niestety, nie objedzie się bez przesłuchania.

Niels już go nie słuchał. Miał w głowie tylko jedno zdanie: „Masz wrócić do Kopenhagi”.

- Nie wrócę do Kopenhagi.

- Jak to?

Sommersted brzmiał poważnie.

- Nie wrócę do Kopenhagi.

Niels się rozłączył. Stał i rozglądał się dookoła. Miejscowy komisariat. Policyjny domek na prerii. Kilka komputerów. Na ścianach rysunki dzieci i wnuków. Wycinki z miejscowej gazety. „Policja walczy z otyłością”, przeczytał ze zdziwieniem, ale nie miał siły zagłębiać się w tekst. Zastanawiał się tylko, jak to miałyby się odbywać? Czyżby policja zaczęła karać grubasów mandatami?

- Musimy jechać - powiedział Rishøj niemal przepaszająco.

Niels nadal stał.

- Niels? Pańska żona czeka w samochodzie.

- To nie jest moja żona.

Rishøj włożył kurtkę.

- Wiem, że to zabrzmi kretyńsko - zaczął Niels - ale co, gdybym tak poprosił, żebyście zatrzymali mnie tu do soboty rano? - spytał Niels.

5

Fionia

Śnieg na północy Fionii nie był niczym przyjemnym. Wokół komisariatu białe kryształki zmarzniętego śniegu mieszały się z grudkami ziemi. Świat nie był biały, tylko jasnobrązowy.

Radiowóz nosił ślady błota i śniegu. Hannah siedziała z przodu. Niels nieco się zdziwił, bo było to sprzeczne z regulaminem, ale pewnie wynikało to z tego, że Rishøj potraktował ich raczej jak przyjaciół niż jak wrogów. Hannah milczała, kiedy on i Hans wsiadali do samochodu. Niels usiadł z tyłu, gdzie drzwi nie otwierały się od środka.

Kluczyk w stacyjce. Lisa została w pokoju. Zgodnie z regulaminem powinna jechać z nimi. Dwóch funkcjonariuszy na jednego więźnia. Więzień. Słowo wydało mu się nie na miejscu.

Starszy policjant odwrócił się, by móc jednocześnie obserwować i Hannah, i Nielsa. Nauczyciel, zabierający dzieci na wycieczkę. Niels miał wrażenie, że zaraz powie: „Za godzinę będziemy zwiedzać dom Hansa Christiana Andersena. Czy wszyscy wzięli ze sobą drugie śniadanie? I mleko?” Hans oczywiście tego nie powiedział. Wyznał im tylko, że sytuacja jest dość niecodzienna i że pierwszy raz czegoś takiego doświadcza.

Hannah i Niels patrzyli na siebie. Każde miało nadzieję, że to drugie w końcu coś powie. I oboje milczeli. Co jednak zdawało się nie przeszkadzać Hansowi.

- Tutaj niewiele się dzieje - zaczął się im zwierzać. - Czasem młodzi trochę porozrabiają, czasem się pobiją. Zdarza się też, że wzywają nas do Vollsmose, jeśli arabskie gówniarze przesadzą. Prawdę mówiąc, to na ogół dobre dzieciaki, właściwie większość, tylko się nudzą. Przydałby się tam jakiś klub młodzieżowy albo chociaż boisko z prawdziwego zdarzenia. No, ale nie o tym mieliśmy rozmawiać.

Niels spojrział na niego. Hans się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie człowieka, który już dawno stracił jakikolwiek kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Starsi, nieco zagubieni funkcjonariusze powinni w odpowiednim czasie zrzucić mundur i oddać się innym zajęciom. Zamiast zwalczać arabskich gówniarzy, powinni zająć się zwalczaniem chwastów w swoich ogródkach.

*

Kiedy Rishøj przestawał mówić, zapadało milczenie. Śnieżyca przybierała na sile, z okolicznych pól nawiewał śnieg, samochody poruszały się powoli.

Rishøj znów zaczął opowiadać. Mówił o swojej córce, która była fryzjerką. Hannah od czasu do czasu mu przytakiwała. Niels w ogóle go nie słuchał. Zastanawiał się, co się stanie, kiedy dotrą do Kopenhagi. Właściwie wiedział, co go tam czeka. Miał przed oczami wściekłego Sommersteda. Widział pogardę w oczach Leona. No i to najgorsze: na pewno skierują go na badania psychiatryczne do Szpitala Krajowego. Nie chcę umierać! - miał ochotę wykrzyknąć. Coś jednak go powstrzymywało.

- Jeden z pana kolegów będzie czekać po drugiej stronie mostu - odezwał się Rishøj. - Zawiezie was do Kopenhagi.

Hannah odwróciła się do Nielsa.

- Widzisz - powiedziała. - Nie ma znaczenia, co zrobisz. Wracamy.

- Tak jak to przewidziałaś.

- Musisz zrozumieć, że to jest coś silniejszego od nas. Coś, czego nie znamy. Teraz chyba też to czujesz.

- Próbujesz mnie pocieszyć?

- Tak.

- Okej.

Rishøj spojrział na Hannah zdziwiony.

Niels miał ochotę skulić się w pozycji płodowej. Za dwie godziny będzie w Kopenhadze. Zbliżali się do mostu, widział już kolejki do kas. Jeśli przejadę na drugą stronę,

to koniec ze mną, pomyślał Niels.

Przed mostem ustawiła się długa kolejka samochodów.

- Co tu się dzieje? - spytał Rishøj.

- Może wstrzymano ruch z powodu złej pogody? - zastanawiała się Hannah.

Policjant pokiwał głową. Siedział i niecierpliwie bębnił palcami o kierownicę.

- Czas na fajkę - wymamrotał w końcu i otworzył drzwi. - Ktoś jeszcze jest chętny? - spytał.

Niels skinął głową.

Hannah miała rację. Most był czasowo zamknięty z powodu złej widoczności.

- Zadzwoń do twoich kolegów po drugiej stronie - oznajmił policjant. - Żeby nie pomyśleli, że o nich zapomnieliśmy.

Rishøj odszedł na bok i wyjął komórkę.

- Jesteś gotowa? - wyszeptał Niels do Hannah.

- Co ci chodzi po głowie?

- Nie przejadę przez ten most.

- Niels, cokolwiek zrobisz...

Hannah nie zdążyła dokończyć zdania, bo właśnie wrócił Rishøj.

- Podobno wiatr nieco się uspokaja - powiedział. Znalazł fajkę i teraz próbował ją zapalić. Zapalniczka kaprysiła. Niels postanowił wykorzystać sytuację.

- Mam zapalniczkę w walizce, w bagażniku.

Rishøj skinął głową, wyjął kluczyki. Niels otworzył bagażnik, sięgnął po walizkę, otworzył ją.

- Chyba znów zaczyna sypać - zauważyła Hannah. Policjant spojrział bezradnie na północ. Kiedy się odwrócił, znalazł się na linii strzału, tyle że nawet nie zauważył broni Nielsa. Dawno już stracił swoją czujność policjanta. Miał szczęście, że pozwolono mu nadal pracować.

- Cieśnina zawsze jest najbardziej narażona - mamrotał pod nosem. - Mam łódkę w Kerteminde i zawsze...

Niels musiał unieść nieco pistolet i stuknąć policjanta lekko w ramię. Dopiero wtedy dotarło do niego, co się dzieje. Nie przestraszył się. Nawet się nie zdziwił. Po prostu nie był w stanie tego pojąć.

- Wsiądź do wozu - rozkazał Niels.

- Co?

- Usiądź na tylnym siedzeniu.

- Dlaczego? - spytał niemal szeptem.

Niels nie odpowiedział. Otworzył drzwi.

- Daj mi kluczyki.

- Ale...

- Teraz!

Niels podniósł nieco głos. Inaczej nie miałby szansy przebić się przez gruby pancierz, który od lat już odgradzał policjanta od rzeczywistości.

Stuknięcie, które rozległo się, kiedy Niels otwierał tylne drzwi, sprawiło, że nagle w oczach starego policjanta pojawił się błysk. Niels natychmiast spostrzegł zmianę. Wzrok policjanta stał się bardziej uważny. Prawdę mówiąc, Niels oddał mu przysługę. Obraz świata, jako wielkiego grajdołka, gdzie wszyscy w gruncie rzeczy są dobrzy, nagle się rozsypał. Pozostało poczucie zawodu. „Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie”, zdawał się mówić jego wzrok.

- Wejdz do samochodu - powtórzył Niels spokojnie, ale stanowczo.

- Ale dlaczego?

- Dlatego że nie zamierzam wracać do Kopenhagi. Zamierzam uciec.

Pochylił się do przodu i kolbą pistoletu zmiażdżył policyjne radio.

- Daj mi swoją komórkę - zażądał.

Uderzenie zaskoczyło Nielsa. Poczul świdrujący ból, szum w lewym uchu.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - wrzeszczał Rishøj. - Próbujesz zamknąć mnie w radiowozie?

Kolejne uderzenie. Silniejsze niż poprzednie. Niels się zachwiał, pistolet wypadł mu z ręki. Rishøj manipulował coś przy swojej broni. Wtedy Niels się odwrócił i uderzył.

- Niels!

Głos Hannah doszedł go jakby z innego świata, chociaż przecież stała tuż obok niego. Potrzebował sekundy, żeby zebrać myśli. Morfina. Strzykawki. Leżały w samochodowym schowku. Zobaczył, że Rishøj siedzi i płacze, z bólu i z poczucia bezradności. Szybko znalazł morfinę. Ktoś włożył ją do sterylnej plastikowej torebki. Miała służyć jako dowód.

- Walizka!

- Co?

Chwycił walizkę jedną ręką, drugą pociągnął za sobą Hannah. Zaczęli uciekać. Przeskoczyli barierkę przy drodze i zaczęli biec przez zamrożone pola. Kiedy Niels w pewnym momencie się odwrócił, zobaczył przez ramię, że stary policjant stoi i mierzy do nich z pistoletu.

- Hannah, on chyba...

Odgłos strzału. I zaraz kolejny.

- On do nas strzela! - zawołał Niels.

Ruszyli biegiem i wkrótce zniknęli w śnieżnej zadymce.

*

Ich buty zapadały się w miękkim śniegu.

- Biegnie za nami? - spytała Hannah, odwracając się.

- Zaraz będzie droga.

- Gdzie?

Hannah płakała.

Niels był zdyszany. Ale przecież w Danii zawsze w pobliżu jest jakaś droga, pomyślał.

Biegli dalej. Zostawili za sobą drzewa i wkrótce dotarli do przydrożnego parkingu.

- Co teraz? Może zabierzemy się z kimś samochodem albo...

Urwała, bo właśnie w tej chwili usłyszeli warkot nadjeżdżającego autobusu.

- Kawaleria - wymamrotał Niels pod nosem i wystawił rękę.

Autobus zjechał na pobocze, zatrzymał się. Tylko na prowincji zdarzały się jeszcze takie sytuacje.

- Padł wam samochód na tym mrozie? - spytał kierowca z typowym fiońskim zaśpiewem. - Podrzucę was do stacji. Tam złapiecie pociąg do Odense.

- Dziękujemy - powiedział Niels.

Wsiadł pierwszy, starał się unikać wzroku kierowcy.

Usiedli na tylnym siedzeniu. Drogi były oblodzone, kierowca jechał powoli. Natomiast serce Nielsa pracowało w przyspieszonym rytmie. Powolna jazda nieco go uspokoiła.

Często rozmawiał z zawodowymi przestępcami, którzy mieli najróżniejsze rzeczy na sumieniu. Napady na banki, na transporty pieniędzy, na sklepy jubilerskie. Najczęściej napad się udawał, tylko potem dołączała panika. Taka była ludzka natura. Kiedy człowiek zrobił coś złego, chciał jak najszybciej uciec z miejsca zbrodni. I wtedy wpadał w panikę.

Autobus zatrzymał się na niewielkim dworcu, kierowca i pasażerowie wysiedli.

Hannah i Niels weszli do mikroskopijnej poczekalni. Automat z kawą nie działał. W poczekalni cuchnęło uryną.

- Stacja kolejowa jest po drugiej stronie. Musimy kupić bilety. Dokąd pojedziemy? - spytał Niels.

Hannah dotknęła jego wargi.

- Jest rozcięta.

Niels pokiwał głową. Kręciło mu się głowie. Stary policjant uderzył go z dużą siłą.

- Właściwie nie musisz... - zaczął i urwał.

- Czego nie musisz? Uciekać z tobą?

- Tak. Ciebie nikt nie goni.

- Nie „nikt” tylko „nic”. Gdyby to był „ktoś”, nie byłoby mnie tutaj. Ale skoro to jest „coś”, to sprawa od razu staje się bardziej interesująca.

- Na tyle, że gotowa jesteś iść do więzienia? Nigdy nic nie wiadomo.

- W razie czego powiem, że mnie porwał.

*

Pociąg zatrzymywał się za każdym razem, kiedy dwa domki leżały na tyle blisko siebie, że może było nazwać je osadą. Im jednak to nie przeszkadzało. Siedzieli naprzeciwko siebie i było im dobrze razem. Niels zerkał na nią, kiedy sądził, że ona tego nie widzi. Ale ona widziała. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Niels wyprostował się i zaczął wyglądać przez okno. Kiedy wjechali w tunel, zobaczył jej odbicie w szybie. Patrzyła na niego. Podobało mu się to.

- Spójrz na mnie.

Posłuchał jej. I znów siedzieli i patrzyli na siebie. Tunel wydał im się bardzo długi. Nagle Niels przypomniał sobie Kathrine. Poczł wyrzuty sumienia. Spróbował sobie wyobrazić, że to Kathrine siedzi naprzeciwko niego. Ale widział tylko Hannah.

Nagle wspomnienie zdarzenia z dzieciństwa przyszło mu z pomocą.

Zaczął mówić, szybko, jakby się bał, że jeśli choć na chwilę przestanie, Hannah rzuci się na niego i zedrze z niego ubranie.

- Miałem sześć lat. Ja i moja mama jechaliśmy autokarem do Costa Brava. Już we Flensburgu zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Był późny wieczór. Większość pasażerów spała. Obudziłem się, bo było mi niedobrze. Miałem wrażenie, że się duszę. Mama się przestraszyła i poprosiła kierowcę, żeby się zatrzymał. Pasażerowie byli niezadowoleni. Jechali na wakacje i nie chcieli się zatrzymywać, bo jakiemuś chłopcu zrobiło się niedobrze. Kiedy jednak zobaczyli, jak ten chłopiec, czyli ja, leży na podłodze i z trudem łapie powietrze, zamilkli.

Niels spojrzał na Hannah, po chwili znów mówił dalej.

- Wezwano karetkę. Było trochę zamieszania, bo okazało się, że duńska karetka nie może wjechać do Niemiec. W końcu autokar musiał zawrócić. Przeniesiono mnie przez

granicę. Byłem chyba nieprzytomny. W każdym razie w ogóle tego nie pamiętam. Kiedy po kilku godzinach obudziłem się w szpitalu w Aabenraa, czułem się znakomicie.

- Nie możesz poruszać się poza wyznaczonym terenem. To fantastyczne.

Niels spuścił wzrok.

- Przepraszam. Chciałam powiedzieć, że to fascynujące. Jako zjawisko.

- Być może.

Niels nie był przekonany, czy chce być fascynującym zjawiskiem.

- Co z waszymi wakacjami? - spytała Hannah, jakby nagle przypomniała sobie, że sprawa miała też czysto ludzki wymiar.

Niels wzruszył ramionami.

- Spędziliśmy tydzień w letnim domku. Łowiłem kraby w fiordzie. To był istny pogrom. - Roześmiał się na samo wspomnienie. - Potem było trochę lepiej. Kiedy dorosłem. Teraz jestem w stanie dojechać do Berlina. Chociaż nie czuję się tam najlepiej.

*

W Odense przesiedli się na pociąg do Esbjerg. Niels usiadł obok Hannah. Nie naprzeciwko, tylko właśnie obok, plecami do kierunku jazdy.

- Wyobraź sobie bardzo długi wagon, bez przedziałów - powiedziała nagle Hannah. - Jedno długie pomieszczenie. Jeśli staniesz na środku, będziesz widział oba jego końce.

- Stoję w pociągu?

- Nie, ty stoisz na peronie. W pociągu stoję ja.

Hannah wstała. Pasażerowie patrzyli na nią, ale ona się tym nie przejmowała.

- Wyobraź sobie, że w każdej ręce mam latarkę.

Hannah stała, trzymając w dłoniach wyimaginowane latarki.

- Rozumiesz? Latarki świecą każda w swoją stronę. Jedna w stronę czoła wagonu, druga w stronę jego końca. Wagon jest bardzo długi.

Pozostała trójka pasażerów wciągnęła się w jej opowieść. Odłożyli na bok gazety i laptopy i przyglądali się jej z zainteresowaniem.

- Stoicie na peronie. Pociąg jedzie szybko. Wagon jest bardzo długi. Tak?

- Tak.

- Pociąg przyspiesza. Stoicie na peronie. Kiedy jestem na waszej wysokości, zapalam obie latarki, dokładnie w tym samym momencie.

Hannah zamilkła na chwilę, dając swoim słuchaczom czas na zastanowienie się.

- Która wiązka światła pierwsza dotrze na miejsce?

Niels miał już odpowiedzieć, kiedy uprzedził go siedzący obok drzwi młody

mężczyzna.

- Wiązka, która trafi w koniec wagonu.

- Tak. A dlaczego?

- Bo pociąg ją dogoni, podczas gdy jego przód od niej odjeżdża.

- Zgadza się!

Hannah weszła w rolę wykładowcy, w której czuła się najlepiej. Przekazywała wiedzę, teoretyczne rozważania, myśli.

- A teraz wyobraźcie sobie, że to wy stoicie w pociągu. I trzymacie w rękach latarki. Pociąg mknie. Zapalacie latarki, wszyscy w tym samym momencie. Która wiązka dotrze szybciej na miejsce? Ta z latarki zwróconej ku końcowi, czy ta skierowana na czoło pociągu?

Kilka sekund ciszy.

- Obie dotrą na miejsce jednocześnie - wykrzyknął nagle Niels.

- Tak.

- Optyczne złudzenie? - spytał ktoś za plecami Nielsa.

- Nie, to nie jest złudzenie. Obie sytuacje są prawdziwe. Tylko wszystko zależy od punktu, w którym się stoi. Czyli jest względne. - Hannah się uśmiechnęła.

*

Teoria względności wypełniła im drogę na Jutlandię. Hannah tłumaczyła Nielsowi, że ludzie zapominają, jak w gruncie rzeczy niewiele wiedzą. Einstein stworzył swoją teorię ponad sto lat temu. I mimo że niewielu ludzi ją naprawdę rozumie, zmieniła ona całkowicie nasze widzenie świata.

Hannah mówiła i mówiła. Była nie do powstrzymania. Jakby uznała, że jej zadaniem jest przekonać go, jak niewiele wie.

Zapomnieli o czasie. Kiedy kolejnym razem wyrzeli przez okno, ogrodzenia domów były białe i wysokie, w typowym dla Jutlandii ranczerskim stylu.

Trudno było przewidzieć, kiedy znów ktoś ich znajdzie. Niels miał jednak nadzieję, że minie przynajmniej parę dni, może nawet tygodni. Ich ucieczka na pewno nie była aż tak ważnym wydarzeniem. Poza tym cały czas pojawiały się nowe sprawy, pilniejsze, ważniejsze. Chociaż wiedział, że wcześniej czy później na pewno zostaną odnalezieni. To była tylko kwestia czasu.

Matki i ojcowie w średnim wieku wyszli na dworzec po swoje dorosłe dzieci wracające do domu na święta. Niels zastanawiał się, czy ktoś im się przygląda. Stojąc na peronie, czuł narastającą paranoję. Między Odense a Esbjerg ktoś mógł ich zauważyć, donieść na nich.

Zauważył mężczyznę, zanim mężczyzna zauważył jego. Chłodne spojrzenie, kartka w ręce, wyraźnie lustrował podróżnych wzrokiem. Niels zaciągnął Hannah do dworcowej toalety.

- Co się dzieje? - spytała.

Nie odpowiedział. Próbował zebrać myśli. Czy to możliwe, żeby tak szybko go znaleźli? Ktoś musiał ich zawiadomić. Może to Hannah zadzwoniła na policję? Spojrzał na nią. Wtedy, w porcie, też mogła to zrobić. W pociągu wychodziła do toalety.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Niels spuścił wzrok, zaczął się przyglądać podłodze.

- Na zewnątrz stoi mężczyzna. Policjant w cywilu. Szuka nas.

- Skąd wiesz?

- Takie rzeczy się widzi.

Niels znów się zamyślił. To mogła być Hannah. Albo... Sięgnął do kieszeni po komórkę. Była włączona.

- Niech to szlag!

- Co się stało?

- Nic.

- Śledzą twoją komórkę?

- Tak.

Niels odczekał kilka minut, zanim wyjrzał przez okno toalety. Z pociągu nadal wysiadali podróżni. Liczba bagaży była imponująca. Ludzie taszczyli wielkie pakunki. W okolicach Bożego Narodzenia świat na pewno przybierał na wadze, pomyślał Niels. I wtedy znów zobaczył mężczyznę. Stał na końcu peronu.

- Nadal tam jest?

Niels wyjrzał przez okno, zawahał się. Zamknął drzwi. Nie widział wzroku mężczyzny, ale widział, że zerkał na kartkę za każdym razem, kiedy jakiś mężczyzna w średnim wieku przechodził obok niego.

Niels wciągnął Hannah do jednego z boksów toalety. Była dzielna, nie skrzywiła się,

kiedy odór uryny uderzył ich w nozdrza. W boksie obok ktoś oddawał mocz. Hannah próbowała nie oddychać, uśmiechnęła się. Ściany boksu były pokryte zdesperowanymi napisami: „Chłopak szuka chłopaka”. „Młody mężczyzna szuka dojrzałego mężczyzny”.

- Nie jest łatwo ludziom, którzy funkcjonują poza ogólnie przyjętymi normami seksualnymi - powiedział Niels, kiedy znów zostali sami.

- W ogóle nie jest łatwo - przytaknęła.

- Wychodzisz pierwsza. Miej oko na wyjście. Mężczyzna w średnim wieku. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, w jasnej zamszowej kurtce. Szuka nas. Jeśli nadal tam stoi, zakaszl.

- I co dalej?

- Odwróć się i spokojnie wejdź do toalety obok. Jakbyś pomyliła drzwi.

Hannah wyszła. Minęła chwila. Usłyszał kaszel, brzmiał niezwykle wiarygodnie. I trzaśnięcie drzwi damskiej toalety. Odczekał pięć długich minut. Wyjrzał na zewnątrz. Mężczyzna właśnie schodził po schodach. Zrezygnował.

*

Wyszli przed dworzec. Niels przeklinał własną nieroztropność. Ale dawno już nie uczestniczył w poszukiwaniu przestępców. Był negocjatorem. Miał inne nawyki. Śledzenie, satelity, sygnały GPS, maszty telefonii komórkowej. Nie zajmował się takimi rzeczami. Szybko wyjął z aparatu kartę SIM, potem rzucił aparat na ziemię i go podeptał. Przyjemne uczucie.

- Dasz mi swój telefon?

Hannah podała mu aparat, nie protestując.

Starsze małżeństwo przyglądało się im z drugiej strony jezdni. Kiedy Niels rzucił na ziemię komórkę Hannah i też zaczął ją deptać, pokręcili głowami.

Autobus jechał kawałek autostradą, potem skręcił i dalej jechał już wąską szosą.

- Poznaję to miejsce - powiedziała nagle Hannah, rozglądając się. - Nie byłam tu chyba trzydzieści lat. Wtedy było lato.

- Jest tu hotel?

- A jak myślisz?

*

Autobus wjechał do miasteczka, które jak większość podobnych miejsc, zaczynało się nieciekawie. Supermarket, parterowe domki z czerwonej cegły, ale już po kilku minutach dotarli do uroczego starego portu. Autobus się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Hannah, wstając.

Na zewnątrz stało dwóch mężczyzn z rowerami, najwyraźniej miejscowych.

Niels podszedł do nich.

- Dzień dobry. Wiecie może, czy hotel jest otwarty?

Podjrzliwe spojrzenia, milczenie, typowe dla małych zamkniętych społeczności. Niels miał już powtórzyć pytanie, kiedy mężczyzna, ten z liczniejszym uzębieniem, wypluł resztkę tytoniu.

- Dla turystów jest zamknięty - odparł. - Przyjedźcie tu latem.

- Zamknięty w ogóle czy tylko dla turystów?

Milczenie.

- Na pewno nie ma tu miejsca, gdzie można by przenocować? - wtrąciła się do rozmowy Hannah.

- Idźcie nad morze, a potem skręćcie na północ - odezwał się wreszcie bezzębny mężczyzna. - Tylko uważajcie na pociągi towarowe. Szlaban nie działa.

- Dziękuję.

Ruszyli przed siebie, w stronę morza. Im bliżej, tym więcej było piasku. Poza tym prowadził ich też szum morza. Jakby ktoś bombardował wybrzeże. Niels nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu ludzie chcą mieszkać nad brzegiem morza. Tu nigdy nie było spokoju.

- Uważaj!

Niels chwycił Hannah za rękę, przyciągnął ją do siebie. Pociąg minął ich. Dopiero po chwili maszynista zatrąbił; nieco za późno na ostrzeżenie.

- Kretyn - syknął Niels.

- Ostrzegli nas, że szlaban nie działa.

- Świetnie, tylko co z tymi, których nikt nie ostrzegł?

Tory były pokryte piaskiem i śniegiem. Szum fal zagłuszał pracę silnika lokomotywy. Szlaban nadal nie działał. Stali chwilę w milczeniu. Niels zawsze się denerwował w sytuacjach, w których życie ludzi było zagrożone. Oczyma wyobraźni widział, jak któregoś dnia jeden z jego kolegów będzie tu stał i pocieszał pogrążonych w smutku bliskich. Karetki, straż pożarna. Próby ustalenia winnych.

Szeroki brzeg był twardy, na piasku tworzyły się niewielkie jeziora. Skakali przez nie, walcząc z podmuchami wiatru. Hannah zaczęła się śmiać.

- Co cię tak rozbawiło?

Nie była w stanie przestać. Zakryła usta dłonią i dalej się śmiała. Szli, a ona wciąż chichotała.

Może to on ją tak bawił?

Zapach hotelu przypominał im zapach kolonii z dzieciństwa: kanapki, mokre ubrania. Podłogi i ściany były z drewna. Na ścianach wisały obrazy wyłącznie z motywami morskimi, mimo że morze było tuż za drzwiami. Recepcja była pusta. Niels zaczął się rozglądać za jakimś dzwonkiem, kiedy nagle za jego plecami pokazała się recepcjonistka.

- Dobry wieczór - przywitała ich.

- Dobry wieczór - powiedział Niels. Miał twarz sztywną od mrozu. - Macie otwarte? - spytał.

- Cały rok. Ile nocy? - spytała kobieta, stając za ladą recepcji.

- No... - zaczęła Hannah i spojrzała na Nielsa.

- Na razie pięć. Może będzie więcej.

Recepcjonistka spojrzała na monitor komputera.

- Podwójny pokój?

- Nie - powiedział Niels, spoglądając na Hannah. - Dwa pojedyncze.

*

Okno wychodziło na morze. Krzesło, dość prymitywny stolik, szafa, gruby czerwony dywan. Niels położył się na chwilę na łóżku. Miękki materac. Jakby leżał w hamaku. Ale to mu nie przeszkadzało. Zamknął oczy. Odwrócił się na bok, podkulił nogi, dłonie podłożył pod głowę, jak poduszkę. Miał wrażenie, że ktoś na niego patrzy. Gdzieś z góry. Może to był on sam? A może jakiś ptak? Powinien pójść do łazienki i sprawdzić znak na plecach. Odsunął od siebie tę myśl, równie szybko jak się pojawiła. Zapadł się w materac. Nie mógł zasnąć, myśli nie dawały mu spokoju: obraz jego matki, obrazki ze szczytu klimatycznego. Abdul Hadi. I słowa pastora: „Mamo, a jeśli potwór też ma mamusię?”

- Niels?

Jakiś głos dochodzący gdzieś z daleka. Czyżby jednak zasnął?

- Niels.

To była Hannah. Wołała go z korytarza.

- Musimy coś zjeść. Spotkamy się w restauracji. Za dziesięć minut, dobrze? To na drugim piętrze.

- Dobrze - odpowiedział. Usiadł, wspierając się na łokciach. - Za dziesięć minut.

*

Restauracja była cała w bielonym drewnie. Na ścianach wisiały bukiety suchych kwiatów. W oknach były bożonarodzeniowe dekoracje. Byli jedynymi gośćmi. Gdzieś daleko w kącie zobaczył Hannah.

Odniosł wrażenie, że czeka tu na niego już od dawna. Spojrzał na nią. Była odmieniona.

- Zamówiłaś już coś? - spytał.

- Nie. Kelnerką jest kobieta z recepcji. Pewnie też sama gotuje.

- I wszystkim zarządza.

Roześmieli się. Kobieta podeszła do nich.

- Mogę przyjąć zamówienie?

- Najpierw poprosimy coś do picia.

- Kieliszek białego wina - dodała Hannah.

- Jakiego?

- Najlepszego, jakie macie. - Niels się uśmiechnął. - Jeśli w weekend świat przestanie istnieć, to poprosimy najlepsze.

- Nie rozumiem - powiedziała kobieta, patrząc na niego zdziwiona.

- Ja też nie.

Niepewne uśmiechy, potem śmiech. Kobieta odeszła.

- Po co ją denerwujesz? - zwróciła mu uwagę Hannah.

- Niech wie. Może ma jakieś swoje sprawy do załatwienia.

- O tym też rozmawialiśmy w Instytucie.

- O zagładzie Ziemi?

- Oczywiście. W kosmosie ciągle gasną jakieś słońca albo zderzają się galaktyki.

- A meteoryty?

- Je trudno zauważyć. Ale w mojej pracy zagłada jest stale obecnym pojęciem. Na szczęście od czasu do czasu na niebie pojawia się też coś nowego.

Recepcjonistka wróciła, nalała im wina. Kiedy odeszła, zapadła błoga cisza.

Niels pierwszy ją przerwał.

- Twój syn.

- Tak, mój syn - powtórzyła Hannah. - Mój ukochany syn.

Niels żałował, że zaczął ten temat, ale było już za późno.

Hannah nagle stała się nieobecna.

- Odebrał sobie życie - powiedziała.

Niels spuścił wzrok.

- Johannes był genialnym dzieckiem. Niezwykle uzdolnionym.

Wypiła łyk wina.

- Ile miał lat?

Pominęła jego pytanie milczeniem.

- Niestety dość wcześnie zaczął wykazywać oznaki poważnych zaburzeń. Był schizofrenikiem. Wiesz, co to oznacza?

- Tak.

- Kiedy oznajmiono nam to w szpitalu Bispebjerg, wtedy mnie i Johannesowi zawałił się cały świat.

- A twój mąż?

- Gustava przy tym nie było. Miał gdzieś jakiś wykład, odczyt. Gdy sprawy się komplikowały, on zawsze wyjeżdżał. Wiesz, jak zareagował, kiedy powiedziałam mu przez telefon o diagnozie?

- Nie.

- No to przynajmniej sprawa jest jasna, Hannah. Przepraszam, muszę kończyć. Mam spotkanie.

- Przykro mi.

- A może dobrze, że tak powiedział. Może to był jego sposób radzenia sobie z tym wszystkim. Żyć dalej, jakby nic się nie wydarzyło. Cokolwiek się działo, Gustav zawsze pozostawał sobą.

- Chłopiec trafił do szpitala?

Hannah pokiwała głową.

Milczała. Tak długo, że Niels uznał, że pewnie nie chce już do tego wracać.

Nagle jednak znów się odezwała.

- Zostawiłam go w szpitalu. Odwiedzałam go w niedzielę.

I znów milczenie. Jeszcze dłuższe niż poprzednim razem. Nieprzyjemne.

- Wiesz, kiedy się powiesił?

Niels patrzył w stół.

- W dniu, w którym Gustav odbierał Nagrodę Nobla. Nie mógł nam tego powiedzieć jaśniej. „Gratuluję. Zawiedliście mnie”. Ale w Wikipedii nie znajdziesz o tym ani słowa.

- Nie podchodź do tego w ten sposób - pocieszał ją Niels.

Sam słyszał, że jego słowa nie brzmiały szczególnie przekonująco.

- Początkowo chciałam odejść.
- Popęłnić... samobójstwo?
- Nie zasłużyłam sobie na to, żeby żyć. Zdobyłam tabletki. Wszystko zaplanowałam.
- Dlaczego zmieniłaś zdanie?
- Nie wiem. Tak po prostu. Może dlatego, że chciałam... - zaczęła i urwała.
- Co chciałaś, Hannah?
- Może chciałam cię spotkać, Niels - powiedziała i spojrzała na niego. - Zrobić coś dobrego.

Niels chciał coś powiedzieć, czuł, że powinien, ale Hannah położyła dłoń na jego rękę i wszystkie słowa stały się zbyteczne.

8

Wiatr znad morza targał starym hotelem. Kiedy Hannah i Niels ruszyli hotelowym korytarzem do swoich pokoi, Niels miał wrażenie, że w ciągu nocy podmuchy wiatru mogą przenieść budynek hotelu do Kopenhagi. Może nawet powiedział to głośno, bo nagle Hannah się roześmiała.

- Nie możemy tak hałasować. Jest późno.
- I co z tego? Jesteśmy tu jedynymi gośćmi - zauważył Niels.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak dużo wypił.

Hannah zatrzymała się, wyjęła klucz.

- Dziękuję za miły wieczór.
- To ja tobie powinienem dziękować.

W sposobie, w jaki odwróciła się do niego plecami, było coś demonstracyjnego. Nie patrząc na niego, spytała:

- Wejdiesz?
- Ostatnie życzenie skazańca?

Odwróciła się, spojrzała na niego.

- Pomyślałam, że mogłoby być przyjemnie. Miło. Wiesz, o co mi chodzi.

Pogłaskał ją po policzku. Głupi gest. Gdyby chwilę się zastanowił, na pewno wymyśliłby coś innego.

- To niemożliwe - powiedział. - Śpij dobrze.

Ale nie ruszył się z miejsca. Jego ciało było gotowe odejść, ale jego nogi stały w miejscu.

- Czasem powinienes zrobić coś niewłaściwego. - Usłyszał jej głos.

- Co masz na myśli?

- Powinienes zrobić coś naprawdę złego.

- Może masz rację. Ale odwiedzenie cię w pokoju nie jest niczym złym.

Wszedł do siebie, zamknął za sobą drzwi. Z korytarza dobiegł go głos Hannah.

- Zrób coś naprawdę złego - powtórzyła dwa razy, zanim weszła do siebie i też zamknęła za sobą drzwi.

*

Znak stawał się coraz wyraźniejszy. Niels oglądał swoje plecy w łazienkowym lustrze. Odwrócił głowę, najbardziej jak pozwalał mu na to kręgosłup. Przyglądał się spuchniętej, czerwonej skórze. Zwykła wysypka. Ale mająca własną, silną wolę. Jednak liczby jeszcze nie dostrzegał. Jeszcze?

Wrócił do pokoju, podszedł do stolika, usiadł. Wiedział, że nie zaśnie. Co prawda trochę wypił i czuł się zmęczony, ale był niespokojny. Postanowił zignorować wiszącą na drzwiach tabliczkę z napisem „No smoking” i zapalił papierosa. Sprawdził, ile sztuk mu jeszcze zostało, rozejrzał się po pokoju. Myślał o Hannah. O jej smutku. I o Kathrine. Była oddalona od niego o tysiące kilometrów, a mimo to jego uczucie do niej było silniejsze, niż kiedy była przy nim. Próbował przestać o niej myśleć, ale nie potrafił. Dwa papierosy później przypomniał sobie ich ostatnią kłótnię. Potrafił odtworzyć każde zdanie, widział, jak stali naprzeciwko siebie w pokoju. Dwoje krzyczących do siebie aktorów amatorów. Miał ochotę wejść między nich i ich rozdzielić, jak sędzia wkraczający na ring podczas walki dwóch bokserów, krzyczący „break” i odsyłający każdego do swojego kąta. Jego nad Morze Północne, ją do Kapsztadu.

Nagle odruchowo otworzył szufladę stolika. Była w niej miejscowa książka telefoniczna i nigdy nie wysłana pocztówka do chrestnej w Gudhjem. I Biblia. Wziął ją do ręki. Zaczął kartkować. Abraham. Izaak. Rebeka. Minęła wieczność od czasu, kiedy ostatnio trzymał w ręku Pismo Święte. Powiesił kaburę z pistoletem na oparciu krzesła. Pomyślał, że to niedobre sąsiedztwo: pistolet i Biblia. Poszukał ratunku w Beatlesach, uznając, że tylko ich muzyka może mu w tym momencie przynieść ulgę. Był lekko wstawiony, inaczej pewnie nigdy nie odważyłby się śpiewać.

Rocky Raccoon checked into his room

Only to find Giedeons Bible

Rocky had come equipped with a gun.

Położył się na plecach, zamknął oczy. Schrypniętym głosem zanucił kolejną zwrotkę i zasnął.

9

Niels otworzył szafkę w łazience. Ktoś zostawił środek przeciwko komarom i tubkę kremu do opalania z filtrem 25. Posmarował rękę kremem, powąchał środek przeciwko komarom. Zapachy lata. Głupoty, pomyślał. Seryjna produkcja, pewnie wyprodukowany gdzieś w Polsce, pięć lat temu. Ale wspomnienia wróciły. Słońce, komary, woda, lody, krzyki dzieci.

Usiadł na brzegu wanny. Czuł to w piersi. Chciał żyć. Nie chciał umierać. Pomyślał o wszystkim, czego nie zdążył zrobić.

Niedziela, dwudziesty grudnia

Oczywiście, że to jest możliwe, pomyślał Niels, wchodząc pod prysznic. Wszystko dokładnie obmyślił. Tabletki z morfiną leżały na umywalce. Miał ich dużo. Wsiądzie na statek i wypłynie w morze, na długo.

- Niels?

Hannah. Była w pokoju.

- Niels?

- Chwileczkę.

Zakręcił kran, wziął ręcznik, owinał się nim w pasie, wysunął głowę.

- Zejdiesz na śniadanie? Wydają je do dziewiątej.

Dopiero teraz zobaczył, że trzyma w ręku jego pistolet.

- Hannah! Jest nabity!

- Przepraszam, leżał na podłodze, więc... Proszę - podała mu go.

Wyjął magazynek, oddał go jej.

- Teraz już nikomu nie zrobi krzywdy.

- Na pewno?

- Tak, teraz jest bezpieczny. Ale jeśli zrobisz tak...

Podał jej magazynek i pokazał, jak ładuje się pistolet.

- Teraz możesz strzelać.

- Wolę, jak nie ma w nim magazynka. Zastrześliś kiedyś kogoś?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Zapomniałaś, że jestem dobry?

- Dlatego ją czytasz? - spytała, wskazując na Biblię leżącą na nieposłanym łóżku.

- Może.

Uśmiechnęła się.

- Spotkamy się za chwilę na dole.

Hannah wyszła, Niels zaczął się ubierać. Potem posłał łóżko i odłożył Biblię do szuflady. Poszedł do łazienki, spojrział na swoją twarz. Podciągnął koszulę. Znak nie zniknął. Ciągnął się od łopatki do łopatki, schodził w dół, na plecy. Delikatne kreski pod skórą. Podeszedł bliżej do lustra. Czyżby widział liczbę? Może znak zniknie, jeśli przestanie o nim myśleć, zastanawiał się.

*

Potem poszli na spacer brzegiem morza. Wiatr nadal był silny, ale sztorm nieco złagodniał, jakby zrobił sobie chwilę przerwy.

- Pamiętam, że chowaliśmy się w jakimś bunkrze - powiedziała Hannah.

- Kiedy byłaś dzieckiem?

- Spróbujemy go odnaleźć?

Niels zaczął się rozglądać. Szeroki brzeg. Ślady kół samochodów. Spojrział na Hannah. Wiatr rozwiewał jej włosy, zasłaniały jej twarz, wpadały w oczy.

- Co się stało?

- Nic. Dlaczego pytasz?

- Tak dziwnie na mnie patrzysz - rzuciła i szturchnęła go. - Chodź, staruszk.

Pobiegniemy na wydmy.

Zaczęła biec. Niels za nią. Piasek w butach, we włosach, w oczach. Potknął się, usłyszał śmiech Hannah.

- Śmiejesz się ze mnie?

- Niezdara!

Postanowił, że dotrze na górę pierwszy.

Dotarli jednocześnie, zdyszani upadli na sztywne od zimna porosty i krzaki wrzosów.

Z daleka od wiatru. Leżeli chwilę, nic nie mówiąc.

- Powiedziałaś, że czytasz Biblię - odezwała się.

Niels odwrócił głowę, spojrział na nią.

- Czasem czytam.

- O czym teraz czytałaś?

- O Abrahamie. I Izaaku.

- Bóg poprosił Abrahama, żeby zabrał swojego jedyne go syna, Izaaka, na górę i złożył go w ofierze.

- Słyszałem kiedyś w radiu, jak pewien ksiądz mówił, że tej historii nie powinno się głosić w duńskim kościele.

- Ale ona mówi o czymś bardzo ważnym. O czymś, o czym zapomnieliśmy.

- A o czym ty teraz zamierzasz mi przypomnieć. Hannah się roześmiała.

- Straszny ze mnie belfer. Przepraszam - powiedziała i usiadła. - Według mnie historia ta uczy nas, że powinniśmy słuchać. Przynajmniej czasem.

Niels się nie odezwał.

- Ten ksiądz miał rację. To nie jest przyjemna historia. Tylko może powinien powiedzieć to nieco inaczej?

- Wierzysz w to?

- W to?

- No... wiesz.

- Nie potrafisz wypowiedzieć tego słowa?

- W Boga.

Hannah położyła się na piasku. Patrzyła w niebo.

- Myślę o tym, czego nadal nie wiemy. A bardzo wiele nie wiemy. Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak ogromna jest nasza niewiedza.

- Te cztery procent?

- Tak. Cztery procent. Poznaliśmy zaledwie cztery procent tego, co jest wokół nas. Tylko spróbuj powiedzieć to politykom, prosząc o pieniądze na badania. To już lepiej krzyknąć, że poziom mórz podniesie się o dwa i pół metra w ciągu najbliższych... - Nagle urwała.

Usiadła i spojrziała na niego poważnym wzrokiem.

- Polikrates. Pamiętasz jego historię?

- Chyba nigdy o nim nie słyszałem.

- Grecki król. Cokolwiek przedsięwziął, wszystko mu się udawało. Odnosił same

sukcesy. Miał kobiety, był bogaty, wygrywał wojny. Polikrates miał przyjaciela, o ile dobrze pamiętam, jakiegoś egipskiego władcę, który kiedyś napisał do niego, że musi coś poświęcić. Coś najcenniejszego, co ma. Inaczej bogowie staną się zazdrośni. Polikrates zaczął się zastanawiać. W końcu wypłynął na morze i wrzucił do wody swój ukochany, niezwykle cenny pierścień. Kilka dni później przyszedł do niego rybak. Złowił rybę i chciał podarować ją królowi. Jak myślisz, co znaleziono, kiedy otworzono jej brzuch?

- Pierścień?

- Tak. Polikrates natychmiast zawiadomił o tym swojego przyjaciela w Egipcie. A ten w odpowiedzi zerwał z nim wszelkie kontakty. Nie chciał być w pobliżu, gdy pewnego pięknego dnia Polikratesa dosięgnie gniew bogów.

Hannah uklękła na piasku, podmuch wiatru rozsypał jej włosy.

- To podobny motyw jak w historii o Abrahamie. Chodzi o to, że trzeba coś poświęcić.

- A co my mielibyśmy poświęcić, Hannah?

Hannah się zamyśliła.

- Naszą bezgraniczną wiarę w siebie. - Uśmiechnęła się. - Wierzyć w siebie to jedno, co innego czcić siebie, jakbyśmy byli bogami.

Zażenowany uśmiech. Jakby powiedziała coś głupiego. Spojrzała na niego. Wychyliła się do przodu i pocałowała go.

*

Kiedy wracali do hotelu wzdłuż wybrzeża, nadal czuł na ustach jej pocałunek. Mieli całą plażę dla siebie. Wiatr przyjemnie chłodził im twarze, powietrze miało smak soli. Postanowił, że po południu pójdzie do portu. Znajdzie rybaka, który będzie się wybierał na połów jeszcze przed Bożym Narodzeniem. To nie powinno być takie trudne. Na sylwestrową kolację trzeba było odłować tysiące dorszy. Za kilka tysięcy koron rybak na pewno znajdzie mu miejsce na kutrze.

- O czym myślisz? - spytała Hannah.

- O niczym.

- Musimy się czegoś napić - zawołała nagle. - Przecież jesteśmy na wakacjach. Już zapomniałam, jak to jest.

- Dżin z tonikiem?

- A potem poobiednia drzemka. Czy może na odwrót?

- Nie sądzę, żeby w tym względzie obowiązywały jakieś reguły.

- Nie byłabym taka pewna. - Uśmiechnęła się. - Chodź, pójdziemy do miasteczka.

*

Niels zatrzymał się przed starą budką telefoniczną z aparatem na monety. Naprzeciwko był niewielki sklep spożywczy, właściwie kiosk.

- Muszę zadzwonić.

- Masz monety?

Skinął głową. Hannah zniknęła w sklepie, on wszedł do budki, wrzucił kilka monet do aparatu i wybrał nieznośnie długi numer do RPA. Zawahał się, kiedy miał wcisnąć ostatnią cyfrę. Widział Hannah chodzącą po sklepie. Pomachała mu. Odwrócił się i też jej pomachał. Zimowe światło nadawało morzu biały odcień. Ziemia pod nim lekko drgnęła. A może mu się tylko tak zdawało? Może to on drżał? Pokręcił głową i przypisał wszystko stresowi. Znów wybrał numer. Był przekonany, że to numer Kathrine. Ale odebrał Rosenberg.

- Halo?

Niels się zdziwił. Dlaczego tak dobrze zapamiętał numer telefonu duchownego?

- Halo? Z kim rozmawiam?

Głos pastora był niższy, niż go pamiętał.

Niels się zawahał. Chciał coś powiedzieć, ale brakowało mu słów.

- Jest tam ktoś?

Hannah znów mu pomachała. Stała przy ladzie, kupowała papierosy. Nagle kątem oka zobaczył jadący drogą samochód. Zerknął na szlaban. Jakby zaczął opadać, ale w pewnym momencie się zatrzymał. A może to po prostu wiatr nim targał?

- Nie wiem, kim jesteś, ale skoro dzwonisz, przypuszczam, że gotów jesteś mnie wysłuchać - usłyszał głos pastora.

W tym momencie Niels zauważył pociąg. Czy kierowca samochodu też go widział?

W słuchawce znów rozległ się głos pastora.

- Może doświadczyłeś czegoś, co sprawiło, że zacząłeś wątpić? Czy dlatego gotów jesteś mnie wysłuchać?

Cisza. Pastor wyraźnie dawał mu szansę, ale Niels milczał.

- Nie musisz nic mówić.

Z kiosku wyszły dwie dziewczynki. Roześmiane, każda ze swoją torebką słodczy w ręku. Policzki czerwone od mrozu. Robione na drutach czapeczki. Ruszyły beztrudnie do rowerów, które zostawiły pod sklepikiem.

Rosenberg odchrząknął.

- Wystarczy, że jesteś gotów słuchać.

Niels słyszał, jak oddycha. Z lekkim trudem.

- Jesteś tam?

Niels się rozłączył i wyszedł z budki. Samochód był coraz bliżej. Niels widział go już wyraźnie. Volvo, stary model, nieco kanciasty. Kierowca nie zwolnił. Dziewczynki stały obok swoich rowerów przy kiosku. Jedna z nich poprawiała szalik. Niels ruszył w stronę samochodu, pomachał kierowcy.

- Hej! - podniósł rękę, dając mu wyraźny znak.

Samochód jechał dalej.

- Stój! - krzyknął, ale lodowaty wiatr zagłuszył jego słowa.

Kierowca go nie słyszał, on jednak nadal wołał.

- Stój!

Krzyki Nielsa przstraszyły jedną z dziewczynek. Odwróciła się, poślizgnęła na śniegu i uderzyła o drzwi kiosku. Niels spojrzął na Hannah, która najwyraźniej niczego nie zauważyła. Zerknął za siebie: pociąg, volvo, zepsuty szlaban, dziewczynki, rowery. Hannah w sklepie. Zablokowane drzwi. Zaczął biec w stronę samochodu, machał rękami, próbował go zatrzymać.

- Stój!

W pewnym momencie miał wrażenie, że kierowca jednak go usłyszał. Samochód zwolnił. Niels się zatrzymał. Był teraz w połowie drogi między kioskiem a torami. Nagle poczuł się jak poprzedniego dnia, kiedy siedział w policyjnym radiowozie mającym odwieźć go do Kopenhagi. Miał wrażenie, jakby coś go ciągnęło.

Kiedy kierowca zobaczył pociąg, zahamował gwałtownie, ale było już późno. Hamulce zablokowały się, samochód z piskiem przeleciał przez tory, które, pokryte śniegiem, były niczym tor saneczkowy. Pociąg uderzył w tył samochodu, głuchy dźwięk, niepodobny do żadnego innego dźwięku. Niels spojrzął na kiosk. Hannah szarpała drzwi. Dziewczynki. Jeszcze sekunda i volvo uderzy w dzieci.

- Uciekajcie! Biegnijcie!

Dziewczynki się nie poruszyły. Stały nieruchomo wpatrzone w Nielsa, który biegł w ich stronę. Słyszał za sobą toczący się bezwładnie samochód.

- Biegnijcie! Uciekajcie!

W końcu jedna z dziewczynek zrozumiała, co się dzieje. Gdyby tylko zdążył do nich dobiec. Wołał do nich. Machał rękami.

- Uciekajcie! Biegnijcie!

Zdążył zobaczyć przerażony wzrok kierowcy, zanim sekundę później poczuł uderzenie. Samochód wjechał w niego, uderzył w Hannah, zmiotł kiosk.

Coś kapalo. Gdzieś daleko. A może tuż obok. To nie miało znaczenia. Cudowny spokój. Chroniła go ciemność. Była jak pierzyna, którą mógł zsunąć z siebie, gdyby tylko chciał.

Głosy. Ktoś coś wołał. Płacz. Krzyki. Coś trafiło go w nos. Zapach benzyny. Zapach alkoholu. Dżin. Smak krwi w ustach. Chciał się od tego wszystkiego odgradzić. Chciał, żeby wszystko zniknęło. Ale ktoś ściągnął z niego pierzynę. Jakieś obce oczy przyglądały mu się.

- Wszystko w porządku?

Głos drżał. Niels prawie go nie słyszał.

- Szlaban nie opadł...

- Wezwałem karetkę.

Niels poruszył ustami. Ale czy na pewno?

- Nie wiem - powiedział mężczyzna. Płakał.

- Co?

- Dziewczynki. O nie pytałeś, prawda?

Ciemność.

Tym razem trwająca całą wieczność. A może tylko kilka sekund? Był pod wodą. Odchodził. W ciemność. Chciał zniknąć. Pozwolić się pochłonąć ciemności. Zniknąć. Chociaż nie. Miał wyruszyć w podróż. Musi znaleźć kuter. Dorsze. Sylwester.

I znów głosy. Tym razem jakiś niski głos. Dlaczego nie zostawią go w spokoju?

- Proszę leżeć spokojnie. Proszę nic nie mówić.

To do niego?

- Proszę spokojnie oddychać. Równo i spokojnie. Wszystkim się zajmiemy.

I inny głos. Wysoki, wyraźny.

- Śmigłowiec jest już w drodze?

Nie usłyszał odpowiedzi. Usłyszał natomiast własny głos.

- Nie chcę... Nie. Nie chcę...

- Proszę leżeć spokojnie. Pomożemy panu.

Nadal nie czuł bólu. W ogóle nie czuł swojego ciała. Co się stało? Miał przed oczami

Hannah. I morze. I szeroki zmrożony brzeg. I dwie małe dziewczynki z torebkami słodyczy w rękach i wełnianych czapeczkach na głowach. Dwie małe...

- Dziewczynki? - Usłyszał znów własny głos. Jakby żył własnym życiem.

- Tak?

Hałas śmigłowca. A może mu się to wszystko przyśniło?

- Tam były dwie małe dziewczynki.

- Musimy go wyciągnąć - wtrącił się nagle jakiś kolejny głos.

- Dziewczynki.

Ktoś zaczął go podnosić. Jak we śnie przypomniał sobie, jak matka brała go na rękę. Nosila przy piersi. Kathrine. Teraz znów ją widział. Wyłoniła się z ciemności, nachyliła nad nim i wyszeptala:

- Niels, powinienes już być na lotnisku.

- Raz, dwa, trzy.

To on krzyczał?

- Podajcie mu morfinę. Natychmiast - odezwał się głos, gdzieś daleko od niego.

Tak, musi wziąć morfinę. A potem znaleźć łódź. I odpłynąć, byle dalej od Kopenhagi, pomyślał.

- Podamy panu tlen.

Głosy znów zrobiły się wyraźne, głośnie, drażniły go.

- Pana płuca...

- Płuca się zapadły. - Usłyszał, jak ktoś mówi.

Zrobiło mu się ciepło. Odwrócił głowę.

- Musimy rozciąć koszulę.

Odgłos dartego materiału.

- Hannah?

Leżała obok niego. Zamknięte oczy, podłączona do kroplówki, do tlenu. Wyglądała nieco komicznie. Miał ochotę się roześmiać, spytać, dlaczego tu leży? I nagle ten dziwny dźwięk w jego głowie, jakby spadł na niego cały świat, a potem złowroga cisza.

- Słyszysz mnie pan?

Nowy głos.

- Jestem lekarzem.

- Hannah...

- Pana żona jest nieprzytomna. Przewieziemy was do Skejby. Tam się wami zajmą...

Ktoś mu przerwał. Gdzieś obok toczyła się rozmowa.

- Poparzenia na plecach.

Lekarz wrócił.

- Polecicie do Szpitala Krajowego. To trochę dalej, ale tam mają najlepszych specjalistów od poparzeń.

- Szpital Krajowy...

- W Kopenhadze. Rozumie pan, co do pana mówię? Ma pan poparzone plecy.

- Szpital Krajowy...

Lekarz powiedział coś cichym głosem do stojącego obok mężczyzny. Głosy pojawiały się, znikwały.

- Samochód się zapalił?

- Chyba nie.

- Nic z tego nie rozumiem.

Czyjaś twarz blisko jego twarzy. Oczy, szare, poważne.

- Stracił przytomność.

I jeszcze inny głos.

- Tracimy go?

- Wrócił.

- Nie Szpital... Krajo...

Nagle Niels zrozumiał, że nie jest w stanie poruszać ustami. Mówił, ale z jego gardła nie dobywały się żadne dźwięki.

Ktoś znów okrył go kołdrą.

CZEŚĆ III

KSIĘGA ABRAHAMA

*I rzekł Izaak: Ojcze, oto ogień i drwa,
a gdzie jest jagnię na całopalenie?
Abraham odpowiedział: Bóg upatrzy sobie jagnię
na całopalenie, synu mój.
I szli obaj razem.*

Pierwsza Księga Mojżeszowa

1

Szpital Krajowy, Kopenhaga

Niels zniknął. Gdyby był przytomny, widziałby, jak śmigłowiec ląduje na dachu Szpitala Krajowego, jak lekarze i ratownicy biegną mu z pomocą, niosą na noszach, przenoszą przez niewielki korytarz, do windy.

*

Jechał obok Hannah. Być może odzyskał na chwilę przytomność, w każdym razie docierały do niego fragmenty zdań, pojedyncze słowa zawieszane gdzieś w próżni.

Uderzył go pociąg... Nie, samochód na przejeździe kolejowym... Dlaczego nie zawieźli ich do Kejby... Złe warunki pogodowe... Oparzenia... Centrum traumatologii...

I jedno wyraźne zdanie.

Nie wyczuwam u niej pulsu.

Ktoś odpowiedział, miał wrażenie, że toczy się jakaś dyskusja.

- Hannah - usłyszał, jak szepcze.

- Tracimy ją. Musimy rozpocząć...

Zatrzymali się. Tak mu się przynajmniej zdawało w morfinowym odurzeniu. Po chwili okazało się, że on jedzie dalej, a nosze z Hannah zostały gdzieś w tyle. I to była najgorsza chwila. Gorsza niż sam wypadek. Gorsza niż moment, kiedy wjechał na niego samochód. Miał wrażenie, jakby ktoś przeciął go na pół. Kątem oka zobaczył pochylonych nad nią lekarzy i...

I znów stracił przytomność.

Było mu wszystko jedno. Już po wszystkim. To koniec. I dobrze. Jedna chwila i...

Środa, dwudziesty trzeci grudnia

Nagle zobaczył przed sobą światło. Stało się, pomyślał. Nie czuł strachu. Wzruszył zrezygnowany ramionami, widząc zbliżające się do niego światło gdzieś na końcu ciemności. Czuł, że życie powoli z niego uchodzi. Zobaczył nad sobą twarz kobiety, pięknego anioła, który...

- Obudził się?

Anioł mówił do niego.

- Przed chwilą odzyskał przytomność.

Dwie pielęgniarki spojrzały na niego. Młodsza - twarz anioła - z autentyczną ciekawością, druga chłodna, zdystansowana.

- Hannah - wyszeptał.

- Zawołam lekarza.

Nie potrafił powiedzieć, która z nich to powiedziała. Z trudem oddzielał ich słowa od własnych myśli. Odwrócił głowę, wyrzwał przez okno. Latarnie przed wejściem oświetlały wirujące w powietrzu płatki śniegu. Próbował coś sobie przypomnieć, poskładać w całość kawałki obrazów.

- Niels Bentzon?

Odwrócił głowę, tłumiąc uśmiech z powodu czegoś tak banalnego, jak fakt, że pamiętał swoje imię.

- Obudził się pan. Cieszę się. Jestem Asger Gammeltoft, ordynator. Operowałem pana. Pracowaliśmy nad panem dobrych osiem godzin.

- Hannah? - powiedział Niels, z trudem rozpoznając własny głos. - I dzieci?

- Może pan mówić nieco głośniej? - poprosił lekarz, nachylając się nad nim.

- Nic im nie jest?

- Pyta pan o dzieci?

Lekarz wyprostował się, zwrócił się do pielęgniarek, konferowali szeptem. Po chwili odwrócił się do niego.

- Dzieci są całe. Nic im się nie stało. Uratował im pan życie.

Poprawił okulary. Uprzejme, ale nieco aroganckie spojrzenie. Mężczyzna starał się być obecny, ale wyraźnie miał inne sprawy na głowie.

- Nie będę ukrywał, że odniósł pan rozliczne obrażenia. Dość typowe w tych okolicznościach: uraz kręgosłupa, złamane żebra, pęknięte kręgi szyjne, wystąpiło też krwawienie do płuc. Nie będę zdręczał pana szczegółami. Najważniejsze, że pan żyje.

Lekarz otarł pot z czoła.

- Podczas pierwszych godzin po operacji bynajmniej nie byliśmy tego pewni. - Westchnął i spojrzał na Nielsa.

- Jest pan spragniony?

Zanim Niels zdążył odpowiedzieć, zjawiała się pielęgniarka i włożyła mu do ust słomkę.

- To sok. Proszę pić. Potrzebuje pan dużo płynów.

Smak truskawek i malin. Słodycz. Słomka obudziła w nim na moment zapomniane wspomnienia. Dzieciństwo. Dziki rabarbar rosnący za boiskiem do piłki. I krzaki pomidorów. Owłosione łodygi, jak nogi pająka.

- Dobrze. Jutro spróbujemy podać panu coś dojedzenia.

Może wspomnienie jedzenia spowodowało, że Niels spojrzął na swoje ciało. Spod kołdry wystawały jego ręce. Kroplówka, opatrunki.

- Co się stało?

- Porozmawiamy o tym później.

- Nie! Chcę wiedzieć.

Pielęgniarka zaczęła szeptać coś do ucha lekarza. Asger Gammeltoft pokiwał głową.

- Niels. Stracił pan dużo krwi, ale udało nam się pana ustabilizować. Jesteśmy dobrej myśli - powiedział. - To znaczy jesteśmy optymistami - poprawił się. - Zaobserwowaliśmy też bardzo charakterystyczne wybroczyny na pana plecach. Początkowo sądziliśmy, że to poparzenie. Prawdę mówiąc, dlatego trafił pan tu do nas, do Szpitala Krajowego. Jednak okazało się, że to nie jest oparzenie.

Lekarz odchrząknął.

- Początkowo zastanawialiśmy, czy nie jest to jakiś stary tatuaż, ale potem stwierdziliśmy, że to chyba rodzaj podskórnych wybroczyn. Cóż, będzie pana musiał obejrzeć dermatolog. Zdarza się, że po operacji u pacjenta pojawia się grzybica. To znaczy, że system odpornościowy walczy.

Lekarz znów odchrząknął.

- Teraz musi pan przede wszystkim odpoczywać. Wkrótce czeka pana kolejna operacja, ale teraz najważniejszy jest spokój. Najlepszym lekarzem jest własny organizm, jak to zwykliśmy mawiać.

Lekarz skinął głową, uznał rozmowę za zakończoną. Niels próbował go zatrzymać.

- Hannah - wyszeptał.

- Nie słyszę pana.

Zmobilizował wszystkie swoje siły.

- Hannah...

- Musi pan odpoczywać.

Lekarz chciał już wyjść, w ostatniej chwili zmienił jednak zdanie.

- ...nah...

- Trzy doby był pan nieprzytomny. Odniósł pan poważne obrażenia. Potrzebuje pan

odpoczynku.

Trzy doby? Niels wyjrzał przez okno. Jego mózg nagle znów zaczął pracować. Trzy doby.

- Środa?

- Tak. Dzisiaj jest środa, dwudziesty trzeci grudnia. Trzy dni był pan nieprzytomny.

- Piątek.

- Słucham?

- To stanie się w piątek.

Lekarz zerknął na pielęgniarkę. Wymienili spojrzenia. Niels nie rozumiał ich mowy, ale było mu wszystko jedno. Wiedział, że musi stąd wyjść. Oddalić się. Wyjrzał przez okno i zaczął się zastanawiać, jak to zrobi. Nie był w stanie chodzić. A może był? Rozejrzał się. Lekarz wyszedł już z sali.

Młoda pielęgniarka podeszła do Nielsa.

- Proszę się nie martwić lukami w pamięci, to normalne w takiej sytuacji. Powoli pamięć wróci. Nie odniósł pan żadnych poważniejszych obrażeń mózgu. Na pewno wróci pan do zdrowia.

- Hannah?

- Pyta o swoją przyjaciółkę - pospieszyła z wyjaśnieniem starsza pielęgniarka.

- Hannah!

- Proszę się uspokoić. Teraz musi pan odpoczywać.

- Powiedzcie mi!

Niels spojrzął na swoje ciało. Z dużym wysiłkiem odwrócił głowę. Zobaczył, że trzyma pielęgniarkę mocno za rękę. Wbijał paznokcie w jej nadgarstek.

- Wszystkiego się pan dowie. Najważniejsze, żeby odzyskał pan siły...

- Powiedzcie mi!

- Zaraz przyjdzie lekarz.

Starsza pielęgniarka zniknęła.

Niels walczył ze snem. Postanowił zaczekać, aż zjawi się kolejny biały fartuch, zacznie łagodnie do niego przemawiać, da mu coś na uspokojenie. Pielęgniarka chwyci go za rękę, a wtedy lekarz przekaze mu wiadomość. Niels wiedział jaką, wyczytał to z oczu młodej pielęgniarki. Hannah nie żyła.

2

Centrum Traumatologii, Szpital Krajowy

Czuła się lepiej niż kiedykolwiek. Niezwykła eksplozja wolności. Myślała jasno, swobodnie. Tu jej myśli nareszcie mogły się rozwinąć.

Czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

Ciemna szczelina w oszałamiającej jasności. Hannah się odwróciła. Było jej wszystko jedno, aż nagle przypomniała sobie o Nielsie. I wtedy znów rozwarła się ciemność. Nie mogła nic poradzić. Pozwoliła się jej pochłonąć.

Właśnie doświadczyłam czegoś niezwykłego.

Niewyraźne postaci jak ze snu w białym pokoju. Jedna z nich podeszła bliżej. Nachyliła się nad nią. Zaświeciła jej w oczy...

- Znów jest z nami!

- Co?

- Sprawdźcie sami.

Gwar głosów wokół niej. Fantastycznie. Uśmiechy, westchnienia ulgi. Twarda kobieta.

Głosy docierały do niej bardzo wyraźnie. Szczególnie jeden, kobiecy. Pozostałe postaci też się przybliżyły. Robiono coś z jej ciałem, podłączano jakąś aparaturę. Ciche skupione głosy.

- Niewiarygodne. - Usłyszała czyjś głos.

- Jest stabilna.

Kto? O kim oni mówią?

Ktoś zaświecił jej latarką w oczy. Ktoś wkuł jej igłę w rękę, w pokoju coś piszczało.

- Gdzie...

Czyżby to ona szeptała? Żadnej reakcji. Próbowwała odchrząknąć. I wtedy poczuła swoje ciało. Nie było to miłe doznanie: dojmujący ból w klatce piersiowej i w gardle. Głos jednak stawał się jakby silniejszy.

- Gdzie jestem...

Reszta zdania utonęła w hałasie śmigłowca. Hannah wyjrzała przez okno, zobaczyła, jak maszyna odlatuje. Była w Szpitalu Krajowym. Oczywiście.

- Próbuje coś powiedzieć.

Wpatrzona w nią twarze. Hannah zbierała siły, chciała wstać. Musi odnaleźć Nielsa i go ostrzec. Ale nie mogła. Nie była w stanie. Nie mogła się ruszać. Nawet nie z powodu bólu, tylko nadal była jakby oszołomiona.

- Słyszysz mnie pani?

Ktoś do niej mówił. Męski głos, starał się brzmieć łagodnie.

- Hannah Lund? Słyszysz mnie pani?

- Tak.

- Przez wiele dni była pani nieprzytomna. Nawet więcej niż nieprzytomna. Wie pani, gdzie pani jest?

Szpital Krajowy. Wiedziała, ale nie potrafiła ubrać myśli w słowa. Zostały w jej ustach.

- Jest pani w Szpitalu Krajowym w Kopenhadze. Miała pani poważny wypadek. Na Jutlandii. Została pani przewieziona tu śmigłowcem.

Hannah nie odzywała się. Lekarz - bo to chyba jego głos słyszała - przemawiał do niej jak do dziecka.

- Słyszysz pani, co do pani mówię?

- Tak.

- Dobrze. To ważne...

- Jaki dzisiaj jest dzień?

- Czwartek, dwudziesty czwarty grudnia. Wesołych świąt.

Twarz się przybliżyła. Młody mężczyzna w okularach uśmiechnął się do niej.

- Jutro...

- Tak?

- Gdzie jest Niels?

- Pyta o swojego przyjaciela. Został ranny w tym samym wypadku - powiedział jakiś głos.

- Gdzie jest Niels?

Dopiero, kiedy statyw z kroplówką, przewrócił się, Hannah zdała sobie sprawę, że udało się jej usiąść na łóżku. Ból głowy. Musiała się uderzyć. Pewnie o podłogę. Albo o statyw. Drzwi się otworzyły. Nadbiegły białe fartuchy. Kolejne anonimowe, przyjazne twarze.

- Jest w szoku - stwierdził ktoś. - Trzeba jej podać...

Nie dosłyszała nazwy środka uspokajającego, ale pomyślała, że głos ma rację. Była w szoku. W jej mózgu kłębiły się najróżniejsze myśli. Czowała, jak krew krąży w jej żyłach, dociera do serca, czuła każdą najmniejszą żyłkę.

- Nie jestem w szoku. - Usłyszała swój głos.

Położono ją z powrotem do łóżka. Nie miała siły się przeciwstawić.

- Uległa pani poważnemu wypadkowi. Uderzył w panią samochód jadący z dużą prędkością...

- Jutro...

- Musi pani odpoczywać.

- Jutro o zachodzie słońca... Niels.

- Proszę posłuchać. Pani mąż, czy też przyjaciel, przeżył wypadek. Teraz oboje potrzebujecie spokoju.

- Jaki dzisiaj jest dzień?

- Możecie się trochę pospieszyć. - Czyjś głos rozległ się gdzieś w pobliżu.

Czyjaś ciepła dłoń.

- Jaki dzisiaj jest dzień?

- Już o tym rozmawialiśmy. Jest czwartek rano. Wigilia. Ale proszę się niczym nie przejmować i odpoczywać. Oboje mieliście ogromne szczęście. Podaliśmy pani coś, żeby mogła się pani odprężyć.

Głos nagle się rozmył. Hannah słyszała go, ale słowa wydawały się jej pozbawione sensu. Lekarstwo zawładnęło jej ciałem. Walczyła, ale była to nierówna walka. Ciemność powróciła, przynosząc jej ulgę.

3

Oddział intensywnej opieki medycznej, Szpital Krajowy

Każde przebudzenie było jak powolny powrót do życia. Światło raziło w oczy. Jakby ciało zdążyło się już przystosować do siły ciężenia w krainie śmierci, która była znacznie silniejsza niż ta ziemską. Tak pewnie czuł się Łazarz, kiedy Bóg wskrzesił go do życia, pomyślał Niels. Zmrużył oczy i poczuł, jak jego ciało się zapada, przechodzi przez materac,

spada na podłogę.

Zaczerpnął ciężko powietrza. Rozejrzał się. Szpital. Nadal był w szpitalu. Zamknął oczy. Pozwolił, by jego ciało upadło.

Czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

- Niels?

Niels rozpoznał głos.

- Niels.

Łysina. Sympatyczne oczy, takie jak oczy jego ojca.

- Słyszysz mnie, Niels? To ja, Willy. Twój wujek.

- Willy?

- Byłem tu już kilka razy. Byłeś nieprzytomny, chłopcze. Dobrze, że twoim rodzicom oszczędzono tego widoku. Nie przeżyliby tego.

Niels się uśmiechnął. Wuj Willy był jedyną rodziną, jaka mu została. W każdym razie jedyną osobą z rodziny, którą był w stanie ścierpieć.

- Powiedz mi, gdzie pracuje Kathrine. Gdzieś za granicą? Zawiadomię ją.

Niels pokręcił głową.

- Sam do niej zadzwonię. Kiedy poczuję się trochę lepiej.

- Dobrze, chłopcze. Wyjdiesz z tego. Lekarze też tak mówią. Masz silny organizm. Zawsze byłeś silnym chłopcem. Jak twój ojciec.

Niels najchętniej odszedłby znów w ciemność. Gdzieś daleko. Słyszał, jak wuj Willy coś mówi, ale nie słuchał go. Coś o kwiatach. O czekoladzie. I o jakichś zmarłych członkach rodziny. Jego miły łagodny głos towarzyszył mu w drodze powrotnej w ciemność.

- Wesołych świąt. - Usłyszał, jak mówi wuj. A może ktoś inny. Miał wrażenie, że słyszy śpiew. A może śnił.

*

- Niels Bentzon?

Mężczyzna w lekarskim fartuchu. Kolejny mężczyzna. Najwyraźniej było ich tu niezliczenie wielu. Gdzie podział się wujek Willy? Czy w ogóle tu był? Na stoliku obok łóżka stał bukiet kwiatów, jako dowód. Czy to możliwe, że wuj zjawił się w szpitalu z wiązanką jak na pogrzeb?

- Słyszysz mnie pan? - spytał mężczyzna w fartuchu.

- Tak.

- Mam dobre wiadomości.

Niels próbował się skupić. Jakaś błonka cały czas zasłaniała mu oczy, miał wrażenie, jakby był pod wodą.

- Dobre wiadomości?

- Chodzi o pańską przyjaciółkę.

- O Hannah? - przerwał mu Niels.

- Nie umarła.

- Nie umarła?

- Będzie żyła.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- To dość niezwykle, że udaje się kogoś dwukrotnie przywrócić do życia. Jestem lekarzem i raczej nie używam słowa cud. Ale kiedy pańska przyjaciółka kilka godzin temu odzyskała przytomność, to właśnie był cud. Być może nie pozostanie jej nawet trwały uraz.

Przyjaciółka. To słowo drażniło go. Lekarz mówił dalej, ale Niels go już nie słuchał.

- Chcę się z nią zobaczyć - powiedział, wymawiając słowa głośno i wyraźnie.

- Oczywiście. Jak tylko będzie to możliwe.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Zostanie pan tu jeszcze jakiś czas.

Lekarz rozejrzał się, spojrzął na jedną z pielęgniarek. Nie powiedział tego głośno, ale Niels i tak się domyślał, co jej mówi. Nie ma czasu na jałowe dyskusje z pacjentami. Ma inne sprawy na głowie. Proszę mu wytłumaczyć, że musi tu jeszcze zostać.

Pielęgniarka podeszła do niego.

- Niestety, na razie nie jest to możliwe. Leżycie na różnych oddziałach. Pana przyjaciółka została teraz przeniesiona na kardiologię. To aż tam. - Wskazała ręką drugi kraniec budynku.

Budynek szpitala był w kształcie litery H, tak że odległości między poszczególnymi oddziałami naprawdę były duże. Niekiedy nie było nawet widać ludzi w oknach po drugiej stronie.

- Za każdym razem, kiedy przenosi się pacjenta, zwiększa się ryzyko komplikacji. Musicie jeszcze trochę poczekać. Dla własnego dobra. Skontaktowaliśmy się z waszymi rodzinami.

- To pilna sprawa.

- Może porozmawiacie przez telefon. Co pan na to?

Pielęgniarka uśmiechnęła się i dotknęła jego zabandażowanej głowy.

- Dobrze - powiedział Niels.

Pielęgniarka wyszła. Niels znów wyjrzał przez okno. Pozwolił pamięci powrócić. Morze. Pociąg towarowy. Kiosk. Wypadek.

„Nieważne co zrobisz, Niels, tak czy inaczej za tydzień trafisz do Szpitala Krajowego”. Hannah powiedziała mu to tydzień temu. System.

- Niels Bentzon?

Niels został wyrwany ze swoich rozmyślań. Ile czasu minęło?

Mężczyzna się przedstawił.

- Jørgen Wass. Jestem dermatologiem. Młody człowiek obok to praktykant, który mi ostatnio towarzyszy.

Dopiero teraz Niels zauważył młodego mężczyznę w okularach u boku starszego lekarza.

- Poproszono mnie, żebym obejrzał pana plecy.

- Teraz?

- Po to tu przyszedłem. - Lekarz się uśmiechnął. - Nie pracuję tu na stałe. Szpital nie ma własnej kliniki dermatologicznej, ale nie chcemy teraz pana nigdzie przenosić. Przeszedłem jedynie zorientować się, w czym problem. Może pan położyć się na brzuchu?

Nie czekając na jego odpowiedź, dermatolog, tonem nieznoszącym sprzeciwu, zwrócił się do pielęgniarek:

- Proszę pomóc pacjentowi.

Lekarz założył jednorazowe rękawiczki. Niels obiecał sobie, że nie będzie jęczał, kiedy pielęgniarka odwróciła go najpierw na bok, a potem na brzuch. Podciągnęła mu koszulę. Dermatolog usiadł. Nie spieszył się. Niels czuł się coraz bardziej skrupowany przedłużającym się oczekiwaniem.

- Potrzebuje pan czegoś? - spytał młody praktykant.

- Nie, dziękuję. Jeszcze chwila. Mam nadzieję, że nie jest to dla pana nieprzyjemne? - zwrócił się do Nielsa.

Niels milczał, kiedy lekarz dotknął jego pleców.

- To miejsce jest bardziej wrażliwe? Swędzi pana?

- W zasadzie nie.

- Kiedy został zrobiony?

- Słucham?

- Ten tatuaż - powiedział i nagle zaczął się zastanawiać. - Jeśli to jest tatuaż.

- To nie jest tatuaż - odparł Niels, chociaż czuł, że lekarz go nie słucha.

- Jest pan pewien? Może został wykonany henną? Wyjeżdżał pan gdzieś?

- Chcę to zobaczyć.

- To na pewno tatuaż - wtrącił się praktykant. - Może to Mongolian Spot?

- Nie mam na plecach żadnego tatuażu.

Niels próbował mówić głośno, co w tej pozycji, z twarzą wciśniętą w poduszkę, nie było takie proste.

- Nie próbował pan go usunąć? - dopytywał się dermatolog. - Nie ma pan grzybicy?

- Nie.

- Lekko spuchnięta epiderma. Ślady pigmentacji, stan zapalny.

Niels nie potrafił powiedzieć, czy lekarz mówi do praktykanta, do pielęgniarek czy do siebie.

- Chcę to zobaczyć - zażądał i spróbował się odwrócić.

- Za chwileczkę.

Lekarz poskrobał mu po plecach jakimś ostrym narzędziem.

- Muszę pobrać materiał do analizy. Boli?

- Tak.

- Trudno coś powiedzieć. Odwrócimy go?

- Chcę to zobaczyć!

Cisza. Lekarz był wyraźnie temu przeciwny. Niels to czuł.

- No dobrze. Proszę przynieść kilka luster.

Niels leżał nieruchomo. Pielęgniarki wniosły do sali dwa lustra. Zaczęły je ustawiać.

- To nie jest przyjemny widok - próbował ostrzec go lekarz. - Nie chcę, żeby doznał pan szoku, tym bardziej że trochę kortyzonu i wszystko powinno ustąpić.

Niels spojrzał na swoje plecy. Znak był takiego samego kształtu, jaki widział na zdjęciach. Sięgał od łopatki do łopatki. Wzór zaczynał być widoczny. Cyfry nie dawały się jeszcze odczytać, ale były tam. Trójka i szóstka. Trzydzieści sześć.

Lekarz wyprostował się, spojrzał na praktykanta.

- Widziałem już coś takiego - wyznał.

- Gdzie? - spytał praktykant.

- Naprawdę? - zainteresował się Niels. - Gdzie pan widział coś podobnego?

- To było dawno temu, ale...

- Ale co?

Lekarz wstał.

- Zbadam pobrany materiał i wrócę do pana - powiedział.

Dał znak praktykantowi i bez słowa opuścili salę.

4

Oddział kardiologii, Szpital Krajowy

Rodzice Hannah chętnie przystali na zaproponowany przez pielęgniarkę poczęstunek. Pieczeń wieprzowa z brunatnym sosem. Ojciec zjadł swoją porcję, a po chwili i porcję matki, która była w stanie jedynie płakać. Nic nie może się zmarnować, to było motto życiowe jej ojca. Jego potężny brzuch zdawał się to potwierdzać.

Hannah zawsze czuła się skrępowana podczas spotkań z ojcem. Ze zgrozą wspominała, jak to jej rodzice niespodziewanie zjawili się na obronie jej pracy doktorskiej. Usiedli w ostatnim rzędzie, ojciec prychnął i zajmował niemal dwa krzesła. Matka nie odezwała się słowem. Podobnie było teraz.

Długa wizyta, mało słów. Hannah miała wrażenie, że już dawno ją sobie odpuścili. Najpierw choroba i śmierć Johannesesa. Potem odejście Gustava. To było dla nich za dużo. Nie rozumieli tego. Zresztą Hannah nawet jako dziecko była im obca.

W końcu wyszli.

- Mamy zostać jeszcze trochę? - spytali na odchodnym.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Powinnam odpoczywać.

Rodzice mieli przenocować u jej przyrodniego brata, ale ojciec miał chory kręgosłup i mógł zasnąć jedynie we własnym łóżku, tłumaczył jej. Więc pewnie zdrzemnie się kilka godzin na jakimś krześle, a jutro wrócą do domu.

- Moja mała dziewczynka - wyszeptała jej matka, zanim wyszli.

Ale Hannah już dawno przestała być jej małą dziewczynką.

- Na pewno niczego pani nie trzeba? - upewniała się pielęgniarka, sprzątając po wizycie jej rodziców.

- Chciałabym porozmawiać z Nielsem.

Pielęgniarka spojrzała na nią zdziwiona.

- Niels Bentzon. Mężczyzna, który został poszkodowany w tym samym wypadku - tłumaczyła jej Hannah.

- On też tu leży?

Hannah skinęła głową. Pomyślała, że to pewnie z powodu świąt. Stały personel ma zapewne wolne, dlatego zatrudniono praktykantów. W końcu jednak pojawiła się jakaś znajoma twarz. Okrągłe policzki, śmiejące się oczy. Randi? Tak, na pewno.

- Randi?

- Pani nie śpi?

- Chciałabym porozmawiać z Nielsem.

- Wiem, ale on, podobnie jak pani, budzi się i zaraz zasypia. Dostaje leki przeciwbólowe, które działają usypiająco. Budzi się na dziesięć minut, a potem śpi trzy, cztery godziny.

- Mogłabym do niego zadzwonić? To ważne.

Randi się uśmiechnęła.

- Najważniejsze, żebyście jak najszybciej wrócili do zdrowia, prawda?

Pielęgniarka wzięła dłoń Hannah.

- Idę w tamtą stronę. Mam do niego zajrzeć? Spróbować panią z nim umówić?

- Będę wdzięczna.

Randi wyszła. Hannah wyjrzała przez okno. Zapadł zmierzch. Wigilia w szpitalu. Zamknęła oczy. Po chwili usłyszała delikatne kroki. Otworzyła oczy i pomyślała, że starsza pani, która przed nią stała, musiała pomylić sale.

- Hannah Lund? To pani? - spytała kobieta i podeszła bliżej. - Nazywam się Agnes Davidsen - przedstawiła się.

Podala jej rękę, ale cofnęła ją i tylko lekko ścisnęła jej dłoń.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Musiała mieć ponad siedemdziesiąt lat. Skóra jak pergamin. Skojarzyła się Hannah z delikatną, nieco przywiedłą roślinką. Ale jej oczy były żywe, inteligentne.

- Miała pani wypadek samochodowy?

- Tak.

- Była pani w samochodzie, kiedy drugi samochód na panią wjechał?

- Nie byłam w samochodzie. Ktoś na mnie najechał.

- Pięć dni temu?

- A o co chodzi?

- Przyszłam prosić, żeby opowiedziała mi pani o swoim przeżyciu śmierci.

Hannah uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Żeby mówić o czymś takim, serce musi przestać bić.

Agnes spojrzała na nią zdziwiona.

- Nic pani nie powiedzieli?

- Owszem, że mój stan był poważny.

Agnes podeszła bliżej.

- Pani umarła. Dwukrotnie.

- To jakieś nieporozumienie.

- Nie wiem, dlaczego pani o tym nie powiedziano. To typowe w tym szpitalu. W czasie świąt komunikacja z pacjentami pozostawia wiele do życzenia. Ale może pani mi zaufać. Ja takie rzeczy wiem. Całe życie temu poświęciłam.

- Nie rozumiem.

Pielęgniarka weszła do pokoju w chwili, kiedy Hannah usiłowała wstać z łóżka. Przewróciła statyw z kroplówką.

- Co się ze mną działo?

Chciała krzyknąć, ale z jej ust dobywał się jedynie szept.

- Żądam odpowiedzi!

*

- Spontaniczny pneumothorax.

Lekarz natychmiast się domyślił, że Hannah była jedną „z nich”, była „swoja”. Była uznanym naukowcem, zajmowała się astrofizyką. Dlatego był pewien, że go zrozumie.

- Doszło do pęknięcia pęcherzyków górnego płata płucnego, dlatego powietrze dostaje się do jamy płucnej i płuco się zapada. Najczęściej takie pęknięcia goją się same. Wtedy płuco znów się wypełnia.

Spojrzał na nią.

- Chce pani odpocząć?

- Proszę dokończyć.

- W pani przypadku uderzenie spowodowało powstanie nieszczelności, która doprowadziła do ciśnieniowego pneumothorax. To bardzo poważny stan, grożący nawet śmiercią. Na szczęście odzyskaliśmy pełną kontrolę nad pani płucami. Nad pracą serca zresztą też.

- Ta kobieta twierdziła, że umarłam.

- Musimy się zastanowić, dlaczego komunikacja nie działa tak, jak powinna. Musimy bardziej przestrzegać zasad, szczególnie w święta.

- Proszę mi powiedzieć, czy to prawda? - przerwała mu Hannah. - Umarłam?

Lekarz wziął głęboki wdech, jakby to była jego wina, że jej serce przestało bić.

- To rzeczywiście prawda. Powinniśmy powiedzieć to pani znacznie wcześniej.

Przepraszam. Pani serce przestało bić. I to dwukrotnie. Za pierwszym razem przywróciliśmy jego pracę już po kilku minutach. Ale potem na stole...

- Na stole?

- Na stole operacyjnym. Wtedy pani serce znów przestało bić. Prawdę mówiąc, byliśmy przekonani, że pani umarła.

- Jak długo to trwało?

- Prawie dziesięć minut. To bardzo niezwykle.

Milczenie.

- Nie żyłam przez dziesięć minut?

Lekarz odchrząknął. Zerknął na zegarek.

- Agnes jest w porządku. Chce pani z nią porozmawiać? Jeśli nie, to sobie pójdzie.

Siedziała na korytarzu, czekając, aż pani się obudzi.

- Jak jest dzisiaj dzień?

- Wigilia. Nadal jest Wigilia.

Współczujący uśmiech.

- Wiem, że nie będzie to prawdziwa Wigilia, ale kuchnia zawsze bardzo się stara.

- Jak długo będę tu leżeć?

- Zobaczymy.

Lekarz wstał, na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, który chyba miał być uśmiechem.

5

Oddział intensywnej opieki medycznej, Szpital Krajowy

- Niels.

Niels drgnął i natychmiast się obudził. Rozejrzał się nieco zdziwiony. Nie rozpoznał stojącej w drzwiach pielęgniarki.

- Jak pan się czuje? - spytała.

- Kim pani jest? Jaki jest dzisiaj dzień?

- Mam na imię Randi - przedstawiła się pielęgniarka. - Pracuję na oddziale kardiologii, gdzie leży pana przyjaciółka. Hannah.

- Jak ona się czuje?

- Wyjdzie z tego. Ciągłe dopytuje się o pana. Może chciałby pan do niej zadzwonić?

- Jaki dzisiaj jest dzień?

Randi uśmiechnęła się łagodnie.

- Oboje ciągle o to pytacie. Macie jakieś plany?

Niels spróbował usiąść na łóżku, ale ból biodra i klatki piersiowej okazał się za silny.

- Proszę leżeć. Przyniosę panu telefon. Dwie sekundy - rzuciła i wyszła z sali.

Niels po raz kolejny spróbował wstać. Musiał odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. Opanować jakiś sposób poruszania się, tak żeby mógł stąd wyjść. Wyjść ze szpitala. Pomyślał o uczestnikach olimpiady specjalnej. Niektórzy zawodnicy nie mieli ani rąk, ani nóg, a jednak dokonywali rzeczy niezwykłych. W takim razie i on powinien sobie poradzić, przynajmniej na tyle, żeby zawlec swoją cielesną powłokę do taksówki.

Wróciła Randi, niosąc w ręku aparat telefoniczny.

- Proszę, wszystko przygotowane.

Uśmiechnęła się i zaczęła wybierać numer.

- Mówi Randi. Jestem w sali, w której leży przyjaciel Hannah. Ona nie śpi? Co takiego? Kto ją zabrał? Dokąd? - dopytywała się wyraźnie zaniepokojona.

Rozłączyła się, spojrzała na Nielsa.

- Ktoś zabrał ją z sali - powiedziała.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Chyba że nagle jej stan się pogorszył.

- Jak to?

Randi wyszła z sali, ale obiecała wkrótce wrócić.

Nagle z zewnątrz doszedł Nielsa dobrze znany mu głos. Nawet zbyt dobrze. Pewny siebie, surowy, ale gdy trzeba, uprzejmy i czarujący. Niels zamknął oczy, udając, że śpi. Co nie było trudne. Kroki się zbliżały. Hugo Boss. Płyn po goleniu. I nutka damskich perfum, która została na garniturze.

- Bentzon - wyszeptał Sommersted. - Bentzon. Słyszysz mnie? Chyba nie. Nie najlepiej wyglądasz.

Sommersted usiadł obok łóżka Nielsa i milczał dobrych kilka minut. Niels nadal udawał, że śpi.

- No cóż. Przyjdę tu jutro, Niels. Życzę ci, żebyś z tego wyszedł. Ja... - zaczął Sommersted i urwał.

Nachylił się nad łóżkiem i wyszeptał.

- Miałaś rację z tą Wenecją. Nie wiem, skąd wiedziałaś, ale miałaś rację.

Sommersted wstał. Wymamrotał coś, że pamięta, że Niels mówił, że kolejnym miejscem zbrodni będzie Szpital Krajowy.

Potem wszystko ucichło. Niels pomyślał, że Sommersted wyszedł albo może to on po prostu w końcu zasnął.

6

Białe korytarze, Szpital Krajowy

- Może po prostu nie ma z kim spędzić Wigilii? - zastanawiała się Hannah, kiedy Agnes skierowała jej łóżko do windy.

- Widzę, że wszystko jest w porządku. Proszę dać znać, gdyby poczuła się pani gorzej - powiedziała starsza pani, uśmiechając się.

Z jej gardła dobył się schrypnięty, niemal bezgłośny śmiech wieloletniego palacza.

- Jestem emerytowaną położną - dodała. - Jeszcze dziesięć lat temu pracowałam na tutejszej porodówce. Nagle okazało się, że mam raka. Lekarze dawali mi góra dwa lata życia. Postanowiłam, że poświęcę je mojej wielkiej pasji. Właśnie dlatego jestem tu teraz z panią.

- Ta pasja to wypadki samochodowe?

- Niezupełnie. Przeżycia z pogranicza śmierci.

- Śmierci?

Starsza pani przytaknęła.

- Może właśnie dlatego, że tyle czasu poświęcam śmierci, nadal tu jestem? Może śmierć wystraszyła raka? - Uśmiechnęła się. - W każdym razie dotąd nie udało mu się mnie pokonać. Trochę to makabryczne? Zwariowana baba, pomyślała pani pewnie.

- Nie.

- Mnie to nie przeszkadza. Właściwie jest pewna logika w tym, że przepracowawszy tyle lat jako położna, teraz zainteresowałam się śmiercią czy bardziej poprawnie doświadczeniami z pogranicza śmierci. Przez pierwszą część życia pomagałam ludziom przychodzić na świat, teraz próbuję zrozumieć, co się z nami dzieje, kiedy go opuszczamy. Życie i śmierć.

Starsza pani odchrząknęła. Może czekała, aż Hannah coś powie.

- Niczego takiego nie doświadczyłam - odezwała się w końcu.

- Pokażę pani, gdzie się to wydarzyło. Gdzie pani umarła. Może jednak coś pani sobie przypomni.

Winda zjechała do piwnicy, Agnes pchnęła łóżko i wyjechała z nim na korytarz. Tu była u siebie. Położyła ręce na wezglówiu szpitalnego łóżka. Hannah widziała jej dolną szczękę. Agnes uśmiechnęła się do niej i powróciła do swojej opowieści.

- Zaczniemy od samego zjawiska. Doświadczenie z pogranicza śmierci. Co to właściwie znaczy?

Starsza pani wzięła głęboki wdech.

- Zjawisko to jest znane od zawsze. Opowiadają o tym ludzie, którzy zmarli i powrócili do życia.

- Ostatnie skurcze mózgu?

- Być może. Niewielu traktuje to poważnie. Większość się z tego śmieje. Ale medycyna robi postępy, coraz więcej ludzi udaje się przywrócić do życia. I coraz więcej wiemy. Lekarze i naukowcy też zaczynają traktować tę sprawę bardziej poważnie. Elisabeth Kubler-Ross, Raymond Moody. Słyszała pani o nich?

- Możliwe.

- Lekarze, którzy w latach siedemdziesiątych dokonali przełomu w badaniach nad tym zjawiskiem. Wymieniają dziewięć czynników, które są z nim związane. Nie mówię za szybko?

- Zajmuję się astrofizyką.

Agnes tylko się uśmiechnęła.

- Tych dziewięć czynników to: szum albo dzwonięcie, ból, które nagle ustępują, poczucie wyjścia z własnego ciała, poczucie, że ktoś nas ciągnie przez ciemny tunel, a potem nagle jesteśmy już ponad Ziemią i widzimy ją z góry, potem spotykamy ludzi, jakby promieniujących wewnętrznym światłem, często są to nasi zmarli przyjaciele albo bliscy, a potem spotkanie z duchową siłą...

- Z Bogiem?

- Być może. Przed naszymi oczami przewija się całe nasze życie, jak w filmie, a potem - i to jest najbardziej zaskakujące - następuje pytanie, czy chcemy wrócić do życia, czy nie.

- Czy chcemy żyć, czy umrzeć?

- Można to tak ująć.

- Większość wybiera to nowe miejsce?

- Na to wygląda.

- Życie po śmierci.

- Tak twierdzą Kubler-Ross i Moody. Nie mają żadnych wątpliwości. Tak wielu pacjentów tego doświadczyło, że dowody wydają się jednoznaczne. Chociaż sceptyków oczywiście też nie brakuje. Do nich należał między innymi doktor Michael Sabom. Dlatego postanowił osobiście zająć się tym zjawiskiem. Ku jego zdziwieniu okazało się, że sześćdziesiąt procent pacjentów w jego klinice kardiologicznej, u których akcja reanimacyjna zakończyła się sukcesem, opowiadało potem o swoich przeżyciach z pogranicza śmierci. I to bardzo szczegółowo.

Agnes spojrzała na Hannah i mówiła dalej.

- Istnieją oczywiście też czysto biologiczne wytłumaczenia. Kiedy ciało umiera, źrenice znacznie się powiększają. To może tłumaczyć bardziej intensywne doznania. Wręcz można mówić o pewnym złudzeniu optycznym. Innym wytłumaczeniem jest to, że w chwili śmierci dochodzi do zatrucia dwutlenkiem węgla. Stąd zapewne wrażenie, jakby się było w tunelu. Są też tacy, którzy uważają, że to wszystko to po prostu halucynacje. Rodzaj mechanizmu obronnego.

Starsza pani wzruszyła wątlymi ramionami.

- Niewykluczone, że podświadomość próbuje nam pomóc pogodzić się z faktem, że umieramy. Pokazać, że śmierć nie jest taka straszna. Że tam po drugiej stronie znajdziemy światło, ciepło i miłość. Ale to nie tłumaczy wszystkiego.

- Wiedziałam, że pani to powie.

- Są przykłady na to, że ludzie, którzy umarli i powrócili do żywych, opowiadają potem, że spotkali tam ludzi, o których nie mogli wiedzieć, że oni nie żyją. Czy to nie fascynujące?

Agnes zamilkła.

- Teraz w sprawę włączyła się też Organizacja Narodów Zjednoczonych - dodała po chwili.

- Mianowicie?

Starsza pani wjechała z łóżkiem Hannah przez drzwi i postawiła je.

- W 2008 roku pod auspicjami ONZ odbyła się duża konferencja poświęcona właśnie przeżyciom z pogranicza śmierci. Naukowcy z różnych krajów mogli nareszcie podzielić się swoimi wątpliwościami, opowiedzieć o różnych doświadczeniach, których nie jesteśmy do końca w stanie pojąć. A jeśli próbujemy je tłumaczyć, to spotykamy się z drwiącymi uśmiechami.

- Nauka jest bezlitosna.

- Tak. I właśnie z tego powodu grupa lekarzy rok później rozpoczęła pewien naukowy eksperyment, mający na celu zbadanie opisywanych przez ludzi przeżyć.

- Nie jest chyba łatwo o wiarygodne dowody.

- I tak, i nie. Pewien angielski lekarz wpadł na szalenie prosty pomysł.

- Mianowicie?

- Na oddziałach ratunkowych i traumatologicznych w różnych krajach umieszczono pod sufitem niewielkie półeczki. Tak wysoko, żeby nikt, kto stoi w tym pomieszczeniu, nie mógł dojrzeć, co na nich leży. Na tych to półeczkach położono wiele różnych obrazków.

Hannah zaczęła rozumieć, dlaczego Agnes ją tu przywiozła. Spojrzała do góry. Początkowo niczego nie zauważyła, zerknęła w drugą stronę. I rzeczywiście, wysoko w górze, jakieś dziesięć centymetrów od sufitu, była umieszczona mała czarna półeczka.

Agnes przyglądała się jej.

- Nikt nie wie, co jest na rysunku, który tam się znajduje. Nawet ja. Rysunek przyszedł do nas w zalakowanej kopercie z Londynu.

Hannah poczuła, że ma sucho w ustach. Czuła, jak bije jej serce. Chciała jak najszybciej stąd wyjść.

7

Oddział intensywnej opieki medycznej, Szpital Krajowy

Do sali weszła pielęgniarka. W ręce trzymała książkę.

- Proszę - powiedziała. - Dermatolog prosił, żeby ją panu przekazać. Zapomniałam, jak się nazywa.

- Jørgen Wass?

- Ma pan pamięć do nazwisk. - Uśmiechnęła się.

- Jestem policjantem.

Podala mu książkę.

- Wass znalazł tu coś dla pana. Chyba nawet zaznaczył stronę. Prosił przekazać, że wpadnie do pana zaraz po świętach.

Niels spojrział na książkę. Była oprawiona w czarną skórę. Bez strony tytułowej.

- To chyba coś o chorobach skórnych.

Jedna ze stron była zaznaczona małą żółtą karteczką.

- Chciał, żeby pan coś obejrzał.

Pielęgniarka mówiła coś jeszcze, ale Niels jej już nie słuchał. Przyglądał się starej biało-czarnej fotografii czyichś pleców.

- Co to takiego?

Pielęgniarka nie była w stanie powściągnąć swojej ciekawości.

- Tatuaż?

Niels nie odpowiadał. Przez chwilę nie mógł oddychać. Plecy na zdjęciu wyglądały dokładnie tak jak jego. I liczba trzydzieści sześć, w najróżniejszych wariatach. Patrząc na nią, poczuł ssanie w żołądku.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się pielęgniarka.

Niels wpatrywał się w zdjęcie.

- Niels?

- Kim jest ten człowiek na zdjęciu?

Dopiero po chwili, kiedy nieco doszedł do siebie, zauważył tekst pod zdjęciem.

„Pacjent. Szpital Krajowy, 1943. Worning Syndrome”

- To Duńczyk?

Niels zaczął kartkować grubą księgę. Worning. To nazwisko? Może znajdzie jakieś bliższe informacje? W końcu jednak się poddał.

- To wszystko, co tu jest napisane - powiedział. - Skąd jest ta książka?

- Dał mi ją dermatolog. Nic więcej nie wiem.

- Muszę wiedzieć, co to za książka. I kim by ten pacjent. Proszę zadzwonić do lekarza i go o to spytać.

- Jest Wigilia!

- Teraz!

- Chwileczkę.

Pielęgniarka wzięła od Nielsa książkę.

Niels już zamierzał zaprotestować, ale powstrzymał się.

Pielęgniarka znów zniknęła. Zamykając za sobą drzwi, odruchowo zgasiła światło, zostawiając Nielsa w ciemności.

Światło.

Pielęgniarka wróciła.

- Zgasiałam panu światło? Przepraszam.

Podeszła bliżej.

Niels próbował uspokoić oddech.

- Źle się pan czuje? Może podać panu wody?

- Rozmawiała pani z nim?

- Tak. Powiedział, że ma pan się nie denerwować. Od tego się nie umiera.

Uśmiechnęła się.

Niels wątpił, czy pielęgniarka rzeczywiście rozmawiała z dermatologiem.

- Powiedział, że wpadnie po świętach.

Znów podała mu książkę.

- Chce pan jeszcze trochę poczytać?

Niels ponownie spojrział na zdjęcie, mając nadzieję, że tym razem może zobaczy coś innego.

Chude ciało. Ręce wyciągnięte na boki. Mężczyzna stał, kiedy robiono mu zdjęcie. Czarno-białe. Worning Syndrome. Może pacjent miał na imię Worning.

Poczuł się zmęczony.

- Czy w szpitalu jest archiwum?

- Tak, i to bardzo duże.

- Była pani w nim?

- Dwa razy w ciągu piętnastu lat. Ale pan na pewno tam się teraz nie wybierze.

Potrzebuje pan snu. No i cieszymy się świętami.

Wzięła z powrotem książkę.

- Pacjent ze zdjęcia był pacjentem szpitala, tak tam jest napisane.

- Nie znamy jego nazwiska.

- Worning. Worning Syndrome.

- A może to lekarz miał na nazwisko Worning? - powiedziała kobieta.

Okryła go kołdrą. Jak zatroskana matka.

8

Oddział traumatologii, Szpital Krajowy

Agnes wyjęła notes i zaczęła czytać na głos. O różnych doświadczeniach z pogranicza

śmierci.

- Weźmy na przykład tę historię. To skrócona wersja dobrze udokumentowanego przeżycia, którego doświadczył pewien Amerykanin. Przepraszam za momentami dość nieporadny język, ale sama to tłumaczyłam. Proszę więc nie winić za to Kimberly Clark Sharp.

- Kimberly...

- Kimberly Clark Sharp. Musimy się cofnąć do lat dziewięćdziesiątych, kiedy to pewnego dnia Kimberly upadła na ulicy. Jej serce przestało bić. Przestała oddychać. Puls zanikł. Proszę posłuchać, jak o tym pisze: „Pierwsze, co pamiętam, to paniczny krzyk kobiety: Nie wyczuwam tętna! Nie wyczuwam tętna! Ale ja czułam się dobrze. Pomyślałam, że chyba nigdy w życiu tak dobrze się nie czułam. Nigdy nie byłam taka spokojna. Niczego nie widziałam, ale wszystko słyszałam. Głosy ludzi, którzy się nade mną nachylali. Nagle znalazłam się w jakimś obcym dla mnie miejscu, ale wiedziałam, że nie jestem tam sama. Nadal jednak niczego nie widziałam. Wszystko zasnuwała jakby ciemna mgła”.

Agnes podniosła głowę.

- Mam czytać dalej?

Zanim Hannah zdążyła odpowiedzieć, wróciła do lektury. Hannah podejrzewała, że kobieta pewnie uznała, iż jeśli opowie jej o przeżyciach innych, Hannah uzna, że takie doświadczenia są niemal czymś powszechnym. I w ten sposób skłoni ją do wyznań. Prosty psychologiczny chwyt, ale skuteczny.

- „Nagle jakby w dole coś eksplodowało. Oślepiło mnie ostre światło. Byłam w jego środku, mgła znikła. Widziałam cały kosmos, ciągnącą się w nieskończoność przestrzeń. Ukazała mi się wieczność. Światło było silniejsze niż tysiące słońc, ale nie parzyło mnie. Nigdy nie widziałam Boga, a teraz rozpoznałam go, właśnie w tym świetle.

Rozumiałam to światło, chociaż nie znajdowałam na niego określenia. Nie porozumiewaliśmy się po angielsku. W żadnym konkretnym języku. Komunikowaliśmy się na całkowicie innej płaszczyźnie. Był to rodzaj muzyki, może była to matematyka”.

Hannah z trudem uniosła głowę.

- Tak tam jest napisane?

- Tak.

Agnes spojrzała na nią. Zawahała się. Po chwili jednak czytała dalej.

- „Był to rodzaj języka niewerbalnego. Nagle znałam odpowiedź na wszystkie najważniejsze pytania, te, które ocierają się o banał. Dlaczego tu jesteśmy? Żeby się uczyć. Co jest sensem życia? Miłość. Miałam wrażenie, jakby ktoś nagle przypomniał mi o czymś, o

czym przecież wiedziałam, tylko zdążyłam już zapomnieć. I wtedy zrozumiałam, że powinnam wrócić”.

Kobieta zamilkła na chwilę. Musiała złapać oddech.

- Kimberly Clark Sharp tak kończy swoją opowieść: „Nie mogłam niemal znieść tej myśli. Miałabym po tym wszystkim, po spotkaniu z Bogiem, wrócić do mojego dawnego świata? Ale wiedziałam, że muszę. Musiałam wrócić. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam moje ciało i zrozumiałam, że nie jestem jego częścią. Nic mnie już z nim nie łączyło. Moja świadomość, moja osobowość, moje wspomnienia, wszystko to znajdowało się gdzie indziej. Nie w więzieniu z krwi i kości, jakim było moje ciało.

Uniosła głowę.

- Jest coś jeszcze? - spytała Hannah.

- To cała jej historia. A to jest jej zdjęcie - powiedziała kobieta i podała Hannah zdjęcie typowej amerykańskiej gospodyni, jakby wyjętej z *Oprah Winfrey Show*.

- Ciało jest więzieniem - stwierdziła Hannah głośno.

- To bardzo powszechne doświadczenie w związku z przeżyciami z pogranicza śmierci. Ciało oddziela się od duszy. Zabrać panią teraz do Indii? - spytała.

- Słucham?

- Tego typu doświadczenia występują we wszystkich kulturach i religiach. Ta historia nie została jeszcze spisana, ale dokładnie ją pamiętam.

Vasudev Pandey był Hindusem. Kiedy miał dziesięć lat, zapadł na tajemniczą chorobę i w końcu zmarł.

- Zawsze podejrzliwie reaguję, kiedy słyszę o tajemniczych chorobach.

- *Paratyphoid disease*. Nie wiem, jak to przetłumaczyć. W każdym razie zmarł. Stwierdzono zgon i zabrano ciało do krematorium. Nagle jednak zaczął okazywać słabe oznaki życia. Zrobiło się zamieszanie. Proszę sobie wyobrazić martwego chłopca, który nagle ożywa. Natychmiast przewieziono go do szpitala, lekarze robili wszystko, żeby przywrócić go do życia. W końcu serce podjęło pracę, ale chłopiec nadal był nieprzytomny. Obudził się dopiero po trzech dniach.

- I czego doświadczył? - przerwała jej Hannah.

- Zainteresowała się pani. - Kobieta się uśmiechnęła. - Dlatego mawiam, że takie sprawy wchodzą człowiekowi w krew. Może to brzmi nieco śmiesznie, ale taka jest prawda. Vasudev Pandey opisał potem swoje przeżycia. Pamiętał, jak dwie osoby podniosły go i zabrały ze sobą. Był bardzo zmęczony, więc musiały go niemal ciągnąć. Po jakimś czasie spotkali bardzo niesympatycznego pana.

- Niesympatycznego pana? - Hannah się roześmiała.

- Wiem, że to może brzmieć nieco komicznie, ale chłopiec tak go określił. Ten niesympatyczny pan zaczął okropnie krzyczeć na tych dwóch, którzy go ze sobą zabrali. „Prosiłem o ogrodnika Pandeya! Rozejrzyjcie się dookoła. Potrzebuję ogrodnika, a wy mi tu prowadzicie jakiegoś chłopca!”

- To brzmi jak komedia.

- Być może. Pandey opowiadał potem, że kiedy odzyskał przytomność, zobaczył rodzinę i przyjaciół, zebranych wokół, jak sądzili, martwego Pandeya. Wśród nich stał także ogrodnik Pandey. Chłopiec opowiedział mu zasłyszaną rozmowę, ale ogrodnik i wszyscy pozostali tylko się roześmieli. Orodnik był młodym, silnym mężczyzną. Jednak następnego dnia...

Agnes zawiesiła głos.

- Następnego dnia ogrodnik już nie żył - wyszeptała Hannah.

- Tak.

Cisza była jak mydlana bańka.

- To także dobrze udokumentowana historia. Pandey, ten chłopiec, twierdził później, że tym niesympatycznym mężczyzną był Yamray, hinduski bóg śmierci. Opowiadał też, że dwaj mężczyźni, którzy zabrali go z Ziemi, później - kiedy się zorientowali, że popełnili błąd - sprowadzili go na nią z powrotem.

Starsza pani zaczerpnęła powietrza. Mówienie wyraźnie ją męczyło.

- Opowieść Pandeya pewnie też znajdzie się w książce.

- W książce?

Kobieta się uśmiechnęła.

- Śmierć jest ważna dla wszystkich. Bo wszyscy umrzemy. To jedyne, co wiemy na pewno. I to nas wiąże. Niezależnie od granic, różnic kulturowych, religijnych. Niektórzy psychologowie twierdzą, że wszystko, co robimy, ma w jakiś sposób związek z czekającą nas wcześniej czy później śmiercią. Dlatego kochamy. Dlatego mamy dzieci. Dlatego usiłujemy wyrazić nasze myśli. Innymi słowy śmierć jest cały czas obecna w naszym życiu. Dlaczego więc nie chcemy nic o niej wiedzieć? Wiele razy myślałam sobie - wiem, że to może zabrzmieć śmiesznie, może będzie się pani ze mnie śmiać - ale przyszło mi do głowy, że wielu ludzi, wybierając się w podróż, studiuje przewodniki. Chce dowiedzieć się czegoś o Paryżu czy Londynie. Przygotować się. Śmierć jest ostatecznym celem naszej podróży. Pomyślałam więc, że chętnie napiszę taki przewodnik. Czy jestem szalona?

Hannah pokręciła głową.

- Nie odniosłam takiego wrażenia.

Agnes Davidsen nachyliła się nad Hannah i spojrzała jej w oczy.

- Opowie mi pani o swoim doświadczeniu śmierci?

Hannah się zawahała. Gdzieś z daleka dobiegały ją dźwięki nadawanych przez radio kolęd. *I am coming home for Christmas.*

- Hannah. Mówimy o momencie śmierci, ale to jest proces. Człowiek przestaje oddychać, serce przestaje bić, mózg przestaje pracować. Kiedy to następuje, jest jeszcze chwila, w niektórych przypadkach trwająca nawet godzinę, kiedy jeszcze jest szansa, żeby powrócić do życia. Pytanie brzmi, co umarty wtedy czuje? To próbujemy zbadać.

Kobieta położyła dłoń na ręce Hannah.

- Jak długo to trwało w twoim przypadku? - spytała.

Hannah wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Mniej więcej dziewięć minut. O ile dobrze zrozumiałam.

Hannah milczała.

- Możesz mówić całkowicie swobodnie. Nie zamierzam w żaden sposób wykorzystywać twojej opowieści. Chciałabym ją tylko usłyszeć. Pamiętaj, że w poszczególnych relacjach wiele rzeczy się powtarza, chociaż każda jest inna. Opowiesz mi o sobie?

...driving home for Christmas.

Hannah spojrzała na półeczkę pod sufitem.

- Nie wiem...

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy chcę być dowodem... - zawahała się Hannah.

Urywany śmiech Agnes.

- Dowodem na życie po śmierci? To nie tak. Nazywamy to studium świadomości. Nie chcemy nikogo straszyć.

Cisza.

- Hannah, wiesz, co leży na tej półce? - spytała w końcu Agnes. - Widziałaś ten obrazek?

...get my feet on holy ground... so I sing for you...

Agnes postanowiła zmienić taktykę.

- Wierzysz w Boga? - spytała.

- Nie wiem.

- Pytam, bo doświadczenie pokazuje, że wiele osób tłumaczy swoje przeżycia z pogranicza śmierci jako ostateczny dowód na istnienie Boga. Osobiście uważam, że te dwie rzeczy należy rozdzielić. Wielu moich kolegów się z tym nie zgadza. Ja jednak uważam, że życie po śmierci wcale nie musi mieć nic wspólnego z Bogiem.

- Nie rozumiem?

Agnes się zawahała.

- Najważniejsze jest, że istnieje świadomość, która jest niezależna od ciała. Ludziom się wydaje, że wszystko da się wytłumaczyć, zaszkladkować.

...driving home for Christmas...

Hannah zamknęła oczy. Pomyślała o Johannesie. O tym, jaki był. Jak wyglądał. Uświadomiła sobie, że w ostatnich miesiącach coraz trudniej przychodziło jej przywołać sobie jego twarz. Brakowało jej szczegółów. Musiała sięgać po zdjęcia. Kiedy pierwszy raz coś takiego się zdarzyło, w tym roku, późnym latem, poczuła się wytrącona z równowagi. Jakby była morderczynią. Często myślała, że chociaż Johannes umarł, to przecież żyje dalej w jej pamięci. Wystarczyło, że zamknie oczy i natychmiast stawał przed nią jak żywy. To było dla niej pocieszeniem. W ten sposób jej syn nadal żył. Teraz jednak, kiedy już nie potrafiła przypomnieć sobie wszystkich szczegółów, zepchnęła go w niepamięć, w ciemność.

- Hannah?

Głos zdawał się dochodzić gdzieś z daleka.

- Nie otwieraj oczu, jeśli tak jest ci wygodniej.

...Driving home for Christmas... I am moving down that line...

Milczała. Zamknęła oczy, próbowała przyzwyczaić się do ciemności.

- Znalazłam się w nieprzeniknionej ciemności.

Słyszała, jak Agnes otwiera torebkę i coś z niej wyjmuje. Magnetofon. Może długopis.

...It's gonna take some time, but I'll get there...

- Ze wszystkich stron otaczało mnie powietrze. I wtedy, z tej ciemności, nagle wyłoniło się światło. Początkowo była to tylko biała kreska światła. Jak linia narysowana kredą na ogromnym boisku. Czarnym boisku. Na płaskiej płaszczyźnie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak.

- Ta kreska powoli jakby się rozwierała i zamieniała w wejście. Światło było łagodne, przyjemne.

Agnes oddychała spokojnie. Hannah nadal miała zamknięte oczy. Postanowiła wyrzucić z siebie wszystko.

- Nie szłam. Ktoś uniósł mnie do góry, pociągnął za sobą. Jakby ktoś ciągnął mnie za sznury, których nie widziałam. Dookoła panowała cisza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Spokój... Ale byłam świadoma. Myślałam niezwykle jasno!

Hannah uśmiechnęła się na samo wspomnienie. Agnes matczynym gestem dotknęła jej dłoni.

- I co się wtedy wydarzyło?

- Pomyślałam o Nielsie.

- Twoim mężu?

Hannah zaczęła się zastanawiać. Czy Niels był jej mężem?

- Zaczęłaś wracać?

- Tak. Ale inną drogą. Tam było jeszcze ciemniej.

- I co dalej?

Hannah czuła, że płacz ściska jej gardło.

- Wisiałam nad własnym ciałem. Widziałam, jak lekarze robią coś z moim ciałem.

Wydało mi się obce. Nieprzyjemne. Białe, popsute. Brzydkie.

- Wisiałas nad swoim ciałem?

- Tak.

- W tym pomieszczeniu?

- Tak.

- Coś cię zdziwiło?

Hannah milczała.

- Hannah?

- Tak?

- Co to było?

- Zdjęcie. Zdjęcie nagiego dziecka. Rodzaj ilustracji. Dziecko było całe w paski.

- W paski?

- Tak. *Flower-power*. Czerwone, żółte, zielone, wszystkie kolory. Bardzo jaskrawe.

- I wtedy się obudziłaś.

- Nie. Wtedy wokół mnie zapanowała ciemność. I znikłam.

Hannah otworzyła oczy. Wytarła je. Agnes uśmiechnęła się do niej.

- Pospiesz się. Idź - powiedziała do Agnes. - Jestem naukowcem, wiem, co to znaczy czekać na dowód.

Agnes wyszła. Hannah została sama. Po chwili Agnes wróciła z drabiną. Weszła na nią. Drabina poślizgnęła się i zachwiała na gładkim linoleum. Kobieta się przestraszyła.

- Może ktoś powinien ją przytrzymać? - powiedziała Hannah.

- Poradzę sobie.

Agnes Davidsen pokonała kolejny szczebel i sięgnęła po leżącą na półce kartkę. Nie patrząc na nią, zaczęła schodzić na dół. Po chwili stanęła przed Hannah.

- Jesteś gotowa?

9

Oddział intensywnej opieki medycznej, Szpital Krajowy

Niels ubłagał dyżurną pielęgniarkę, żeby przyniosła mu laptop. Przecież było Boże Narodzenie. W końcu zaczął jej grozić. Poprosił, żeby otworzyła szafę i podała mu pistolet i kajdanki. Pielęgniarka pokręciła głową i zaczęła się śmiać. Wyszła i wróciła ze starym laptopem. Ledwie był w stanie trafić palcami w małe klawisze. „Morning Syndrome”. Enter. Mnóstwo trafień dla „syndromu”, znacznie mniej dla „Morning Syndrome”. To samo zdjęcie, które było w książce. Chudy mężczyzna. Ciemne, krótkie włosy. Chude nogi. Stał nagi, odwrócony plecami do fotografa.

Niels zaczął czytać.

„Rare skin disease usually connected to religious hysteria. Morning Syndrome begins as depressed lines or bands of thin reddened skin, which later become white, smooth, shiny, and depressed, occurring in response to changes on weight or muscle mass and skin tension”.

„Rzadka choroba skórna, zwykle powiązana z histerią o podłożu religijnym. Początkowo na skórze pojawiają się lekko wklęsnięte linie, skóra jest zaczerwieniona. Z czasem linie stają się białe, gładkie, błyszczące, wyraźnie wklęsnięte, co jest wynikiem zmiany napięcia skóry oraz wahań masy ciała”.

Nie miał okularów do czytania. Rozjaśnił nieco ekran i czytał dalej: „Pierwszy znany przypadek odnotowano w Ameryce Południowej w 1942 roku. Kilka wypadków odnotowano także w Stanach Zjednoczonych, jeden w Szpitalu Krajowym. Thorkild Morning. Telegrafista”.

Niels się zdziwił. Zwykle nazywano choroby imieniem czy nazwiskiem pierwszego

pacjenta, u którego ją zdiagnozowano. Albo nazwiskiem lekarza, który postawił diagnozę.

Czytał dalej: „W większości przypadków choroba kończy się zgonem: *affecting the organ system*, ale nie w przypadku Thorkilda Worninga. Pacjent przeżył, opuścił szpital”.

Godzina 23.15, czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

Siostra oddziałowa poprawiła fartuch i obrzuciła Nielsa niechętnym spojrzeniem.

- Dlaczego? Mam imię i nazwisko: Thorkild Worning. Zmarł dawno temu.

- Prawo chroni wszystkich.

Niels posłał jej proszące spojrzenie. Kobieta się zawahała.

- Niech pani pójdzie razem ze mną. Albo poprosimy jakiegoś lekarza.

Nagle Niels zmienił taktykę, podniósł głos.

- Muszę dostać się do archiwum. To bardzo ważne.

- Nie ja ustalam reguły - broniła się pielęgniarka. - Schodzimy tam, jedynie jeśli lekarz zażąda konkretnej karty choroby. A to zdarza się niezwykle rzadko. Poza tym jest noc. Boże Narodzenie. Archiwum jest zamknięte!

Niels westchnął. Nie był w stanie jej przekonać. Zresztą prawdę mówiąc, doskonale rozumiał, że nie każdy mógł mieć dostęp do szpitalnego archiwum. Choroby, metody leczenia, powód zgonu to niezwykle wrażliwe dane. Zastanawiał się, jak zareagowałby Casper, gdyby ktoś nieuprawniony chciał zajrzeć do policyjnych danych?

- Nie może pani dać mi klucza?

- Panie Bentzon, naprawdę nie rozumie pan, że jedynie dwie osoby z wielu tysięcy tu zatrudnionych mają dostęp do archiwum. To terytorium Bjarnego.

- Bjarnego?

- Jest archiwistą. W archiwum są przechowywane dane wszystkich pacjentów z ostatnich siedemdziesięciu lat. Wszystko jest tam odnotowane, wszelkie wykonane analizy, każda podana tabletką. To bardzo zawiły system, którego niewielu jest w stanie ogarnąć.

- Ale Bjarne to potrafi?

- Nawet we śnie.

- Potrzebne jest hasło? Bo rozumiem, że wszystkie dane są w komputerze?

- Te od 2000 roku.

- To znaczy? - niecierpliwiał się Niels.

- Elektroniczne karty chorych wprowadzono dopiero w 2000 roku. Cała reszta to dokumentacja papierowa. Teczki.

- Muszą zajmować mnóstwo miejsca.

- Piętnaście kilometrów półek. Podobno digitalizacja jest nieopłacalna, no i zajęłaby z dziesięć lat. Tak więc szpitalne archiwum to metalowe szafy, szuflady, kartoteki, karty chorób. Inny świat. Pełen tajemnic. Tu między innymi urodziła Astrid Lindgren. Na pewno jest to gdzieś odnotowane.

Niels spojrzął na nią, widział jej oczy, które nagle ożyły.

- Więc niestety - powiedziała, wzruszając ramionami. - Czy poza tym mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

- Nie, dziękuję. Mogę zatrzymać książkę?

- Oczywiście.

Pielęgniarka wyszła. Zostawiła go samego w białej sali. Niels otworzył książkę. Zaczął się przyglądać zdjęciu pleców Thorkilda Worninga. I znów poczuł ssanie w żołądku. Liczba trzydzieści sześć. Żadnego tekstu, który by to wyjaśniał. Przewracał kolejne kartki, mając nadzieję, że może jednak trafi na jakieś wyjaśnienie. Jeden z rozdziałów dotyczył poparzeń. Budzące zgrozę zdjęcia: dzieci ze szkoły francuskiej na Fredriksberg Alle, zbombardowanej przez pomyłkę wiosną 1945 roku przez RAF. W płomieniach zginęło ponad sto osób. Osiemdziesięcioro sześciorgo dzieci. Wiele zostało rannych, głównie poparzonych.

Były też rozdziały poświęcone chorobom skóry, najróżniejszym. I na koniec, wśród chorób rzadkich, Worning Syndrome.

Niels miał dosyć. Jego ciało się buntowało. Schował książkę pod poduszkę.

- Worning wyzdrowiał, został wypisany ze szpitala, przeżył - wymamrotał, jeszcze zanim zasnął.

Przeżył.

10

Godzina 23.22, czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

Może to wszystko tylko jej się śniło? Hannah otworzyła oczy. Na pewno spała. Spojrzała na siebie, na rękę, która kurczowo ścisnęła kartkę. Nazwiska, strony internetowe, które Agnes jej polecała. Oczywiście, kiedy już poczuje się lepiej. YouTube: doktor Bruce Greyson, przemówienie na forum ONZ-etu. Doktor Sam Parnia, mówiący o MSNBC.

To wszystko działo się naprawdę. Na całym świecie trwały badania nad przeżyciem na pograniczu śmierci. Hannah widziała dowód. Dowód na to, że świadomość mogła istnieć niezależnie od ciała. Tym dowodem była ona.

Chciała wrócić. To jedyne, czego była pewna. Wrócić do miejsca, gdzie świadomość funkcjonowała samodzielnie. Do miejsca, w którym mogła spotkać Johanna. Myśli kłębiły się w jej mózgu, którego inteligencja uczyniła ją kimś obcym dla własnej rodziny, dla jej przyjaciół. Sprawiała, że czuła się obca w życiu. Dopiero w Instytucie Nielsa Bohra poczuła się u siebie. To były dobre lata, szczególnie te pierwsze, zanim spotkała Gustava. Nie powinni mieć dzieci. Za dużo wspólnych wad mieli mu do przekazania. To było pewne upośledzenie. Właśnie upośledzenie. Zbyt duża inteligencja bywała przeszkodą. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Teraz było jej wszystko jedno. Była gotowa odejść.

Nagle wszystko trafiło na swoje miejsce. Jakby to było równanie, w którym wszystko na jej oczach zaczęło się zgadzać. Hannah leżała w łóżku, ściskając w ręku kartkę z nazwiskami amerykańskich i angielskich naukowców. Przed oczami miała poszczególne części układanki. Johannes. Samobójstwo. Świadomość. Niels. System. Trzydziestu sześciu. Wiedziała, że musi ruszyć dalej, gdzieś poza swoje ciało.

Wiedziała też, jak może uratować Nielsa.

- Jak naprawdę jest ze mną? - wyszeptała do siebie.

Odsunęła kołdrę, spojrzała na swoje poranione ciało. Bandaże, opatrunki, nie potrafiła wiele powiedzieć. Być może sprawiły to dekoracje świąteczne w sali, a być może leki, które ciągle w nią włączano, ale nagle poczuła się jak paczka świąteczna. Zawinięta w bandaże, jak prezent pod choinkę. Brakowało tylko kolorowej wstążki.

Chciała opuścić nogi na podłogę, ale nie była w stanie.

Spróbowała jeszcze raz. Zebrała wszystkie siły. Poczula zimny pot. I ból. Bolały ją plecy, kark, uda. Ale to ją nie powstrzymało. W końcu spuściła nogi. Stała, a potem szybkim ruchem odłączyła kroplówkę. Poczula ciepłą krew między palcami. Zaciśnęła mocno dłoń, żeby powstrzymać krwawienie. I ruszyła w stronę drzwi.

*

Także w Szpitalu Krajowym oszczędzano prąd. Światło zapaliło się dopiero, kiedy Hannah minęła czujnik. Gdzieś w drugim końcu korytarza mignęła jej jakaś pielęgniarka, poza tym było pusto. Szła z trudem. Ciągący ból w łydce, jakby podłoga uparła się, żeby nie puszczać jej stopy. Nie miała pojęcia, w którym miejscu szpitala się znajduje. Zobaczyła dwóch lekarzy idących w jej stronę. Otworzyła drzwi do jednego z pokoi, weszła do środka. Czekala.

- Szybko pani przyszła.

Hannah się wzdrygnęła.

Dziewczyna nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Była w gipsie do szyi, mówiła z trudem.

- Bardzo mnie wszystko boli. Dlatego zadzwoniłam. Hannah podeszła bliżej. Dziewczyna miała złamany kark albo kręgosłup. Nie była w stanie unieść głowy.

- Nie jestem pielęgniarką, tylko pacjentką, jak ty.

- Zabłądziła pani?

- Tak.

Patrzyły na siebie, szukały słów pasujących do sytuacji.

- Życzę ci zdrowia - powiedziała w końcu Hannah i wyszła.

Zamykając drzwi, czuła na sobie zawiedzione spojrzenie młodej dziewczyny. Nie miała czasu. Musi znaleźć Nielsa.

- Co pani tu robi?

Hannah wpadła prosto na pielęgniarkę.

- Powinna pani leżeć w łóżku.

Pielęgniarka starała się być miła, ukryć zmęczenie i złość.

- Muszę odnaleźć...

Hannah nagle uzmysłowiła sobie, że trzyma pielęgniarkę za rękę. Opierała się o nią, możliwe, że gdyby nie ona upadłaby.

- Musi pani wrócić do łóżka. Odniosła pani poważne obrażenia. Musi pani dużo odpoczywać.

- Muszę odszukać Nielsa. Proszę mi pomóc.

Hannah uwolniła się z jej uchwytu. Sama nie bardzo rozumiała, skąd wzięła tyle siły. Zaczęła niemal biec korytarzem. Słyszała wołanie pielęgniarce.

- Czy ktoś może mi pomóc?

Przewróciła się. Kiedy podbiegła do niej pielęgniarce, Hannah odtrąciła ją ręką. Nie miała wiele siły, ale trafiła pielęgniarce w policzek. Nagle dookoła niej pojawiło się dużo białych fartuchów. Nie bardzo wiedziała, skąd się tu wzięły. Przed chwilą nikogo tu nie było.

- Uderzyła mnie - płakała pielęgniarce.

Silne ręce podniosły Hannah. Chwyciła rękę pielęgniarce i wyszeptała: „Przepraszam”, ale nie wiedziała, czy jej słowa do niej dotarły.

Położyli ją znów na łóżku. Podłączyli kroplówkę. Starła się protestować.

- Puśćcie mnie!

Uspokajające głosy.

Potrzebny jest spokój, wszystko będzie dobrze, spokojnie.

- Puśćcie mnie! - krzyczała. - Niels! Niels!

Jej głos odbijał się echem od ścian. Może to wszystko było jedynie snem.

11

Godzina 23.40, czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

Być może nadal była noc. Niels wpatrywał się w śnieg za oknem. Nie potrafił powiedzieć, jak długo już nie spał. Usłyszał, że ktoś otworzył drzwi.

- Niels? Telefon do pana. Dzwoni Hannah.

Randi stała w drzwiach, trzymając w ręce słuchawkę.

- Ma pan dość siły? Chyba zależy jej na tej rozmowie. Nawet wstała z łóżka i próbowała tu przyjść.

Niels chciał odpowiedzieć: „tak”, ale słowa grzęzły mu gardle.

Pielęgniarka podała mu słuchawkę.

- Hannah?

- Niels?

- Żyjesz.

Słyszał, że się uśmiecha.

- Tak, żyję - powiedziała. - Stało się coś niewiarygodnego, Niels.

- Też to widziałaś?

- Dziecko w paski?

- Dziecko? O czym ty mówisz?

- Niels. Dwa razy umarłam. Nie było mnie dziewięć minut.

Opowiedziała mu o swojej śmierci i powrocie do żywych.

O tym, że widziała zdjęcie leżące na półce pod sufitem.

Potem przez kilka sekund napawali się ciszą i odgłosem własnych oddechów.

- Chciałabym cię zobaczyć.

Słyszał tęsknotę w jej głosie.

- Skieruj swoją lampę w stronę okna - odezwała się nagle. - Jesteś w stanie? Możesz

poruszać rękami?

- Tak.

- Ja zrobię to samo.

Niels przesunął lampę w stronę okna, kierując światło na zewnątrz. W tym samym momencie zobaczył światło w oknie po drugiej stronie, niemal na tej samej wysokości.

- Widzisz moje światło?

- Tak.

Milczenie.

- Niels, tak się cieszę, że ciebie spotkałam. Nawet jeśli teraz leżymy tutaj.

- Jest precedens, Hannah - odezwał się nagle Niels.

- Jaki?

- Pacjent tego szpitala. W 1943 roku. Widziałem jego zdjęcie. Thorkild Worning. Miał dokładnie taki sam znak na plecach. I taką samą liczbę: 36. Dermatolog mi pokazał.

Drzwi za nim się otworzyły. Do sali weszła Randi.

- Pora kończyć - oznajmiła.

- Hannah! Słyszysz mnie? On przeżył. Nie jest wcale pewne, że jutro wszystko się skończy.

Pielęgniarka podeszła do Nielsa, stanęła przed nim.

- Dwie minuty! - powiedziała, pokręciła głową i wyszła.

- Możesz chodzić, Hannah?

Trzaski w słuchawce. Może wypadła jej z ręki. Niels czekał, aż telefon znów zadzwoni. Ale telefon milczał. Po chwili wróciła pielęgniarka i zabrała mu słuchawkę.

Sięgnął do lampy. Zgasił ją, zapalił, jeszcze raz zgasił i zapalił. Po chwili lampa po drugiej stronie budynku zgasła i się zapaliła, znów zgasła i znów się zapaliła. I tak leżeli. Niels i Hannah.

12

Piątek, dwudziesty piąty grudnia 2009 roku

Niels spróbował poruszyć nogami. Bolały go, ale czuł, że powoli odzyskuje nad nimi kontrolę. Mięśnie ud mu zdrętwiały. Próbował przywrócić je do życia, początkowo bez

większego rezultatu, ale po chwili był już w stanie unieść nogi.

Nie był jednak pewien, czy uda mu się dotrzeć do archiwum.

Godzina 0.12, piętnaście godzin i czterdzieści minut do zachodu słońca

Niels usłyszał krzyk i się zatrzymał. Czyżby to Hannah krzyczała? Niemożliwe. Była za daleko.

Szedł, poruszając się jak starzec. Ból kostek sprawiał, że mógł iść jedynie drobnymi kroczkami. Głowa ciążyła mu, dodatkowy ciężar, który musiał za sobą ciągnąć. Szkoda, że nie mógł wziąć jej pod rękę. Miał wrażenie, jakby jego połamane żebra chciały wyskoczyć z jego ciała. Pomyślał, że powinien rozłożyć je na części, położyć na półkę i poczekać na lepsze czasy.

Zanim przyjechała winda, minęła wieczność. Gdy w końcu dotarła, drzwi się otworzyły, senny salowy nie zdziwił się, widząc przed sobą ciężko rannego pacjenta.

Winda zjechała do piwnicy, zatrzymała się gwałtownie, niewiele brakowało, a Niels straciłby równowagę.

Wyszedł i zaczął się rozglądać. „Wstęp tylko dla personelu” głosił napis na tabliczce. W kącie leżały opakowane w folię materace. Nieco dalej w korytarzu widział wózek sprzątaczkowy. Zniszczone metalowe szafki na ścianach przywoływały wspomnienia amerykańskiego liceum. Były też drzwi. Nieskończenie dużo drzwi, jedne obok drugich, każde kryjące swoją tajemnicę. Niels chwycił za klamkę jedną, potem drugą. Wszystkie drzwi były zamknięte. Z wyjątkiem jednych. Pozostawiono je otwarte zapewne przypadkowo. Niels wszedł do środka i znalazł się w pomieszczeniu, które przypominało warsztat. Mimo oszczędnego oświetlenia widział narzędzia: strugi, piły, młotki, śrubokręty. Wrócił na korytarz. Gdzie mieściło się archiwum? Próbował sobie przypomnieć. Był tu przecież tydzień temu. Czy wtedy je widział?

Głosy.

Ze swojej kryjówki za materacem ustawionym na sztorc przy ścianie zobaczył przechodzących obok dwóch mężczyzn. Jeden z nich, mówiący wysokim głosem, twierdził, że jego żona boi się seksu. Drugi mężczyzna roześmiał się głośno. Po chwili zniknęli w windzie. Niels ruszył dalej. Nadal czuł ból, ale powoli mógł iść. Zaczynał się przyzwyczajać do bólu. Najbardziej dokuczały mu żebra. Kostek niemal nie czuł. Szedł, podpierając się o ścianę.

„Główne archiwum”.

Tabliczka i strzałka, poczuł przyływ energii. Ruszył dalej korytarzem, skręcił i stanął przed drzwiami. Nie było na nich co prawda żadnej tabliczki, ale wcześniejsza strzałka nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Drzwi były zamknięte. Oczywiście. I co teraz? Może spróbuje je kopnąć? Gdyby był w lepszej formie, może udałoby mu się je otworzyć, ale nie teraz. Poza tym nie chciał hałasować.

Warsztat.

Nogi Nielsa nie czekały na sygnał z mózgu. Zanim zdążył pomyśleć do końca, już był w drodze do warsztatu. Drzwi nadal były otwarte. Postanowił zaryzykować i zapalił światło. Gołe laski na plakatach na ścianach. Na krześle szalik w kolorach klubu piłkarskiego FCK. Otworzył szufladę i wyjął potężny śrubokręt. Na ścianie na dwóch gwoździach wisiał młotek. Ktoś nawet narysował tuszem jego kontury. Nielsowi natychmiast skojarzyło się to ze sceną morderstwa, gdy policyjni technicy obrysowywali kredą kontury ofiar.

Wrócił i włożył czubek śrubokrętu w szparę między framugą a skrzydłem drzwi, tuż nad zamkiem. Uderzył. Nie musiał się specjalnie trudzić. Wepchnął śrubokręt nieco głębiej. Uderzył ponownie i metalowy zamek puścił. Niels stanął, musiał zebrać siły. Zacerpnął powietrza, próbował się skupić.

Po chwili wszedł do głównego archiwum Szpitala Krajowego.

„Piętnaście kilometrów kart pacjentów”. Przypomnił sobie słowa pielęgniarki.

Ile to przypadków? Kilkaset tysięcy? Kilka milionów? Mężczyźni, kobiety, dzieci w różnym wieku. Były tu karty pacjentów z ostatnich siedemdziesięciu lat.

Słaby zapach amoniaku. Stał i nasłuchiwał. Cichy szum instalacji elektrycznej, alarmów. Zwykle uświadamiamy go sobie dopiero wtedy, kiedy nagle milknie. Włączył światło. Wstrzymał oddech i spojrzał bezradnym wzrokiem na ciągnące się bez końca rzędy szaf, szuflad, półek. Znowu przypomniał sobie słowa pielęgniarki. „Niewielu potrafi się w tym rozeznąć”. To była prawda. Gdy archiwista, Bjarne, jeśli dobrze pamiętał jego imię, będzie wybierał się na emeryturę, trzeba zawczasu znaleźć jego zastępcę, by miał czas poznać wszystkie tajemnice.

Niels usłyszał jakiś dźwięk, zgasił światło.

Głosy. Może ktoś zauważył otwarte drzwi albo włączone światło? I zdziwił się, kto o tej porze jest w archiwum. A może głosy były tylko w głowie Nielsa? Może wynik narastającej paranoi? Postanowił zaryzykować, włączył światło i ruszył dalej. Szedł, lekko się zataczając, wzdłuż półek i szaf. Nie był pewny, ale miał wrażenie, że wszedł do archiwum tylnymi drzwiami. Może byłoby mu łatwiej, gdy jednak zaczął z drugiej strony? Przeszedł na drugą stronę, zobaczył stolik. Stary zniszczony stolik, właściwie niewielkie biurko z nogami z

zardzewiałego metalu. Kubki do kawy, na wpół pełne szklanki z wodą, pudełko cukierków. Rozejrzał się. Musiał być w tym jakiś system. Możliwy do ogarnięcia.

Jego wzrok padł na oprawione w skórę tomy na jednej z niższych półek. Choć stały też i na wyższych półkach. Wyjął jeden z nich. „Książka przyjęć”. Tom, który trzymał w dłoni, obejmował okres od października do listopada 1971 roku. Był dla niego bezużyteczny. 1966, 1965. Przeszedł na drugą stronę. 1952, 1950. Lata czterdzieste. Jego serce zaczęło mocniej bić. 1946. 1945. 1944. I w końcu: 1943. Było nawet kilka tomów. Wziął do ręki jeden z nich, zaczął go kartkować. Strony cienkie jak pergamin. Niektóre były posklejane. Przez tyle lat nikt do nich nie zaglądał. Sprawdził pod literą W. Worning. Niczego nie znalazł. Dlaczego? Czyżby nazwiska pacjentów nie były wprowadzane w porządku alfabetycznym? Po chwili doszedł dlaczego. Nazwiska były w porządku alfabetycznym, tylko każdy miesiąc zaczynał się od nowa. Tom, który trzymał w ręce, obejmował styczeń, luty i marzec 1943 roku. Odłożył go na miejsce, wyjął kolejny. Kwiecień, maj, czerwiec 1943 roku. Dwoje pacjentów o nazwisku Worning. Julia i Frank. Thorkilda nie było. Kolejny tom. Kilka kartek było luzem. Lipiec, sierpień, wrzesień. Przejrzał wpisy z lipca, potem z sierpnia. Dopiero w grudniu 1943 roku był wpisany Thorkild Worning. Niels znalazł w szufladzie długopis i zapisał dane na dłoni, tuż nad plastrem z wenflonem. „Dział H, numer katalogu 6458”. Wrócił między półki.

Co dalej? Dopiero teraz zauważył niewielkie, ręcznie wypisane karteczki umieszczone na bocznych ściankach regałów. Każdy regał był oznaczony inną literą. A, B, C, D, E, F, G, H. Spojrzał na półkę przed sobą. Regały stały tak blisko siebie, że nie sposób było się między nie wcisnąć. Więc jak...? Zauważył niewielką korbkę. Chwycił ją, przekręcił, regał się przesunął. Wszedł między nie. Pudełka pełne karteczek, uporządkowane rocznikami: 1940, 1941, 1942, 1943. Wyjął ostatnie pudełko: 1943 rok, styczeń, luty, marzec. Kolejne: wrzesień, październik, listopad. I w końcu grudzień. Zaczął przerzucać fiszki. Małe, pożółkłe karteczki. Rosenhøj, Roslund, Sørensen, Taft, Torning, Ulriksen. Jest! Thorkild Worning. Niels wyjął fiszkę i zaczął się jej przyglądać. „Thorkild Worning, przyjęty siedemnastego grudnia 1943 roku. Skierowany na dermatologię. Numer karty 49 452”. Niels próbował go zapamiętać. Włożył fiszkę do kieszeni i znów wszedł między regały. Te po drugiej stronie zawierały karty pacjentów. 26 000-32 000. Szedł dalej. 35 000-39 000. Nagle pomyślał, że chętnie by zapalił. 48 000-51 000. Zatrzymał się. To tutaj. Pociągnął za uchwyt, regały się rozsunęły.

Usiadł na chwilę. Zaczerpnął powietrza. Czuł, że jego ciało jest napięte jak sprężyna. Miał przykry chemiczny smak w ustach. Spojrzał na fiszkę. Nie było to konieczne, pamiętał

numer: 49 452. Karta pacjenta Thorkilda Worninga.

Szybko znalazł właściwą półkę. Opis choroby i zastosowane leczenie. Niekiedy pół strony, czasem całe opowiadanie: 49 452. Thorkild Worning, przeczytał na samej górze. Przyjęty siedemnastego grudnia 1943 roku. Dwa zdjęcia, oba czarno-białe. Jedno z nich zostało potem wykorzystane w książce. Zdjęcie pleców Thorkilda Worninga. Taki sam znak jak na plecach wszystkich ofiar. Tyle że inna liczba: 36. Tak jak na plecach Nielsa. I jeszcze zdjęcie twarzy pacjenta. Żadnych znaków szczególnych, zwykła dość pospolita twarz. Thorkild Worning mógł być urzędnikiem banku. Ciemne wypomadowane włosy, prosty przedziałek. Każdy włoszek na swoim miejscu. Szczupła harmonijna twarz. Okrągłe okulary w metalowych oprawkach. Tylko z oczami było coś nie tak. W jego spojrzeniu było coś demonicznego. Tekst pod zdjęciami był krótki, utrzymany w surowym stylu. Chłodny opis sytuacji.

Przyjęty: 17. 12. 1943

Podmiot:

Pacjent przeszedł wstępne badania. Skarży się na bóle pleców. Chłodne okłady przynoszą ulgę, ale objawy nie ustępują. Plecy znacznie opuchnięte. Pacjent wykazuje wrogość i oderwanie od rzeczywistości. Twierdzi, że znak powstał sam z siebie. Bóle się nasilają. Pacjent określa je jako przykre pieczenie, które z czasem przybiera na sile. „Moja skóra mnie pali. Jakbym płonął od wewnątrz”. Twierdzi, że boli go nie tylko skóra, ale i plecy. „Jakby ból tkwił we krwi”, mówi pacjent. Leczenie salicydami nie przynosi skutku. Pacjent sprawia wrażenie niezrównoważonego. Ublizła lekarzom. Badanie pleców wskazuje na egzemę, uczulenie bądź stan zapalny. Zalecono testy na alergię na metal. Skóra na plecach nadal opuchnięta i czerwona, ale bez śladów podskórnego płynu. Na skórze pojawił się charakterystyczny wzór. Agresja pacjenta się nasila. Niekiedy mówi od rzeczy, prowokuje krwawe wymioty.

Zawód i stan cywilny:

Telegrafista, żonaty od 1933 roku, mieszka w jednopokojowym mieszkaniu przy Rahbaeks Alle.

Papierosy, alkohol:

Spożycie umiarkowane.

Ogólny stan zdrowia: Nie narzeka na żadne dolegliwości, z wyjątkiem reumatyzmu ramienia. Bez związku z obecną dolegliwością.

Stan psych.: czasowe zaburzenia równowagi psychicznej, dwudziestego trzeciego grudnia rano pacjent został przeniesiony na oddział psychiatryczny.

Podpisano: W. F. Pitzelberger, ordynator.

Niels przeczytał kartę kilka razy, zanim schował ją do kieszeni. Nie wiedział, czego tak naprawdę się spodziewał, ale na pewno nie tego. Wyszedł na korytarz, wyraźnie zawiedziony. Zastanawiał się, czy znajdzie odpowiedź na oddziale psychiatrycznym... Zaraz, zaraz. Przecież to Hannah przekonywała go, jak niewiele naprawdę wiemy. I że każde nowe odkrycie jedynie obnaża ogrom naszej niewiedzy i każe nam stawiać nowe pytania.

Jak to możliwe, że Worning przeżył?

Każdy policjant w Kopenhadze wiedział, że oddział psychiatryczny Szpitala Krajowego mieści się w budynku tuż obok głównego wejścia. To tu odwożono wariatów, którzy nie wytrzymywali więziennego rygoru. Wśród nich wielu recydywistów, zdecydowanie zbyt wielu. Oddziały psychiatryczne cięły koszty, co potem mściło się na wszystkich. Gdyby politycy wiedzieli, jak często ludzie chorzy psychicznie, którzy nie mieli szansy na leczenie, trafiali potem do więziennych statystyk, pewnie zaczęliby myśleć nieco inaczej.

Niels wyszedł z archiwum, nie zamykając za sobą drzwi.

Głosy się przybliżyły. Dochodziły gdzieś od strony wind. Domyślił się, że pewnie zaczęto go szukać.

- Jest tam!

Ktoś wołał za nim, Niels skręcił za róg, kolejny korytarz, węższy, ciemniejszy. Nadal szli za nim? Zatrzymał się, nasłuchiwał.

Słowa pełne troski, ale surowe, karcące.

- Kolego! Pacjentom nie wolno tu schodzić!

Nie zatrzymał się. Kolejny korytarz. Potknął się o coś, byłby się przewrócił. Ale odzyskał równowagę i szedł dalej. Słyszał, że jest ich więcej niż dwóch. Nie odwrócił się, nie chciał marnować sił. Pewnie zaraz i tak go dogonią.

Niemal podbiegł do windy. Najwyraźniej chodził w kółko.

Złapał go salowy. Niels nie widział jego twarzy. Widział tylko jego fartuch. Mężczyzna złapał go mocno za nadgarstek, przez moment bał się, że złamie mu rękę. Pozostali trzymali się nieco z tyłu. Na co oni czekają? - zastanawiał się Niels.

- Wracamy do łóżka, kolego.

Salowy próbował wyciągnąć go z windy. Niels zmobilizował resztkę swoich sił. Odwrócił się i kopnął mężczyznę w krocze. Salowy zaklął i puścił go. Moment nie uwagi wystarczył, żeby Niels wypchnął go z windy. Zanim drzwi się zamknęły, zdążył jeszcze zobaczyć, jak mężczyzna upada na kamienną posadzkę.

13

Godzina 2.30 - trzynaście godzin i dwadzieścia dwie minuty do zachodu słońca

Mróz był złośliwy, prześladował go, szedł za nim krok w krok.

Niels przebiegł w skarpetkach po śniegu. Przeciął parking i skierował się w stronę oddziału psychiatrycznego. W końcu ściągnął skarpety i je wyrzucił. Taksówkarz, który właśnie wysiadał z wozu, spojrzał na niego zdziwiony. Niels wiedział, co sobie pomyślał: „Na szczęście wariat biegnie we właściwym kierunku”. Niels zatrzymał się. Zastanawiał się, czy nie wsiąść do taksówki. Mógłby pojechać do domu. Wziąłby pieniądze i zapłacił taksówkarzowi. Potem wziąłby paszport i...

Izba przyjęć oddziału psychiatrycznego była otwarta całą dobę. Napady lęku, depresja, paranoja czy myśli samobójcze nie kierowały się godzinami otwarcia. Przed wejściem stali zagubieni rodzice, próbując uspokoić swoją anorektyczną nastoletnią córkę, która wykrzykiwała, że nie chce już dłużej żyć! Matka płakała. Ojciec wyglądał, jakby najchętniej dał dziewczynie w twarz. Tuż obok drzwi leżał jakiś człowiek i spał. A może... Nie, oczywiście, że nie był martwy. Niels wziął numerki i usiadł razem z innymi pacjentami, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Mimo to ludzie zerkali na niego. Na jego białe stopy. Były czerwone i w ciepłym pomieszczeniu lekko parowały. Nie miał w nich czucia. Po krótkiej rozmowie kobieta w recepcji odsyłała większość do domu. Na tym polegała jej praca. Miała chronić system. Niektórzy płakali. Rozdzierająco. Niels wiedział, że kobieta jest potrzebna, wiedział, że biedne zagubione dusze zrobią wszystko, by zyskać chwilę uwagi. Dlatego była potrzebna. „Duńczycy należą do najszczęśliwszych ludzi na świecie”, napisał jakiś żartowniś tuszem na ścianie. Nastoletnia anorektyczka przeszła przez ucho igielne systemu. Kobieta w recepcji wstała na chwilę i wyszła do niej i jej rodziców. Niels jakby właśnie tylko na to czekał. Szybko wszedł do recepcji, a stamtąd na korytarz. Zatrzymał się i rozejrzył. Jasne

ściany i nadmiar dekoracji: świąteczne serca, krasnoludki, girlandy. Nagle tuż przed nim ktoś otworzył drzwi.

- Pobawisz się ze mną?

Czterdziestoletnia kobieta, o niezwykle pięknej twarzy i z dziwnym błyskiem w oczach, stanęła za nim, chichocząc jak uczennica. Roztarła sobie szminkę na brodzie i chyba nie była całkiem trzeźwa. Podeszła do niego bliżej.

- Chodź, Carsten, dzieci już śpią. Minęło tyle czasu.

- Carsten zaraz przyjdzie - powiedział Niels i ruszył szybko korytarzem.

Archiwum na pewno nie jest na oddziale zamkniętym, pomyślał. Poza tym archiwa niemal zawsze mieściły się w piwnicy.

*

Ceglane mury, stara zniszczona przez wilgoć piwnica. Tutaj korytarze były krótsze niż te, w których ostatnio przebywał. Znalazł jakiś pusty pokój i drugi, w którym stały składane krzesła i stół ogrodowy. Dotychczas jednak nie trafił na archiwum. Szukał dalej. Musiało tu gdzieś być. Otwierał drzwi do kolejnych pomieszczeń. Zostały mu jeszcze jedno, na końcu korytarza. Nie było na nich żadnej tabliczki, ale przed nimi stały kartony z dokumentami. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby je otworzyć. Zobaczył pusty, żółty pojemnik po gazie. Już chciał się nim zamierzyć, kiedy jednak zmienił zdanie i chwycił za klamkę. Okazało się, że czasem i jemu szczęście sprzyja.

Archiwum było jedynie namiastką tego, w którym był przed chwilą. Wiedział już, jak się tu poruszać: księga przyjęć, numer pacjenta, fiszka w katalogu z numerem karty i karta pacjenta. Kilka minut zajęło mu odnalezienie regału z danymi pacjentów z 1943 roku. Potem już szybko znalazł kartę numer 40.12, Thorkild Worning. Karta była zdecydowanie bardziej szczegółowa niż poprzednia.

23.12.1943

Pacjent przeniesiony z Izby Przyjęć skarży się na silne dolegliwości bólowe pleców.

Podmiot:

Pacjent cierpi na trudną do określenia chorobę skórą, prawdopodobnie jest to rodzaj zakażenia bakteryjnego. Wezwano dermatologa. Pacjent ulega zmiennym nastrojom, milczy albo zaczyna krzyczeć. Podanie leków łagodzących lęki nie przyniosło spodziewanych rezultatów. Pacjent traktuje lekarzy z wyraźną pogardą. Nie odpowiada na pytania. Oznaki

schizofrenii. Momentami jest przytomny i wszystko rozumie, wie, że jest w szpitalu.

Pierwszy dzień pacjent spędził w łóżku, był apatyczny. Nie chciał z nikim rozmawiać. Pytał o żonę, zażądał radia, żeby mógł się porozumiewać ze „swoimi kontaktami”. Odmawia przyjmowania pokarmów. Pytanie pielęgniarki, czy nie chce wstać, wywołało atak szału. W końcu pacjent rzucił się na kolana i zaczął błagać Boga o wybaczenie.

Tego samego wieczoru oświadczył, że nie jest osobą wierzącą. W nocy zachowuje się względnie spokojnie.

Leki: do tej pory nie brał żadnych leków.

23.12.1943

Mówi o głosach, które nie pozwalają mu spać.

Pacjent twierdzi, że nie może spać w nocy, bo słyszy jakiś głos. Nie chce powiedzieć, co to jest za głos ani co mu mówi. W ciągu dnia jest spokojny. Czasem pada na kolana w swoim pokoju i recytuje wiersze. Pytany, jakie to wiersze, odmawia odpowiedzi. Niekiedy wybucha, ale po rozmowie z psychiatrą zaraz się uspokaja. Ponownie zapewnia, że nie wierzy w Boga, ale od czasu do czasu się do niego modli. Wieczorem skarży się na problemy ze snem i bóle.

Leki: Leopenthal-Suxa-N2 = relaxan, lub: morfina - scopolamin trzy czwarte mililitra.

Umówiona rozmowa z Levinem.

Wezwano ordynatora G. O. Berthelsena.

24.12.1943

Pacjent miał niespokojną noc. Nie spał, groził pielęgniarzowi, wielokrotnie wołał, że „będzie posłuszny”. Rano napad szału. „Oszaleję!”, wołał. Należy zauważyć, że pacjent zarówno podczas tego napadu, jak i podczas poprzednich, całą złość kieruje przeciwko sobie. Dla otoczenia jest niegroźny. Bije się, gryzie, drapie. „Wyjdź z mojego ciała!”, krzyczy. Nie wiadomo, do kogo się zwraca. Skłonność pacjenta do samodestrukcji jest tak silna, że nie można wykluczyć samobójstwa.

Rodzina przyniosła zeszyty, w których pacjent w ostatnich dniach przed przyjęciem do szpitala korespondował z Bogiem. Zwykłym pismem są tam wypisane pytania, jakie pacjent kierował do Boga, natomiast odpowiedzi Boga są zapisane dużymi literami, dziecięcym pismem, które jednak w dużej mierze przypomina własne, nieco powiększone pismo pacjenta. Niekiedy pismo Boga jest niemal nieczytelne. Wtedy pacjent zwykle prosi Boga, by pisał bardziej czytelnie. Czasem odpowiedzi Boga to zwykle bazgroły. Treść jest

dość stereotypowa, naiwna, bez wyobraźni, pełna szacunku. Poza tym pacjent wystosował dość górnolotne posłanie do Narodów Świata. W pewnej norweskiej gazecie pozaznaczał krzyżykami kilka artykułów.

Leczenie: zalecono nowoczesną terapię elektrowstrząsów.

Uwagi: Mimo intensywnej terapii nie udaje się złagodzić autodestrukcyjnych zachowań pacjenta, które wręcz się pogłębiają.

24.12.1943

Po raz pierwszy pacjent wyraził wolę spotkania się z żoną, Amalie Hjort Worning. Pani Worning, która bardzo przeżywa obecną sytuację, próbowała uspokoić męża. Spędzili razem całe przedpołudnie. Wychodząc, pani Worning poinformowała pielęgniarkę, że mąż jest spokojny, ale mówi od rzeczy. Zażyczył sobie, żeby żona przyniosła mu sprzęt radiowy.

Rentgen: badanie umówione.

Rozmowa w obecności stenotypistki, z udziałem ordynatora, P. W. Lewina.

14

Godzina 3.45 - dwanaście godzin i siedem minut do zachodu słońca

Niels kartkował pozostałe dokumenty. Odpisy rozmów z pacjentem. W lewym górnym rogu widniał stempel: dopuszczono do użytku do celów dydaktycznych.

Zaczął czytać:

Levin: Panie Worning, nasza rozmowa zostanie spisana przez stenotypistkę, co zaoszczędzi mi późniejszego protokołowania. Tak więc odpis jest wyłącznie do mojego użytku. Rozumie mnie pan?

Worning: Może pan robić, co pan chce.

Levin: Zaczniemy od paru ogólnych danych. Gdzie pan się urodził?

Worning: W Aarhus.

Levin: W 1897 roku? Proszę udzielać słownych odpowiedzi, żeby stenotypistka mogła je zapisać.

Worning: Tak!

Levin: Może pan opowiedzieć nam coś o swojej rodzinie? O rodzicach?

Worning: Ojciec pracował w porcie, matka zajmowała się domem.

Levin: Miał pan dobre dzieciństwo?

Worning: Nigdy nie byłem bity ani poniżany.

Levin: Ma pan rodzeństwo?

Worning: Miałem dwoje rodzeństwa. Moje rodzeństwo zmarło na tyfus. Matka nigdy się z tym nie pogodziła.

Levin: A ojciec?

Worning: Zaczął więcej pić. Dużo więcej.

Levin: Chodził pan do szkoły, prawda? Pańska nauka przebiegała normalnie?

Worning: Tak.

Levin: Nie zauważył pan u siebie jakichś niezwykłych objawów?

Worning: Niezwykłych?

Levin: Był pan taki jak inne dzieci? Miał pan kolegów?

Worning: Tak.

Levin: Nie był pan zdeprimowany ani...

Worning: Niczym się nie wyróżniałem.

Levin: Skończył pan szkołę powszechną. Uczył się pan dalej?

Worning: Zacząłem pracować z ojcem w porcie. Aż do...

Levin: Aż do czego?

Worning: Do wypadku.

Levin: Do jakiego wypadku?

Worning: Ojciec wpadł do wody. Myślał, że łódź wytrzyma. Nie udało nam się go wyciągnąć. Utopił się. Dwa tygodnie później zmarła moja matka.

Levin: Na co?

Worning: Nigdy nie była u lekarza. Wykasłała sobie płuca. I pewnego ranka, dokładnie w dwa tygodnie po śmierci ojca, zaczęła płuć krwią. Dużo było tej krwi. Dobrze to pamiętam. To było straszne. Kilka godzin później zmarła.

Levin: Przykro mi.

Worning: Dla niej tak było lepiej. Po śmierci Thei i Anny...

Levin: Pańskich sióstr?

Worning: Dacie mi moje radio?

Levin: Słucham?

Worning: Mój radiotelegraf. Proszę o niego już od dwóch dni.

Levin: Nic mi o tym nie wiadomo. Jak tylko skończymy rozmowę, zaraz to sprawdzę. Możemy porozmawiać chwilę o pańskiej żonie?

Worning: Po co? Co ona ma z tym wspólnego?

Levin: A o pańskiej pracy?

Worning: Jestem radiotelegrafistą. Nie mam żadnego konkretnego wykształcenia, ale miałem przyjaciela, który... Musimy rozmawiać o takich szczegółach?

Levin: Tylko o tych, które są ważne.

Worning: Dobrze. Pracowałem w wojsku. Hitler zaczął wtedy podnosić głowę. Zamysł był taki, że zostanę radiotelegrafistą.

Levin: To był jakiś wyższy zamysł?

Worning: To pytanie?

Levin: Tak. Powie nam pan, co się stało?

Worning: Wpadłem na coś, na ślad czegoś. Tak było.

Levin: Na jaki ślad? Czego?

Worning: Na świecie umierają ludzie.

Levin: Na wojnie?

Worning: Tu nie chodzi o wojnę. W każdym razie nie sędzę. Oni po prostu umierają.

Levin: Gdzie pan o tym usłyszał?

Worning: Gdyby pan wiedział, co ja łapię na moim radiu. Fale krótkie. Fale długie. Wiadomości idą w świat. A niektóre potem wracają.

*

Niels za późno usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Był pochłonięty rozmową, która odbyła się pół wieku wcześniej. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że ktoś wszedł do pokoju.

15

Godzina 4.15 - jedenaście godzin i trzydzieści siedem minut do zachodu słońca

Hannah z dużym wysiłkiem otworzyła oczy. Jej ciało ciążyło, pokój tańczył wokół niej, powoli, leniwie. Czowała się jak na karuzeli w wesołym miasteczku. Nie była pewna, ale podejrzewała, że zwiększono jej dawkę leku przeciwbólowego. Dlatego czowała się taka

otępiła. Próbowała się dobudzić. Przecież dzisiaj był piątek. Usiłowała dojrzeć za oknem słońce. Zaslony były zaciągnięte. A może była jeszcze noc? Musi wstać. Dzisiaj, kiedy słońce zajdzie... Zamknęła na chwilę oczy. Na kilka sekund.

- Hannah?

Nieznajomy głos.

- Nie śpi pani?

- Słucham?

- Proszę ją połknąć.

Pielęgniarka, Hannah chyba widziała ją już wcześniej, włożyła jej do ust tabletkę, uniosła nieco jej głowę, podała wodę.

- Nie, proszę. Nie otumaniajcie mnie.

- Musi pani spać.

- Nic nie rozumiecie.

Udało się jej wypluć tabletkę. Prosto na rękaw pielęgniarki.

- No nie.

- Muszę zobaczyć się z Nielsem.

- Z mężem?

- Nie, z...

Nie miała siły jej tłumaczyć.

- Muszę się z nim zobaczyć - powiedziała po prostu.

Pielęgniarka podeszła do drzwi.

- Proszę poczekać - poprosiła Hannah.

- Słucham?

- Która godzina?

- Jest jeszcze noc.

Pielęgniarka wyszła. Hannah pomyślała, że zostało już niewiele godzin.

- Musisz się skupić - nakazała sobie głośno.

Wiedziała, że musi odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Odsunęła na bok kołdrę, spojrzała na siebie. Na pewno mogła chodzić. Najgorzej poturbowany był tułów. Ramiona i klatka piersiowa.

- Jakiś problem?

W drzwiach stanął lekarz. Mówił głośno, wydawał się zniecierpliwiony.

- Nie, żaden.

- Musi pani odpoczywać. Przeszła pani zawał.

Pielęgniarka przygotowywała już zastrzyk.

- Nie, proszę - powtórzyła Hannah.

- Rozumiem, że to przykre.

- Niczego nie rozumiecie! Muszę mieć trzeźwą głowę.

Lekarz i pielęgniarka wymienili spojrzenia. Pielęgniarka wyszła, lekarz podszedł bliżej i poklepał Hannah po ręce.

- Potrzebuje pani spokoju. Żeby dojść do zdrowia. Żeby serce odzyskało siły. Wiem, że wybrała się pani na spacer. Tak nie można.

Do sali weszły teraz dwie pielęgniarki.

- Nie, proszę!

- Pomóżcie mi - odezwał się lekarz.

Pielęgniarki chwyciły Hannah za ręce.

- Nie chcę! Dlaczego nikt mnie nie słucha? To przemoc!

Lekarz chwycił jej rękę, zaczął szukać żyły.

- To dla pani dobra.

16

Godzina 4.27 - jednaście godzin i dwadzieścia pięć minut do zachodu słońca

Niels oparł się o stojące za nim kartony. Musiał wyprostować nogę, ale bał się, że się zdradzi. Zamknął oczy i modlił się, żeby kobieta szybko zakończyła swoją rozmowę.

- Przyjdę do ciebie, Carsten. Chcę tylko porozmawiać.

Powtarzała to już po raz piąty. Płakała i oskarżała go, mówiła, że nie jest wobec niej szczery. Teraz zaczęła go błagać.

- Daj mi tylko dziesięć minut. Tyle chyba możesz mi poświęcić...

Niels nie był pewien, jak rozmowa się zakończy. Nagle kobieta zamilkła. Usłyszał jakby parsknięcie, może płakała? Światło zgasło, drzwi się zamknęły. Kiedy usłyszał jej kroki na korytarzu, wrócił do lektury.

Levin: W jaki sposób ci ludzi umarli? Kim oni są?

Worning: Mają znaki na plecach. Czy Amalie niedługo przyjdzie? Obiecała przynieść moje radio.

Levin: Znaki?

Worning: Kiedy przyjdzie Amalie?

Levin: Jakie znaki?

Worning: Takie jak mój.

Levin: Mówi pan o znaku na swoich plecach? Kto go panu zrobił?

Worning: Mogę spytać, czy pan wierzy w Boga?

Levin: Nie.

Worning: Nie mogę spytać, czy nie wierzy pan w Boga?

Levin: Nie wierzę w Boga. Poza tym nie tego dotyczy nasza rozmowa.

Worning: Muszę mieć moje radio.

Levin: Z kim chce pan rozmawiać?

Worning: Z tamtymi.

Levin: Z kim? Może pan odpowiedzieć nieco dokładniej?

Worning: Z innymi, którzy też zostali naznaczeni. Z innymi sprawiedliwymi.

Levin: Sprawiedliwymi? To oni zrobili panu ten znak?

Worning: Muszę się zobaczyć z Amalie. Jestem zmęczony.

Levin: Zaraz dam panu spokój. Odpowie mi pan jeszcze na jedno pytanie?

Worning: Tak.

Levin: Proszę mi powiedzieć, kto zrobił panu ten znak na plecach?

Worning: On. Ten, w którego pan nie wierzy.

Levin: Bóg? Twierdzi pan, że Bóg zrobił panu znak na...

Worning: Nie tylko na moich. Na ich plecach też.

Levin: Bóg narysował go panu na plecach?

Worning: Tak. Bóg. Nikt inny, tylko on. Ale może można go usunąć?

Levin: Ten znak?

Worning: Zanim mnie zabije.

Levin: Kto pana zabije?

Worning: Musiałbym zrobić coś złego.

Levin: Co pan ma na myśli?

Worning: Nic więcej nie powiem.

Levin: Co to znaczy, że musiałby pan zrobić coś złego?

Worning: Nic więcej nie powiem.

25.12.1943

Podmiot:

Klasyczny przykład schizofrenii paranoidalnej. Pacjent ma wrażenie, że znajduje się w środku wydarzeń światowych. Jest przekonany, że ktoś go śledzi. Choroba mogła zostać wywołana przez traumę z dzieciństwa.

Pacjent otrzymał elektrowstrząsy, które jednak nie przyniosły pożądanych skutków. Przed południem odwiedziła go żona, co go na chwilę uspokoiło. Jednak w południe stan pacjenta znów się pogorszył. Uderzał głową o podłogę, krzycząc: „To na pewno nie jestem ja! To niemożliwe!” A później jeszcze: „Będę posłuszny! Obiecuję!” Żadne leki zdają się nie skutkować. Po południu stan pacjenta pogorszył się do tego stopnia, że wezwano jego żonę, co okazało się błędem, bo tuż przed godziną czternastą pacjent i jego żona zniknęli. Pacjentowi udało się wybić szybę w oknie i uciec. Pół godziny później zaobserwowano pacjenta walśającego się przed szpitalem z ostrym narzędziem w ręku, prawdopodobnie z nożem. Nikt nie wie, skąd go wzięli. Zanim pielęgniarze zdążyli go obezwładnić, ugodził nim żonę. Kobieta ma ranę ciętą na szyi, ale prawdopodobnie przeżyje.

Pacjent dostał leki uspokajające i został unieruchomiony.

28.12.1943

Pacjent zachowuje się spokojnie, większość dnia przesypia. Po raz pierwszy od przyjęcia go na oddział jest w stanie przespać kilka godzin nieprzerwanie. Kiedy się budzi, chce rozmawiać z żoną. Jego życzenie nie może na razie zostać spełnione. Wieczorem dokonano swoistego odkrycia. Wezwany dermatolog określił je jako „wysoce niezwykle”. Psychosomatyczna egzema na plecach pacjenta zaczęła się wyraźnie cofać. Opuchlizna zniknęła. Pozostał jedynie niewielki czerwony ślad.

26.01.1944

Pacjent zostanie wypisany koło południa.

Niels siedział oparty o ścianę. Nawet nie pamiętał, kiedy usiadł. Karta z historią choroby leżała na kolanach. Usłyszał kroki na zewnątrz. Głosy. Czyżby spał? Ktoś pewnie zobaczył światło. Nie miał siły znów uciekać. Do archiwum weszło dwóch mężczyzn.

- Jest tam! - powiedział jeden z nich, wskazując na Nielsa latarką mimo zapalonego światła.

- Co pan tu robi? - spytał drugi mężczyzna.

Być może powiedzieli coś jeszcze, ale Niels już ich nie słyszał.

Kiedy kładli go na łóżku, żeby odwieźć na oddział, zerknął na zegarek. Kilka minut po dziesiątej. Na zewnątrz było nadal szaro, śnieg wisiał w powietrzu. Słońca nie był w stanie dojrzeć. Może jeszcze nie wstało? A może w ogóle nie wstanie? Gdyby tak się stało...

- Gdyby tak się stało... - wymamrotał.

Po chwili zastrzyk zaczął działać, Niels odpłynął w ciemność.

17

Godzina 13.10 - dwie godziny i czterdzieści dwie minuty do zachodu słońca

Kolejne przebudzenie. Nadchodziły falami, otwierała oczy i zaraz znów je zamykała.

- Ja... - powiedziała Hannah i urwała.

Postanowiła, że tym razem nie będzie z nikim rozmawiać. Nie będzie nikogo prosić o pomoc. Nie będzie błagać, żeby zostawili ją w spokoju. Była w szpitalu, w szpitalu personel ma obowiązek ratować ludzi. Tylko oni nie wiedzieli wszystkiego. Nie wiedzieli, że ona, Hannah, ma umrzeć. Dzisiaj. Przed zachodem słońca.

*

Spokojne ruchy, powolne, jak jej myśli. Leki wciąż działały. Odłączyła kroplówkę. Spuściła nogi z łóżka. Musi wstać. Niepewnie, jak uczące się chodzić dziecko, zrobiła kilka kroków. Jedna noga była słabsza. Potrzebowała kuli. Albo wózka.

Oparła się o ścianę i próbowała się przesuwac w stronę szafy. Na wieszaku wisiała jej kurtka. Z plamami błota po wypadku. Przeszła zapachem porzeczek i alkoholu. Przypomniała sobie rozbitą butelką dzinu. Odłamki jasnoniebieskiego szkła. Włożyła kurtkę. W pierwszym momencie nie poznała kobiety, która stała i patrzyła na nią gniewnie w lustrze. Dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na swoje odbicie. Poczwała ulgę, ale i przerażenie. Z jednej strony miała spuchniętą twarz. Ale było jej wszystko jedno. Wkrótce i tak pożegna się ze swoją ziemską powłoką. Już na zawsze.

Godzina 14.35 - godzina i siedemnaście minut do zachodu słońca

- Jeszcze ostatnia. Złagodzi najgorszy ból.

Pielęgniarka stała pochylona nad Nielsem. Patrzyła, jak z trudem przełyka duże tabletki.

- Dzisiaj jest piątek? - Usłyszał własny głos.

- Tak. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Długo pan spał, Niels.

- Po południu.

- Co wtedy się stanie?

- Kiedy słońce zajdzie.

- Słyszałam, że nad ranem wybrał się pan na spacer. - Pielęgniarka się uśmiechnęła. - Miał pan szczęście, że tak szybko pana znaleźli.

Niels nie odpowiedział.

- Często się zdarza, że pacjenci po wybudzeniu nie bardzo wiedzą, co się z nimi dzieje. To normalne - ciągnęła pielęgniarka niezrażona jego milczeniem.

Wzięła jego dłoń.

Niels wyrzwał przez okno. Próbował dojrzeć słońce. Przez moment sądził, że jasne światło, które nagle go oślepiło, to promienie słońca, ale to było światło stojącej obok lampy. Odbijało się od szyby. Próbował coś powiedzieć, ale pielęgniarka go nie słyszała.

- Zostanie pan tu jeszcze trochę. Zaopiekujemy się panem. Chciał pan coś powiedzieć?

- Proszę zgasić światło.

- Oczywiście.

Zgasła lampkę stojącą obok łóżka. Znow zrobiło się ciemno. Słońce, czerwone, niecierpliwe, wisiało nad drzewami w parku. Nie zostało mu wiele czasu. Był bliski poddania się. Dobrze, zabierz mnie do krainy umarłych, pomyślał.

Jego rozmyślania przerwał głos pielęgniarki.

- Przyszli jacyś panowie. Czekają przed drzwiami. Przychodzą tu codziennie. Chcą z panem porozmawiać.

Do pokoju weszli Sommersted i Leon. Leon zatrzymał się przy drzwiach. Jak ochroniarz szefa gangu.

Sommersted podszedł bliżej.

- Macie panowie tylko chwilę - ostrzegła pielęgniarka, wychodząc z pokoju.

Niels nie potrafił niczego wyczytać ze wzroku Sommersteda. Żadnego współczucia,

chłodu czy pogardy. Pustka. Właściwie mógłby być robotem składającym się z kabli i śrubek.

- Prawdę mówiąc, Niels, nic z tego nie rozumiem - zaczął Sommersted.

Spokojny, zrównoważony głos. Mówił, jak człowiek, który ma czas, który wie, że nikt nie odważy się mu przerwać.

- Nie wiem, jak to możliwe, ale miałeś rację. W sobotę w Wenecji znaleziono ciało zamordowanego policjanta. Tak jak uprzedzałeś, miał na plecach znak. Nadal czekamy na raport włoskiej policji, ale wiemy już, że ten znak to najprawdopodobniej liczba 35. Być może to tatuaż. Interpol zajął się już sprawą.

Sommersted zaczerpnął powietrza. Niels uznał, że pewnie miały to być przeprosiny. Za to, że chciał go słuchać. Zerknął na Leona. Jakby patrzył w oczy zdechłej rybie.

- Co z tobą, Niels? - spytał Sommersted. W jego głosie pojawiło się nagle nieco uczucia, empatii.

- Co ze mną?

- Jak się czujesz? Lekarz powiedział mi, że niewiele brakowało. Trafił cię pociąg?

- Samochód na przejeździe kolejowym.

- No tak, co zrobić. - Pokiwał głową Sommersted. - Uratowałeś dwie dziewczynki. Podobno gdyby nie ty, zginęłyby na miejscu. Najpierw ta rodzina w Nordvest, a teraz one. Masz na sumieniu życie wielu ludzi.

- Na sumieniu? - powtórzył Niels.

- W tym dobrym znaczeniu, jeśli można tak powiedzieć.

Sommersted pokiwał głową, spuścił wzrok.

- Tak jak powiedziałem, niewiele z tego rozumiem. Ale przez kilka następnych dni wzmocnimy ochronę szpitala. A potem zobaczymy.

- Tylko dzisiaj. Do zachodu słońca.

Niels wyjrzał przez okno. Słońce dotykało już wierzchołków drzew.

- Poradzimy sobie, prawda, Leon? - upewniał się Sommersted.

- Rozumiem, że nie mówimy o takim zabezpieczeniu jak podczas szczytu klimatycznego. - Leon się uśmiechnął. - Jesteśmy w kontakcie ze strażnikami szpitalnymi. Mają być szczególnie czujni. Wszystkie wejścia do szpitala są pod kontrolą, parking w podziemiach też - powiedział i spojrzał na Sommersteda.

Jak chłopiec czekający na pochwałę od ojca, pomyślał Niels.

Dziecko doczekało się pochwały. Sommersted skinął głową.

- Bardzo dobrze, Leon.

Szef zbierał się już do wyjścia, kiedy nagle odwrócił się i spojrzał na Nielsa.

- Bo widzisz, z tobą to nigdy nie wiadomo - powiedział. - Wiesz, o co mi chodzi?

- Nie do końca.

Niels miał wrażenie, że Sommersted sam gubi się we własnych myślach.

- Może powinienem był cię posłuchać. Ale z tobą nigdy nie wiadomo, Bentzon - powtórzył. - Czasem wydajesz się taki... naiwny. Przepraszam za określenie.

Zamilkł. Niels wiedział jednak, że jeszcze nie skończył.

- Ale cieszę się, że się z tego wyliżesz. Naprawdę. Rozumiesz, że nie mogę ewakuować całego szpitala. Ale Leon i chłopcy będą mieli na wszystko oko.

Niels się uśmiechnął. „Chłopcy”. Sommersted nigdy tak nie mówił. Niels uznał jednak, że to zmiana na lepsze.

- Bentzon, do cholery, wszyscy o tobie myślimy. Wracaj do zdrowia, do diabła! - wykrzyknął Leon, wygrażając mu pięścią.

Niels spojrział na niego. Nie wiedział, co powiedzieć. Zapadła cisza. W końcu Sommersted przerwał krępujące milczenie.

- Hopenhagen okazało się sukcesem. Sprawdziliśmy się. Wygląda na to, że świat jeszcze trochę pociągnie - powiedział i wzruszył ramionami.

Leon się uśmiechnął. Zawsze przestrzegał reguł, także tych niepisanych. A jedna z nich głosiła, że kiedy szef powie dowcip, należy się uśmiechnąć.

Niels pokiwał głową, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Do pokoju weszła pielęgniarka.

- Panowie już skończyli?

- Tak sądzę.

Sommersted poklepał nieco niezdarnie Nielsa po ramieniu i wyszedł.

- Bentzon.

Leon uniósł dłoń w geście pożegnania i podążył za szefem.

Wychodząc, zamknął drzwi.

Niels nie słyszał, kiedy znów się otworzyły. Usłyszał jedynie cichy szept.

- Niels...

Odwrócił się na łóżku.

Hannah siedziała na wózku inwalidzkim. Poczul skurcz bólu, ale kiedy przyjrzał się jej twarzy, odzyskał nadzieję. Coś się z nią stało.

- Niels.

- Hannah.

Podjechała wózkiem do jego łóżka. Położyła rękę na jego dłoni.

- Tak się cieszę, że cię widzę. Szukałam cię.

Jej głos był słaby, ale pełen życia.

- Próbowałam cię odnaleźć, ale kazali mi wracać do sali.

- Musimy stąd uciec, Hannah. Nie zostało nam wiele czasu.

- Mamy czas, Niels. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Tylko słuchaj mnie uważnie.

- Słońce już zachodzi.

- Kiedy umarłam, ogarnęła mnie ciemność, ale nie tylko - powiedziała i ścisnęła mu dłoń. - Poza życiem, tu na ziemi, jest coś jeszcze. Są na to dowody.

- Dowody?

- Pamiętasz, co ci mówiłam, wtedy przez telefon? - Uśmiechnęła się.

Niels pokręcił głową.

- Prowadzone są badania na dużą skalę. W salach operacyjnych na oddziałach ratunkowych na całym świecie umieszcza się niewielkie półki. Na nich kładzie się zdjęcia, rysunki. Można je dostrzec jedynie z góry. Spod sufitu. To żadne czary, tylko prawdziwe badania naukowe. Uczestniczą w nich lekarze, naukowcy. Pieczę nad całym projektem sprawuje ONZ. Dokładne informacje znajdziesz w Internecie. Nie przerywaj mi, proszę. Wysłuchaj mnie do końca. Kiedy umarłam, widziałam ten obrazek. Potrafiłam go dokładnie opisać. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Zobaczyłam go, dopiero, kiedy moja świadomość opuściła moje ciało.

- Świadomość. - Niels westchnął.

W oczach Hannah pojawił się dziwny blask. Nie podobało mu się to.

- Nazwij to jak chcesz. Dusza? Nie wiem. Wiem tylko, że mając takie dowody, będziemy musieli pewne rzeczy gruntownie przemyśleć.

- Musimy uciekać, zanim słońce zajdzie.

- Pamiętasz tę historię o moim znajomym z Instytutu? Tym, który nie potrafił nikomu odmówić. Dla którego dobroć stała w końcu się problemem?

- Musimy uciekać. Pomożesz mi?

- Przyjrzyj się sobie, Niels. Chciałeś ratować te dziewczynki. Gołymi rękami próbowałaś zatrzymać samochód.

- Każdy na moim miejscu postąpiłby podobnie.

- Każdy biegałby po szpitalu w poszukiwaniu dobrych ludzi? Jesteś o tym przekonany?

- Czasem zachowuję się jak maniak. Jestem chory. Maniakalno-depresyjny.

- Niekiedy rzeczywiście tak się zachowujesz.

- Musimy stąd uciec.

- To niemożliwe. Dobrze o tym wiesz. I wiesz też, do czego zmierzam.

Niels nie odpowiedział.

„Muszę zrobić coś złego”. Te słowa ciągle kołatały w jego głowie.

- Historia o Abrahamie. Bóg poprosił, żeby zabrał ze sobą Izaaka. Sam mi ją opowiadałeś, wtedy na plaży, nad morzem.

- Nie chcę tego słuchać.

- Nie masz wyjścia.

Niels odsunął kołdrę, spróbował spuścić nogi.

- Przestań być dobrym człowiekiem, Niels. To twoja jedyna szansa.

- Hannah... - zaczął Niels i urwał.

Znów przypomniał sobie słowa Worninga. „Muszę zrobić coś złego”.

Przesunął się na łóżku, zerknął na krzesło.

- Musisz coś poświęcić. Coś, co jest ci drogie. Co pokaże, że jesteś posłuszny. Że słuchasz. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Niels? Umarłam, ale przywrócono mnie do życia. Na własne oczy widziałam tę szczelinę, to otwarcie, prowadzące... tam.

Niels pozwolił jej mówić.

- My, ty też, Niels, musimy to zaakceptować. Że jest coś, jakaś siła potężniejsza od nas. Musisz pokazać, że to rozumiesz.

- Co mam pokazać? Co chcesz, żebym pokazał?

- Że jesteś w stanie wierzyć nie tylko w samego siebie.

Zrobiło mu się niedobrze. Miał ochotę ją uderzyć.

Spoliczkować. Kiedyś, w dawnych czasach, tak właśnie robiono, kiedy kobieta zaczynała histeryzować. Patrzył ze współczuciem na jej zapuchniętą twarz. Na jej inteligentne oczy. Wiedział, że jedynie racjonalne argumenty mogą ją przekonać. Tylko w ten sposób może do niej dotrzeć.

- I co dalej, Hannah? - spytał. - Co potem?

- Tego nie wiem. Może... Może po prostu trwamy dalej. Kolejne pokolenie przychodzi na świat. Kolejnych trzydziestu sześciu.

Niels pokręcił głową.

- Musimy stąd uciekać, Hannah - wyszeptał, ale bez przekonania w głosie.

Hannah milczała.

- Ile czasu nam zostało?

- To wszystko na nic, Niels. Pomyśl o Włochu. O też był częścią tego wszystkiego.

Musisz przestać być dobry.

- Ile mamy czasu?! - przerwał jej. Krzyczał.

- Dziesięć minut. Za dziesięć minut zajdzie słońce.

Szybkim ruchem Niels odłączył kroplówkę. Strumień ciemnej krwi wytrysnął w powietrze. Z korytarza dobiegły ich krzyki, ktoś biegł. Hannah wstała z wózka, podała mu chusteczkę. Zachwiała się, ale szybko odzyskała równowagę. Chwiejnym krokiem podeszła do szafy.

Niels usiłował wstać z łóżka. Był blady, złapał ją za rękę.

- Pomóż mi, Hannah. Chcę stąd wyjść.

Hannah odwróciła się do niego. Trzymała w ręku jego pistolet.

- Dobrze - powiedziała.

18

Godzina 15.42 - dziesięć minut do zachodu słońcu

Leon usłyszał wiadomość kilka minut temu przez radio: „Ciemnozielona furgonetka przejechała na czerwonym świetle przez plac Ratuszowy. Z dużą prędkością. Za furgonetką jedzie radiowóz”.

Choć to nie jego sprawa, wstał i podszedł do okna.

- Jest pan lekarzem? - Usłyszał za sobą jakiś głos. - Potrzebna mi pomoc.

Już chciał się odwrócić i coś odpowiedzieć, kiedy znów usłyszał głos przez radio. „Ciemnozielona furgonetka jedzie Østersøgade. Blokada mostu, Fredensbro”.

W głowie Leona odezwał się słaby dzwoneczek. Był pierwszy dzień świąt. Dość szczególny dzień, pomyślał. Pościg samochodowy przez udekorowane świątecznie ulice? Chwycił nadajnik.

- Albrechtsen? Obserwujesz co się dzieje na Foelledvej?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

- Spokój. Sytuacja pod kontrolą.

Leon wrócił do okna. Początkowo nie był pewien. Ale nagle zobaczył, że wszystkie samochody zjeżdżają na bok przed pędzącym przez śnieżną zadymkę samochodem. Przyciemnione szyby. Stara furgonetka dostawcza. „Ciemnozielony citroen, furgonetka,

jedzie przez most w stronę Szpitala Krajowego”.

- *Fuck!*

- Albrechtsen! - niemal wysyczał do policyjnego walkie-talkie Leon. - Nie słuchasz radia?

- *Yes!* Obserwuję główne wejście.

- Kto pilnuje zjazdu do garażu!

Czekał chwilę na odpowiedź.

- Jensen! Dwójka, zgłoś się!

Żadnej odpowiedzi.

- Albrechtsen, widzisz dwójkę?

- Nie, ale przed chwilą widziałam Jensena.

Leon słyszał już syrenę radiowozu jadącego za furgonetką.

- Szlag!

Zaczął biec.

- Albrechtsen! Wyjdź na ulicę, kontroluj wejście i zjazd do garażu.

Nagle Leon stanął jak wryty. Nie wierzył własnym oczom, kiedy zobaczył idącego korytarzem Nielsa.

- Bentzon? Co ty tu robisz? Nie powinieneś być w łóżku?

Niels wspierał się na Hannah, która szła, wspierając się o kuli. Dobrana z nich para.

- Co się dzieje, Leon?

- Niczym się nie zajmuję. Kontrolujemy sytuację.

Nagle obaj usłyszeli zdesperowany głos Albrechtsena przez radio.

- Minął mnie. Jedzie w stronę zjazdu do garażu!

Leon zaczął biec.

- Nikt nie ma prawa wysiąść z tego samochodu! - grzmiał jak generał na wojnie.

- Musimy uciekać, Hannah - wycedził Niels.

Jego głos brzmiał słabo. Już samo wstanie z łóżka kosztowało go wiele wysiłku. Piekły go plecy.

- To niemożliwe, Niels. Może wejdziemy na dach. Stamtąd wszystko widać.

- Do windy!

Niels ruszył chwiejnym krokiem w stronę windy. Wyjrzał przez okno. Wiatr targał gałęziami drzew. Samochody ślizgały się na oblodzonej nawierzchni. Kilka utknęło w zaspach, przypominały ogromne wieloryby. Zjechały na bok zapewne, żeby uniknąć zderzenia z rozpędzoną furgonetką. A ponad nimi ostatnie promienie słońca usiłowały

przeniknąć przez śnieżną zadymkę i szybko zapadający mrok. Kopenhaga płonęła w czerwono-żółtej poświacie. Dachy, ulice, powietrze.

- Dzień Sądu Ostatecznego - wyszeptał Niels. - Cisza, spokój i czerwień.

Teraz i on widział ciemną furgonetkę, która z dużą prędkością zmierzała w stronę podziemnego garażu. Wóz uderzył o stojące obok wyjazdu rowery, siła uderzenia wyrzuciła je w powietrze.

- Pospiesz się, Niels! - zawołała z windy Hannah.

Niels podszedł do niej, w głowie jednak cały czas miał rozpędzoną furgonetkę.

- Nie na dach - zaprotestował, kiedy w końcu dotarł do windy.

- To nasza jedyna szansa. Wszystkie wyjścia są zablokowane. A piwnica... Sam słyszałeś. Tam aż się roi od policji.

- Zaryzykujemy. Spróbujemy wyjść głównym wyjściem - powiedział Niels, wcisnął guzik na parter i upadł.

- Niels! Co z tobą?

- Moje plecy. Pałają mnie. Ile jeszcze?

Poczuł w ustach smak krwi.

- Moje usta.

Poddał się.

Słyszał, że Hannah coś do niego mówi, ale jej słowa do niego nie docierały. Siedział skulony na podłodze w windzie. Ból pleców stawał się nie do wytrzymania. Jakby ktoś położył mu na plecach rozżarzone węgle.

- Z nosa leci ci krew.

Jak w transie unióś rękę do nosa. Hannah miała rację.

- Musimy dostać się na dach, Niels.

- Dlaczego? - udało mu się wyszeptać.

- Zostało nam już tylko kilka minut.

- Ja umieram, Hannah. Umrę...

- Nie.

Hannah wyjęła coś z torebki.

- Spójrz, co mamy. Użyjemy go.

Niels z trudem unióś głowę.

- Nie, Hannah.

Hannah stała obok niego i trzymała w ręku jego pistolet.

Ciemnozielona furgonetka wjechała z hałasem na podjazd przed szpitalem. Przez moment wyglądało, jakby miała wpaść w poślizg, w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z betonowymi filarami.

Leon razem z innymi gotowymi do strzału policjantami otoczyli samochód.

Albrechtsen zaszedł go od tyłu, Leon podszedł do drzwi od strony kierowcy.

- Policja! Otwórz drzwi! Powoli!

I wtedy usłyszeli ten dźwięk. Najpierw jakby jęk. A potem rozdzierający, przejmujący krzyk. Aż poczuli ciarki na plecach.

Z samochodu wyszedł mężczyzna. Właściwie jeszcze chłopak. Miał może dwadzieścia lat. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wyglądał na przerażonego.

- Na ziemię! - krzyczał Leon.

- Ja...

- Zamknij się i na ziemię! Albo strzelam!

W tym momencie Albrechtsen otworzył tylne drzwi.

W furgonetce, na materacu leżała kobieta. Krzyczała.

- Co tam się dzieje, do cholery? Albrechtsen! - spytał Leon, zakuwając mężczyznę w kajdanki.

- Szefie?

Albrechtsen z trudem powstrzymywał śmiech.

- Co?

- To moja dziewczyna - próbował tłumaczyć chłopak.

Leon podszedł bliżej. Spojrzał na kobietę. Leżała z rozłożonymi szeroko nogami, między którymi widać już było małą główkę dziecka.

Na kilka sekund wszyscy zamarli.

- Zamierzacie tak stać i się gapić! - krzyknęła kobieta.

Było stąd widać całą Kopenhagę.

Słońce wisiało nad miastem jak wielka kula, tuż nad horyzontem, na pół ukryte za chmurami i śniegiem. Niels obejrzał się za siebie, Hannah kierowała się na sam środek lądowiska.

- To najlepsze miejsce - wyszeptała.

Jej słowa zostały natychmiast porwane przez wiatr.

- Weź go! - zawołała, usiłując przekrzyczeć zadymkę.

- Nie, Hannah.

- Spójrz na mnie.

Cofnęła się nieco, przytrzymała go, zmusiła, że spojrzał jej w oczy.

- Nie mogę.

- Musisz, Niels.

- Odejdź. Zostaw mnie.

Próbował ją odepchnąć, ale był za słaby, a ona nadal trzymała go mocno.

- To koniec, Niels. Nie rozumiesz tego?

Wcisnęła mu do ręki pistolet. Właściwie mógł go rzucić, upuścić, ale nie zrobił tego.

- Tu wszystko się zakończy, Niels - powtórzyła.

Niels odbezpieczył pistolet, spojrzał na drzwi. Minimalny ruch, który wymagał całej siły jego woli. Uniósł broń, skierował ją w stronę jedyne go wyjścia na dach: drzwi do windy.

- Nikt nie nadejdzie, Niels.

- Odejdź!

Ale Hannah stała nadal.

- Idź stąd! - zawołał.

Cofnęła się, może o metr.

- Dalej!

Zachwiał się, trzymał kurczowo pistolet w ręku. Jakby ten niewielki przedmiot, stworzony po to, by odbierać ludziom życie, paradoksalnie stał się jego ostatnią deską ratunku.

- Niels!

Jej krzyk był daremny. Niels jej nie słyszał.

- Niels!

Podeszła do niego bliżej. Chwyciła go i nie pozwoliła, by ją odepchnął.

- Odejdź ode mnie!

- Posłuchaj mnie, Niels. Nikt nie przyjdzie. Nie zjawi się żaden morderca. Jesteśmy

tylko my.

Nie odpowiedział.

- Przestań być dobry. Poświęć mnie.

- Nie, Hannah.

Znów próbował ją odepchnąć.

- To twoja jedyna szansa. Nie rozumiesz tego? Zacznij działać!

Niels nie odpowiedział. Z nosa leciała mu krew, kapłała mu na usta. Jego nogi nie dawały rady go trzymać. Hannah bała się, że zaraz upadnie. Że już jest za późno. Zerknęła na zachód, zobaczyła słońce nadal wiszące nad horyzontem, jakby jeszcze się wahało.

- Żaden morderca nie nadejdzie, Niels. Kiedy to zrozumiesz? Ani żaden terrorysta czy szaleniec. Jesteśmy tylko my.

- Przestań.

- Zastrzel mnie, Niels.

- Nie.

- Działaj. Pokaż, że słuchasz. O to w tym wszystkim chodzi. Poświęć to, co jest ci drogie.

Hannah chwyciła zimną lufę pistoletu i dotknęła nią swojego serca.

- Mnie jest wszystko jedno, Niels. To właśnie próbowałam ci powiedzieć. Byłam trupem, kiedy mnie poznałeś. Umarłam, kiedy umarł Johannes.

- Hannah...

Oparła się o niego, dotknęła wargami jego ucha, szeptała.

- Musimy pokazać, że słuchamy, że jesteśmy posłuszni. Że wiemy, że jest coś jeszcze.

Położyła jego palec na spuście.

- Pociągnij, Niels. Zrób to. Chcę wrócić, wiem, co mnie tam czeka. I pragnę tego. Chcę wrócić do Johannesesa.

- Nie.

- Nikt nie będzie cię podejrzewać. Wszyscy będą przekonani, że popełniłam samobójstwo. Jestem wrakiem człowieka. Twój szef miał rację.

Na jej ustach pojawił się niespodziewany uśmiech, jakby grymas.

- Nie mam niczego do stracenia. Niczego.

- Nie, nie potrafię.

Nagle wszystkie dźwięki zniknęły. Widział, że jej usta się poruszają, ale dookoła panowała cisza. Ustało nawet wycie wiatru. Cisza, która zaległa, była tak głęboka, że nawet nie wiedział, że taka istnieje. Zamknął oczy, żeby móc się nią napawać.

- Jest tak cicho - wyszeptał. - Tak cicho.

Nagła fala gorąca przeszła jego ciało. Poczł cudowne ciepł, ból pleców ustał, odzyskał spokój. Poczł ulgę, nareszcie. Może Hannah miała rację, kiedy mówiła, że tam czekają go ciepł i spokój. Miał wrażenie, że chmury zniknęły, niebo się rozwarło i zobaczył gwiazdy, tuż nad nim, wystarczyło wyciągnąć rękę.

Znów spojrzł na Hannah. Krzyczała, błagała go, ale on jej nie słyszał. Zamknął oczy. Wiedział, że ma rację. Ale nie chciał jej słuchać. Nie potrafił. A mimo to pociągnął za spust.

Hannah wzdrgnęła się, zachwiała. Niels spojrzł na nią, zobaczył, że robi krok do tyłu. Nie widział krwi. I nagle zalała go fala dźwięków. Hałas ranił mu uszy.

- Ale...

Hannah odwróciła się, spojrzła na zachód. Słońce zniknęło. Nastal zmrok.

- Zrobiłeś to, Niels.

Niels czuł, jak drżą mu kolana. Nadal szukał krwi na ciele Hannah. Gdzie trafiła ją kula? Niczego nie rozumiał. Przeszedł go dreszcz.

Hannah wyciągnęła do niego swoją dłoń. Otworzyła ją powoli.

Na jej dłoni leżał magazynek.

Ukucnęła i objęła go. Niels zamknął oczy.

Usłyszeli czyjeś kroki, głosy.

- Bentzon! Jesteś tam na górze? - zawołał Leon.

Niels otworzył oczy.

- Bentzon! - wołał Leon.

Ale Niels patrzył tylko na Hannah. I na wirujące w powietrzu miękkie płatki śniegu.

20

Poniedziałek, czwarty stycznia

Niels stał obok szpitalnego łóżka i pakował walizkę. Czł się zdecydowanie lepiej. Bóle pleców zniknęły, poruszał się swobodniej. Ale i w nim samym coś się zmieniło. Pakowanie walizki zwykle napawało go lękiem, natychmiast pojawiał się paraliżujący go strach.

Teraz jednak było inaczej. Spokojnie pakował swoje ubrania i wkładał je do walizki.

Policyjną legitymację i pistolet położył na wierzchu. Zamknął walizkę bez strachu.

- Wraca pan dzisiaj do domu? - spytała pielęgniarka, która przyszła zmienić pościel.

- Tak, dość się już tu należałem. Poza tym przytyłem na waszym wikcie - powiedział, klepiąc się po brzuchu.

- Cieszę się, że czuje się pan lepiej.

- Dziękuję za pomoc.

Podał pielęgniarce rękę, ale ona, ku jego zdziwieniu, podeszła i go uściskała.

- Powodzenia, Niels.

W jej głosie była nutka smutku, jakby chciała powiedzieć, że będzie za nim tęsknić. Uśmiechnęła się.

*

Hannah miała zostać wypisana dopiero za kilka dni. Kiedy Niels wszedł do jej pokoju, żeby się z nią pożegnać, miał w ręce bukiet kwiatów. Rozejrzał się, zauważył, że w pokoju nie ma wazonu.

- Połóż je tutaj - powiedział Hannah, pokazując ręką na kołdrę. - Są piękne. Co to za kwiaty?

Niels wzruszył ramionami.

- Nie znam się na kwiatach.

- Kiedyś planowałam, że będę miała ogród, przy moim domku nad morzem.

Pocałował ją w usta. Krótki pocałunek. Poczul jej ciepłe miękkie wargi. Pewnie zrobił to nieco niezdarnie, pomyślał. Ale nadal je czuł, jej usta.

Przyniósł jej też prezent zapakowany w gazetę.

- Co to takiego? - spytała Hannah, nadal zarumieniona po pocałunku.

- Otwórz.

Zaczęła odwijać papier z dziecięcym podnieceniem. Nagle jej twarz się zmieniła. Zobaczyła magazynek.

- Spokojnie, opróżniłem go.

Wzięła go do ręki. Westchnęła, obracając go w dłoni.

- Byłam przekonana, że chcę umrzeć - wyznała. - Że tak powinno się stać.

Spojrzała na niego.

- Nie zmieniłam zdania. Nie wiem, jak to się stało, czy to ja sama wyjęłam ten magazynek, czy też...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

- Odprowadzę cię - szepnęła.

*

W ostatnich dniach często do tego wracali. Do tego, co właściwie się stało, tam na dachu. Za każdym razem, kiedy Niels pytał, które z nich to zrobiło, Hannah poprawiała go.

- Co, Niels. Co to spowodowało, wiesz?

Niels nigdy jej nie odpowiedział.

*

Długi biały korytarz. Kłębiący się tłum lekarzy, pielęgniarek, pacjentów, członków rodzin. Nagle przez gwar dotarł do nich płacz niemowlaka. Niels się zatrzymał. Rozejrzał się. W ich stronę szła młoda matka, zmęczona, ale szczęśliwa, ze swoim nowo narodzonym dzieckiem na ręce. Niels odwrócił głowę i spojrzał na małą ludzką istotę. Może dlatego nagle wpadł na pielęgniarkę.

- Przepraszam.

Kobieta nie zatrzymała się, poszła dalej.

- Mogę panią o coś spytać?

Odwróciła się.

- Gdzie mogę się dowiedzieć, jak zakończył się poród, który zaczął się w zeszły piątek o zachodzie słońca?

Pielęgniarka zastanawiała się chwilę.

- Proszę spytać na porodówce.

- Dziękuję.

Hannah pociągnęła go za rękaw.

- O co chodzi? - spytał.

- Czy ty przypadkiem nie przesadzasz?

- Nie. Wierzę, że sztafeta nie została przerwana. A ty nie?

*

Niels zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Wszedł. Hannah została na zewnątrz.

Kwiaty, czekoladki, maskotki, dziecięce ubranka. Matka leżała na łóżku, drzemała ze swoim nowo narodzonym dzieckiem w objęciach. Młody ojciec siedział na krześle, spał, lekko pochrapując. Sądząc z opisu Leona, byli to ci młodzi ludzie, którzy przybyli do szpitala furgonetką w tamten piątkowy wieczór.

Młoda mama podniosła głowę.

- Gratuluję - powiedział Niels. Były to pierwsze słowa, które przysły mu do głowy.

- Dziękuję.

Patrzyła na niego nieco zdziwiona. Jakby starała się go sobie przypomnieć.

- My się znamy?

Niels wzruszył ramionami. Spojrzał na dziecko, które właśnie się budziło.

- To chłopiec?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Strasznie niecierpliwy. Przyszedł na świat o miesiąc za wcześnie.

- Obieca mi pani coś?

Kobieta spojrzała na niego zaintrygowana.

- Jeśli synek, kiedy już dorośnie, będzie miał problemy z podróżowaniem, to proszę nie mieć mu tego za złego, dobrze?

- Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

- Proszę mi to obiecać - powtórzył Niels.

I wyszedł z pokoju.

21

Pierwsza podróż w życiu. Większość z nas doskonale ją pamięta. Poczucie przygody, kiedy samolot odrywa się od ziemi. Wszystko dookoła jest nowe: stewardesy, jedzenie, małe plastikowe szklanecki, sztuczce jak dla lalek.

Odkładamy na bok wszystkie troski i oddajemy swój los w ręce innych.

Wenecja

Zapach laguny nie przypominał żadnego innego znanego mu zapachu. Nie był może do końca przyjemny, ale niósł w sobie pewną obietnicę. Niebieskoczarna woda, brudna, ale kusząca. Do tego stopnia, że lord Byron nie mógł się oprzeć pokusie i skoczył do kanału. Niels czytał o tym w przewodniku w samolocie.

Przez większą część lotu po prostu wyglądał przez okno. Kiedy lecieli nad Alpami, rozplakał się cicho. Dobrze, że nie było przy nim Hannah. Pewnie zaczęłaby mu opowiadać, że Alpy powstały w wyniku zderzenia dwóch płyt kontynentalnych. A Morze Śródziemne za kilka milionów lat zniknie, kiedy kontynent afrykański dogoni Europę. Tak długo Kathrine zapewne nie będzie chciała czekać. Dlatego Niels z Wenecji miał lecieć do RPA. Z trzema

przesiadkami po drodze. Cały dzień w podróży.

*

Na przystani wodnych taksówek zaczepił go młody mężczyzna.

- *Venice, mister?*

Niels wyjął przewodnik i wskazał na wyspę, na której był cmentarz.

- *San Michele? Cemetery?*

- *Si* - skinął głową Niels.

Natychmiast padła cena. Dziewięćdziesiąt euro. Do licha, ale trudno. Hannah uprzedzała go, że ma się targować, szczególnie o tej porze roku, kiedy każdy chciał zarobić.

Wsiadł do łodzi, która ruszyła natychmiast, tańcząc na wodzie. Niels się roześmiał. Mężczyzna spojrzał na niego i cieszył się razem z nim.

Przed brzegiem musieli chwilę zaczekać, z niewielkiej na czarno lakierowanej łodzi pogrzebowej przenoszono na ląd trumnę. Po chwili taksówka przybiła do przystani. Mężczyzna przytrzymał Nielsa za rękę i pomógł mu wejść na pomost. Odpływając, pomachał mu zadowolony. Niels dopiero po chwili się zorientował, że nie ma pojęcia, jak stąd wróci.

*

Jeśli cmentarz miał być jedynie małą próbą piękna tego niezwykłego miasta, dobrze to wróżyło, pomyślał Niels. Kaplice, arkady, palmy i wierzby, bogate zdobienia, twarze aniołów, skrzydła aniołów. Jakby cały ten przepych miał pomóc nam odejść z tego świata. Niels spacerował po cmentarzu, zachwycony i lekko zagubiony. Powoli zaczynał się orientować w labiryncie grobów. Odnalazł najświeższe groby z urnami i część cmentarza, gdzie chowano protestantów.

Szedł niekończącymi się alejkami. Twarze. Imiona, nazwiska. Kwiaty i płonące świeczki. Znicze. I czerwone szkło mające chronić je od deszczu.

Znalazł ziemskie resztki Tommasa, wciśnięte między urny z prochami Negrima Emilia i Nanovella Edvigne'a. Tommaso Di Barbara. Było też niewielkie zdjęcie. Twarz i ramiona, dość, żeby zobaczyć mundur. Przyjemna twarz. Przyjaciela.

Niels usiadł na ławeczce pod wierzbą, tuż obok Tommasa. Nie miał niczego ze sobą. Żadnych kwiatów, świeczek. Ale był tu. On. Nie był już dobrym człowiekiem. Był po prostu sobą.

PODZIĘKOWANIA

A. J. Kazinski dziękuje:

- astrofizyczce Anji C. Andersen z Dark Cosmology Centre z Instytutu Nielsa Bohra za myśli, teorie, system i cierpliwość, oraz za uświadomienie nam skali naszej krzyczącej niewiedzy.

W Wenecji:

- Luce Cossonowi z weneckiej policji za informacje dotyczące grafików dyżurów, turystów i wysp.

- siostrze Mary Grace i ojcu Elisio ze szpitalnego zakonu świętego Jana w hospicjum Ospedale Fatebenefratelli.

W Kopenhadze:

- rabinowi Bentowi Lexnerowi za rozmowy dotyczące Talmudu, Tory i trzydziestu sześciu wybranych.

- Anji Lysholm za spojrzenie w wieczność.

- Bjarnemu Rødtjerowi, Bentowi Jensenowi i Susanne Hansen z głównego archiwum Szpitala Krajowego za pokazanie nam podziemnego świata szpitala.

- Jørnowi Jensenowi i Mikkelowi Uthowi z Centrum Buddyzmu za oprowadzenie po najpiękniejszej kopenhaskiej willi i pomoc w pierwszych krokach na Diamantvejen.

- Jørnowi Moosowi za chęć podzielenia się swoimi doświadczeniami z policyjnej pracy.

- Sarze Møldrup Thejls, historyczce religii z Uniwersytetu Kopenhaskiego, za sporą garść opowieści związanych z religią.

- Profesorowi Christianowi Bergowi z Wydziału Matematyki Uniwersytetu Kopenhaskiego za zapierającą dech w piersiach wędrówkę po tajemniczym świecie matematyki.

- Davidowi Drachmannowi za cierpliwą lekturę nieczytelnych notatek.

- Profesorowi Jørgenowi Seerupowi z oddziału dermatologii szpitala Bispebjerg za rozmowę o skórze.

I jeszcze szczególne podziękowania dla moich współpracowników:

Larsa Ringhofa, Lene Juul, Charlotte Weiss, Anne-Marie Christensen i Petera

Aalbceka Jensena.